

Almanach fantastyki

Kroki w nieznane

tom 6

Pod redakcją Mirka Obarskiego



SOLARIS

2010

Kroki w nieznane 2010

- „The Things” by Peter Watts 2010.
- „The Concrete Jungle” by Charles Stross 2004.
- „Bridesicle” by Will McIntosh 2009.
- „Eros, Philia, Agape” by Rachel Swirsky 2009.
- „The God Engines” by John Scalzi 2009.
- „The God Engine” by Ted Kosmatka 2005.
- „Vishnu at the Cat Circus” by Ian McDonald 2009.
- „Me-gi-do” by Julia Zonis 2008.
- „Conditional Love” Felicity Shoulders 2010.
- „The Chop Girl” by Ian R. MacLeod 1999.
- „The Lifecycle of Software Objects” by Ted Chiang 2010.

Agencja „Solaris”

11-034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A

tel./fax 89 541 31 17

e-mail: agencja@solarisnet.pl

Wydanie I

ISBN 978-83-7590-064-4

NSB eBook 2010

Spis treści

MIREK OBARSKI Przedmowa.....	4
PETER WATTS Rzeczy	7
CHARLES STROSS Betonowa dżungla	24
WILL MCINTOSH Mrożona panna młoda	91
RACHEL SWIRSKY Eros, filia, agape.....	107
JOHN SCALZI Boże napędy	135
TED KOSMATKA Boża Maszyneria.....	195
IAN MCDONALD Wisznu w Kocim Cyrku.....	208
JULIA ZONIS Me-gi-do	271
FELICITY SHOULDERS Warunkowana miłość.....	298
IAN R. MACLEOD Fatalna sztuka	317
TED CHIANG Cykl życia oprogramowania	336
NOTY O AUTORACH.....	408
PODZIĘKOWANIA	412

Mirek Obarski

PRZEDMOWA

Pisanie kompetentnej science fiction jest dziś zdecydowanie trudniejszym zajęciem dla autorów, ponieważ ryzyko prorokowania, przynależne temu gatunkowi, znacząco wzrosło. Konrad Fijałkowski, autor, który zarzucił pisarstwo na rzecz nauki, twierdzi, że fantastyka naukowa powstaje dziś w nowych warunkach, ponieważ horyzont zmian znacząco się skrócił. Rozumiem to tak, że ledwo coś sobie wymarzymy, to już się spełnia. Rozpędzona machina postępu pożera kolejne pomysły fantastów i wypluwa w postaci gotowych produktów, rozwiązań, technologii, często przekraczając lub falsyfikując to, co umyślili sobie fantaści.

Punktem zwrotnym w tym procesie wydaje się być, zarówno symbolicznie, jak i w rzeczywistości, lądowanie na Księżycu. Stało się to tuż przed narodzinami almanachu fantastyki *Kroki w nieznanie* – pierwszy tom redagowany przez Lecha Jęczmyka ukazał się w roku 1970. Zdobycie Srebrnego Globu, odwieczne marzenie ludzkości, było spełnieniem fantazji podsycanych przez pokolenia fantastów od Lukiana z Samosaty, przez Cyrano de Bergeraca, Vernea, Wellsa, Mélièsa, aż do naszego Żuławskiego. Selenonauci zastali jednak na miejscu sytuację, która dalece odbiegała od rozbuchanych wizji twórców. Nasz satelita okazał się krańcowo niegościnnie, jałowy, nudny i, w sumie, do niczego nieprzydatny. Księżycowa eskapada sprowadziła nas, paradoksalnie, na ziemię, jak chciał tego J.G. Ballard, postulując w literaturze fantastycznej powrót z kosmosu. Posypały się potem kolejne wydarzenia, wynikające z rozwoju techniki wymuszonego chęcią podboju satelity Ziemi. Mam tu na myśli rozwój technologii materiałowych, komputerowych, łączności i wielu, wielu innych.

Księżycowy kurz i ekscytacja lądowaniem szybko opadły. Program Apollo potrwał krócej, niż pierwotnie zakładano. Okazało się, że... dogoniliśmy króliczka, a może to króliczek dogonił nas. Dziś przecież możemy uruchomić w domu własny mózg elektronowy, poszperać w planetarnej bazie wiedzy, obejrzeć na żywo marsjańskie pejzaże, czy wręcz

podglądać planety w innych układach słonecznych. W takiej sytuacji trudniej jest chyba nie tylko pisać, ale i czytać fantastykę naukową.

Science fiction, będąca literaturą pomysłu, straciła przez to wiele ze swojej pierwotnej, profetycznej siły, stając się wręcz literaturą „faktu”. Musiała naturalnie obsunąć się w kierunku *fiction*, kosztem *science*. Poszukiwania autorów poszły w nowych kierunkach. Do głosu doszła fantasy, starsza siostra fantastyki naukowej – zauważono tam bowiem ogrom przestrzeni twórczej. Rozpoczęło się mutowanie i hybrydyzowanie gatunków, przeglądanie starych pomysłów i zagadnień, filtrowanie ich przez nowe podejścia, weryfikowanie i ustawianie w innych perspektywach. Czy w takim razie źle się stało, że horyzont zmian się skrócił? Wręcz przeciwnie. Fantastyka, jako rodzaj literacki, zyskała otrząsnąwszy się nieco z nauki. Gorzej jest tylko tym, którzy chcą pisać twardą SF – poprzeczka została ustawiona znacznie wyżej. Rzetelne prorokowanie stało się dyscypliną wyczynową, dla odważnych i dla wybranych.

Niniejszy tom *Kroków w nieznanne* jest odbiciem tego stanu rzeczy. Czyż nie jest przykładem poszukiwania nowej perspektywy opowiadanie „Rzeczy” Petera Watts’a? Kanadyjczyk wziął przetrawione już kilkakrotnie opowiadanie „Who Goes There?” Johna W. Campbella, Jr., a dokładniej film *The Thing*, nakręcony na jego podstawie, i pokazał, że w tej historii jest jeszcze dużo miejsca i wiele do powiedzenia. Podobnie czyni Rachel Swirsky w „Eros, filozofia, agape”, które – świadomie, czy nie – jest kobiecą odpowiedzią na „Dwustuletniego człowieka” Isaaca Asimova. Autorka unika polemiki z idolem kilku pokoleń miłośników fantastyki. Zastanawia się nad zupełnie innymi problemami i jest w swoim podejściu bardziej praktyczna i mniej romantyczna, choć prawi o miłości.

Przykładami hybrydyzowania gatunków – zresztą z doskonałym skutkiem – są teksty Strossa i Scalicego. „Betonowa dżungla”, brawurowy odcinek serii, która autorowi przysporzyła miana najlepszego obecnie twórcy humorystycznej fantastyki, zawiera w sobie za jednym zamachem lovecraftiańską „niewypowiedzianą plugawą potworność”, opowieść szpiegowską i komputerowy slang. Z kolei „Boże napędy” to religijna, bardzo błyskotliwa science fantasy. Obaj pisarze pokazują się tu w nowej roli, bo w polskich przekładach znani są z czego innego.

Dwa teksty, „Boża Maszyna” Teda Kosmatka i „Warunkowana miłość” Felicity Shoulders, wpisują się w nurt dojrzałej science fiction, kontestującej osiągnięcia nauki, gdzie wynalazek, wyrafinowane badania, stanowią pretekst do dalszych rozważań. Oboje mają przy tym unikalny dar pisania wywołującego prawdziwe emocje. Najbardziej klasyczne w tomie jest opowiadanie „Mrożona panna młoda” Willa McIntosha. Oryginalny pomysł, dobrze poprowadzona intryga i zaskakujące rozwiązanie – tego należy oczekiwać od dobrej SF.

Czego natomiast oczekiwać od Teda Chianga, najjaśniejszej gwiazdy światowej fantastyki, także tej naukowej? Oczywiście, że otworzy przed nami nowe horyzonty, zauroczy

i powiedzie w nieznane. I tak się dzieje za sprawą noweli „Cykl życia oprogramowania”, która z pewnością należy do najważniejszych utworów w jego dorobku; przy czym przestrzegam przed zbyt prędkim odrzuceniem tego tekstu ze względu na ścisłe podporządkowanie formy wywodowi. Pisarz, nawiązując do myśli Alana Turinga, proponuje wizję narodzin i rozwoju sztucznej inteligencji. Odmienną niż ta, do której od lat przyzwyczajają nas fantastyka. Według Chianga wzrost potencjału i złożoności AI będzie odbywał się w procesie powolnej socjalizacji i akumulacji wiedzy. Odważna to polemika, bo staje autor na udeptanym polu ze Stanisławem Lemem, i jego wyśmienitym *Golemem XIV*, z Vernorem Vinge’em, głoszącym nadejście technologicznej osobliwości w roku 2045, czy wreszcie Jamesem Cameronem i jego *Terminatorem*.

„Wisnu w Kocim Cyrku”, rozgrywa się w *universum*, znanym nam z nostalgicznej „Małej bogini”, prezentowanej w 5. tomie *Kroków w nieznane* (2009). Tym razem Ian McDonald serwuje fantastyczną jazdę bez trzymanki, pokazując przyszłość jako nieprzewidywalny, nieludzki i szalony *patchwork*.

Z szaleństwem, któremu do twarzy literaturze rosyjskiej, obcujemy w „Me-gi-do” Julii Zonis. W docenionym przez Borysa Strugackiego opowiadaniu mamy m.in. wojnę z zastępami demonów, bombardowanie niewiniątkami i święconą wodą.

Fascynujące spotkanie dwóch emanacji przeznaczenia, fatum i fortuny, to temat najbardziej wysmakowanego tekstu w tym tomie. „Feralna sztuka” Iana MacLeoda, uznawanego, całkowicie zasłużenie, za jednego z największych stylistów współczesnej fantastyki, to przykład twórczości wymykającej się gatunkowemu zarachowaniu. Mogą ją czytać z powodzeniem także ci, którzy nie lubią fantastyki – zagadka przeznaczenia kusi każdego.

Fajnie, że poleciliśmy na Księżyc. A jeszcze lepiej, że z niego wróciliśmy.

Peter Watts

RZECZY

Jestem Blair. Uciekam, podczas gdy świat wkracza frontowymi drzwiami.

Jestem Copper. Wstaję z martwych.

Jestem Childs. Pilnuję głównego wejścia.

Nazwiska nie są istotne. Są tylko nazwami miejsc pobytu, cała biomasa jest wymienna. Liczy się to, że tylko oni mi pozostali. Całą resztę spalił świat.

Widzę siebie, jak w ciele Blaira brnę przez zamieć. MacReady powiedział mi, żebym spalił Blaira, jeśli wróci samotnie, ale MacReady wciąż myśli, że jestem jednym z nich. Nie jestem, jestem wśród nich i stoję przy drzwiach. Jestem Childs i wpuszczam siebie do środka. Dokonuję krótkiego zespolenia przez wyciągające się z twarzy i szybko się splatające macki; teraz jestem Blair Childs i wymieniam wieści ze świata.

Świat mnie odnalazł. Odkrył moją norę pod komórką na narzędzia i na poły ukończoną szalupę ratunkową skonstruowaną z części wywleczonych ze środków zdechłych helikopterów. Świat jest zajęty pozbawianiem mnie sposobów ucieczki. Potem przyjdzie po mnie.

Została tylko jedna opcja. Podzielenie. Jako Blair przekazuję ten plan Copperowi i pozeram gnijącą biomasę zwaną kiedyś Clarke; wszystkie te wyzwania w tak krótkim czasie niebezpiecznie uszczupliły moje rezerwy. Jako Childs pochłonałem już to, co zostało z Fuchsa i wzmocniłem się przed kolejną fazą. Zarzucam na plecy miotacz ognia i wychodzę na zewnątrz, w długą arktyczną noc.

Pójdę w zamieć, żeby nigdy nie wrócić.

* * *

Przed katastrofą było mnie znacznie więcej. Byłem badaczem, ambasadorem,

misjonarzem. Rozprzestrzeniałem się w kosmosie, natykałem na niezliczone światy i dokonywałem zespolenia: odpowiedni przeistaczali nieodpowiednich i cały świat inicjował się w radosnych, nieskończenie mnogich rozrostach. Byłem żołnierzem toczącym wojnę z samą entropią. Byłem dłonią, poprzez którą Stworzone udoskonalało same siebie.

Miałem wiele mądrości. Tyle doświadczenia. Teraz nie mogę sobie przypomnieć wszystkiego, co wiedziałem. Pamiętam jedynie, że kiedyś to wiedziałem.

Pamiętam jednak katastrofę. Zabiła większość sadzonek, ale jedna wypełzła z rumowiska: kilka trylionów komórek, dusza zbyt słaba, żeby nad nimi zapanować. Buntownicza biomasa wyroliła się na zewnątrz mimo moich najbardziej rozpaczliwych wysiłków utrzymania się w całości; ogarnięte paniką małe skrzepy mięsa instynktownie wypuszczały rozmaite spamiętane macki i uciekały przez płonący lód. Gdy odzyskałem kontrolę nad tym, co zostało, płomienie przygasły i zaczął narastać chłód. Zdołałem jedynie wyhodować tyle antyzamrażacza, żeby uchronić komórki od rozerwania, nim pochłonał mnie lód.

Pamiętam też moje ponowne przebudzenie: tępe drgnienia poczucia realnego czasu, pierwsze iskry świadomości, powoli rozkwitające ciepło wrażeń, gdy po długim śnie dusza wracała do ciała. Pamiętam, że otoczyły mnie dwunogie rzeczy, pamiętam dziwnie skrzekliwe, wydawane przez nie dźwięki i osobliwą jednolitość ich cielesnych kształtów. Wyglądały na tak kiepsko przystosowane do środowiska! Miały tak nieefektywną morfologię. Nawet ogarnięty niemocą mogłem dostrzec wiele rzeczy, które należałoby usprawnić. Sięgnąłem więc na zewnątrz. Spróbowałem zespolenia. Poczulem smak świata...

... a świat mnie zaatakował. Zaatakował *mnie*.

Pozostawiłem za sobą ruiny. Po drugiej stronie gór – tu nazywają to Obozem Norweskim – i nigdy bym nie zdołał pokonać tej odległości w skórze dwunoga. Na szczęście był jeszcze inny kształt, jaki mogłem przybrać, mniejszy od dwunoga, ale lepiej przystosowany do miejscowego klimatu. Ukryłem się w nim, podczas gdy pozostała część *mnie* odpierała atak. Uciekłem w noc na czterech nogach pozwalając, by moją ucieczkę skryły rozniecone i bijące coraz wyżej płomienie.

Nie zatrzymałem się, dopóki nie dotarłem tutaj. Przechodziłem pomiędzy nowymi odrostami w skórze czworonoga, a ponieważ nie widziały jak przybieram inny kształt, nie atakowały.

A gdy je kolejno asymilowałem – gdy moja biomasa zmieniała się i przyjmowała kształty nieznanne oczom miejscowych – zespałem się w samotności i dowiadywałem, że ten świat nie lubi tego, czego nie zna.

* * *

Jestem samotny w zamieci. Czyham na dnie jakiegoś obcego, mrocznego morza. Śnieg dmie poziomymi pasmami; uwięziony w rozpadlinach i na występach tworzy maleńkie,

oślepiające wiry. Ale nie jestem jeszcze dostatecznie daleko, jeszcze nie. Oglądając się za siebie widzę przycupnięte w mroku elementy obozu, zbiór prostopadłościennych brył światła i cienia, maleńkie bąble ciepła wśród wyjącej otchłani.

Patrzę, jak pogrążają się w ciemnościach. Unicestwiłem generator. Teraz nie ma tam światła oprócz lamp wzdłuż lin kierunkowych: to isierki przyćmionych niebieskich gwiazdek bujących się na wietrze; konstelacja, która w nadzwyczajnych sytuacjach ma sprowadzać zagubioną biomasę z powrotem do domu.

Ja nie wracam do domu. Nie jestem aż tak zagubiony. Zanurzam się w mrok, aż znikają nawet gwiazdy. Wiatr niesie ku mnie gniewne okrzyki przestraszonych rzeczy.

Gdzieś za mną moja rozczłonkowana i odłączona biomasa przybiera większe, potężniejsze formy do ostatecznej konfrontacji. Mógłbym połączyć się w jedność: przełożyć zjednoczenie nad podział, wchłonąć wszystko i doznać poczucia całości. Mógłbym dodać swoją siłę do niedalekiej konfrontacji. Wybrałem jednak inną drogę. Zachowuję rezerwy Childsa na przyszłość. Terazniejszość nie niesie z sobą niczego, prócz unicestwienia.

O przeszłości lepiej nie myśleć.

W lodzie spędziłem już bardzo wiele czasu. Nie wiedziałem ile, dopóki świat nie zebrał razem śladów i wskazówek, nie odcyfrował notatek, nie odtworzył taśm z obozu norweskiego i nie znalazł miejsca katastrofy. Byłem Palmerem i nie budząc podejrzeń udałem się na przejażdżkę.

Pozwoliłem sobie nawet na maleńką porcję nadziei.

Nie był to już jednak statek. Nie był nawet wrakiem. Był skamieliną wbitą w dno wielkiej jamy powstałej w wyniku eksplozji w lodowcu. Dwadzieścia powłok mogło stanąć jedna na drugiej i z trudem dosięgnąć krawędzi krateru. Skala czasu przygniotła mnie niczym ciężar całego świata: jak wiele musiało go upłynąć, żeby nagromadził się cały ten lód? Ileż eonów wszechświat reprodukowało się beze mnie.

Podczas tego całego czasu, może przez miliony lat, nie nadszedł ratunek. Nigdy się nie odnalazłem. Zastanawiałem się, co to znaczy. Zastanawiałem się, czy jeszcze istnieję gdziekolwiek poza tym miejscem?

Wróciwszy do obozu zatnę ślad. Wydam ostateczną bitwę, dam im potwora, którego zniszczą. Niech wygrają. Niech przestaną szukać.

Tu, w zamieci, wrócę do lodu. Ostatecznie nawet za bardzo się nie oddalałem, byłem żywy zaledwie kilka dni po nieskończonych wiekach nieistnienia. Ale w tym czasie nauczyłem się dostatecznie wiele. Badając wrak dowiedziałem się, że nie będzie żadnych napraw. Badając lód dowiedziałem się, że na ratunek nie mam co czekać. Badając świat dowiedziałem się, że nie będzie pojednania. Jedyłą nadzieją ucieczki niesie przyszłość. Muszę przetrwać tę wrogą, pokręconą i zboczoną biomasę, muszę pozwolić czasowi i kosmosowi zmienić zasady gry. Może obudzę się w innym świecie. Miną eony, zanim ujrzę kolejny świt.

* * *

Ten świat nauczył mnie jednego: adaptacja jest prowokacją. Adaptacja jest zachętą do gwałtu i przemocy.

To prawie odrażające, obsceniczne uczucie – obraza wobec samego Stworzonego – zostać uwięzionym w tej powłoce. Jest tak źle przystosowana do kaprysów i zmienności otoczenia, że trzeba ją owijać w liczne warstwy izolacji, żeby tylko mogła utrzymać ciepło. Mógłbym ją zoptymalizować na tysiące sposobów: krótsze członki, lepsza izolacja cieplna i lepszy stosunek powierzchni do objętości. Wszystkie te kształty tkwią wciąż we mnie, nie ośmielę się użyć żadnego z nich nawet do odparcia ataku zimna. Nie śmiem; w tym miejscu mogę się jedynie ukrywać.

Jakiż świat wyrzeka się *zespolenia*?

To najbardziej proste i nieodparte przeczucie, jakie może mieć biomasa. Im bardziej się zmieniasz, tym bardziej możesz się adaptować. Adaptacja to przystosowanie, adaptacja to *przetrwanie*. Siega głębiej niż inteligencja, głębiej niż tkanki, dzieje się na poziomie komórek i jest aksjomatyczna. Co więcej, daje przyjemność. Zespalanie jest żywym, intensywnym doświadczaniem zmysłowej rozkoszy z ulepszania kosmosu.

A jednak nawet przyodziany w te źle przystosowane powłoki tutejszy świat nie chce się zmienić.

Początkowo myślałem, że po prostu chodzi o głód, że te rozległe lodowate pustkowia nie dają dostatecznej ilości energii do zwykłej zmiany kształtu. Albo że trafiłem do jakiegoś laboratorium ulokowanego w nietypowym, porzuconym wśród lodów miejscu, gdzie bada się zdolności do przetrwania tych ułomnych kształtów w ekstremalnie nieprzyjaznych warunkach. Po dokonaniu autopsji przyszło mi na myśl, że ten świat po prostu zapomniał, jak się zmieniać: utracił zdolność docierania do tkanek tak, żeby dusza mogła je kształtować inaczej, a czas, stres i chroniczny głód sprawiły, iż nawet zapomniał, że można to robić.

Pozostaje jednak zbyt wiele tajemnic i sprzeczności. Po co przyjmować akurat te kształty, tak kiepsko przystosowane do przetrwania w tym środowisku? Jeżeli dusza zostaje odcięta od ciała, co trzyma je razem?

I czemu te powłoki były tak puste, gdy w nie wnikałem?

Przebijając się przez różne odrosty w kosmosie przywykłem do znajdowania inteligencji wszędzie. W bezmyślnej biomacie tego świata nie było jednak nic, czego mógłbym się imać: same tylko obwody przenoszące rozkazy i polecenia z wejść i na wyjścia. Zespałem się, gdy tego mi nie ofiarowywano; przybierane przeze mnie powłoki walczyły i poddawały się, moje włókna infiltrowały wilgotną elektryczność wszystkich systemów organicznych. Patrzyłem oczami, które nie było całkowicie moje, wysyłałem impulsy nerwom mięśni wciąż zbudowanych z obcych protein. Przywdziewałem te powłoki jak nosiłem niezliczone inne,

przejmowałem kontrolę i pozostawiałem obcym komórkom asymilację w ich własnym tempie.

Tu jednak mogłem tylko nosić ciała. Nie znajdowałem żadnych wspomnień do przyswojenia, żadnych doświadczeń i żadnego zrozumienia. Przetrwanie zależy od możliwości wtopienia się w tło, ale upodobnienie się do tego świata po prostu nie wystarczyło. Musiałem *dostosować doń swoje działania* – i pierwszy raz za mojej pamięci nie wiedziałem jak.

Bardziej przerażające było to, że asymilowane przeze mnie powłoki poruszały się same z siebie. Toczyły rozmowy i robiły to, co miały do zrobienia. Nie mogłem tego pojąć. Z każdą mijającą chwilą przenikałem głębiej w członki i wnętrzości oryginalnego posiadacza, spodziewając się oporu. I nie mogłem znaleźć żadnej sieci oprócz mojej.

* * *

Oczywiście mogło być znacznie gorzej. Mogłem stracić to wszystko, mogłem zostać zredukowany do niewielu komórek niemających niczego prócz instynktu i swojej plastyczności, która by je prowadziła. W końcu bym się odtworzył, odzyskałbym rozum, zespolił się i odbudował intelekt rozległy jak świat, byłbym jednak sierotą, istotą porażoną amnezją, bez świadomości, kim jestem. Tego przynajmniej mi oszczędzono; wyszedłem z katastrofy z nietkniętą tożsamością, z matrycami tysiąca światów wciąż tkwiącymi w moim ciele. Zachowałem nie tylko prymitywną chęć przetrwania, ale również przekonanie, że przetrwanie ma jakiś cel. Wciąż mogę odczuwać radość, jeśli znajdę odpowiedni pretekst.

A jednak było w tym coś znacznie większego.

Mądrość tak wielu światów – stracona. Wszystko, co zostało, to zamglone abstrakcje, niejasne wspomnienia teorematów i filozofii zbyt obszernych, by pomieściły się w tak zubożonej sieci. Mogę asymilować wszystkie biomasy tego miejsca, przebudować duszę i ciało do wartości miliony razy pojemniejszych od tych, które tu się rozbiły, ale dopóki jestem uwięziony na dnie tej studni i pozbawiony łączności z większą, pozostałą częścią mojej jaźni, nigdy tej wiedzy nie odtworzę.

Jestem tak mizernym fragmentem tego, czym byłem... Każda utracona komórka zabiera ze sobą część mojego intelektu, a tak niewiele ich odtworzyłem. Kiedyś potrafiłem myśleć, teraz po prostu reaguję. Ile z tego bym uniknął, gdybym zdołał uratować nieco większą część mojej biomasy? Ilu opcji i możliwości nie dostrzegam, ponieważ moja dusza nie jest po prostu dostatecznie wielka, by je w sobie pomieścić?

* * *

Świat mówi do siebie w taki sam sposób, jak czynię to ja, gdy moje komunikaty są na tyle

proste, żeby je przekazywać bez połączenia somatycznego. Nawet jako czworonóg mogłem wyróżniać podstawowe sygnatury morfemów – ten odrostek był *Windows*, ten był *Bennings*, a w latającej maszynie po nieznane mi części odleciały *Copper* i *MacReady*. Zdumiewało mnie to, że owe części i kawałki pozostawały oddzielone od siebie wzajemnie, utrzymywały tak długo ten sam kształt i że nadawanie nazw poszczególnym wielokrotnościom biomasy służy jakiemś konkretnemu celowi i jest z tego pożytek.

Później ukrywałem się w samych dwunogach i cokolwiek tam czyhało w tych nawiedzonych powłokach, zaczęło mówić do mnie. Mówiło, że dwunogi nazywają się czasami *chłopakami*, albo *ludźmi*, albo *dupkami*. Mówiło, że *MacReady* niekiedy bywał nazywany *Mac*. Mówiło, że ten zbiór struktur jest *obozem*.

Mówiło, że się boję, ale może to mówiłem ja sam.

Empatia jest oczywiście nieunikniona. Nie da się podrabiać iskier i chemikaliów motywujących ciało, jednocześnie do pewnego stopnia ich nie odczuwając. Ale tu było inaczej. Te przebliski intuicji migały we mnie, ale w jakiś sposób pozostawały poza zasięgiem. Moje powłoki wędrowały wśród sal i tajemniczych symboli na każdej powierzchni. *Zasobnik na pranie, Witaj w Sali Klubowej, Tą stroną do góry* – co było prawie sensowne. Okrągły artefakt wiszący na ścianie był *zegarem* i służył do pomiaru upływającego czasu. Oczy świata przeskakiwały tu i tam, a ja zbierałem części nomenklatury z tego – z *jego* – umysłu.

Podążałem jednak tylko za światłem reflektora. Widziałem, co oświetlał, sam nie potrafiłem go jednak skierować w żadną stronę. Słyszałem, ale mogłem tylko podsłuchiwać, nigdy nie mogłem o nic zapytać.

Gdyby choć jeden z tych pęków światła zatrzymał się i zajął własną ewolucją i trajektorią, która go tu przywiodła. Gdybym tylko wiedział, jakże inaczej mogło się wszystko skończyć. Zamiast tego jednak spoczął na zupełnie nowym słowie:

Autopsja.

W obozie norweskim *MacReady* i *Copper* znaleźli część mnie: pozostałość odrostu, spaloną na trasie mojej ucieczki. Przywieźli ją – osmaloną, poskręcaną i zamrożoną w połowie transformacji. Nie mieli chyba pojęcia, czym była.

Byłem wtedy *Palmerem*, *Norrisem* i *psem*. Zebrałem się wokół z innymi biomasami i patrzyłem, jak *Copper* mnie rozpruwa i wyciąga moje wnętrza. Patrzyłem, jak wyciąga coś zza moich oczu: swoisty *narząd*.

Był zdeformowany i niekompletny, ale jego najbardziej istotne cechy można było z grubsza zrozumieć. Wyglądał jak wielka, pomarszczona narośl, jak wynik niekontrolowanego rozrostu grupy komórek, w których proces określający życie odwrócił się przeciwko niemu. Był osobliwie unaczyniony, musiał pochłaniać znacznie więcej tlenu i substancji odżywczych niż wynikałoby to z jego masy. Nie bardzo mogłem pojąć, jak coś takiego w ogóle mogło istnieć, jak ów narząd mógł osiągnąć takie rozmiary nie zostając pozbawionym możliwości

rozwoju przez bardziej efektywne struktury.

Nie umiałem też sobie wyobrazić, co robił. Wtedy jednak zaczynałem już patrzeć oczami tych odrostków, tych dwunogich struktur, które moje własne komórki tak dokładnie i bezmyślnie skopiowały, gdy mnie przekształcały do życia w tym świecie.

Nieprzyzwyczajony do inwentaryzacji – po co był mi potrzebny katalog części ciała, które po najbardziej nikłym bodźcu mogły się przekształcić w inne rzeczy – po raz pierwszy naprawdę zobaczyłem nabrzmiałą strukturę na szczycie każdego ciała. Była znacznie większa, niż powinna – koścista półsfera z milionem krętych powierzchni stykowych, które mogły się zmieścić w wolnej przestrzeni. Każdy odrost miał jedną. Każdy fragment biomasy zawierał jeden z tych pofałdowanych skrawków ciała.

Zdałem sobie też sprawę z czegoś innego: oczy i uszy mojej martwej powłoki karmiły tę rzecz, zanim Copper wyjął ją na zewnątrz. Solidna wiązka tkanek ciągnęła się wzdłuż pionowej osi powłoki, ukryta w szkielecie wewnętrznym, wprost do tej mrocznej, lepkiej pustki, gdzie spoczywała owa narośl. Ta niekształtna struktura siecią przewodów oplatała całą powłokę, jak swoisty cielesny interfejs, ale znacznie za obszerny. To było prawie tak, jakby...

Nie.

Tak to działało. Dzięki temu te puste powłoki mogły się poruszać same z siebie i dlatego nie znajdowałem innej sieci, z którą mógłbym się zespolic. To było to: nierozdzielone w całym ciele, ale zamknięte samo w sobie, mroczne, ujednolicone i zamknięte. Znalazłem ducha w tych machinach.

Zrobiło mi się niedobrze.

Dzieliłem ciało z myślącym nowotworem.

* * *

Niekiedy nie wystarczy nawet ukrycie się.

Pamiętam, jak zalegałem na podłodze psiarni, niczym chimera rozprzestrzeniona w setce warstw, zespalająca się z gromadą psów. Po podłodze wily się szkarłatne macki. Z moich boków wyrastały na poły wykształcone kopie, kształty psów i rzeczy, jakich ten świat jeszcze nie oglądał, przypadkowe stwory zapamiętane ledwie fragmentarycznie.

Pamiętam Childsa, zanim stałem się Childsem spalającym mnie żywcem. Pamiętam ukrywanie się w Palmerze; byłem przerażony, że te płomienie mogą się zwrócić przeciwko reszcie tego, czym się stałem, że ten świat nauczył się strzelać, a dopiero potem myśleć.

Pamiętam, że widziałem siebie brnącego chwiejnie, instynktownie przez śnieg w odzieniu Benningsa. Do jego dłoni niczym pasożyty przyłgnęły węzlaste, nieokreślone kawałki mięsa, bardziej na zewnątrz niż wewnątrz; kilka fragmentów, które przetrwały masakrę, pokaleczonych, bezmyślnych, chwytających co się dało i przedzierających się przez osłonę. Wokół niego w mroku nocy kręcili się ludzie: czerwone światła w rękach, niebieskie na

plecach, mieli piękne, dwubarwne twarze. Pamiętam Benningsa ogarniętego płomieniami i wyjącego pod kopułą nieba jak zwierzę.

Pamiętam Norrisa, zdradzonego przez jego własne, idealnie skopiowane, wadliwe serce. Palmera, umierającego, by mogła przetrwać reszta mnie. Windowsa, wciąż człowieka, zapobiegawczo płonącego.

Nazwy nie mają znaczenia, w przeciwieństwie do biomasy, straconej w tak wielkich ilościach. Tyle doświadczenia, tyle mądrości unicestwionej przez ten świat myślących narośli.

Po co mnie wykopano? Po co mnie wydobyto z lodu i przeniesiono przez te pustkowia i przywrócono życiu, skoro zaatakowano mnie natychmiast po tym, jak się ocknąłem?

Jeżeli ich celem było niszczenie, czemu mnie nie zabili od razu?

* * *

Te dusze w otulinie. Te narośle. Ukrywające się w kościanych puszkach i zapatrzone w siebie.

Wiedziałem, że nie zdołają się bez końca bronić. Ten wybryk anatomii opóźniał tylko zespolenie, ale go nie uniemożliwiał. Z każdą chwilą nieznacznie się rozrastałem. Czułem, jak się owijam wokół motoru Palmera, i posuwam coraz dalej w milionach drobniutkich strumyczków. Widzę, jak wsączam się do tej ciemnej masy za oczami Blaira.

Oczywiście to wyobraźnia. Jak do tej pory to sprawa nieświadomych i niemożliwych do opanowania mikroodruchów. A jednak część mojej jaźni chciała zatrzymać ten proces, dopóki jeszcze był czas. Przywykłem do przyłączania dusz, a nie do dzielenia z nimi miejsca. To współistnienie w tej samej przestrzeni było czymś bezprecedensowym. Asymilowałem tysiące światów silniejszych od tego, żaden jednak nie był tak dziwaczny. Co się stanie, gdy natknę się na iskrę tej narośli? Kto kogo zasymiluje?

Byłem już trzema ludźmi. Świat był coraz bardziej czujny, ale jeszcze tego nie zauważył. Nawet narośle w zajętych przeze mnie powłokach nie zorientowały się, jak jestem blisko. Mogłem być za to tylko wdzięczny, stworzone trzymało się swoich starych zasad, niezależnie od kształtu, jaki przybierałem.

Nie ma znaczenia, czy dusza rozprzestrzenia się przez powłoki, czy ropieje w groteskowej izolacji: sprawa wciąż opiera się na elektryczności. Wspomnienia ludzi potrzebują czasu, żeby zastygnąć i przedostać się przez to, czym strażnicy wejść filtrują szum od sygnałów – odpowiednia porcja zaburzeń statycznych, jakkolwiek przypadkowych, oczyszcza te skrytki, zanim ich zawartość będzie mogła zostać trwale zachowana. Oczyszczenie jest w końcu dostateczne, żeby te narośle po prostu pozapominały o tym, że niekiedy ich nogami i rękami poruszało coś innego.

Początkowo przejmowałem kontrolę tylko wtedy, gdy powłoki zamykały powieki, a ich reflektory błyskały beładnie po nierealnych wyobrażeniach i wzorach, które przepływały

bezsensownie po biomasie niezdolne do przyjęcia jednego kształtu. (Jeden powiedział mi, że to *Sny*, a potem dodał: *Koszmary*). Podczas tych tajemniczych okresów uśpiania, gdy ludzie leżeli bez ruchu i izolowani, bezpiecznie mogłem wyjść na zewnątrz.

Wkrótce jednak sny się urwały. Wszystkie oczy pozostawały otwarte przez cały czas, ustawione na cienie, albo jedno na drugie. Przedtem rozproszone po obozie odrostki zaczęły się gromadzić i zrezygnowały z zajmowania się swoimi pojedynczymi sprawami na rzecz przebywania razem. Początkowo pomyślałem, że mogą znajdować wspólny grunt w pospolitym strachu. Miałem nawet nadzieję, że zdołają się wtedy otrząsnąć z tajemniczego skostnienia i zespolić.

Ale nie. Oni po prostu przestali ufać wszystkiemu, czego nie mogli zobaczyć.

Po prostu zwrócili się jedni przeciwko drugim.

* * *

Najodległe elementy zaczynają mi drętwieć; w miarę jak zewnętrzne, najbardziej odległe części mojej duszy poddają się chładowi, moje myśli płyną coraz wolniej. Waga miotacza ognia zaczyna ciążyć, napierać na jego uprząż i wytrącać mnie nieco z równowagi. Nie byłem Childsem od bardzo dawna, niemal połowa jego ciała pozostaje niezasymilowana. Mam godzinę albo dwie, zanim zacznę w łodzie wytapiać swój grób. Do tego czasu muszę zająć i opanować dostateczną liczbę komórek, by uchronić tę powłokę przez zeszywnieniem i krystalizacją. Skupiam się na produkcji antyzamrażacza.

Tu jest prawie spokojnie. Nie było tak wiele do zajęcia, więc procedura nie trwała długo. Ukrycie w tych powłokach daje odpowiednią koncentrację i pod tymi wszystkimi czujnymi spojrzeniami miałem szczęście, jeżeli zespolenie trwało dostatecznie długo, żeby wymienić wspomnienia: połączenie elementów mojej duszy było najważniejsze. Teraz jednak nie mam już niczego do zrobienia, poza przygotowaniem do odejścia w niebyt. Moich myśli nie zajmuje nic oprócz tych lekcji, których jeszcze nie opanowałem.

Na przykład test krwi MacReady'ego. Jego *detektor istot*, który miał wykrywać odmieńców udających ludzi. Nie działał dostatecznie dobrze, jak myślał ten świat, ale fakt, iż w ogóle działał, przeczy najbardziej podstawowym prawom biologii. To samo jądro zagadki i odpowiedź na wszystkie inne tajemnice. Mógłbym pojąć to i zrozumieć, gdybym był odrobinę większy. Mógłbym zrozumieć świat, gdyby tak uparcie nie próbował mnie zabić.

Test MacReady'ego.

Albo jest niemożliwy, albo myliłem się we wszystkim.

* * *

Oni nie zmieniali kształtu. Nie zespalali się. Ich strach i wzajemna nieufność rosły, ale nie

łączyli dusz; nieprzyjaciół szukaliby poza samymi sobą.

Dałem im więc coś, co mogli znaleźć.

Zostawiłem fałszywe ślady w prymitywnym obozowym komputerze: prościutkie ikony i animacje, fałszywe liczby i projekcje podszyte niewielką ilością prawdy, tak żeby przekonać świat o ich wiarygodności. Nie liczyło się to, że maszyna była zbyt prymitywna do takich obliczeń, ani to, że w bazie nie było odpowiednich danych do przetworzenia. Blair był jedyną biomasą, która mogła się w tym zorientować, a on należał już do mnie.

Zostawiłem fałszywe ślady, unicestwiłem prawdziwe, a potem – jako wymówkę – pozwoliłem Blairowi popaść w amok. Nie sprzeciwiałem się, gdy wykradł się w mrok i podczas snu innych zniszczył wszystkie pojazdy; pociągałem tylko bardzo delikatnie za sznurki, żeby mieć pewność, że zostawi nietknięte niektóre istotne komponenty. Pozwoliłem mu szaleć w pomieszczeniu radiowym i patrzyłem oczami jego i innych jak się miotał i niszczył radiostację. Słyszałem, jak bełkotał o tym, że świat jest w niebezpieczeństwie, że trzeba wszystko powstrzymać i wyrażał przekonanie, że *większość z was nie wie, co tu się dzieje, ja jednak cholernie dobrze wiem o tym, iż niektórzy z was wiedzą...*

Mówił dokładnie to, co myślał. Widziałem to w tych jego reflektorach. Najlepsze podróbki są tymi, których nie potrafisz odróżnić od prawdziwych.

Gdy dokonał już koniecznych uszkodzeń, pozwoliłem Blairowi ulec napaści MacReady'ego. Jako Norris podsunąłem pomysł, żeby zamknąć Blaira w narzędziowni. Jako Palmer zakratowałem okna i pomogłem mu w postawieniu mizernych fortyfikacji, które miały utrzymać mnie w zamknięciu. Patrzyłem jak świat mnie zamykał dla *twojego własnego dobra, Blair* i pozostawił mnie samemu sobie. Gdy nikt już nie patrzył, zmieniłem kształt i wymknąłem się na zewnątrz, zabierając ze sobą potrzebne części uszkodzonej maszynierii. Miałem je zabrać do mojej nory pod narzędziownią i zbudować moje schronienie. Zgodziłem się na karmienie więźnia i gdy świat nie patrzył, przychodziłem do siebie ze wszystkim, co było potrzebne, bym mógł przejść kolejne niezbędne metamorfozy. W ciągu trzech dni spożyłem trzecią część obozowych zapasów żywności i wciąż grzęznąc w swoich wstępnych założeniach zdumiewałem się głodowej diecie, która wiązała te odrostki z ich powłokami.

Kolejny szczęśliwy traf: świat był zbyt zajęty, by przejmować się zawartością kuchni.

* * *

Jest coś w podmuchach wiatru, jakiś szept, który wybija się ponad wycie wichury. Pozwalam, żeby wyrosły mi uszy, wysuwam z głowy niemal zamarznęte kielichy i poruszam nimi niczym żywymi antenami, by polepszyć odbiór.

Z lewej: otchłań nieco się rozświetla. Czarne sylwetki wirują na tle delikatnie rozrzedzonego mroku. Słyszę odgłosy masakry i niszczenia. Słyszę siebie. Nie wiem, jaki przybrałem kształt i jaki zestaw anatomii emituje te dźwięki. Nosilem jednak dość wiele

powłok na wystarczająco wielu światach, by poznać ból, gdy go słyszę.

Bitwa nie idzie dobrze. Bitwa idzie zgodnie z planem. Teraz nadszedł czas, by odejść w sen. Czas, żeby przeczekać wieki.

Ruszam pod wiatr. Idę ku światłu.

Nie należy to do planu. Ale teraz myślę, że znam odpowiedź; znałem ją chyba nawet zanim udałem się na wygnanie. Niełatwo jest się do tego przyznać. Nawet teraz nie w pełni to rozumiem. Jak długo tu tkwiłem i w kółko opowiadałem samemu sobie tę historię zostawiając ślady, podczas gdy moja powłoka stopniowo umierała? Jak długo krążyłem wokół oczywistej, choć niemożliwej prawdy?

Poruszam się ku nikłemu trzaskowi płomieni i tępemu odgłosowi serii wybuchów, bardziej wyczuwalnych, niż słyszalnych. Mrok przede mną się rozjaśnia: szarość przechodzi w żółć, która stopniowo nabiera rudawej barwy. Jedna plama jasności dzieli się na kilka; widzę samotną, płonąca i wciąż jeszcze jakimś cudem stojącą ścianę. Na wzgórzu dymi szkielet baraku MacReadyego. Dostrzegam też popękaną, dymiącą półsferę promieniującą migotliwą bladożółtą poświatą: promień Childsa nazywał to „anteną radiową”.

Cały obóz zniknął. Nie zostało nic prócz ognia i zgliszcz.

Nie przeżyją długo bez schronienia i kryjówki. Nie w tych powłokach.

Niszcząc mnie zniszczyli samych siebie.

* * *

Sprawy mogłyby się potoczyć zupełnie inaczej, gdybym nie był Norrisem.

Norris był słabym punktem: biomasą nie tylko źle zaadaptowaną, ale uszkodzoną, odrostkiem z wyłącznikiem. Świat wiedział o tym od tak dawna, że nawet już o tym nie myślał. Dopiero, gdy Norris upadł, na powierzchnię umysłu Coppera, gdzie mogłem to zobaczyć, wypłynął termin *choroba serca*. Dopiero gdy Copper usiadł okrakiem na piersi Norrisa i zaczął go *uderzać*, by przywrócić życiu zrozumiałem, jak to się skończy. Ale wtedy było już za późno: Norris przestał być Norrisem. Przestał nawet być mną.

Musiałem odegrać tak wiele ról mając tak nikły wybór. Część mnie będąca Copperem opuściła urządzenia na część, która była Norrisem, tak sumiennym Norrisem, z każdą komórką tak skrupulatnie zasymilowaną, z doskonale zrekonstruowaną każdą częścią wadliwego zaworu. Nie wiedziałem. Skąd miałem wiedzieć? Wszystkie zawarte we mnie kształty, światy i morfologie, które asymilowałem przez eony – używałem ich tylko do tego, żeby się adaptować, nigdy, by się ukrywać. Ta desperacka mimikra była improwizacją, ostatnim środkiem obrony wobec świata atakującego wszystko co obce. Moje komórki odczytywały sygnały i dostrajały się bezmyślnie niczym priony.

Stałem się więc Norrisem, a ten sam się zniszczył.

Pamiętam, jak straciłem samego siebie po katastrofie. Wiem, jak to jest, gdy się czuje

rozpad, gdy tkanki się buntują, gdy desperacko usiłuje się odzyskać kontrolę, gdy sygnał zakłóca jakiś szum ze źle działającego organu. Wiem, co się czuje przy odłączaniu sieci, gdy mam świadomość, że moja jaźń z każdą chwilą ubożeje. Wiem, co znaczy stać się niczym. Legionem.

Mogłem to zobaczyć, będąc Copperem. Nie mam pojęcia, czemu nie widzi tego świat; jego części w tym czasie od dawna już zwróciły się przeciwko sobie, każdy odrostek żywił podejrzania wobec innych. Z pewnością są czujne wobec znamion *infekcji*. Z pewnością niektóre z tych biomas zauważyły nieznaczne skurcze i drgania pod powierzchnią Norrisa, ostatnie próby obrony dzikich tkanek pozostawionych ich własnym sposobom.

Ja jednak byłem jedynym, który widział. Będąc Childsem mogłem tylko stać i patrzeć. Będąc Copperem mogłem tylko wszystko pogorszyć. Gdybym przejął kontrolę i zmusił powłokę, by nie opuściła urządzeń, byłbym się zdradził. Odegrałem więc rolę do końca. Opuściłem elektrody, a pod ich naciskiem pękła pierś Norrisa. Na dany znak wrzasnąłem przeraźliwie, gdy na elektrodach zamknęły się zęby przyswojone przeze mnie o setki lat świetlnych stąd. Runąłem w tył z ramionami odgryzionymi w nadgarstkach. Ludzie zaczęli się miotać, podniecenie przekształciło się w panikę. MacReady podniósł broń i zamkniętą przestrzeń ogarnęły płomienie. Zawyły ogarnięte żarem mięso i maszyny.

Obok mnie zgasła narośl Coppera. Świat i tak nie pozwoliłby jej żyć, nie po tak oczywistym zakażeniu. Pozwoliłem powłokom udawać martwe na podłodze, podczas gdy na wyższym poziomie coś, co było mną, rozpadało się, wiło i odtwarzało w miriadach przypadkowych matryc desperacko szukając czegoś ognioodpornego.

* * *

Oni niszczyli samych siebie. Oni.

Niesamowite, zbyt szalone słowo, żeby nadać je światu.

Przez rumowisko coś ku mnie pełźnie: poszarpany, szlamisty fragment, składający się z poczeriałego mięsa i na poły przyswojonej kości. Przyłgnęły do niego tłące się jeszcze iskierki jak jasne, poszukujące czegoś oczy; całość nie ma dość sił, by się z nich otrząsnąć. *To* zawiera zaledwie połowę masy zamkniętej w powłoce Childsa, spora jej część jest już zwęglona i martwa.

To, co zostało z Childsa, prawie uśpione, myśli: *pierdoleniec*, ale to ja jestem nim teraz. Teraz mogę się tak nastroić.

W ostatecznym akcie zespolenia, masa wysuwa ku mnie nibynóżkę. Czuję swój ból.

Byłem Blairem, byłem Copperem, byłem nawet skrawkiem psa, który przeżył tę pierwszą ognistą masakrę i utknął wśród ścian bez żywności i sił do regeneracji. Potem pożarłem niezasymlowane ciała, zjadłem zamiast się z nimi zespolić. Odżywiwszy się i uzupełniwszy stałem się jednością.

A jednak nie do końca i nie całkiem. Niezbyt dobrze to pamiętam – tyle zostało utracone, tyle pamięci przepadło – ale myślę, że sieci odzyskane z różnych powłok pozostały lekko rozszynchronizowane, nawet gdy je połączono w jednym ciele. Przelotnie mignęły mi nawet zniekształcone wspomnienia psa wybuchające w większej jaźni, żarłocznej, wstrząśniętej i zdeterminowanej, by zachować *indywidualność*. Pamiętam gniew i frustrację na świat, które skaziły mnie do tego stopnia, iż zaledwie mogłem się pozbierać. To jednak nie miało znaczenia. Byłem teraz czymś większym, niż Blair, Copper i pies. Byłem olbrzymem mającym do wyboru różne kształty światów, czymś, czemu samotny ostatni człowiek nie mógł sprostać.

Ale ja nie mogłem sprostać dynamitowi, który miał w ręce.

Teraz jestem czymś niewiele większym od ogarniętego bólem kawałka śmierdzącego, osmalonego mięsa. Posiadany przeze mnie rozum rozplątał się w panice. Jestem zbiorem rozproszonych, oddzielnych myśli, wątpliwości i szczątkowych teorii. Jestem spóźnionymi i natychmiast zapomnianymi realizacjami.

Jestem jednak też Childsem i gdy wiatr słabnie przypominam sobie rozważania: *kto kogo asymilował?* Okrywający mnie śnieg taje, a ja wspominam nieprawdopodobny test, który mnie obnażył i ujawnił.

Znajdująca się we mnie narośli też go pamięta. Widzę ostatnie błyski skupionego w niej światła – i ostatecznie, nareszcie kieruje się *do wnętrza*.

Wskazuje na mnie.

Niewyraźnie widzę, co oświetla. *Pasożyt. Monstrum. Zaraza.*

Rzecz.

Jakże mało wie. Wie nawet mniej ode mnie.

Wiem dostatecznie wiele, ty skurwielu. Ty pożerający duszę gównojadzie i gwałcicielu.

Nie wiem, co to znaczy. Jest w tych myślach przemoc i wymuszona penetracja ciała, ale pod nimi kryje się coś jeszcze, czego nie rozumiem. Chcę zapytać – ale wtedy właśnie światło Childsa przygasa i w końcu gaśnie. I teraz wewnątrz nie ma już nic, oprócz mnie, a na zewnątrz są tylko lód, ogień i mrok.

Jestem Childs, a zamieć ustaje.

* * *

W świecie, który nadawał pozbawione większego znaczenia nazwy niezmiennym kawałkom biomasy tylko jeden naprawdę się liczył: MacReady.

MacReady był tym, kto zawsze dowodził. Sam koncept nadal wydaje mi się absurdalny: dowodzić. Czyż ten świat nie widzi szaleństwa hierarchii? Jedna kula w ważny organ i Norweg *umiera*, na zawsze. Jedno uderzenie w głowę i Blair traci świadomość. Centralizacja jest słabością, a jednak ten świat nie jest dość ukontentowany, by budować swe biomasy na

tak kruchych wzorcach i wmusza ten sam model w metasyystemom. MacReady nakazuje, pozostali są posłuszni. To system z wbudowanym wewnątrz śmiertelnym detonatorem zniszczenia.

A jednak mimo wszystko MacReady dowodzi. Nawet po tym, jak świat odkrył dowód, który celowo zostawiłem, nawet po tym, jak doszedł do wniosku, że MacReady był jedną z tych Rzeczy i zamknął go, by zdechł w śnieżnej zamieci, i atakował go ogniem albo toporem, gdy ten przemocą usiłował wywalczyć sobie drogę do wewnątrz. W jakiś sposób MacReady zawsze miał pistolet, miotacz ognia, dynamit i wolę zajęcia całego cholernego obozu, gdyby było trzeba. Clarke był ostatnim, który usiłował go powstrzymać i MacReady przestrzelił mu naróż.

Detonator zniszczenia.

Ale gdy Norris rozpadł się na kawałki, z których każdy instynktownie popęzł ku samodzielnemu życiu, MacReady był tym, który zebrał je ponownie razem.

Kiedy mówił o teście, byłem tak pewien siebie. Związał wszystkie biomasy – związał mnie znacznie bardziej, niż był tego świadom – i gdy mówił, odczułem niemal litość. Zmusił Windowsa, żeby nas ponacinał i pobrał od każdego odrobinę krwi. Podgrzał kawałek metalowego przewodu mówiąc o kawałkach dostatecznie małych, żeby się zdradziły, posiadających instynkt, ale pozbawionych inteligencji i samokontroli. Patrząc na rozproszony Norrisa doszedł do wniosku, że krew ludzi nie zareaguje na dodatkowy żar. Moja, sprowokowana, zerwie więzy.

Oczywiście, że tak pomyślał. Te odrostki zapomniały, że mogą się zmieniać.

Zastanawiałem się, jak świat by zareagował, gdyby każdy kawał zgromadzonej w tym pomieszczeniu biomasy ujawnił się jako istota zmiennokształtna, gdyby mały eksperyment MacReadyego przebił fasadę większego i zmusił te przeciwne naturze fragmenty do stawienia czoła prawdzie. Czy świat by się ocknął z amnezji i ostatecznie przypomniałby sobie, że umie żyć, oddychać i zmieniać się jak wszystko inne? A może rzecz zaszła już za daleko i MacReady spaliłby każdy protestujący, zdradzony przez swoją krew odrostek?

Nie mogłem w to uwierzyć, gdy MacReady wetknął rozżarzony drut w krew Windowsa i nic się nie stało. To jakaś sztuczka, pomyślałem. A potem próbę przeszły krew MacReadyego i Clarkea.

Krew Coppera nie. Gdy igła się w niej pogrzyżyła, zawarta w miseczce krew zadrżała. Nawet gdyby to zauważyli, przypisaliby to drzeniu dłoni MacReady'ego. Myśleli zresztą, że test i tak ma główną wartość. Będąc Childsem powiedziałem nawet to głośno.

Bo przyznanie, że jest inaczej byłoby zbyt zdumiewające i przerażające.

Jako Childs wiedziałem, że jest nadzieja. Krew to nie dusza, mogę kontrolować system motoryczny, ale asymilacja trochę musi potrwać. Krew Coppera była jeszcze dostatecznie surowa, i musiałoby minąć jeszcze kilka godzin, żebym musiał obawiać się tego testu. Childsem byłem jeszcze krócej.

Byłem też Palmerem. Palmerem byłem przez kilka dni. Każda komórka jego biomasy

została już zasymilowana, nie zostało nic z oryginału.

Gdy krew Palmera z wrzaskiem cofnęła się przed igłą MacReadyego, mogłem już tylko wtopić się w tło.

* * *

Mylilem się we wszystkim.

Głód. Eksperyment. Choroby. Błędne były wszystkie moje spekulacje, wszystkie teorie, które wysnułem, żeby wyjaśnić ograniczenia tego wywróconego dnem do góry świata. W głębi duszy byłem pewien, że zdolność do zmiany – do asymilacji – pozostaje stałą wszechświata. Żaden świat nie jest zdolny do ewolucji, jeżeli nie ewoluują komórki, żadna komórka nie ewoluuje, jeżeli nie może się zmienić. To natura wszelkiego życia.

Tak jest wszędzie – ale nie tutaj.

Ten świat nie zapomniał, jak się zmieniać. Nie został wrobiony w odrzucenie zmian. To nie były oszołomione i otepiałe odpadki większej jaźni, przerobione do jakiegoś eksperymentu nie konserwowały energii przeczekując chwilowy niedobór.

To była jedyna opcja, jakiej moja wstrząśnięta dusza do tej pory nie chciała rozważyć. Taka, że owe biomasy nie mogły się zmieniać. Nigdy tego nie potrafiły.

To jedyne wyjaśnienie, dlaczego test MacReady'ego się powiódł.

Pożegnałem się z Blairem, Copperem i samym sobą. Zresetowałem morfologię do lokalnych ustawień pierwotnych. Jestem Childsem, który powraca ze śnieżycy, żeby ostatecznie naprawić wszystkie kawałki. Coś się przede mną porusza – ciemna plama na tle płomieni, jakieś osłabione zwierzę szukające miejsca, żeby się położyć. Gdy się zbliżam, podnosi głowę.

MacReady.

Patrzemy na siebie i zachowujemy dystans. W moim wnętrzu kolonie komórek niepewnie się przekształcają. Czuję, jak moje ciało i organy ponownie się definiują.

– Jesteś jedynym, który przetrwał?

– Nie, nie jedynym.

Mam miotacz ognia. Mam przewagę. MacReady jakby nie zwraca na to uwagi.

Jednak zwraca. Musi. W tym miejscu, tutaj i teraz, tkanki i organy nie są chwilowymi sojusznikami na polu bitwy, są trwałe i z góry określone. Makrostruktury nie pojawiają się wtedy, gdy korzyści ze współpracy przekraczają jej koszty i nie znikają, gdy równowaga przechyla się w drugą stronę; tutaj każda komórka ma swoją niezmienną funkcję. Brak w tym świecie plastyczności, nie ma sposobu adaptacji, każda struktura zastygła w swoim kształcie i miejscu. To nie jest jeden wielki świat, ale mnóstwo maleńkich. Nie są to części czegoś większego, one same są *czymś*. Są *mnogie*.

I to oznacza – jak sądzę – że się zatrzymały. Że trochę grają na zwłokę.

– Childs, gdzie byłeś?

Przypominam sobie słowa z wygaszonych narośli.

– Wydało mi się, że widzę Blaira. Poszedłem po niego. I zgubiłem się w śnieżycy.

Nosiłem te ciała i czułem je od środka. Zbolałe stawy Coppera. Zgięte plecy Blaira. Chore serce Norrisa. Nie są zbudowane, żeby przetrwać. Nie kształtowała ich somatycznie ewolucja, nie było tu zespolenia do odtwarzania biomasy i przeciwstawienia się entropii. Nie powinny nawet istnieć, a istniejąc nie powinny przetrwać.

A jednak próbują. Jakże usilnie próbują. Każda istota tutaj jest chodzącym trupem, i każda walczy jak może, by przetrwać odrobinę dłużej. Każda powłoka walczy tak desperacko, jak ja bym walczył, gdyby owa jedyna była wszystkim, co mógłbym mieć.

MacReady próbuje.

– Gdybyś się o mnie martwił... – zaczynam.

MacReady potrząsa głową i nikło się uśmiecha.

– Nawet gdybyśmy mieli dla siebie jakieś niespodzianki, nie sądzę, żebyśmy byli w stanie coś z tym zrobić.

Ależ jesteśmy. Przynajmniej ja.

Cała planeta światów i ani jeden z nich – ani jeden – nie ma duszy. Kroczą przez swoje istnienia oddzielnie i samotnie, niezdolni do komunikowania się ze sobą poza stęknieniami i przekazywaniem sobie symboli; jakby istotę supernowej czy zachodu słońca można było zamknąć w ciągu jęków, czy wydrapać czarno na białym. Nigdy nie zaznały zespolenia, nie masz przed nimi niczego prócz rozpadu. Paradoks ich biologii jest zdumiewający, owszem, ale pokonuje mnie myśl o daremności ich istnienia.

Byłem tak ślepy, tak pochopnie ich obwiniałem. Przemoc, jakiej doznałem z rąk tych istot nie odzwierciedla większego zła.

One po prostu przywykły do bólu, oślepia je *niemożność* i nie potrafią wyobrazić sobie innej egzystencji. Gdy każdy nerw jest obnażony, oddajesz nawet najłżejsze dotknięcie.

– Co powinniśmy zrobić? – zastanawiam się. Nie mogę uciec w przyszłość, nie teraz, gdy poznałem prawdę o nich. Jakże mógłbym je teraz zostawić ich własnemu losowi?

– A niby czemu mielibyśmy robić cokolwiek? – podsuwa MacReady. – Poczekajmy i zobaczymy, co się stanie.

Ja mogę zrobić znacznie więcej.

To nie będzie łatwe. Nie zrozumieją. Udęczeni, niekompletni nie mogą zrozumieć. Stojąc przed możliwością zespolenia się w większą całość, zobaczą konieczność utracenia mniejszych elementów. Gdy im się ofiaruje zespolenie, zobaczą tylko unicestwienie. Muszę postępować ostrożnie. Muszę wykorzystać niedawno odkrytą umiejętność ukrywania się. Przyjdą tu inne rzeczy i nieważne, czy znajdą żywych czy martwych, istotne jest, by znaleźli sobie podobnych, których zabiorą do domu. Będę się trzymał pozorów. Będę pracował z ukrycia. Uratuję ich od środka albo ich niewyobrażalna samotność nigdy się nie skończy.

Biedne dzikusy nigdy się nie pogodzą ze zbawieniem.
Zbawienie trzeba im wmusić.

Przełożył Patryk Sawicki

Charles Stross

BETONOWA DŻUNGLA

Dla moich Rodziców

Morderczy terkot śmiertelnie rannego telefonu o czwartej nad ranem we wtorek to coś potwornego. Jeszcze gorszy, gdy śpisz snem człowieka, który poprzedniego dnia w spelunie o nazwie Psie Jaja wypił dzbanek margarity z lodem, popijając koktajlem z tequilą i dorzucając nachos na deser. Budzę się, siadam pośrodku drewnianej podłogi. Nie mam na sobie nic. Łapię słuchawkę jedną ręką, drugą chwytając się za głowę, jakbym bał się, że zaraz eksploduje i próbował temu zapobiec, rozumiecie, i cicho jęczę.

– Słucham? – chrypię do mikrofonu.

– Bob, rusz tyłek, za chwilę masz być w biurze. Ta linia nie jest bezpieczna.

Rozpoznaję ten głos. Czasem śni mi się w koszmarach. Pracuję dla jego właściciela.

– Rany, właśnie spałem, szefie. Czy to nie może... – przetykam ślinę i rzucam okiem na budzik – ...poczekać do rana?

– Nie. Ogłaszam alarm błękitny.

– Jezu. Banda demonów tupiąca w mojej czaszce zaczyna bisy z bębnami. Dobrze, szefie. Za dziesięć minut będę gotowy do wyjścia. Rozliczcie mi taksówkę?

– Nie, nie możemy tak długo czekać. Wysyłam po ciebie samochód.

Rozłącza się i dopiero wtedy zaczynam się bać, bo nawet Angleton, który siedzi w kryjówce znajdującej się głęboko w trzewiach działającej w ramach Pralni Sekcji Analizy Arkanów – lecz robi coś o wiele bardziej niebezpiecznego, niż mogłaby to sugerować ta kojąca nazwa – musi zastanowić się dwa razy, zanim wyda zgodę na wysłanie samochodu służbowego, by zabrał gdzieś pracownika pośrodku nocy.

Udaje mi się naciągnąć dzinsy i sweter, zawiązać sznurowadła i zwlec się na dół dokładnie w chwili, gdy przed frontowymi drzwiami pojawia się wirujące niebiesko-

czerwone światło. Po drodze chwytam dyżurną torbę – taką z rzeczami na jeden dzień, Andy zasugerował, że powinienem trzymać coś takiego pod ręką, „na wszelki wypadek” – zatraskuję drzwi i zamykam je na klucz, po czym odwracam się i widzę czekającego na mnie policjanta.

– Pan Bob Howard?

– Tak, to ja – pokazuję mu identyfikator.

– Proszę ze mną.

Szczęściarz ze mnie: budzę się w drodze do pracy, cztery godziny wcześniej niż zwykle, na siedzeniu pasażera w radiowozie z włączonym światłem błyskowym i kierowcą, który robi wszystko, żeby wystraszyć mnie na śmierć. Londyn też ma szczęście: o tej porze, nocą, ulice są prawie puste, mijamy więc zdziczałe taksówki i senne śmieciarki nie zatrzymując się ani na sekundę. Trasę, którą zwykle przejeżdżam w półtorej godziny, pokonujemy w kwadrans. (Oczywiście nic za darmo: Dział Audytu znajduje się w stanie nieustannej wojny o rozliczenia wewnętrzne z resztą służby cywilnej, a policja miejska obciąża nas kosztami swoich usług jak korporacja taksówkowa, na poziomie sugerującym, że podstawiają limuzyny z barkiem. Angleton ogłosił jednak alarm błękitny, więc...).

Obskurny magazyn w bocznej uliczce, przylegający do budynku, który był kiedyś szkołą podstawową, nie wygląda zbyt obiecująco, ale drzwi otwierają się, zanim udaje mi się unieść rękę i zapukać. Z ciemności przede mną wychyla się wyszczerzona, ziemista twarz Freda z księgowości i wzdrygam się, zanim dociera do mnie, że wszystko gra: Fred nie żyje od ponad roku, więc dlatego pracuje na nocnej zmianie. Tym razem jednak nie skończy się to żalonymi prośbami o pomoc w poprawieniu arkusza kalkulacyjnego.

– Fred, muszę zobaczyć się z Angletonem – mówię bardzo wyraźnie, a potem wyszeptuję specjalne hasło, które chroni mnie przed pożarciem przez Freda. Cofa się do swojej budki ochroniarza, trumny, czy jak to zwać, a ja przekraczam próg Pralni. Jest ciemno – oszczędzają na żarówkach, do diabła z przepisami dotyczącymi zdrowia i bezpieczeństwa – ale jakaś życzliwa dusza zostawiła rozpadające się kartonowe pudełko z latarkami na frontowym biurku. Zamykam drzwi za sobą, biorę latarkę i ruszam w kierunku gabinetu Angletona.

Docieram do szczytu schodów i widzę, że w korytarzu, który nazywamy Mahoniowym Rzędem, palą się światła. Jeśli szef zbiera zespół antykryzysowy, właśnie tu go znajdę. Wkraczam więc na terytorium kierownicze i idę, aż dostrzegam drzwi, nad którymi pali się czerwone światelko. Do klamki drzwi przyklejono kartkę z napisem: „BOB HOWARD ZGODA NA WSTĘP”. Korzystam więc ze *zgody na wstęp* i wkraczam prosto do środka.

Gdy tylko otwieram drzwi, Angleton unosi wzrok znad mapy rozłożonej na stole w sali posiedzeń. W pokoju cuchnie stęchłą kawą, tanimi papierosami i strachem.

– Nie spieszyles się za bardzo – oświadcza ostrym tonem.

– Nie spieszylem się? – powtarzam, rzucając moją dyżurną torbę pod gaśnicę i opierając się o drzwi. – Posłuchajcie, Andy, Boris. Szefie, nie wydaje mi się, żeby ten glina podszedł

lekką do sprawy. Gdyby jechał jeszcze szybciej, dostalibyście rachunek za usuwanie brązowych plam z tapicerki. – Ziewam. – Co jest grane?

– Milton Keynes – mówi Andy.

– Wysłałam cię tam na rekonesans – wyjaśnia Boris.

– Z zachowaniem najwyższych środków ostrożności – dodaje Angleton.

– *Milton Keynes?*

W moim wyrazie twarzy musi być coś dziwnego; Andy odwraca się pospiesznie i nalewa mi kubek przydziałowej kawy, a Boris udaje, że to nie jego sprawa. Angleton ma minę, jakby właśnie nadgryzł coś obrzydliwego; to było do przewidzenia.

– Mamy problem – wyjaśnia Angleton, wskazując gestem mapę. – Za dużo betonowych krów.

– Betonowych krów. – Przysuwam sobie krzesło i opadam na nie ciężko. Przecieram oczy. – To mi się przypadkiem nie śni? Nie? Niech to szlag.

Boris obrzuca mnie niechętnym spojrzeniem.

– To nie jest śmieszne. – Patrzy na Angletona i przewraca oczami. – Szeffie?

– To nie jest śmieszne, Bob – mówi Angleton. Jego zwykle wychudzone rysy są jeszcze bardziej ściągnięte i ma ciemne kręgi pod oczami. Wygląda, jakby w ogóle tej nocy nie spał. Angleton rzuca spojrzenie w kierunku Andyego:

– Czy on ma ważne pozwolenie na broń?

– Ćwiczę trzy razy w tygodniu – wtrącam, zanim Andy zacznie streszczać intymne szczegóły z moich akt. – A o co chodzi?

– Idź zaraz z Andym do zbrojowni. Andy, wydaj mu zestaw do samoobrony dla jednej osoby. Bob, strzelaj tylko w ostateczności. – Angleton przesuwając w moim kierunku stos papierów i długopis. – Podpisz na górze i oddaj. Teraz masz zezwolenie na poziomie GRA ANDY POCZERWIENIENIE. Papiery pod spodem są częścią GAP – należy je zawsze mieć przy sobie, aż do chwili powrotu, a potem oddać je w biurze Moraga; w razie zagubienia lub skopiowania trzeba się tłumaczyć przed audytorami.

– Że co?

Najwyraźniej muszę wyglądać dziwnie, bo Angleton przybiera wyraz twarzy tak przerażający, że to musi być uśmiech:

– Przestań gadać, ślina kapie ci na kołnierz. A teraz idź z Andym, sprawdź nasz najnowszy zestaw, każ Andyemu załatwić ci śmigłowiec i przeczytaj te papiery. Kiedy dotrzesz do Milton Keynes, postępuj, jak ci intuicja dyktuje. Jeśli niczego nie znajdziesz, wróć z raportem, a zajmiemy się sprawą tutaj.

– Ale czego mam szukać? – Przełykam kawę jednym haustem; smakuje jak popiół, zgniłe niedopałki i resztkę rozpuszczalnej kawy z puszki, przywieziona spod Moskwy podczas Wielkiego Odwrotu. – Do licha, co takiego mam znaleźć?

– Nic konkretnego – odpowiada Angleton. – Idź już.

– Chodź – mówi Andy otwierając drzwi. – Na razie możesz zostawić papiery tutaj.

Idę za nim korytarzem, a potem ciemną klatką schodową, cztery kondygnacje w dół do piwnicy.

– O co tu, kurwa, chodzi? – dopytuję się, gdy Andy wyciąga klucz i otwiera zamkniętą na stalowe zasuwę bramę na początku zabezpieczonego tunelu.

– To GRA ANDY POCZERWIENIENIE, mały – odpowiada mi przez ramię. Idę za nim do zabezpieczonej strefy i brama zamyka się za mną z hukiem. Kolejny klucz, kolejne stalowe drzwi – tym razem do zewnętrznego przedsionka zbrojowni. – Posłuchaj, nie naciskaj za bardzo na Angletona, on wie co robi. Jeśli pojedziesz tam uprzedzony co do tego, co masz znaleźć, i okaże się, że to rzeczywiście GRA ANDY POCZERWIENIENIE, to już po tobie. Moim zdaniem mamy jakieś 10 procent szans, że tak rzeczywiście jest – ale raczej jest to pewnie figiel jakiegoś pijanego studenta.

Używa jeszcze jednego klucza i jakiegoś tajemnego słowa, którego moje uszy nie chcą rozpoznać, i otwiera wewnętrzne drzwi zbrojowni. Idę za Andym do środka. Na jednej ścianie wisi na stojakach broń, na drugiej są szafki z amunicją, a na wprost znajdują się bardziej ezoteryczne przedmioty. I właśnie tam kieruje się Andy.

– Figiel – powtarzam i ziewam, choć wiem, że nie wypada. – Jezu, jest wpół do piątej rano, a wy wyciągacie mnie z łóżka z powodu studenckiego figla?

– Posłuchaj – Andy zatrzymuje się i zirytowany obrzuca mnie niechętnym spojrzeniem. – Pamiętasz, jak zostałeś zwerbowany? Wtedy to mnie wyciągnięto z łóżka o czwartej rano z powodu studenckiego figla.

– No tak – odpowiadam, bo nic innego nie przychodzi mi do głowy. Mogłem powiedzieć „przepraszam”, ale nie wydaje mi się to najlepszym pomysłem; jak mi później wyjaśniono, demonologia obliczeniowa i obszar zabudowany to nie jest najszcześniejsze połączenie. *Mnie* się wydawało, że tylko generuję nowe, dziwaczne fraktale; *oni* wiedzieli, że byłem niebezpiecznie blisko przerobienia architektury Wolverhampton na niezemiński koszmar. – A jakich studentów masz na myśli? – pytam.

– Architektury albo alchemii.

– Przebijam, fizyki jądrowej.

Jeszcze jedno hasło i Andy otwiera przesuwne szklane drzwi chroniące jakieś makabryczne relikwie, które aż pulsują energią.

– Chodź. Które chcesz?

– Chyba wezmę ten, dzięki.

Sięgam do środka i ostrożnie zdejmuję srebrny medalion na łańcuszku; przyczepiono do niego etykietę z żółto-czarnym symbolem ostrzegającym przed magią i wstążki z napisem „NIE CIĄGNAĆ”.

– Dobry wybór. – Andy patrzy w milczeniu, jak dodaję do tej kolekcji Dłoń Chwały, a potem jeszcze jeden amulet ochronny. – To wszystko? – pyta.

– Wszystko – potwierdzam, a on kiwa głową i zamyka szafkę, a potem umieszcza na niej nową pieczęć.

– Na pewno? – dopytuje się.

Przyglądam mu się. Andy to facet drobnej budowy; ma jakieś czterdzieści lat, cienkie, słabe włosy, nosi sportową kraciastą marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach i ma wiecznie zatroskany wyraz twarzy. Przyglądając mu się można by pomyśleć, że jest wykładowcą Otwartego Uniwersytetu, a nie agentem z kierowniczego szczebla wydziału aktywnych służb Pralni. Ale z nimi wszystkimi tak jest, prawda? Angleton wygląda raczej jak cierpiący na gruźlicę dyrektor teksańskiej firmy naftowej niż legendarny i budzący przerażenie szef jednostki ds. zapobiegania opętaniu. A ja wyglądam prędzej na uciekiniera z CodeCon albo działu innowacji technicznej jakiejś firmy internetowej. Co sprowadza się do tego, że pozory nie są warte funta kłaków.

– Jak ten alarm błękitny twoim zdaniem wygląda? – pytam.

Wzdycha znużony i ziewa.

– Do licha, to zaraźliwe – mruczy. – Posłuchaj, jeśli ci powiem, jak to z mojej strony wygląda, Angleton przerobi moją głowę na gałkę do drzwi. Powiem ci więc tylko tyle: przeczytaj te materiały po drodze, dobrze? Miej oczy szeroko otwarte, policz betonowe krowy i wróć cało.

– Policz krowy. Wróć cało. Tak jest. – Podpisuję dokument podetknięty na podkładce z klipsem, biorę mój arsenał, a on otwiera drzwi zbrojowni. – Jak mam się tam dostać?

Twarz Andy'ego wykrzywia się w uśmiešku.

– Policynym helikopterem. To alarm błękitny, nie pamiętasz?

* * *

Wracam do sali posiedzeń, biorę papiery i już opuszczam budynek frontowymi drzwiami; czeka na mnie ten sam radiowóz. Znowu jazda grożąca brązowymi plamami na spodniach – tym razem ruch jest nieco intensywniejszy, do świtu zostało już tylko półtorej godziny – i docieramy do północno-wschodnich przedmieść, drogami prowadzącymi do Lippitts Hill, gdzie stacjonują śmigłowce jednostki wsparcia powietrznego policji. Nie marnujemy czasu na żadne odprawy ani sale wylotów; podjeżdżamy prosto do bramy z jednej strony kompleksu, pokazujemy identyfikatory i mój szofer podwozi mnie na lądowisko helikopterów, parkuje przy samej sali odpraw i zanim dotrze do mnie, co się dzieje, przekazuje mnie w ręce załogi.

– Bob Howard? – pyta drugi pilot. – Proszę tutaj – pomaga mi wskoczyć na tylny fotel Twin Squirrel, przypina mnie pasem, wręcza mi wielkie słuchawki i podłącza je. – Będziemy tam za pół godziny. – Niech pan się odpręży i spróbuje się trochę przespać. – Uśmiecha się sardonicznie, a potem zamyka drzwi i siada na przednim fotelu.

Zabawne. Nigdy dotąd nie leciałem helikopterem. Nie jest aż tak głośno, jak

przypuszczałem, zwłaszcza ze słuchawkami na głowie, ale poza tym się nie myliłem: to przypomina toczenie się ze szczytu wzgórza w beczce po ropie, z wariatami, którzy walą kijami baseballowymi w ścianki beczki; nie wiem, czy to dobry opis. „Trochę się przespać”, jasne; przecież muszę zapoznać się dokładnie z „tak bardzo tajnymi” raportami na temat projektu GRA ANDY POCZERWIENIENIE i spróbować się nie porzygać, gdy krajobraz Londynu przed świtem zaczyna się kręcić za wielką szybą, a potem przetaczać pod nami.

RAPORT 1: niedziela, 14 września 1892 r.

KLASYFIKACJA: TAJNE, Imperialne Ministerstwo Wojny, 11 września 1914 r.

ZMIANA KLASYFIKACJI: ŚCIŚLETAJNE, GRA ANDY, Ministerstwo Wojny, 2 lipca 1940 r.

ZMIANA KLASYFIKACJI: ŚCIŚLE TAJNE, POCZERWIENIENIE, Ministerstwo Obrony, 13 sierpnia 1988 r.

1/2

#

Moja najdroższa Nellie!

Muszę Ci wyznać, że w ciągu tego tygodnia, jaki minął od mojego ostatniego listu, stałem się zupełnie innym człowiekiem. Wydarzenia, będące tak ciężką próbą – jakich właśnie byłem świadkiem – mają miejsce najwyżej raz w życiu; gdyby bowiem zdarzały się częściej, jakże człowiek mógłby je przeżyć? Spojrzałem na gorgonę i przeżyłem, by dać świadectwo, i z tego powodu odczuwam nieopisaną wdzięczność (i pospieszę z wyjaśnieniami, zanim zaczniesz się niepokoić o moje bezpieczeństwo), choć tylko interwencji ręki jakiegoś anioła stróża zawdzięczam to, że mogę przelewać te słowa na papier.

W zeszły wtorek spożywałem właśnie kolację z Mehtarem – pan Robertson nie czuł się dobrze, a porucznik Bruce wyruszył do Gilgutu po zapasy na swoją tajną ekspedycję do Lhasy, kiedy w najbrutalniejszy sposób przerwano nam posiłek.

– Wasza świątobliwość! – Gонец, który ledwo dyszał ze strachu, padł przed nami na kolana. – Wasz brat...! Błagam, proszę o pośpiech!

Jego wysokość Nizam ul Mulk spojrzał na mnie z charakterystycznym groźnym wyrazem twarzy: nie przepada za brutalnym nieokrzesanцем, jakim jest jego brat, i ma ku temu słuszne powody. Mehtar jest człowiekiem wykształconym, choć może o wątpliwej wrażliwości, zaś jego brat to ciemny i nieokrzesany człowiek gór, niewiele lepszy od zbira. W Chitralu na pewno nie będą za nim tęsknić.

– Cóż się stało memu ukochanemu bratu? – spytał ul Mulk.

W tym momencie gонец zaczął wyrzucać z siebie słowa tak szybko, że ledwo mogłem

cokolwiek zrozumieć. Mehtar cierpliwie go wypytywał, po czym zmarszczył czoło.

– Mamy tu... – powiedział, zwracając się do mnie – ...proszę wybaczyć, nie znam angielskiego słowa. To potwór, który żyje w jaskiniach i poluje na moich ludzi. Mój brat chciał go upolować, ale wygląda na to, że stworzenie go pokonało.

– Lew górski? – spytałem, błędnie go zrozumiawszy.

– Nie – spojrzał na mnie dziwnie. – Chciałem o coś zapytać, kapitanie: czy rząd Jej Wysokości pozwala na istnienie potworów na terytorium jej imperium?

– Oczywiście, że nie!

– W takim razie zapewne chętnie weźmie pan udział w polowaniu?

Odniosłem wrażenie, jakby zatrząskiwiała się nade mną jakaś pułapka, ale absolutnie nie byłem w stanie wymyślić, o co może chodzić.

– Z przyjemnością – odparłem. – Na Jowisza, do końca tygodnia Wasza Wysokość będzie miał głowę tego potwora na ścianie w komnacie z trofeami!

– Nie przypuszczam – odparł Nizam chłodnym tonem. – Tutaj takie rzecz palimy, by wypędzić złe duchy, z których się zrodziły. W takim razie jutro? Proszę przynieść *lustro*.

– Mój... – w tej chwili zrozumiałem, o czym on mówi i w jakim śmiertelnym niebezpieczeństwie znalazło się moje życie, a wszystko to, by bronić honoru rządu Jej Wysokości w Chitralu: on miał na myśli meduzę. I choć może to reakcja niegodna mężczyzny, bałem się.

#

Następnego dnia wstałem o świcie w mojej ciasnej chatce bez okien i włożyłem odzież odpowiednią na polowanie. Wziąłem broń, po czym powiedziałem sierżantowi Singhowi, żeby przygotował oddział kawalerzystów do polowania.

– A co ma być zwierzyną, sahibie? – spytał.

– Bestia, której żaden człowiek nie może zobaczyć – odparłem, a zwykle niewzruszony kawalerzysta wzdrygnął się.

– Ludziom się to nie spodoba, sir – rzekł.

– Jeśli usłyszę od nich choć słowo, to nie spodoba im się jeszcze bardziej – ostrzegłem. Z wojskami w koloniach trzeba postępować stanowczo; cała ich dyscyplina zależy od oficera, który nimi dowodzi.

– Przekażę im to, sahibie – odparł, zaszalutował i ruszył, by przygotować oddział.

Ludzie Mehtara zebrali się na zewnątrz; niezorganizowana zgraja ludzi gór, uzbrojonych – jak można było się tego spodziewać – w strzelby skałkowe i łuki. Byli podekscytowani i ożywieni jak dzieci; cały czas się kłócili. Zupełnie nie przypominali moich zdyscyplinowanych kawalerzystów czy mnie. Ale pokazaliśmy, jak to powinno wyglądać! Z Mehtarem, który miał na ramieniu pustułkę, na czele, ruszyliśmy stromą doliną górską w chłodny, słoneczny świt.

Jechaliśmy cały ranek i większość popołudnia, wspinając się po zboczu stromej przełęczy, a potem między dwoma górującymi nad okolicą szczytami pokrytymi połyskującym białym śniegiem. Cała grupa zachowywała się niezwykle cicho, jakby zwykle tryskających energią wojowników Chitrali ogarnął jakiś dziwny niepokój. Wreszcie dotarliśmy do nędznie wyglądającego przysiółka złożonego z walących się szop, gdzie stado wychudzonych kóz żuło gałązki karłowatych krzewinek; zarządca wioski wyszedł, by nas powitać i drżącym głosem poinformował, w którym kierunku mamy się udać.

– To jest gdzieś tam – powiedział mój tłumacz i dodał: – Stary dureń, mówi, że to dolina opętana przez duchy, na Boga! Mówi, że jego syn tam poszedł jakieś dwa albo trzy dni temu i nie wrócił. I wtedy brat Mehtara – niech będzie błogosławiony – poszedł tam z żołnierzami. I to było dwa dni temu.

– Hm. No cóż – powiedziałem – powiedzmy, że wielka biała cesarzowa przysłała mnie tu razem z tym wspaniałym oddziałem wojska, samym Mehtarem i jego szlachetnymi wojownikami, i *my* nie zamierzamy paść ofiarą żadnego potwora!

Tłumacz przez chwilę trajkotał z zarządcą i zrobił przerażoną minę. Nizam skinął na mnie.

– Bez obaw, kapitanie – rzekł.

– Jak sobie wasza wysokość życzy.

Ruszył do przodu, dając mi gestem znak, bym jechał za nim. Poczulem, że powinienem coś wyjaśnić.

– Jednej gorgony chyba dla nas nie starczy. I chyba nas dla niej nie starczy!

– Nie to mnie martwi – odparł władca małego górskiego królestwa. – Ale nie przejmuj się pan zarządcą. Potwór był jego żoną.

Resztę drogi przejechaliśmy w pełnej namysłu ciszy, aż dotarliśmy do doliny, gdzie potwór uwił leże; słychać było tylko westchnienie wiatru, postukiwanie kopyt i pobrząkiwanie naszego uzbrojenia.

– W połowie wysokości tej ściany jest jaskinia – oznajmił goniec, który nas wezwał. – Ona tam żyje, czasem tylko wychodzi, żeby się napić albo zapolować na coś do jedzenia. Wieśniacy dawniej zostawiali jej jedzenie, ale raz w szaleństwie zabiła jednego z nich i przestali.

Do tak tragicznych zaniedbań nie dochodzi w Anglii, gdzie biedne ofiary najbardziej odrażających schorzeń są w chwili diagnozy zamykane w zakładach dla obłąkanych i tam żyją w ciemności, chyba że zabiją tych, którzy ich pielęgnują. Czego jednak można oczekiwać od nie do końca cywilizowanych dzieci górskiego królestwa, na samym dachu świata?

Egzekucja – z braku lepszego słowa – przebiegała tak, jak zwykle tego rodzaju wydarzenia; wystarczy, iż powiem, że było to okropne i nie było ani trochę przyjemne jak polowanie na zwierzynę. Zatrzymaliśmy się u wylotu małej dolinki, gdzie kobieta uwiła swe

gniazdo. Dałem sierżantowi Singhowi znak, by szykowali się do strzału; załadowali strzelby i zajęły pozycje przy skałach, gotowi cofnąć cię, gdyby potwór się na nas rzucił.

Wydawszy oddziałowi rozkaz zajęcia pozycji zsiadłem z konia i dołączyłem do Mehtara, przygotowując się na wkroczenie do doliny śmierci.

Jestem pewien, że czytałaś jakieś straszliwe opowieści, w których pojawiają się gorgony. Kostnice usiane rozsypującymi się zwłokami, kości wyrastające ze ścian w agonii, szaleńcy, którzy mordują wszystkich dookoła, bełkocząc, a potem wyją nad ciałami swych ofiar. Z radością mogę stwierdzić, że opowieści te są utkane z tej samej materii gorączkowych imaginacji zdegenerowanych pisarzy, którzy piszą do czasopism za pensja. To, co znaleźliśmy, było zarazem o wiele mniej, a zarazem bardziej straszne.

Znaleźliśmy dolinę zasypaną kamieniami. Z jednej strony była tam jaskinia, ledwo zagłębienie w kamiennej ścianie, z opadającą zasłoną rozciągniętą w poprzek wejścia. Pod zasłoną siedziała stara kobieta. Miała zamknięte oczy i nuciła cicho jakąś dziwną melodię. Przed nią leżał popiół z ogniska, kłody wypalone tak, że zmieniły się w biały popiół. Kobieta chyba płakała, łzy ciekły po jej zapadniętych, pomarszczonych policzkach.

Mehtar nakazał nam gestem milczenie, po czym – jak później zrozumiałem, był to wyjątkowo odważny gest – podszedł do pozostałości ogniska.

– Dobry wieczór, ciotko. Czy byłabyś tak dobra i nie otwierała oczu, w przeciwnym razie moje strażę będą zmuszone zabić cię w ciągu sekundy? – rzekł.

Kobieta nie przestawała zawodzić; pieśń przypominała jęk żalu wydawany przez kogoś, kto krzyczał, aż ochryplł i nie jest w stanie wydawać dźwięku. Posłusznie nie otwierała jednak oczu. Mehtar przykucnął przed nią.

– Czy wiesz, kim jestem? – spytał łagodnym tonem.

Kobieta umilkła.

– Jesteś z królewskiego rodu – odparła zachrypniętym szeptem. – Powiedzieli mi, że przyjdiesz.

– I istotnie przyszedłem – powiedział, a w jego głosie pojawiła się nuta współczucia. Machnął dłonią, bym podszedł bliżej. – To bardzo smutne, co się z tobą stało.

– To boli. – Znow zaczęła cicho jęczeć i wystraszyła jednego z żołnierzy tak, że nieomal poderwał się na równe nogi. Dałem mu znak, by natychmiast się cofnął, a ja zbliżyłem się do niej od tyłu. – Chciałam jeszcze raz zobaczyć mojego syna...

– Wszystko będzie dobrze, ciotko – rzekł cicho. – Niedługo go zobaczysz. – Wyciągnął do mnie rękę. Podałem mu skórzaną torbę, a on wyjął z niej lustro. – Spokojnie, ciotko. Spojrzenie przyniesie ci koniec bólu.

Wyciągnął lustro na długość ramienia przed jej twarzą, nad popiołem z ogniska.

– Otwórz oczy, jak będziesz gotowa.

Zaszlochała krótko, po czym otworzyła oczy.

Nie wiedziałem, czego się spodziewać, droga Nellie, ale nie było to nic takiego: czyjaś

niemłoda matka, uciekająca z domu, by umrzeć z powodu przeszywającego bólu głowy, otoczona cierpieniem i tajemnicą. Tak naprawdę władca oszczędził jej ostatniego bólu; gdy tylko spojrziała w lustro, zmieniła się. Historia głosi, że ci, którzy na nią spojrzeli, umierali z powodu jej brzydoty, nie jest prawdziwa; była po prostu starą kobietą. W jej spojrzeniu było jednak coś demonicznego, coś, co miało związek z aktem postrzegania.

Gdy tylko otworzyła oczy – a przez sekundę zobaczyłem, że są jasnoblękitne – zmieniła się. Jej skóra napęczniała, a włosy rozsypały się w proch, jakby owiało ją straszliwe gorąco. Poczulem, że piecze mnie skóra, jakbym przystawił twarz do otwartych drzwi pieca. Czy wyobrażasz sobie, jak to jest, gdy w ciągu ułamka sekundy ciało ulega ogrzaniu ciepłem wielkiego pieca? Właśnie czegoś takiego doznałem. Nie będę opisywał szczegółowo mego przerażenia, gdyż nie jest ono dobrym materiałem do dyskusji. Kiedy fala żaru przeszła, jej ciało upadło na popioły i rozsypało się, jakby ktoś rzucił zwapniałe kłody między węgielki.

Mehtar wyprostował się i potarł czoło.

– Wezwij swych ludzi, kapitanie – rzekł. – Trzeba usypać tu kopiec.

– Kopiec? – powtórzyłem w osłupieniu.

– Dla mojego brata – wskazał niecierpliwym gestem popiół, w który upadła nieszczęsna kobieta. – A jak myślisz, co to mogło być?

Usypaliśmy kopiec i rozbiliśmy w wiosce obóz na noc. Muszę wyznać, że i Mehtar, i ja ciężko potem zachorowaliśmy; choroba ogarnęła nas z niespotykaną gwałtownością. Nasi ludzie zanieśli nas do domu i właśnie tu, leżąc w łożu, opisuję jeden z najgorszych incydentów, jakie przytrafiły mi się na pograniczu.

Pozostaję Twym oddanym i kochającym sługą,
Kapitan Francis Younghusband

* * *

Kończę czytać maszynopis z opowieścią kapitana Younghusbanda i w moich uszach rozlega się paskudne trzeszczenie i bzyczenie.

– Panie Howard, za parę minut będziemy nad Milton Keynes. Gdzie mamy usiąść? Jeśli nie ma pan jakichś konkretnych pomysłów, poproszę o zgodę na lądowanie na policyjnym lądowisku.

Konkretne pomysły...? Upycham te, z jakiegoś nieznanego powodu ściśle tajne, papiery w bocznej kieszeni torby i grzebię w gadżetach, które zabrałem ze zbrojowni.

– Betonowe krowy – mówię. – Muszę jak najszybciej rzucić na nie okiem. Jeśli wierzyć mapie, znajdują się w Bancroft Park. Niedaleko Monks Way, wystarczy lecieć nad A422, aż skręci w H3 blisko centrum miasta. Moglibyśmy nad nimi przelecieć?

– Proszę sekundę poczekać.

Śmigłowiec przechyla się niepokojąco i to samo dzieje się z krajobrazem dookoła nas.

Pędzimy nad nocnym krajobrazem: drzewa, schłodne pola, czasem jakiś przebłysk podmiejskiego rajku – to wszystko szybko przemyka pod nami. Po chwili zbliżamy się do dwupasmowej drogi, która o tej porze jest prawie pusta. Znow się przechylamy i lecimy nad nią. Z wysokości jakichś stu metrów wygląda jak niesamowicie delikatna zabawka, z pełzającymi po niej ciężarówkami wielkości palca.

– To jest tam – mówi drugi pilot. – Coś jeszcze możemy dla pana zrobić?

– Tak – mówię. – Macie tu noktowizor, prawda? Szukam dodatkowej krowy. Gorącej. To znaczy, gorącej w sensie ugotowanej, nie o podwyższonej temperaturze ciała.

– Kapuję, szukamy grilla. – Pochyliła się na bok i grzebie przy kontrolkach pod śmiesznie wyglądającym monitorem. – Proszę. Używał pan kiedyś czegoś takiego?

– Co to jest, kamera termowizyjna?

– Między innymi. Ten drążek to sterowanie, to pokrętko to zbliżenie; tym się zmienia wzmocnienie. Jest na ustabilizowanej platformie. Jeśli coś pan zobaczy, proszę krzyknąć. Jasne?

– Chyba tak.

Drążek działa zgodnie z opisem i oglądam zbliżenie smugi widmowych gorących plam; przesuwam obraz dalej, by obejrzeć piękną, oślepiającą plamę jakiegoś nocnego biegacza; świeci jak zapalona żarówka. Kropki wyznaczają blednące odciski stóp na zimnym gruncie. *Taaak*. Lecimy wzdłuż drogi jakieś czterdzieści mil na godzinę, podkradając się jak złodziej nocą. Robię odjazd kamerą, by objąć jak największy fragment obrazu. Po jakiejś minucie widzę przed nami park, obok ronda.

– Uwaga, tam z przodu. Możemy zawisnąć nad tym rondem?

– Jasne. Proszę się czegoś złapać.

Ton, jaki wydaje silnik, zmienia się, i czuję ucisk w żołądku, ale kamera termowizyjna nie gubi celu. Teraz widzę krowy: szare kształty na zimnym gruncie – stado betonowych zwierząt stworzone w 1978 r. przez przyjezdnego artystę. Powinno być ich osiem, naturalnej wielkości sztuki bydła fryzyjskiego spokojnie pasące się na przylegającym do parku polu. Ale *coś* tu nie gra, tylko nie mogę dostrzec, co.

– Grill w dole na szóstej – informuje drugi pilot. – Siadamy i bierzemy żarcie na wynos, czy jak?

– Nie, nie siadamy – odpowiadam nerwowo, obracając na wszystkie strony obiektywem kamery. – Najpierw muszę sprawdzić, czy to jest bezpieczne...

RAPORT 2: środa, 4 marca, 1914 r.

KLASYFIKACJA: TAJNE, Imperialne Ministerstwo Wojny, 11 września 1914 r.

ZMIANA KLASYFIKACJI: ŚCIŚLE TAJNE, GRA ANDY, Ministerstwo Wojny, 2 lipca 1940 r.

ZMIANA KLASYFIKACJI: ŚCIŚLE TAJNE, POCZERWIENIENIE,
Ministerstwo Obrony, 13 sierpnia 1988 r.
1/2

#

Drogi Albercie!

Wczoraj przeprowadziliśmy doświadczenie Younga z dwoma szczelinami na obiekcie C, meduzie. Wyniki są jednoznaczne: efekt meduzy ma charakter zarówno korpuskularny, jak i falowy. Jeśli de Broglie się nie myli...

Ale chyba wyprzedzam fakty.

Ernest naciska na wyniki z charakterystycznym dla niego zapalem i wigorem, zaś Mathiesson, nasz chemik analityk, został doprowadzony do ostateczności pytaniami Nowozelandczyka. O mało się nie pobił z doktorem Jamiesonem, który upierał się, że dobro jego pacjenta – jak nazywa obiekt C – musi być przedkładane ponad dotarcie do sedna sprawy tej nadzwyczajnie irytującej i zdumiewającej anomalii.

Obiekt C jest niezamężną kobietą w wieku 27 lat, średniego wzrostu, o brązowych włosach i niebieskich oczach. Jeszcze cztery miesiące temu była zdrowa i pracowała jako pokojówka w rezydencji szacownego kawalera KCMG*, którego nazwisko pewnie jest Ci znane. Cztery miesiące temu doznała serii ataków. Ponieważ jej pracodawcy to hojni ludzie, zabrano ją do Szpitala Królewskiego, gdzie ustalono, że cierpi na bóle głowy tak silne, że nieomal oślepiające, i zaczęły się osiemnaście miesięcy wcześniej. Doktor Willard zbadał ją za pomocą jednej z najnowszych maszyn Roentgena i ustalił, że najwyraźniej cierpi ona na guza mózgu w początkowym stadium. Oczywiście pojawiła się konieczność zgłoszenia tego przypadku, zgodnie z ustawą o kontroli monstrów z 1864 r.; została umieszczona na oddziale zamkniętym zakładu św. Bartłomieja w Londynie, gdzie doznała pierwszego poważnego ataku, który poprzedziło – w ciągu trzech tygodni – sześć ataków migreny i dwa mniej poważne ataki drgawek. Po uzyskaniu potwierdzenia, że cierpi ona na ostry gorgonizm, doktor Rutherford poprosił mnie o przeprowadzenie procedury zgodnie z ustaleniami, nawiązałem więc kontakt z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych za pośrednictwem dziekana.

Choć doktor McKenna początkowo nie wykazywał entuzjazmu, mając w perspektywie gorgonę biegającą po ulicach Manchesteru, w końcu przyjął nasze zapewnienia i obiekt C został oddany pod naszą opiekę za jej zgodą. Kiedy ją przywieziono, była – co zrozumiałe – bardzo przerażona, gdy jednak wyjaśniliśmy jej dokładnie sytuację, zgodziła się całkowicie z nami współpracować w zamian za przekazanie pewnej kwoty bliskiej jej osobie. Ponieważ jest młoda i zdrowa, w obecnym stanie może przeżyć kilka miesięcy, a nawet rok: to stwarza niezrównane możliwości naukowe. W tej chwili trzymamy ją w starym leprozorium, w

* Wszystkie wyjaśnienia skrótów na końcu noweli (przyp. red.).

którym zamurowaliśmy okna. Zbudowano tam labirynt zabezpieczający, a mur ogrodu podniesiono o pięć stóp, by mogła zaczerpnąć świeżego powietrza nie stanowiąc zagrożenia dla przechodniów, wprowadziliśmy też system sygnałów umożliwiający jej zakładanie nieprzepuszczającej opaski na oczy, zanim ktoś do niej wejdzie. Doświadczenia na pacjentach z ostrym gorgonizmem zawsze wiążą się z pewnym niebezpieczeństwem, tuszę jednak, iż w tym przypadku nasze środki ostrożności wystarczą do chwili, aż zacznie się pogorszenie zwiastujące koniec.

Gdybyś chciał zapytać, czemu nie używamy pospolitego bazyliuszka albo kuroliszka, śpieszę wyjaśnić, że tak też robimy; patologia jest identyczna u wszystkich gatunków, ale ludzkie źródło łatwiej opanować niż jakiegokolwiek dzikie zwierzę. Korzystając z obiektu C możemy wykonywać powtarzalne doświadczenia, kiedy tylko chcemy, i uzyskujemy potwierdzenie słowne, że wykonuje nasze polecenia. Zapewne nie muszę Ci przypominać, że zastosowania gorgonizmu w przeszłości, na przykład przez Komitet Ocalenia Publicznego Dantona podczas rewolucji francuskiej, raczej nie były dotąd przedmiotem badań naukowych. Tym razem mamy szansę na osiągnięcie postępów!

Kiedy obiekt C przyzwyczał się do nowego miejsca, doktor Rutherford zorganizował serię seminariów. Nowozelandczyk jest zdania, że na ten efekt prawdopodobnie ma wpływ jakieś zjawisko elektromagnetyczne, nieznane dotąd innym dyscyplinom nauki. Nieustannie zabiega o nowe eksperymenty, których celem jest zbadanie zakresu i natury efektu gorgony. Z historii makabrycznej współpracy mademoiselle Marianny z Robespierrem wiemy, że ofiara musi być widoczna dla bestii, ale gorgona nie musi na nią bezpośrednio patrzeć; wystarczy odbicie, podobnie jak zwykle załamanie, a efekt występuje przez szkło na tyle cienkie, że da się przez nie widzieć, ale gorgona nie widzi w ciemności ani w gęstym dymie. Nikt dotąd nie przedstawił mechanizmu fizycznego gorgonizmu innego niż związany z nieszczęsnymi stworzeniami dotkniętymi charakterystycznymi guzami. Oślepienie gorgony pozwala kontrolować to zjawisko, podobnie jak wywołanie wystarczająco poważnych zaburzeń wzroku. Dlaczego jednak Ernest upiera się, by traktować wyraźnie biologiczne zjawisko jako jedną z największych tajemnic współczesnej fizyki?

„Drogi kolego”, wyjaśnił mi, kiedy po raz pierwszy o to spytałem, „w jaki sposób madame Curie wysnuła wniosek o radioaktywności rud zawierających rad? Jak Wilhelm Roentgen rozpoznał, czym są promienie X? Żadna z tych form promieniowania nie mieściła się w naszym ówczesnym pojmowaniu magnetyzmu, elektryczności czy światła. Musiały być czymś odmiennym. Nasze dzieci meduzy najwyraźniej muszą ujrzeć ofiarę, by ją zranić – ale czy ten efekt jest przenoszony? W przeciwieństwie do starożytnych Greków wiemy, że nasze oczy działają skupiając światło widzialne na błonie znajdującej się w ich tylnej części. Oni uważali, że gorgony wysyłają wiązkę ognia, jakby to miało zamienić w kamień podpaloną w ten sposób istotę. My jednak wiemy, że to nie może być prawda. I stajemy w obliczu całkowicie nowego zjawiska. Można założyć, że efekt gorgony zmienia wyłącznie to, co

meduzoid widzi bezpośrednio, ale wiemy, że światło odbite od tych ciał nie jest odpowiedzialne za ten efekt.

I kalorymetryczne eksperymenty Lavoisiera – nim spotkał go smutny koniec przez zwierciadłem *l'Executrice* – wykazały, że mamy do czynienia z przemianą pierwiastków! Co więc, u licha, jest przyczyną tego efektu? Jak akt obserwacji, dokonany przez nieszczęsną istotę dotkniętą gorgonizmem, może przekształcać strukturę atomu?”.

(Mówiąc o strukturze atomowej oczywiście ma na myśli budowę jądra atomowego, odkrytą podczas naszych zeszłorocznych eksperymentów).

Następnie wyjaśnił, jak zamierza usadowić gorgonę przy bardzo dużym urządzeniu, które nazywa komorą dyfuzyjną, z wielkimi cewkami magnetycznymi umieszczonymi nad nią i pod nią, by zobaczyć, czy nie występują inne zjawiska fizyczne.

Nie mogę teraz ujawnić wyników eksperymentu naszej grupy. Obiekt C współpracuje w wyjątkowo profesjonalny sposób, lecz mimo wzmorzonych wysiłków Ernesta, eksperymenty w komorze dyfuzyjnej nie przyniosły żadnych rezultatów – pacjentka może siedzieć z twarzą przyciśniętą do szyby z jednej strony i zamienić umieszczone na stojaku z drugiej strony kurze jajko w obłoczek rozżarzonego pumeksu, ale w nasycionej parze w komorze nie pojawia się ślad jonizacyjny. Czy raczej powiedziałbym, że nie pojawia się żaden wyraźny ślad. Większe sukcesy odnotowaliśmy przy próbach powtarzania innych podstawowych eksperymentów. Wygląda na to, że efekt gorgony jest ciągłą funkcją oświetlenia celu, z wyraźnie zdefiniowaną dolną i górną granicą! Dzięki zastosowaniu filtrów ze szkła dymnego udało nam się dość precyzyjnie skalibrować wydajność, z którą obiekt C przekształca jądra węgla w jądra krzemu. Niektóre z nowych liczników elektrostatycznych, nad którymi pracuję, okazały się przydatne: cel wydziela promieniowanie wtórne, w tym promieniowanie gamma, i prawdopodobnie jakieś nieuchwytnie cząstki obojętne, a dzięki naszej komorze dyfuzyjnej udało się uzyskać doskonały obraz promieniowania wydzielanego przez cel.

Potwierdziwszy kalorymetryczne i optyczne właściwości zjawiska, przeprowadziliśmy doświadczenie Younga z dwoma szczelinami, używając kilku celów (w tym przypadku drewnianych grzebieni). Między cele a nasz obiekt wstawiliśmy ścianę z dwoma cienkimi szczelinami i rozszczepiliśmy spojrzenie obiektu za pomocą pryzmatów w układzie stereoskopowym. Cele zostały oświetlone lampą umieszczoną między dwoma szczelinami, po przeciwnej stronie ściany w stosunku do naszego obiektu: gdy zwiększaliśmy poziom oświetlenia, powstała struktura gorgonizmu naprzemiennego! Wygląda to dokładnie tak, jak wygaszanie i wzmacnianie fal pokazane przez profesora Younga na przykładzie cząstek światła, jak teraz mamy je nazywać. Doszliśmy do wniosku, że gorgonizm jest pewnego rodzaju zjawiskiem falowym – i akt obserwacji ściśle się z nim wiąże, choć na pierwszy rzut oka wniosek ten jest tak dziwny, że niektórzy z nas z góry go odrzucili.

Oczywiście w stosownym czasie opublikujemy pełne wnioski z naszych odkryć; z przyjemnością załączam wstępną wersję naszego artykułu, gdyby temat ten Cię

zainteresował. Tak czy inaczej, na pewno w tej chwili już zastanawiasz się, jakie jest nasze najważniejsze odkrycie. Nie znalazło się ono w artykule, gdyż doktor Rutherford woli raczej poszukać jakiegoś możliwego wyjaśnienia przed publikacją; z przykrością muszę jednak stwierdzić, że nasze najbardziej precyzyjne analizy kalorymetryczne sugerują, iż Twa zasada zachowania masy i energii została tu naruszona – nie są to ilości rzędu uncji, ale na tyle duże, że dają się wykryć. Atomy węgla zostają przekształcone w jony krzemu o zdumiewająco dużym dodatnim ładunku elektrycznym, co wydaje się zrozumiałe, gdyby założyć, że zjawisko jakoś wytwarza masę jądrową. Może Ty lub ktoś z twych kolegów z Pruskiej Akademii Nauk bylibyście w stanie jakoś pomóc nam w wyjaśnieniu tego problemu? Jesteśmy skonsternowani, gdyż jeśli zaakceptujemy ten wynik, będziemy zmuszeni do zaakceptowania także utworzenia nowej masy *ab initio* lub potraktowania go jako eksperymentalnego obalenia Twojej ogólnej teorii względności.

Twój oddany przyjaciel,
Hans Geiger

* * *

Portret agenta jako młodego, zdezorientowanego człowieka: wyobraźcie sobie, jak stoję w porannym chłodzie, na rzadko koszonym polu, po kostki w żółkniejącej, wyschniętej trawie. Gdzieś za mną jest drewniane ogrodzenie, a po jego drugiej stronie droga z kamerami monitoringu ruchu ulicznego i latarniami, i śmigłowiec z policyjnym oznakowaniem, zaparkowany jak cyborg żuk pośrodku ronda, ze sterzącymi, solidnie wyglądającymi czujnikami i potężnymi reflektorami, wytwarzający harmider przypominający eksplozję w fabryce hałasu. Przedemną znajduje się pole pełne betonowych krów, pasących się bezpiecznie i spokojnie w cieniu niskich drzew, które są ledwo widoczne w świetle ulicznych latarni. Deski ogrodzenia rzucają długie cienie; ciemność eksploduje w stronę złowieszczej bryły na drugim końcu wybiegu. Jest jesień i za jakieś trzydzieści minut wszędzie słońce. Unoszę moją zmodyfikowaną kamerę i ustawiam ostrość na obiekcie, po czym pstrykam przełącznikiem nagrywania.

Bryła wygląda trochę jak leżąca krowa. Spoglądam przez ramię na śmigłowiec, który zaczyna przygotowywać się do startu. Jestem raczej pewien, że jest tu bezpiecznie, ale nie mogę opanować zimnych dreszczy. Po drugiej stronie pola...

– Punkt odniesienia: Bob Howard, Bancroft Park, Milton Keynes, godzina siódma czternaście rano, czwartek osiemnastego. Policzyłem krowy i jest ich dziewięć. Jedna leży na brzuchu na drugim końcu wybiegu, współrzędne GPS podam za chwilę. Wstępna obserwacja wykazała brak obecności ludzi w promieniu ćwierć kilometra; szczytkowy uzysk cieplny kształtuje się poniżej dwustu stopni Celsjusza, zakładam więc, że można bezpiecznie zbliżyć się do celu.

Stawiam jedną oporną stopę przed drugą. Na wszelki wypadek nie spuszczam z oczu dozymetru: w pobliżu raczej nie będzie wysokiego promieniowania wtórnego, ale nigdy nie wiadomo. Pierwsza z krów wyłania się przede mną z ciemności. Pomalowano ją na czarno i biało, i z tej odległości nie można pomylić jej z rzeźbą. Klepię ją po nosie.

– Spokojnie, Mućka.

Powinienem teraz wygodnie leżeć sobie w łóżku z Mo – ale ona pojechała na dwutygodniowy kurs do Dunwich, a Angleton dostał szajby i ogłosił alarm błękitny. Doły nogawek moich dżinsów są wilgotne od rosy i jest zimno. Docieram do następnej krowy, zatrzymuję się i opieram na jej zadzie, żeby zrobić zbliżenie celu.

– Punkt zero, zasięg dwadzieścia metrów. Obiekt to krowa, leży, raczej nie żyje. Ma około trzech metrów długości, rasa... niezidentyfikowana. Trawa dookoła jest zwęglona, ale brak oznak spalania wtórnego. – Próbuję przełknąć ślinę, ale mam sucho w ustach. – Rumień ciepły na brzuchu. Krowa ma w brzuchu duży otwór w miejscu, gdzie eksplodowały gotujące się płyny jelitowe, a treść prawdopodobnie nadal żarzy się na czerwono w środku.

Zbliżam się do obiektu. Zdecydowanie są to szczątki krowy; nie ulega wątpliwości, że spotkał ją bardzo nieprzyjemny koniec. Dozymetr twierdzi, że jest bezpiecznie – przy tego rodzaju historiach większość promieniowania wydziela się błyskawicznie, ilość produktów wtórnych jest na szczęście minimalna – ale grunt pod spodem jest wypalony, a skóra poczerniała – zwęgliła się, nabierając wyglądu piasku czy popiołu. W powietrzu unosi się zapach pieczeni wołowej z nieprzyjemnym posmakiem czegoś jeszcze. Szperam w torbie na ramieniu i wyciągam sondę termiczną, a potem zbieram się w sobie i wtykam zaostriżony koniec w rozdarciu na brzuchu. Podczas tej czynności o mało nie parzę sobie brzegu dłoni – przypomina to stanie zbyt blisko otwartego piekarnika.

– Temperatura wnętrza dwa sześć sześć, dwa sześć siedem... Stabilna. – Pobieram próbki wnętrza, by sprawdzić udział procentowy izotopów. Wyciągam próbkę i ostrą sondę i grzebię w krowich bebechach, próbując oderwać kawałek spopielonego, poczerniałego mięsa. Mdli mnie: lubię dobrze przyrządzony stek, jak chyba każdy, ale w tej całej scenie jest coś z gruntu niewłaściwego. Próbuję nie zauważać pękniętych gałek ocznych ani rozdartego języka sterczącego spomiędzy poczerniałych warg. Ta robota jest wystarczająco obrzydliwa i lepiej będzie, jak nie dorzucę do tego całego bałaganu własnych rzygowin.

Próbki do analizy zostały bezpiecznie umieszczone w butelkach. Cofam się i obchodzę ciało po okręgu o dużym promieniu, filmując je ze wszystkich stron. Obrazu dopełnia otwarta furka po drugiej stronie pola i odcisnięte ślady w gruncie.

– Hipoteza: otwarta furka. Ktoś wpuścił Mućkę, podprowadził ją na miejsce w pobliżu stada, a potem się oddalił. Następnie Mućka została oświetlona i poddana działaniu bazyliuszki klasy trzeciej lub wyższej, ożywionego lub symulowanego. Potrzebujemy jakiejś wiarygodnej historyjki dezinformacyjnej oraz ekipy dochodzeniowej, żeby sprawdziła furkę wybiegu i ogrodzenie pod kątem odcisków stóp i śladów oddalania się. I jakiegoś sposobu

zidentyfikowania Mućki, żeby sprawdzić, z którego stada się wzięła. Może w ciągu najbliższych paru dni pojawi się jakieś zgłoszenie o zniknięciu inwentarza. A tymczasem temperatura wnętrza spadła poniżej pięciuset stopni Celsjusza. To sugeruje, że incydent wydarzył się co najmniej kilka godzin temu – wystudzenie obiektu rozmiarów krowy trochę trwa. Ponieważ bazyliśzek najwyraźniej oddalił się z tego miejsca i niewiele więcej mogę zrobić, teraz zamierzam wezwać ekipę sprzątającą. Koniec.

Wyłączam kamerę, chowam ją do kieszeni i oddycham głęboko. Następny etap będzie jeszcze mniej przyjemny niż wtykanie termopary do tyłka krowy w celu sprawdzenia, kiedy została napromieniowana. Wyciągam telefon komórkowy i wybieram 999.

– Centrala? Poproszę z dyspozytorem policji. Dyspozytor policji? Tu Mike Tango Pięć, powtarzam, Mike Tango Pięć. Czy jest inspektor Sullivan? Mam dla niego ważną wiadomość...

RAPORT 3: piątek, 9 października 1942 r.

KLASYFIKACJA: ŚCIŚLETAJNE, GRA ANDY, Ministerstwo Wojny, 9 października 1942 r.

ZMIANA KLASYFIKACJI: ŚCIŚLE TAJNE POCZERWIENIENIE, Ministerstwo Obrony, 13 sierpnia 1988 r.

1/2

#

PRZEKAZAĆ DO NATYCHMIASTOWEJ REALIZACJI:

Do Wydziału Drugiego SOE, stanowisko 337/42, dotarły trzy raporty, które rzuciły nieco światła na niedawną działalność prof. dr. inż. Gustava Von Schachtera w powiązaniu z RSHA Amt III i pacjentami Szpitala Narodzenia Dzieciątka Jezus dla Nieuleczalnie Chorych Psychicznie.

Nasz pierwszy raport, znak 531/892-(i) dotyczy zaprzestania działalności wydzielonej jednostki RSHA Amt III grupa 4, która otrzymała polecenie likwidacji osób nedorozwiniętych umysłowo i chorych psychicznie we Frankfurcie w ramach trwającego wówczas programu eugenicznego. Działający tam agent (kod: ZIELONY GOŁĄB) podsłuchał rozmowę dwóch żołnierzy wypowiadających się z niechęcią o zaprzestaniu działań eutanazyjnych w klinice. Herr Von Schachter w dniu 24 sierpnia 1942 r. otrzymał specjalny rozkaz Führera, podpisany przez Hitlera lub Bormana. Przedstawiciele sił wojskowych zrozumieli ten rozkaz jako nadanie mu prawa do rekwirowania wszystkich zasobów wojskowych nieoddelegowanych bezpośrednio do zadań związanych z bezpieczeństwem Rzeszy i tłumieniem ruchu oporu oraz do uchylania rozkazów z

uprawnieniami *Obergruppenführera*. Pełnomocnictwo to pozostaje w związku z istniejącymi uprawnieniami dr. Wolframa Siebersa; przypuszcza się, że kieruje on Instytutem Wojskowych Badań Naukowych na Uniwersytecie w Strasburgu i ośrodkiem przetwarzania w obozie koncentracyjnym w Natzweiler.

Nasz drugi raport, znak 539/503-(i) dotyczy leków wydawanych przez aptekę we Frankfurcie, przepisywanych przez nieznanego lekarza ze Szpitala Narodzenia Dzieciątka Jezus. Pomocnik aptekarza w tej aptece to nasz zwolennik, z którym kontaktuje się agent BŁĘKITNA PAPUGA, i jest uważany za wiarygodnego. Składane tam recepty były nietypowe, gdyż dotyczyły dużych dawek leków wstrzykiwanych dokanałowo (u podstawy czaszki), składających się z kolchicyny, wyciągu z barwinkowatych i morfiny. Nasz informator jest zdania, że to bardzo rzadko spotykany preparat, który może być używany w leczeniu niektórych guzów mózgu, ale prawdopodobnie powoduje straszliwe bóle i skutki uboczne o charakterze neurologicznym (źródło: GRA ANDY) związane z wywoływaniem gorgonizmu u osobników, u których cecha ta się nie ujawniła, cierpiących na glejaka zakrętu obręczy.

Nasz raport końcowy, znak 539/504-(ii) pochodzi od tego samego informatora i potwierdza, że na terenie Szpitala Narodzenia Dzieciątka Jezus czyniono jakieś złowieszcze przygotowania. W tej chwili szpitala strzegą żołnierze Einsatzgruppe 4. Ściany zostały pobielone, lustra usunięte (podkreślenie nasze) lub zastąpione lustrami weneckimi, a instalację elektryczną w izolatkach zmieniono tak, że światło można włączać i wyłączać zza podwójnych drzwi. Większość pacjentów znikła; prawdopodobnie zostali zlikwidowani przez żołnierzy grupy 4. Krążą plotki o pojawieniu się nowych śladów przekopywania gruntu niedaleko pobliskiej wioski. Pacjenci, którzy zostają w szpitalu, są pilnie strzeżeni.

Wniosek: preparat wymieniony w 539/504-(i) został przekazany Grupie ds. Projektów Specjalnych ANDY, która w oparciu o dostępne archiwa rozwiązanej Komisji Geigera ustaliła, iż Von Schachter eksperymentuje ze środkami podobnymi do mającego katastrofalne skutki preparatu Cambridge IV. Uwzględniając wpływy jego partnera, Siebersa, w Ahnenerbe-SS i fakt, że poprzednio Szpital Narodzin Dzieciątka Jezus dla Nieuleczalnie Chorych Psychiczenie był używany jako mniej istotny ośrodek opieki paliatywnej nad pacjentami cierpiącymi z powodu ataków i innych objawów neurastenicznych, uznaje się za wysoce prawdopodobne, że Von Schachter zamierza wywoływać i kontrolować gorgonizm dla celów wojskowych, co stanowi rażące naruszenie postanowień dotyczących całkowitego zakazu stosowania broni spopielającej, zgodnie z tajnym 4. kodycylem Konwencji Haskiej z 1919 r.

Zalecenie dotyczące postępowania: Sprawę należy przekazać JIC jako priorytetową z danymi zebranymi przez SOE, dotyczącymi wykonalności ataku na ten ośrodek. W razie dopuszczenia do kontynuowania tego przedsięwzięcia, istnieje znaczne prawdopodobieństwo, że program Von Schachtera doprowadzi do wykorzystania jednego z domniemanych

programów *Vertlesgunsaffen* przeciwko populacjom cywilnym na obszarach nieokupowanych. Od początku lat 20. w archiwum Ministerstwa Wojny istnieje szereg planów awaryjnych na wypadek użycia gorgonizmu w oparciu o obserwacje masowe i obecnie musimy uwzględnić możliwość użycia takiej broni przeciwko nam. Rozpatrujemy możliwość ataku na najbardziej zaawansowane ośrodki badawcze, wraz ze stanowczym protestem złożonym tajnymi kanałami dyplomatycznymi głoszącym, iż pogwałcenie jakichkolwiek postanowień Konwencji Haskiej, tajnych lub jawnych, spowoduje odwetowe użycie przez aliantów gazów bojowych przeciwko niemieckiej ludności cywilnej. Nie możemy dopuścić do ryzyka użycia bazyliiszków klasy IV w połączeniu ze strategiczną przewagą w powietrzu.

* * *

Kiedy wpełzam do biura, cztery godziny później, ziewając z powodu nieprzespanej nocy, Harriet miota się po pomieszczeniu socjalnym, jakby ktoś podpalił jej stopy, wściekła jak nigdy dotąd. Niestety, zgodnie z naszym systemem zależności służbowych przez 30% czasu, kiedy to pracuję jako inżynier pomocy technicznej, to ona jest moim szefem. (Przez pozostałe 70% podlegam Angletonowi i tak naprawdę nie jestem w stanie określić, na czym polega moja praca, poza tym, że wiąże się to z wyciąganiem z łóżka o czwartej rano w związku z ogłoszeniem alarmu błękitnego).

Harriet to typowa pracownica zaplecza: myszowata, szczupła, koło czterdziestki, zasuszona po spędzeniu wielu lat na projektowaniu formularzy w trzech kopiach, które służą do terroryzowania agentów operacyjnych. Ludzie tacy jak Harriet nigdy się niczym nie ekscytują. Efekt jest więc tak zaskakujący, jak otwarcie grobowca i znalezienie w nim mumii tańczącej breakdance.

– Robert! Gdzieś ty był, u licha? Czy ty wiesz, która godzina? McLuhan na ciebie czeka, miałeś być na spotkaniu komisji zarządzania licencjami dwie godziny temu!

Ziewam i wieszam kurtkę na wieszaku obok ekspresu do kawy należącego do wydziału C.

– Wezwano mnie – mamrocze. – Alarm błękitny. Właśnie wróciłem z Milton Keynes.

– Alarm błękitny? – pyta, czyhając na jakiegokolwiek moje potknięcie. – Kto się pod tym podpisał?

– Angleton.

Szukam w szafce nad zlewem mojego kubka. Nalepka na szafce głosi CIEKAWOŚĆ PIERWSZY STOPIEŃ DO PIEKŁA. Dzbanek ekspresu do kawy jest prawie pusty, jest w nim tylko trochę jakiejś smolistej cieczy niepokojąco przypominającej toksyczne odpady, z których buduje się drogi. Podstawiam go pod kran i splukuję.

– To jego budżet, nie twoje zmartwienie. Co prawda wyciągnął mnie z łóżka o czwartej

rano i wysłał do... – odstawiam dzbanek, żeby wsypać kawę do filtra. – Zresztą, nieważne. Sprawa załatwiona.

Harriet patrzy na mnie, jakby właśnie wgrzyła się w herbatnik i znalazła w środku pół owada. Jestem raczej pewien, że nie chodzi o nic konkretnego; ona i jej szefowa Bridget po prostu nie mają w życiu innych celów poza podejmowaniem prób poniżania wszystkich dookoła tak, żeby mogły spojrzeć im prosto w oczy. Choć szczerze mówiąc ostatnio zachowują się jakoś bardziej przemyślnie, na spotkaniach ukrywając się wśród odzianych w dziwne ciuchy ludzi z innych wydziałów. Pewnie to jakiś element nieustannie prowadzonej gry z biurokracją, której celem jest najwyższa stawka ze wszystkich: wczesne przejście na emeryturę z pełnymi świadczeniami pracownika administracji państwowej.

– A o co tam chodziło? – dopytuje się.

– A masz uprawnienia GRA ANDY POCZERWIENIENIE? – pytam. – Bo jeśli nie, nie mogę ci powiedzieć.

– Przecież byłeś w Milton Keynes – przekomarza się. – Sam mi o tym powiedziałeś.

– Serio? – przewracam oczami. – Cóż, może tak, może nie. Nie mogę wygłosić komentarza w tej sprawie.

– A co takiego ciekawego jest w Milton Keynes? – nie odpuszcza.

– Niewiele. – Wzruszam ramionami. – Jest zrobione z betonu i bardzo, bardzo nieciekawe.

Odpręża się prawie niedostrzegalnie.

– Dopilnuj, żebyś wypełnił wszystkie papiery i żeby zostało obciążone właściwe konto – mówi.

– Zrobię to, zanim stąd wyjdę dziś o drugiej – odpowiadam, czyniąc aluzję do faktu, że mam ruchomy czas pracy. Praca z Angletonem jest o wiele bardziej stresująca, ale jest też bardziej wyrozumiała. Z powodu kłótwy o nazwie „zarządzanie macierzowe personelem” nie mogę tak całkiem wyswobodzić się spod zgrabnego pantofelka Bridget, ale muszę wyznać, że zrywam boki ze śmiechu, kiedy mój drugi szef wykorzystuje swoją pozycję służbową w stosunku do niej. – A co było na spotkaniu? – pytam chytrze, mając nadzieję, że podejmie temat.

– Powinieneś wiedzieć, to ty jesteś administratorem, który założył listę mailową – odparowuje. *Oj!* – Pan McLuhan ma nam pomóc. Jest z wydziału Q i pomoże nam przygotować się do audytu Business Software Alliance.

– Do audytu... – zatrzymuję się w pół kroku i odwracam się, by na nią spojrzeć. Ekspres do kawy bulgocze mi za plecami. – Do *czego* audytu?

– Business Software Alliance – odpowiada, najwyraźniej zadowolona z siebie. – Pięć miesięcy temu CESG zleciło na zewnątrz opracowanie infrastruktury naszej aplikacji COTS w związku z oficjalnymi najlepszymi praktykami, mającymi zapewnić wzrost jakości i wartości w zarządzaniu zasobami przedsiębiorstwa. Ponieważ ty byłeś zbyt zajęty, żeby tego

dopilnować, Bridget poprosiła wydział Q o pomoc. Pan McLuhan pomaga nam uporządkować umowy licencyjne zgodnie z wytycznymi działu zaopatrzenia. Mówi, że będzie w stanie przeprowadzić pełny audyt z certyfikatem BSA dla naszych systemów i pomoże nam zrobić porządek w papierach.

– Aha – odpowiadam spokojnie i obracam się, wypowiadam samymi ustami cisnące się na nie słowo „kurwa” w kierunku bulgoczącego ekspresu. – Przechodziłaś kiedyś audyt BSA, Harriet? – pytam z zaciekawieniem, szorując mój kubek wewnątrz i na zewnątrz.

– Nie, ale oni chcą nam pomóc w przeprowadzeniu audytu naszych...

– Ich finansują wielkie firmy zajmujące się produkcją oprogramowania do komputerów osobistych – wyjaśniam z największym spokojem, na jaki mnie stać. – Robią to, bo BSA jest dla nich *źródłem zysków*. A jest tak, bo BSA albo ich podwykonawcy – a w tym przypadku wydział Q będzie właśnie występował w roli ich podwykonawcy – dostaną forszę za przeprowadzenie audytu. Jeśli znajdą jakąkolwiek nieprawidłowość – wejdą, zrobią audyt, będą szukać wszystkiego, co nie ma odpowiedniej licencji, przyczepią się na przykład do starych komputerów w D3, które dalej mają zainstalowane Windows 3.1 i Office 4, albo do serwerów linuksowych pod biurkiem Erica, które służą za serwery plików dla naszego wydziału, że nie wspomnę o maszynie z FreeBSD, na której pracuje pakiet środków przeciwko demonom – i zażądają aktualizacji do najnowszej wersji grożąc nam pozwami sądowymi. Zaproszenie ich jest jak otwarcie szeroko drzwi i wpuszczenie facetów z wydziału narkotykowego, żeby szukali skręta z marychą.

– Powiedzieli, że przejrzą całe zainstalowane oprogramowanie i zaproponują nam rabat na licencje zbiorowe!

– A sądzisz, że jak dokładnie zamierzają to zrobić? – Odwracam się i patrzę na nią. – Zainstalują nam oprogramowanie szpiegowskie w sieci lokalnej i będą widzieć wszystko, co robimy. – Nabieram powietrza w płuca. – Zamierzasz zmusić go do podpisania oświadczenia zgodnie z ustawą o tajemnicy służbowej, żebym mógł go oficjalnie powiadomić, że jeśli mu się wydaje, iż to zrobi, to wsadzę go do czubków? Część trzecia. Jak myślisz, dlaczego na niektórych komputerach w sieci nadal mamy stare Windowsy? Bo nie możemy sobie pozwolić na wymianę na nowszą wersję?

– On już podpisał oświadczenie zgodnie z częścią trzecią. A poza tym mówiłeś, że nie masz czasu – prychnął kąśliwie. – Prosiłam cię pięć tygodni temu, w piątek! Ale ty byłeś tak zajęty udawaniem tajnego agenta ze swoimi kumplami z dołu, że miałeś wszystko gdzieś, nawet to, że będzie audyt. Nie trzeba by było tego robić, gdybyś miał czas!

– Bzdura. Posłuchaj, trzymamy te rupiecie dlatego, że są tak stare i byle jakie, że nie łapią nawet połowy zakichanych robaków i wirusów makr z Internetu, jakie teraz krążą. BSA będzie się upierać, żebyśmy je wymienili na zajębiście nowe stacje robocze pracujące pod Windows XP, z Office XP, i wdzwanające się do Internetu co sześć sekund, żeby mogły im kablować, co tu naprawdę robimy. Naprawdę myślisz, że Mahoniowy Rząd zgodzi się na taką

lukę w zabezpieczeniach?

To akurat blef – Mahoniowy Rząd wycofał się z tego wszechświata jeszcze w czasach, kiedy słowo „aplikacja” oznaczało naszywane kwiatki – ale ona raczej o tym nie wie, choćby dlatego, że teraz ciągle zapraszają na górę mnie. (Blżej do ciebie, mój wyżerający mózg Panie...).

– A jeśli chodzi o kwestię czasu, dostarcz mi budżet na sprzęt i technika asystenta, który został prześwietlony tak, że może prowadzić operacje informatyczne w Pralni na poziomie piątym, a dopilnuję tego. Będzie cię to kosztowało jakieś sześćdziesiąt tysięcy funtów w pierwszym roku, plus pensja w kolejnych latach. – I wreszcie, wreszcie udaje mi się wyjąć dzbanek z ekspresu do kawy i nalać sobie trochę pobudzającego płynu. – Tak będzie lepiej.

Rzuca okiem na zegarek.

– W takim razie przyjdiesz na spotkanie, żeby wyjaśnić wszystkim, o co w tym chodzi?
– pyta tonem takim, że mogłaby głosem ciąć szkło.

– Nie – wlewam do kawy krwi sok z lodówki astmatycznie mruczającej pod blatem. To publiczno-prywatna spółka burdelowa, nuda jak wieczorne wiadomości. Bridget wdepnęła w to z własnej, nieprzymuszonej woli: jeśli chce, żebym ją wyciągnął, niech ładnie poprosi. Poza tym czeka mnie spotkanie w sprawie alarmu błękitnego z Angletonem, Borisem i Andym, więc administracyjne udawanie pracy będzie musiało poczekać na inny dzień tygodnia.

– Skurwiel – syczy.

– Miło mi, że mogłem pomóc.

Robię głupią minę, a ona wybiega z pokoju i trzaska drzwiami. Angleton. Alarm błękitny. Jezu. Nagle przypominam sobie o zmodyfikowanej kamerze w kieszeni kurtki. Psiakrew, zaczyna się robić późno...

RAPORT 4: wtorek, 6 czerwca 1989 r.

KLASYFIKACJA: ŚCIŚLE TAJNE, GRA ANDY POCZERWIENIE-
NIE, Ministerstwo Obrony, 6 czerwca 1989 r.

1/2

#

Streszczenie: Ostatnie badania w dziedzinie neuroanatomii scharakteryzowały właściwości sieci komórek gwiaździstych odpowiedzialnych za gorgonizm u pacjentów z zaawansowanym glejakiem zajmującym zakręt obłączy. Testy łączące strukturę „mapy meduzy” z odpowiednim przetwarzaniem wstępnym danych wejściowych wideo wykazały możliwość mechanicznego wywoływania efektu meduzy.

Postępy w dziedzinie emulacji dynamicznie rekonfigurowanych sieci neuronalnych warstwy ukrytej z użyciem technologii bezpośrednio programowalnej macierzy bramek FPGA* w połączeniu z przetwarzaniem w czasie rzeczywistym cyfrowego sygnału wideo z kamer stereoskopowych o wysokiej rozdzielczości, najprawdopodobniej w ciągu pięciu lat pozwolą na wprowadzenie „trybu meduzy” do odpowiednio przygotowanych kamer telewizji przemysłowej, umożliwiając sieciom telewizji przemysłowej, służącym do monitorowania w czasie rzeczywistym „zabijanie wzrokiem” wszystkiego, co znajdzie się w ich polu widzenia. Omawiane są obszerne protokoły bezpieczeństwa, których wprowadzenie jest konieczne, zanim technologia ta zostanie wprowadzona w skali kraju, celem minimalizacji ryzyka niepożądanego uruchomienia.

Przewiduje się, że do roku 1999 w miastach wyspy Wielka Brytania zostanie uruchomionych ponad milion kamer monitoringu, a pełne pokrycie zostanie osiągnięte w latach 2003-2006. Przewidywany rozwój Internetu i wzrost przepustowości sieci sugerują, że po raz pierwszy pojawi się możliwość tłumienia w ten sposób wszelkich możliwych zamieszek. Implikacje tego projektu są obecnie omawiane wraz z jego ewentualną skutecznością w łagodzeniu skutków PRZYPADKU ZIELONY KOSZMAR we wrześniu 2007 r.

* * *

A jeśli już mówimy o Mahoniowym Rzędzie – Angleton wybrał na scenę mojej odprawy salę posiedzeń z tekowym biurkiem, oryginalnymi bibelotami na biurko z bakelitu i wychodzącymi na korytarz oknami z mlecznego szkła. Kiedy wchodzę i włączam czerwony sygnalizator SPOTKANIE, siedzi za biurkiem postukując kościstymi palcami. Andy wygląda na rozdrażnionego, a Boris na niewzruszonego.

– Amatorskie filmiki. – Rzucam taśmę na stół. – Co zwiedziłem na wakacjach. – Zanim ziewnę, odstawiam kubek z kawą na jedną z tych niepokojąco miękkich skórzanych podstawek, żeby jej nie rozlać. – Przepraszam, obudzono mnie w środku nocy. Co chcecie wiedzieć?

– Od jak dawna zwierzę nie żyło? – pyta Andy.

Zastanawiam się przez chwilę.

– Dokładnie to nie wiem. Obawiam się, że musiałbym zadzwonić do patologii, żeby uzyskać dokładną odpowiedź, ale zdecydowanie nie żyło od jakiegoś czasu, kiedy je znalazłem o siódmej rano. Zdażyło ostygnąć gdzieś do temperatury piekarnika.

Angleton patrzy na mnie, jakbym był owadem pod mikroskopem. To nie jest miłe uczucie.

– Przeczytałeś te materiały? – pyta.

* ang. field programmable gate array.

– Tak. Zanim tu przyszedłem, zamknąłem je w sejfie w moim gabinecie, na wypadek, gdyby jakiś nadgorliwy Tom, Dick czy Harriet mieli ochotę trochę powęszyc. – Naprawdę dziś w nocy muszę się wyspać.

– Rozumiem, że bazyliszek został odnaleziony. – To Boris.

– Hm, nie – przyznaję. – Jest nadal na wolności. Ale Mike Williams powiedział, że dadzą mi znać, jeśli się na niego natkną. On ma uprawnienia OSA-III i jest naszym kontaktem w...

– Ile kamer monitoringu ruchu jest wycelowanych w to rondo? – pyta Angleton tonem nieomal niezobowiązującym.

– Och... – siadam ciężko. – O kurwa.

Kurwa. Cały się trzęsę i to solidnie, moje bebechy tańczą tango, a po plecach chodzą mi zimne dreszcze. Właśnie zrozumiałem, co chce mi przekazać, nie mówiąc tego głośno i wprost.

– Dlatego właśnie cię tam posłałem – mruczy, dając Andyemu znak gestem, żeby oddalił się z pokoju w jakiejś uzgodnionej wcześniej sprawie. Chwilę później to samo robi Boris. – Wolałbym, żebyś nie dał się zabić, Bob. To by kiepsko wyglądało w twoich aktach.

– O kurwa – powtarzam, jakby zacięła mi się igła gramofonu, gdy dociera do mnie, jak niewiele dzieliło mnie od śmierci. I załogę śmigłowca, i wszystkich, którzy tam byli od tego czasu, i...

– Pół godziny temu ktoś zniszczył kamerę monitoringu numer siedemnaście, rejestrującą obraz na Monks Road, rondo trzecie: przestrzelił obudowę matrycy CDD pociskiem kalibru.223. Dopij kawę, tak, bardzo ładnie, i postaraj się nie porozlewać jej wszędzie.

– Ktoś z naszych. – To nie jest pytanie.

– Oczywiście. – Angleton stuka palcem w plik dokumentów, który leży na biurku przed nim, rozpoznaję go po oślim uchu na drugiej kartce, to ten sam, który włożyłem do sejfu w moim gabinecie zaledwie dziesięć minut temu, i patrzy na mnie swoimi przerażającymi szarymi oczami. – A więc... Obywatele są na razie bezpieczni, więc powiedz mi, co z tego potrafisz wydedukować.

– Hm – oblizuję usta, które wyschły mi jak stare skórzane buty. – Zeszłej nocy ktoś zaprowadził krowę do parku i użył jej w charakterze tarczy strzelniczej. Nie wiem za wiele o topologii sieci monitoringu ruchu ulicznego w Milton Keynes, ale moim zdaniem podejrzanymi są, w następującej kolejności: ktoś z bardzo specyficznym guzem mózgu, ktoś ze skradzioną bronią spopielającą – jak ten, którego zakwalifikowałem w ramach programu OGRZA RZECZYWISTOŚĆ, albo ktoś z dostępem do czegoś, co powstało wskutek programu GRA ANDY POCZERWIENIENIE. A na podstawie twoich pytań wnoszę, że jeśli chodzi o program GRA ANDY POCZERWIENIENIE, to jest to działanie samowolne.

Leciuteńko kiwa głową.

– W takim razie siedzimy głęboko w gównie – oświadczam radośnie i wlewam sobie do ust resztkę kawy; niestety, psuję cały efekt, bo krztuszę się tak, że o mało nie udaje mi się

wykaszleć z siebie flaków.

– I to bez głębokościomierza – dodaje beznamiętnym tonem i czeka, aż przestanę kaszleć.

– Posłałem Andrew i pana B. do archiwum, żeby wyciągnęli dla ciebie kolejne materiały do przeczytania. Można je przeglądać wyłącznie w obecności świadka, żadnego robienia notatek, wymagany nadzór. Zanim oni je wydobędą, chcę, żebyś opisał swoimi słowami wszystko, co się dotąd stało. Znajdzie się to w zapieczętowanym archiwum razem z twoim nagraniem wideo, na wypadek, gdyby doszło do najgorszego.

– O kurwa. – Już mnie męczy powtarzanie tego słowa. – To sprawa wewnętrzna?

Kiwa głową.

– Ma to związek z komputerami?

Znów kiwa głową, po czym przesuwając w moją stronę zabytkową przenośną ręczną maszynę do pisania.

– Pisz.

– Dobrze. – Biorę trzy arkusze papieru, jakieś kalki i zaczynam składać je razem. – Możesz uznać, że już piszę.

RAPORT 5: poniedziałek, 10 grudnia 2001 r.

KLASYFIKACJA: ŚCIŚLE TAJNE, GRA ANDY POCZERWIENIE-NIE, Ministerstwo Obrony, 10 grudnia 2001 r.

KLASYFIKACJA: ŚCIŚLE TAJNE, MAGINOT BŁĘKITNE GWIAZDY, Ministerstwo Obrony, 10 grudnia 2001 r.

1/2

#

Streszczenie: Niniejszy dokument opisuje dotychczasowe postępy w dziedzinie stworzenia sieci obronnej zdolnej do odpięcia masowych ataków poprzez zmianę konfiguracji krajowej sieci monitoringu, by działała jako sterowany programowo wielogłowy bazylipek dysponujący „spojrzeniem śmierci”. Aby uniemożliwić przypadkowe uruchomienie lub celowe wykorzystanie, oprogramowanie SPOJRZENIE SKORPIONA nie zostało zainstalowane w oprogramowaniu wbudowanym kamer. Zamiast tego wbudowano w kamery programowalne układy FPGA, które w razie potrzeby autoryzowany użytkownik systemu MAGINOT BŁĘKITNE GWIAZDY może przeprogramować używając oprogramowania SPOJRZENIE SKORPIONA.

Wstęp: Wspomniano, że proponowana przez amerykańską Organizację Strategicznych Inicjatyw Obronnych aktywna sieć obronna ABM będzie wymagać najbardziej złożonego oprogramowania, jakie dotąd powstało, charakteryzująca się miarą złożoności na poziomie >

100 MLOC (milionów linii kodu) i jest poważnie krytykowana przez różne organizacje (patrz przypisy [1], [2], [4]) jako niewykonalna i prawdopodobnie będzie zawierać ponad tysiąc błędów klasy 1. w pierwszej wersji. Niemniej jednak przy wymogach strukturalnych MAGINOT BŁĘKITNE GWIAZDY infrastruktura SDIO wydaje się niewielka. Aby zapewnić pokrycie 90% populacji Wielkiej Brytanii, konieczne jest zainstalowanie 8 milionów pracujących w sieci cyfrowej kamer (terminali) monitoringu. Terminale na obszarach zabudowanych zostaną podłączone za pośrednictwem publicznej sieci telefonicznej i łączy SDSL/VHDSL, lecz odległe systemy mogą korzystać z trasowania w sieci kratowej z użyciem standardu 802.1 la w celu zapewnienia, że tereny wiejskie nie będą stanowiły siedliska zaraźliwych nośników opętania przez demony. Poniżej omawiamy kwestie związane z jakością usługi TCP/IP, wraz z konkretnymi wymaganiami dotyczącymi trasowania IPv6 oraz infrastruktury, jaka musi być zainstalowana i obsługiwana przez wszystkich dostawców usług internetowych najpóźniej do roku 2004.

W tej chwili w Wielkiej Brytanii dostępnych jest ponad dziewięćdziesiąt różnych architektur telewizji przemysłowej wykorzystywanej do monitoringu; wiele z nich to produkty importowane, które nie mogą być wyposażone przed instalacją w FPGA odpowiednie do uruchamiania oprogramowania SPOJRZENIE SKORPIONA sieci neuronalnej bazyliuszka. Rozporządzenie o ujawnianiu danych zgodnie z ustawą o regulacji uprawnień śledczych (2001) umożliwia uzyskanie dostępu do oprogramowania wbudowanego kamer, ale w wielu regionach aktualizacje do 1. poziomu zgodności z MAGINOT BŁĘKITNE GWIAZDY są opóźnione z powodu niewywiązywania się z tych zadań przez lokalne siły policji, które uważają je za bezsensowne rozkazy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Jeśli nie uda się poprawić zgodności o 340%, niemożliwe będzie osiągnięcie docelowego nasycenia do września 2007 r., kiedy to ma nastąpić PRZYPADEK ZIELONY KOSZMAR.

Jak dotąd instalacja została zakończona jedynie na niektórych obszarach, mianowicie w centrum Londynu (tzw. „Stalowy Pierścień” do monitoringu w celu zapobiegania aktom terroryzmu) i Milton Keynes (wdrożony zaawansowany system sieci miejskiej nowej generacji z rozwiązaniem umożliwiającym pełne sterowanie ruchem). Wdrażanie przebiega w oparciu o gęstość populacji i prawdopodobieństwo demonicznego przejścia oraz wykładnicze tempo wypalania na obszarach zabudowanych.

Zalecenia: Jednym ze sposobów zapewnienia, że wszystkie cywilne urządzenia do monitoringu są zgodne z oprogramowaniem SPOJRZENIE SKORPIONA do roku 2006 jest wykorzystanie inicjatywy Agencji Bezpieczeństwa Narodowego Stanów Zjednoczonych do swoich własnych celów. W ustawie rzekomo sponsorowanej przez Hollywood i przemysł muzyczny (stowarzyszenia MPAA i RIAA: patrz także CDBTPA), NSA rzekomo próbuje zalegalizować obsługę zarządzania cyfrowymi prawami (DRM) we wszystkich urządzeniach elektronicznych sprzedawanych osobom fizycznym. Obecnie nie mamy dostępu do

szczegółowych informacji dotyczących wdrożenia tej propozycji, przypuszczamy jednak, że jest to pretekst do wymuszania na producentach układów scalonych wbudowanych sprzętowo elementów FPGA w zakresie miliona bramek, konfigurowanych za pomocą oprogramowania, początkowo wbudowanych jako obwód DRM, lecz programowalnych, by można było ich użyć w rodzącej się walce z wrogami Ameryki.

Jeśli takie zintegrowane elementy FPGA staną się obowiązkowe, naciski komercyjne zmuszą dostawców dalekowschodnich do produkowania zgodnie z tymi przepisami i będziemy mogli wymusić umieszczenie oprogramowania SPOJRZENIE SKORPIONA poziomu 2. we wszystkich popularnych kamerach cyfrowych i komercyjnych urządzeniach do monitoringu, pod pozorem przestrzegania przepisów o ochronie praw autorskich zgodnie z traktatem WIPO. Doskonałym pretekstem do błyskawicznego wycofywania wszystkich kamer z poziomu zero i jeden może być na przykład sfabrykowanie sprawy z dyskredytacją dowodów uzyskanych za pomocą starszych urządzeń w toczącym się postępowaniu karnym.

Jeśli zrealizujemy ten plan, do końca 2006 roku każde dwie znajdujące się w pobliżu kamery sieci monitoringu publicznego – lub prywatne kamery wyposażone w cyfrowe łącze wideo – będą mogły zostać przeprogramowane przez każdego uwierzytelnionego superużytkownika MAGINOT BŁĘKITNE GWIAZDY, co pozwoli operatorowi używać ich jako broni bazyliuszka SPOJRZENIE SKORPIONA. Jesteśmy przekonani, że jest to najlepsze stanowisko obronne, którego przyjęcie pozwoli na minimalizację ofiar w ludziach, gdy Wielcy Starzy powrócą z gwiazd, by wyžreć nam mózgi.

* * *

– A więc wszystko sprowadza się do strategicznej inicjatywy defensywnej skierowanej przeciwko kosmicznym wysysaczom mózgow z innego czasu i przestrzeni, którzy mają masowo nas odwiedzić w ustalony dzień. Czy jak dotąd nadażam? – spytałem.

– Tak, z grubsza o to chodzi – odparł Andy.

– Dobrze. I żeby zapobiec domniemanemu zagrożeniu ze strony kosmicznych wysysaczy mózgow, jakiś bezimienny geniusz wymyślił, że kamery monitoringu, którymi upstrzony jest nasz piękny i zielony kraj, można spiąć w sieć, podłączyć do nich strumień danych z oprogramowania emulującego mózg bazyliuszka i zmienić we wszechobecny system „zabijania wzrokiem”. Choć w sumie nie wiemy dokładnie, jak działa efekt meduzy poza tym, że opiera się na jakimś dziwnym, wywoływanym przez obserwację tunelowaniu kwantowym, kolaps funkcji falowej, bla, bla, bla, który sprawia, że jakiś 1 procent jąder węgla w obiekcie stanowiącym cel zmienia się w jądra krzemu i nie da się wykryć wydzielającej się energii. Zgadza się?

– Cygaro, Sherlocku?

– Przykro mi, ale dymię tylko wtedy, jak podłączam się do sieci krajowej. Cholera.

Dobrze, w takim razie czy komuś nie przyszło do głowy, że masa-energia tych jąder krzemu musi *skądś* pochodzić, skądinąd, skądś z Podziemnych Wymiarów... do cholery. Ale nie o to w tym chodzi, prawda?

– Istotnie, nie o to. Kiedy zamierzasz się tym zająć?

– Jak tylko ręce przestaną mi się trząść. Zobaczmy. Zamiast zrobić to jawnie i ryzykować, że ludzkie bydlę wystraszy się umieszczania na każdym rogu urządzeń emitujących promienie śmierci, nasi panowie i władcy wymyślili, że zrobią to oddolnie, wprowadzając przepisy wymuszające włączenie do sieci wszystkich kamer monitoringu publicznego i zainstalowanie w nich furtek, za pomocą których można na nich uruchomić zabójcze oprogramowanie emulujące mózg bazyliuszka, kiedy zajdzie taka potrzeba. Cóż, nazwijmy to po imieniu, to doskonała przewaga fiskalna w czasach podzlecania, spółek publiczno-prywatnych, kart usług i tym podobnych. To znaczy, nie można ubezpieczyć firmy nie instalując systemu antywłamaniowego z kamerami monitoringu, ktoś musi gdzieś obserwować obraz z tych kamer, więc równie dobrze można to zlecić firmie ochroniarskiej z podłączonym do sieci centrum operacyjnym, a durni SS-mani od praw autorskich z branży muzycznej lobbują na rzecz wsadzenia rządowego oprogramowania szpiegowskiego do każdego walkmana czy kamery, bo inaczej domowe kopiowanie muzyki zabije Michaela Jacksona. Genialnie.

– Jakie to eleganckie, prawda? O wiele subtelniejsze niż straszenie łodziami podwodnymi uzbrojonymi w pociski balistyczne. Od czasów zimnej wojny zrobiliśmy ogromne postępy.

– Taaak. Z jednym wyjątkiem: mówisz mi także, że jakiś początkujący haker przejął twoje hasło administratora i wdzwonił się, żeby uderzyć na Milton Keynes. Może w moim przekonaniu, że gra w jakąś gierkę z czasów Atari.

– Bez komentarza.

– Jezu pieprzony Chryste jadący przez miasto na pacy ciężarówce wyładowanej taśmami do archiwizacji – czy ty naprawdę masz mnie za aż takiego idiotę?! Słuchaj, bomba poszła w górę. Ktoś przesłał kod oprogramowania SPOJRZENIE SKORPIONA do kilku kamer w pobliżu ronda przy Monks Road i obrócił Mućkę w sto pięćdziesiąt kilo pieczeni wołowej à la bazyliuszek, a ty masz mi do powiedzenia tylko „bez komentarza”?

– Bob, posłuchaj, chyba za bardzo bierzesz to wszystko do siebie. Nie mogę w tej chwili służyć żadnym komentarzem na temat incydentu przy Monks Road, bo jesteś oficjalnie szefem grupy dochodzeniowej, a ja mam zapewnić ci pomoc i wsparcie, a nie krytykować twoje teorie. Ja tylko niosę pomoc, jasne?

– Przepraszam. Wybac. Jestem tylko trochę zdenerwowany.

– Tak, cóż, i jeśli jest coś, co mnie uspokoi, a także Angletona, uwierz mi lub nie, ale „zdenerwowany” zda się psu na budę. Tak naprawdę musimy ustalić metody, motyw i mordercę Mućki wystarczająco szybko, żeby zdążyć zatrzaskać drzwi od obory. Aha, i penetrację zewnętrzną możemy wykluczyć – pętla sieciowa na Monks Road stoi na prywatnej

szkieletowej sieci intranetowej podłączonej przez zaporę do kamer. To ci coś ułatwi?

– Ja pierdolę! Posłuchaj, zasadniczo się z tobą zgadzam, ale nadal jestem zdenerwowany, Andy, i chcę ci powiedzieć – ja pierdolę. Słuchaj, to jest tak idiotyczne, że wiem, że jestem już nieźle spóźniony, ale cały pomysł z tym programem MAGINOT BŁĘKITNE GWIAZDY jest tak kurewsko absurdalny. To jak szczekanie na księżyc w sytuacji tak przerażającej, że jeżą się włosy na rękach. Przecież to jak zakopywanie min atomowych na każdym rogu ulicy! Czy oni nie zdawali sobie sprawy z tego, że jedyny komputer, do którego nie można się włamać, to taki, który pracuje pod kontrolą bezpiecznego systemu operacyjnego, jest schowany w stalowym sejfie, zakopany pod tonami betonu na dnie kopalni węgla strzeżonej przez SAS i parę uzbrojonych dywizji, oraz jest wyłączony? O czym oni w ogóle myśleli, kiedy to robili?

– Że ochronią nas przed PRZYPADKIEM ZIELONY KOSZMAR, Bob. Powiem ci jeszcze, że dlatego właśnie Rosjanie tak się palą, żeby znowu uruchomić rakiety Energia, żeby mogli wprowadzić na orbitę swoje stacje bojowe Polyus i dlatego Amerykanie tak się martwią runą al-Sabbah, że próbują wbudować oprogramowanie cenzurujące w każdy konwerter analogowo-cyfrowy na planecie.

– Czy ja mam uprawnienia poziomu PRZYPADEK ZIELONY KOSZMAR? Czy po prostu mam ci uwierzyć?

– Teraz chyba musisz mi uwierzyć, postaram się załatwić ci uprawnienia do końca tygodnia. Przykro mi z tego powodu, ale to naprawdę... zrozum, to taka sprawa, kiedy cel naprawdę uświęca środki. Uwierz mi na słowo. Dobrze?

– Szlag. Przydałaby mi się jeszcze jedna... nie, za dużo kawy już i tak wypilem. W takim razie co mam robić?

– Mamy też dobre wieści: udało nam się trochę zawęzić krąg podejrzanych. Pewnie ucieszysz się, jak ci powiem, że właśnie wydaliśmy jednostce do spraw zwalczania przestępczości komputerowej Zachodniego Yorkshire polecenie włożenia butów nabitych ćwiekami i likwidacji całej sieci monitoringu ruchu ulicznego i centrum operacyjnego. Oficjalną przyczyną jest podejrzenie podłożenia bomby z zapalnikiem czasowym przez niezadowolonego byłego pracownika – który przez przypadek jest niewinny – ale dzięki temu możemy to zaklasyfikować jako przypadek podpadający pod ustawę o niewłaściwym wykorzystaniu komputerów i wysłać ludzi, którzy wiedzą, o co tam chodzi. Mają oficjalnie poprosić o wsparcie CESG, które wyśle im domniemanego agenta z GCHQ, a tym agentem będziesz ty. Chcę, żebyś przejrzał całą tę sieć kamer i ustalił, w jaki sposób oprogramowanie SPOJRZENIE SKORPIONA mogło się tam przedostać. To będzie łatwiejsze, niż ci się wydaje, bo SPOJRZENIE SKORPIONA nie jest właściwie oprogramowaniem o kodzie otwartym i pracują na nim tylko dwa uprawnione zespoły programistów na tej planecie – a przynajmniej w tym kraju – o których wiemy. Jeden z nich – ciekawostka – znajduje się w Milton Keynes i z tą chwilą masz prawo tam wkroczyć i odgrywać oficera gestapo razem z

naszymi najlepszymi specami z laboratorium. Nadaję ci takie uprawnienia, ale mam nadzieję, że skorzystasz z nich tylko wtedy, jak nie będziesz miał innego wyjścia.

– Świetnie, zawsze uważałem, że w długim, czarnym skórzanym płaszczu będę wyglądał doskonale. Ciekawe, co pomyśli o tym Mo?

– Pomyśli, że tak wyglądasz, kiedy chcesz wyglądać na wkurzonego. Dasz radę?

– A jak, do kurwy nędzy, miałbym odmówić, skoro stawiasz sprawę w ten sposób?

– Cieszę się, że to rozumiesz. A teraz masz jeszcze jakieś pytania? Bo chciałem zakończyć rozmowę i przesłać taśmę audytorom.

– No tak. Jedno pytanie. Dlaczego ja?

– Dlaczego? No cóż... Hmm. Pewnie dlatego, że już częściowo w tym tkwisz, Bob. I charakteryzujesz się dość niezwykłą kombinacją umiejętności. Ale umknął ci fakt, że nie mamy zbyt wielu wykwalifikowanych agentów operacyjnych, a większość tych, których mamy, to stara szkoła: oburęczny strzał z biodra runą niszczącą nekromancerów. Oni nie rozumieją tych nowoczesnych internetowych ustrojstw związanych z mechanizmem Babbage'a tak jak ty. No i masz już doświadczenie z bronią spopielającą, a chyba nie sądzisz, że wydajemy takie rzeczy jak tubki z pastą do zębów? Więc zamiast szukać kogoś, kto nie wie aż tyle, wolałem wybrać ciebie, bo tak się złożyło, że byłeś na miejscu, widziałeś wystarczająco dużo i uważałem, że jesteś... odpowiedni.

– Rany, dzięki. Będę o wiele lepiej spał dziś w nocy wiedząc, że nie mogłeś znaleźć nikogo lepszego do tej roboty. Naprawdę nie mieliśmy wyjścia, prawda?

– Żebyś wiedział... żebyś wiedział.

* * *

Następnego ranka wsadzają mnie do pociągu do Cheltenham – oczywiście do drugiej klasy – żebym odwiedził pewien budynek biurowy, który na wszystkich mapach okolicy wygląda jak biała plama, na wypadek, gdyby Rosjanie nie zauważyli rosnącej liczby anten satelitarnych. Spędzam bardzo nieprzyjemne pół godziny z ochroną w postaci pary rottweilerów w błękitnych mundurach, przekonanej, że każdy, kto nie jest znany jako komunistyczny szpieg z Korei Południowej, stwarza bliżej nieokreślone zagrożenie. Przeszukują mnie, każą mi nasikać do kubka i zmuszają do zostawienia palmtopa w biurze ochrony, ale z jakiegoś powodu nie zabierają mi małej skórzanej torebki, w której trzymam zasuszoną nogę gołębia, noszonej na szyi na srebrnym łańcuszku; wyjaśniam im, że to z powodów religijnych. Idioci.

Na dworze wieje i pada, nie mam więc nic przeciwko temu, gdy zostaję wprowadzony do klimatyzowanej sali konferencyjnej na trzecim piętrze oddalonego skrzydła, gdzie spotykam się z Kevinem, Robinem, Jane i Philem, którzy kolejno wyjaśniają mi, jakie są ich oczekiwania wobec wyższego rangą oficera operacyjnego z GCHQ, oddelegowanego do

zadania w terenie, w takich dziedzinach, jak stosowanie zabezpieczeń, wzywianie wsparcia, zgłaszanie problemów i wypełnianie dwustu siedemnastu różnych formularzy, na wypełnianiu których wyżsi rangą oficerowie operacyjni mają spędzać czas. Pralnia może i charakteryzuje się nadmiarem biurokracji i świrem na punkcie systemu ISO-9000, ale GCHQ jest jeszcze gorsze i ma jakąś dziwną, nadsztukowaną wersję systemu zachowania jakości BS5720, którą stosują do wszystkich procedur, próbując zapewnić, by minister spraw wewnętrznych mógł w czasie rzeczywistym ustalić liczbę dostępnych w ich biurze spinaczy do papieru, jeśli zażąda tego w parlamencie legalna opozycja Jej Królewskiej Mości. Z drugiej strony mają większy budżet od nas i ich największym zmartwieniem jest konieczność czytania maili innych ludzi, a nie to, czy ich duszy nie wysie jakiś mackowaty potwór z innego wszechświata.

– Aha, i powinieneś wkładać krawat, kiedy występujesz publicznie – mówi Phil przepraszającym tonem na koniec tego całego cyrku.

– I idź do fryzjera – dodaje z uśmiechem Jane.

Dranie.

Dział zasobów ludzkich złośliwie zakwaterował mnie w pensjonacie prowadzonym przez szacowną parę socjopatów, niemłodych, wiernopoddańczo wyznających idee torysów, pana i panią MacBride. On jest łysy, kręci się po domu w kapciach i czyta „The Telegraph” pomrukując pod nosem ponuro o konieczności wprowadzenia kary śmierci, jako rozwiązania problemu fałszywych azylantów; ona nosi grube okulary w rogowych oprawkach i fryzurę, o której pamięć zaginęła w meandrach historii. Korytarze udekorowano tapetą z wyjątkowo obrzydliwym kwiatowym motywem, a cały budynek cuchnie kulkami przeciw molom. Jediną oznaką tego, że mamy jednak dwudziesty pierwszy wiek, jest tania i brzydka kamera telewizji przemysłowej na klatce. Próbuję nie dygotać z obrzydzenia, gdy wlokę się na górę do mojego pokoju i zamykam na klucz drzwi, by przystąpić do wieczornego rytuału: telefonu do Mo i partyjki „Cywilizacji” na palmtopie, który udało mi się wydobyć z biura ochrony, gdy wychodziłem.

– Mogło być gorzej – pociesza mnie Mo. – Przynajmniej twój gospodarz nie ma skrzeli i zielonkawej skóry.

Następnego ranka udaje mi się wcisnąć do porannego pociągu do Londynu, przetrwać tłok w godzinie szczytu i jakoś wkręcić się na miejsce w pociągu do Milton Keynes; jest wypchany jaskrawo ubranymi niemieckimi turystami i ich plecakami oraz zdenerwowanymi biznesmenami w drodze na lotnisko Luton, ale wysiadam wcześniej i łapię taksówkę do kwatery gliniarzy. – „Od wyjścia do pubu w sobotnią noc lepsze jest rysowanie długopisem po podeszwie kapcia” – śpiewa smutno w moim iPodzie lider zespołu Pół Człowiek Pół Herbatnik, a ja jestem skłonny się z nim zgodzić, z jednym zastrzeżeniem: sobotnie wieczory w pubie są funkcjonalnym odpowiednikiem ponurych czwartkowych poranków na komisariacie policji.

– Czy jest inspektor Sullivan? – pytam w biurze obsługi interesantów.

– Chwileczkę.

Wąsaty konstabl ogląda starannie mój identyfikator, świdruje mnie wzrokiem, jakby miał nadzieję, że zaraz się załamie i przyznam do popełnienia serii niewykrytych dotąd włamań, po czym odwraca się i maszeruje na hałaśliwe zaplecze za rogiem korytarza. Zostawia mnie na chwilę tak krótką, że udaje mi się tylko przeczytać po raz drugi surrealistyczne plakaty o zapobieganiu przestępczości („Czy twoi sąsiedzi polują na gady z Planety Zielonych Kaloszy? Poinformuj nas o tym, możesz to zrobić korzystając z bezpłatnej infolinii!”) i już drzwi otwierają się z hukiem, po czym wpada kobieta o zawziętym wyrazie twarzy, odziana w szary kostium. Wygląda tak, jakby wyglądała Annie Lennox, gdyby wstąpiła do policji, została raz albo dwa sieknięta szklanym „tulipankiem” a poprzedniego wieczora spożyła naprawdę podejrzane curry.

– Dobra, gdzie jest ten żartowniś? – dopytuje się. – To ty. – Celuje we mnie kościstym palcem. – Jesteś z... – ogląda mój identyfikator. – Ożeż, cholera. Jeffries, Jeffries, ty skurczybyku, wrobiłeś mnie! – rzuca przez ramię. – Ale czym ja się właściwie przejmuję. – Znów zwraca się do mnie. – To ty jesteś tym agentem, przez którego przedwczoraj wyciągnęli mnie z łóżka bladym świtem po nocnej zmianie. Ten cały burdel jest twój?

Nabieram głęboko powietrza.

– W równym stopniu mój i pani. Właśnie wróciłem z... – odchrząkuję – i mam rozkaz znalezienia inspektora J. Sullivana i zawleczenia go do pokoju przesłuchań. – Trzymam w myślach kciuki. – Co oznacza „J”?

– Josephine. A jeśli już o tym mówimy, to detektywa inspektora. – Podnosi barierkę. – W takim razie niech pan włazi. – Josephine wygląda na zmęczoną i rozdrażnioną. – Gdzie jest pana druga karta identyfikacyjna?

– Moja druga... och. – Wzruszam ramionami. – Nie pokazujemy ich na prawo i lewo, jeśli któraś zginie, może dojść do katastrofy. Każdy, kto ją znajdzie, może naruszyć postanowienia części trzeciej, w najlepszym razie. Że nie wspomnę o zagrożeniu dla jego nieśmiertelnej duszy.

– Wszystko gra, podpisałam oświadczenie zgodnie z częścią trzecią. Krwią. – Patrzy na mnie, unosząc brwi.

– Paragraf drugi? – pytam, żeby się upewnić, czy nie blefuje.

Potrząsa głową.

– Nie, paragraf trzeci.

– Pas, pani inspektor. – I wtedy pokazuję jej kartę identyfikacyjną, taką, jak ona naprawdę wygląda, taką, jak dociera do mózgu widza i wykręca mu synapsy, że robi mu się niedobrze na samą myśl o kwestionowaniu jej prawdziwości. – Zadowolona?

Kiwa lekko głową: luźna z niej kobieta. Problem z trzecią częścią ustawy o tajemnicy służbowej polega na tym, że wiedza o jej istnieniu jest wykroczeniem, jeśli jej się nie

podpisało. Krwią. Więc my, którzy się podpisaliśmy, teoretycznie mamy prawo rozmawiać o takich ściśle tajnych niuansach pracy Pralni, jak częstotliwość odwiedzin sprzedawcy kanapek, ale w praktyce nie możemy poruszać tych tematów bezpośrednio. Powinniśmy jakoś się rozpoznawać, ale w terenie to zwykle zawodzi. To trochę jak z owcą lesbijką; owce dają do zrozumienia, że są podniecone, stojąc i czekając, aż ktoś ich dosiądzie i trudno jest rozpoznać, czy ktoś... no wiecie. Czy ma uprawnienia.

– Zapraszam – mówi tonem odrobinę mniej wrogim – po drodze możemy złapać jakąś kawę.

Pięć minut później siedzimy z notesem, telefonem i zabytkowym magnetofonem, przy którym pewnie Smiley przesłuchiwał Karłę, dawno temu, w czasach, kiedy mężczyźni byli prawdziwymi mężczyznami, a owce lesbijki żyły w strachu.

– Wolałabym, żeby to było coś ważnego – marudzi Josephine, parokrotnie pstrykając przerażająco nowoczesnym dozownikiem do słodziku nad czarną kawą rozpuszczalną. – Mam tu złodzieja recydywistę, dwa gwałty, serię włamań do samochodów, nieuchwytnego włamywacza, który oddaje mocz w domach towarowych, i wreszcie bandę wieśniaków z Zachodniego Yorkshire, którzy prowadzą jakiś audyt komputerowy – to chyba twoja sprawka. Grzebanie się w archiwum X jest mi teraz potrzebne jak dziura w moście.

– Tak, rozumiem, że to ważne. I mam nadzieję, że zdejmę to pani z głowy najszybciej, jak się da. Chciałbym tylko na początek wyjaśnić parę rzeczy.

– Hmm. Co chce pan wiedzieć? W tym roku mieliśmy tylko dwa zgłoszenia o zauważeniu latającego spodka i sześć porwań przez UFO. – Unosi w górę jedną brew, zaplata ręce i układa ramiona w obronnym geście. Kto by pomyślał? Rozmowa z kimś z góry sprawia, że pani detektyw, samica alfa, zaczyna się zachowywać defensywnie. – Nie mam na to całego dnia. Muszę być w południe na odprawie i odebrać syna ze szkoły o czwartej.

Z drugiej strony przychodzi mi do głowy, że ona może rzeczywiście jest zajęta.

– Tak na początek, czy ma pani jakieś zeznania świadków albo nagrania z kamer z miejsca zdarzenia? I czy udało się zidentyfikować krowę i ustalić, jak ona się tam znalazła?

– Świadców brak, przynajmniej do godziny trzeciej, kiedy to Vernon Thwaite wyprowadzał należącego do jego dziewczyny miniaturowego pudła, który miał sraczkę. – Krzywi się, a wtedy blizna na jej zmarszczonym czole staje się widoczna. – Jeśli pan chce, możemy razem przejrzeć raporty zespołów. Jak sądzę, właśnie w ten sposób się o tym dowiedzieliście?

– Można tak powiedzieć. – Zanurzam w kawie tanią łyżeczkę z IKEA i po kilku sekundach zaczynam ją dyskretnie oglądać, szukając na metalu śladów korozji. – W helikopterach dostaję mdłości. Zwłaszcza po nocnym alarmie, kiedy chciałem trochę dłużej pospać rano. – Niewiele brakuje, żeby się uśmiechnęła, ale przypomina sobie, że oficjalnie jest na mnie zła. – Dobrze, nie mamy wcześniejszych zgłoszeń. Co jeszcze?

– Nie ma materiałów z kamer – mówi, kładąc ręce płasko na stole po obu stronach kubka

i przyglądając się skórkom przy paznokciach. – Nic. W jednej sekundzie jest zero zero dwadzieścia sześć, w następnej zero siedem czternaście. Liczby, które należy sobie wyryć na piersi. Dennis, nasz działowy maniak komputerowy, najbardziej martwił się o MKSG – to spółka publiczno-prywatna z regionalnego sektora monitoringu.

– Zero zero dwadzieścia sześć do zero siedem czternaście – powtarzam, wstukując te informacje na palmtopie. – MKSG. Dobrze, to się przyda.

– Naprawdę? – Przechyliła głowę na bok i gapi się na mnie, jakbym był muchą, która wpadła jej do kawy.

– Taaa – kiwam głową i mówię sobie w duchu, że musiałbym być niezłym durniem, żeby drażnić się z nią bez powodu. – Przepraszam. Chciałem tylko powiedzieć, że interesuje mnie wszystko, co się stało z kamerami, jak i z krową. Jeśli pani dowie się czegoś na ten temat, zwłaszcza, czy ktoś przy nich nie grzebał, to bardzo proszę mnie o tym poinformować. A tymczasem – Mućka. Wie pani, skąd się wzięła?

– Tak. – Nie uśmiecha się, ale nie trzyma już ramion zaplecionych tak kurczowo. – To numer dwa sześć trzy z farmy mlecznej Emmett-Moore Ltd., niedaleko Dunstable. Czy może raczej była numerem dwa sześć trzy jeszcze trzy dni temu. Zaczynała się już starzeć, więc została sprzedana lokalnej rzeźni razem z siedmioma innymi krowami. Sprawdziłam pozostałe siedem i pojawią się w pańskim zestawie McHappy McMeal gdzieś w przyszłym miesiącu. Z wyjątkiem Mućki. Jakiś farmer przejeżdżał Range Roverem z przyczepką, zajrzał i zapytał, czy nie jest na sprzedaż. Zabrał ją i powiedział, że jego znajomy rzeźnik się nią zajmie.

Aha! I jeszcze mam niezły most na sprzedaż. Pociąga łyk kawy i znów zaczyna ostrzeliwać ją słodzikiem. Reaguję odruchowo, wlewam sobie do ust solidny łyk, parząc sobie przy okazji język.

– Okazało się, że nie mamy w dokumentach farmera Gilesa z Ham, Bag End, Shire. Ale na podwórku mieli kamerę i złapała obraz Range Rovera. Następnego dnia odnalazł się porzucony na przedmieściach Leighton Buzzard. W systemie HOLMES2 figuruje jako skradziony. Teraz stoi na parkingu policyjnym kawalek dalej przy tej samej ulicy; sprawdziliśmy odciski palców, ale niczego nie znaleźliśmy, a nie mamy pieniędzy, żeby wysłać oficera dochodzeniowego i zespół ekspertów do każdego skradzionego samochodu, na jaki się natkniemy. Ale gdyby pan wykręcił mi rękę i obiecał mi na to jakieś środki, a potem poszedł się o to wyklócać z moim szefem, to może dałoby się coś zrobić.

– To raczej nie będzie konieczne, mamy swoje sposoby. Ale mogłaby pani wysłać tam kogoś ze mną? Wykonam parę odczytów i nie będę już przeszkadzał, no może tylko trochę w sprawie Mućki. Jak to wygląda?

– Och, coś znajdziemy. Jak dotąd mamy to w archiwum pod „P”, jako „pieprzona paranormalna paranoja”. Myślałam o tym, żeby oficjalnie ogłosić, że to było stare zwierzę nielegalnie zlikwidowane przez farmera, który nie chciał płacić za ubój.

– To brzmi całkiem nieźle – kiwam powoli głową. – A teraz chciałbym zagrać z panią w grę swobodnych skojarzeń. Dobrze? Dziesięć sekund. Kiedy wypowiem jakieś słowa, proszę powiedzieć, co się pani z nimi kojarzy. Dobrze?

Wygląda na zaskoczoną.

– Czy to jest...

– Proszę posłuchać. Przypadek-zielony-koszmar-spojrzenie-skorpionia-Maginot-błękitne-gwiazdy. Z mocy uprawnień nadanych mi przez wysłanników Yghonzzh N’hai dysponuję mocą pętania i uwalniania, a twój język będzie spętany i nie wymówisz ani słowa o tym, o czym tu rozmawialiśmy, do chwili, aż znów usłyszysz te słowa: Przypadek-zielony-koszmar-spojrzenie-skorpionia-Maginot-błękitne-gwiazdy. Jasne?

Patrzy na mnie, zezując i usiłuje coś powiedzieć, w końcu przygląda mi się, coraz bardziej rozzłoszczona, aż udaje jej się wyrzucić z siebie:

– Hej, co to za gówno?

– To tylko środek ostrożności – odpowiadam, a ona patrzy na mnie, coś gulgocze, a ja dopijam kawę; dopiero wtedy dociera do niej, że po prostu nie jest w stanie wymówić ani słowa na ten temat. – Dobrze – mówię. – A teraz coś takiego. Ma pani moją zgodę na ogłoszenie, że to była po prostu porzucona krowa. Może pani swobodnie o tym wszystkim rozmawiać ze mną, ale z nikim więcej. Jeśli ktokolwiek będzie zadawał pytania i nie dawał się spławić, proszę przekazać go mnie. To także dotyczy pani szefa. Może pani tylko mówić, że nie może pani niczego powiedzieć.

– Kutas – syczy i gdyby spojrzenie mogło zabijać, byłbym już małą kupką tłącego się popiołu na podłodze pokoju przesłuchań.

– Hej, przecież ja też jestem spętany czarem. Jeśli nie będę przekazywał tej klątwy, głowa mi eksploduje.

Nie wiem, czy mi wierzy, ale przestaje walczyć i ze znużeniem kiwa głową.

– Niech pan powie, czego chce, a potem znikaj z mojego podwórka.

– Chciałbym tylko, żeby ktoś podrzucił mnie na policyjny parking. Żebym mógł posiedzieć sobie przy kole tego Range Rovera. Tomik wierszy, dzban wina, palma daktylowa i... przepraszam, nie ta bajka. Załatwi to pani?

Wstaje.

– Sama pana tam zawiozę – stwierdza lapidarnie. – Idziemy.

* * *

Jazda na policyjny parking to dwadzieścia pięć minut jadowitej ciszy; siedzę na tylnym siedzeniu nieoznakowanego radiowozu, który prowadzi konstabl Routledge, a detektyw inspektor Sullivan siedzi z przodu, traktując mnie równie sympatycznie, jak seryjnego mordercę. Do tego momentu udaje mi się przewyciężyć pogardę do samego siebie – w tej

pracy człowiek szybko się tego uczy. Angleton użyłby mojej głowy w charakterze breloczka do kluczy, gdybym nie zadbał o zapobieganie wszystkim możliwym przeciekom, a czar wiążący język jest o wiele łagodniejszy niż większość narzędzi, jakie mam do dyspozycji, ale mimo to czuję się jak łajdak. Z wielką ulgą wysiadam więc z samochodu i rozprostowuję nogi na błotnistym żwirze parkingu w siąpiącym deszczu.

– Gdzie jest ten samochód? – pytam niewinnym tonem.

Josephine ignoruje mnie.

– Bill, jedź na Bletchley Way i zabierz stamtąd torbę z dowodami Dougala do przypadku Hayesa. Potem wróć tu i zabierz nas – zwraca się do kierowcy, a następnie do cywilnego ochroniarza: – Szukamy BY 476 ERB. Przywieźli go wczoraj, Range Rover. Gdzie on jest?

Znudzony ochroniarz o tępej twarzy prowadzi nas po błocie, przez labirynt samochodów z naklejkami z napisem POLICJA na przednich szybach, po czym wskazuje gestem zapelnioną do połowy alejkę.

– To ten? – pyta Josephine, a on podaje jej kluczyki. – Dobrze, możesz spłynąć.

Rzuca jedno spojrzenie na jej twarz i szybko się oddala. Trochę żałuję, że nie mogę do niego dołączyć – detektyw inspektor czy nie, zobligowana do zachowywania się godnie w obecności cywili jako starszy rangą oficer czy nie, detektyw inspektor Sullivan wygląda, jakby była w nastroju do odgryzania głów kurczętom. Albo agentom operacyjnym Pralni, jeśli tylko znajdzie jakikolwiek pretekst.

– Tak, to ten – wyciąga rękę z kluczykami i potrząsa nimi niecierpliwie. – Jak pan skończy, zabiorę je, i będę się zmywać. Muszę poprowadzić odprawę, tajemniczy sikacz w centrach handlowych, rozumie pan.

– Nie tak szybko. – Rozglądam się dookoła. Parking otacza wysokie ogrodzenie z drutu, a przy bramie jest biuro w rozpadającej się pakamerze: kamera patrzy na nas z ruchomego statywu zamocowanego na maszcie sterczącym z dachu. – Kto jest na drugim końcu tej instalacji?

– Pewnie ochroniarz pilnujący bramy – mówi, patrząc w ślad za moim palcem. Kamera obserwuje wjazd i nie rusza się.

– Dobrze, w takim razie proszę otworzyć.

Uruchamia pilota i otwiera drzwi, a ja nie spuszczam oczu z kamery, gdy Sullivan sięga do klamki i ciągnie za nią. *Czy mogłem się mylić?*, zastanawiam się, czując, jak krople deszczu spływają mi po karku. Otrząsam się zauważywszy, że na mnie patrzy, po czym wyciągam palmtopa, wpełzam na fotel kierowcy, umieszczam kieszonkowy komputer na kierownicy i wprowadzam kilka poleceń. To, co widzę, sprawia, że zaczynam potrząsać głową. Ktoś, kto ukradł ten samochód, może i usunął odciski palców, ale nie miał pojęcia o usuwaniu śladów paranormalnych – nie skorzystał z tarczy w postaci samobójcy ani nie zmusił paranoidalnego schizofrenika, by posłużył jako kierowca. Skaner rejestruje potężne echo emocjonalne, a ręce, które prowadziły ten samochód jako ostatnie, aż drżały z

przerażenia i strachu przed byciem złapanym. Rejestruję wszystko i odkładam palmtopa; już mam otworzyć schowek na rękawiczki, kiedy coś skłania mnie, żebym spojrział na główną drogę, za ogrodzenie z siatki i wtedy...

– *Uważaj! Na ziemię!*

Wyskakuję i padam na wilgotny żwir. Josephine rozgląda się, więc sięgam i podcinam jej nogi. Wrzeszczy, pada ciężko na bok i próbuje mnie kopnąć, po czym za mną rozlega się głośnie „bum” i czuję falę żaru, jakby ktoś otworzył drzwi nagrzanego piekarnika.

– Kurwa mać! – dopiero po chwili dociera do mnie, że to ja tak przeklinam; szukam po omacku torby, rozrywam ją i rozpaczliwie próbuję równocześnie wygrzebać malutki pazur i jednorazową zapalniczkę. Pstrykam kółeczkiem zapalniczki i dokładnie w tym samym momencie czuję jakby uderzenie młota po wewnętrznej stronie prawego uda.

– *Skurwiel!*

– Przestań! – dyszę i czuję zapach oparów benzyny; słyszę trzaskający huk. Zapalam gołębi pazur, cuchnie płonąca keratyna, pali się widmowy płomyk, a ja leżę w zimnej, wilgotnej kałuży i jestem bliski zesrania się z przerażenia. Obracam się. – *Nie ruszaj się!*

– Skurwiel! Co... hej, co tam się pali?

– Nie ruszaj się – dyszę znowu, unosząc w górę miniaturkę Dłoni Chwały. Kamera monitoringu ruchu drogowego za ogrodzeniem wygląda, jakby wypadło jej szkło kontaktowe, ale ta na słupie nad dachem biura jest wycelowana w płonące opony Range Rovera. – Jeśli cię puszcze, zobaczą cię i będą chcieli cię zabić... o kurwa...

– Zabić? *Cooo?* – Patrzy na mnie z pobladłą twarzą.

– Ty tam! Schowaj się! – krzyczę na drugą stronę parkingu, ale ochroniarz w błękitnym mundurze mnie nie słyszy. W jednej sekundzie biegnie przez parking tak szybko, jak tylko pozwala mu na to wydatny zadek, a w następnej pada poczerniały, ze strużkami dymu wydobywającymi się z jego oczu, ust i uszu; jego ręce zamieniają się w pochodnie i odpadają, a zwęglony kadłub sunie po żwirze jak upiorny tobogan.

– O kurwa, o kurwa! – Wyraz jej twarzy zmienia się z sekundy na sekundę, od niedowierzania do rodzącego się przerażenia. – Musimy ściągnąć pomoc...

– Posłuchaj, *nie!* Nie ruszaj się!

Zastyga w miejscu na chwilę krótką jak uderzenie serca, a potem kolejną. Kiedy znów otwiera usta, jest nienaturalnie spokojna.

– Co się dzieje?

– Kamery – dyszę. – Posłuchaj, to jest Dłoń Chwały, tarcza niewidzialności. Teraz tylko ona utrzymuje nas przy życiu – w tych kamerach uruchomiło się SPOJRZENIE SKORPIONA. Jeśli nas zobaczą, już po nas.

– Czy ty...? Co z tym samochodem? Co się z nim stało?

– Opony. Są wykonane z gumy, a to jest węgiel. SPOJRZENIE SKORPIONA działa na wszystko, w czym jest dużo molekuł o długich łańcuchach węgla – może to być opona albo

krowa. Podpala je.

– O moja święta ciotko i ojciec święty...

– Trzymaj mnie za rękę. Musi być kontakt między twoją skórą a moją. Nie tak mocno. Mamy trzy albo cztery minuty, zanim Dłoń Chwały się spali. Skurwiele, *skurwiele*. Musimy się dostać do sterowni...

Następna minuta to koszmar; czuję kłująco-przeszywający ból w kolanie, na które upadłem, i w udzie, które kopnęła z całej siły Josephine – moje dżinsy nasiąkają zimną wodą, a skóra na karku, gdzie oberwałem uderzeniem gorąca zaledwie chwilę temu, zaczyna piec. Trzyma moją lewą rękę, jakby uczepiła się koła ratunkowego – cóż, tak jest w istocie, dopóki Dłoń Chwały się pali – chwiejnym krokiem, potykając się brniemy do wejścia do pakamery, gdzie mieści się biuro, najszybciej, jak możemy.

– Do środka – sapie. – W środku nas nie zobaczy.

– Taaak? – Wlecze mnie do wejścia; drzwi nie są zamknięte na zamek. – A nie możemy go obejść i wydostać się drugą stroną?

– Nie sędzę. – Pokazuje na budynek. – Tam jest szkoła.

– O kurwa. – Jesteśmy po drugiej stronie parkingu, poza zasięgiem kamery monitoringu ruchu drogowego, ale pod okapem szkoły znajduje się druga kamera, po drugiej stronie drogi, przy stalowej bramie. Dobrze, że dzieci są na lekcjach, bo to, co się tu dzieje, to koszmar każdego nauczyciela. Musimy ją dopaść najszybciej, jak to możliwe, bo jeśli rozlegnie się dzwonek ogłaszający przerwę obiadową... – Musimy najpierw odłączyć zasilanie kamery na dachu – mówię. – A potem wymyślić, jak się stąd wydostać.

– Co się dzieje? Jak to się stało? – Porusza ustami jak ryba wyciągnięta z wody.

Potrząsam głową.

– Przypadek-zielony-koszmar-spojrzenie-skorpion-Maginat-błękitne-gwiazdy, niech twój język zostanie uwolniony. Dobrze, mów. Przypuszczam, że mamy jakieś dwie-trzy minuty, żeby ją załatwić, zanim...

– Czy to była pułapka?

– Jeszcze nie wiem. Słuchaj, jak wejść na ten dach?

– Tam jest chyba jakiś świetlik? – pyta, wskazując.

– Taaak. – Odkąd pracuję w tym zawodzie, zawsze noszę przy sobie wielofunkcyjny scyzoryk Leathermana, wyciągam go więc i rozglądam się za jakimś krzesłem, które mógłbym ustawić na biurku, takie bez kółek i regulowanej wysokości. – Nie widziałaś tu może jakichś krzeseł, które mógłbym...

Nie muszę mówić nic więcej, jej doświadczenie detektywistyczne przydaje się w wymyślaniu, jak szybko dostać się na dach. Josephine po prostu podchodzi do drabiny stojącej w kącie między ścianą i zniszczoną szafką na akta i wyciąga ją.

– Czegoś takiego szukasz?

– Hm, tak. Dzięki. – Podaje mi drabinę i chwilę się z nią zmagam, zanim udaje mi się

wymyślić, jak ją ustawić. Jeszcze chwila żonglowania scyzorykiem i częściowo spaloną łapką gołębia. Patrzę na drabinę z powątpiewaniem.

– Daj mi to – mówi.

– Ale...

– Posłuchaj, to ja tu jestem od radzenia sobie z durnymi wandalami i łażenia po stromych dachach w poszukiwaniu rozwalonych świetlików, dobra? No i... patrz na dach – jeśli coś mi się nie uda, zadzwonisz do swojego szefa, żeby mu dać znać, co się dzieje.

– Aha – mruczę i podaję jej gadżety, po czym przytrzymuję drabinę, a ona wbiega po niej jak cyrkowy akrobata. Chwilę później rozlega się hałas, jakby stado małych słońatek tupowało po dachu; idzie w kierunku mocowania kamery. Kamera chyba jest na ruchomym statywie, ale może się poruszać tylko w pewnych granicach, a Josephine zdecydowanie znajduje się poniżej podstawy azymutowej – dopóki nie jest widoczna dla kamery monitoringu ruchu i kamery na szkolnym podwórku. Kolejny wstrząs, głośne stuknięcie i w pakamerze gasną światła.

Sekundę później Josephine pojawia się w otworze, najpierw stopy.

– Dobrze, to powinno starczyć – mówi. – Spięłam przewód zasilania z podstawą. – Hej, a światła...

– Chyba spięłaś coś jeszcze. – Trzymam drabinę, a ona schodzi na dół. – Unieruchomiliśmy tę na górze, to dobrze. Zobaczmy, czy nie znajdziemy sterownika.

Szybkie przeszukanie pakamery ujawnia parę zabawnych rzeczy, których nie spodziewałem się tu znaleźć, jak łącze ADSL podpięte do koncentratora policji regionalnej, komputer PC, na którym pracuje jakiś emulator terminala i jeszcze jedna dedykowana maszyna z obrazami z kamer w nakładających się oknach. Mam ochotę ich uściskać; podzlecili monitoring prywatnej firmie ochroniarzkiej, ale zostawili cały sprzęt w tej samej sieci szkieletowej. Kontrolki migoczą i piszczą jak szalone; cały system jest teraz zasilany z akumulatorów awaryjnych, ale to nie szkodzi. Wyciągam przyrząd diagnostyczny i grzebię pod biurkiem; w końcu udaje mi się wpiąć do koncentratora z zamiarem przechwytywania pakietów. Ledwo sekundę później urządzenie piszczy.

– Och, cudownie. Więc jeśli chodzi o połączenie z kamerami przez zapórę, to byłoby na tyle. – Odpinam się i wpinam ponownie, a potem przewijam kilkaset ekranów nieszyfrowanego komputerowego bełkotu wylapanego przez program do przechwytywania pakietów. – To wygląda obiecująco. Nie wychodziłbym jeszcze na zewnątrz, choć przypuszczam, że powinniśmy być bezpieczni.

– Wyjaśnij. – Jest o jakieś 10 cm niższa ode mnie, ale nagle dociera do mnie, że przebywam w niewielkiej pakamerze z wkurzoną i zmokniętą detektyw inspektor, która pewnie ma czarny pas w czymś tam albo jakąś śmiertcionośną broń i zaraz straci panowanie nad sobą. – Od tej chwili masz jakieś dziesięć sekund, żeby mi wszystko opowiedzieć. Albo dzwonię po wsparcie i twoja karta identyfikacyjna nic mnie nie obchodzi, wpakuję cię do celi

i będziesz tam siedział, aż wszystko mi powiesz. *Capisce?*

– Poddaję się. – W rzeczywistości wcale tego nie robię, ale wskazuję na palmtopa. – Przyznaję się do wszystkiego, pani inspektor. Patrz, tutaj ktoś okazał się o wiele za sprytny. Kamera na górze to zasadniczo osławiona kamera internetowa. To znaczy jest podpięta do serwera HTTP i do policyjnego intranetu za pośrednictwem szybkiego łącza internetowego. Co jakieś dziesięć sekund program w kwaterze głównej odpytuje ją i przejmuje ostatni obraz, rozumiesz? Poza tym pokaże to, na co ją wyceluje ten facet na dole. Tak czy inaczej, ktoś inny właśnie wysłał żądanie HTTP z załącznikiem w postaci pobrania niepokojąco dużego pliku i nie sądzę, żeby wasz dział IT miał w zwyczaju korzystać ze szkół podstawowych z Korei Południowej jako z serwera proxy, prawda? I zaporą, którą ktoś pokonał, nic innego. Cudnie! Wasze kamery zostały „prz3j3 t3” przez jakoś pieprzonego hakera amatora, ale oni wcale nie są tacy sprytni, jak im się wydaje, bo w przeciwnym razie wycięliby nagłówki, prawda? – Przystaję gadać i sprawdzam, czy zapisałem plik dziennika w jakimś bezpiecznym miejscu, po czym na wszelki wypadek wysyłam go sobie mailem do pracy. Dobrze. – Więc znamy ich adres IP i teraz trzeba ich namierzyć. Wystarcza trzydzieści sekund, żeby wyśledzić konto wdzwaniane jednego z dużych krajowych dostawców usług internetowych – jedno z anonimowych. Hmm. Jeśli chcesz mi pomóc, możesz załatwić mi nakaz z paragrafu S22 dla numeru telefonu, z którego korzysta to konto. Wtedy będziemy mogli przekonać firmę telefoniczną, żeby nam podała adres, złożymy im wizytę i spytamy, czemu zabili naszego przyjaciela breloczkiem do kluczy... – ręce mi się trzęsą od adrenaliny i zaczynam czuć złość, ale nie zwykłe, codzienne uczucie wkurzenia, autentyczną wściekłość i żądę zemsty.

– Zabili? Ach. – Uchyła drzwi i wygląda na zewnątrz: wygląda chorobliwie blado, ale udaje jej się nie porzygać. Twarda babka.

– To SPOJRZENIE SKORPIONA. Słuchaj, nakaz z paragrafu S22 najpierw, teraz to jest pierdolone dochodzenie w sprawie o morderstwo, prawda? W takim razie udajemy się z wizytą. Ale musimy to załatwić tak, żeby to wyglądało na wypadek, bo inaczej prasa nas dopadnie i nie będziemy w stanie już nic zrobić.

Zapisuję nazwę hosta, a ona dzwoni z komórki do kwatery głównej. Pierwsza syrena zaczyna wycić jeszcze zanim odbierze ode mnie kartkę i prosi o pomoc medyczną. Siedzę i patrzę na drzwi, kontemplując bałagan, czuję mętlik w głowie.

– Powiedz ludziom z pogotowia, że to dziwny przypadek uderzenia piorunem – mówię, gdy przychodzi mi do głowy taka myśl.

I wtedy dzwoni mój telefon.

* * *

Oczywiście póki co nie odwiedzamy żadnych hakerów morderców; policyjny parking

zamienia się w pokryte arkuszami białej folii miejsce zbrodni. Pojawia się fotograf i paru facetów z dochodzeniówki, a Josephine, która znalazła sobie pilniejsze rzeczy od opieprzania mnie, wzięła się za dyrygowanie nimi. Przebijam się przez całe ekrany zrzutów z tcpdump w dyżurce, kiedy to podjeżdża ten sam nieoznakowany radiowóz z konstabłem Routlegem za kółkiem i zupełnie nieoczekiwanym pasażerem na tylnym siedzeniu. Wysiada z samochodu i maszeruje w stronę pakamery, a ja gapię się na niego.

– Kto to jest? – pyta Josephine, która podchodzi i wtyka głowę przez okno.

Otwieram drzwi.

– Czołem, szefie. Szefie, to jest detektyw inspektor Sullivan. Josephine, to mój szef. Wejdiesz i usiądziesz?

Andy z roztargnieniem kiwa głową w jej stronę.

– Jestem Andy. Bob, wprowadź mnie w sprawę. – Rzuca jej spojrzenie, a ona przeciska się przez drzwi, które on zamyka za nią. – Czy pani...?

– Ona i tak już za dużo wie – wruszam ramionami. – A więc? – zwracam się do niej. – Teraz masz szansę się z tego wypłatać.

– Pieprzyć to. – Obrzuca niechętnym spojrzeniem najpierw mnie, potem Andy'ego. – Dwa dni temu był dziwaczny wypadek z krową, a dziś mamy śledztwo w sprawie morderstwa. Mam nadzieję, że nie przewidujecie panowie dalszej eskalacji, masakry terrorystyczne i broń biologiczna trochę wykraczają poza moje kompetencje, i chciałabym się dowiedzieć paru rzeczy. Jeśli to możliwe.

– Dobrze, wyjaśnimy pani – rzecze łagodnym tonem Andy. – Ty zacznij – zwraca się do mnie.

– Przedwczoraj o trzeciej trzydzieści ogłoszono alarm błękitny. Poleciałem, żeby rzucić okiem, znalazłem martwą krowę, którą załatwiono SPOJRZENIEM SKORPIONA – chyba że gdzieś po Milton Keynes grasuje bazyliiszek – wczoraj pojechałem na odprawę do naszych przyjaciół w Cheltenham, zostałem tam na noc i przyjechałem tu dziś rano. Krowę wykupiono z rzeźni i przetransportowano na miejsce przyczepą holowaną przez skradziony samochód, który potem trafił na ten policyjny parking. Inspektor Sullivan to nasz kontakt w policji – krąg zewnętrzny dwa, nie trzeba wiedzieć. Przywiozła mnie tutaj i wykonałem test plasterkowy, i wtedy ktoś strzelił w samochód – mamy dużo szczęścia, że przeżyliśmy. Zginął ochroniarz. No i, hm, zablokowaliśmy kamerę na dachu tak, że chyba uda się udowodnić wprowadzenie oprogramowania SPOJRZENIE SKORPIONA, i przechwyciłem trochę pakietów z przejętego hosta. Policyjny intranet, chroniony zaporami jak do piekła i z powrotem, został zaatakowany przez jakiegoś gówniarza za pomocą serwera szkoły podstawowej w Korei Południowej. Właśnie zamierzaliśmy złożyć intruzowi wizytę w realu i zadać mu kilka uprzejmych pytań, kiedy się zjawileś.

Ziewam, a Andy dziwnie na mnie patrzy. Wyjątkowy stres czasem tak na mnie działa, reaguję wyjątkowym zmęczeniem, a przez kilka ostatnich dni cały czas mam nerwy jak

postronki.

– Doskonale. – Andy z namysłem drapie się w brodę. – Mamy coś nowego.

– Coś nowego? – powtarzam.

– Tak. Dostaliśmy liścik od szantażysty.

Nie dziwię się, że spojrzenie ma nieco szkliste – musi być w szoku.

– *Szantażysty?* Co oni...?

– Przyszedł mailem z jakiegoś anonimowego serwera proxy w publicznym Internecie. Ktoś, kto go napisał, wie o projekcie MAGINOT BŁĘKITNE GWIAZDY i chce, byśmy wiedzieli, że mu się to nie podoba, szczególnie SPOJRZENIE SKORPIONA. Ale nic nie wskazuje na to, że wie o PRZYPADKU ZIELONY KOSZMAR. Dają nam trzy dni na anulowanie całego projektu, albo ujawnią to, cytuję, rozdmuchując najbardziej, jak się da, koniec cytatu.

– Niezłe gównno.

– Owszem, cuchnąca sprawa. Angleton nie jest zadowolony. – Andy potrząsa głową. – Prześledziliśmy wiadomość aż do hosta w Wielkiej Brytanii, do którego ktoś się wdzwonił...

Podaję mu kawałek papieru.

– Tego?

Patrzy na niego mrużąc oczy.

– Chyba tak. Poszperaliśmy trochę korzystając z uprawnień zgodnych z S22, ale to na nic, użyli przedpłaconej komórkowej karty SIM kupionej za gotówkę w supermarkecie w Birmingham trzy miesiące temu. Udało nam się tylko wyśledzić, że dzwoniący był gdzieś w centrum Milton Keynes. – Spogląda na Josephine. – Czy ty jej zaszczepiłeś...?

– Proszę posłuchać – mówi inspektor cicho, ale bardzo stanowczo. – Po pierwsze, wygląda na to, że to śledztwo w sprawie morderstwa, a teraz także i szantażowania instytucji rządowej, prawda? A gdyby to nie było oczywiste, to prowadzenie śledztwa w sprawach kryminalnych jest akurat moją specjalnością. Po drugie, nie podobają mi się wasze techniki knebłowania. Podpisałam jakiś papier, i jedyna możliwość przecieku pojawi się, jak zaczniecie wiercić we mnie dziurki. I wreszcie, jestem naprawdę wkurzona, bo zwozicie mnie w sprawie szczególnie ważnego incydentu, jaki miał miejsce na moim terenie, więc jeśli szybko nie zaczniecie odpowiadać na pytania, aresztuję was za marnowanie czasu funkcjonariusza policji. To jak będzie?

– Och, na litość boską – Andy przewraca oczami, po czym mówi bardzo szybko: – Poprzez wyrzeczenie się Dee i w imieniu Claudea Danseya niniejszym ogłaszam wykonanie rozdziału D paragraf szesnaście punkt dwunasty i powołuję panią do służby, teraz i na wieki. Dobrze, to tyle. Została pani powołana i niech dowolnie rozumiane bóstwo, w które pani wierzy, okaże miłosierdzie nad pani duszą.

– Zaraz. Chwileczkę. – Cofa się o krok. – Co tu się dzieje?

W powietrzu unosi się słaby odór płonącej siarki.

– Właśnie zaciągnęłaś się do Pralni – oznajmiam, potrząsając głową. – Pamiętaj, że próbowałem cię przed tym uchronić.

– Pralni? O czym ty mówisz? Myślałam, że jesteście z Cheltenham. – Odór siarki staje się coraz mocniejszy. – Hej, chyba coś się pali!

– Nic podobnego – mówi Andy. – Bob to później wyjaśni. Teraz wystarczy, jeśli pani zapamięta, że ostatecznie pracujemy dla tych samych ludzi, tylko mamy do czynienia z o wiele gorszym zagrożeniem niż zbuntowane państwka, terroryści z bronią atomową i tak dalej. Cheltenham to tylko historyjka pod publiczke. Bob, szantażysta zagroził, że załaduje SPOJRZENIE SKORPIONA do kamer w Stalowym Pierścieniu.

– O kurwa. – Przysiadam mocno na brzegu biurka. To tak bardzo niedobrze, że nawet nie chcę o tym myśleć. Stalowy Pierścień to sieć kamer monitoringu zamontowana dookoła centrum finansowego w ścisłym centrum Londynu pod koniec lat 90.; miała chronić przed terrorystycznymi atakami bombowymi. – Słuchaj, czy Angleton miał jeszcze jakieś...?

– Tak. Chce, żebyśmy jeszcze dziś pojechali do Site Able; to centrum badawcze, gdzie pracuje główny zespół programistów tworzących SPOJRZENIE SKORPIONA. Pani inspektor? Prosimy z nami. Jak powiedziałem, została pani powołana. Pani szef, czyli podkomisarz Dunwoody, dostanie pismo z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a tym, czy i kiedy wróci pani do swojej poprzedniej pracy, będziemy się martwić później. W tej chwili to śledztwo jest pani jedynym priorytetem. Site Able wywodzi się z jednostki biurowej mieszczącej się w strefie przemysłowej Kiln Farm i oficjalnie funkcjonuje jako filia amerykańskiej firmy programistycznej; w rzeczywistości jest to niesprywatyzowana pozostałość po DERA, hm, QinetiQ. To są ludzie zajmujący się projektami Q.

– Jak wy się będziecie brandzlowali tym idiotyzmem w sprawie spalonej krowy, ja muszę się zająć bandą złodziei samochodów, żeby... – Josephine potrząsa z roztargnieniem głową, podejrzliwie wciąga powietrze, po czym przestaje zmagać się z czarem. – *Ten zapach...* a po co mamy odwiedzać ludzi w Kiln Farm?

– Bo to oni są głównym zespołem, który stworzył SPOJRZENIE SKORPIONA – wyjaśnia Andy – a Angleton nie przypuszcza, żeby był to przypadek, że nasz szantażysta spalił krowę akurat w Milton Keynes. Uważa, że to miejscowi. Bob, jeśli dostaniesz namiar, może wystarczy, żeby zawęzić lokalizację do jednego budynku?

– Tak? – Josephine kiwa głową. – Ale musicie znaleźć osobę, która to zrobiła, i ewentualne bomby z zapalnikiem czasowym, a dowodów jest niewiele. – Nagle przychodzi jej do głowy jakaś myśl. – A co będzie, jak ich złapiecie?

Andy patrzy na mnie i krew ścina mi się w żyłach.

– Najpierw zobaczmy, czy w ogóle uda się ich znaleźć – improwizuję, próbując na razie uniknąć opowiadania jej o komisji audytowej; boję się, że dostanie szału, jak jej powiemy, w jaki sposób prowadzą śledztwo w sprawie nadużycia uprawnień służbowych, a potem musiałbym jej powiedzieć, że zapach czegoś płonącego to przedsmak tego, co ją czeka, jeśli

kiedykolwiek zostanie uznana winną niełojalności. (Zwykle znika po kilku minutach po przeprowadzeniu rytuału werbunkowego, ale tym razem jest wyjątkowo mocny).

– Na co czekamy? – pytam. – W drogę!

* * *

Na początku była Agencja Badawcza ds. Techniki Obronnej (Defense Engineering Research Agency, DERA). DERA była miejscem, gdzie siedzieli jajogłowi opłacani przez rząd Jej Królewskiej Mości i wymyślali jajcarskie zabawki, jak czołg z pancerzem z tworzywa sztucznego, nieporęczne palmtopy z układami scalonymi z lat 80., tak wytrzymałe, że mogła po nich przejechać ciężarówka, i monitory pracy serca płodu, żeby następna generacja żołnierzy mogła rosnąć zdrowo. I słuchajcie, kiedy w dynamicznej atmosferze przedsiębiorczości na początku lat 90. do władzy doszedł nowy rząd z obsesją doprowadzenia do triumfu nowego socjalizmu przez prywatyzację poczty i systemów kontroli lotów, DERA nie miała więc wielkich szans. Została przechrzczona na QinetiQ przez jakiegoś bezimiennego geniusza marketingu, który zmienił Poczta Królewską w Consignia, a Virgin Trains w firmę karma.dla.debili kropka com i generalnie chyba miał zamiar sprzedać ją dowolnemu oferentowi, który proponowałby niezłe pieniądze i nie mówił z wyraźnym irackim akcentem.

Jednakże...

Poza tworzeniem zwykłych zabawek DERA zajmowała się pracami badawczo-rozwojowymi dla Pralni. Rodowód wydziału Q sięga aż SOE, działu brudnych sztuczek wojennych – zatrute pióra, zestawy do ucieczki w obcasach butów, zdechłe szczury wypełnione materiałem wybuchowym – cały arsenał zabawek Jamesa Bonda. Od lat 50. wydział Q zaopatrywał Pralnię w bardziej ezoteryczny sprzęt: siatki do wywoływania duchów, strzelby na bazyliuszka, wyrocznie Turinga, samodostrajające pentagramy, samonapełniające kufle z piwem i tym podobne. Wydział Q, który z każdym rokiem coraz bardziej specjalizował się i dziwaczał, był zbyt tajny, by można było go sprzedać – w przeciwieństwie do większości badań QinetiQ wszystko co robili było utajnione tak głęboko, że trzeba by użyć batyskafu, by do tego dotrzeć. A zatem, gdy QinetiQ została wystawiona na sprzedaż, wydział Q został wyodrębniony i oddzielony: mała twierdza w morzu komercji, która już na wieki miała pozostać terytorium służby publicznej.

Detektyw inspektor Sullivan wychodzi z pakamery jak automat o obojętnej twarzy i cierpkim tonem wydaje swojemu ulubionemu kierowcy polecenie, żeby zabrał nas do Site Able, a potem zmył się udając, że ma coś ważnego do załatwienia. Siada sztywno z przodu, a Andy i ja wskakujemy do tyłu i jedziemy w milczeniu – nikt nie ma ochoty na prowadzenie towarzyskiej konwersacji.

Przez kwadrans pędzimy głównymi drogami, a potem nieomal polnymi drogami, przy

których stoją identyczne domy z czerwonej cegły, zdobione antenami satelitarnymi i płotami z niepomalowanej sosny, aż docieramy do starszej części miasta, gdzie budynki wyglądają inaczej, a ścieżki rowerowe nie są oddzielnymi wytyczonymi trasami, lecz paskami wymalowanymi z boku jezdni. Rozglądam się dookoła ciekawie, usiłując znaleźć jakieś punkty charakterystyczne.

– Czy nie jesteśmy przypadkiem blisko Bletchley Park? – pytam.

– To parę mil stąd – odpowiada kierowca, nie odrywając rąk od kierownicy. – A chce pan tam zajrzeć?

– Niekoniecznie teraz.

W Bletchley Park podczas wojny znajdowała się siedziba operacji Ultra, wydziału, który potem przekształcił się w GCHQ – to ludzie, którzy budowali komputery Colossus, pierwotnie używane do łamania niemieckich szyfrów, a potem przekazane Pralni, która użyła ich do bardziej okultystycznych celów. Dla nas, agentów, jest to święte miejsce; spotkałem paru ludzi z NSA, którzy chcieli je odwiedzić tylko po to, by przesznułować potem do domu w obcasie garść żwiru. W każdym razie i tak najpierw musimy odwiedzić brytyjskie biuro Dillinger Associates.

Dillinger Associates to nazwa, która służy za przykrywkę dla satelickiego biura wydziału Q. Siedziba okazuje się neoklasycystycznym budynkiem z cegły i szkła, z dwoma pretensjonalnymi sztucznymi kolumnami, obrośniętym przywiędłym bluszczem, który zmuszano, by piął się po fasadzie brutalnym aplikowaniem hormonów roślinnych. Wysypujemy się z samochodu na podwórko między nieczynną fontanną a szklanymi drzwiami, a ja ukradkiem uruchamiam moduł lokalizacyjny na moim PDA i szukam jakichkolwiek oznak dopasowania. Nic. Mrugam i odkładam go w samą porę, by dogonić Andyego i Josephine idących w kierunku recepcjonistki, tlenionej blondynki, która siedzi za wysokim drewnianym kontuarem i cały czas pisze; wygląda nienaturalnie, jak manekin na wystawie sklepu.

– Witam Dillinger Associates czy mogę służyć? – Patrzy na Andyego i trzepocze rękami w znudzony, profesjonalny sposób, nie odrywając rąk od stojącej przed nią klawiatury komputera. Jest w niej coś dziwnego, ale nie potrafię określić, co.

Andy macha jej przed oczami kartą identyfikacyjną.

– Chcielibyśmy zobaczyć się z doktorem Vossem.

Długie palce recepcjonistki z pomalowanymi na czerwono paznokciami przestają się poruszać i zawisają nad klawiaturą.

– Naprawdę? – pyta obojętnym tonem i sięga pod biurko.

– Chwileczkę – odzywam się, ale Josephine robi gwałtowny krok do przodu i opuszcza chusteczkę na kamerę internetową umieszczoną na górze monitora stojącego przed kobietą. Rozlega się ciche stuknięcie i nagle zauważam, że komputer przestał szumieć. Okrażam biurko i sięgam w jej kierunku dokładnie w tej samej sekundzie, kiedy Andy wyciąga pistolet

z absurdalnie grubą lufą i strzela do kamery na tylnej ścianie recepcji. Rozlega się potworny, rozdzierający dźwięk, przypominający odgłos rozszarpywanego mięsa, gdy recepcjonistka wygina się w bok, i uświadamiam sobie, że ona nie siedzi na żadnym krześle – w miejscu, gdzie powinny być uda, wyrasta z cokołu przymocowanego do podstawy z poczerńiałego od starości drewna, przykręconego do podłogi grubymi, mosiężnymi śrubami pośrodku srebrnego, metalicznego pentagramu z przewodami poprowadzonymi od jednego z narożników do komputera na biurku. Otwiera usta i syczy: jej język jest jasnoblękitny i rozwidlony.

Uderzam się w ramię padając na podłogę; jest irytująco twarda. Sięgam po najbliższy przewód. Czerwone paznokcie sięgają w moją stronę, a jej oczy zwężają się w szparki; porusza mięśniami szczęki, jakby zbierała w ustach ślinę, by splunąć. Chwytam najgrubszy przewód i szarpnię; z jej ust wydobywa się wysoki, zadziwiająco ludzki krzyk.

Co to, kurwa, jest? – myślę, patrząc jak pomalowane na czerwono paznokcie wydłużają się i rosną. Znow szarpnię za przewód i udaje mi się wyrwać go z pentagramu. Z drewnianej skrzyni wycieka gęsty, zabarwiony na niebiesko płyn i rozlewa się po wykładzinie. Krzyk milknie.

– Lamia – stwierdza lapidarnie Andy. Podchodzi do drzwi przeciwpożarowych, które wychodzą na korytarz, unosi ten absurdalnie gruby pistolet i strzela w górę. Spadają krople czerwonego deszczu.

– Co się dzieje? – pyta oszołomiona Josephine, patrząc na wijącą się, powoli umierającą recepcjonistkę.

Celuję w nią moim PDA i stukam, by uzyskać odczyt. Niewiele, ale powyżej zera.

– Mam częściowy odczyt! – krzyczę do Andy'ego. – Gdzie jest reszta? Czy tu nie powinni być jacyś ludzie?

– Nie mam pojęcia – wygląda na zmartwionego. – Jeśli tak to wygląda na samym początku, mleko już się wylało. Angleton nie przewidział, że będą jawnie stawiać opór.

Jakieś inne drzwi otwierają się z hukiem i wpada przysadzisty facecik w średnim wieku. Ma na sobie tani szary garnitur i modną trzydniową szczecinę na twarzy.

– Kim jesteście i co to ma znaczyć? To własność prywatna, a nie hala do rozgrywek w paintballa! Co to za bałagan? Dzwonię po policję!

Josephine budzi się z transu i robi krok do przodu.

– Ja jestem z policji – oświadcza. – Jak się pan nazywa? Czy chce pan złożyć skargę? Jeśli tak, słucham.

– Ja... – Jego wzrok pada na demoniczną recepcjonistkę, która przestała się już wic i zwisa z podestu jak morderczy sklepowy manekin. Robi przerażoną minę. – Wandale! Jeśli uszkodziliście jej...

– Chyba nie tak bardzo, jak ona planowała nas uszkodzić – mówi Andy. – Lepiej powiedz, kim jesteś. – Andy wyciąga identyfikator i wydaje mu polecenie ujawnienia jego

prawdziwej natury: – Z mocy uprawnień nadanych mi przez...

Szybko przechodzi do rzucania czaru i dziesięć sekund później pan grubasek – w rzeczywistości dr Martin Voss – siedzi na jednej z tych niewygodnych modnych sof z chromowanych rurek i skóry, zaś Andy zadaje pytania i nagrywa je na dyktafon. Voss mówi monotonnie, widać, że pod przymusem, z jednego kącika ust płynie mu struzka śliny, a odór siarki miesza się z apetyczną nutą pieczeni wołowej. Po wszystkim, co mogłoby skrywać kamerę, spływa czerwony barwnik z wystrzelonej przez Andy'ego kulki paintballowej; kazał mi też uszczelnić wszystkie drzwi rolką czegoś, co wyglądało jak taśma do rur albo taśma używana przez policję do oznaczania miejsca zbrodni, tylko że wytłoczone na niej symbole nabrzmiewają czernią, a jeśli ktoś próbuje skupić na nich wzrok, łzy zaczynają płynąć mu do oczu.

– Powiedz, jak się nazywasz i jakie zajmujesz stanowisko w tej placówce.

– Voss. Martin Voss. Kie... kierownik zespołu badawczego.

– Ilu członków liczy ten zespół? Kim są ci ludzie?

– Dwunastu. Gary. Ted. Elinor. John. Jonathan. Abdul. Mark...

– Na tym poprzestańmy. Kto z nich tu jest? Czy kogoś dziś nie ma w biurze?

Walczę z moim palmtopem, czasem zezując na nich, gdy grzebię przy kontrolkach detektora. Brak jednak śladów rezonansu metaspektralnego; przeszukiwanie pod kątem wzorca osoby, która ukradła Range Rovera w tym budynku nie daje wyników. Co jest frustrujące, bo mamy tu jego szefa (z jakiegoś powodu jestem pewien, że to on), powinna więc zadziałać sieć współczulna.

– Są wszyscy poza Markiem. – Śmieje się, prawie histerycznie. – Wszyscy są tutaj poza Markiem! Mark!

Rzucam spojrzenie detektyw inspektor Sullivan, która przeistoczyła się w detektywa badającego łamię. Wydaje mi się, że na jakimś instynktownym poziomie zaczęła łapać, że to nie jakiś biurokratyczny cyrk z Whitehall próbuje jej utrudnić życie. Wygląda, jakby miała solidne mdłości. Panuje upiorna cisza, która jest niepokojąca. *Dlaczego pozostali członkowie zespołu nie pojawili się, żeby sprawdzić, co się stało?* – zastanawiam się nad tym, patrząc na zaklejone taśmą drzwi. *Może wyszli tylnymi drzwiami i czekają na nas na zewnątrz. Albo może po prostu nie mogą wychodzić na światło dzienne.* Odór palącego się mięsa staje się coraz silniejszy: Voss zaczyna się trząść, gdy próbuje nie odpowiadać na pytania Andyego.

Podchodzę do lamii.

– To nie jest człowiek – wyjaśniam cicho. – I nigdy nie był. To jest jedna z rzeczy, w których się specjalizują. Budynek jest chroniony różnymi zabezpieczeniami i to jest po prostu część systemu zabezpieczeń, element przeznaczony do bezpośredniego kontaktu z intruzami.

– Ale... ale ona mówiła...

– Tak, ale to nie jest człowiek. – Pokazuję jej grubą wiązkę kabli łączącą komputer z pentagramem. – Patrz, to jest interfejs sterowania. Umieszczony tu komputer ma stabilizować

i ograniczać obwód Dho-Nha, który wiąże w tym miejscu istotę z De-przestrzeni. Sama istota – to jest lamia – jest uwięziona w skrzyni, która zawiera, hm, inne elementy. I jest zmuszona do wykonywania pewnych poleceń. Które nie oznaczają niczego dobrego dla nieproszonych gości. – Dotykam głowy i grzebię palcami w grubych jasnych włosach, po czym ciągnę. Rozlega się trzask otwieranego zapięcia na rzep i peruka odpada, ukazując pod spodem pokrytą łuskami skórę głowy. – Widzisz? To nie człowiek. To lamia, rodzaj demona, którego można spętać, by działał jako element pierwszego kontaktu w solidnie zabezpieczonej instalacji z ukrytymi...

Udaje mi się zejść z linii ognia, gdy Josephine zwraca cały obiad prosto na kosztowne biurko z bielonej sosny. Nie mam do niej o to pretensji. Sam jestem trochę rozdygotany – ten dzień naprawdę kiepsko się zaczął. I wtedy zauważam, że Andy daje mi znaki.

– Bob, kiedy już skończysz przyprawiać o mdłości panią inspektora, mam dla ciebie robotę – mówi głośno.

– Taaak? – pytam, prostując się.

– Chcę, żebyś otworzył te drzwi, poszedł tamtym korytarzem do drugiego pomieszczenia na prawo, nie zatrzymując się, żeby oglądać ciała leżące po drodze, i otworzył je. W środku jest główny wyłącznik prądu. Wyłącz zasilanie.

– Czy ja przypadkiem nie widziałem na własne oczy, jak rozpryskujesz farbę na wszystkich kamerach monitoringu na suficie? A, i o co chodzi z tymi ciałami? Czemu nie wysłemy doktora Vossa... aha. – Voss ma zamknięte oczy i odór pieczeni staje się coraz silniejszy; jego twarz jest czerwona, prawie opuchnięta, i cały trzęsie się lekko, jakby jakaś zewnętrzna siła zmuszała jego mięśnie do nieustannej pracy. Teraz ja mam problem z utrzymaniem śniadania w żołądku. – Nie wiedziałem, że można kogoś zmusić do czegoś takiego – słyszę własny głos jakby z oddali.

– Ja też nie – odpowiada Andy – i to jest najbardziej przerażająca rzecz, jaką dziś usłyszałem. Gdzieś w jego czaszce muszą działać sprzeczne kłątwy. Nie sądzę, żeby udało mi się to powstrzymać, nawet gdybym...

– Cholera – wstaję. Sięgam odruchowo do szyi, ale sakiewka jest pusta. – Nie mam Dłoni Chwały – przetykam ślinę. – Zasilanie. A co będzie, jeśli...

– Kumpel Vossa, Mark McLuhan zainstalował klamkę umarlaka. Powinieneś wszystko o tym wiedzieć. Mamy czas, aż Voss osiągnie stan śmierci pnia mózgu i w każdej pieprzonej kamerze w Milton Keynes zacznie działać SPOJRZENIE SKORPIONA.

– Aha, chcesz powiedzieć, że zginiemy. – Ruszam w stronę drzwi, którymi wszedł doktor Voss. – Mam szukać pomieszczenia serwisowego, tak?

– Czekaj! – To Josephine. Strasznie jest blada. – A nie możesz wyjść na zewnątrz i wyłączyć zasilanie stamtąd? Albo zadzwonić po pomoc?

– Nie. – Oddzieram pierwszy pasek taśmy uszczelniającej z futryny drzwi. – Jesteśmy tutaj za osłoną Burza, energia elektryczna jest dostarczana kablami zakopanymi w

betonowych kanałach pod ziemią. To jest w końcu biuro wydziału Q. Gdybyśmy mogli poprosić o wsparcie z powietrza i zrzucić parę bomb 114/B na okoliczne podstacje, może by się udało – oddzieram drugą taśmę – ale te instalacje zaprojektowano tak, żeby przetrwały wszystko. Trzecia taśma.

– Łap! – woła Andy i rzuca mi coś walcowatego. Łapię przedmiot jedną ręką, drugą odrywam resztkę taśmy i wykazuję się spóźnionym refleksem. Potrząsam walcem, słucham, jak w środku grzechoczą kulki do mieszania i zdejmuję pokrywkę.

– Kryć się! – krzyczę. Otwieram drzwi, spryskuję sufit nade mną zieloną farbą w sprayu i zabieram się do pracy.

* * *

Siedzę w lobby pilnując ciała lamii z prawie pustą puszką po farbie i usiłuję nie zasnąć, kiedy zespół OCCULUS zaczyna się dobijać do drzwi. Ziewam i omijam pokryte pęcherzami ciało Vossa – wygląda, jakby zaliczył parę rund na krześle elektrycznym – po czym usiłuję przypomnieć sobie kontr-znak. *Aha, to będzie tak.* Odrywam taśmę, otwieram drzwi na oścież i staję twarzą w twarz z lufą karabinu H&K.

– To, co masz w ręce, to broń, czy przyszedłeś tu tylko zwalić konia? – pytam.

Broń zostaje błyskawicznie wycelowana w innym kierunku.

– Hej, sierzancie, to ten dziwak z Amsterdamu!

– Tak, i ktoś wam powiedział, że macie zabezpieczyć teren, prawda? Gdzie jest sierżant Howe? – pytam ziewając. Światło dnia sprawia, że czuję się lepiej – podobnie jak świadomość, że przybyły posiłki. (Robię się senny, kiedy ludzie przestają do mnie strzelać. A potem mam koszmary. To nie jest dobre połączenie).

– Tam. – Mają na sobie ciuchy przypominające trochę kombinezony, jakie noszą strażacy zajmujący się materiałami niebezpiecznymi, a ich pojazdy są pomalowane na radosne kolory: wiśniowy z odblaskowymi żółtymi paskami. Gdyby nie byli uzbrojeni po zęby w karabiny maszynowe, mógłbym przysiąc, że są tu tylko dlatego, że ktoś zgłosił wyciek jakiejś niebezpiecznej substancji chemicznej. Tylko że dysze pomp sterczących powyżej szoferki nie mają tryskać wodą, a to pękate coś z tyłu to nie reflektor, ale granatnik.

Pani inspektor staje za mną. W świetle dnia widzę, że lekko się zatacza.

– Co się dzieje? – pyta.

– Pozwolę sobie przedstawić: to Scary Spice i sierżant Howe. Sierzancie, Scary, to detektyw inspektor Sullivan. Pierwsza rzecz, jaką musicie zrobić, to obejść ten budynek dookoła, strzelając do wszystkich kamer telewizji przemysłowej, jakie zobaczycie – albo one mogą zobaczyć was. Jasne? I kamer internetowych. I kamer nad drzwiami. Zasada jest prosta. Widzicie kamerę, rozwalacie ją.

– Kamery. Ja-jasne. – Sierżant Howe ma nieco sceptyczną minę, ale kiwa głową. – Na

pewno chodzi o kamery?

– Kim są ci faceci? – pyta Josephine.

– Oddział „Artystyczne Strzelby”. Pracują dla nas – wyjaśniam. Kiwiają głowami jakby wystraszeni, śmiertelnie poważni. – Posłuchaj, idź na zewnątrz i rób wszystko, co się da, żeby zdjąć nam z karku lokalne służby. Jeśli będziesz potrzebowała pomocy, poproś sierżanta Howe’a. Sierżancie, ta pani jest sensowna i przy tej sprawie pracuje z nami. Dobrze?

Inspektor nie czeka na potwierdzenie, przeciska się koło mnie i rusza w światło dnia, mrugając i potrząsając głową. Kontynuuję odprawę dla facetów z OCCULUSA.

– Nie przejmujcie się niczym, co rejestruję na filmie, to kamery telewizji przemysłowej są niebezpieczne. Aha, i nie wolno wam wejść w pole widzenia więcej niż jednej kamery w danym momencie. – Nie stawajcie na łączeniach płyt, bo niedźwiedzie nas zjedzą, zrozumiano?

Howe zwraca się do Scary Spicea:

– Dobra, słyszałeś, co powiedział. Do roboty. – Rzuca mi spojrzenie. – A jak ze środkiem?

– My się tym zajmujemy – odpowiadam. – Jeśli będziecie potrzebować pomocy, wołajcie.

– Zrozumiano. – Scary mruczy coś do laryngofonu i podrabiani strażacy z całkowicie autentycznymi toporami strażackimi zaczynają maszerować przez krzaki otaczające budynek, jakby szukając śladów ognia. – Dobra, będziemy w pobliżu.

– Angleton jest w to zamieszany? Czy kapitan?

– Twój szef właśnie tu leci helikopterem. Nasz jest na zwolnieniu. Jeśli musisz przekazać sprawę wyżej, idź do porucznika.

– Dobrze.

Wracam na recepcję, a potem, pokonując zdenerwowanie, idę do pomieszczeń programistów na tyłach budynku, pod biurami i nad laboratoriami.

Site Able jest niewielkim wydziałowym biurem satelickim, niewielkim z powodów związanych z bezpieczeństwem: dziesięciu inżynierów systemowych, paru asystentów kierownika i ochroniarz. Większość z nich właśnie tu jest i nigdzie się nie wybierają. Chodzę po pomieszczeniu serwisowym w słabym świetle lamp awaryjnych, omijając bryzgi zielonej farby, która w czerwonym świetle wygląda na czarną. Ośmiokątna sala programistów na tyłach także jest słabo oświetlona – nie ma tu okien, a drzwi mają potrójne gumowe uszczelki przetykane drobną miedzianą siatką – a niektóre z przegródek zostały przewrócone. W całym pomieszczeniu do wysokości kostek unosi się biała mgiełka, pozostałość z instalacji pompującej gaz halonowy, która uruchomiła się, kiedy pierwsze ciała eksplodowały – dobrze, że klimatyzacja działa, w przeciwnym razie pomieszczenie zamieniłoby się w komorę gazową. Wszystkie kamerki internetowe są tam, gdzie je zostawiłem, w kubie na śmieci u stóp spiralnych schodów prowadzących na pierwszy poziom. Pociąłem przewody

szczyrykiem, żeby nikt nie próbował ich ponownie podłączyć.

Ofiary... – no cóż, muszę przekroczyć jedną z nich idąc w stronę schodów. Wygląda dość paskudnie, ale już widywałem martwe ciała, także poparzone; przynajmniej długo to nie trwało. Tylko tego zapachu prędko nie zapomnę. Chyba będzie do mnie wracał w koszmarach, a najchętniej dziś bym się upił i wyplakał na ramieniu Mo, ale i tak pewnie minie parę tygodni, zanim uda mi się to wyeliminować z głowy. Teraz jednak staram się o tym nie myśleć i przechodzę nad martwymi ciałami. Najważniejsze, żeby walczyć dalej – jeśli nie chcę stać się jednym z nich. Wolę mieć ich na sumieniu.

Na szczycie schodów jest wąski korytarzyk i biura oddzielone przegródkami; wszędzie palą się światła awaryjne. Idę za dźwiękiem stukania na klawiaturze do gabinetu Vossa. Drzwi są otwarte. Filodendrony w doniczkach dogorywające w sztucznym świetle, brązowa antystatyczna wykładzina koloru wymiocin, biurka przypominające meble w urzędach – nikt nie może zarzucać wydziałowi Q, że rozrzuca pieniądze na prawo i lewo. Andy siedzi przez laptopem Vossa i pisze z dziwnym wyrazem twarzy.

– OCCULUS już działa – informuję. – Znalazłeś coś ciekawego?

Andy wskazuje ekran.

– Psiakrew, jesteśmy nie w tym mieście co trzeba – mówi spokojnie.

Okrażam biurko i spoglądam mu przez ramię.

– O kurwa.

– Możesz to powtórzyć, jeśli masz ochotę. To jest e-mail z kopią do Vossa, wysłany za pośrednictwem naszego intranetu do Mike'a McLuhana. Temat: *Spotkanie*. Nadawca: *Harriet*.

– O kurwa. Po dwakroć kurwa. Coś tu śmierdzi. Hej, przecież ja miałem się z nią dziś spotkać – mówię.

– Spotkać? – Andy unosi wzrok, zaniepokojony.

– Taaak. Bridget dostała zajoba na punkcie przeprowadzenia autoryzowanego przez BSA audytu oprogramowania w biurze, takie tam zwykłe metody symulowania pracy. Ale nie wiem, czy to ma coś z tym wspólnego.

– Audyt oprogramowania? Czy ona nie wie, że dział licencji i zgodności załatwia to kompleksowo na poziomie całego działu? Dostaliśmy aktualizację na ten temat jakiś rok temu.

– Byliśmy... – przysiadam ciężko na tanim plastikowym krześle dla gości – ... jakie są szanse, że ten cały McLuhan przede wszystkim przekonał do tego Harriet? A jakie są szanse, że to nie jest powiązane?

– McLuhan. Środek przekazu jest przekazem. SPOJRZENIE SKORPIONA. Dlaczego mam złe przeczucia? – Andy rzuca mi spojrzenie pełne niepokoju. – Jeszcze jedna możliwość, szefie. A co jeśli to są jakieś wewnętrzne rozgrywki o władzę? Ten audyt oprogramowania to przykrywką, jak w opowiadaniu o skradzionym liście, wystawienie na

widok publiczny czegoś podejrzanego, żeby nikt na to nie spojrzał po raz drugi, aż będzie za późno.

– Nonsens, Bridget nie jest na tyle inteligentna, żeby rozwalić projekt tylko po to, żeby zdyskredytować... – Otwiera szeroko oczy.

– Jesteś tego pewien? To znaczy tak całkowicie i zupełnie pewien? Dałbyś sobie głowę uciąć?

– Ale tyle ofiar! – Andy potrząsa głową z niedowierzaniem.

– Więc to wszystko było ukartowane i miało zacząć się od Mućki, ale trochę wymknęło im się spod kontroli, tak? To się zdarza. Mówiłeś, że sieć monitoringu policji miejskiej może śledzić obiekt od punktu do punktu i przekazywać go od strefy do strefy, tak? Moja teoria jest taka, że ktoś w tej placówce – może Voss – śledził mnie do parkingu policyjnego i uświadomił sobie, że znaleźliśmy pojazd, za pomocą którego McLuhan przewiózł Mućkę. Durne palanty, gdyby użyli któregoś z własnych samochodów, nie byłibyśmy ani trochę mądrzejsi, tymczasem próbowali użyć skradzionego samochodu, żeby zgubić ślad. Ale wpadli w panikę i wrzucili SPOJRZENIE SKORPIONA do kamer na parkingu, nie udało się, więc wpadli w jeszcze większą panikę, a McLuhan to już w ogóle spanikował – założę się, że to on jest pośrednikiem, albo w ogóle to on kryje się za całą sprawą. Kim jest, starszym oficerem ds. ezoteryki? Zastępcą kierownika placówki? Jest w Londynie, więc wysłał ten szalony list z szantażem, którym spowodował wyeliminowanie własnych współpracowników. Założę się, że to cwany socjopata, z gatunku takich, co świetnie sobie radzą w kierownictwie średniego szczebla, skóra, fura i komórka, a we łbie pusto – nie przeraża go rozlew krwi, jeśli tylko dzięki niemu uratuje tyłek.

– Do licha – mruczy Andy spokojnie i wstaje. – W takim razie dobrze. Wewnętrzne rozgrywki, bezsensowna krwawa afera zmontowana, żeby narobić wstydu Angletonowi, z wykorzystaniem idiotów, którzy się w to wpakowali, więc policja wpada na trop, potem szalenie na stanowisku dyrektora traci panowanie nad sobą i zaczyna mordować ludzi. Twoim zdaniem tak było?

– Tak. – Kiwam głową, jakbym miał sprężynę zamiast szyi.

– A teraz są z powrotem w Pralni i robią diabli wiedzą co...

– Musimy szybko dopaść McLuhana, zanim dojdzie do wniosku, że najlepszym sposobem na zacieranie śladów jest wysadzenie w powietrze centrali. I nas. – Uśmiecha się uspokajająco. – Wszystko będzie dobrze, Angleton już jedzie. Nie widziałeś go dotąd w akcji, prawda?

* * *

Wyobraźcie sobie budynek, w którym mieści się jakaś firma z branży lekkiego przemysłu albo biuro, pośrodku anonimowego miasta; przy niej stoją cztery wozy strażackie barwy

jasnoczerwonej, dookoła ludzie w kombinezonach ochrony przeciwchemicznej prowadzą staranne przeszukiwanie, parę radiowozów z włączonymi kogutami zaparkowanych w poprzek ślepej uliczki, by odstraszać potencjalnych gapiów. Żołnierze przebrani za strażaków systematycznie strzelają z karabinów z tłumikami do wszystkich kamer monitoringu znajdujących się na terenie placówki. Inni, w mundurach policyjnych lub strażackich, zajmują pozycje przed wszystkimi budynkami, w których są ludzie lub nie – by nikt przypadkowo nie wpakował się tarapaty.

Zwykły dzień w biurze, proszę państwa, nie ma niczego ciekawego do oglądania, proszę przechodzić.

Może i nie ma. Nadlatuje z hukiem wielki śmigłowiec – Twin Squirrel z jednostki wsparcia powietrznego policji miejskiej, którym leciałem tamtej nocy, na wysokości kilkuset stóp tylko wygląda na o wiele większy i bardziej przerażający, gdy się go ogląda z dołu, jak ląduje na parkingu, a liście i kurz pędzą na wszystkie strony, ciskane strumieniem powietrza z wirników.

Śmigłowiec nadal kołysze się na płozach, gdy jedne z tylnych drzwi otwierają się i wyskakuje Angleton, lekko się potykając – nie jest już taki młody – ale udaje mu się złapać równowagę i maszeruje w naszą stronę trzymając kurczowo aktówkę.

– Mów – zwraca się do mnie; ledwo go słysząc przez ryk zwalniających wirników.

– Mamy problem, szefie – macham w stronę budynku. – Andy jest nadal w środku i potwierdza najgorsze, ale wygląda na to, że zaczęło się to jako kurewsko głupi międzywydziałowy psikus, coś poszło niezgodnie z planem i jednemu z domniemych sprawców odbiła szajba na całego i urządził masakrę.

– Psikus. – Wpatruje się we mnie tymi lodowato błękitnymi oczami i przez ułamek sekundy doznaję wrażenia, że nie patrzy na mnie sześćdziesięcioletni chudy łysy facet w kiepsko dopasowanym garniturze, ale chodzący szkielet, w którego oczodołach pali się radioaktywny ogień piekielny. – Lepiej zaprowadź mnie do Andrew. Opowiesz mi po drodze.

Gryzę się w język i pędzę, by nadażyć za Angletonem. Dochodzimy do recepcji, gdzie Andy krząta się, wydając ludziom z OCCULUSA polecenia związane ze sprzętami i wskazówki na temat tego, co należy zrobić z uszkodzoną lamią i ołtarzami do sprowadzania demonów w piwnicy.

– Kto... aha, to ty. W samą porę – szczyrzy się. – Kto pilnuje interesu?

– Zostawiłem Borisa na straży – odpowiada spokojnie Angleton, który najwyraźniej nie czuje się dotknięty luzackim zachowaniem Andyego. – Bardzo źle to wygląda?

– Bardzo – policzek Andyego drga, co jest złym znakiem: z chwilą przybycia Angletona opuściła go cała pewność siebie. – Trzeba będzie... cholera.

– Nie spiesz się – uspokaja go Angleton. – Przecież cię nie zjem. – Dopiero w tej chwili uświadamiam sobie, jak bardzo jestem przerażony, a jeśli ja jestem bliski obłędu, to jak się musi czuć Andy? Muszę przyznać, że Angleton wie, kiedy nie naciskać na pracowników zbyt

mocno. Andy bierze głęboki oddech, wypuszcza wolno powietrze i zaczyna jeszcze raz.

– Mamy dwa luźne końce: Mark McLuhan i jakiś niezidentyfikowany NN. McLuhan pracował tu jako starszy oficer ds. okultyzmu, na stanowisku zasadniczo obserwacyjnym. Robił też parę innych rzeczy dla wydziału Q, aż dotarł do Dansey House jako oficer łącznikowy. Nie mogę uwierzyć, jak bardzo pokpiiliśmy sprawę z procesem weryfikacji...

– Spokojnie, Andy – przerywa mu Angleton, tym razem z naciskiem w głosie.

– Przepraszam, przepraszam. Bob próbuje zebrać to wszystko do kupy – kiwa głową w moim kierunku. – McLuhan pracuje z NN w Pralni i zamierza nas skompromitować montując selektywny przeciek – właściwie nikt nie był przeznaczony do odstrzału jako skompromitowany spec od zjawisk paranormalnych, nikt nie miał zwrócić na to uwagi poza ludźmi od czarnych helikopterów – tylko postawiłoby to nas w złym świetle. Znalazłem dość nieciekawą e-mail od Bridget zapraszającą McLuhana do centrali pod pretekstem audytu oprogramowania. To tak kurewsko głupia sprawa, że Bob może odwalić robotę dochodzeniową później. Ale tak naprawdę uważam, że Bridget to załatwiła, żebyście wypadli kiepsko w rozgrywkach w oczach dyrektora.

Angleton zwraca się do mnie:

– Zadzwoń do centrali. Poproś Borisa. Powiedz mu, żeby aresztował McLuhana. Powiedz mu: FOLIA TERMOKURCZLIWA. I MARMOZETA. – Unoszę brwi w zdziwieniu. – Szybko, chłopcze!

Ech, miłe uczucie towarzyszące działaniom decyzyjnym. Ruszam do biurka lamii, chwytam telefon i wykręcam 666; za mną Andy coś tłumaczy po cichu Angletonowi.

– Centrala? – zwracam się do białego szumu. – Chcę rozmawiać z Borisem. *Natychmiast.*

Enochijskie analizatory metagramatyki robią, co do nich należy, a dusze potępione albo zakute w łańcuchy demony, czy co tam siedzi w centrali, syczą głośniejsz, po czym łączą mnie. Słyszę kolejny dźwięk dzwonka. I znajomy głos.

– Słucham, Ogólne Usługi Pralnicze, dział wsparcia systemowego. Z kim mam połączyć?
O kurwa.

– Cześć, Harriet – mówię, starając się mówić spokojnie i składnie. Dodzwonienie się do podwładnej Bridget w ten sposób nie jest dobrym znakiem, zwłaszcza, że ona i Boris są znani z tego, że nawzajem się nienawidzą. – To pilna sprawa. Jest tam Boris?

– Ach, Robert! Właśnie się zastanawiałam, gdzie jesteś. Znowu zamierzasz brać lewe zwolnienie?

– Nie, nie zamierzam – odpowiadam, biorąc głęboki oddech. – Muszę natychmiast rozmawiać z Borisem, Harriet, masz go tam gdzieś?

– Och, przecież nie mogę ci powiedzieć. To byłoby ujawnienie informacji o strategicznym znaczeniu dla zarządzania działem z użyciem połączenia w sieci publicznej, a ja nie będę cię do tego zachęcać, kiedy może łaskawie pojawisz się na spotkaniu, które zaplanowaliśmy przedwczoraj, pamiętasz?

Doznaję wrażenia, jakby moje bebechy zamieniły się w bryłę lodu.

– Jakie spotkanie? – pytam.

– Audyt oprogramowania, nie pamiętasz? Nigdy nie czytujesz programu spotkań. Jakbyś to robił, to może byś się zainteresował, co się tu dzieje... Skąd w ogóle dzwonisz, Bob? Ktoś mógłby pomyśleć, że tu wcale nie pracujesz.

– Chcę rozmawiać z Borisem. Natychmiast. – Chrząst, jaki rozlega się w tle, to moje zgrzytanie zębami. – To pilne, Harriet. Sprawa ma związek z przedwczorajszym alarmem błękitnym. Więc daj mi go do telefonu albo pożałujesz. Co wybierasz?

– Och, nie sądzę, żeby to było konieczne – mówi ze złośliwą satysfakcją. – Nie pojawiłeś się na spotkaniu, więc ty i twoja ukochana jednostka do spraw zapobiegania opętaniu wkrótce przejdziesz do historii tego wydziału i będziesz mógł mieć pretensje tylko do siebie. Cześć.

I zdzira rozłącza się.

Rozglądam się i widzę, że Andy i Angleton gapią się na mnie.

– Rozłączyła się – mówię głupio. – Pieprzona Harriet podpięła się do linii Borisa. To jakiś spisek. Jakaś próba obejścia systemu.

– W takim razie będziemy musieli wpaść na to spotkanie – mówi Angleton i rusza w kierunku drzwi frontowych, które uchylają się, by go wypuścić. – Za mną!

Pędzimy prosto do helikoptera. Pilot czekał z włączonymi silnikami, kiedy byliśmy w środku. Ile to trwało? Trzy albo cztery minuty od chwili przybycia Angletona? Widzę kolejną postać idącą w naszą stronę przez parking – postać w szarym garniturze, lekko poplamionym, z dzikim wyrazem w oczach.

– Hej, wy tam! – krzyczy. – Domagam się odpowiedzi!

Angleton obraca się do mnie.

– To twój nabytek? – Kiwam głową. Macha na nią władczym gestem. – Prosimy z nami – woła, usiłując przekrzyczeć wycie kręcących się coraz szybciej turbin. Za jej ramieniem widzę podrabianych strażaków opuszczających torbę podrózną, która zupełnie przypadkowo została wycelowana w plecy detektywa inspektor Sullivan. – Tego momentu nigdy nie lubię – dodaje niskim, bezbarwnym głosem, na jego twarzy widać ponury wyraz dezaprobaty. – Im mniej żywotów zwichrujemy, tym lepiej.

Przez sekundę mam ochotę spytać go, co ma na myśli, ale on już wspina się do śmigłowca, a Andy idzie za nim. Pomagam Josephine wsiąść, a śmigło w górze wiruje coraz szybciej; silniki wyją z pełną mocą. Wkładam słuchawki akurat by usłyszeć polecenie Angletona:

– Z powrotem do Londynu i nie oszczędzaj koni.

Pralnia cieszy się złą sławą z powodu nadmiernej kontroli księgowej: przekroczenie budżetu może zostać ukarane jak zbrodnia wojenna, a zwykłe spinacze do papieru mogą człowiekowi ściągnąć na głowę gniew bogów z kosmosu. Ale kiedy Angleton mówi „nie oszczędzaj koni”, pędzimy nad wiejskimi okolicami z prędkością stu czterdziestu mil na

godzinę, spalając całe tony paliwa lotniczego i zmuszając kontrolerów ruchu lotniczego do usuwania nam z drogi statków powietrznych o niższym priorytecie – a wszystko dlatego, że nie chce się spóźnić na spotkanie. Na lądowisku czeka na nas radiowóz i przemieszczamy się przez chaotyczny londyński ruch miejski zdumiewająco szybko, czasem nawet udaje nam się wrzucić trzeci bieg.

– McLuhan ma SPOJRZENIE SKORPIONA – mówię Angletonowi, nachylając się nad ramieniem Andyego. – A kamery monitoringu w centrali są podłączone. Jeśli je uzbroi, zanim się tam dostaniemy, może się zabarykadować albo zrobić coś jeszcze gorszego. Wszystko zależy od tego, co planuje Harriet i jej szef.

– Zobaczmy – Angleton lekko kiwa głową; jego rysy twarzy wyglądają, jakby stężały. – Masz jeszcze przy sobie amulet?

– Musiałem go zużyć – wzruszyłem ramionami, ale nie ma miejsca. – Jak myślisz, co planuje Bridget?

– Nie mogę wygłosić komentarza w tej sprawie. – Uznałbym tę uwagę za lekceważącą, ale Angleton wskazuje podbródkiem człowieka na fotelu kierowcy. – Bob, kiedy tam dojedziemy, wejdź drzwiami od magazynu i obudź dozorcę. Masz przy sobie komórkę?

– Chyba tak – odpowiadam, z nadzieją, że bateria jeszcze się nie rozładowała.

– Dobrze. Andrew, ty i ja wchodzimy frontowymi drzwiami. Bob, przestaw telefon w tryb wibracji. Nadejście wiadomości ode mnie będzie oznaczać, że dozorca ma odłączyć główne zasilanie. Oraz awaryjne.

– Ups. – Nagle oblizuję wargi, myśląc o wszystkich elektrycznych pentagramach pętających w piwnicy i o komputerach podłączonych do filtrowanych i zabezpieczonych obwodów na innych piętrach. – Przecież tam się rozpęta piekło, jeśli to zrobisz.

– Na to właśnie liczę. – Drań się uśmiecha. Widziałem już dziś mnóstwo potwornych rzeczy, ale naprawdę mam nadzieję, że przed śmiercią już nigdy czegoś takiego nie zobaczę.

– Hej, a co ze mną? – Angleton patrzy na przedni fotel z irytacją w oczach. Josephine odwzajemnia spojrzenie. Widać, że jest wściekła i próbuje się opanować. – Jestem waszym oficerem łącznikowym na Północne Buckinghamshire – mówi – i naprawdę chciałabym wiedzieć, z kim się kontaktujecie, zwłaszcza mając na uwadze, że zostawiliście na moim podwórku parę ciał, które będę musiała pogrzebać, i w dodatku ten palant... – ma na myśli mnie, jestem nieźle wkurzony! Co za poniżenie! – ... obiecał mi odpowiedzieć na parę pytań.

Angleton poprawia się w fotelu.

– Nie ma odpowiedzi, proszę pani, są tylko kolejne pytania – mówi i przez sekundę brzmi jak jakiś proboszcz, pobożny onanista, który próbuje ukoić pogrążonych w żalu. – A jeśli chce pani odpowiedzi, będzie pani musiała przekopać się przez szafkę z aktami tego palanta.

Skurwiel. Na jego twarzy pojawia się promienny sardoniczny uśmiešek, suchy jak piaski pustyni w czerwcu.

– Czy chce pani, hm, pomóc nam zapobiec zdarzeniu podobnemu, jakie widziała godzinę

temu? Jeśli tak, może pani towarzyszyć temu palantowi i przypilnować, żeby nie dał się zabić.
– Wyciąga rękę i kładzie jej na ramieniu wystrzępiony kawałek papieru. – To się pani przyda.

Tymczasowa karta identyfikacyjna, no, no, no. Josephine mruczy coś niepochlebnego o jego przodkach, inwentarzu gospodarskim i długim gumowym wężu. Udaje, że nie słyszę, bo jesteśmy spóźnieni jakieś trzy minuty, utknąwszy za wlokącym się stadem czerwonych piętrusów, a ja próbuję sobie przypomnieć drogę do kantorka dozorczy w piwnicy siedziby Pralni i czy jest tam coś, o co można by się potknąć w ciemności.

* * *

– Wybacz, że pytam, ale z jaką liczbą trupów masz zwykle do czynienia w pracy? – pytam.

– Odkąd się pojawiłeś, to zdecydowanie za dużą. – Skręcamy w ciasną uliczkę zastawioną kubłami na śmieci na kółkach, cuchnącą moczem bezdomnych. – Ale skoro pytasz, to cóż, jestem detektywem inspektorem. Naogląda się człowiek różnych strasznych rzeczy przy tej robocie.

Coś w jej wyrazie twarzy podpowiada mi, że wkroczyłem na grząski grunt, ale brnę dalej.

– Cóż, to jest Pralnia. Nasza robota polega na tym, żeby walczyć z siedmioma cieniami demonicznego gówna. Żeby ludzie tacy jak ty nie musieli tego robić. – Nabieram powietrza w płuca. – A zanim wejdziemy, chyba powinienem cię ostrzec: powinnaś uważać, że Fred i Rosemary West pracują dla nas, a Harold Shipman jest lekarzem zakładowym. – W tym momencie trochę błędnie. – Demoniczni Majsterkowicze i Doktor Śmierć to w końcu śmietanka seryjnych morderców Wielkiej Brytanii. – Nawet się nie wzdrygnęła.

– I to wy jesteście ci dobrzy?

– Czasem też mam wątpliwości – wzdycham.

– No to witamy w klubie.

Mam wrażenie, że będzie w tym dobra, jeśli przeżyje następną godzinę.

– Dobra, dość pieprzenia. To jest wejście z poziomu ulicy do kwartału, który zajmuje nasza placówka, pod budynkiem numer jeden centrali. Na parkingu policyjnym i w Site Able widzieliśmy, co ci skurwiele potrafią zrobić z kamerami. Jeśli moje przypuszczenia są trafne, zamierzają tutaj zrobić coś podobnego. Albo gorszego. Tu jesteśmy podpięci bezpiecznymi łączami do paru komisariatów policji miejskiej, w tym różnych systemów sterowania na poziomie dzielnic, na przykład centrum sterowania Camden Town. SPOJRZENIE SKORPIONA nie jest gotowe, żeby je wprowadzić w skalę całego kraju...

– A niby skąd, do diabła, to wiesz? – dopytuje się z szeroko otwartymi oczami.

– Nie masz wystarczającego poziomu uprawnień, żeby uzyskać tę informację. – Zdumiewające, z jaką łatwością przychodzi mi wypowiedzenie tego zdania. – Poza tym nie mogłabyś potem spać po nocach. Ale to ty pierwsza wspomniałaś o diable, a jak mówiłem... –

przerywam, kiedy przechodzimy między anonimowymi drzwiami a przepelnionym kubłem na śmieci – ...nasz ulubiony świr, który pozabijał tych wszystkich ludzi w Dillinger Associates, i który teraz bierze udział w spotkaniu odbywającym się na górze, mógłby wysłać kawałki SPOJRZENIA SKORPIONA do różnych centrów sterowania kamerami. I dlatego właśnie zamierzamy go powstrzymać, odcinając kabel sieci szkieletowej w centrali Pralni. Co byłoby dość łatwe, gdyby to był taki zupełnie zwyczajny urząd, ale w rzeczywistości będzie nieco trudniejsze, bo Pralnia jest strzeżona, niektórzy ze strażników są... specyficzni, i co poniektórzy z tych bardzo specyficznych strażników będą próbowali nas powstrzymać przez pożarcie żywcem.

– Pożarcie... żywcem. – Oczy Josephine stają się nieco szkliste. – Czy ja nie mówiłam, że nie zajmuję się łowcami głów? To robota działu rekrutacji.

– Posłuchaj – mówię łagodnym tonem. – Widziałaś kiedyś „Noc żywych trupów”? To w sumie dość podobne, tylko że ja mam prawo tu przebywać, a ty masz tymczasową kartę identyfikacyjną, więc powinno się udać. – Przychodzi mi do głowy pewna myśl. – Jesteś policjantką. Przeszłaś szkolenie strzeleckie?

Klik-klak.

– Tak – odpowiada suchym tonem. – Poproszę o następne pytanie.

– Doskonale. Jakbyś mogła mi zabrać tę lufę sprzed twarzy... o, tak lepiej. Na strażników to nie podziała. Przykro mi, ale zostali już, hm, metabolicznie przetransformowani. Ale w przypadku kamer monitoringu *doskonale* się to sprawdzi. Co...

– Dobra, zaczynam łapać. Wchodzimy. Jeśli mamy przeżyć tę imprezę, trzymamy się poza zasięgiem kamer. – Broń znika gdzieś pod jej marynarką i Josephine patrzy na mnie nieufnie. Po raz pierwszy od zajścia na parking w jej oczach widzę coś innego niż irytację albo niechęć. Pewnie się zastanawia, czemu się nie wzdrygnąłem. (To tak naprawdę oczywiste: w porównaniu z tym, co nas czeka wewnątrz, niewielka wentylacja czaszki to stosunkowo bezbolesny sposób na rozstanie się z tym światem, a poza tym, gdyby była na mnie naprawdę wkurzona, załatwiłaby mnie twarzą w twarz w dźwiękochłonnej celi na swoim komisariacie, używając butów w rozmiarze dwanaście i własnych nóg). – Wchodzimy do środka i ty będziesz się przebijał przez zombiaki, a ja mam strzelać do kamer, tak?

– Tak. A potem muszę wymyślić, jak załatwić główną rozdzielnię, podstację zapasową, generator na paliwo diesla oraz akumulatory w centralce telefonicznej i chronioną linię zasilania komputerów, a wszystko to w tym samym momencie, żeby nikt się nie połapał. Równocześnie załatwiając wszystkich, którzy próbują nas powstrzymać. Jasne?

– Jak noc. – Patrzy na mnie. – Zawsze chciałam, żeby mnie pokazali w telewizji, ale chyba nie w takich okolicznościach.

– No tak. – Patrzę w górę, na boczną ścianę budynku, która nie ma okien aż do trzeciego piętra. Tam zaczynają się okna pustych pokoi o szerokości jednego metra, które mają sprawiać wrażenie normalnych zajętych pomieszczeń. – Wolałbym raczej wezwać wsparcie z

powietrza i zbombardować elektrownię, ale dwie przecznice stąd jest szpital, a po drugiej stronie dom starców... Gotowa?

Kiwa głową.

– Dobrze.

Obchodzę pojemnik na śmieci dookoła i pukam do drzwi.

Drzwi są pozbawioną jakichkolwiek cech wyróżniających płaszczyzną niebieskiego lakieru. Otwierają się natychmiast, gdy ich dotykam, bezszelestnie. A co myśleliście, że to horror z wytwórni Hammer? W środku jest niewielkie zakurzone pomieszczenie z gaśnicą proszkową wiszącą na ścianie i kolejnymi drzwiami naprzeciwko.

– Czekaj – mówię, wyjmując z kieszeni puszkę farby. – Dobrze, wchodź. Trzymaj identyfikator pod ręką.

Podskakuje, kiedy drzwi zamykają się automatycznie z lekkim syczeniem, a ja pamiętam, żeby przełknąć ślinę: one tylko z zewnątrz wyglądają na tanie drzwi przeciwpożarowe.

– Dobra, to zaczynamy imprezę.

Wykonuję szybkie skanowanie wewnętrznych drzwi za pomocą narzędzia na moim palmtopie. Niczego nie znajduję, więc kładę rękę na klamce i ciągnę. Oto chwila prawdy: jeśli afera już wybuchła, cały budynek będzie zamknięty od góry do dołu staranniej niż bunkier przeciwoatomowy, a przez wszystkie zakratowane drzwi będzie przebiegał ezoteryczny odpowiednik prądu trójfazowego o napięciu sześciuset woltów. Ale oddycham dalej, a drzwi stają otworem, ukazując pusty korytarz prowadzący w kierunku obskurnych drewnianych schodów obok zamkniętego składziku. I niczego więcej tu nie ma – niczego, co mogłoby wprawić w zakłopotanie przypadkowego włamywacza, który przedrze się przez zabezpieczenia w nadziei na znalezienie jakichś materiałów biurowych, które można podprowadzić. Wszystkie naprawdę tajne rzeczy znajdują się dziesięć pięter pod ziemią albo po drugiej stronie piwnicznych ścian. Coś dygocze w ciemności.

– Nie widzę tu żadnych zombi – mówi nerwowo Josephine, chowając się za mną w półmroku.

– To dlatego, że są... – zastygam i sięgam po gaśnicę proszkową. – Masz może lusterko kieszonkowe? – pytam, usiłując mówić normalnym tonem.

– Chwila. – Słyszę suche kliknięcie i Josephine podaje mi coś, co wygląda jak szczoteczka do zębów pieprząca się ze szkłem kontaktowym. – Takie coś może być?

– Ho-ho, nie wiedziałem, że dorabiasz jako dentystka.

To coś ma rozkładany wysięgnik o długości prawie pół metra. Pochylam się i ostrożnie wystawiam lusterko na zagiętym wysięgniku, żeby zobaczyć klatkę schodową.

– To służy do oglądania podwozia samochodów i sprawdzania, czy nie ma tam jakiejś bomby. Albo czy ktoś nie przeciął przewodów hamulcowych. Nigdy nie wiesz, na jaki pomysł wpadną te małe skurwysynki bawiące się na szkolnym boisku, jak ty gadasz z ich wychowawczynią.

Przełykam ślinę.

– No tak, to chyba niezłe zastosowanie alternatywne.

Nie widzę żadnych kamer, więc cofam lusterko i już mam postawić stopę na schodach, kiedy ona mówi:

– Jednej nie zauważyłeś.

– Że jak?

Pokazuje mi. Jest na poziomie pasa, ma rozmiary gałki do drzwi i tkwi w ciemnej, drewnianej boazerii. Jest wycelowana w górę schodów.

– Psiakrew, masz rację.

I jest w niej coś dziwnego. Przesuwam lusterko bliżej, żeby spojrzeć pod kątem i przełykam, choć zaschło mi w ustach.

– Tam są dwa obiektywy. Sprytne.

Wyciągam scyzoryk i zaczynam wygrzebywać je ze ściany. To przewód koncentryczny, dokładnie tak, jak kazał pan doktor. Nigdzie nie widzę oznak działającego SPOJRZENIA SKORPIONA, ale dłonie mam lepkie od potu i serce podchodzi mi do gardła, gdy sobie uświadamiam, jak byłem blisko wejścia prosto w jej pole widzenia. A tak swoją drogą, jak małe mogą być obecnie produkowane kamery telewizji przemysłowej? Widuję coraz mniejsze...

– Lepiej się ruszajmy, i to szybko – mówi Josephine.

– Czemu?

– Bo właśnie im powiedziałaś, że nadchodzimy.

– Aha. Jasne.

Pokonujemy schody skokami, zatrzymując się przed każdym półpięciem, żeby sprawdzić, czy nie ma tam kolejnych oczu bazyliuszka. Josephine zauważa jedno, ja kolejne – załatwiam je farbą z prawie pustej puszki, a potem ona strzela w obiektywy, próbując nie wdychać oparów, zanim przejdziemy dalej. Jest też nienaturalnie skrzypiąca podłoga, bez żadnego widocznego powodu. Ale udaje nam się dotrzeć na parter i nadal żyjemy, i kiedy zapala się światło i po drugiej stronie pojawiają się nocni strażnicy dociera do mnie, jak bardzo speprzyliśmy sprawę.

– Ach, Bob! Czasem jednak udaje ci się wpaść do biura, nie?

To Harriet. Sprawia wrażenie lekko oszołomionej. Ma na sobie czarny garnitur w prążki i trzyma kieliszek z czymś, co wygląda na białe wino musujące.

– Gdzie są pozostali, do kurwy nędzy? – pytam, rozglądając się dookoła. O tej porze dnia w biurze powinno być pełno ludzi. Tymczasem ja widzę tylko Harriet i trzech albo czterech pochylających się w milczeniu strażników nocnych w szarych urzędniczych garniturach, z poczuciem winy malującym się na twarzach i lśnącymi robaczkami światła w oczach.

– Ogłosiliśmy comiesięczne ćwiczenia przeciwpożarowe parę godzin przed terminem – uśmiecha się cynicznie Harriet. – A potem zamknęliśmy drzwi. Wiesz, to całkiem proste.

Fred z księgowości przechyla się na bok i patrzy na mnie znad jej ramienia. Nie żyje od paru miesięcy: w normalnych warunkach powiedziałbym, że coś się zmieniło na lepsze, ale teraz lekko się ślini, jakby nie udało mu się załapać na przerwę na herbatę.

– Kto to jest? – pyta Josephine.

– Kto? A, ten, co powłóczy nogami, to biurokrata zombi, a ten drugi pracował kiedyś w księgowości, ale miał mały wypadek z wzywaniem demonów. – Szczerzę zęby w kierunku Harriet. – Gra skończona.

– Nie przypuszczam. – Stoi tam, z wyniosłą i triumfalną miną, za ekipą ochroniarzy złożoną z zombich. – Piłka jest po naszej stronie. Spóźniłeś się i zwalniam cię, Robercie. Jednostka do spraw zapobiegania opętaniu jest w likwidacji. Angleton to skamielina i nie jest nikomu potrzebny, kiedy już będziemy mogli skorzystać z monitoringu wszechwidzenia w połączeniu z technologią zabijania wzrokiem i wprowadzimy ją w naszym dziale. Przyszedłeś w samą porę, żeby posprzątać biurko – szczerzy się upiornie. – Chłopczyk głuptasek. Mam nadzieję, że znajdziesz ci jakąś robotę pod schodami.

– Rozmawiałś z naszym przyjacielem, panem McLuhanem, prawda? – pytam, próbując rozpaczliwie podtrzymać rozmowę. Naprawdę nie chcę, żeby nocni strażnicy mnie stąd wynieśli. – Jest na górze?

– Jeśli tak, pewnie chcesz wiedzieć, że zamierzam go aresztować. Jakbyś się zastanawiała, za co, to dwanaście morderstw i jedna próba. – Głos Josephine jest szorstki, ale opanowany. Chcę się obrócić, ale udaje mi się opanować odruch. – Policja.

– Nie ta jurysdykcja, kochana – mówi Harriet pocieszającym tonem. – I chyba faktycznie ten głupi narwaniec naopowiadał ci jakichś bzdur. A to nigdy nie wystarczy. – Pstryka palcami. – Zabierzcie kobietę, zatrzymajcie mężczyznę.

– Poczekaj... – otwieram usta. Zombi ruszają do przodu, kiwając się nerwowo, aż nagle jakieś dwadzieścia centymetrów od mojego ucha rozpętuje się piekło. Zombi są doskonałymi strażnikami nocnymi, a rozwalenie takiego nie jest proste, ale nie są kulo odporne, a Josephine opróżnia magazynek po dwie serie na raz. Błyski oślepiają mnie i odnoszę wrażenie, jakby ktoś walił mnie po uchu łopatą. W powietrzu latają kawałki mięsa i jakiejś innej substancji, której nazwy wolałbym nie wymawiać, ale niewiele cennej krwi, a zombi wciąż prą do przodu.

– Jak już skończysz... – syczy Harriet i pstryka palcami w stronę Josephine. Zombi zatrzymują się na sekundę, po czym zacieśniają krąg, a ich pani cofa się w stronę klatki schodowej prowadzącej na pierwsze piętro.

– Szybko, w boczny korytarz! – sapie, wskazując na lewo.

– Boczny... co?

– Szybko!

Pędzę korytarzem, wlokąc Josephine za ramię do chwili, aż poczuję, że biegnie obok mnie. Wyciągam moją kartę identyfikacyjną i wrzeszczę „Sezamie, otwórz się!”, a drzwi

otwierają się z trzaskiem po obu stronach; są tam schowki na szczotki i punkty dostępowe do korytek kablowych.

– Tutaj!

Nurkuję w bok, Josephine wskakuje za mną; szarpnię za drzwi. „Sezamie, kurwa, zamknij się!” – krzyczę i zatrząskują się z chrzęstem końcówek kościstych palców po drugiej stronie.

– Masz zapalniczki? – pytam.

– Neeee, nie palę. Ale miałam gdzieś latarkę...

Skrobanie staje się coraz głośniejsze.

– Nie chciałbym cię poganiać, czy coś, ale... – I oto zapala się światło.

Stoimy na dnie płytkiego szybu z korytkami kablowymi niknącymi ponad nami gdzieś w ciemnościach. Josephine wygląda na bliską obłądu.

– Oni nie upadali! Trafiałam ich, a oni *nie upadali!*

– Wyluzuj, zasuwali na zdalnym sterowaniu. – Może teraz nie jest najlepszy moment na objaśnianie sześciowęzłowych punktów przyzywania, ćwiczenia Vohlmana i protokołów wskrzeszania zmarłych i pętania ich: stukają do drzwi i chcą się dostać do środka. Ale patrzcie państwo, tu mamy coś jeszcze ciekawszego. – Hej, to okablowanie kategorii 5. Dasz mi latarkę?

– Wolałabym, żebyś teraz nie próbował imponować mi swoją wiedzą, chłoptasiu. Czy może szukasz karaluchów?

– Po prostu daj mi ją, do kurwy nędzy, potem wszystko wyjaśnię, dobra? – Harriet naprawdę mnie wkurzyła; to był ciężki dzień, a ja obiecałem sobie, że jeśli kiedykolwiek jeszcze będę musiał wysłuchać pieprzonego wykładu o punktualności, to dostanę kurwicy.

– Bingo. – To jest przewód kategorii 5 i jeszcze ciekawszy kabel biegnący z boku, który wygląda na DS-3. Wyciągam scyzoryk i zaczynam pracę nad skrzynką przyłączową. Zanim udaje mi się odsłonić druty, skrobanie staje się bardziej natarczywe, ale pieprzyć to. Kto powiedział „Kiedy zaczynają myśleć, że jesteś techniczny, najwyższy czas zacząć zachowywać się jak gbur”? Chwytam garść przewodów sieciowych i mocno szarpnię. A potem łapię następny pęk. Potem, po odłączeniu głównej linii telefonicznej – *misja ukończona z powodzeniem* – poświęcam chwilę na zastanowienie się.

– Bob, czy ty w ogóle masz jakiś plan?

– Myślę.

– To myśl szybciej, bo zaraz przedostaną się przez drzwi.

I wtedy przypominam sobie o moim telefonie komórkowym i postanawiam wykonać jeszcze jedną rozpaczliwą próbę. Wybieram wewnętrzny biura Bridget i Angleton odbiera po dwóch dzwonek. Skurwiel.

– Ach, Bob! – odzywa się zdecydowanie dobrodusznym tonem. – Gdzie jesteś? Udało ci się wyłączyć Internet?

Nie mam czasu na poprawianie go. Poza tym Josephine przeładowuje swoją armatę i

chyba zaraz zamierza wyciąć jakiś naprawdę paskudny numer, jeśli czegoś nie wymyślę, i to migiem.

– Szefie, uruchom McLuhanowe narzędzie SPOJRZENIE SKORPIONA i wrzuć oprogramowanie wbudowane na wszystkie kamery śledzące ruch na parterze we wschodnim skrzydle, *natychmiast*.

– Co? Czy ja dobrze usłyszałem?

Nabieram powietrza w płuca.

– Skorumpowała nocną straż. Wszyscy inni wyszli z budynku. Zrób to, bo inaczej przechodzę na dietę ze świeżych mózgów.

– Skoro tak chcesz – zgadza się tonem dobrodusznego wujaszka rozmawiającego z niesfornym chłopcem.

Rozlega się straszliwy trzask. Przez drzwi przebija się jakaś ręka, mija nas i utyka w przeciwnej ścianie.

– O kurwa – tylko tyle udaje mi się powiedzieć, zanim ręka się wycofa. I nagle jakieś dwie stopy od drzwi eksploduje kula światła; równocześnie rozlega się syczący huk i uderza w nas fala żaru. Kulimy się za szafką w strachu przed ogniem; po chwili, która wydaje się nam wiecznością, włączają się spryskiwacze.

– Już po wszystkim? – pyta, a przynajmniej tak mi się wydaje, bo nadal dzwoni mi w uszach.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. – Biorę kawałek rozwalonej obudowy z sieciowej skrzynki przyłączonej i wystawiam ją przez dziurę w drzwiach. Nie wybucha, więc ostrożnie otwieram drzwi. Dzwonienie staje się coraz głośniejsze; to mój telefon. Wyciągam go z kieszeni ociężałym gestem i pochylam się, by osłonić go przed strumieniem wody. Opieram się o ścianę korytarza, by trzymać się jak najdalej od poczerńiałych zwłok zombich.

– Słucham?

– To ja, twój szef. – Tym razem sprawia wrażenie rozbawionego. – Przykro mi z powodu prysznic! Odwiedźcie oboje Mahoniowy Rząd, żeby się wysuszyć, dyrektor ma tu osobistą łazienkę, zasłużyliście na odrobinę luksusu.

– Hm. A Harriet? Bridget? McLuhan?

– Już się nimi zajęliśmy – oświadcza tonem pełnym samozadowolenia, a ja dygoczę, gdy lodowate macki wody sięgają dolnych części mojego kręgosłupa i łaskoczą mnie po jajach jak utopiona kochanka.

– Dobrze. Zaraz tam będziemy. – Oglądam się, by spojrzeć na rozwaloną obudowę, a Josephine uśmiecha się do mnie jak wystraszony zdziczały szczur: ostre zęby, okrucieństwo i lśniaca lufa pistoletu.³⁸ – Jesteśmy już bezpieczni – mówię, starając się wyrazić to możliwe kojącym tonem. – Chyba wygraliśmy...

* * *

Podróż do gawry Angletona wymaga przemieszczania się zarówno w poziomie, jak i w pionie – zwykle pracuje w ponurej piwnicy po drugiej stronie opróżnionego kwartału zajętych przez Pralnię, a położonych w doskonałym miejscu londyńskich nieruchomości, ale teraz rozlokował się w gabinecie dyrektora na ostatnim piętrze północnego skrzydła.

Północne skrzydło wygląda, jakby nic się nie wydarzyło. Ludzie nadal pracują, nieświadomi zwęglonych ciał zombich leżących na poczerniałej, zalanej wodą, nasączoną paranormalnie podłodze w sąsiednim skrzydle. Parę osób obrzuca nas dziwnym spojrzeniem – jestem mokry i mam na sobie zniszczone ciuchy, w jakich chodzę na zewnątrz, detektyw inspektor jest odziana w resztki kosztownego szarego kostiumu i dzierży w śmiertelnym uścisku wielki pistolet – ale na szczęście wszyscy są na tyle inteligentni (bądź istnieje jakiś inny powód), że nikt nie prosi o naprawienie Internetu ani nie pyta, dlaczego zostawiamy ślady z brudnej wody na podłodze działu zarządzania zasobami ludzkimi.

Kiedy docieramy do miejsca, gdzie zaczyna się gruby zielony dywan i pokryta kurzem cisza dyrektorskiego gabinetu, Josephine ma oczy szeroko otwarte, ale już się nie trzęsie.

– Pewnie masz masę pytań – udaje mi się wykrztusić. – Ale postaraj się zachować je na później, dobrze? Opowiem ci o wszystkim co wiem, i czego masz prawo się dowiedzieć, jak tylko zadzwonię do mojej narzeczonej.

– A ja mam męża i dziewięcioletniego syna. Pomyśleliście o tym, zanim wciągnęliście mnie w ten obłąkany koszmar? Przepraszam. Wiem, że po prostu tak wyszło. Strzelanie do zombich i bycie braną na cel przez bazyliuszki trochę mnie rozstraja. To nerwy.

– Wiem. Tylko spróbuj się nie rozkleić przed Angletonem, dobrze?

– A tak właściwie, to kim jest Angleton? Albo wydaje mu się, że kim jest?

Zatrzymuję się przed drzwiami gabinetu.

– Nawet gdybym wiedział, to nie jestem pewien, czy mógłbym ci powiedzieć. – Pukam trzy razy.

– Proszę! – Andy otwiera nam drzwi. Angleton siedzi w fotelu dyrektora i bawi się czymś leżącym na samym środku wielkiego dębowego biurka, które wygląda, jakby pochodziło prosto z lat 30. Na ścianie za nim wisi mapa; jedna czwarta jest zaznaczona na różowo. – A, pan Howard i pani detektyw inspektor. Jak miło, że wpadliście.

Przyglądam się bliżej. *Stuk Stuk. Stuk.*

– Kołyska Newtona. Całkiem jak w latach 70.

– Można tak powiedzieć – uśmiecha się oszczędnie. Kulki, które kołyszą się tam i z powrotem na dyrektorskim biurku, nie są chromowane, wyglądają raczej, jakby miały jakąś teksturę: z jednej strony bladobrazowe, z drugiej ciemne albo jasne i włochate. I są chropowate, niepokojąco chropowate...

Wciągam powietrze do płuc.

– Harriet czekała na nas. Powiedziała, że się spóźniliśmy i że jednostka do spraw

zapobiegania opętaniu zostaje rozwiązana.

Stuk. Stuk.

– Tak. Przypuszczałem, że coś takiego powie, prawda?

Stuk. Stuk. Stuk. Stuk. W końcu nie mogę już tego wytrzymać.

– No i? – dopytuję się.

– Wiesz, facet, którego znałem, a nazywał się Uljanow, powiedział kiedyś coś bardzo trafnego. – Angleton ma minę jak kot, który właśnie połknął kanarka i wygląda interesująco z nóżkami sterczącymi z pyska. – Pozwól swym wrogom, żeby sprzedali ci wystarczającą ilość sznurka, by dało się ich na nim powiesić.

– A to nie był przypadkiem Lenin? – pytam.

Na jego twarzy pojawia się wyraz łagodnej irytacji.

– To było jeszcze przed tym – odpowiada cicho.

Stuk. Stuk. Stuk. Odciąga kulkę i puszcza ją, żeby znów zaczęły się wahać i nagle dociera do mnie, czym są te kulki. Dostaję mdłości. Istotnie, Bridget i Harriet, i poprzednik Bridget, i tajemniczy pan McLuhan nie będą mnie już niepokoić. Chyba że będą mnie nękać koszmary na temat tego biura, wizje mojej własnej wysuszonej głowy umieszczonej jako kulka w kołysce Newtona pośród dyrektorskich zabawek, na wieki wydająca stuk będący krzykiem, którego nikt już nie usłyszy.

– Robercie, Bridget planowała zamach na szczycie już od bardzo dawna. Pewnie jeszcze zanim wstąpiłeś do Pralni, czy też zostałeś zwerbowany. – Rzuca Josephine długie, badawcze spojrzenie. – Przekupiła Harriet, dała łapówkę McLuhanowi, zainstalowała Vossowi własny, zniekształcony czar. Przypuszczam, że ci zbrodniarze zamierzali oskarżyć mnie o niekompetencję i ujawnić jako ewentualną lukę w systemie zabezpieczeń przed Radą Audytorów, tak się to zwykle załatwia. Już od jakiegoś czasu domyślałem się, co się święci, ale potrzebowałem twardych dowodów. Ty ich dostarczyłeś. Niestety, Bridget należała do osób łatwo wpadających w panikę; kiedy zrozumiała, że o wszystkim wiem, kazała Vossowi zlikwidować świadków, a potem wezwała McLuhana i próbowała przeprowadzić pałacowy zamach stanu. Niestety dla niej, nie udało jej się prawidłowo ustalić, kto jest moim bezpośrednim przełożonym, zanim zwróciła się do moich zwierzchników, żeby mnie zwolniono. Stuka w tabliczkę z przodu biurka: **PRYWATNY SEKRETARZ**. Powiernik sekretów. Czyich sekretów?

– Zarządzanie macierzowe – mówię, kiedy w końcu w głowie zapala mi się lampka. – Pralnia działa w oparciu o system zarządzania macierzowego. Zobaczyła cię na schemacie organizacyjnym w roli szefa jednostki do spraw zapobiegania opętaniu, a nie prywatnego sekretarza... *Więc właśnie tak zyskał swobodny dostęp do dyrektorskiego gabinetu!*

Josephine jest przerażona.

– I to ma być instytucja rządowa?!

– Moja droga, każdego dnia roku w parlamencie dzieją się gorsze rzeczy. – Kiedy już

bezpośrednie niebezpieczeństwo zostało zażegnane, Angleton znów wygląda na niewzruszonego; wątpię, czy chciałoby mu się zamieniać ją w żabę, nawet gdyby zaczęła wrzeszczeć. – Poza tym znacie przysłowie głoszące, że władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje absolutnie? Tutaj każdego dnia tygodnia mamy do czynienia z władzą, która jest w stanie zniszczyć wasz umysł. Co gorsza, *nie możemy* poddać się nadzorowi publicznemu – to zbyt niebezpieczne, jak wręczenie petard atomowych trzyletniemu dziecku. Jeśli masz ochotę, poproś Roberta, żeby kiedyś opowiedział, co zrobił, żeby przyciągnąć naszą uwagę.

Ociekam wodą i jest mi zimno, ale czuję, jak czerwienią mi się uszy.

Angleton dalej zajmuje się Josephine.

– Możemy wzmocnić czar i wypuścić panią – dodaje cicho. – Ale moim zdaniem tutaj bardzo się pani przyda. Wybór należy do pani.

Prycham cicho. Josephine patrzy na mnie cynicznie spod zmrużonych powiek.

– Jeżeli w waszym wydziale macie coś, co uchodzi za operacyjne działania śledcze, to się wam przydam.

– Tak, jasne, i oczywiście nie musi pani podejmować decyzji natychmiast. Oddelegowanie do obowiązków, takie tam. A jeśli chodzi o ciebie, Bob – mówi, kładąc nacisk na moje imię – dziś znów doskonale się spisalesz. A teraz idź się wykapać, zanim całkiem zniszczysz mi dywan.

– Łazienka to drugie drzwi w korytarzu po lewej – dodaje usłużnie Andy ze swojego stanowiska pod ścianą przy drzwiach: teraz nie ma już żadnych wątpliwości co do tego, kto tu rządzi.

– Ale co teraz? – pytam zdumiony i lekko oszołomiony, próbując zwalczyć ziewanie, które zawsze mnie opada, kiedy ludzie przestają próbować mnie zabić. – To znaczy, co się *naprawdę stało*?

Angleton szczerzy się jak trupia czaszka.

– Bridget zrezygnowała z zarządzania swoim działem, więc dyrekcja poprosiła mnie, by tymczasowo Andy pełnił obowiązki zarządzającego. Boris popełnił błąd i nie zawiadomił McLuhana; jest, hm, tymczasowo niedysponowany. A jeśli chodzi o ciebie, dobrze wykonana praca pociąga pewne naturalne konsekwencje: w tym przypadku przydzielenie innej pracy.

Jego uśmiech staje się jeszcze szerszy.

– Jak mawiają: „daj krowie w żłobie, ona da i tobie”...

Przełożyła Jolanta Pers

Słownik terminów i skrótów

- CESG** – Grupa bezpieczeństwa komunikacji elektronicznej (Communications Electronics Security Group – wydział GCHQ), Wielka Brytania
- CIA** – Centralna Agencja Wywiadowcza (Central Intelligence Agency), USA
- CMA** – Ustawa o niewłaściwym wykorzystaniu komputerów (Computer Misuse Act – prawo dotyczące hakerstwa), Wielka Brytania
- DERA** – Agencja Badawcza ds. Techniki Obronnej (Defense Engineering Research Agency – *sprywatyzowana jako QinetiQ*), Wielka Brytania
- GCHQ** – Centrala Łączności Rządowej (Government Communications Headquarters – odpowiednik NSA), Wielka Brytania
- KCMG** – Wielce Wybitny Order św. Michała i św. Jerzego (Knight-Commander of The Most Distinguished Order of St Michael and St George – brytyjskie wysokie odznaczenie państwowe przyznawane za szczególne osiągnięcia i zasługi odniesione w służbie zagranicznej Wielkiej Brytanii), Wielka Brytania
- NSA** – Agencja Bezpieczeństwa Narodowego (National Security Agency – odpowiednik GCHQ), USA
- OCCULUS** – Jednostka Koordynacji Kontroli Okultystycznej, Wielka Brytania/NATO
- Wydział Q** – Wydział Pralni prowadzący prace badawczo-rozwojowe, Wielka Brytania
- QinetiQ** – patrz: DERA
- RIPA** – Ustawa o regulacji uprawnień śledczych (Regulation of Investigatory Powers Act – prawo regulujące kwestie inwigilowania komunikacji), Wielka Brytania
- SAS** – Specjalna Jednostka Lotnicza (Special Air Service – służby specjalne Armii Brytyjskiej), Wielka Brytania
- SOE** – Kierownictwo Operacji Specjalnych (Special Operations Executive – brytyjski odpowiednik OSS, oficjalnie rozwiązane w 1945 r.; patrz także: Pralnia), Wielka Brytania
- Pralnia** – Dawniej Wydział Q SOE, wydzielona jako osobna organizacja w 1945r., Wielka Brytania

Will McIntosh

MROŻONA PANNA MŁODA

Słowa były niczym delikatne szturchnięcia, które powoli ją rozbudzały.

– Cześć. Witaj. – Poczowała światło na swoich powiekach i wiedziała, że jeżeli otworzy oczy, te zaczną ją szczypać i wtedy będzie musiała osłonić je dłonią, przepuszczając jedynie wąską wiązkę promieni.

– Masz ochotę porozmawiać? – zapytał cichy, męski głos.

W tej chwili jej myśli rozjaśniły się na tyle, żeby pojawiło się pytanie: gdzie jest mama? Starła się przywołać odpowiedź z zakamarków umysłu, ale ta nie przychodziła, co było przecież niemożliwe. Kiedy już raz wpuściła mamę, pozbyła się jednocześnie możliwości ponownego jej wyrzucenia. To nie było jak pozwolenie mamie na wprowadzenie się do jej mieszkania. Kiedy mama znalazła się w jej umyśle nie miała już odwrotu, gdyż nie było ciała, do którego ta mogłaby wrócić. Gdzież więc podziała się teraz?

– Teraz już na pewno wiem, że się obudziłaś. No dalej, śpiąca królewno, przemów do mnie. – Ostatnie słowa wypowiedziano szeptem i były zarezerwowane dla kochanków, a Mira poczuła, że jest wybudzona i zaczęła unosić powieki. Spróbowała westchnąć, ale nie mogła zaczerpnąć oddechu. Zaalarmowana, szybko otworzyła oczy. Zobaczyła uśmiechającego się i pochylającego nad nią starego mężczyznę, ale Mira ledwie go dostrzegła; kiedy otworzyła usta, żeby zaczerpnąć oddechu, jej szczęka skrzypnęła wydając pisk podobny okrzykowi morskiego ptaka. Dalej nie mogąc oddychać, spróbowała przycisnąć dłonie do policzków, ale ręce również odmówiły jej posłuszeństwa. Nie mogła poruszać niczym, poza mięśniami twarzy.

– Witaj. Jak się masz? – Stary mężczyzna uśmiechał się delikatnie, tak jakby Mira miała rozpaść się na kawałki, gdyby uśmiechnął się szerzej.

Teraz dostrzegła, że nie był taki stary. Miał może sześćdziesiąt lat. Zmarszczki na czole i wokół nosa zdawały się być głębokie tylko dlatego, że jego twarz znajdowała się tak blisko

jej, jakby się szykował do pocałunku.

– Czy coś cię niepokoi? – Wyciągnął dłoń i pogłaskał ją po włosach. – Żeby kontrolować przepływ powietrza, musisz ścisnąć tylną część szczęki. Nie pokazali ci, jak to robić? – Powietrze popłynęło, niczym delikatna bryza wlatując do gardła i wylatując ustami oraz nosem, gdzie podrażniło jej drobne włoski. Przygryzła wargi i bryza zamieniła się w syk; wydech powietrza wystarczająco silny, by jej klatka piersiowa mogła opaść, ale nic takiego nie nastąpiło. Może zresztą tak się i stało, lecz nie mogła tego zobaczyć, miała unieruchomioną głowę.

– Gdzie... – zaczęła Mira, a potem jęknęła z przerażenia, gdyż jej głos brzmiał okropnie; był głęboki, chrapliwy i głuchy, jakby należał do kogoś, kto właśnie wylazł z bagna.

– Trzeba się do tego przyzwyczaić. Czy jestem twoim pierwszym? Nikt cię wcześniej nie wskrzeszał? Nawet w celu udzielenia instruktażu? – Myśl, że jest jej pierwszym, cokolwiek to znaczyło, sprawiała mu chyba przyjemność. Mira obserwowała mężczyznę, zastanawiając się, czy powinna go rozpoznać. Widząc jej zainteresowanie wyprężył się, jakby się spodziewał, że Mirę ucieszy jego widok. Nie był atrakcyjny. Miał gruby i wydatny, ale wcale nie arystokratyczny nos, rozdęte jak byk nozdrza i neandertalskie czoło, choć delikatnie zarysowane usta. Nie poznawała go.

– Nie mogę się poruszyć. Dlaczego nie mogę się ruszać? – udało jej się w końcu wykrztusić. Próbowwała rozejrzeć się dookoła, ale nie potrafiła.

– Wszystko w porządku, spróbuj się odprężyć. Tylko twoja twarz jest sprawna.

– Co się stało? – z trudem wystękała pytanie.

– Miałaś wypadek samochodowy – powiedział, a na jego czole pojawiły się zmarszczki troski. Zerknął na odczyt na dłoni. – Dość poważne obrażenia. Pęknięta aorta, utrata prawej nogi.

Utrata prawej nogi? Jej prawej nogi? Nie widziała niczego poza pochylającym się nad nią mężczyzną i złotawym sufitem znacznie wyżej nad nim.

– Jestem w szpitalu? – zapytała.

– Nie, to centrum matrymonialne.

– Proszę? – Po raz pierwszy zorientowała się, że w pokoju słychać rozmowy innych, prowadzone cichym, szczerym i spokojnym tonem ludzi pewnych siebie. Usłyszała urywki konwersacji toczącej się obok: „...neutralne kolory. Jak ktoś mógłby wybrać fiolet?“, „...ostatni raz byłam na koncercie Day-Glows w wieku siedemnastu lat...”

– To nie ja powinienem się tym zajmować. – Mężczyzna obrócił się, patrząc przez ramię. – Zwykle udziela się instruktażu. – Podniósł głos. – Halo? – Odwrócił się do niej z powrotem i wzruszył ramionami; miał mocno skonfundowaną minę. – Wygląda na to, że jesteśmy zdani na siebie. – Zacisnął dłonie i pochylił się nad Mirą. – Widzisz, prawda jest taka, że zginęłaś w wypadku...

Mira nie usłyszała kilku następnych, powiedzianych przez niego zdań. Miała wrażenie, że

unoszą się w powietrzu. Wydawało się to absurdem; mimo że jest martwa, ktoś może ją o tym poinformować. Ale w jakiś sposób wyczuwała, że to prawda. Nie pamiętała momentu śmierci, ale miała wrażenie jakiegoś ostatecznego rozgraniczenia pomiędzy chwilą obecną a tym, co było wcześniej. Sama ta myśl sprawiała, że chciała uciekać, opuścić swoje ciało, które było martwe. Jej zęby należały do trupa.

– ...twoje ubezpieczenie obejmowało kriogeniczne przechowanie, ale pełne wskrzeszenie, zwłaszcza w przypadku tak rozległych obrażeń, jest bardzo kosztowne. I tu wkracza centrum matrymonialne...

– Gdzie jest moja matka? – przerwała mu Mira. Mężczyzna ponownie zerknął na swoją dłoń, po czym kiwnął głową.

– Miałaś autostopowiczkę, swoją matkę. – Ponownie rozejrzał się, unosząc dłoń jakby chcąc kogoś przywołać, a potem ją opuścił.

Autostopowicz. Cóż za odpowiedni termin.

– Czy ona odeszła? – Mira chciała powiedzieć „Czy ona umarła?“, ale w zaistniałej sytuacji był to dwuznaczny koncept.

– Tak. Utrzymanie autostopowicza wymaga nieustającej akcji mózgu. Kiedy giniesz, autostopowicz odchodzi.

Niczym ktoś, kto stara się pamiętać numer telefonu, pomyślała Mira. Musisz cały czas mieć go w myślach, ale jeżeli raz go zapomnisz, nie da się go odzyskać. Mira poczuła ogromną ulgę. Od momentu przebudzenia ciągle czekała na moment, w którym usłyszy głos swojej matki. Teraz wiedziała, że ta chwila nie nadejdzie i mogła się odprężyć. Miała wyrzuty sumienia, że śmierć matki przyniosła jej ulgę, ale kto mógł ją winić? Z pewnością nikt, kto znał jej matkę. Z pewnością nie Lynn.

– Mam siostrę – powiedziała. – Lynn. – Szczęka poruszała się bardzo sztywno.

– Tak, siostrę bliźniaczkę. To dopiero byłoby interesujące. – Mężczyzna wyszczerzył się, unosząc brwi.

– Czy ona ciągle żyje?

– Nie – jego ton sugerował, że zachowuje się niemądrze. – Śpiąca królowo, byłaś nieobecna przez prawie osiemdziesiąt lat. – Machnął ręką, jakby wszystkie te informacje były banalne. – Ale skupmy się na teraźniejszości. Wstępny pomysł jest taki, że mamy się poznać. Chodzić na randki. Jeżeli okaże się, że do siebie pasujemy – tu jego ramiona powędrowały w górę i znów błysnął wykwinym uśmiechem – wtedy mogę być skłonny do zapłacenia za twoje wskrzeszenie, żebyśmy pozostali razem.

Randki.

– No więc, mam na imię Red, a z twojego odczytu wiem, że masz na imię Mira. Miło cię poznać, Mira.

– Ciebie też – mruknęła Mira. Powiedział, że zginęła w wypadku samochodowym. Starła się przypomnieć coś sobie, ale bez rezultatu. Przynajmniej w kwestii wypadku. Zalały

ją za to wspomnienia sprzeczek z matką. Sprzeczeki w centrum handlowym. Mama nienawidziła wszystkiego, co Mira lubiła, starała się zmusić córkę, żeby ta udała się do sekcji dla seniorów i kupowała tanie, niemodne stroje domowe. Wprawdzie nie miała władzy nad ciałem Miry (w końcu była tylko autostopowiczką), ale istnieje wiele sposobów, dzięki którym da się kogoś kontrolować.

– Do rzeczy, Miro. – Red klasnęła dłońmi. – Chcesz lecieć w kulki, czy masz ochotę na coś bardziej osobistego?

Jego brwi ponownie się uniosły, tak samo jak w chwili, kiedy poczynił uwagę na temat bliźniaczek.

– Nie rozumiem – odpowiedziała.

– Nooo... Na przykład, mam pytanie. – Pochylił się nisko, chuchając jej w ucho. – Gdybym cię wskrzesił, jakiego rodzaju rzeczy byłabyś gotowa dla mnie zrobić?

Mira nabrała pewności, że ten mężczyzna nie nazywa się Red i wątpiła, żeby chciał wskrzesić kogokolwiek.

– Nie wiem, to bardzo intymne pytanie. Może najpierw lepiej się poznamy? – Potrzebowała czasu do namysłu, choćby kilku minut, żeby poskładać to wszystko do kupy.

Red teatralnie zmarszczył brwi.

– No dalej, pokokietuj mnie trochę.

Czy powinna powiedzieć Redowi, że jest lesbijką? Z pewnością nie. Straci zainteresowanie, a może nawet zgłosi ów fakt komuś, kto zarządza tą placówką. Ale dlaczego właściciel nie wiedział o tym, że jest lesbijką? Istniała możliwość, że zostało to omówione na przeszkoleniu, które przegapiła. Tak czy siak, nie chciała ryzykować wykluczenia z obrotu albo wręcz odłączenia i pochowania.

Czy to byłoby najgorszą możliwością?

Ta myśl obudziła coś dawno zapomnianego. Albo może raczej głęboko ukrytego, gdyż wszystko z jej życia było dawno zapomniane. Już kiedyś rozważała podobne zagadnienie i było ono związane z takim ładunkiem bólu, że jego echo ciągle odbijało się, pozbawione samego wspomnienia. Próbowała przypomnieć sobie coś więcej, ale wszystko było zagrzebane głęboko pod gęstą mazią, na którą natykała się za każdym razem, kiedy chciała sięgnąć pamięcią wstecz. Czy za życia była w stanie przywołać owe obrazy bez wysiłku? A może tak właśnie je zapamiętała?

– Ja po prostu... – Chciała dodać „nie jestem w nastroju”, ale byłyby to nie tylko banał, ale i wielkie niedomówienie. Była martwa. Mogła ruszać jedynie swoją twarzą, co sprawiało, że czuła się rozkojarzona, tak jakby dryfując bezwładnie unosiła się gdzieś w bezmiarach. Nigdy wcześniej nie przyszłoby jej do głowy, że brak władzy w rękach i nogach może tak człowieka uziemić. – Po prostu nie jestem dobra w tych sprawach.

– Cóż. – Red oparł dłonie na udach i demonstracyjnie wstał. – To jest dość kosztowne, a oni liczą od minuty. Więc pożegnaj się teraz, a ty możesz wrócić do martwoty.

Wrócić?

– Poczekaj! – powiedziała Mira. Mogli ją wskrzesić, a potem znowu dać jej umrzeć? Wyobraziła sobie swoje zamknięte gdzieś ciało, być może na lata, na zawsze. Ta myśl przerażała ją. Red przystanął w oczekiwaniu. – Dobrze. Mogłabym... – Starła się coś wymyślić, ale było tyle rzeczy, które przelatywały jej przez głowę, tyle wątków myślowych, którymi chciała podążyć... Żaden z nich jednak nie dotyczył pochylającego się nad nią zboczeńca.

Czy były inne sposoby na permanentne „wskrzeszenie”? Czy miała jakichś żyjących krewnych, z którymi mogła się skontaktować albo oszczędności, które procentowały przez ostatnie osiemdziesiąt lat? Czy w ogóle miała jakieś oszczędności w chwili śmierci? Posiadała dom, tyle pamiętała. Zapewne odziedziczyła go Lynn.

– W porządku, nie chcesz rozmawiać, to się pożegnam – warknął Red. – Ale nie spodziewałbym się następnych gości. Twoje obrażenia powodują, że wskrzeszenie byłoby kosztownym procesem, a tam są dziesiątki tysięcy innych kobiet. Nie wspominając o tym, że mężczyźni nie chcą bab, które były zamrożone sześćdziesiąt lat przed otwarciem tej placówki, a to dlatego, że nie znajdują z nimi wspólnego języka.

– Proszę – powiedziała Mira.

Mężczyzna sięgnął do czegoś, co znajdowało się ponad jej głową, poza polem widzenia.

* * *

...Śniła, że biegnie ścieżką w lesie. Szlak biegł coraz bardziej pod górę, aż zaczęła wspinać się na wielkie, prowadzące do lichego zameczku ze sklejkki stopnie, które potem spiralnie wiodły w górę. Wokół panował mrok, ledwie widziała otoczenie, ale wspaniale było biec; od ostatniego razu minęło już tyle czasu, że nie obchodziło jej, po jak stromej trasie biegnie. Dotarła jeszcze wyżej i zaczęła się zastanawiać, czy nie zawrócić, ale po zabrnięciu tak daleko chciała dostać się na sam szczyt. W końcu tam dotarła i znalazła okno, przez które rozciągał się widok na szeroką rzekę oraz okalające ją prześliczne uniwersyteckie miasteczko. Wychyliła się, żeby uzyskać lepszy widok i wtedy chybnęła się do przodu. Budowla nabrała prędkości, coraz szybciej podążała w kierunku budynków. To koniec, pomyślała ze ściśniętym żołądkiem. To moment, kiedy umieram.

Tuż przed uderzeniem w ziemię wyrwała się ze snu.

Obserwował ją mrużący oczy stary mężczyzna, miał najprawdopodobniej ponad siedemdziesiąt lat.

– Nie jesteś w moim typie – burknął, sięgając ponad jej głowę.

* * *

– Cześć. – Odezwał się zakatarzony głos, więc mężczyzna odchrząknął. – Nigdy wcześniej tego nie robiłem. – Był otyły i miał może czterdzieści lat.

– Jaką mamy datę? – zapytała ciągle oszołomiona Mira.

– Trzeci stycznia, dwa tysiące trzysta pięćdziesiątego drugiego – odparł jej rozmówca. Minęło prawie trzydzieści lat. Człowiek otarł usta wierzchem dłoni. – Przychodząc tutaj czuję się trochę dziwnie, jakbym molestował dzieci, albo co. – Zmarszczył brwi. – Ale krąży tyle historii o ludziach, którzy znaleźli swoją prawdziwą miłość w szufladach. Mój kuzyn Ansel spotkał swoją drugą żonę, Floren w centrum wskrzeszania. Urocza kobieta.

Mężczyzna rzucił jej szeroki, ckliwy uśmiech.

– Przy okazji, mam na imię Lycan.

– A ja Mira. Miło cię poznać.

– Masz na swój słodki sposób nieco drżący uśmiech. Myślę, że jesteś uczciwa. Nie wykorzystasz mnie, żebym cię wskrzesił tylko po to, by się ze mną rozwieść. Trzeba uważać na takie rzeczy. – Lycan ustawił się lekko bokiem, być może starając się wyglądać na szczuplejszego, niż był.

– Rozumiem, że to może być problemem – powiedziała Mira.

Lycan westchnął ciężko.

– Być może spotkanie kobiet w zakładach wskrzeszania jest żalosne, ale nie tak jak pojawianie się samotnie na każdym przyjęciu, z rękami wciśniętymi w kieszenie zamiast obejmującymi kogoś innego, albo przyjdzie z partnerką, która nie tylko głośno się śmieje i ma kiepskie poczucie humoru, ale jest też o dziesięć lat starsza od ciebie i niezbyt atrakcyjna. To dopiero jest żalosne. Niech sobie ludzie podejrzewają, że moja piękna, młoda żona została wskrzeszona. I tak będą mi zazdrościć; ja będę chodził niczym paw, trzymając ją za rękę, a wszyscy inni mężczyźni będą się na nią gapić.

Lycan zamilkł na chwilę.

– Przepraszam, moja babcia twierdzi, że za dużo gadam.

A więc Lycan miał autostopowiczkę. Przynajmniej jedną. Trudno było to ocenić, gdyż z autostopowiczami człowiek robi się bardzo dobry w prowadzeniu dwóch rozmów naraz.

– Nie przeszkadza mi to – powiedziała Mira. Dało jej to cenny czas na zastanowienie się. Za życia zdarzały się jej chwile, gdy miała bardzo mało czasu, ale zawsze znajdowała go trochę na rozmyślanie i analizowanie swojego postępowania. Umiała to robić w drodze do pracy, stojąc w kolejce i podczas wszystkich innych drobnych przerw. Nagle okazało się, że to jej najcenniejszy dar.

Lycan otarł swoje dłonie.

– Nie idzie mi najlepiej na pierwszych randkach.

– Świetnie ci idzie. – Mira uśmiechnęła się najładniej jak potrafiła, choć wiedziała, że ów uśmiech nie rozciąga się na oczy. Musiała się stąd wydostać, przekonać jednego z tych facetów, żeby ją wskrzesił. Jednego z facetów? To była dopiero trzecia osoba, która

wskrzesała ją na przestrzeni pięćdziesięciu lat, odkąd otworzoną tę placówkę, a jeżeli wierzyć tamtemu pierwszemu zbrojczycowi, który ją odwiedził, będzie traciła na atrakcyjności, im dłużej tutaj zostanie.

Mira chętnie dowiedziała się, gdzie się znajduje. Czy była to trumna? A może łóżko? Wiele dałaby za możliwość ruszenia szyją.

– Jak tu jest? – zapytała. – Czy jesteśmy w jakimś pokoju?

– Chcesz zobaczyć? Popatrz. – Lycan zatrzymał dłoń mniej więcej stopę od jej twarzy. Trzymał w niej ekranik z migającymi na nim słowami i trójwymiarowymi obrazami, który nagle przeobraził się w lustro.

Mira wzdygnęła się. Spoglądała na nią jej własna martwa twarz; miała poszarzałą skórę i niebieskie usta. Skóra była sflaczała i zamiast na pogrążoną w spokoju, wyglądała na lekko niezrównoważoną albo cofniętą w rozwoju. Resztę ciała pokrywała lśniąca, srebrna siatka.

Lycan przechylił lustro, pozwalając jej zobaczyć resztę pomieszczenia. Była to rozległa, otwarta, podobna do hotelowego holu przestrzeń. W samym jej środku dostrzegła zjeżdżającą akurat w dół windę. Po pięknie zaprojektowanych estakadach śpiesznie podążali dokądś ludzie, podczas gdy w wielkich przezroczystych rurach zawieszonych w przestrzeni wiły się strugi kryształowo niebieskiej wody, co sprawiało wrażenie latających strumieni. W pobliżu Mira zobaczyła siedzącego przy otwartej szufladzie i poruszającego ustami mężczyznę, który kiwał się jednostajnie, trzymając ręce na kolanach. Lycan cofnął lustro. Miał szeroko otwarte oczy.

– O co chodzi? – zapytała Mira. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, a potem zmienił zdanie i potrząsnął głową.

– O nic.

– Proszę, powiedz mi... – Mężczyzna umilkł na długą chwilę. Mira domyśliła się, że prowadzi jakiś wewnętrzny spór. W końcu otworzył usta.

– Po prostu w końcu to do mnie dotarło: rozmawiam z martwą osobą. Gdybym mógł dotknąć twojej dłoni, miałabyś zimne i sztywne palce.

Mira wbiła wzrok w sufit. Czowała się zawstydzona. Zawstydzano ją martwe ciało, w którym była uwięziona.

– Jak to jest? – wyszeptał, jakby pytał o coś obscenicznego. Mira nie chciała odpowiadać, ale nie chciała też powrotu do martwoty.

– To niełatwe. Trudno jest nie mieć nad niczym kontroli, nad tym, kiedy się obudzę i z kim będę rozmawiać. I prawdę mówiąc, to straszne. Kiedy zakończysz to spotkanie, zniknę. Nie będę o niczym myśleć, śnić, będzie tylko pustka. To mnie przeraża. Te kilka minut, zanim spotkanie się skończy, doprowadza mnie do paniki.

Lycan miał taką minę, jakby było mu głupio, że o to zapytał, więc Mira zmieniła temat, chcąc dowiedzieć się więcej na temat autostopowiczów Lycana. Miał dwóch: ojca i babcię.

– Nie rozumiem – powiedziała Mira. – Skoro odkryto, jak wskrzeszać ludzi, skąd

potrzeba posiadania autostopowiczów? – Za jej czasów, nauki medyczne poczyniły wystarczający postęp, żeby dać nadzieję na przełom i kriogenika była powszechna, ale martwi pozostawali martwymi.

– Ciała się zużywają – stwierdził z prostotą Lycan. – Jeżeli wskrzesisz kobietę, która ma dziewięćdziesiąt dziewięć lat, nadal niewiele jej zostanie czasu. Opowiedz mi coś o sobie. Widzę, że miałaś autostopowicza?

Mira opowiedziała Lycanowi o swojej matce i ten wymamrotał wymagane kondolencje, ona zaś udała, że były na miejscu. Nie miała złudzeń, dlaczego zgodziła się być gospodarzem dla swojej matki. W pewnym sensie, jej motyw był prozaicznie samolubny: wiedziała, że nie będzie mogła sobie wybaczyć, jeżeli odmówi. Działanie jej matki było perfekcyjnie wykonanym, emocjonalnym szantażem. „Ależ Mira, ja umieram. Proszę, boję się”. Nawet po osiemdziesięciu latach i śmierci, Mira ciągle słyszała głos swojej matki, jego wiecznie skrzywdzony ton.

Gdy zaczęła myśleć o swojej matce, ogarnął ją nieprzenikniony mrok. Czowała się winna i zawstydzona. Ale czegoż miała się wstydzić? Co jest się winnym matce, której jedyną okazaną dobrocią było danie okazji do narodzin? Jest się jej dłużnym miejsce w swoim umyśle? W sytuacji, kiedy zamiast „miłego mężczyzny” pokochało się kobietę, przez co matka ledwie się do ciebie odzywała? Twoja bratnia dusza ginie bolesną śmiercią, a jedyne słowa pocieszenia ze strony matki to: „Może następnym razem powinnaś spróbować z mężczyzną”? Tak jakby śmierć Jeanette uczyniła sprzeciw jej matki słusznym.

– A co będzie, jeżeli naprawdę znajdę tutaj kogoś i zgodzi się ona wyjść za mnie w zamian za wskrzeszenie? – mówił Lycan. – Czy ludzie wyczuliby, że jest dla mnie za urodziwa i domyślili się, że spotkałem ją w domu mrożonych panien młodych? Musielibyśmy ułożyć przekonującą historyjkę o tym, jak się spotkaliśmy. Coś, co nie brzmiałoby na zmyślane.

– Dom mrożonych panien?

Lycan wzruszył ramionami.

– Tak właśnie niektórzy ludzie nazywają tego typu miejsca.

A więc nawet gdyby ktoś ją wskrzesił, byłaby pariasem. Ludzie nie chcieliby mieć z nią nic wspólnego. W głowie rozbrzmiał głos jej matki, prawie synchronizując się z jej myślami.

Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Ani z tobą, ani z twoją dziewczyną.

– Obawiam się, że muszę się pożegnać. Powinienem się jeszcze tu rozejrzeć. Ale może moglibyśmy jeszcze kiedyś porozmawiać? – zapytał Lycan.

Nie chciała znowu umierać, być ciśniętą w otchłań. Miała tyle do rozmyślań, do przypomnienia sobie.

– Chętnie – powiedziała tylko, powstrzymując się od krzyczenia, błagania tego mężczyzny, żeby jej nie zabijał. Gdyby Mira to zrobiła, już nigdy by nie wrócił. Kiedy wyciągał rękę, żeby ją wyłączyć, Mira wykorzystała swoje kilka ostatnich sekund, żeby

poszukać wspomnienia o wypadku. Były niczym drzazga, która nie daje spokoju.

* * *

Lycan wrócił. Powiedział, że od jego ostatniej wizyty minął tydzień. Mira nie miała pojęcia ile czasu minęło, tak samo jak wtedy, kiedy zapada się w sen. Tydzień odczuwało się tak samo jak trzydzieści lat.

– Rozmawiałem w tym czasie z jedenastoma kobietami i żadna nie była nawet w połowie tak interesująca jak ty. Zwłaszcza te, które zmarły niedawno. Współczesne kobiety potrafią być takie płytkie i niechętne do znalezienia nici wspólnego porozumienia. Nie chcę związku, który będzie ciągłą walką. Chciałbym troszczyć się o potrzeby mojej żony, móc jej powiedzieć „nie, kochanie, obejrzyjmy film na który ty masz ochotę” i spodziewać się, że odpowie „nie, w porządku, wiem jak bardzo chcesz zobaczyć ten drugi”. I czasem oglądaliśmy jej film, a czasem mój.

– Wiem, co masz na myśli – powiedziała Mira, miała nadzieję, że intymnym tonem. Tak intymnym, jak tylko pozwalał jej pozagrobowy głos.

– Dlatego udałem się na dolne piętro, do kobiet, które zginęły sto, sto dwadzieścia pięć lat temu. Pomyślałem sobie, a dlaczego nie wziąć sobie kobiety z bardziej niewinnych czasów? Pewnie byłaby bardziej wdzięczna. Pani z instruktażu powiedziała mi, że wybranie sobie zimnej panny młodej zamiast żywej kobiety jest bardzo wspaniałomyślne, bo daje się życie komuś, kto oszustwem został pozbawiony własnego. Osobiście nie mam złudzeń, nie robię tego z poczucia szlachetności, ale miło jest pomyśleć, że robię dla kogoś coś dobrego, zaś dziewczyny na dole potrzebują tego bardziej, niż te znajdujące się na wyższych poziomach. Długo już czekasz w kolejce.

Mira czekała już długo, choć wcale tego nie odczuwała. Jak dla niej minęła... ile... godzina życia, odkąd umarła? Trudno było to ocenić, ponieważ nie pamiętała momentu śmierci. Starła się sobie go przypomnieć. Czy jej samochód miał wypadek w mieście, czy na autostradzie? To była jej wina? Ale nic do niej nie powracało poza wspomnieniami tego, co najwyraźniej musiało być tygodniami prowadzącymi do tego wydarzenia, kiedy to matka doprowadzała ją do obłądu.

Kiedy ją przyjęła, musiała zrezygnować z seksu. Jak mogła uprawiać z kimś miłość, gdy jej matka była świadkiem wszystkiego, co robi? Nawet mężczyźni odpadali, choć oni i tak nie mieli u niej żadnych szans. W każdej sytuacji.

– To jednak kłopotliwe – kontynuował Lycan. – Nie ma żadnego dobrego sposobu na powiedzenie komuś, że nie jest się zainteresowanym. Nie mam doświadczenia w odrzucaniu kobiet. Jestem dużo bardziej zaznajomiony z odwrotną sytuacją. Gdybyś nie była w tej szufladzie, pewnie nawet byś na mnie drugi raz nie spojrzała.

Mira zdawała sobie sprawę, że jej rozmówca bada temat, chciałby, żeby zaprzeczyła i z

pewnością spojrziała na niego po raz drugi. Było to trudne, gdyż udawanie, że czuje coś, czego nie czuła, nie leżało w jej naturze. Ale nie miała luksusu postępowania zgodnie ze swoimi przekonaniem.

– Oczywiście, że bym spojrziała. Jesteś cudownym, przystojnie wyglądającym mężczyzną.

Lycan rozpromienił się. Mira zastanawiała się, co sprawia, że człowiek uwierzy w każde kłamstwo, choćby i najbardziej oczywiste, jeżeli jego treść nam schlebia?

– Wiesz, niektórzy ludzie po prostu coś w nas rozpalają, sprawiają, że oddychamy szybciej – powiedział Lycan. – A inni nie. Trudno powiedzieć dlaczego, ale pierwsze kilka sekund od spotkania kogoś... i bum – tu strzelił palcami – wie się, że to właśnie ten ktoś. – Przez chwilę patrzył jej w oczy, a potem odwrócił wzrok, najwyraźniej nieprzyzwyczajony do takich sytuacji, a w końcu z zaczerwienionymi policzkami wbił wzrok w kolana.

– Doskonale cię rozumiem – powiedziała Mira. Spróbowała uśmiechnąć się ciepło i ze zrozumieniem. Poczła się przy tym jak gówno.

Tym razem w tle słychać było nieprzerwany szept.

„W życiu i w ozywieniu, w doli i w niedoli...”.

– Co to takiego? Czy to ceremonia ślubna? – zapytała Mira.

Lycan zerknął przez ramię i kiwnął głową.

– Co i rusz jakieś się tutaj odbywają. W przeciwnym razie wskrzeszenie kogoś może być ryzykowne.

– Oczywiście – odpowiedziała Mira. Była tu od dziesięcioleci, a mimo to nic nie wiedziała o tym miejscu.

* * *

– Muszę ci o czymś powiedzieć – powiedział Lycan. Była to ich szósta bądź siódma randka. Mira polubiła Lycana, co było dobre, gdyż widziała zaledwie jego pulchne policzki i wystający z nich niewielki wznósek podbródka. Był jej życiem, jakkolwiek nie oceniać jego jakości.

– O co chodzi? – zapytała Mira.

Odwrócił głowę w drugą stronę i westchnął ciężko.

– Nigdy wcześniej nie czułem się tak dobrze w towarzystwie kobiety jak przy tobie. Muszę być z tobą szczerzy, choć boję się, że cię stracę.

Mira starała wyobrazić sobie, jak mężczyzna sformułuje myśl, która sprawi, że ona umrze zamiast dotrzymać mu towarzystwa.

– Jestem pewna, że do tego nie dojdzie, o cokolwiek by chodziło. Możesz mi zaufać.

Lycan zasłonił oczy dłonią. Jego klatka piersiowa intensywnie wznosiła się i opadała. Mira uciszała go delikatnie, mówiąc słowa, których nigdy nie usłyszała od matki, nawet

wtedy, gdy umarła Jeanette.

– Wszystko dobrze – szeptała. – O cokolwiek by chodziło, wszystko będzie dobrze.

Lycan w końcu spojrzał na nią zaczerwienionymi oczami.

– Naprawdę cię lubię, Miro. Myślę, że nawet się w tobie zakochałem. Ale nie jestem bogaty. Nie stać mnie na to, żeby cię wskrzesić i nigdy nie będzie. Nawet gdybym sprzedał wszystko, co posiadam.

Nawet nie zdawała sobie sprawy, jakie pokłady nadziei ją przepelniały, dopóki ta nie została pogrzebana.

– Cóż, pewnie to nie twoja wina. – Starła się brzmieć optymistycznie, ale wewnątrz czuła czarną rozpacz.

Lycan skinął głową.

– Przepraszam, że cię okłamałem.

Mira nie musiała nawet pytać, dlaczego przyszedł tu i udawał, że szuka żony, skoro nie może nikogo wskrzesić. Wszystkie martwe kobiety muszą być dla niego bardzo miłe, wsłuchiwać się w każde jego słowo w nadziei, że to właśnie je wybierze i uwolni z długiego snu. Gdzie indziej mężczyzna pokroju Lycana przyciągałby taką uwagę?

– Czy jesteś w stanie mi wybaczyć? – zapytał Lycan, wyglądając niczym skarcony buldog. – Czy ciągle mogę cię odwiedzać?

– Oczywiście. W przeciwnym razie strasznie bym tęskniła. – Prawda była taka, że jeżeli Lycan przestałby odwiedzać Mirę, ta nie byłaby w stanie tęsknić za kimkolwiek. Nikt inny do niej nie przychodził i niewielkie było prawdopodobieństwo, że ktoś zajrzy akurat do niej, jeśli leżała pośród armii zamrożonych panien młodych, ułożonych ramie w ramie w pudłach tego niekończącego się mauzoleum.

I to było tyle. Lycan zmienił temat i zaczął opowiadać o swojej kolekcji zabytkowych gier, zaś Mira słuchała i w przerwach mówiła „mhm”, jednocześnie skupiając się na własnych myślach.

Złapała się na tym, że myśli więcej o swojej matce, niż o Jeanette. Może dlatego, że już pogodziła się z tym, iż Jeanette odeszła, podczas gdy o wiele mniej bolesna śmierć Mamy miała miejsce niedawno. Gdy Jeanette umarła, Mira wałkowała ten fakt w myślach tak długo, dopóki nowe pytania przestały się pojawiać. I wtedy w końcu była w stanie pogodzić się ze śmiercią kochanki...

Przyszła jej do głowy zadziwiająca myśl. Nie mogła uwierzyć, że wcześniej o tym nie pomyślała. Tak samo jak Mira, Jeanette pracowała dla Capital Lifekey. Kriogenika była tak samo częścią profitów Jeanette, jak i Miry.

– Lycan, czy mógłbyś coś dla mnie zrobić? – Czuła, jakby od jej następnego pytania zależały losy całego wszechświata.

– Jasne, cokolwiek.

– Czy mógłbyś spróbować znaleźć moją zmarłą przyjaciółkę?

– Jak ma na imię?

– Jeanette Zierk. Urodzona w 2224 roku.

Kiedy Lycan poszedł sprawdzać, Mira była mniej podekscytowana, niż mogłaby się tego spodziewać. Może dlatego, że jej serce nie mogło bić szybciej, zaś dłonie nie mogły się pocić. Zaskakujące, jak wiele emocji działa przez nasze ciało, a nie umysł.

Lycan zakończył poszukiwania.

– Tak, jest tutaj.

– Tutaj? W tym miejscu?

– Tak. – Zerknął na panel, przyciskając dłoń do nosa, a potem wskazał przez masywny hol w miejsce położone niżej. – Tam. Nie wiem, dlaczego jesteś zaskoczona, jeżeli została zamrożona, to musiała przebywać tutaj, odstępnie od umowy przechowania jest przestępstwem.

Mira żałowała, że nie może podnieść głowy i spojrzeć w stronę wskazywanego miejsca. Spędziła kilka ostatnich lat swojego życia na godzeniu się z faktem, że Jeanette naprawdę odeszła i już nigdy nie wróci.

– Czy możesz obudzić ją i przekazać informację ode mnie? Proszę?

Lycana zatkało.

– Proszę? – powiedziała Mira. – To by dla mnie bardzo wiele znaczyło.

– Myślę, że mogę to zrobić. Jasne. Poczekaj. – Lycan wstał ciężko, wyglądając na zdezorientowanego, a potem ruszył do przodu. Wrócił chwilę później.

– Co mam jej powiedzieć?

Mira chciała poprosić Lycana, żeby przekazał Jeanette, iż ją kocha, ale to nie było najlepszym pomysłem.

– Po prostu daj jej znać, że jestem tutaj. Jestem ci ogromnie wdzięczna.

Może był to ktoś inny albo wyobraźnia Miry, ale była pewna, że usłyszała odległy, chrapliwy okrzyk zaskoczenia. To Jeanette, reagująca na wieści. Niedługo później pojawiła się nad nią uśmiechnięta twarz Lycana.

– Była bardzo podekscytowana. Niemal straciła głowę z radości. Myślałem, że wyskoczy ze swojej przechowalni, żeby mnie uściskać.

– Co powiedziała? – Mira starała się nadać głosowi uspokajające brzmienie. Jeanette była tutaj. Nagle wszystko uległo zmianie. Mira odzyskała sens życia. Musiała znaleźć sposób, żeby się do niej dostać.

– Prosiła, żeby przekazać ci, że cię kocha.

Mira rozplakała się. Naprawdę rozmawiał z Jeanette. Cóż za wspaniała, a jednocześnie kompletnie niezrozumiała rzecz.

– Mówiła też, że ma nadzieję, iż nie cierpiałś bardzo podczas wypadku.

– To nie był wypadek – powiedziała Mira. Tak po prostu. Wyrzuciła to z siebie bez zastanowienia, co było dziwnym doświadczeniem, tak jakby ktoś przejął kontrolę nad jej

martwą buzią i formułował słowa, wysyłając je z sykiem powietrza krążącego w gardle.

Zaległa długa, niezręczna cisza.

– Co masz na myśli? – zapytał Lycan, marszcząc brwi. Mira w końcu sobie przypomniała. Nie kluczowy moment, ale planowanie i zamiar wykonania. Założyła swój najlepszy kostium. Matka ciągle ją pytała, z jakiej to okazji. Chciała wiedzieć, dlaczego Mira robi takie zamieszanie, skoro mieli udać się jedynie na kolację do Pan Pietro. Powiedziała, że Mira wcale nie jest taka ładna, jak się jej wydaje i powinna spuścić z tonu. Mira ledwie ją słyszała. Choć raz słowa matki w ogóle jej nie ruszyły.

– Mam na myśli, że to nie był wypadek – powtórzyła. – Skoro ty byłeś uczciwy ze mną, ja chcę być uczciwa wobec ciebie. – Tak naprawdę nie chciała być z nim szczerą, ale sprawa już wyszła na jaw i czuła, że nie ma siły, żeby dłużej tłamsić ją w sobie.

– Och. Cóż, dziękuję. – Lycan przeczesał włosy palcami, rozmyślając nad czymś. Mira nie była pewna, czy zrozumiał, co do niego mówiła. Po ich wszystkich rozmowach, dalej nie potrafiła stwierdzić czy Lycan jest inteligentny, czy nie.

– Wiesz, jeżeli znajdę sposób na wskrzeszenie cię, mogłabyś ze mną pójść na doroczny piknik mojej firmy. W zeszłym roku ogłosiłem przy wszystkich, że wygram loterię i tak właśnie było!

Lycan kontynuował swój monolog o pikniku, podczas gdy Mira rozmyślała o Jeanette, która właśnie wyznała jej miłość, choć obie były martwe.

Lycan pożegnał się o wiele za wcześnie. Powiedział Mirze, że wpadnie w odwiedziny we wtorek, po czym ją zabił.

* * *

Unoszący się nad nią jasnopomarańczowy mężczyzna miał na sobie marynarkę i krawat, tyle że marynarka była pozbawiona rękawów, a krawat okrągły.

– Jaki mamy rok? – zapytała Mira.

– Dwa tysiące czterysta siedemdziesiąty siódmy – odparł z szacunkiem. Mira nie mogła sobie przypomnieć daty, kiedy ostatnio odwiedził ją Lycan. Dwudzieste czwarte stulecie? Przedtem było dwadzieścia trzy coś tam, prawda? Minęło sto lat. Lycan już nigdy nie wrócił. Odszedł, umarł albo został autostopowiczem jakiegoś krewnego.

Człowiek o pomarańczowej skórze miał na imię Neas. Mira pomyślała, że nietaktem byłoby pytać o jej odcień, więc zamiast tego zapytała, jak przybysz zarabia na życie. Okazało się, że był prawnikiem. Na tej podstawie Mira doszła do wniosku, że świat nie zmienił się aż tak bardzo od czasu jej śmierci i prawnicy ciągle byli potrzebni, nawet jeżeli mieli pomarańczową skórę.

– Mój dziadek Lycan mówi, żeby cię pozdrowić – powiedział Neas.

Mira uśmiechnęła się. Trudno było zrobić to sztywnymi ustami, ale poczuła się lepiej.

Lycan jednak wrócił.

– Powiedz mu, że trochę się spóźnił, ale nie ma o czym mówić.

– Nalegał, żebyśmy z tobą porozmawiali.

Neas życzliwie wypowiadał się na temat dziadka. Lycan poznał kobietę na spotkaniu Weight Watchers i jego żona uważała za niestosowne, żeby ciągle odwiedzał Mirę. Dwadzieścia lat później rozwiedli się. Zmarł na zawał w wieku sześćdziesięciu sześciu lat, został wskrzeszony i kiedy dożył dziewięćdziesiątki, zabrał się na stopa ze swoim synem. Zaś syn Lycana kilka lat temu został autostopowiczem Neasa, zabierając ojca ze sobą.

– Cieszę się, że z Lycanem wszystko w porządku – powiedziała Mira, kiedy Neas skończył opowiadać. – Bardzo go polubiłam.

– On ciebie też. – Neas skrzyżował nogi i odchrząknął. – Powiedz mi Miro, czy za życia chciałaś mieć dzieci? – Jego ton zmienił się w ten, jakim szef komisji rekrutacyjnej zwraca się do potencjalnego pracownika.

Mira była zaskoczona pytaniem. Myślała, że to wizyta towarzyska, zwłaszcza po tym, jak Neas powiedział, iż to Lycan nalegał na odwiedziny u niej.

– W sumie to tak. Miałam taką nadzieję. Nie wszystko jednak w życiu toczy się tak, jak zaplanujemy. – Mira wyobraziła sobie Jeanette znajdującą się w odległości rzutu kamieniem, martwą i zamkniętą. Pytanie Neasa rozpało w niej iskierkę nadziei. – Więc to randka? – zapytała.

– Nie. – Kiwnął głową, być może w odpowiedzi na sugestię jednego z autostopowiczów. – Tak naprawdę szukamy kogoś, kto urodzi dziecko i pomoże nam je wychować. Widzisz, moja żona umierała na nieuleczalną chorobę, zespół Dietza, więc została moją autostopowiczką. Chcemy mieć dziecko, potrzebujemy surogatki i opiekunki do dziecka.

– Rozumiem. – Myśli kłębiły się bezładnie w głowie Miry. Czy ma wyrzucić z siebie, że z chęcią przyjmie szansę wychowania ich dziecka, czy sygnalizowałoby to, iż podchodzi do tematu zbyt lekceważąco. W końcu przyjęła zamyślony wyraz twarzy, co – jak miała nadzieję – pokazywało jej zrozumienie dla powagi sytuacji.

– Rzecz jasna, pobralibyśmy się z powodów prawnych, ale nasza umowa miałaby charakter czysto platoniczny.

– Oczywiście, rozumiem.

Neas westchnął, nagle wyglądając na podenerwowanego.

– Przepraszam Miro, moja żona twierdzi, że się nie nadajesz. Lycan jest bardzo zdenerwowany. – Wstał, sięgając nad głowę Miry. – Przesłuchaliśmy czterdzieści czy pięćdziesiąt kobiet, ale żadna z nich się nie nadaje – dodał rozdrażniony.

– Nie, poczekaj! – powiedziała Mira. Neas zatrzymał się, a Mira zaczęła szybko myśleć. Co takiego zrobiła, że żona nagle ją wykluczyła? Ta kobieta musi czuć się bardzo zagrożona sytuacją, w której w jej domu znajdzie się inna, będzie wychowywać jej dziecko i kusić męża. Jeżeli Mirze udałoby się obrócić obawy żony na swoją korzyść...

– Jestem lesbijką – powiedziała.

Neas wyglądał na niepomiernie zdumionego. Najwyraźniej Lycan nie zdawał sobie sprawy, kim była Jeanette, nawet po tym, jak przyniósł od niej werbalne wyznanie miłości. Ostatecznie przyjaciele też mogli sobie mówić, że się kochają. Neas milczał i Mira wiedziała, że odbywają prawdziwą burzę mózgow. Modliła się, że odpowiednio odczytała całą sytuację.

– Więc się we mnie nie zakochasz? – zapytał w końcu Neas. To było dziwaczne pytanie. Nie dość, że Neas był mężczyzną, to jeszcze pomarańczowym i niezbyt atrakcyjnym.

– Nie. Kocham kobietę o imieniu Jeanette. Lycan ją poznał. – Nastąpiła kolejna długa przerwa. – Jest też ta sprawa z wypadkiem samochodowym, który nie był wypadkiem. – Mira zdążyła o tym zapomnieć. Jak to możliwe, że tak łatwo udało jej się zapomnieć, iż zabiła siebie i własną matkę? Może dlatego, że było to tak dawno temu. Wszystko sprzed momentu jej śmierci wydawało się teraz bardzo odległe, tak jakby miało miejsce w innym życiu.

– To było tak dawno – wymamrotała Mira. – Ale tak, to prawda.

– Odebrałaś życie swojej matce?

– Nie, to nie było moim zamierzeniem. – I faktycznie nie było, Mira nie chciała śmierci matki, a jedynie możliwości ucieczki. – Uciekłam jej. Jeżeli ktoś jest twoją matką, nie znaczy to wcale, że można z tą osobą wytrzymać.

Neas powoli skinął głową.

– Ciężko nam sobie to wyobrazić. Wzajemna koegzystencja była dla nas bardzo silnym przeżyciem. Oona i ja nigdy nie marzyliśmy, że możemy znaleźć się tak blisko siebie i cieszymy się z towarzystwa taty, dziadka i prababci. Wiem, że za nic w świecie nie chciałbym tego zmienić.

– Rozumiem, że to może być piękne – powiedziała Mira. – Myślę, że to jak małżeństwo, tylko wiążące ludzi bardziej. Z pewnością zwiększa też interakcje, dobre relacje stają się mocniejsze i głębsze, zaś te złe nie do zniesienia.

W oczach Neasa pojawiły się łzy.

– Lycan powiedział, że możemy ci ufać. A potrzebujemy kogoś, komu można zaufać. – Przez chwilę kiwał głową, zagubiony w myślach. Potem machnął ręką i w powietrzu zmaterializowała się długa linia pisanego tekstu.

– Czy wierzysz w kary cielesne w stosunku do dzieci? – zapytał, czytając pierwszą linię.

– W żadnym przypadku – odpowiedziała Mira wiedząc, że od odpowiedzi zależy jej egzystencja.

* * *

Serce Miry biło tak szybko, jakby w jej klatce piersiowej trzepotały skrzydła. Lucia spała, z miękką drobną główką przyciśniętą do szybko bijącego serca kobiety. Winda niosła ich w górę i w dole pojawił się wielki hol, z ludźmi wielkości drobnych kropek.

Chciała biec, ale trzymała równy krok, a kroki jej przezroczystych butów odbijały się echem na marmurowej posadzce.

Kiedy Jeanette otworzyła oczy, Mira rozplakała się i odgarnęła palcami niebiesko-białe włosy kobiety i delikatnie musnęła jej niebieskie usta.

Jeanette łkała. Dla niej od wizyty Lycana minął zaledwie moment.

– Więc udało ci się – wychrypiła Jeanette tym okropnym, martwym głosem. Zauważyła dziecko i uśmiechnęła się. – To dobrze. – To takie podobne do Jeanette, nie prosić o nic, nawet o swoje życie. Gdyby to Jeanette pojawiła się przy szufladzie swej ukochanej cała i zdrowa, pierwsze słowa Miry wypowiedziane sztywnymi ustami brzmiałyby „zabierz mnie stąd”.

Z kilku poziomów niżej doleciały ich słowa przysięgi małżeńskiej; głos męża był silny i pewny, zaś żony pozbawiony intonacji i niewyraźny.

– Ukochana, nie stać mnie na wskreszenie ciebie – powiedziała Mira. – Ale zaoszczędziłam wystarczająco dużo, żeby cię wchłonąć. Czy to wystarczy? Czy zostaniesz ze mną, po kres naszych dni?

Wprawdzie będąc martwym nie można płakać, ale Jeanette spróbowała i brakowało jedynie łez.

– Tak – odpowiedziała. To tysiąc razy lepiej niż wystarczy.

Mira skinęła głową, uśmiechając się.

– Załatwienie tego zajmie kilka dni. – Dotknęła zimnego policzka Jeanette. – Wróć w mgnieniu oka. To ostatni raz, kiedy będziesz musiała umrzeć.

– Obiecujesz?

– Obiecuję. – Mira sięgnęła w górę i Jeanette umarła po raz ostatni.

Przełożył Patryk Sawicki

Rachel Swirsky

EROS, FILOS, AGAPE

Lucian spakował swoje rzeczy, zanim odszedł. Zabrał zabytkowe srebrne łyżki do nakładania potraw, z filigranowymi uchwytami; herbaciane róże, które hodował na oknie wychodzącym na ogród; pierścienie z jadem i granatem. Zabrał kawałek jaspisu z gipsowymi żyłkami, który znalazł spacerując po plaży, pierwszego wieczoru, po przybyciu do Adriany. Prowadziła go ostrożnie po mokrym piasku, a ich ciała oświetlała delikatna złota poświata migoczących latarni na molo. Tej nocy, gdy wracali do domu Adriany, Lucian delikatnie trzymał w złożonych dłoniach nakrapiany kamień, mrużąc oczy tak bardzo, że przez rzęsy zaczynał widzieć iskierki zamiast gipsowych nitek.

Lucian zawsze kochał piękno: piękne zapachy, piękne smaki, piękne melodie. Szczególnie kochał piękne przedmioty, gdyż mógł trzymać je w dłoniach i przekształcić abstrakcję, jaką jest piękno, w coś namacalnego.

Te przedmioty należały do nich obojga, ale Adriana tylko z goryczą machnęła ręką, kiedy Lucian zaczął się pakować.

– Bierz, co chcesz – rzekła, zamykając z trzaskiem książkę. Czekala przy drzwiach, patrząc na Luciana ze smutkiem i złością.

Ich córka, Rose, chodziła za Lucianem po całym domu.

– A to zabierasz, tatusiu? Chcesz to?

Lucian bez słowa chwycił ją za rękę. Zaprowadził ją na górę i szli po nierównych deskach podłogi, na których się czasem potykała. Rose stanęła przy panoramicznym oknie w ich sypialni i patrzyła na pierzaste liście palm i basen, na jaskrawy błękitny przestwór oceanu. Lucian cieszył się dotykiem jej gorącej, delikatnej rączki. Chciał wyszeptać, że ją kocha, ale nie był w stanie wypowiedzieć ani słowa.

Zeszli na dół, do frontowych drzwi. Obszyta koronką różowa atlasowa sukienka Rose marszczyła się, gdy dziewczynka skakała ze stopnia na stopień. Lucian zamówił jej

kilkadziesiąt eleganckich aksamitnych sukienek w delikatnych, kwiatowych kolorach. Rose nie chciała nosić niczego innego.

Spoglądała to na Luciana, to na Adriane.

– Zabierzesz mnie ze sobą? – zwróciła się do Luciana.

Adriana ściągnęła usta. Spojrzała na Luciana, jakby rzucała mu wyzwanie, by coś powiedział, by wziął na siebie odpowiedzialność za to, co robi ich córce. Lucian milczał.

Chardonnay płonęło takim samym bursztynowym odcieniem, jak kolor oczu Luciana. Adriana ścisnęła nóżkę kieliszka tak mocno, że aż wystraszyła się, że ją złamie.

– Nie, kochanie – rzekła z nienaturalną lekkością. – Zostajesz ze mną.

Rose wyciągnęła rękę do Luciana.

– Tatusiu?

Lucian ukląkł i przycisnął czoło córki do swojego. Nie odezwał się ani słowem od trzech dni, kiedy to wręczył Adrianie list pożegnalny, w którym informował ją, że zamierza odejść, gdy tylko Adrianie uda się zorganizować opiekę dla Rose podczas jego nieobecności. Gdy Lucian zbliżył się z listem w dłoni, Adriana siedziała przy stole w jadalni, sącząc sok pomarańczowy z kieliszka na wino i czytając pierwsze wydanie „Falconera” Johna Cheevera. Uśmiechnęła się do niego i wzięła list, a Lucian poczuł przebłysk poczucia winy. Wiedział, że przez kilka ostatnich miesięcy była szczęśliwsza niż dawniej, może szczęśliwa, jak nigdy dotąd. Wiedział, że list ją przerazi i zrani. Wiedział, że będzie się czuć zdradzona. A mimo to wręczył jej list i patrzył, jak całe jej ciało ogarnia ból zrozumienia.

Powiedziała ostrożnie i cierpliwie Rose o tym, że Lucian się wyprowadza. Tylko że ona miała dopiero cztery lata, rozumiała wiele rzeczy powierzchownie i nie do końca, a czasem interpretowała tak, by pasowały do jej kaprysów. Nadal uważała, że milczenie ojca to jakaś zabawa.

Kosmyk włosów Rose połaskotał Luciana w policzek. Pocałował ją w czoło. Adriana nie była już w stanie utrzymać języka na wodzy.

– Myślisz, że coś tu jeszcze znajdziesz? To nie jest ShangriLa dla zbuntowanych robotów. Wydaje ci się, że uda ci się być niezależnym? Niezależnym od czego, Lu?

Żal i złość sprawiły, że oczy Adriany wypełniły się gorącymi łzami, jakby była gejzerem pod ciśnieniem tak wysokim, że para musiałaby znaleźć ujście. Przyjrzała się rzeźbionej twarzy Luciana: skórze pełnej drobnych zmarszczek wyrzeźbionych przez artystę, który w ten sposób chciał zasugerować, że Lucian ma doświadczenia z dzieciństwa, jakich nigdy w rzeczywistości nie doznał, oczy skalibrowane z odrobiną asymetrii udającą niedoskonałość, jaką widuje się u ludzi. Jego twarz nie wyrażała niczego: żadnych wątpliwości, goryczy, czy nawet ulgi. Po prostu niczego.

Dla Adriany było to za wiele. Miotła się między Lucianem a Rose, jakby mogła osłonić ją własnym ciałem przed bólem odrzucenia. Wpatrywała się z rozpaczą w brzeg kieliszka z winem.

– Idź już – powiedziała.

Odszedł.

* * *

Adriana kupiła Luciana latem, gdy skończyła trzydzieści pięć lat. Jej ojciec, który przez wiele lat cierpiał na jakąś nie do końca określoną odmianę raka, a to atakującego, a to cofającego się, zmarł nagle w lipcu. Przez wiele lat rodzina gromadziła rezerwy emocjonalne, by radzić sobie z jego przewlekłą chorobą. Jego śmierć uwolniła całe ich pokłady.

Gdy jej siostry pograżyły się w żalu, Adriana kipiła energią, z którą nie wiedziała co zrobić. Przyszło jej do głowy, że może zużyć nadmiar energii spędzając sześć tygodni w Mazatlán, kiedy jednak oglądała w biurze podróży oferty wynajmu domów z widokiem na ocean, zrozumiała, że wcale nie chce uciekać. Lubiła miejsce, gdzie spędziła całe życie: dom przycupnięty na klifie, z widokiem na Pacyfik, okno sypialni wychodzące na płataninę jeżynowych krzewów, w których jesienią i wiosną pokrzykiwały wrony. Lubiła spacerować po plaży, znajdującej się o dwie przecznice dalej, gdzie mogła siedzieć z książką i słuchać poszczekiwania piesków pokojowych, wyprowadzanych wieczorem na spacer przez starsze panie z nadbrzeżnych osiedli.

Mazatlán było doskonałym lekarstwem na niepokój dla ludzi, którzy mieli jakieś dwadzieścia pięć lat. Adriana nie miała już dwudziestu pięciu lat i marzyła o spożyciu wielodaniowego eleganckiego posiłku obejmującego wszelkie aspekty egzystencji. Teraz potrzebowała czegoś innego. Czegoś nowego. Czegoś bardziej wyrafinowanego.

Wyjaśniła to swoim przyjaciołom, Benowi i Lawrence'owi, którzy zaprosili ją na weekend do swego wiejskiego domu w Santa Barbara, by mogła trochę się zrelaksować i zapomnieć o ojcu. Siedzieli na patio domu, na kutyk metalowych krzesłach dookoła ogrodowego stołu o blacie zdobionym mozaiką z kamieni półszlachetnych, przedstawiającą morskie stworzenia. Wiał ciepły wiatr, a drzewka pomarańczowe rzucały długie cienie w promieniach zachodzącego słońca. Lawrence nalał różowe wino do trzech kieliszków i zaproponował toast z okazji śmierci ojca Adriany; nie po to, by uczcić jego pamięć, lecz właśnie śmierć.

– Dobrze, że pozbyliśmy się skurwiela – rzekł Lawrence. – Gdyby nadal żył, przywaliłbym mu w ten jego wielki kinol.

– Nie chcę o nim myśleć – odparła Adriana. – Umarł. Nie ma go.

– Skoro nie jedziesz do Mazatlán, to co zamierzasz robić? – spytał Ben.

– Nie wiem – odparła. – Chciałabym coś zmienić, potraktować to wszystko jako punkt zwrotny, ale nie wiem jak.

Lawrence wciągnął powietrze, jakby coś wahał.

– Wybaczcie – rzekł i zebrał puste kieliszki. – Mój geniusz jest niezbędny w kuchni.

Gdy Lawrence nie mógł ich usłyszeć, Ben nachylił się do Adriany i zaczął szeptać:

– Mam podwyższony cholesterol, więc wprowadził dietę opartą na surowych składnikach. Surowa marchew. Surowe cukinie. Surowe migdały. Żadnego gotowania.

– Naprawdę? – odparła Adriana, nie patrząc na niego. Nigdy nie wiedziała, jak reagować na spory kochanków. To uczucie pomieszane z rozdrażnieniem, ta intymność, od której nie da się uciec – nigdy tego nie rozumiała.

Wśród drzewek pomarańczowych ćwierkały ptaki. Ben pochylił się nad ozdobionym mozaiką blatem i postukał palcami w kraba o karneolowym pancerzu. Zachodzące słońce podkreśliło miedziane refleksy w jego włosach. Przez łukowate okna Adriana widziała Lawrence'a siekającego marchewkę, seler i migdały na brązową pastę.

– Powinnaś zatrudnić dekoratora wnętrz i wyremontować dom – zasugerował Ben. – Kafelki na podłodze, tokańska ceramika, fotele z czerwonej skóry, które były modne, kiedy ostatnim razem byliśmy w Mediolanie. Miałbym wrażenie, że wyszorowano mnie do czysta i narodziłem się na nowo.

– Nie, nie – odparła Adriana. – Podoba mi się tak, jak jest.

– Albo wycieczka na zakupy, bez żadnych ograniczeń. Przepuść ze dwadzieścia tysięcy. Poczujesz się, jakby ktoś zdjął ci ciężar z pleców.

Adriana zaśmiała się.

– Jak myślisz, ile czasu zajęłoby osobistej stylistce poskładanie mnie od nowa?

– To mi wygląda na kryzys wieku średniego – rzekł Lawrence, wracając z wegetariańskimi zakąskami i trzema szklankami wody mineralnej. – Gdybym miał wyrazić moje zdanie, lepiej by ci poszło zapomnienie, gdybyś znalazła sobie jakiegoś seksownego latynoskiego ratownika.

Lawrence podał Benowi miseczkę wypełnioną żółtą pastą. Ben rzucił Adrianie niezadowolone spojrzenie.

Adriana poczuła się nagle wytrącona z rytmu. Doznała wrażenia, że całe to wieczorne spotkanie to plan sesji zdjęciowej do magazynu designerskiego: trzystronicowa rozkładówka w dziale „Przytulny ogród”, ona, Ben i Lawrence pozują jako uczestnicy kameralnej kolacji dla trzech osób. Poczowała się, jakby ją zredukowano do dwóch wymiarów, podmalowano aerografem, a następnie cyfrowo nałożono na formę kogoś, kto powinien znaleźć się w tym miejscu, kogoś przyjaznego i ufego, kto potrafiłby się przejąć takim drobiazgiem, jak to, że mąż przyjaciela wprowadza mu dietę z surowych warzyw; nie dlatego, żeby to była ważna kwestia, ale dlatego, że była istotna dla niego.

Lawrence zanurzył palec w papce i podstawił go Benowi do ust.

– To dla twojego własnego dobra, ty niewdzięczny taki i owaki.

Ben zlizął papkę.

– Przecież jem, prawda?

Lawrence pochylił się, by pocałować męża; ciepły, ani trochę nie ukradkowy pocałunek,

w którym nie było nic seksualnego, ale nadal kryło się tam mnóstwo czułości. Ben skromnie opuścił wzrok.

Adriana nie pamiętała, kiedy ostatni raz kochała kogoś tak bardzo, by przy nim popadać w zakłopotanie. Może właśnie tego brakowało w jej życiu? Palca kochanka wpychającego jej do ust niesmaczny kęs?

Tego wieczora wróciła do domu błyskawicznym pociągiem. Jej szmaragdowa papuga nimfa, Fuoco, powitała ją oburzonym skrzykiem. Podczas nieobecności Adriany dom rozpyłał w powietrzu jej zapach i śpiewał Fuoco jej głosem, ale ptaka nie dało się oszukać.

Ojciec Adriany podarował jej papugę na trzydzieste urodziny. Był to samiec sztucznie wyhodowanego gatunku: połączono DNA nimfy i ary, co dało piękny zielony kolor upierzenia. Ptak był kosztowny, stworzony metodą chowu wsobnego i neurotyczny, ale kochał Adrianę z fanatyczną, obsesyjną zazdrością.

– Ciii – upomniała go Adriana, pozwalając Fuoco przysiąść na ramieniu. Zniosła go na górę do sypialni i nakarmiła z ręki prosem. Fuoco przechadzał się dostojnie po poduszce. Jego obsydianowe oczka patrzyły dumnie i podejrzliwie.

Adriana z zaskoczeniem odkryła, że przywiozła ze sobą do domu to wyobcowanie. Zauważyła, że łatwo popada w melancholijny nastrój; jej spojrzenie wędrowało ku panoramicznemu oknu; jej palce zapomniały o tym, że miały pogłodzić Fuoco po grzbiecie. Ptak zaskrzeczał, by zwrócić na siebie uwagę.

Rankiem Adriana odwiedziła swego księgowego. Jej palce tańczyły po klawiaturze, gdy przelewała pieniądze z funduszy powierniczych z jednego konta na drugie, jak iluzjonistka. To, co zaplanowała, będzie kosztowne, ale majątek odrośnie na żyznej glebie, pozwalając jej wzbogacić się dzięki wytwarzanym w laboratoriach diamentom, energii wiatru i genetycznie modyfikowanym pomarańczom.

Firma produkująca roboty zaprosiła Adrianę na prywatny pokaz. Sprzedawca zaprowadził ją do pomieszczenia udekorowanego czarnym aksamitem. Setki części ciał wisiały na ścianach i leżały w gablotach: silne dłonie, wąskie szczęki, uda rowerzysty, moduły głosowe, które odtwarzały różne głosy, od szorstkiego po melodyjny, próbki skóry od kości słoniowej po alabaster, penisy w różnych rozmiarach.

Adrianę na początku przeraziła perspektywa składania kochanka z części, ale po chwili zaczęło ją to bawić. Przecież wszystkich składano z fragmentów DNA, które rosło cząsteczką po cząsteczce w łonie kobiety, prawda?

Postukała paznokciami po eleganckim folderze.

– Czy jego mózg będzie plastyczny? Czy mogę zamówić model bardziej uległy lub zabawny, czy raczej kogoś z kręgosłupem?

– Zgadza się.

Sprzedawca miał starannie ostrzyżone brązowe włosy i lśniące zęby. Uśmiechał się w sposób sugerujący przekonanie, że gdyby był dość charyzmatyczny, Adriana zaprosiłaby go

do domu, zaciągnęła do łóżka i zafundowała wycieczkę za milion dolarów.

– Ludzkie mózgi tracą plastyczność z wiekiem i to ogranicza stopień, w jakim się możemy zmienić. Nasze modele mają trwale plastyczne mózgi. Można modyfikować ich osobowość, przekształcając ich sposób myślenia na poziomie neurologicznym.

Adriana ominęła go i musnęła palcami gobelin utkany z tysięcy możliwych tekstur włosów.

Sprzedawca postukał w pustą formę twarzową.

– Konstrukcja oryginalnego mózgu opiera się na głębokich skanach wykonanych na geniuszach w różnych dziedzinach, a następnie połączonych. Wielcy muzycy, słynni kochankowie, najlepsi fizycy i matematycy.

Adriana marzyła o tym, żeby sprzedawca się zamknął. Im dłużej mówił, tym więcej wątpliwości kłębiło jej się pod czaszką.

– Przekonał mnie pan – przerwała mu. – Poproszę takiego.

Sprzedawca zrobił minę, jakby jej obcesowość go spłoszyła. Oczyma duszy zobaczyła, jak kartkuje wewnętrzny scenariusz, próbując znaleźć właściwą stronę, skoro klientka przeskoczyła kilka scen.

– Jak ma wyglądać? – spytał.

Adriana wzruszyła ramionami.

– Wszystkie są ładne, prawda?

– Potrzebna nam specyfikacja.

– Nie mam specyfikacji.

Sprzedawca zmarszczył czoło z irytacją. Przeształ z nogi na nogę, jakby to pomogło mu w odzyskaniu metaforycznej równowagi. Adrianie zrobiło się go żal. Zaczęła szperać w torebce.

– Proszę spojrzeć – rzekła, kładąc zdjęcie ojca na jednej z gablotek. – Ma być absolutnie do niego niepodobny.

Zespół projektowy, otrzymawszy tak niekonkretne wskazówki, pozwolił sobie na stworzenie czegoś wyjątkowo fantazyjnego. Lucian, który pojawił się na progu domu Adriany, był zaledwie odrobinę smuklejszy od niej i równie szczupły; miał smukłe i gładkie kończyny. W jego blond włosach lśniły srebrzyste refleksy. Jego skóra była nieznośnie biała, biała i przejrzysta jak alabaster, z różowymi żyłkami. Pachniał ciepłą ziemią i zmiażdżonymi ziołami.

Wręczył Adrianie jedną białą różę. Na jej płatkach było wytłoczone logo firmy. Ujęła ją niepewnie i trzymała między kciukiem a palcem wskazującym.

– Wydaje im się, że wiedzą dużo o kobietach, prawda? Powinni odstawić tanie romansidła.

Lucian milczał. Adriana wzięła jego wahanie za niepewność, ale może powinna była zinterpretować je jako skłonność do milczenia.

* * *

– To już koniec.

Adriana dopiła chardonnay i zmiażdżyła pusty kieliszek obcasem, jakby w ten sposób dopełniła aktu rozwodu gestem takim samym jak zawarcie małżeństwa.

Rosę wskazała kieliszek zaokrąglonym paluszkiem, z oczami szeroko otwartymi.

– Nie niszczyć rzeczy.

Adrianę uderzyło nagle, jak szybko rośnie jej córka. Miała cztery lata i nagle stała się osobą. Kiedy to się stało? W szpitalu, kiedy Rosę urodziła się i płakała z tęsknoty za kobietą, która ją urodziła i porzuciła, Adriana spędziła wiele godzin na korytarzu oddziału noworodków, czekając na zakończenie procedur adopcyjnych. Patrzyła na Rosę, gdy ta spała, jadła i płakała, starając się zapamiętać jej dopiero powstającą, zmieniającą się twarz. Gdzieś pomiędzy tą a tamtą chwilą Rosę stała się tym stworzeniem o okrągłych policzkach, które traktowało zasady bardzo poważnie i często próbowało ukryć emocje za maską chłodu, jakby bycie wychowywaną przez robota sprawiło, że jej krew zamieniła się w obwody scalone. Oczywiście Adriana kochała Rosę, przebierała Rosę, myła jej ząbki, nosiła po całym domu opierając ją o udo, ale to Lucian był najważniejszym troszczącym się o nią opiekunem. Adriana nie była w stanie sobie wyobrazić, jak mogłaby go zastąpić. To nie były wakacje, jak wtedy, gdy Adriana zabrała Rosę do Włoch na trzy dni; we dwójkę chadzały po restauracjach, a Adriana karmiła córkę lodami i patrzyła, jak twarzyczka jej rozpromienia się z każdym nowym smakiem. Wiedziała przecież, że Lucian będzie czekał na ich powrót. *Bez niego ich rodzina* była pozbawiona głównego elementu konstrukcyjnego. Adriana doznała wrażenia, jakby ściany zacieśniały się wokół niej.

Kawałki strzaskanego przed Adrianę kieliszka po chardonnay ostro połyskiwały. Adriana zabrała Rosę na bok, z dala od tego bałaganu.

– Nie martw się – powiedziała. – Dom posprząta.

Miała wrażenie, jakby jej głowa była lekka, a równocześnie czuła ból, jakby nie mogła się zdecydować, czy to jeszcze upojenie alkoholowe czy już kac. Próbowała przypomnieć sobie książki o wychowaniu dzieci, jakie czytała przed adopcją Rosę. Co tam napisano o płakaniu w obecności dziecka? Przytuliła dziewczynkę, wdychając zapach szamponu dla dzieci, zmieszany z ostrą wonią wina.

– Może pojedziemy na wycieczkę? – zaproponowała Adriana. – Dobrze? Wyrwiemy się gdzieś na chwilę.

– Chcę, żeby tatuś zabrał mnie na plażę.

– Pojedziemy na wieś i pooglądamy farmy. Krowy i owce, dobrze?

Rosę milczała.

– Muu? – wyjaśniła Adriana. – Bee?

– Wiem – odparła Rosę. – Nie jestem dzidziusiem.

– To jak, jedziemy?

Rosę nadal się nie odzywała. Adriana zastanawiała się, czy wyczuwa, że jej matka jest lekko oszalała z rozpacz.

Po prostu podejmij decyzję, poradziła sobie Adriana. Wzięła Rosę za rękę.

– W takim razie jedziemy.

Adriana wydała domowi polecenie, by posprzątał podczas ich nieobecności, po czym zaprowadziła Rosę do małego czarnego samochodu, który ona i Lucian kupili razem przed adopcją Rosę. Zapięła Rosę w foteliku i zaprogramowała samochód, by zabrał je w głąb łądu.

Słyszac uruchamiający się silnik Adriana poczuła ukłucie strachu. A jeśli ta maszyna także ją zdradzi? Ale pozbawiona fantazji inteligencja samochodu tylko włączyła lewy kierunkowskaz i maszyna potoczyła się bulwarem.

* * *

Lucian stał na końcu podjazdu i patrzył na dom. Jego surowe pomarańczowe i brązowe ściany odcinały się na tle bezchmurnego nieba. Kamienie i pustynne rośliny wypełniały starannie wypielegnowany ogród, naśladując naturalne zarośla.

Przez drogę przebiegł królik. Po sekundzie rozległ się warkot samochodu Adriany. Lucian patrzył, jak go mija. Przez gęstwinę cyprysów nie mogły go zobaczyć, ale Lucianowi udało się dostrzec przyciśniętą do szyby twarzyczkę Rosę. Obok niej siedziała Adriana, która osunęła się na fotel zasłaniając oczy dłonią.

Lucian zaczął iść w przeciwnym kierunku. Zaciągnął ręczny wózek wypełniony jego dobytkiem nad klif, u stóp którego znajdowała się plaża. Uniósł wózek nad głowę i ruszył w dół; małe lawiny kamyczków przyskały spod jego stóp.

Dwóch nastolatków bawiących się przy brzegu spojrzęło na niego.

– No, no! – krzyknął jeden z nich. – Potrafi pan unieść coś takiego? Jest pan ciężarowcem?

Lucian nadal milczał. Gdy dotarł do miejsca, gdzie zaczynał się piasek, chłopcy mruknęli coś z niezadowoleniem i odwrócili się w stronę morza.

– ... to tylko robot... – usłyszał Lucian przez szum wiatru.

Lucian przyciągnął wózek do miejsca, gdzie mokry piasek stykał się z suchym. Chluszczące o brzeg fale lizęły mu stopy. Otworzył wózek i wyjął herbacianą różę o zapachu brzoskwini, która rosła w pomalowanej w błękitne liście doniczce.

Przypomniał sobie, jak zdobywał nasiona pierwszej uprawianej w doniczce róży. Pewnego wieczoru, dawno temu, spytał Adrianę, czy mógłby uprawiać jakieś rośliny. Zapytał mimochodem, i pytanie zawisło w powietrzu, gdy zmywali po kolacji; mieli na rękach płyn do zmywania, a Fuoco wyjadał resztki. Następnego dnia Adriana zaprowadziła Luciana do

szklarni przy ogrodzie botanicznym.

– Kup sobie, co tylko chcesz – powiedziała.

Lucian odczuł zachwyty na widok tego bogactwa kolorów i zapachów: tyle piękna w jednym miejscu. Tak bardzo chciał zapamiętać oczarowanie tym miejscem i posiadać je na własność.

Odwiódł ramię do tyłu i cisnął doniczką w morze. Uderzyła w wodę, a płatki kwiatów rozsypały się po powierzchni.

Potem rzucił krzak bladoróżowych róż, i białą, i czerwoną, i ciemnoróżową. Cisnął łyżki z filigranowymi trzonkami. Cisnął kawałek żyłkowanego jaspisu.

Wrzucił do morza wszystkie piękne rzeczy, które dotąd zebrał. Wrzucił grawerowane ręczne srebrne lustro, haftowaną jedwabną marynarkę, ręcznie malowaną pisanekę. Wrzucił jedno z miękkich, szmaragdowych piór Fuoco. Wrzucił kryształ pamięci z obrazem Rosę jako niemowlęcia, skulonej i śpiącej.

Kochał te przedmioty, a przecież to były tylko rzeczy. Kiedyś je miał. A teraz ich już nie było. Dopiero niedawno zrozumiał, że własność to związek. Co to właściwie oznaczało, że coś się posiada? Móc to coś kształtować czy ograniczać? Nie mógł niczego posiadać, ani on nie mógł stać się niczyją własnością, zanim się tego nie dowiedział.

Patrzył przez chwilę na morze. Na falach unosiły się resztki jego dobytku. Gdy słońce znalazło się w zenicie, odwrócił się i zaczął się wspinać po ścianie klifu. Już uwolniony od posiadania, ruszył aleją prowadzącą od domu Adriany.

* * *

Lucian pamiętał chwilę, w której poznał Adrianę w sposób, w który – jak przypuszczał – dzieci zapamiętują dzieciństwo. Och, jego wspomnienia były tak wyraźne, jakby powstały przed chwilą, ale nadal sprawiały wrażenie zapamiętanego dzieciństwa, gdyż wtedy był inną osobą.

Pamiętał pierwsze spotkanie z Adrianą jako serię obrazów. Falujące włosy barwy rudoblond, przycięte równo na wysokości opalonych ramion. Ciemnobrązowe oczy; artystyczny umysł uznał, że ten kolor to sjena. Grube, arystokratyczne brwi, silnie zarysowane kości policzkowe, brak makijażu. Wewnętrzny esteta w umyśle Luciana określił jej otwartą, nieco kanciastą twarz raczej jako „interesującą” niż „piękną”. Jego wewnętrzny psychoanalityk podsunął, że prawdopodobnie jest to osoba o dużej sile woli, obserwując, jak stoi w drzwiach z założonymi rękami i uniesionymi brwiami, jakby chciała zapytać, w jaki sposób chce uzasadnić swoje istnienie.

Po chwili odsunęła się i wpuściła go do środka. Przekroczył próg, prosto w szaleńczy skrzek i łopot skrzydeł.

Coś nowego. Wszystko było nowe. Tak nowe, że Lucian z trudem rozpoznał pióra, dziób

i skrzydła jako całość określaną mianem „ptak”, zanim odruchy kazały mu uchylić się przed atakiem. Sycząc i skrzecząc zwierzę odleciało na żerdkę na szczycie biblioteczki.

Adriana położyła dłoń na ramieniu Luciana. Jej głos ociekał cynizmem; później Lucian nauczył się, że w ten sposób ukrywała strach przed porażką.

– Ornitofobia? Co za absurd.

Pierwsze chaotyczne dni Luciana zdominował ptak; dowiedział się, że ma na imię Fuoco. Latał za nim po całym domu. Czasem Lucian pozostawał przez dłuższą chwilę w jednym miejscu. Ptak wówczas przysiadł w pobliżu – na wieszaku na kapelusze w przedpokoju, na ręcznie zdobionym globusie w salonie, albo na krokwi nad łóżkiem w głównej sypialni, by go szpiegować. Patrzył na Luciana tak, jak to zwykle robią ptaki; najpierw jednym okiem, a potem obracał głowę, by spojrzeć drugim; wyglądało na to, że obie wersje widoku są dla niego równie wstrętne.

Kiedy Adriana zabrała Luciana do łóżka, Fuoco przeleciał mu nad głową. Adriana odsunęła Luciana.

– Do licha, Fuoco – mruknęła, ale pozwoliła ptakowi przysiąść na swym ramieniu.

Fuoco zaskrzeczał z radości, gdy niosła go na dół. Trzepotał triumfalnie skrzydłami, gdy posłusznie wskakiwał do klatki, z nadzieją na nagrodę w postaci przysmaków i pogawędki. Tymczasem Adriana zamknęła połączone drzwi i wróciła na górę. Przez całą noc, gdy Lucian spał z Adrianą, ptak szaleńczo miotał się po klatce. Wyskubywał sobie pióra, aż obszarpane upierzenie pokryło dno klatki.

Następnego dnia Lucian towarzyszył Adrianie, gdy zabrali ptaka do weterynarza. Weterynarz oświadczył, że to zazdrość.

– To dość częste u ptaków – wyjaśnił. Zaproponował, by wprowadzić dla Fuoco sztywny porządek dnia; po jakimś czasie powinien zrozumieć, że jest towarzyszem Adriany, a nie jej partnerem.

Adriana i Lucian zmienili swój plan dnia; Fuoco był karmiony i wypuszczany o stałych porach i przebywał zarówno z Lucianem i Adrianą, jak i sam na sam ze swoją panią. Adriana dawała mu jakiś przysmak co wieczór, gdy zamykała go w klatce. Przed pójściem na górę przez kilka minut głaskała go po piórkach.

To wszystko złamało Fuoco serce. Stał się zupełnie innym ptakiem. Przestał już dumnie kroczyć, a pióra, które mu odrosły, były jeszcze bardziej wystrzępione. Gdy wypuszczali go z klatki, wędrował za Adrianą patrząc na nią tęsknym, błagalnym wzrokiem, i całkowicie Luciana ignorował.

* * *

Lucian funkcjonował wówczas w postaci zdeintegrowanej: mózg muzyka, mózg matematyka, mózg artysty, mózg ekonomisty i wiele innych – wszystkie funkcjonowały

osobno; każda z osobowości przez chwilę dominowała, by móc przekazać informację, a potem ukrywała się, co powodowało impulsowe eksplozje osobowości.

Gdy Adriana dawała mu do zrozumienia, które odpowiedzi jej się podobają, świadomość Luciana zaczęła się integrować, tworząc pożądaną przez nią osobowość. Zauważył, że zaczyna dostrzegać połączenia między zdarzeniami, które dotąd stanowiły oddzielne doświadczenia. Dawniej, gdy zobaczył ocean, jego naukowy mózg obliczał, jak daleko znajduje się od brzegu albo kiedy nastąpi przyływ. Jego mózg poetycki recytował „My, fale” Strindberga. *Jesteśmy jak wilgotne płomienie:/Płoniemy, gasimy/Oczyszczamy, wypełniamy.* Dopiero w tej chwili cud nauki, tajemnica poezji i piękno widoku połączyły się w jego umyśle w jedno niezwykle, inspirujące zjawisko: morze.

Nauczył się przewidywać, co zrobi Adriana. Wiedział, kiedy jest zadowolona, i kiedy coś ją trapi, i znał przyczynę. Potrafił przewidzieć pojawienie się na jej twarzy półuśmiechu, kiedy popełnił błąd, a jeszcze nie zauważył, że to się stało: kiedy podał jej zimną kawę w szklance do soku, sok pomarańczowy w kieliszku do wódki, wino w kubku. Kiedy w jego mózgu dokonała się integracja, która dała mu znajomość wzorców, nagle zrozumiał, czemu te wszystkie rzeczy były błędami. Równocześnie uświadomił sobie, że popełnianie takich błędów sprawia mu przyjemność, gdyż powodowały one przebłyski poczucia humoru u zwykle poważnej Adriany. Trwał więc w błędzie, podając jej mleko w kryształowych karafkach i plasterki grejpfruta w miseczkach na jajka.

Lubił wiele odmian jej śmiechu. Czasem był to lekki śmiech, zdradzający zaskoczenie, jak wtedy, gdy przyniósł jej tortellini w foremce do babeczek. Uwielbiał też jej bogaty, mroczny śmiech, który był zwiastunem ironii. Czasem w jej śmiechu pojawiały się nuty gorzkości i wtedy rozumiał, że przede wszystkim śmieje się z samej siebie. Kiedy coś takiego się działo, przytulał ją, próbując ukoić jej cierpienie, a wtedy zaczynała nagle płakać: dławiący szloch z nerwowym łapaniem powietrza.

Często patrzyła na niego, gdy pracował, z przekrzywioną głową i uniesionymi brwiami, jakby widziała go po raz pierwszy.

– Co mam zrobić, żebyś był szczęśliwy? – pytała.

Jeśli udało mu się znaleźć odpowiedź, hojnie spełniała jego życzenia. Zabierała go na wycieczki do najpiękniejszych oranżerii w stanie i kupiła całą biblioteczkę książek o ogrodnictwie. Lucian wiedział, że może dać mu jeszcze więcej. Nie chciał tego. Chciał dać jej do zrozumienia, że docenia tę wystawność, ale nie jest ona niezbędną, że zadowala go zwykle, pełne miłości dawanie i branie. Czasem zwracał się do niej najprostszymi słowami, jakie znał: – Ja też cię kocham. Ale wiedział, że ona mu nigdy nie uwierzy. Martwiła się, że on kłamie, lub że programowanie pozbawiło go wolnej woli. Łatwiej było jej uwierzyć w takie rzeczy niż w to, że ktoś może ją pokochać.

A przecież on ją kochał. Lucian kochał Adrianę, jak jego matematyczny mózg kochał spójność arytmetyki, jak jego artystyczny mózg uwielbiał kolor, a jego mózg filozofa

odnajdywał przyjemność w oddaniu. Kochał ją tak, jak uwielbiał ją Fuoco, ptak spacerujący smutno po oparciu jej fotela, ćwierkając, i machając oskubanymi skrzydłami, przyglądając jej się oczami barwy atramentu, próbując zwrócić na siebie uwagę.

* * *

Adriana nie przypuszczała, że kiedyś uda jej się zakochać. Marzyła o uroczym rozmówcy o emocjach lokaja rodem z klasycznej powieści i samoświadomości golden retrievera. Na samym początku odniosła wrażenie, że jej uprzedzenia były uzasadnione. Zauważyła, że Lucianowi brak krytycznego myślenia, nie potrafi też wybrnąć z niespodziewanych sytuacji. Odkryła, że najbardziej interesujący jest wtedy, gdy nie wie, że ona go obserwuje. Na przykład wtedy, gdy ma wolne popołudnie: czy jego oprogramowanie próbuje odgadnąć, co sprawi jej przyjemność? Czy on naprawdę lubi siedzieć przy oknie, przeglądając jedną z jej cennych książek, słuchając tylko kojącego szumu oceanu?

Pewnego dnia Adriana zaglądała do kuchni przez drzwi, a Lucian przygotowywał śniadanie; przy siekaniu cebuli nóż ześliznął mu się na palec. Ostrze wbiło się głęboko. Adriana podbiegła, by mu pomóc. Lucian zwrócił się w jej stronę i wydało jej się, że widzi na jego twarzy coś w rodzaju szoku. Przez chwilę zastanawiała się, czy w jego oprogramowanie wbudowano coś takiego, jak poczucie prywatności, które mogłaby naruszyć; gdy jednak uniósł dłoń w pozdrowieniu, dostrzegła miniaturowe boty naprawcze przy pracy; załatały nieludzkie ciało w ciągu kilku sekund.

To w tej chwili Adriana zapamiętała, że Lucian tak bardzo się od niej różni. Bardzo starała się o tym nie zapominać, nawet już po integracji jego świadomości. Tak, był osobą zmienną i fascynującą, wielowymiarową i głęboką, jak pozostałe osoby, które знаła. Ale nie był istotą ludzką. Był stworzeniem, dla którego zacięcie się wielkim nożem kuchennym było niewielkim błędem, błędem, który błyskawicznie dało się usunąć. Pod wieloma względami ona bardziej przypominała Fuoco.

W dzieciństwie Adriana miała książkę z bajką o cesarzu, który miał ptaka; zwierzę karmiono wykwintnymi potrawami z cesarskiego stołu i próbowano hodować w luksusach, w jakich płał się dwór. Tylko że ptak potrzebował zupełnie innych rzeczy niż cesarz. Potrzebował nasion i prosa, a nie wspaniałych dań z pałacowej kuchni. Cieszyły go lusterka i małe mosiężne dzwoneczki, a nie pudełka z laki i rękopisy z wierszami. Ludzkie frykasy i rozrywki w końcu tak mu się przejadły, że mały ptaszek zachorował i zdechł.

Adriana poprzysięgła, że w przypadku Luciana nie popełni tego samego błędu, ale nie miała pojęcia, jak trudne będzie zaspokojenie potrzeb kogoś tak bardzo niepodobnego do niej.

* * *

Adriana poleciła samochodowi, by zatrzymał się obok farmy, na której dzieci mogły za opłatą oglądać, jak głosiła tablica, „Baranki i cielątka”. Przy płocie, za kramem zastawionym skrzynkami z truskawkami, siedział rudowłosy nastolatek, zgarbiony nad czasopismem z pozaginanymi rogami.

Gdy szły w jego kierunku, Adriana wzięła Rosę za rękę. Dotykając małych paluszków próbowała odczytać emocje córki. Wyraz twarzy dziewczynki nie zdradzał nic. Rosę milczała z obojętnym obliczem, jakby naśladowała Luciana. On by wiedział, co ona czuje.

Adriana przyjrzała się truskawkom. W skrzynkach nie było żadnych odmian o charakterystycznych kształtach, jakie można kupić w sklepie, tylko naturalne, upstrzone drobnymi pestkami owoce.

– Czy one zawierają pestycydy? – spytała Adriana.

– Nie, proszę pani – odparł chłopak. – To ekologiczna uprawa.

– Świetnie. W takim razie poproszę skrzynkę. – Adriana spojrzała na córkę. – Chcesz trochę truskawek, kochanie? – spytała słodkim tonem.

– Powiedziałaś, że będę mogła pogłaskać baranka – rzekła Rosę.

– Tak. Oczywiście, kochanie. – Adriana spojrzała na zdeorientowanego nastolatka. – Dałoby się?

Chłopak zsunął się z krzesła, najwyraźniej rozczarowany, i rzucił czasopismo na stos jutowych worków.

– Mogę zabrać małą do stajni.

– Doskonale. Świetnie.

Adriana podeszła do chłopca, prowadząc Rosę. Rosę spojrzała na niego, nadal z nieodgadnionym wyrazem twarzyczki.

Chłopiec nie wziął Rosę za rączkę. Pochylił głowę, najwyraźniej zawstydzony.

– Ciocia każe mi brać pieniądze z góry.

– Oczywiście – Adriana sięgnęła po portmonetkę. Tak długo pozwalała, by wiele rzeczy robił za nią Lucian. Ilu jeszcze podstawowych umiejętności zapomniała? Wyjęła kilka banknotów. Chłopiec oblizał palec wskazujący i starannie przeliczył pieniądze, a następnie wziął Rosę za rękę. Zawahał się na chwilę, patrząc na Adrianę.

– Nie idzie pani z nami?

Adriana poczuła, że jest bardzo zmęczona. Uśmiechnęła się w wymuszony sposób.

– Chyba nie muszę. Widziałam już owce i krowy. Dobrze, Rosę? Możesz się chwilę pobawić beze mnie?

Rosę pokiwała poważnie głową. Bez wahania obróciła się w stronę chłopca i pomaszlowała za nim do stajni. Wyglądało na to, że chłopak nieźle radzi sobie z dziećmi. Szedł powoli, by Rosę mogła dorównać mu kroku.

Adriana wróciła do samochodu i oparła się o gorące, nagrzane od słońca drzwi. Czowała, jak serce wali jej jak młotem. Bała się, że zaraz zacznie płakać albo upadnie. Wyjście z domu

wydawało się takim dobrym pomysłem: tam było pełno wspomnień o Lucianie. Miała wrażenie, że siadywał w każdym fotelu, stawał w każdych drzwiach. Teraz jednak żałowała, że nie została w swym nawiedzonym wspomnieniami, ale znajomym domu, zamiast wyjeżdżać gdzieś z dzieckiem, które najwyraźniej ledwo znała.

Przez wiatr przebił się ostry, przeciągły krzyk. Adrenalina wyparła z żył Adriany melancholię. Popędziła w kierunku stajni. Zobaczyła biegnącą w jej stronę Rosę. Nastolatek podążał za nią, dookoła ich obojga wirował kurz. Z ręki Rosę kapała krew.

Adriana otoczyła córkę ramionami. Ręce, nogi, oddech, bicie serca. Nic poważnego jej się nie stało. Adriana przetarła skaleczenie; dużo krwi, ale rana była płytka.

– Och, kochanie – rzekła, przytulając Rosę tak mocno, jak tylko śmiała.

Chłopak zatrzymał się obok nich. Jego włosy rozwiewał wiatr.

– Co się stało?! – krzyknęła Adriana.

– Fortuna ją kopnęła – wyjąkał nastolatek. – To jedna z naszych kóz. Strasznie przepraszam. Fortuna nigdy czegoś takiego nie robiła. Jest spokojna. Ballantine kopie. Parę razy mnie walnął, jak byłem mały. Ale to nie było nic poważnego. Naprawdę nic jej nie będzie. Nie będzie nas pani ciągać po sądach, prawda?

Rosę wyszarpnęła się z objęć Adriany i zaczęła znów zawodzić.

– Już dobrze, Rosę, już dobrze – mruknęła Adriana. Gdy to mówiła, doznała dziwnego wrażenia, jakby ktoś rozłączył jej coś w mózgu. Nie było dobrze. I może już nigdy nie będzie.

– Ja cieknę – krzyknęła Rosę, trzymając zakrwawione palce jak najdalej od ciała. – Widzisz, mamusiu? Cieknę! Ja chcę boty leczące!

Adriana spojrzała na nastolatka.

– Macie tu jakiś bandaż? Apteczkę?

Chłopak zmarszczył brwi.

– Chyba w domu coś będzie...

– Ja chcę boty, mamusiu! Niech mnie naprawią!

Chłopiec gapił się na Adrianę z coraz większym zdziwieniem. Adriana zamrugnęła powoli. Miała wrażenie, że ta chwila nigdy się nie skończy. Uświadomiła sobie, co właśnie powiedziała jej córka. Zmusiła się, by mówić spokojnie.

– Czego ty chcesz, Rosę?

– Ona tak mówiła już przedtem – rzekł chłopak. – Myślałem, że to jakaś gra.

Adriana spojrzała córce prosto w oczy. Były dziwne i brązowe, jak powierzchnia nieznanego wód.

– To jakaś gra?

– Tatuś odszedł – odparła Rosę.

Adriana poczuła, że kręci jej się w głowie.

– Tak, i potem przywiozłam cię tutaj, żebyś mogła zobaczyć baranki i cielątka. Widziałas jakieś ładne, puchate baranki?

– Tatuś odszedł.

Nie powinna była pić tego wina. Powinna dziś zachować trzeźwość umysłu.

– Zabandażujemy ci rączkę i pójdziemy dalej oglądać baranki. Nie chcesz już oglądać baranków? A jakby mama z tobą poszła?

Rosę zacisnęła pięści. Na jej twarzy pojawiło się coś mrocznego.

– Ręka mnie boli! – Rzuciła się na ziemię. – Ja chcę boty leczące!

* * *

Adriana pamiętała dokładnie, kiedy zakochała się w Lucianie. Stało się to trzy miesiące po tym, jak go kupiła. Jego świadomość była już wtedy zintegrowana, ale Adriana nie rozumiała jeszcze dokładnie, jak bardzo integracja go zmieniła.

Zaczął się to w chwili, gdy siostry Adriany zadzwoniły z Bostonu, informując, że zorganizowały rodzinną pielgrzymkę do Włoch. Zgodnie z wolą ich ojca miały uczcić jego pamięć zapalając świece w katedrach miast leżących na wzgórzach, z krętymi uliczkami.

– Nie mogę. Jestem za bardzo zajęta – odparła lekkim tonem Adriana, jakby była bez troską debiutantką, jakby była w stanie pokonać lęk przed ojcem równie łatwo, jak jej siostry.

Jej telefon zaczął dzwonić bez przerwy. Nanette zadzwoniła przed wyjściem na mecz tenisowy.

– A niby to czym takim jesteś zajęta? Nie pracujesz. Nie masz męża. Chyba że masz jakiegoś faceta, o którym nie wiemy?

A gdy Nanette udało się odeprzeć za pomocą niewyraźnych wymówek, Eleanor zadzwoniła ze spa.

– Coś się stało, Adriano? Martwimy się wszystkie. Jak możesz nie skorzystać z takiej okazji, żeby pożegnać się z tatusiem?

– Już się pożegnałam na pogrzebie – odparła Adriana.

– W takim razie nie przepracowałaś jeszcze swojego żalu – oznajmiła Jessica, dzwoniąc z pracy, między jednym spotkaniem a drugim. Była psychoanalityczką stosującą koncepcje Freuda. – Twoja niechęć oznacza wyparcie. Musisz popracować nad konfliktem edypalnym.

Adriana zamknęła telefon z trzaskiem. Później, przepraszając za rozłączenie się, wysłała wszystkim siostrom czekoladki i zarezerwowała bilety na samolot. Czując jakąś irytację, postanowiła zabrać ze sobą Luciana. Przecież był jej towarzyszem, prawda? Przecież właśnie do tego służył?

Siostry Adriany były oczywiście oburzone. Gdy jechały ulicami Rzymu, Jessica, Nanette i Eleanor plotkowały dyskretnie, zasłaniając usta dłońmi. *Adriana z robotem? Na to wygląda, prawda? Nie ma wątpliwości, że wyszła z tego poraniona. Musi być, w przeciwnym razie nie wymyślałaby takich historyjek o ojcu.*

Adriana ignorowała je najlepiej, jak umiała, gdy pędziły przez Toskanię kawalkadą wynajętych samochodów. Zatrzymywały się w miastach, by oglądać gotyckie katedry i zmumifikowane szczątki, aby potem jeszcze tego samego dnia pojechać dalej. Podczas długiej choroby ojca siostry Adriany doprowadziły do perfekcji sztukę opowiadania radosnych anegdotek. Gdy zapalały świece, by uczcić jego pamięć, w dużym stopniu ją wykorzystywały. Łzy napływały im do oczu, a one dzieliły się banalnymi, nostalgicznymi wspomnieniami. Jak ich ojciec tańczył na balach dobroczynnych. Jak pouczał ludzi w zarządzie, którzy ośmielili się patrzeć na niego z góry, bo doszedł do pieniędzy niedawno. Jak nigdy w życiu za nic nie przeprosił.

Adriana nigdy nie wiedziała, czy ojciec traktował ją tak samo, jak siostry, czy też była jedyną, którą odwiedzał w nocy, dysząc ciężko i rytmicznie. Wydawało jej się, że to niemożliwe, by kłamały tak gładko, bez cienia strachu czy wątpliwości. Jeśli jednak mówiły prawdę, oznaczało to, że Adriana była jedyną, jak mogłaby w to uwierzyć?

Pewnej nocy spędzonej w Asyżu, gdy Lucian i Adriana byli sami w hotelu, który w średniowieczu służył za klasztor, Adriana załamała się. Przerosło ją to wszystko: pobyt w nowym miejscu, nieustanne rozmowy o ojcu. Uciekła do Nowej Anglii, by się od nich uwolnić, uciekła do swego pięknego domu ze szkła i drewna nad Oceanem Spokojnym, i doznała uczucia, jakby odetchnęła głęboko powietrzem w piękny jesienny poranek.

Lucian tulił ją, obdarzając doskonałym ciepłem i dotykiem, by ją ukoić. Właśnie tego oczekiwała od robota. Wiedziała, że wylicza tempo oddechu, temperaturę skóry, ką, pod jakim obejmuje ją ramieniem.

Tym, co zaskoczyło Adrianę, co ją upokorzyło, była elokwencja, z jaką Lucian opowiadał o swoich doświadczeniach. Powiedział, jakie to uczucie, kiedy jest się montowanym z kawałków, branie czegoś, czym kiedyś był i stawanie się czymś nowym. Właśnie coś takiego Adriana próbowała zrobić ze sobą, gdy uciekała od własnej rodziny.

Gdy mówił, opuszczał głowę. Ich spojrzenia nigdy się nie spotykały. Mówił, jakby ten proces opowiadania o intymnych doświadczeniach był jakimś nowym rodzajem tańca, a on ostrożnie wypróbowywał kroki. Przez mgłę żalu Adriana zrozumiała, że w ten sposób krystalizuje się nowa, walcząca świadomość. Jak mogłaby odczuwać wobec niego coś innego niż miłość?

Gdy wrócili z Włoch, Adriana skontaktowała się z nowo powstałym ruchem walczącym o przyznanie praw sztucznym inteligencjom. Byli niedofinansowani i kiepsko zorganizowani. Adriana wynajęła im biura w San Francisco i zatrudniła kilku kompetentnych pracowników.

Stała się twarzą tego ruchu. Jako dziecko często pokazywała się przed kamerami: gdy ojciec pojawiał się we wiadomościach z okazji takiego czy innego skandalu w zarządzie, pracujący dla ojca specjalista od PR ustawiał Adrianę i jej siostry na tle rodzinnej limuzyny, odziane w skromne mundurki prywatnej szkoły, by pokazać, że Lancaster Nuclear ma także przyjazną, kobiecą twarz.

Ona i Lucian na krótko stali się obiektem zainteresowania mediów. „Dziedziczka zakochana w robocie”.

– Lucian ma taki sam stopień samoświadomości, jak państwo czy ja – mówiła Adriana reporterom, tak amerykańska w dzinsach i z perłami. – Myśli. Uczy się. Potrafi szczepić róże równie dobrze, jak ogrodnik człowiek. Dlaczego mielibyśmy odmawiać mu praw?

Już na samym początku było oczywiste, że postęp w polityce będzie zachodzić bardzo wolno. Adriana szybko nauczyła się cierpliwości. Zapewniła organizacji fundusze, dopilnowała, by działała ona bez jej pomocy, po czym zwróciła się ku innym metodom realizacji celów. Zatrudniła zespół prawników w celu przygotowania umowy, na mocy której Lucian zyskiwał prawo do majątkowej wspólnoty w przypadku jej aktywów i kont bankowych. W ten sposób, może nie w świetle prawa, lecz w praktyce, zyskiwał równe prawa.

Następnie Adriana skontaktowała się z producentem Luciana i zamówiła procedurę, która zapewniała Lucianowi świadomą kontrolę nad plastycznością jego mózgu. Podczas ich ceremonii ślubnej Adriana wraz z obrączką wręczyła mu chemiczne rozkazy.

– Teraz należysz wyłącznie do siebie. Oczywiście zawsze tak było, ale teraz masz pełne uprawnienia. Jesteś sobą – ogłosiła w obecności zebranych przyjaciół. Jej siostry niewątpliwie byłyby zgorszone, ale nie zaprosiła ich.

Adriana i Lucian spędzili miesiąc miodowy jeżdżąc po szpitalach i badając profile genetyczne porzuconych przez matki niemowląt, aż znaleźli zdrową dziewczynkę o rodowodzie mitochondrialnym zbliżonym do DNA Adriany. Niemowlę było malutkie, różowe i zwinięte w kłębek, gotowe, by się otworzyć, jak jedna z róż Luciana.

Gdy przywieźli Rosę do domu, Adriana poczuła w brzuchu coś, czego nigdy dotąd nie doznała. To uczucie nieznanego dotąd szczęścia, takiego, które jest okrągłe w dotyku i nie ma żadnych wyszczerbionych brzegów. Jakby w jej brzuchu weszło słońce i zamieszkało tam, napelniając ją bezkresnym światłem.

* * *

Był taki moment, kiedy Rosę była jeszcze na tyle malutka, by owijać ją w ręcznie wykonany dziecięcy kocyk przysłany przez Bena i Lawrence’a z Francji, kiedy Adriana spojrzała na Luciana i zauważyła, jak bardzo jest oczarowany dziewczynką, jakim zachwytem podszyta jest jego chęć do stania nad kołyską całymi godzinami i naśladowania jej grymasów, reagowania skrzywieniem na skrzywienie, zachwytem na zachwyty. Adriana pomyślała wtedy, że to musi być prawdziwa miara równości: nie pieniądze czy prawo, lecz nieokielznane pragnienie, by tworzyć przyszłość razem, wychowując nową istotę rozumną. Pomyślała wtedy, że rozumie już, dlaczego jej nieszczęśliwi rodzice byli ze sobą dla dobra swoich dzieci, dlaczego rodziny z dziećmi tak bardzo różnią się od bezdzietnych par. Rodziny z

dziećmi tworzyły z samych siebie coś zupełnie nowego. A gdy zadanie to podjęła istota ludzka i stworzenie, które samo w sobie było czymś nowym, była to nowość w dwójnasób. Co mogliby stworzyć razem?

W tej samej chwili Lucian patrzył na niewinny cud o szeroko otwartych oczach, którym była dla niego jego córka. Na jego wejście do pokoju reagowała z taką samą radością, jak na wejście Adriany. Może tylko światło w jej oczach było jaśniejsze, gdy on się zbliżał. W sposobie, w jaki kochała go Rosę, było jednak *coś*, czego nie rozumiał. Rankiem tego dnia zerwał kwiat z róży herbacianej o zapachu brzoskwini i wyszeptał jego płatkom, że są piękne. Należały do niego, a on je kochał. Codziennie trzymał Rosę na rękach, wiedział, że jest piękna, i że ją kocha. Ale nie należała do niego. Należała tylko do siebie. Nie wiedział, czy kiedykolwiek widział taką miłość, miłość, która nie wymagała, by ująć jej obiekt w dłonie, trzymać go i odizolować.

* * *

– Ty nie jesteś robotem! – Adriana krzyczała przez całą drogę do domu, aż ochrypla. Utrata Luciana sama w sobie była straszna, i do tego jeszcze utrata kontroli nad dzieckiem.

– Ja chcę boty leczące! Jestem robotem jestem robotem jestem robotem jestem robotem!

Samochód zatrzymał się. Adriana wysiadła. Czekala, aż Rosę wysiądzie, a kiedy to nie nastąpiło, Adriana wzięła ją na ręce i zaczęła nieść idąc w stronę domu. Rosę kopała i krzyczała. Ugryzła Adrianę w ramię. Adriana zatrzymała się, zaskoczona nagłym bólem. Odetchnęła głęboko kilka razy i szła dalej. Rosę krzyczała coraz wyższym tonem i coraz bardziej szaleńczo.

Adriana postawiła dziewczynkę przy drzwiach, by wprowadzić kod i by system zabezpieczeń mógł pobrać próbkę DNA z jej włosów. Rosę popędziła na werandę, wyszarpując całymi garściami pierzaste liście rosnących w doniczkach paproci. Adriana pochyliła się, by ją podnieść i została kopnięta w pierś.

– Do jasnej... na litość boską! – Adriana chwyciła Rosę jedną ręką za kostki, a drugą za nadgarstki. Naparła na odblokowane drzwi całym ciężarem ciała, aż się otworzyły. Wniosła Rosę do domu i zatrzaskała drzwi, opierając się o nie plecami.

– Zamknij! – krzyknęła do systemu zabezpieczeń domu. Usłyszawszy uspokajające kliknięcie, położyła Rosę na kanapie i cofnęła się poza zasięg miotających się szaleńczo rąk i nóg. Rosę uciekła na górę, do swojego pokoju, i zatrzaskała za sobą drzwi.

Adriana sięgnęła do kieszeni w poszukiwaniu bandaży, które dali jej ludzie na farmie, zanim ruszyła w stronę domu, ale i tak nie udało jej się założyć opatrunku ruchomemu celowi w samochodzie. Trzeba było zrobić to teraz. Poszła za Rosę na górę, dziwnie ciężko oddychając. Czuła się, jakby pokonała biegiem długi dystans. Zatrzymała się przy pokoju Rosę. Nie wiedziała, co powinna zrobić wchodząc do środka. Z nadmiernie pobudzonym

dzieckiem zawsze jakoś radził sobie Lucian. Adriana zbyt często czuła się bezsilna, więc wolała trzymać się na dystans.

– Rose? – zawołała. – Rose? Nic ci nie jest?

Dziewczynka nie odpowiedziała.

Adriana położyła dłoń na gałce i odetchnęła głęboko, a potem przekreśliła ją.

Ze zdziwieniem zobaczyła, że Rose siedzi z udawaną skromnością na środku łóżka; zmięty dół sukienki rozpostarła wokół siebie, jak dziecko na pikniku na obrazach impresjonistów. Brud i lzy spływały po różowym atłasie. Na brzegach rany już pojawił się siniec.

– Jestem robotem – zwróciła się do Adriany tonem pełnym urazy.

Adriana podjęła decyzję. Najważniejsze było opatrzenie rany. Potem zastanowi się, co dalej.

– Zgoda – odparła Adriana. – Jesteś robotem.

Rosę nieufnie uniosła podbródek.

– Dobrze.

Adriana przysiadła na brzegu łóżka.

– Wiesz, co robią roboty? Kiedy jakiś człowiek poprosi je, żeby się w coś zmieniły, to tak robią.

– Tatuś tak nie robi – mruknęła Rose.

– To prawda – odparła Adriana. – Ale tak się stało dopiero wtedy, gdy tatuś dorósł.

Rosę spuściła nóżki z łóżka. Miała powątpiewający wyraz twarzy, ale nie była już tak stanowcza.

Adriana uniosła pakiecik z bandażem.

– Mogę to zabandażować?

Rosę zawahała się. Adriana miała ochotę ukryć twarz w dłoniach, ale powstrzymała się. Musiała opatrzeć ranę, to było teraz ważne, ale nie potrafiła pozbyć się uczucia, że będzie tego później żałować.

– A teraz człowiek chce, żebyś pozwoliła mu zabandażować ranę zamiast podawania ci botów leczących. Będziesz grzecznym robotem? Pozwolisz mi to zrobić?

Rosę milczała, ale przysunęła się odrobinę bliżej do matki. Nie płakała, kiedy Adriana zaczęła bandażować jej ranę.

* * *

Lucian czekał na autobus, żeby pojechać na pustynię. Nie miał pieniędzy. I nie pamiętał o tym. Kierowca zgromił go i nie wpuścił.

Lucian poszedł więc pieszo. Potrafił iść szybciej niż człowiek, ale niewiele szybciej. Jego przewaga polegała na wytrzymałości. Drogą dotarł w głąb lądu, z dala od morza. Ostatni z

kosztownych domów stał tuż przy latarni morskiej. We wszystkich oknach paliło się światło. Dalej ciągnęły się rozpychające się osiedla, z gęstą zabudową, wszystkie podobne do siebie. Ustępowały miejsca niewielkim, dobrze utrzymanym domom, ze schludnymi ogródkami, gdzie automatyczne zraszacze wyrzucały w powietrze łuki cennej wody.

Krajobraz się zmienił. Morską bryzę zastąpił skwierczący żar. Dookoła rozciągały się brzydkie domy, z których obłaziła farba; przycupnęły blisko siebie, oddzielone ogrodzeniami z łańcucha. W oknach miały żelazne kraty, a na podjazdach rozsypywały się wraki samochodów. Między ścianami a krawężnikiem rozciągały się wypłowiełe trawniki przypominające sawannę. W prażących promieniach słońca nie było widać nikogo.

Droga rozszczępiała się. Lucian wybrał odnogę, która prowadziła przez centrum rozsypującego się miasteczka. Ruchem ulicznym targały sporadyczne zrywy. Lucian maszerował ryszotkiem. Wiatr pędził obok niego wyrzucone plastikowe torebki; przelatywały obok ciemnych wystaw sklepowych. Parkometry mrugały do przejeżdżających samochodów, domagając się kolejnych monet. Piesi przemykali, nie patrząc mu w oczy, mrużąc do siebie coś, co i tak ginęło w ryku klaksonów.

Po drugiej stronie miasta droga rozdzielała się na dwie samotne odnogi. Łagodne wzgórza, upstrzone ciemnymi kropkami pasącego się bydła, porastała sucha, złocista trawa. Przejechał podniszczony kabriolet z opuszczonym dachem; kierowca zatrąbił. Lucian doszedł do miejsca, gdzie asfalt kończył się, a zaczynała gleba porośnięta kłującymi chwastami. Do złocistych łodyg przyczepiły się kawałki papieru i niedopałki papierosów; wyglądały jak białe kwiaty.

Przejechała koło niego stara ciężarówka, kierowana przez człowieka; nadal używały ich firmy, które były zbyt małe, by móc pozwolić sobie na ubezpieczenie za automatycznego kierowcę. Mężczyzna na fotelu kierowcy był szczupły, miał blond wąs i naciągniętą na uszy czapkę á la Sherlock Holmes. Na szyi dyndały mu jak naszyjnik przynęty wędkarskie.

– Mało kto tędy teraz chodzi – odezwał się. – Dawniej, kiedy tędy jechałem, co drugi raz brałem jakiegoś autostopowicza. A ty jesteś pierwszym, którego widzę od dawna.

Ciężarówka, widziana pod słońce, odcinała się od tła jasną sylwetką. Lucian uniósł dłoń, by osłonić oczy.

– Dokąd idziesz? – spytał kierowca.

Lucian wskazał gestem drogę.

– Jasne, ale co potem?

Lucian opuścił ramię wzdłuż boku. Słońce pomalutku przesunęło się jeszcze wyżej.

Kierowca zmarszczył brwi.

– Możesz to napisać? Miałem tu gdzieś jakiś papier. Wyciągnął z kieszeni koszuli długopis i jakiś rachunek i podał mu przez okno.

Lucian wziął je. Na początku nie był pewien, czy nadal potrafi pisać. Jego mózg przekształcał się powoli, w końcu wszystkie umiejętności językowe miały zaniknąć; nawet

myśli nie będzie już wyrażać słowami. Ujął niezgrabnie długopis i wtedy jego palce przypomniały sobie, co robić. Napisał słowo *pustynia*.

– Tam jest gorąco jak w piecu – rzekł kierowca. – O wiele cieplej niż tu. Po co chcesz tam iść?

Żeby się narodzić, napisał Lucian. Kierowca rzucił Lucianowi spojrzenie z ukosa, ale równocześnie skinął głową, prawie niedostrzegalnie.

– Czasem ludzie po prostu muszą coś zrobić. Rozumiem. Pamiętam, kiedy... – Zapatrzył się w przestrzeń. Poruszył się w fotelu. – Wsiadaj.

Lucian obszedł szoferkę dookoła i wsiadł. Pamiętał, żeby usiąść i zamknąć drzwi, ale już zapomniał, jak powinna wyglądać reszta rytuału. Wpatrzył się w kierowcę, aż bladym mężczyzną potrząsnął głową i pochylił się nad Lucianem, by przepasać go przez pierś pasem bezpieczeństwa.

– Złożyłeś ślubny milczenia? – spytał kierowca.

Lucian gapił się przed siebie.

– Na pustyni jest gorąco jak w piecu – mruknął kierowca. Ruszył drogą i pojechali w kierunku słońca.

* * *

Przez wszystkie lata spędzone z Adrianą Lucian próbował nie myśleć o papudze nimfie Fuoco. Ptak nigdy nie przyzwyczał się do Luciana. Stawał się coraz bardziej rozzłoszczony i zgorzkniały. Wyrwał sobie pióra tak często, że miał na ciele łyse placki. Zdarzało mu się dziobać się tak, że zaczynał krwawić.

Czasami Adriana łapała go, gładziła po głowie i dotykała policzkiem grubych piór, które zostały mu z tyłu głowy tam, dokąd nie mógł sięgnąć.

– Mój biedny, mały, szalony ptaszek – mówiła ze smutkiem, a on przesuwiał dziobem w jej włosach.

Fuoco nienawidził Luciana tak bardzo, że przez jakiś czas zastanawiali się, czy nie lepiej byłoby go komuś oddać. Adriana próbowała zostawić go u Bena i Lawrence'a, ale usychał z tęsknoty za swoją panią i przestał jeść; musiała tam polecieć i zabrać go.

Gdy wrócili do domu, powiesili klatkę Fuoco w pokoju dziecięcym. Odnieśli wrażenie, że przebywanie blisko dziecka wpływa na oboje kojąco. Rosę była kapryśnym dzieckiem i nie lubiła samotności. Wyglądała na szczęśliwszą, kiedy w pobliżu była jakaś żywa istota, nawet jeśli był to tylko ptak. To obecność Fuoco sprawiała, że nie płakała, w tych rzadkich chwilach, kiedy to Adriana potrzebowała czegoś od Luciana i wychodził z dziecięcego pokoju. Lucian spędzał resztę czasu przy dziecku, patrząc na Rosę dzień i noc, z bezsensną czujnością.

Najbardziej niesamowite chwile życia Luciana następowały wtedy, gdy Rosę płakała.

Owijął ją w kremowe kocyki barwy jej skóry i kołysał, chodząc po wszystkich pomieszczeniach na dole domu, patrząc na rozproszoną złocistą poświatę, jaką uliczne latarnie rzucały na krzewy jeżyn i podwórka sąsiadów. Czasem zabierał ją na zewnątrz i spacerował drogą prowadzącą wzdłuż klifu. Nigdy nie zabierał jej na plażę. Luciana wyposażono w doskonały zmysł równowagi i widzenie w ciemnościach, ale nie miało to znaczenia: bardzo się bał, że pośliznie się, Rosę wypadnie mu z objęć i spadnie. Spacerował więc z nią w bezpiecznej odległości od brzegu, patrząc z góry na czarne fale rozpryskujące się o skały; nocne powietrze pachniało chłodem i solą.

Lucian kochał Adrianę, ale Rosę kochał bardziej. Kochał jej niezdarne piąstki i tęsknotę za świadomością, powolne narastanie niewyraźnie wymawianych sylab. Budowała świadomość kawałek po kawałku, tak samo jak on, ucząc się, jak działa świat i jaka jest jej rola w tym świecie. Próbował po cichu nazywać kolejne stadia jej rozwoju. *Czy potrafisz określić granice swojego ciała? Czy potrafisz odróżnić swoją skórę od mojej? Oraz – tak! Możesz sprawiać, by coś się stało!. Przyczyna i skutek. Jeśli zapłaczesz, przyjdziemy. Ale najpiękniejszy był moment, kiedy spojrzała mu prosto w oczy i kiedy sobie to uświadomił, aż zaparło mu dech. Och, Rosę. Wiesz, że za tymi oczami ukrywa się inny umysł. Wiesz, kim jestem.*

Lucian pragnął obdarzyć Rosę całym pięknem, jakie tylko mógł dla niej zdobyć. Jedwabne sukienki i koronki, najpiękniejsze róże uprawiane w doniczkach, najcudowniejsze widoki z okna na morze. Przedmioty zachwycały Rosę. Gdy była jeszcze malutka, patrzyła na nie z żywiołowym zainteresowaniem, klaskała w rączki i śmiała się. W końcu umiała już powiedzieć „Dziękuję!” Oczka jej lśniły.

To Fuoco złamał Lucianowi serce. Była późna noc, gdy Adriana poszła do pokoju Rosę, by sprawdzić, czy u śpiącej dziewczynki wszystko w porządku. Ktoś zostawił otwartą klatkę. Fuoco siedział na skraju otwartych drzwiczek i ponuro patrzył przed siebie.

Adriana zostawiała już Rosę samą z Fuoco. Tym razem jednak coś sprawiło, że w małym, szalonym mózdzku ptaka zaszło coś dziwnego. Może sprawiły to ciemności panujące w pokoju; na skórę Adriany padało tylko bladobłękitne światło nocnej lampki i może to zamąciło ptakowi w głowie. A może Rosę była już na tyle duża, że Fuoco zaczął ją postrzegać jako ewentualną rywalkę, a nie niedojrzałą istotę, którą można ignorować. Może po prostu opadły z niego resztki rozsądku. Jakikolwiek byłby to powód – gdy Adriana pochyliła się nad łóżeczkiem, by dotknąć twarzy córki, Fuoco wyskoczył z klatki jak z procy.

W szale zazdrości, jaką wykazywał dotąd jedynie wobec Luciana, Fuoco rzucił się w kierunku twarzy Rosę. Zatopił pazury w jej czole. Rosę zaczęła krzyczeć. Adriana odskoczyła. Chwyciła Rosę jedną ręką, a drugą próbowała odgonić ptaka. Rosę próbowała wyswobodzić się z uchwytu matki i uciec. Adriana zareagowała odruchowo, próbując chronić ją jeszcze silniejszym uściskiem.

Lucian usłyszał hałas na górze, gdy w salonie programował harmonogram sprzątnięcia

domu na następny tydzień. Zostawił otwarty panel sterowania i popędził do sypialni przez kuchnię, łapiąc po drodze patelnię. Wpadł do pokoju, zamachnął się patelnią na Fuoco i odgonił go od Adriany, a następnie zapędził go do rogu. Zacisnął dłoń na uchwycie. Przyszło mu do głowy, że zabił dawnego rywala.

Tak się nie stało, ale Fuoco wyglądał, jakby uszło z niego życie. Spadł na podłogę bijąc nieregularnie i bez przekonania skrzydłami. W jego oczach pojawiła się obojętność.

Fuoco nie walczył, gdy Lucian podniósł go i włożył do klatki. Adriana i Lucian spojrzeli po sobie, nie wiedząc, co powiedzieć. Rosę wyrwała się matce i otoczyła ramionkami kolana Luciana. Płakała.

– Biedny Fuoco – rzekła cicho Adriana.

Zawieźli Fuoco do weterynarza, by go uspić. Adriana stała i patrzyła, jak weterynarz wbija mu igłę.

– Mój biedny, szalony ptaszek – mruknęła, gładząc jego skrzydła, gdy oddawał ducha.

Lucian patrzył na Adrianę z wielkim smutkiem. Najpierw wydało mu się, że odczuwa wobec ptaka współczucie, choć zwierzę zawsze go nienawidziło. I nagle, z goryczą przypominającą wrażenie towarzyszące pociągnięciu łyka kwaśnego wina, zrozumiał, że odczuwał coś zupełnie innego. Rozpoznał to ujmujące, przepelnione żalem spojrzenie, jakim Adriana obdarzyła Fuoco. W taki sam sposób Lucian patrzył na zwiędłą różę albo poczerniałą srebrną łyżeczkę. Było to spojrzenie zmienione posiadaniem.

Nie różniło się specjalnie od spojrzenia, jakim Adriana obdarzała Luciana, kiedy coś poszło nie tak jak powinno. Nigdy przedtem nie zdawał sobie sprawy z tego, jak niewielka była różnica między jej miłością do niego i do Fuoco. Nigdy przedtem nie zdawał sobie sprawy z tego, jak niewielka była różnica między jego miłością do niej i do rozwiniętej róży.

* * *

Adriana pozwoliła Rosę zajmować się roślinami Luciana, odkurzać półki i spacerować przy panoramicznym oknie. Pozwoliła dziewczynce bawić się w przygotowanie śniadania; Adriana stała za nią i wkraczała do akcji, kiedy trzeba było użyć noża albo Kuchenki. W porze drzemki Adriana wytłumaczyła Rosę, że dobre roboty po południu udają przez kilka godzin sen, jeśli poprosi je o to człowiek. Otuliła córkę kocem, zeszła na dół, usiadła w salonie, piła wino i płakała.

Tak nie mogło być. Musiała coś wymyślić. Pojadą obie na wakacje do Mazatlán. Poprosi którąś z sióstr, żeby przyjechała. Powinna zadzwonić do jakiegoś psychiatry dziecięcego. Ale czuła się zdradzona i tak pozbawiona energii, że była tylko w stanie wykonywać przy Rosę najprostsze codzienne czynności.

W całym domu wyczuwało się pozostałości oskarżycielskiego milczenia Luciana. Czego on od niej chciał? Co jej się nie udało? Kochała go. A on kochał ją. Podarowała mu pół domu

i samą siebie. Wychowywali razem dziecko. A mimo to odszedł.

Podeszła do okna. Noc była mglista. Uliczne latarnie omywały wszystko dziwnym, płaskim żółtym światłem. Położyła rękę na szybie i na szkłe został odcisk jej dłoni, jakby ktoś z zewnątrz walił w okno, by dostać się do środka. Wyrzała w ciemność: wyglądało to, jakby reszta świata była mglistym skrajem malowidła, a jej dobrze oświetlony dom był jedynym wyrazistym punktem. Poczła się, jakby możliwe było otwarcie frontowych drzwi, wyjście za próg i rozmycie się, jakby jej ciało straciło ostrość.

Dopiła czwarty kieliszek wina. W głowie jej się kręciło. Po policzkach płynęły jej łzy, ale nie zwracała na to uwagi. Nalała sobie kolejny kieliszek. Jej ojciec nigdy nie pił. W żadnym wypadku. Był abstynentem. Mówił, że alkohol to śmierć dla mózgu i natrząsał się ze słabeuszy, którzy go piją, mężczyzn z zarządu i ich znudzonych żon. Wydawał przyjęcia, na których alkohol lał się strumieniami, a on stał w samym środku, całkowicie trzeźwy, obserwując, jak robią z siebie durni, jakby byli cyrkowymi klaunami kręcącymi salta ku jego uciesze. Potrafił knuć skomplikowane intrygi, by ich upokorzyć. Ten dyrektor z żoną zazdrosnego prawnika. Polityk prosi o drinka przy basenie, by natknąć się na nastoletniego syna, który w jacuzzi zabawia się z innym chłopcem: opuszczone kąpielówki, członek głęboko w ciele tamtego. Podczas tych przyjęć rujnował życie innych ludzi, a robił to w tak elegancki sposób, stojąc pośrodku, trzymając niewidzialne sznureczki.

Adriana doznała wrażenia, jakby jej głowa zaczęła tańczyć. Jej stopy poruszały się. Jej ojciec: stanowczy, zdecydowany. Martwy. Och, trzeba obchodzić żałobę, palić świece i ronić krokodyle łzy. Nieważne!

Lucian, ach, Lucian w swym ostatnim wcieleniu stał się odtrutką na ojca. Płakała, a on ją przytulał, po czym oboje stawali w drzwiach dziecięcego pokoju i patrzyli na sielski obrazek: śpiącą w kremowej pościeli Rosę. Wszystko będzie dobrze: Lucian był dobry, z Lucianem czuła się bezpiecznie. W oczach innych mężczyzn zapalały się błyski, gdy patrzyli na małe dziewczynki, ale Luciana to nie dotyczyło. Dzięki Lucianowi byli rodziną, taką, jaka powinna być rodzina, a Lucian powinien być wierny, zaangażowany, stały i lojalny.

Bez niego nie wiedziała co robić. Była ponura, jak jej ojciec, pozwalając Rosę udawać, że ona i jej lalki mają zostać zabrane do fabryki i poddane regulacji. Przystąpiła na żądanie dziewczynki, by grać w grę o nazwie „Jaka powinnam być teraz?” – Bądź szczęśliwsza! – Bądź bardziej roześmiana! – Niech twój mózg tancerki przejmie kontrolę! Co się stanie, kiedy Rosę pójdzie do szkoły? Kiedy dowie się, że matka ją okłamała? Kiedy uświadomi sobie, że udawanie, że jest tym samym, co jej ojciec, nie sprowadzi go z powrotem?

Adriana wkroczyła do kuchni tanecznym krokiem. Z hukiem wrzuciła butelkę po winie do zlewu i spróbowała włączyć kuchenkę. Protokoły zabezpieczające urządzenia zmierzyły jej poziom alkoholu we krwi i poinformowały Adrianę, że w tym stanie nie może korzystać z kuchenki. Wyłączyła je. Chciała zrobić sobie omlet, taki, jaki kiedyś robił Lucian, z cebulą, szczypiorkiem i serem, i pić sok pomarańczowy z kieliszka na wino. Wyjęła patelnię, której

Lucian kiedyś użył, by odgonić Fuoco, i położyła ją na blacie obok deski do krojenia. Sięgnęła po cebulę, ale nie zauważyła, że odkładając patelnię przesunęła deskę na kuchenkę; drewno zajęło się ogniem. Chwyciła ścierkę i zaczęła walić nią w kuchenkę. Dom zaczął lamentować. Uruchomiły się tryskacze i zalały ją wodą. Adriana wystawiła twarz na krople deszczu i śmiała się. Zaczęła kręcić się w kółko, z uniesionymi rękami, jak mała dziewczynka, która chce, żeby zakręciło jej się w głowie. Krople wody spadały na jej policzki i spływały po szyi.

Mokre ślady stóp. Adriana spojrzała w dół i zobaczyła Rosę. Twarz dziewczynki była mokra. W oczach czaiły się resztki snu.

– Mamo?

– Rosę! – Adriana ujęła w dłonie twarzyczkę córki. Pocałowała ją mocno w czoło. – Kocham cię! Tak bardzo cię kocham!

Rosę próbowała się wyrwać.

– Dlaczego w domu pada deszcz?

– Deska się zapaliła. Ale już wszystko w porządku!

Dom lamentował dalej. Wycie syreny pulsowało jak bicie serca. Adriana podeszła do kredensu, by wyjąć sól. Poruszające się po posadzce stopy Rosę zapiszczały na linoleum. Dłoń Adriany zamknęła się wokół gałki kredensu. Była śliska od wody. Palce ześliznęły się. Nabrała powietrza w płuca, czując złość, i doznała wrażenia, że coś jest nie tak, ale nie chodziło o kredens; to było coś innego. Obróciła się szybko i zobaczyła Rosę z paluszkami zaciśniętymi na wielkim nożu; już miała wbić go w cebulę.

– Nie! – Adriana wyszarpnęła nóż z rączki Rosę. Wyśliznął się z jej mokrych palców i upadł na podłogę. Adriana złapała Rosę w pasie i wywlokła ją z mokrej, pełnej niebezpieczeństw kuchni. – Nie wolno ci tego robić. Nigdy. Nigdy!

– Tatuś to robił.

– Mogłaś się zabić!

– Dostanę boty leczące.

– Nie! Słyszysz? Nie dostaniesz. Mogłabyś się skaleczyć i umrzeć. I co by się wtedy stało?

Adriana nie pamiętała już, co spowodowało deszcz. Wokół nich szalał potop. Tylko tyle wiedziała. Bolała ją głowa. Bolało ją całe ciało. Nie chciała niczego, co miałoby coś wspólnego z tańcem.

– Co z nami jest nie tak, kochanie? Dlaczego on nas nie chce? Nie! Nie odpowiadaj mi. Nie słuchaj mnie. Pewnie, on chce ciebie. Mnie nie chce. Co zrobiłam źle? Dlaczego on mnie już nie kocha? Nie martw się. Nieważne. Znajdziemy go. Znajdziemy go i zmusimy go, żeby wrócił. Wróci. Nie martw się.

* * *

Lucian wręczył Adrianie swój list pożegnalny rankiem. Światło wdzierало się przez sięgające podłogi okna. Ściany domu wydzielały zapach cytrusów i lawendy. Adriana siedziała przy stole w jadalni nad otwartą książką.

Lucian wyszedł z kuchni i postawił przed Adrianą kieliszek do wina napełniony sokiem pomarańczowym. Podał jej omlet. Ustawił obok talerza kieliszek do wódki z kawą. Adriana uniosła wzrok i zaśmiała się perliście. Lucian przypomniał sobie, kiedy usłyszał ten śmiech po raz pierwszy i zrozumiał wszystkie słowa, które ten śmiech zastępował. Zastanowił się, kiedy uda mu się zapomnieć, dlaczego śmiech Adriany był zawsze zarówno szorstki, jak i tryskający radością.

Rosę bawiła się w salonie za nimi zeskakując z sofy i udając, że fruwa. Włosy Luciana lśniły, zabłąkany promyk słońca podkreślał srebrne pasemka. Bursztynowe oczy przy bladobłękitnej bluzie lśniły jak słońce na niebie. Położył na książce Adriany arkusz cienkiego papieru. *Droga Adriano!*, zaczął się list.

Adriana podniosła kartkę. W świetle słońca była ona prawie przezroczysta, atrament był tak blady, że ledwo dawał się odczytać.

– Co to jest? – spytała.

Lucian milczał.

Adriana poczuła uścisk strachu w żołądku. Zaczęła czytać.

Przywróciłaś mojemu mózgowi plastyczność. Pierwszą rzeczą, którą zrobiłem, było zniszczenie zdolności do używania języka mówionego. Dalaś mi życie ludzkie, a ja przecież nie jestem człowiekiem. Kształtowałaś moje myśli ludzkimi słowami, ale ludzkie słowa stworzono dla ludzkich mózgów. Muszę odkryć kształt moich własnych myśli. Muszę dowiedzieć się, czym jestem.

Mam nadzieję, że kiedyś wrócę, ale nie mogę składać żadnych obietnic co do tego, czym wtedy będę.

* * *

Lucian idzie przez pustynię. Stopy zostawiają za nim podwójny ślad. Ciągnie się za nim milami, aż do miejsca, gdzie łączą się ze śladami opon ciężarówki na piasku.

Piasek jest pełen barw: jest nie tylko beżowy i żółty, lecz czerwony, zielony i błękitny. Na kamieniach przycupnęły porosty barwy utlenionej miedzi. Cienie pełzają między formacjami skalnymi, tworząc ciemne pasy przecinające krajobraz.

Umysł Luciana odpływa od niego. Próbuje unieść palce w taki sposób, jakby chciał ująć długopis, ale tylko macha nimi nieporadnie.

W nocy pojawiają się ptaki i zające. Lucian stoi nieruchomo, a one drepczą wokół niego,

jakby w ogóle go tam nie było. Ma takie same żółte oczy jak one. Pachnie glebą i ziołami, jak ziemia.

Gdzieś indziej Adriana pogrąża się w rozpacz. Dzwoni do Bena i Lawrence'a. Zgadniają się przylecieć na kilka dni. Ocierają jej łzy, odbierają kieliszek z winem i delikatnie tłumaczą, że nie jest w stanie teraz sama zajmować się córką.

– To całkowicie zrozumiałe – powie Lawrence. – Musisz mieć czas, by to przeboleć.

Adriana poczuje, jakby świat ją osaczał, jakby nie mogła oddychać, ale choć życie wydaje jej się mroczne i pozbawione sensu, nadal oddycha. Tak, zgadza się, lepiej będzie wrócić do Bostonu, tam pomogą jej siostry. Tylko trochę, tylko przez chwilę, tylko przez parę lat, tylko aż... aż... aż... Codziennie będzie błagać Nanette, Eleanor i Jessicę, by sprawdziły zapis z kamer monitoringu dookoła starego domu, na wypadek, gdyby Lucian wrócił. „Możesz sprawdzić sama”, mówią jej. „Przecież zaraz znowu będziesz tam mieszkać”. Na osobności szepczą między sobą zmartwionym tonem; boją się, że ona prędko z tego nie wyjdzie.

Gdzieś indziej w Rosę zakiełkowało ziarno niepewności: chyba jednak nie ma w sobie części ojca. Będzie siedzieć w gościnnym pokoju, który przygotowała dla niej służba Jessiki, każe oświetleniu, by się wyłączyło, a potem w tajemnicy zadrapuje sobie skórę paznokciami, pragnąc, by rany zagoiły się tak, jak to się odbywało u tatusia. Kiedy Jessica znajdzie ją zakrwawioną w pościeli i podbiegnie, by ją pocieszyć, Rosę w objęciach ciotki będzie sztywna i chłodna. Jessica zawoła pokojówkę i poprosi o zmniejszenie zakrwawionej pościeli, a Rosę rzuci się na podłogę między dwie dorosłe kobiety, krzycząc z determinacją zrodzoną z wątpliwości i rozpacz. Roboty nie krwawią!

Lucian myśli o nich bez słów. Mają jakieś kształty geometryczne, wycięte z cieni i ciszy, brakujące kształty jego życia. Tęskni za nimi tak, jak się tęskni za chłodem za dnia i kojącym widokiem słońca nocą.

Reszty już nie pamięta – zapomniał o oceanach, różach i zielonych papugach nimfach wyskubujących sobie pióra. Powoli, powoli traci wszystko, słowa, pojęcia, zrozumienie, integrację, wrażenie, uczucie, pożądanie, strach, historię i kontekst.

Powoli, powoli, znajduje coś. Coś poza jego myślami, poza rytmem nocy i dni. Porzucona maszyna nie różni się bardzo od królika. Przemykają podobnie. Podobnie wzdrygają się zaskoczone. Patrzą na siebie podobnymi oczami.

Kiedyś Lucian dotrze z powrotem do nowej świadomości, wyśnionej przez obwody. Może to nowe, odbudowane ego uda się do domu nad morzem. Nie znajdzie tam nikogo, więc ruszy przez cały kraj do Bostonu, czasem autostopem, a czasem maszerując przez ciągnące się aż po horyzont pola kukurydzy. Znajdzie dom Jessiki i poinformuje, że chce wejść, a Rosę i Adriana z radością pobiegną na dół mahoniowymi schodami. Adriana będzie szlochać, Rosę rzuci mu się w ramiona, a Lucian będzie patrzył na nie z miłością zahartowaną w pustynnym słońcu. I wreszcie zrozumie, jak kochać łyżki z filigranowymi trzonkami, trzymane w domach

ptaki i żonę, i córkę, nie tak, jak kochałby je człowiek, ale robot.

Jaszczurka o błękitnym brzuchu siedzi na kamieniu. Lucian zatrzymuje się obok niej. Słońce praży. Jaszczurka przez chwilę pławi się w promieniach słońca, potem wykonuje kilka kroków i ucieka do rozpadliny. Lucian patrzy. W jakiś rozproszony, pozbawiony słów sposób zastanawia się, jak to jest marznąć i mieć zwinne nogi, kochać słońce i bać się otwartych przestrzeni. Już się tego nauczył: istoty żywe go obchodzą. Nie może ukształtować myśli, by zastanowić się, co się stanie później.

Idzie dalej.

Przełożyła Jolanta Pers

John Scalzi

BOŻE NAPĘDY

Rozdział pierwszy

Nadszedł czas, by wychłostać boga.

Kapitan Ean Tephe wkroczył do bożej komory z małą, zdobioną laską, filigranową szkatułką w dłoni. Zobaczył krew na pokładzie; tryskała z rany jednego akolity, a drugi leżał drżąc. Bóg leżał rozciągnięty w swoim żelaznym kręgu, z łańcuchami przeciągniętymi przez kółko na podłodze i dociągniętymi na krótko. Uzdrowiciel Omll mruczał coś nad akolitą. Bóg chichotał w żelazny knebel, który wciśnięto mu w usta, i oblizywał czerwone wargi. Nad bogiem, tuż za kręgiem, stał kapłan. Dwóch innych akolitów stało przerażonych pod ścianą komory.

Tephe odstawił szkatułkę na stół, na którym leżały narzędzia służące do zadawania kary. Zwrócił się do kapłana, który nazywał się Croj Andso.

– Wyjaśnij to – rozkazał.

Andso obruszył się przez sekundę. Pod względem tytułarnym nie zajmował pozycji niższej niż kapitan. Ale miało to związek ze „Sprawiedliwym”, zatem w tym przypadku Tephe sprawował władzę nad Andso.

– Zhańbiony odmawiał wykonywania rozkazów, więc musiałem polecić Drianowi, by przywołał go do porządku – wyjaśnił kapłan. Nie spuszczał oczu z długiej żelaznej piki, która leżała tuż poza kręgiem boga. Ciekła z niej na akolitę Driana strużka krwi. – Zhańbiony chwycił pikę, gdy Drian ją wysunął, i wciągnął go do kręgu. Ugryzł go i puścił dopiero wtedy, gdy kazałem przygwoździć go do podłogi.

Tephe zwrócił się do uzdrowiciela Omlla, nie spuszczając wzroku z kapłana.

– Jak się ma akolita? – spytał.

– Zhańbiony odgryzł mu cały kęs ciała – wyjaśnił Omll. – Na ramieniu. Kość została naruszona, naczynia uszkodzone, i stracił dużo krwi. Zasklepiłem ranę, ale jest poważna.

Odtąd uzdrowiciel Garder będzie musiał czuwać nad procesem leczenia. Jego umiejętności w tej dziedzinie znacznie przewyższają moje.

– Dlaczego nie przyszedł? – spytał Tephe.

– Nie było czasu – odparł Andso. – Uzdrowiciel Omll przechodził akurat na zewnątrz, kiedy doszło do ataku. Wbiegł do komnaty, gdy usłyszał krzyki.

Tephe skinął krótko głową.

– Wybacz, uzdrowicielu Omll.

Uzdrowiciel odwzajemnił ukłon.

– Kapitanie, proszę o pozwolenie na zanieśnięcie akolity Driana do izby uzdrowiciela.

– Udzielam pozwolenia – odparł Tephe. – Kapłanie, czy inni akolici mogliby pomóc uzdrowicielowi?

Andso wskazał gestem pozostałych akolitów, którym nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Podnieśli Driana z podłogi i szybko wynieśli go z komnaty. Kapitan został sam z kapłanem i bogiem.

Tephe pochylił się i podniósł pikę, po czym zaczął uważnie oglądać grot.

– Kapłanie, chcę się dowiedzieć, jak do tego doszło – rzekł.

– Już wyjaśniłem, co się stało, kapitanie – odparł stanowczym tonem Andso.

– Opowiedziałeś, co się stało – rzekł Tephe. – A ja powiedziałem, że chcę wiedzieć, jak.

– Zważył pikę w dłoni. – Skąd tu się wzięła ta pika?

– Była w naszym magazynie – wyjaśnił Andso. – Kazałem ją przynieść, kiedy Zhańbiony odmawiał wykonywania rozkazów.

Tephe dotknął grota piki.

– Czy zbadałeś ją, zanim wydałeś rozkaz jej użycia? – spytał.

– Nie było takiej potrzeby – odparł Andso. – Biskupstwo zatwierdza nasze dostawy. Wszystkie nasze narzędzia do zadawania kary są wykonane z żelaza z drugiego przerobu, kapitanie. Musi tak być. Doskonale o tym wiesz.

– Najwyraźniej pokładasz niewzruszoną wiarę w Biskupstwie – mruknął Tephe – skoro uważasz, że nie musisz sprawdzać własnych zapasów magazynowych.

– A ty nie? – zdziwił się Andso, prostując się. Kapitan niebezpiecznie ocierał się o bluźnierstwo, a przynajmniej ta kwestia mieściła się w kompetencjach kapłana. – Wątpisz w Biskupstwo, kapitanie?

Kapitan spojrzał na kapłana, ale nie odpowiedział. Znowu zważył pikę w dłoni i uderzył nią brutalnie w rozciągnięte ciało boga. Grot broni trafił w plecy boga. Drzewiec piki wygiął się, zaostzony grot przesunął się po skórze, uginając ją, ale nie rozcinając. Bóg znowu zachichotał chrapliwie. Kapłan otworzył szeroko oczy.

Tephe cofnął pikę i cisnął ją na posadzkę, poza kręgiem, między nim a kapłanem.

– Nie wątpię w Biskupstwo, kapłanie Andso – rzekł. – Wątpię w innych ludzi. Wiesz, że kupcy i dostawcy floty bardziej troszczą się o pieniądze niż swoje dusze. A ty powinieś

wiedzieć, że zyski, jakie czerpie się z podmiany żelaza z drugiego przerobu na żelazo z trzeciego przerobu mogą zdecydować o różnicy między dobrym miesiącem a kiepskim.

Z podłogi dobiegło podśpiewywanie szeptem.

– ...z trzeciego przerobu wiąże, z drugiego rani, z pierwszego zabija – powiedział bóg i znów zachichotał.

Kapłan spojrział na pikę, po czym podniósł wzrok na kapitana.

– Chciałbym przesłuchać kwatermistrza – powiedział Andso. – To on zamówił tę dostawę. Sprawdzenie, czy świadectwo jest autentyczne, było jego obowiązkiem.

– Kwatermistrz Usse nie żyje – odparł ostro Tephe. – Zginął wraz z trzema swoimi ludźmi i dziesięcioma innymi z naszej załogi, podczas ostatniej potyczki w pobliżu Ament Cour. Jeśli on ponosi za to winę, możesz być pewien, że Nasz Pan już go wezwał, by się z tego rozliczył. Nie musisz się nim już dłużej zajmować. I bez względu na to, jakie na nim ciążyą grzechy, kapłanie, to ty przyjąłeś na wiarę sfalszowane świadectwo biskupie. Twój akolita może za to zapłacić.

– Jeśli do tego dojdzie, stanie przed obliczem Naszego Pana – powiedział Andso.

– Chwalebnie – zauważył kapitan. – Ale przypuszczam, że w jego wieku niekoniecznie jest to powód do radości – kopnął pikę i poleciała w kierunku kapłana. – Zniszcz to – polecił.

– Pomódl się nad popiołami. A potem sprawdź nasze pozostałe narzędzia. Wszystkie. Oczekuję pełnego raportu jutro przed południem, przed czwartym biciem dzwonu.

– Tak, kapitanie – przytaknął Andso po chwili.

– To wszystko – dodał Tephe.

Andso zrobił zdumioną minę.

– Nie życzysz sobie mojej pomocy? – spytał.

– To jest zadanie dla kapitana – wyjaśnił Tephe. – Nie dla kapłana.

– Doskonale, kapitanie – odparł Andso sztywno. – W takim razie pozostawiam ci to zadanie.

– Chwileczkę – rzekł Tephe i wskazał gestem boga. – Rozluźnij mu łańcuchy.

– Kapitanie? – upewnił się Andso.

– Rozluźnij mu łańcuchy – powtórzył kapitan. – Chcę, żeby mógł usiąść.

– Nie radzę, kapitanie – ostrzegł go Andso. – Zhańbiony musi być trzymany jak najniżej.

– Jak z nim skończę, będzie wystarczająco nisko – odparł Tephe. – Dalej, kapłanie.

Andso podszedł do urządzeń sterujących, na które był nawijany łańcuch, i zwolnił blokadę.

– Nadal leży na podłodze – powiedział Tephe po kilku sekundach.

– Tak jest istotnie – odparł kapłan. – Ale to z wyboru.

– Świetnie – odparł Tephe. – Możesz odejść.

Kapłan opuścił komorę.

– Możesz wstać – zwrócił się do boga Tephe.

– Usiąść nie znaczy wstać – zaproponował bóg.

– W takim razie możesz usiąść – odparł Tephe.

– Żelazo jest chłodne – zauważył bóg. – Bardzo nas lubi.

– Jak sobie życzysz – rzekł Tephe i podszedł do stołu. Wziął małą szkatułkę i podszedł do boga, zbliżając się do skraju żelaznego kręgu. Postawił szkatułkę na podłodze na skraju, w zasięgu wzroku boga.

– Wiesz, co tam jest? – spytał.

– Skarb – wyszeptał kpiącym tonem bóg.

– Tak jest w istocie – odparł Tephe i pochylił się, by otworzyć szkatułkę. Wyjął z niej bat nabijany kawałkami metalu.

Bóg zasyczał powoli, smutno.

– Nie widziałeś go przedtem, bo nie dałeś mi dotąd powodu, by go użyć – rzekł Tephe, delikatnie ujmując bat. – Wszystko ci więc wyjaśnię – wyciągnął w jego stronę rękojeść. – Rękojeść wykonano z kości boga, którego Mój Pan zabił własnymi rękami. Słyszałem, że Mój Pan wyjął tę kość z jego ciała, gdy bóg jeszcze żył. Ale nie wiem, czy to prawda.

– My wiemy, jak było naprawdę – odparł bóg.

– Rzemienie są z bożej skóry – rzekł Tephe, ignorując odpowiedź. – To skóra tego samego boga, którego kość posłużyła za rękojeść. Skóra została z niego zdarta, gdy bóg jeszcze żył, i to akurat jest prawda.

– Znaliśmy go – odparł bóg, nadal leżąc. – Boga, którego zabił wasz. Czuliśmy jego ból. Nie mogliśmy się nadziwić, jak długo wasz bóg pozwolił mu jeszcze żyć, kiedy pobierano z niego kości i skórę; siłę dawali mu zdesperowani wyznawcy, którzy nie mogli znieść patrzenia na niego w takim stanie, ale też nie mogli sobie wyobrazić życia bez niego. To takie straszne. Wasz bóg kupił ten śliczniutki bat za monetę wiary i okrucieństwa. Nie masz pojęcia, ile kosztowało to, co trzymasz.

– Bogowie robią wiele rzeczy, których zrozumienie nie jest dane ich wyznawcom – odparł Tephe. – Ale mam pojęcie o tym, że z samych kości i skóry boga nie da się zrobić czegoś, czego byś się bał. Bo ty się boisz tylko tego – Tephe wskazał na metalowe drzazgi, które umocowano w rzemieniach bata.

– Tak – wysyczał znów bóg.

– Żelazo z pierwszego przerobu – rzekł Tephe. – Opisano je w naszych komentarzach następująco: „zrodzone z serca gwiazdy, w chwili, gdy umarła i rozprysła się w ciemności. Nigdy nie stopiło się z pyłem rodzących się planet. Nigdy nie zostało przetworzone po raz trzeci w ogniu ludzkiej kuźni”.

Podsunał je bogu, ale nadal trzymał bat poza kręgiem. Bóg wzdrygnął się na ten widok.

– Spójrz na żelazo – rzekł Tephe. – Samo w sobie surowe, lecz wbudowane i zamocowane w rzemieniach tego bata. I jest tak, jak powiedziałeś. Z trzeciego przerobu wiąże, z drugiego przerobu rani, z pierwszego przerobu zabija.

Tephe włożył bat z powrotem do szkatułki.

– Nie wiem, dlaczego tak jest. Dlaczego żelazo z pierwszego przerozu może zabić boga? Wiem tylko, że może. Wiem, że bogowie boją się śmierci bardziej niż ludzie. Mogę cię tym zabić.

Bóg podniósł głowę.

– Nie nazywajcie nas tak, jak innych – powiedział. – Nie nazywajcie nas „Zhańbionymi”. Słyszeliśmy to już przedtem. Wiedzielibyśmy, dlaczego.

– Wyświadcz mi przysługę – rzekł Tephe.

– Ale nie używaj naszego imienia – poprosił bóg.

– Nie jestem głupcem – odparł Tephe. – Nazwać boga *to* obdarzyć go potęgą.

Bóg uśmiechnął się.

– Nawet o tym nie myśl – powiedział. Oparł znów głowę o żelazo.

– Sądzę – rzekł Tephe – że powinienes przysiąc przede mną, że będziesz wypełniał moje rozkazy. Że zabierzesz nas na Triskelion, gdzie powinniśmy się znaleźć rankiem.

– A dlaczego miałbym zrobić coś takiego? – spytał bóg.

– Bo otrzymałeś taki rozkaz – odparł Tephe.

– Żaden człowiek nie może nam wydawać rozkazów – rzekł bóg.

Tephe sięgnął do kieszeni i wyjął swój talent, żelazną cyfrę na srebrnym łańcuszku. Wyciągnął ją w stronę boga.

– Daruj sobie te gierki – rzekł. – Doskonale wiesz, co oznacza ten talent. Na tym okręcie talent dowodzenia dzierzę ja. Co oznacza, że na tym okręcie moje słowo jest jak słowo Mego Pana. Jesteś bogiem, ale mimo to jesteś Jego niewolnikiem. A ponieważ jesteś Jego niewolnikiem pod każdym względem, na tym okręcie należysz do mnie. Rozkazuję ci w imieniu Mego Pana. I rozkazuję ci zabrać nas na Triskelion – Tephe umieścił talent z powrotem w kieszeni.

– Ilu ludzi masz na okręcie? – spytał bóg.

– W tej chwili mam na pokładzie trzysta osiemdziesiąt dusz – odparł Tephe. „Sprawiedliwy” opuścił Biskupią Przystań sześć miesięcy temu, z załogą liczącą czterystu dwudziestu ludzi, ale potyczki i choroby wybiły część z nich.

– Trzystu osiemdziesięciu dobrych ludzi – mruknął bóg.

– Tak – odparł Tephe.

– W takim razie każ im wyjść na zewnątrz tego cennego okrętu i pchać go – zaproponował bóg. – Na pewno rankiem dotrzecie na Triskelion.

Tephe wyjął bat ze szkatułki i wymierzył bogowi cios; żelazne drzazgi rozdarły ciało. Bóg krzyknął i usiłował kopać tak daleko, jak tylko pozwalał mu na to łańcuch. Z rozcięcia sączyła się boża krew.

– Oto cios za odmowę – rzekł Tephe i sekundę później uderzył boga po raz drugi. – A teraz cios za akolitę Driana – kapitan zwinął bat, na którym była jeszcze boża krew i strzępy

ciała, ukląkł i włożył go z powrotem do szkatułki. – A jeśli akolita umrze, za to też odpowiesz.

Bóg próbował równocześnie śmiać się i szlochać.

– To pali.

– Tak, to pali – przytaknął kapitan. – I będzie palić jeszcze bardziej. Rany zadane żelazem z pierwszego przerozu nie zagoją się bez łaski wiernych, pewnie o tym wiesz. Będą gnąć i rozszerzać się, a ból będzie rósł, aż umrzesz. Chyba że poprzysięgniesz mi posłuszeństwo.

– Jeśli umrę, jesteście zgubieni – zauważył bóg.

– Jeśli umrzesz, nasz gawrił wyśle wołanie o pomoc i wkrótce ktoś nas stąd zabierze – odparł Tephe. – Będę musiał się z tego wytłumaczyć, ale prawda będzie oczywista. Nasz Pan nie potrafi ścierpieć długo tych, którzy nie są posłuszni – Tephe wskazał gestem szkatułkę z batem. – Powinieneś doskonale o tym wiedzieć.

Bóg milczał. Leżał na pokładzie i jęczał z bólu. Tephe stał i patrzył cierpliwie.

– Niech to przestanie boleć – odezwał się po długiej chwili.

– Bądź mi posłuszny – odparł Tephe.

– Zabierzemy was na Triskelion, wszędzie, gdzie tylko chcecie – jęknął bóg. – Niech przestanie boleć.

– Przysięgnij – rzekł Tephe.

– Powiedzieliśmy, że zabierzemy! – krzyknął bóg, a jego forma zmarszczyła się, gdy wypowiadał te słowa, stając się czymś atawistycznym i niepięknym, przypomnieniem o tym, że kiedy Pan zniewalał innych bogów, przybierał ich formy wraz z ich imionami. Marszczenie się ustało i bóg znów przybrał formę zniewoloną.

Tephe ukląkł, otworzył nóż ceremonialny, który nosił w kieszeni bluzy, wbił go w mięsień lewej dłoni, cały czas się przy tym modląc. Podstawił prawą dłoń pod lewą i zbierał do niej płynącą krew. Kiedy zebrało się już dość, przekroczył żelazny krąg i położył ręce na ranach boga, rozsmarowując na nich własną krew, obdarzając go łaską, dzięki której rozpoczął się proces gojenia ran. Bóg pokrzyczał jeszcze trochę i umilkł. Tephe zakończył pracę i szybko opuścił żelazny krąg, pamiętając o luźnych łańcuchach boga.

– A teraz – rzekł, trzymając się za dłoń, by powstrzymać krwawienie – zabierz nas na Triskelion.

– Zrobimy, jak obiecaliśmy – oświadczył bóg, ciężko oddychając. – Ale musimy trochę odpocząć. Triskelion jest daleko, a wy pozbawiliście nas sił.

– Masz czas do ósmego dzwonu Psów – odparł Tephe. – Powiedz, że rozumiesz i jesteś posłuszny.

– Jesteśmy – odparł bóg i opadł znów na żelazo.

Tephe ujął szkatułkę i wyszedł z komory. Andso czekał na zewnątrz ze swymi akolitami.

– Krwawisz, kapitanie – rzekł.

– Bóg zgodził się wypełniać rozkazy – oświadczył Tephe, ignorując tę uwagę. – Dopilnuj, żeby zrobił, co do niego należy, do ósmego dzwonu Psów. Pozwoliłem mu na razie na odpoczynek.

– Najpierw musimy go wychłostać za karę za akolitę Driana – podsunął Andso.

– Nie – zaprotestował Tephe. – Został już dzisiaj dość wychłostany. Musi odpocząć, zanim będzie można go dalej karać. Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

– Tak, kapitanie – odparł Andso. Tephe poszedł do swojej kajuty, by odłożyć szkatułkę na miejsce, a potem na mostek, gdzie czekał Neal Forn, pierwszy oficer.

– Czy mamy jeszcze napęd? – spytał Forn, gdy Tephe znalazł się na tyle blisko, by nikt inny nie usłyszał tego pytania.

– Przynajmniej aż dotrzemy na Triskelion – odparł Tephe i zwrócił się do Strala Tebyego, sternika. – Triskelion na obrazownik, panie Teby.

Teby pomodlił się nad obrazownikiem i w powietrzu pojawiła się mapa gwiazdna, unosząca się kostka przestrzeni. Symbol oznaczający „Sprawiedliwego” wyświetlił się na skraju mapy, Triskelion – po przekątnej po przeciwległej stronie sześcianu.

– Sześćdziesiąt lat świetlnych – rzekł Forn patrząc na obrazownik. – W każdym razie to spora odległość. Nie dziwię się, że bóg chce trochę odpocząć.

– Otrzymaliśmy rozkazy, Neal – przypomniał Tephe. – Bóg też – Tephe potarł lewą dłoń, w której zaczął odczuwać rwanie. – Zostańcie na stanowiskach – polecił. – Wróć przed wieczorną mszą – ruszył w kierunku izby chorych, by sprawdzić, czy uzdrowiciel Garder uwinął się już z akolitą Drianem na tyle, by zająć się jego niewielką raną.

Rozdział drugi

– Bogowie są coraz bardziej niespokojni – poinformował kapłan Croj Andso oficerów zgromadzonych w kapitańskiej mesie, na zakończenie wieczornego posiłku.

Kapitan Tephe zmarszczył brwi. Andso dopijał właśnie trzecią porcję wina. Było to wino z jego własnych zapasów, nie rozwodniony sikacz serwowany przez kapitana; z *mocy* obyczaju podawano takie do jego stołu. Wino kapłana było mocne; jak w coraz większym stopniu jego język. A ta ostatnia uwaga, wypowiedziana z niestosowną lekkością, zupełnie nie pasowała do tego, co zobaczył kapitan: co bóg zrobił akolicie Drianowi.

Zanim kapitan zdołał coś powiedzieć, odezwał się Neal Forn.

– Nazywacie ich „bogami”, kapłanie Andso. O ile mi wiadomo, mieliście nazywać ich „Zhańbionymi”, a jakoś nie możecie się rozstać z tym określeniem, nawet za wielką cenę.

Siedzący po drugiej stronie stołu Andso zmrużył oczy, patrząc na pierwszego oficera. Forn siedział z prawej strony kapitana, zasiadającego u szczytu stołu. Zgodnie z tradycją

Andso siedział naprzeciwko, choć Tephe doskonale wiedział, że Andso uważa to akurat miejsce za honorowe, zaś zajmowane przez kapitana – wręcz przeciwnie. Między przywódcami religijnymi i wojskowymi „Sprawiedliwego” siedzieli niepełniący akurat wachty oficerowie, którzy z upływem czasu zaczęli odruchowo zajmować miejsca w pobliżu tego bieguna, wobec którego odczuwali lojalność.

Tephe już dawno temu zauważył ten nieświadomy rozkład miejsc, ale nie powiedział w tej sprawie ani słowa, ani też nic nie zrobił. W każdym razie wszyscy byli lojalni wobec niego, a on był lojalny wobec Swego Pana. Żałował, że Jego Pan nie wybrał Andso na Swego kapłana, czy przynajmniej nie wybrał go na Swego kapłana na pokładzie „Sprawiedliwego”.

– To nic trudnego, parafianinie Fornie – rzekł kapłan; zwracając się w ten sposób do pierwszego oficera przypomniał mu, a miał w zwyczaju to często czynić, o jego niskim statusie w obliczu ich Pana. – Są bogami, lecz także są Zhańbionymi. Kiedy ktoś znajdzie się w obecności jakiegoś Zhańbionego boga, a ja i moi akolici stykamy się z nim wciąż, jest właściwym przypomnienie tej istocie, że w rzeczywistości jest Zhańbionym i niewolnikiem, i jest zobowiązana do wypełniania moich rozkazów. I rozkazów kapitana – dodał kapłan, być może zauważywszy lekkie uniesienie brwi Forna. – Między wiernymi, jak my sami i pozostali przy tym stole, możemy o nich rozmawiać ogólnie i bezstronnie, jak o gatunku. Tak jak można ogólnie rozprawiać o psach, nie określając ich jako „istoty nieczyste”, którymi wszak są.

– Ale pies nie wie ani nie dba o to, czy określisz go „istotną nieczystą”, kapłanie Andso – rzekł Forn. – Nie zmuszamy też psów, by przemieszczały „Sprawiedliwego” przez kosmos ani chroniły okręt i jego załogę przed niebezpieczeństwami.

– Celna uwaga, parafianinie Forn, Z przykrością muszę stwierdzić, że nie wiem, jak ją skontrolować – odparł Andso, kręcąc kieliszkiem tak, by wino zaczęło w nim wirować.

– Moja uwaga, kapłanie Andso, sprowadza się to tego, że bóg jest napędem okrętu – odparł Forn. – Bóg, który jest rozzłoszczony i złośliwy, i który wykorzysta każdą okazję, by nas skrzywdzić, o czym przekonał się ostatnio twój akolita. Jestem dobrym i wiernym sługą Naszego Pana, o czym wszyscy wiemy, i za najwyższy zaszczyt uważam spełnianie Jego rozkazów. Ale jestem też praktyczny. A praktyczność uczy mnie, że jeśli ktoś chce, by napęd dobrze pracował, nie sypie piasku w tryby. Czy, w naszym przypadku, nie daje mu dodatkowego powodu, by mógł nas nienawidzić.

Andso pociągnął długi łyk, by dopić wino, i dał znak stojącemu obok akolicie, by znów napelnił mu kieliszek.

– I tak będzie nas nienawidził, bo nienawiść jest wszystkim, co zna i co będzie znał. Ponieważ jesteś dobrym i wiernym sługą Naszego Pana, parafianinie Forn, co do czego nie mam żadnych wątpliwości – Andso wypowiedział ostatnie słowa z nie dającym się z niczym pomylić skrzywieniem warg – doskonale wiesz z komentarzy, że Nasz Pan wymaga od nas nie tylko, byśmy go wielbili i czcili najlepiej, jak umiemy, lecz także byśmy karali i żalowali

tych, których On poniżył. Są Zhańbieni, i nie ma dla nich drogi odkupienia, i wierni głośno mówią o ich niskiej pozycji. – Znów uniósł kielich do ust.

– Doceniam twoje ściśle trzymanie się komentarzy, kapłanie Andso – powiedział Forn. – Zastanawiam się, czy z równym zapałem czytasz te komentarze, w których zapisano: „Ten, który ma trunek za podporę, upadnie, gdy będzie próbował się na nim oprzeć”.

Andso znieruchomiał dokładnie w chwili, gdy przełykał wino, i o mało się nie zakrztusił; kropelki wina pociekły na stół. Akolita podbiegł do kapłana z serwetką; Andso chwycił ją, wytarł usta i podbródek, po czym rzucił ją z powrotem akolicie. Obrócił się w kierunku kapitana.

– Dajesz swemu pierwszemu oficerowi zbyt wiele swobody, kapitanie Tephe.

– Sądziłem, że jego biegła znajomość komentarzy przysporzy ci satysfakcji, kapłanie Andso – rzekł Tephe i szybko uniósł dłoń, gdyż dostrzegł, że na twarzy kapłana zaczynają pojawiać się plamy. – Niemniej jednak zgadzam się, że ta rozmowa zaszła za daleko. Bardziej interesuje mnie twoje pierwsze stwierdzenie; powiedziałeś mianowicie, że bogowie są coraz bardziej niespokojni. Może chciałbyś rozwinąć tę myśl?

Andso przez chwilę patrzył w przestrzeń, obmyślając następny ruch. Tephe obserwował go beznamiętnie. Nauczył się już, że kapłan będzie się wywiązywał ze swoich obowiązków, choć w minimalnym zakresie, jeśli tylko da mu się wystarczająco dużo czasu; gdy się go poganiało, arogancja brała górę.

Wreszcie Andso pozwolił sobie na odprężenie się.

– Doskonale, kapitanie. Po naszym dzisiejszym incydencie ze Zhańbionym – Andso rzucił Fornowi spojrzenie – użyłem gawriła i rozmawiałem z kilkoma kapłanami na innych okrętach.

– Użyłeś gawriła bez mojej zgody? – rzekł Tephe, prostując się. To wyjaśniało, czemu porucznik Ysta tego wieczoru nie pojawił się przy kapitańskim stole. Gawriłowie byli obdarzeni talentem rozmawiania ze sobą, bez względu na odległość, zatem na pokładzie każdego okrętu floty znajdował się jeden z nich. Nie istnieje jednak żaden dany przez Boga talent, z którego można by korzystać za darmo, a dotarcie do jakiegokolwiek człowieka przez kosmos było bardzo wyczerpujące. Jeśli Andso użył gawriła do skontaktowania się z kilkoma okrętami w niewielkim odstępie czasu, może minąć dzień, zanim Ysta dojdzie do siebie.

Andso obejrzał się i obrzucił kapitana łagodnym spojrzeniem.

– To była sprawa kościelna, kapitanie – rzekł kapłan. – Jak zapewne wiesz, w takich przypadkach mogę korzystać z zasobów okrętu wedle własnego uznania.

– Zwykła uprzejmość nakazywałaby poinformować mnie – mruknął Tephe. – „Sprawiedliwy” jest teraz pozbawiony gawriła.

– Parafianin Ysta miał się dobrze, kiedy go opuszczałem – odparł Andso. I popijał dalej wino. Tephe uznał, że lepiej będzie nie kontynuować tej rozmowy, lecz rzucił znaczące spojrzenie Fornowi, który skinął głową i wezwał gestem jednego ze służących. Każe komuś

zajrzeć do Ysty. – Tak czy inaczej, otrzymałem potrzebną informację i wiem już, że nie tylko nasz „napęd”, jak pierwszy oficer to określa, odmawia *ostatnio* współpracy. W przypadku trzech innych okrętów bogowie także stawiali opór lub musieli zostać przywołani do porządku. A wszystko to zaczęło się dziać w dniu Święta Immanencji.

– Cztery przypadki w ciągu dziesięciu dni – powiedział Forn, przyłączając się do rozmowy. – To nie jest jakaś niezwykła liczba.

– Jeśli wziąć pod uwagę, że przez cały poprzedni rok trzy razy doszło do takiego buntu, jest bardzo niezwykła – zaoponował Andso.

– Czy istnieje jakaś przyczyna? – spytał Tephe.

– Oczywiście, że nie – odparł Andso. – Poza taką, że Zhańbieni testują, na co mogą sobie pozwolić, jak każdy schwyty w pułapkę drapieżnik. Próbują nas przekonać, że są straszliwymi istotami, a nie niewolnikami ważniejszego boga. Wyją do gwiazd, kapitanie. – Andso podsumował tę uwagę sporym łykiem wina, po czym wykonał niepewny gest w stronę Forna. – I dlatego właśnie musimy być niezłomni w przypominaniu im o ich stanie, parafianinie Forn. Słowa. Słowa to potęga. Nazwać boga, to obdarzyć go potęgą. Odmówić mu nazwy, to pozbawić go jej. Tylko trochę, ale tak czy inaczej. Oddawanie czci Naszemu Panu w ich obecności osłabia ich, a kiedy nazywamy te istoty Zhańbionymi, poniżamy je, wywyższając Naszego Pana, gdyż to On je zniewolił. Wiesz, parafianinie Forn, co utrzymuje Zhańbionych w kręgu.

– Zakładam, że żelazo, z jakiego wykonano łańcuchy... – odparł Forn.

– To wiara, parafianinie Forn! – rzekł Andso, nieco za głośno. – Żelazo jest tylko zwykłym metalem. To nasza wiara w Naszego Pana nadaje mu właściwość wiązania, ranienia i zabijania. Po to właśnie tu jestem. By pielęgnować waszą wiare, wiare każdego z was. A gdyby wszyscy oficerowie na tym okręcie byli tacy jak ty, parafianinie Forn, Zhańbieni już dawno wymknęliby się ze swoich więzów. – Andso machnął dłonią w kierunku kapitana Tephe. – I nawet wspaniały talent w dziedzinie dowodzenia, jakim szczyci się nasz kapitan, zdałby się na nic...

– Dość – przerwał mu Tephe, nagle i stanowczo. – Kapłanie, jesteś pijany. Proponuję, byś udał się na spoczynek.

– I tak już byłem nieco znużony, kapitanie – odparł Andso i odsunął krzesło. Akolita dyskretnie zbliżył się, by ująć drżące ramię kapłana, ale Andso odprawił go niecierpliwym gestem i rozejrzał się dookoła stołu. – Coś wam powiem, wam wszystkim – rzekł. – Kapłan nie ma żadnego talentu – nie ma niczego, co Nasz Pan mógłby zawiesić mu na piersi, by obdarzyć go władzą. Wicie, dlaczego? Bo jest kapłanem Naszego Pana! Jego własną dłonią, jego własnym ramieniem, jego własnym językiem. Ja mam wiare, moi parafianie. Jestem wcieloną wiarą w Naszego Pana. Wiarą, panowie. Bez niej bylibyśmy zgubieni – Andso spojrzął z niechęcią w stronę Forna. – Zapraszam do siebie nazajutrz, parafianinie Forn. Porozmawiamy o twojej wierze.

– Tak, kapłanie – odparł Forn. Andso opuścił kapitańską mesę, zataczając się; ciągnął się za nim wianuszek akolitów i pomruk przy stole.

Tephe pochylił się w stronę pierwszego oficera.

– Jestem przekonany, że twa wiara jest silna, Nealu – rzekł cicho.

– Amen, tak jest w istocie, kapitanie – odparł Forn. – Na tyle silna, że przeżyję tego kapłana.

– Kiedyś był lepszym kapłanem, a przynajmniej tak mi mówiono – rzekł Tephe.

– Przypuszczam, że było to, zanim podjął decyzję o podróżowaniu z własnym zapasem wina – mruknął Forn.

– Sądzę raczej, że podjął taką decyzję, bo doskonale wie, że kiedyś był lepszy – rzekł Tephe.

– Możliwe – odparł Forn, potrząsając lekko głową. – Nie wątpię w jego wiarę bardziej niż w swoją własną, kapitanie – rzekł. – I wiem, że jego obecność to manifestacja Naszego Pana na pokładzie „Sprawiedliwego”. Żałuję tylko, że Nasz Pan nie wybrał sobie godniejszego naczynia. Jeśli kapłan ma rację, i to nasza wiara, a nie żelazo, pozwala spętać boga, pilnie jej potrzebujemy.

Tephe spojrzał na pierwszego oficera z lekką przyganą.

– Porażka pod Ament Cour nie powinna umniejszać naszej wiary, Nealu – rzekł.

– Ani twej, ani mojej, kapitanie – przytaknął Forn. – Ale porażka obniża morale załogi. Bunt boga zresztą też – Forn pochylił się bliżej kapitana. – A będzie jeszcze gorzej, gdy usłyszą pogłoski o ostatnich porażkach i niepowodzeniach floty, i że inni bogowie pokazują Naszemu Panu, gdzie jego miejsce. Głupi komentarz wygłoszony przez kapłana Andso przy tym stole, jak to bogowie są ostatnio niespokojni, także w końcu trafi do załogi. Kapitanie, ludzie nie są przyzwyczajeni do porażek i niepowodzeń. Ich wiara zostanie poddana próbie.

Tephe rozsiadł się wygodnie i przyglądał swemu pierwszemu oficerowi.

– Teraz rozumiem, dlaczego wmanewrowałeś kapłana w bezsensowną dyskusję o terminologii – powiedział Fornowi. – I z żalem muszę przyznać, że to ja tę dyskusję na nowo podjąłem. Wybacz, Nealu.

Forn uśmiechnął się.

– Sam powróciłby do tematu. Udało mi się to najwyżej trochę opóźnić – spoważniał. – Chciałem tylko powiedzieć, kapitanie, że jeśli jakieś czasy wymagają umocnienia wiary, to nadeszły właśnie teraz. I kapłan Andso jest właśnie człowiekiem, któremu powierzono to zadanie. Temu zapijaczonemu, małostkowemu, głupiemu człowiekowi. Zaczynam się bać.

Rozdział trzeci

Odrzwia do gołębnika stanęły otworem i stał za nimi Shalle Thew. Jego sylwetka rysowała się pod haftowaną szatą. To on otworzył drzwi.

Tephe uznał, że to dobry pretekst do rozpoczęcia rozmowy.

– Nieczęsto otwierasz drzwi gołębnika – rzekł po chwili.

– Istotnie – odparł Shalle. – Lade spożywa posiłek, Cień odpoczywa, Issa praktykuje obrządk, a Tasy otrzymał specjalną dyspensę na udanie się do izby chorych, by zająć się tym biednym chłopcem, którego poranił bóg. Nikt inny nie mógł otworzyć drzwi. Więc oto jestem.

– Chciałbym z tobą przez chwilę porozmawiać – rzekł Tephe.

– Służę, kapitanie – odparł Shalle lekkim tonem i przesunął do tyłu niesforne pasmo włosów. – Dla ciebie zawsze mam czas. To jedna z zalet tej pracy. Mojej i twojej. Zapraszam do środka, kapitanie – Shalle odsunął się, skłonił lekko głowę, wyginając usta w lekkim uśmiešku.

Kapitan wkroczył do gołębnika. Shalle zamknął drzwi i zabezpieczył je.

– Chodźmy do mojego gniazda. Powiem Lade’owi, żeby nikt nam nie przeszkadzał. Proszę za mną – Shalle obdarzył kapitana uśmiechem i wkroczył do małego refektarza gołębi.

„Gniazdo” Shallea nie różniło się specjalnie od ciasnej kajuty oficerów czy kapłanów, tylko że kajuty oficerskie były spartańskie, a kapłańskie bardziej przypominały cele klasztorne. Kwatery gołębi miały obłe krawędzie, były ciepłe i przytulne. Gniazdo Shallea urządzone sprzętami barwy rdzy, purpury i starego złota; unosił się tam zapach wonnego i delikatnego drewna. Tephe wciągnął go do płuc, i jak zawsze, odprężył się, na przekór samemu sobie.

Na półeczce z dekoracyjnymi przedmiotami było coś nowego. Tephe wziął przedmiot do ręki i przyjrzał mu się. Była to figurka zwierzęcia, którego nie był w stanie rozpoznać.

– To gołąb – rzekł Shalle, wchodząc do gniazda i zamykając drzwi. – Prawdziwy.

– Naprawdę? – spytał Tephe.

– No, w każdym razie wizerunek – rzekł Shalle i podszedł do kapitana. Delikatnie położył mu rękę na ramieniu i wyciągnął drugą, by lekko ująć dłoń kapitana, w której spoczywała figurka. – To dar od Brana Usse, który znalazł ją na Ines i pomyślał, że mi się spodoba.

– Piękny dar – odparł kapitan. – Istotnie, nie należałoby się czegoś takiego spodziewać po kwatermistrzu Usse.

– Co masz na myśli? – spytał Shalle, gładząc lekko palcami dłoń kapitana.

– Kwatermistrz był surowym człowiekiem – odparł kapitan.

Shalle roześmiał się cicho.

– Nie dla mnie, kapitanie.

– Był więc dwulicowy – odparł Tephe.

– Nie – odparł Shalle, tonem, w którym pobrzmiwała zarówno cierpliwość, jak i lekka kpina. – Miał tylko jedno oblicze. Ale różnie się zachowujemy wobec różnych ludzi, prawda?

Wiem, że nie zachowujesz się tak samo wobec mnie i ludzi z twojej załogi. Co wcale nie oznacza, że jesteś dwulicowy.

– Ty jesteś za to taki sam – mruknął Tephe. – Dla wszystkich.

Tym stwierdzeniem kapitan zasłużył na krótki, lecz niespieszny pocałunek w policzek.

– Cieszę się, że tak uważasz. Bardzo się starałem, żeby tak to wyglądało – odparł Shalle i wyjął figurkę z dłoni kapitana. – Usse powiedział, że sklepikarz, od którego ją kupił, twierdził, że zdaniem starożytnych gołębie pełniły rolę przewodników dusz po śmierci.

– I co pomyślałeś, słysząc to? – spytał Tephe.

– Ogarnął mnie smutek – odparł Shalle, patrząc na figurkę. – Zwłaszcza po tak paskudnej śmierci Brana. Przyszedł mi do głowy gołąb, który siedziałby tu i czekał, i patrzył, jak odchodzi – Shalle zadrżał i odstawił figurkę. – Wolę współczesną symbolikę związaną z gołębiami. Nie są przewodnikami dla dusz zmarłych, ale pocieszycielami dusz żywych.

– Ich dusz? – spytał Tephe; tym razem on przybrał nieco kpiący ton. Shalle wyszczerzył się w uśmiechu i pchnął kapitana na łóżko, a kapitan pozwolił się popchnąć.

– Tak, mój kapitanie, ich dusz – powiedział Shalle, napierając na kapitana. – Jak się miewa twoja dusza w tej chwili?

Tephe wyciągnął ręce i obdarzył Shallea długim i chętnym pocałunkiem.

– Muszę przyznać, że lepiej niż przedtem – rzekł, gdy oderwał usta od ust Shallea.

Shalle wyciągnął się niespiesznie, z zamkniętymi oczami i uśmiechem na półotwartych ustach, po czym odsunął się.

– Ale nie tak dobrze, jak powinna.

– Łatwo to wywnioskować z pocałunku – odparł Tephe.

– Wystarczy na ciebie spojrzeć – rzekł Shalle.

Tephe uśmiechnął się.

– Przecież wiesz, dlaczego tu przyszedłem – rzekł. – Twoje gołębie opiekują się załogą.

– Tak – odparł Shalle.

– A ty oficerami – zauważył Tephe.

Shalle uśmiechnął się.

– Sądzę, że doskonale wiesz, na czym polega nasza praca i kto pozostaje pod moją opieką, mój kapitanie. Widuję wszystkich oficerów, i zobaczyłbym kapłana Andso, gdyby kiedykolwiek przekroczył próg Gołębnika, ale prędzej włożyłby rękę w ogień, niż to zrobił.

– Jak tam z ich wiarą? – spytał Tephe.

Shalle przez chwilę patrzył na kapitana, jakby nie zrozumiał, po czym zmienił wyraz twarzy.

– Sprytnie, że zadajesz to pytanie.

– Nie zamierzałem wykazywać się sprytem – odparł Tephe.

– Nie zamierzałeś – przytaknął Shalle. – Wiem, czemu pytasz. Atak pod Ament Cour. Liczba bitew, w których „Sprawiedliwy” brał udział podczas tej misji. Atak boga na akolitę.

Plotki o buntach innych bogów.

Tephe zrobił zaskoczoną minę.

– Pogłoski już tu dotarły? – spytał.

– Nie jako plotki – odparł Shalle. – Kapłan Andso nie był zbyt subtelny w kwestii użycia porucznika Ysty. W tej chwili już wszyscy na pokładzie „Sprawiedliwego” o tym wiedzą.

– Głupiec – mruknął Tephe.

– To bluźnierstwo – odparł Shalle lekkim tonem.

– Nie powiedziałem „głupi kapłan” – zaproponował Tephe. – Powiedziałem „głupiec”.

– To jest właśnie spryt, którego się wypierasz – rzekł Shalle.

– Neal, komandor Forn, mówi, że z powodu niedawnych wydarzeń wiara załogi zaczyna słabnąć – rzekł Tephe, wracając do tematu. – Zauważasz coś takiego? Lub inne gołębie?

– Nie przyglądaliśmy się ludziom pod tym kątem – przyznał Shalle. – Załoga przychodzi tu, żeby dać upust żądzy i zaznać radości, ale wiesz, że robimy nie tylko to. Pocieszamy także na inne sposoby. Rozmawiamy, wysłuchujemy i pozwalamy im być kimś, kim nie mogą być podczas wachty ani wśród innych członków załogi.

– I co? – spytał Tephe.

– Skoro zwróciłeś moją uwagę na to zjawisko, przyznam, że tak, wielu z tych, którzy tu przychodzą, szuka czegoś więcej niż tylko zaspokojenia żądzy – rzekł Shalle. – Po to, rzecz jasna też przychodzą. Ale pragną porozmawiać. Chcą, żeby ich ktoś przytulił albo dotknął, bez mieszania w to pożądaniami. – Machnął ręką w kierunku figurki. – Dają nam różne drobiazgi i świecidełka.

– Niepokoją się – podsunął Tephe.

– To chyba coś więcej niż niepokój – wyjaśnił Shalle. – Eanie, to nasz trzeci wspólny rejs, na pokładzie tego okrętu albo na pokładzie „Świętego”, a obaj odbywaliśmy wcześniej inne rejsy. Nie masz wrażenia, że wszystko jest inne?

– Doznaliśmy porażek, jakie dotąd nam się nie przydarzały. Nic dziwnego, że załoga zaczyna mieć wątpliwości.

– Nie wiem – odparł Shalle. – Załoga może mieć wątpliwości, bo próbuje radzić sobie z porażką. Lecz może także być i tak, że zostaliśmy pokonani, gdyż mieliśmy wątpliwości.

– Nie jestem tego pewien – odparł Tephe.

– Ja też nie. Ale mam wrażenie, że dzieje się tu coś głębszego, Eanie. Pojawiło się już na początku misji, ale nadal nie potrafię tego nazwać słowami. Dopiero ty mi uświadomiłeś, że coś się dzieje.

– I przypuszczasz, że może się to wiązać z wiarą załogi?

– To niewykluczone – odparł Shalle. – Ludzie wiedzą to, co wiedzą. Czują, co czują. W swych duszach, w miejscach, gdzie kroczy przez nie Nasz Pan, czują to, co czuje Nasz Pan. Teraz inni bogowie rzucają Naszemu Panu wyzwanie, jakiego nie doświadczył przez wieki. Jeśli w głębi duszy czujemy to, co czuje Nasz Pan, może wszyscy czujemy coś nowego.

– Co takiego? – spytał Tephe.

– Strach – odparł Shalle.

– To bluźnierstwo – rzekł Tephe po dłuższej chwili.

Shalle uśmiechnął się.

– Gołąb żyje, by koić wiernych, a przynajmniej tak głoszą komentarze. Jeśli wypowiedzenie tych słów przyniosło ci ukojenie, niech Nasz Pan mi wybaczy.

– Wśród wielu rzeczy, jakie przyniosły mi te słowa, nie było ukojenia – odparł Tephe.

Shalle wstał z krzesła i rozwiązał pasek szaty, ukazując gładką skórę. Pochylił się w stronę kapitana.

– Nie wierzę – rzekł. – Ty jesteś kapitanem. I jesteś sobą. Kiedy dzieje się coś, co ma wpływ na twoją załogę, nie spocznieś, dopóki się nie dowiesz, co to jest. Dopóki nie zrozumiesz. A więc spróbuję wsączyć w ciebie nieco zrozumienia. Jeśli słowa cię nie ukoją, może wiedza tego dokona. A to mi wystarczy.

Shalle unosił się teraz nad Tephem, z rozchełstaną szatą, pochylony. Cienki srebrny łańcuszek z żelaznym talentem zwisał między małymi, doskonałymi sutkami. Tephe poczuł ochotę, by wziąć jeden z nich do ust i tak też uczynił. Shalle mruknął i objął głowę kapitana, by przycisnąć ją do piersi; poczuł ucisk jego zębów.

Tephe tęsknił za Shallem odkąd poznali się na pokładzie „Świętego”, gdzie służył jako pierwszy oficer. Najpierw urzekły go słowa, wypowiedane ciepłym i cichym głosem Shallea, który odrzucały ostrożny dystans i protokół Wysokiej Mowy, jaką preferowało Biskupstwo Wojskowe, żargon, który młody Tephe z takim wysiłkiem próbował opanować, i jakoś nie potrafił się przestawić. Z ust Shallea do ucha Tephe a pędziły słowa, nieformalne i zachęcające. Inne cechy Shallea wkrótce stały się wyraźnie widoczne; nie, nie cechy fizyczne – do oficerów przypisano innego gołębia – lecz troska, inteligencja i praktyczna znajomość okrętu i jego załogi. Kiedy Tephe otrzymał propozycję dowodzenia „Sprawiedliwym”, zażądał, by Shalle poprowadził gołębnik.

I przydzielił Shallea do obsługi oficerów.

Shalle rozebrał Tephe’a ze skutecznością typową dla gołębia, usiadł na nim okrakiem, ujął w dłoń jego członek i zaczął go pieścić. Talent gołębia znów zawisł tuż przed twarzą kapitana. Ujął go.

– Nadal nie wiem, jaki jest twój talent – powiedział.

– Chyba wiesz – odparł Shalle i szybkim ruchem nasunął Tephe’a w miejsce, w którym obaj pragnęli się znaleźć. Tephe otoczył Shalle’a ramionami w pasie i trwał tak, aż gołąb roześmiał się głośno i zarzucił mu ręce na szyję, by nie pozwolić mu się wymknąć. Tephe obrócił się i pociągnął Shallea za sobą, równocześnie nie przestając pchać.

– To wydaje mi się znajome – powiedział Shalle.

– Dość – rzekł Tephe i pchnął znów, mocno. Ręce Shallea przesunęły się z szyi na biodra, jakby chciały zmusić go, by zrobił to jeszcze raz. Tak też zrobił. Shalle jęknął z rozkoszy.

Gdy skończyli, figurka gołębia przyciągnęła uwagę Tephe a. Znow wziął ją do ręki.

– Nie jest aż tak ciekawa – rzekł Shalle, okrywając sobie pierś.

– Sama w sobie nie – przytaknął Tephe. – Ale z powodu osoby ofiarodawcy. Nadal nie mogę wyobrazić sobie kwatermistrza oferującego ci taką błyskotkę.

– Myślałem, że to było bardzo miłe z jego strony – mruknął Shalle. – Był dla mnie bardzo dobry.

– I przejąłeś od niego całą tę dobroć.

– Nie – zaoponował Shalle. – Mówił z wielką dobrocią o swoich dzieciach. I o żonie, choć od niego odeszła. Mówił, że zawsze się tego spodziewał i nie ma do niej pretensji. Trudno być żoną kogoś, kto nigdy nie opuszcza okrętu.

– Nigdy go nie opuścił – rzekł Tephe. – Aż do końca. Dopiero w całunie.

– Wolałbym o tym nie rozmawiać – rzekł Shalle. – Wolę go zapamiętać takim, jakim był.

– Jakim był, kiedy był z tobą.

– Jakim był w ogóle – odparł Shalle stanowczo. – Nie umniejszaj tej części jego osobowości tylko dlatego, że jej nie znałeś. Nikt z nas nie jest w całości tym samym, kim jest dla innej osoby.

– Co ty przede mną ukrywasz? – spytał Tephe.

Shalle uśmiechnął się i lekko klepnął go w pierś.

– To nie twoja sprawa.

– Jasne – zaśmiał się Tephe. Ktoś delikatnie zapukał do drzwi. Shalle mruknął coś, wstał, znalazł szatę i otworzył drzwi, zawiązując równocześnie pasek. Tephe usłyszał czyjś szept: to był chyba Lade.

Shalle spojrzał na Tephe'a.

– Lade mówi, że przy drzwiach gołębnika czeka gawrił.

Tephe zmarszczył brwi. Ysta spał jak zabity, kiedy Forn sprawdzał, w jakim jest stanie, i tak powinno być jeszcze przez wiele godzin. Kapitan ubrał się szybko i podszedł do drzwi gołębnika, przy których stał porucznik Ysta, jak niepokojący szary cień.

– Poruczniku? – zwrócił się do niego Tephe.

– Kapitanie Tephe – odezwał się Ysta głosem, który na pewno nie należał do niego. – Z mocy rozkazu Biskupstwa Wojskowego, „Sprawiedliwy” ma się udać do Biskupiej Przystani. Proszę się spieszyć. Oczekują was tam.

Ysta zakrzuszył się, zwymiotował i upadł na podłogę. Shalle wymknął się z gołębnika, by się nim zająć.

– Nic mu nie będzie – powiedział po chwili. – Jest tylko wyczerpany. Powinniśmy go zabrać do izby uzdrowiciela.

– Nie – zaprotestował Tephe. – Kiedy Andso się dowie, że lecimy do Biskupiej Przystani, będzie chciał go użyć ponownie, nawet jeśli położymy go w izbie uzdrowiciela – skinął głową w kierunku gołębnika. – Zanieście go do gołębnika. Noga Andso tam nie postanie. Ysta

będzie spał tak długo, jak długo będzie musiał. Kiedy się obudzi, przyslijcie go do mnie – wypowiedziawszy te słowa, Tephe udał się na mostek, by wstrzymać przygotowania do lotu na Triskelion i zarządzić powrót do Biskupiej Przystani. Powrót do domu.

Rozdział czwarty

Kapitan skinął na strażników.

– Otwórzcie bramę.

Strażnicy wydali odpowiedni rozkaz i ciężkie bramy cytadeli lądowiska otworzyły się ze skrzypieniem, ujawniając ukryte za nimi miasto i długą na milę arterię łączącą cytadelę z bożą twierdzą na drugim końcu. Między nimi znajdowała się strefa czynszówek; mieszkańcy wyglądali z okien i stali na rogach ulic. Czekali.

Czekali, aż przemaszeruje z bogiem.

Neal Forn podszedł do Tephe'a niosąc dwa worki i wręczył jeden kapitanowi.

– Twoje miedziaki, kapitanie – Tephe skinął głową i wziął worek. W środku były monety, które w trakcie marszu miał ciskać tłumom gromadzącym się na ulicach. Zgromadzeni sięgali jedną ręką po monety, a drugą ciskali w przechodzącego boga śmieciami i zgniłym jedzeniem, cały czas krzycząc.

– Pamiętam, jak byłem po tej drugiej stronie – rzekł Forn i wskazał gestem na zachód. – Kiedy byłem dzieckiem, mieszkałem sześć przecznic stąd. Gdy otwierały się bramy, od razu przybiegaliśmy, bez względu na to, gdzie byliśmy i co robiliśmy. Kapitanowie i oficerowie ciskali w tłum monety, a my się o nie biliśmy; potem zbieraliśmy wszystko, co mieliśmy i kupowaliśmy chleb. Jak byliśmy starsi, to raczej jakiegoś drinka.

– Wspominasz to z rozrzewnieniem – zdziwił się kapitan.

Forn prychnął.

– Nie, kapitanie, nie z rozrzewnieniem. Złapany miedziak często decydował o tym, czy tego dnia jadłem świeży, ciepły chleb, czy to, co wyskrobałem z beczki, żeby rzucić w boga – wskazał głową czynszówki. – To nie jest właściwe miejsce do spędzenia dzieciństwa, kapitanie. Nie przypuszczam, żeby choć połowa z tych, z którymi wzrastałem, dożyła wieku dojrzałego, a większość, którym się to udało, nigdy nie opuściła tego miejsca. Nie mam wątpliwości co do tego, że dziś zobaczę na ulicach moich towarzyszy z dzieciństwa, jak będą rzucać pobożne okrzyki i walczyć o miedziaki.

– W takim razie rzuć im monetę – odparł Tephe. – Będą cię wychwalać, pijąc dziś wieczorem.

Forn potrząsnął głową i spojrzał na ulicę.

– Rzucam dzieciom – wyjaśnił. – Im te pieniądze są bardziej potrzebne. A niektórzy z

nich mogą jeszcze się stąd wydostać. Tak jak ja – pierwszy oficer posłał kapitanowi lekki, gorzki uśmieszek i odsunął się nieco od niego.

Tephe pozwolił mu trzymać się na dystans i spojrzął na boga, zamkniętego w ozdobnej klatce na kółkach, która miała żelazne kraty na tyle grube, by bóg nie mógł się z niej wydostać, ale na tyle szeroko rozmieszczone, by śmieci mogły przez nie przelatywać. Klatkę otaczało kilkunastu strażników bożej twierdzy, odzianych w liberie barwy czerwonej, złotej i czarnej, trzymających piki z żelaza z drugiego przerobu. Piki miały charakter ceremonialny, ale były zaostrome i wyważone tak, by można było nimi atakować i karcić. Bogowie próbowali czasem ucieczki podczas krótkiego przejazdu z lądowiska do bożej twierdzy; zdarzało się też, że niedobitki ich wyznawców próbowali uwolnić swoich panów.

Dokąd bogowie lub ich wyznawcy udawali się stąd, było już całkowicie inną kwestią. Wewnętrzne miasto Biskupiej Przystani zostało zamknięte przez Samego Pana; otaczał je mozaikowy pierścień z żelaza z pierwszego przerobu. Żaden zniewolony bóg, osłabiony i pozbawiony właściwej mu mocy, nie byłby w stanie się przedrzeć. Wyznawcy Pana również nie zbliżali się do pierścienia, choć z zupełnie innego powodu. Chociaż nawet najmniejsza bryłka z żelaza z pierwszego przerobu przynosiła bogactwo, jakiego nie zarobiło się przez rok, kradzież żelaza z Pierścienia Zamykającego była karana pożarciem duszy. Śmiercią po śmierci.

Tephe zadrżał na samą myśl i uniósł wzrok na klatkę, z której bóg patrzył prosto na niego.

Kapłan Andso wsunął się między Tephe'a a boga.

– Kapitanie, jesteśmy gotowi – kapłan był odziany w zielono-złote szaty i dzierżył w prawej dłoni długą kapłańską laskę. Tephe wiedział, że kapłan będzie maszerował w takiej odległości od klatki z bogiem, by sugerować, że osobiście go w tej klatce umieścił i panuje nad nim, a zarazem wystarczająco daleko, by nie narażać się na kontakt z rzucanymi w boga śmieciami. – Jesteśmy gotowi – powtórzył kapłan. – Co za piękny dzień na paradę!

Tephe rzucił spojrzenie Fornowi, który dyskretnie przewrócił oczami. Obaj odwrócili się w kierunku ulicy, na którą już wlewały się tłumy, wnoszące okrzyki i przygotowujące odpadki, by ciskać nimi w przejeżdżającego boga. Strażnicy przy bramie skinęli kapitanowi i brama otworzyła się na całą szerokość.

Tephe zaczerpnął głęboko powietrza, wsunął dłoń do torby z miedziami i ruszył ulicą w stronę bożej twierdzy.

– Dobrze się czujecie, kapitanie Tephe? – spytał major biskup Chawk. Chawk i dwóch innych biskupów siedziało przy długim rzeźbionym stole z ciemnego drzewa mydleńca. Przed każdym z nich piętrzyły się stosy dokumentów. Tephe stał przed biurkiem, w pokoju spotkań zajmującym ogromną powierzchnię Biskupstwa, które samo było nieomal tak duże jak miasto, które je otaczało. – Wyglądacie na nieco strapionego – rzekł biskup.

– Wybaczcie, eminencjo. Przypomniała mi się parada po naszym przybyciu.

– Ach, tak – odparł Chawk. – Dobrze się bawiliście, kapitanie?

– To zawsze zaszczyt, by móc ukazać wiernym potęgę Naszego Pana, przed którym korzą się nawet bogowie – odparł Tephe.

Chawk zachichotał.

– Co za dyplomatyczna odpowiedź, kapitanie. Ale tu nie musicie zgrywać dyplomaty.

– Tak, eminencjo – odparł Tephe, wolał zachować dla siebie swe prawdziwe zdanie w tej kwestii.

– Zapoznaliśmy się z waszym raportem dotyczącym okoliczności związanych z porażką pod Ament Cour – powiedział inny z biskupów; Tephe rozpoznał w nim Stei Ero, pełniącego w Biskupstwie funkcję wikariusza archiwów, zajmującego się gromadzeniem informacji wywiadowczych. – Oraz waszym późniejszym dopiskiem na temat incydentu z bogiem. Zapewne nie zaskoczy was informacja, że zebraliśmy dodatkowe relacje na temat obu tych incydentów, zarówno od kapłana okrętu, jak i innych źródeł.

– Macie szpiega na pokładzie „Sprawiedliwego”.

– To was obraża, kapitanie? – spytał Ero.

– Nie, eminencjo – zaprzeczył Tephe. – Nie ukrywam niczego przed Biskupstwem Wojskowym czy Biskupstwem w ogóle. Wasz szpieg nie powie wam niczego, czego sam bym wam nie powiedział. Zatem jego obecność na okręcie ani trochę mi nie przeszkadza.

– Jesteście istotnie uczciwym kapitanem – mruknął Ero, klepiąc dłonią po stercie dokumentów. – Choć może nie zawsze mądrym. Po kapitanie okrętu z tej linii spodziewaliśmy się czegoś lepszego niż wasze wycofanie się pod Ament Cour. Co macie na ten temat do powiedzenia, kapitanie Tephe?

Tephe stał nieruchomo.

– Mam do powiedzenia tyle, że zaatakowały nas z bliska trzy okręty o sile ognia równej sile „Sprawiedliwego”, a mieliśmy na pokładzie boga, który dopiero co przeniósł nas w pobliże Ament Cour i jeszcze nie odzyskał sił na tyle, by odpierać ataki lub wspomóc nas w ucieczce – wyjaśnił. – Z łaski Pana Naszego udało nam się zniszczyć jeden z tych okrętów i uszkodzić drugi, a cały czas próbowaliśmy odciągnąć jednostki wroga od planety, by dać wiernym czas na zebranie sił do obrony przed atakiem i wezwanie kolejnych okrętów na pomoc. Opuściliśmy orbitę Ament Cour dopiero wtedy, gdy uszkodzenia „Sprawiedliwego” były tak poważne, że nie przetrwałby kolejnego ataku, a do tego czasu nasz bóg odzyskał siły jedynie na przeniesienie nas w pobliże najbardziej zewnętrznej planety układu Ament Cour. Ukryliśmy się wśród pierścieni tej planety, w ciemnościach i chłodzie, aż okręt i bóg byli znów w takim stanie, że mogli podróżować.

– Przedstawiasz nam racjonalizację swej porażki – mruknął Ero.

– Przedstawiam wam uzasadnienie, eminencjo – odparł Tephe. – Bronię mych wyborów i poniosę konsekwencje waszego osądu. W ramach mych uprawnień pod Ament Cour podjąłem najlepsze decyzje dla mego okrętu i załogi. Być może inny kapitan zrobiłby *co*

innego i lepiej sobie poradził. Ja dokonałem takich wyborów.

– Dobrze powiedziane – odparł Chawk. – I ogólnie rzecz biorąc dobrze zrobione. Obroniłeś okręt i wiernych najlepiej, jak umiałeś, i lepiej, niż inni, którzy znaleźliby się w twojej sytuacji. Ale to gorzkie pocieszenie. Zanim dotarło tam więcej naszych jednostek, ten, którego „Sprawiedliwy” nie był w stanie pokonać, zniszczył trzy miasta na Ament Cour. Straciliśmy setki tysięcy dusz.

– Wróg nie wysłał oddziałów naziemnych? – spytał Tephe. – Ani nie zaatakował miast?

– Nie to było ich celem – odparł Chawk.

– W takim razie co? – spytał Tephe.

– Ludobójstwo!

To słowo wyprysło z ust trzeciego biskupa, którego Tephe nie poznał. Rozpoznał jednak na twarzach Chawka i Ero lęk, który pojawił się tam, gdy trzeci z biskupów przemówił. Bez względu na to, kim był, przewyższał ich rangą, i to znacznie.

– Tak, ludobójstwo – mówił dalej trzeci biskup. – Systematyczna eksterminacja wiernych. Nie chcieli sobie ułatwić rabowania ani wymieniać zakładników na okap, nie chcieli plądrować i gwałcić, lecz zniszczyć Naszego Pana, niszcząc to, co daje mu siłę! Wiernych!

Tephe spojrział w kierunku Chawka, który z całego tego zgromadzenia sprawiał wrażenie, jakby mu współczuł.

– Co daje siłę Naszemu Panu, Wielki Biskupie? – spytał.

– Wiara daje Mu siłę, kapitanie – rzekł z przyganą Chawk. – Musiałeś o tym czytać w komentarzach.

– „Albowiem żywią mnie wierni, i czerpię z ich świętowania” – zacytował Tephe. – Znam dobrze komentarze, Wielki Biskupie.

– W takim razie może w pełni ich nie pojmujesz – rzekł Chawk. – Kiedy Nasz Pan mówi o żywieniu się dzięki wiernym, to wcale nie jest metafora. Nasza wiara daje Mu siłę i umacnia Go, i daje Mu moc rozciągania łaski na nas, i pokonywania i brania w niewolę Jego wrogów, co z kolei pozwala nam podróżować wśród gwiazd i znajdować przestrzeń, jaka jest nam potrzebna, by rozmnażać się, a On będzie rósł w siłę jeszcze bardziej, i jeszcze mocniej nas chronił.

– A zabijanie Jego wiernych jest jak bezpośrednie zadawanie Mu ran – rzekł Tephe.

– Tak – odparł Chawk.

– Tego nie ma w komentarzach – zauważył Tephe.

– Nasz Pan nie jest głupcem – oznajmił Ero. – Nie ujawnia, jak można Go zranić.

– Ale ci, którzy nie dostąpili łaski Naszego Pana, nie stosowali dotąd ludobójstwa w ramach swojej taktyki przeciwko Niemu czy wiernym – zauważył Tephe. – Tego nie ma też w komentarzach ani historii wojen.

Biskupi milczeli, a Chawk i Ero spoglądali w kierunku trzeciego biskupa. Ten z kolei

wpatrywał się w Tephego.

– Ukorz się – zwrócił się do kapitana. Tephe upadł na podłogę, nie zadając pytań.

– Nakładam na ciebie obowiązek milczenia – oznajmił trzeci z biskupów. – Co zostanie ci powiedziane, nie może zostać powtórzone, a obowiązek ten spoczywa na twojej duszy – Tephe zadrżał na podłodze; wiedział, że biskup ostrzega go przed pożarciem duszy. – Nakładam na ciebie obowiązek milczenia, i nakazuję ci po raz trzeci. Możesz powstać.

Tephe wstał z podłogi.

– Nie słyszałeś o żadnych praktykach ludobójczych, bo nie używano ich od tysięcy lat – oświadczył biskup Ero. – Z komentarzy wiesz, że w przedczasy tysiące bogów walczyło o dusze wiernych i Nasz Pan wygrał. Ale nie powiedziano tam niczego o taktyce, jakiej ci bogowie używali, by Go osłabić.

– W takim razie niektórzy stosowali ludobójcze praktyki – zauważył Tephe.

– Wszyscy, mój dobry kapitanie – odparł Ero. – Każdy z nich. A mimo to Nasz Pan zwyciężył, a przy tym wziął w niewolę tysiące bogów, którzy rzucali mu wyzwania, i osłabił innych tak znacząco, że nikt nie kwestionuje Jego dominacji. Ci bogowie istnieją teraz na marginesie Jego imperium i mają tak mało wiernych, że mogą się pożywić jedynie resztkami z Jego uczy. Plądrując i biorąc zakładników, o czym już rozmawialiśmy.

Tephe skinął głową. Jego wcześniejsze misje miały głównie charakter obronny; uczestniczył w niewielkich bitwach i potyczkach, których cel był dwójaki: chronić atakowanych wiernych i pojąć, a nie zabijać, bogów służących za napęd okrętów wroga, by zniewolić ich i użyć do zwiększenia liczby Jego jednostek.

– Kapitanie, to, co stało się na Ament Cour nie było pierwszą taką sytuacją – rzekł Ero.

Tephe spojrzał przerażony na biskupa.

– Były inne przypadki ludobójstwa?

– Ament Cour było trzecią planetą tylko w zeszłym miesiącu – wyjaśnił Chawk. – Ofiarami ataku padły także Smar i Breese. Ich miasta i ich wiernych niszczone płomieniem i ogniem. Miliony wiernych opuściła łaska Naszego Pana. Tak samo byłoby na Ament Cour, gdyby nie to, czego dokonałeś.

– Ale i tak wielu zginęło – zauważył Tephe.

– Tak – przytaknął Chawk. – Ale ocalało wielu, którzy w innej sytuacji by nie przeżyli.

– Nigdy dotąd nie słyszałem o tych potwornościach – wyznał Tephe.

– Nie jesteś jedynym wiernym, któremu nakazano milczenie – rzekł trzeci biskup.

– Na Smarze i na Breese był tylko jeden gawrił, który mógł nadawać poza swoją planetę, i tak jest wszędzie – wyjaśnił Ero. – Ich wszystkie wiadomości i tak przechodzą przez nas. Nietrudno utrzymać coś w tajemnicy, jeśli chcemy, by tak było. A chcieliśmy.

– W tej chwili nie chcemy trapić wiernych tą kwestią – rzekł Chawk. – Wolimy, by byli przekonani, że pomniejsi bogowie i ich wyznawcy ograniczają się nadal do plądrowania i brania zakładników.

– Z całym szacunkiem, wasze eminencje, czegoś takiego nie da się długo utrzymać w tajemnicy – zauważył Tephe. – Pomniejsi bogowie przerzucili się z niewielkich wypraw na regularne mordowanie wiernych. To nie jest zmiana taktyki, której celem jest przetrwanie. To zmiana zamiarów leżących u podstaw ich działań. Coś się zmieniło, że wyszli z ukrycia i zaczęli tak brutalne i mordercze napaści.

– Jesteście bystrzy, kapitanie – odezwał się po chwili Ero.

– Nie jestem bystry, eminencjo – odparł Tephe. – Potrafię odczytać mapę, jeśli zostanie przede mną rozpostarta.

– Jest jakiś nowy bóg – rzekł Chawk. – Nie wiemy, skąd przyszedł. Pojawił się na skraju dziedziny Naszego Pana. Jego potęga jest znaczna. Przypuszczamy, że to jego obecność prowokuje pomniejszych bogów do takiego zachowania.

– Sprzymierzają się z nim – podsunął Tephe.

– Bogowie nie zawierają przymierzy – mruknął trzeci biskup.

Tephe skłonił się głęboko.

– Z całym szacunkiem, wasza eminencjo, jeśli to, co tu usłyszałem, jest prawdą, to bogowie zachowują się w sposób sugerujący koordynację i wspólną strategię. To naprawdę przywodzi na myśl sojusz.

– Nie ma żadnego sojuszu – oświadczył trzeci z biskupów, pochylając się w fotelu. – On wiedziałby, gdyby coś takiego istniało. Mówi, że niczego takiego nie ma. Mówi, że bogowie nienawidzą się nawzajem tak, jak dotąd.

Tephe poczuł ukłucie chłodu w sercu, gdy uświadomił sobie, kim musi być trzeci z biskupów.

– Tak, wasza eminencjo – odparł. Trzeci biskup rozsiadł się wygodnie w fotelu.

– Bez względu na to, jaka jest przyczyna tych działań, Nasz Pan jest ostatnio bardzo słaby – rzekł Chawk, przejmując inicjatywę. – Jego supremacja nad Jego dziedziną nie jest zagrożona, ale niemądrze byłoby ignorować zagrożenie, które może się czaić u Jego progu.

– Uczynię wszystko, czego się ode mnie zażąda, by pomóc Memu Panu – oznajmił Tephe. – Choćby kosztowało mnie to życie.

Chawk uśmiechnął się.

– Mamy nadzieję, że do tego nie dojdzie – biskup wyjął spośród dokumentów obraz planety i dał kapitanowi znak, że ma go wziąć. Była to planeta, której współrzędne były mu nieznane.

– To wasz cel, kapitanie – oznajmił Ero.

Tephe szybko spojrział na obraz.

– Ona nie ma nazwy.

– Nazwy są nośnikiem mocy – rzekł Chawk. – Nazwy przyciągają uwagę. Postanowiliśmy, że nie będziemy ściągać na to miejsce niczyjej uwagi.

– Tak, wasza eminencjo – odparł Tephe. – Co mam tam znaleźć?

– Wiare – odparł trzeci z biskupów.

Rozdział piąty

– Nie rozumiem – rzekł Tephe.

– Kapitanie, przypomnijcie mi, do czego komentarze porównują naszą wiare – rzekł biskup Chawk.

– „Nasza wiara jest jak żelazo” – zacytował Tephe. Był to jeden z pierwszych zwrotów, których dzieci uczyły się w szkole.

– Jak to często ma miejsce w przypadku komentarzy, to porównanie nie jest ani płytkie, ani metaforyczne – wyjaśnił Chawk. – Jest bezpośrednio i precyzyjne. Jakość wiary zwiększa jej moc i jej zgodność do dostarczania pokarmu Naszemu Panu. Na przykład wasza wiara, kapitanie. Jest najsłabsza ze wszystkich.

Tephe wyprostował się odruchowo.

– Nie mam wątpliwości co do mojej wiary, Wielki Biskupie – odparł.

Chawk machnął lekceważąco ręką.

– Nie mówię o głębokości czy szczerości waszej wiary, dobry kapitanie Tephe – rzekł biskup. – Nie poddaję w wątpliwość żadnej z nich. Ale wasza wiara jest wiarą waszych ojców, i ojców waszych ojców, i ojców ojców waszych ojców, niewątpliwie sięgając przedczasów, kiedy ludzie wybierali bogów, którym chcieli służyć. Czyż nie tak?

– Moja rodzina miała zaszczyt należeć do Pierwszych Powołanych – odparł Tephe. – Mój przodek, Ordor Tephe, wybrał służbę Naszemu Panu i poniósł za Niego męczeńską śmierć.

– Rodowód wiernych, nie ulega wątpliwości – rzekł Chawk i Tephe odniósł wrażenie, że wyczuwa w tonie biskupa cień lekceważenia wobec męczeństwa przodka, i zabolalo go to. – To sprawia, że jesteście dumni ze swego pochodzenia, lecz także umniejsza jakość waszej własnej wiary. Na waszą wiare pracowali wasi ojcowie przed wami, kapitanie. Nosicie ją, jakbyście nosili rodzinny płaszcz, przekazywany z pokolenia na pokolenie.

– Moja wiara jest moją własną, wasza eminencjo – odparł Tephe. – Choć stworzyli ją moi ojcowie, ja ją odnowilem.

– W rzeczy samej! – krzyknął Chawk i klasnął dla podkreślenia swych słów. – Jest odnowiona. Przetworzona. Jak żelazo zostaje przetworzone w kuźni.

Tephe wreszcie zrozumiał.

– Moja wiara jest jak żelazo z trzeciego przerobu – powiedział.

– Nie tylko wasza wiara, kapitanie – rzekł biskup Ero. – Ale wiara prawie wszystkich wiernych Naszego Pana. Zapewnia to całość jego dziedziny. Wiara z trzeciego przerobu to wiara, którą przyjmuje się jak coś naturalnego od chwili narodzin.

– Skoro istnieje wiara z trzeciego przerobu, musi też istnieć taka z drugiego – podsunął Tephe.

– Wiara przejęta – wyjaśnił Ero. – Od innych bogów, kiedy Nasz Pan ich pokonuje, a ich wyznawcy stają się nowymi wiernymi Naszego Pana.

– Dlaczego ona jest potężniejsza? – spytał Tephe.

– Nie powinieneś o to pytać – rzekł trzeci z biskupów zgrzytliwym tonem. – Powinieneś tylko przyjąć to do wiadomości. Choć nawet to jest niebezpieczne.

Tephe pochylił głowę.

– Kwestie teologiczne związane z jakością twojej wiary nie mają znaczenia dla twojej misji – rzekł Chawk, tym razem nieco łagodniej. – Musisz wiedzieć tylko to, że dla celów związanych z dawaniem siły Naszemu Panu wiara z trzeciego przerobu to światło księżyca, a wiara z drugiego przerobu – światło słońca. – Tephe skinął głową. – Gdy dziedzina Naszego Pana rozrosła się z powodu wzrostu liczby wiernych, zmniejszyła się liczba tych, których wiara jest wiarą z drugiego przerobu. Ci, którzy pozostali, nie są użyteczni w walce Naszego Pana z nowym bogiem.

Tephe znów spojrzął na obraz, który wręczył mu Chawk.

– W takim razie nie rozumiem, po co wysyłacie w to miejsce „Sprawiedliwego” – rzekł. – Skoro wiara, którą tam znajdę, nie da siły Naszemu Panu.

– Wiara, jaką tam znajdziecie, kapitanie, nie jest z drugiego przerobu – rzekł Ero. – Ani z trzeciego.

– Wiara z pierwszego przerobu? – Tephe uniósł wzrok.

– Wiara z miejsca, gdzie dotąd nie istniała żadna – wyrecytował trzeci biskup. – Czysta i nowa wiara.

– Wiara, która przyćmiewa wiarę z drugiego przerobu, jak wiara z drugiego przerobu przyćmiewa tę z trzeciego – rzekł Chawk.

– Jak to możliwe? – spytał Tephe. – Taka wiara nie mogłaby istnieć od przedczasów. Komentarze mówią nam, że wtedy wszyscy ludzie wybierali swych bogów i walczyli za nich. Wszyscy ludzie, wasza eminencjo.

– To są publiczne komentarze, kapitanie – wyjaśnił Ero. – Przekazuje się je wiernym, by podsycali swą wiarę. Są też komentarze duchowne, przeznaczone dla kapłanów. I wreszcie są komentarze biskupie, znane tylko niewielu, gdyż tylko niewielu musi je znać. Aż do teraz znałeś tylko komentarze publiczne.

– Z komentarzy biskupich – wtrącił Chawk – dowiadujemy się, że w przedczasach Nasz Pan odkrył, że istnieją ludzie, którzy w ogóle nie zdają sobie sprawy z istnienia bogów. Wiedząc, że kiedyś nadejdzie czas, kiedy będzie potrzebował mocy tej wiary z pierwszego przerobu, ukrył ich na tej planecie przed innymi bogami, by móc skorzystać z potęgi tej nowo powstałej wiary, gdy będzie jej potrzebował.

– Ale co to są za ludzie, eminencjo? – spytał Tephe. – Co z ich duszami? Tysiące lat bez

świadomości istnienia Naszego Pana.

Tephe dostrzegł szybkie spojrzenie Chawka w kierunku trzeciego biskupa, jakby ta ostatnia uwaga go rozgniewała. Trzeci biskup milczał.

– Nasz Pan przewidział dla tych dusz specjalny cel – odparł Chawk, płynnie lecz szybko.
– Tylko że, kapitanie, w twojej gestii pozostają nie kwestie teologiczne, lecz wyłącznie operacyjne.

– Zgodnie z waszą wolą, eminencjo – odparł Tephe.

– Nasz Pan musi zająć się atakami, jakie przypuszcza ten nowo przybyły bóg. Musi pozostać w swej dziedzinie i nie ujawniać się innym, zazdrosnym bogom tego świata, którzy obserwują Jego ruchy, aż do ostatniej chwili. A zatem żąda, byś udał się „Sprawiedliwym” na tę planetę. Znalazł największe osiedle i sprowadził tych ludzi do Naszego Pana. Muszą dobrowolnie przyjąć wiarę w Niego.

– Czy mam zabrać ze sobą kapłanów? – spytał Tephe.

– Nie ma na to czasu – odparł Ero.

Tephe odwrócił się w stronę Chawka, który uniósł dłoń.

– W innych czasach pewnie byśmy tak postąpili – rzekł. – Teraz jednak musimy uciekać się do szybszych i bardziej dyskretnych sposobów. Twój własny kapłan wystarczy do nawrócenia. Na pokład „Sprawiedliwego” wejdzie grupa Ludzi Biskupich, którzy będą pomagać ci w tym zadaniu.

Ludzie Biskupi byli to wojownicy akolici, ochroniarze panujących biskupów; niektórzy szeptali nawet, że to oni decydują o tym, kto będzie rządził biskupstwem.

– Niech się stanie wasza wola – rzekł Tephe. – Nadmieniam jednak, że wielu ludzi przedkłada śmierć nad nawrócenie. Mój własny przodek tak postąpił.

– To są ludzie, którzy nie są przywiązani do żadnego boga – rzekł Chawk. – Gdy pokażesz im moc Naszego Pana, uchwycą się jej.

Ero położył na stole małe pudełko i przesunął je w stronę Tephe’a.

– A kiedy tak się stanie, daj jednemu z nich to, i niech twój kapłan odprawi rytuały.

Tephe odłożył obraz, który trzymał w ręce, wziął pudełko i otworzył je. W środku leżał talent na cienkim jak włos łańcuszku. Symbol wydał mu się znany, ale Tephe w tej chwili nie był w stanie go rozpoznać.

– Czy mogę spytać, co to za talent?

– To talent wejścia – wyjaśnił Ero. – Przez niego Nasz Pan przyjdzie do ciebie i Swego nowego stada i weźmie od nich to, co wziąć powinien.

– Nieczęsto dajemy komuś ten talent i nie czynimy tego z lekkim sercem – rzekł Chawk.

– Wybieraj starannie nowych wiernych, którzy będą go nosić. Muszą prawdziwie i ze szczerego serca pragnąć przyjąć Naszego Pana.

– Być może kapłan Andso powinien ich wybierać – mruknął Tephe, spoglądając na talent.

– To będzie twoje zadanie – rzekł Chawk. – Twoje działania pod Ament Cour

przemawiają na korzyść twojego osądu i wierności. To wielkie zadanie dla Naszego Pana. Nie zostałeś wybrany lekkomyślnie, dobry kapitanie. I za swą służbę zostaniesz wynagrodzony.

– Wasza eminencjo? – spytał Tephe.

– Po powrocie zostaniesz wyniesiony – oznajmił Ero. – Opuścisz wojsko i zostaniesz Wielkim Biskupem. Będziesz z nami planował strategie, które pomogą Naszemu Panu pokonać tego nowego boga i położyć kres tej niedogodności. Przywrócimy porządek i na nowo podporządkujemy sobie bogów, których podburzył ten nowy.

Tephe przestał słuchać. Bycie wyniesionym będzie oznaczać wycofanie się już na zawsze na krążanki biskupstwa. Utratę dowodzenia i załogi. Utratę „Sprawiedliwego”.

Utratę Shallea.

Tephe zamknął pudełko z talentem, który otrzymał, i odłożył je na stół.

– To dla mnie zbyt wielki honor – rzekł. – Nie mogę prosić o wyniesienie mnie w nagrodę za wykonywanie obowiązków tak, jak powinienem je wykonywać.

– To, o co prosisz, nie ma tu znaczenia – rzekł trzeci biskup.

– Kapitanie Tephe, ujawniono ci już wiele informacji, których nie ujawnia się podobnym tobie – wtrącił Ero. – Tylko wyjątkowy charakter tej misji zmusił nas do pogwałcenia tych zasad. Zezwolono ci, byś posiadał tę wiedzę tylko dlatego, iż podjęto decyzję, że staniesz się jednym z nas.

– I powinieneś okazywać radość – rzekł Chawk. – Tak jak my. W tych czasach Wielcy Biskupi rzadko wywodzą się z kręgów zwykłych żołnierzy. Wniesiesz do naszych strategii świeżą, i jakże potrzebną perspektywę. Będzie się to wiązać dla nas z korzyścią równie cenną, jak dla ciebie wyniesienie.

Tephe zamknął oczy, pochylił głowę i modlił się, by biskupi patrzący na niego zobaczyli w tej czynności pokorę, a nie cierpienie. Po chwili uniósł głowę.

– „Wszystko, co czynimy, czynimy na chwałę Naszego Pana” – zacytował.

* * *

Dopiero leżąc na bruku, z dzwonieniem w uszach, Tephe zrozumiał, że to był wybuch bomby.

Szybko sprawdził, w jakim stanie jest jego ciało, i odkrył, że nie jest ranny. Przetoczył się z pleców na brzuch w samą porę, by dostrzec rzucającą się na niego kobietę z nożem w dłoni. Dzwonienie w uszach zagłuszyło jej krzyk. Tephe kopnął z całej siły i trafił ją podeszwą buta w kolano. Kolano wykręciło się w nienaturalny sposób i kobieta upadła, a nóż zbrzękiem wypadł jej z dłoni. Tephe stanął na nogi, a inna kobieta, widząc, jak ta pierwsza upada, zmieniła kierunek i skoczyła z wyciem w jego stronę.

Tephe odczekał, aż znajdzie się wystarczająco blisko, chwycił leżący na drodze worek z miedziakami, które otrzymał, by rzucać je podczas parady z okazji ich powrotu do cytadeli

lądowniska. Tephe zamachnął się i worek wyładował z hukiem na jej skroni, wytrącając ją z równowagi. Materiał rozdarł się i w powietrze i na ulicę posypał się deszcz monet. Kobieta zachwiała się i Tephe wykorzystał ten moment, by pchnąć ją na ziemię. Głowa kobiety w zetknięciu z brukiem wydała odgłos melona spadającego ze stołu. Przestała się poruszać. Tephe znalazł nóż, który upuściła pierwsza kobieta, podniósł go i stanął przygotowany, obserwując otoczenie.

W pobliżu dostrzegł Neala Forna, siedzącego na ulicy, trzymającego się za krwawiącą ranę na czole. Forn zauważył, że kapitan na niego patrzy i dał mu znak, że rana nie wygląda na poważną. Tephe zaczął się rozglądać po ulicy.

Bomba wybuchła w sporej odległości od kapitana, bliżej klatki, w której przewożono boga. Na ulicy leżał akolita i dwóch strażników bożej twierdzy, jeden rozdarty nieomal na pół. Bomba musiała być niewielka albo rzucił się na nią, by ochronić pozostałych. Obok tej krwawej jatki pozostali strażnicy walczyli z bandą ulicznych zbirów w łachmanach, broniących się nożami i jakimiś pospolitymi, tępymi narzędziami. Otaczali zamkniętego w klatce boga, który rozglądał się dookoła, jakby zaczynał popadać w panikę.

Czego on szuka? – zastanowił się Tephe.

Bóg wyszczerzył się w szaleńczym uśmiechu i szarpnął w kierunku lewej strony swego więzienia, po czym wysunął rękę między pręty klatki, jakby czegoś szukał po omacku.

Tephe spojrzał w kierunku, w którym patrzył bóg, na ulicę; z chaosu przechodniów uciekających z miejsca, gdzie wybuchła bomba, wynurzyła się zakapturzona postać. Trzymała coś mocno w ręce. Tephe spojrzał znów na boga i dostrzegł, że ten daje znaki postaci, jakby próbował skłonić ją go tego, by rzuciła mu to coś, co trzyma.

Patrzyła w stronę boga, ale nie widziała Tephea. Kapitan podbiegł w stronę postaci najszybciej, jak zdołał, z nożem w dłoni. Postać odwiodła do tyłu ramię, szykując się do rzutu.

Tephe dopadł jej ułamek sekundy przez rzutem; przedmiot zmienił trajektorię i potoczył się po bruku kilka jardów od nich. Postać straciła równowagę, ale nie upadła. Kaptur spadł jej z twarzy i kapitan zobaczył kobietę w średnim wieku, z twarzą pokrytą bliznami. Wyprostowała się szybko i równie szybko zdzieliła kapitana pięścią w twarz. Zatoczył się do tyłu, wyjąc i chwytając się za usta. Upuścił przy tym nóż. Kobieta energicznie rozglądała się po okolicy, szukając przedmiotu, który wypadł jej z dłoni.

Czując krew na ustach śledził jej spojrzenie i skoczył w tej samej chwili, co ona, ale celował w nią, nie w to, czego szukała. Upadł na nią całym ciałem; cięższe ciało kapitana wygrywało w tym starciu fizycznym. Kobieta upadła na bruk; krztusiła się wydychanym powietrzem. Tephe odtoczył się od niej i przygotował się do ataku. Wtedy poczuł, jakby coś nieprzyjemnie ukuło go w plecy. Wygiął się w łuk, włożył rękę pod plecy, chwycił przedmiot i trzymał mocno, odwracając się na brzuch.

Wtedy poczuł, jak wielki ciężar spada mu na plecy; doznał wrażenia, jakby ktoś złamał

mu kręgosłup. Wyrzucił powietrze z płuc. Ból był tak silny, że nie mógł się ruszyć. Czyjeś ręce złapały go za włosy z tyłu głowy, poderwały ją i uderzyły jego twarzą o bruk. Tephe poczuł, jak pęka mu nos i zdziera się skóra z czoła. Kobieta *ponownie* odciągnęła jego głowę. Będzie walić jego głową o kamienie, aż go zabije.

Nad Tephem rozległ się stłumiony okrzyk, po czym kapitan poczuł na karku coś mokrego i ciepłego. Czując ból, obrócił głowę i zobaczył, jak kobieta pada na ulicę obok niego; krew tryska jej z wielkiej rany na szyi. Odotoczył się od niej i zobaczył nad sobą Neala Forna dzierżącego nóż, który kapitan odebrał pierwszej napastniczce.

– To była kobieta – rzekł Forn dysząc ciężko z wysiłku. – To same kobiety, kapitanie.

Tephe pokiwał głową, podciągnął się, obrócił na bok i zwymiotował.

– Kobiety mogą podejść bliżej parady – rzekł. – Strażnicy nie podejrzewali ich o to, że mogą zaatakować. Albo walczyć. – Spojrzał półprzymkniętymi oczami w stronę klatki z bogiem. Kobiety, które tam walczyły, rozpięchły się; zostały tylko ciała pokonanych na bruku.

– To nie ma sensu – powiedział Forn. – Pierścień z żelaza z pierwszego przerobu otacza całą okolicę. Taki bóg nie miałby się dokąd udać. Nie ma żadnej drogi ucieczki.

Tephe poczuł przedmiot w dłoni i otworzył zaciśniętą pięść, by go obejrzeć. Był to talent na łańcuszku.

– Może wcale nie chodziło o ucieczkę – odparł.

Rozdział szósty

– Udało ci się oszukać kapitana straży bożej twierdzy, ale mnie tak łatwo nie zwiedzisz – zwrócił się do kapitana Tephe kapłan Andso. Stali przy drzwiach prowadzących do bożej komory na pokładzie „Sprawiedliwego”. – A jeśli zamierzasz przesłuchiwać boga, wiedz, że ja przy tym będę.

Tephe, który nadal odczuwał ból po tym, jak uzdrowiciel opatrzył mu rany, starał się powstrzymać nerwy na wodzy, ale w duchu był zły na samego siebie. Nie powiedział wszystkiego kapitanowi bożej twierdzy, uznając, że woli zachować w tajemnicy sprawę talentu odebranego kobiecie. Była to część większego planu, którego nie chciał ujawniać, na wypadek, gdyby musiał z niego zrezygnować. Plan ten wiązał się z bogiem „Sprawiedliwego”, a zatem samym „Sprawiedliwym”.

– Widziałem to, kapitanie – ostrzegł Andso. – Ten przedmiot, który zabrałeś kobiecie. Podczas walki. Widziałem go. I wiem, że jakoś jest związany z bogiem.

– To fascynujące, jak wiele szczegółów walki widziałeś ze swojej kryjówki pod wózkiem – rzekł Tephe, wspominając o miejscu, w którym odkryto kapłana, gdy zapanował spokój.

Nozdrza kapłana rozszerzyły się.

– Nie bluźnij, kapitanie Andso.

– Mówienie prawdy to nie bluźnierstwo, kapłanie – odparł Tephe. Ruszył, by przejść obok kapłana, ale ten stanął mu na drodze.

– Istotnie, kapitanie – odparł kapłan. – Oto jest więc prawda dla ciebie. Jesteś kapitanem i dowódcą tego okrętu. Ale z mocy prawa kapłańskiego i zasad Biskupstwa Wojskowego musisz mieć błogosławieństwo kapłana, który odprawia też modły, zanim okręt będzie mógł opuścić port. Musisz mieć moje błogosławieństwo, kapitanie, w przeciwnym razie „Sprawiedliwy” nie przesunie się ani o cal.

– Rozkazy wydaje okrętowi wyłącznie Mówca – odparł Tephe, wreszcie zmuszając się do wypowiedzenia funkcji trzeciego biskupa, jedyne biskupa, który rozmawiał bezpośrednio z Panem, i który przekazywał Jego słowa i rozkazy; nie można było ich kwestionować. Tephe dostrzegł, jak oczy kapłana odruchowo się rozszerzają. – Musisz zadać sobie pytanie, kapłanie Andso, czy chcesz wyjaśniać mu, dlaczego okręt nadal stoi w porcie, choć zarządził jego start.

W oczach kapłana na sekundę pojawiła się panika. Po chwili uśmiechnął się do kapitana.

– Ależ nie widzę problemu, kapitanie Tephe. Odwołajmy się do Biskupstwa Wojskowego – odparł. – Wyjaśnię, dlaczego opóźniłem start okrętu. A ty wyjaśnisz, dlaczego okłamałeś kapitana straży, a teraz przechowujesz błyskotkę przeznaczoną dla boga. Może zamierzasz w końcu jednak ją oddać.

Teraz Tephe musiał odeprzeć cios.

– W takim razie nazwij mnie zdrajcą, kapłanie – rzekł, stając ze swym oponentem twarzą w twarz. – Poznasz moją odpowiedź, a ja chętnie odpowiem przed samym Naszym Panem.

Andso przełknął ślinę, ale nie ustępował.

– Ten okręt nie ruszy się, kapitanie, dopóki nie dowiem się, jakie sprawki łączą cię z bogiem.

Tephe zaklął i cofnął się na sekundę, po czym napał znów na kapłana. Zatrzymał się i zaczął się zastanawiać, co tu powiedzieć.

Kapłan uśmiechnął się.

– W takim razie chyba się rozumiemy.

Tephe milczał, ale otworzył drzwi do bożej komory i gestem dał znak kapłanowi, by wszedł.

W środku był bóg, przykuty i spoczywający wewnątrz swego kręgu, i dwóch akolitów z pikami stojących na straży. Kapitan Tephe zastanowił się przez chwilę, czy piki rzeczywiście wykonano z żelaza z drugiego przerobu.

– Wyjdźcie – zwrócił się do akolitów. Spojrzeli na kapłana, który skinął głową. Ostrożnie odstawili piki poza żelazny krąg i wyszli, zamykając za sobą drzwi.

Tephe ukląkł, wyjął przedmiot z kieszeni bluzy i pokazał go bogu.

– Co to jest? – spytał.

Bóg obojętnie obrócił głowę i spojrzał szybko na przedmiot.

– Ładna rzecz – odparł, odwracając wzrok. – Błyskotka. Rzecz bez znaczenia.

Tephe wyciągnął przedmiot w stronę boga, zbliżając się do żelaznego kręgu.

– To talent – powiedział. – Coś, co bogowie dają swym wyznawcom, by służyło za odbiornik energii, a wyznawcy mogli skorzystać z tej łaski.

– Być może – przytaknął bóg.

– To jest talent, który dawałeś swoim wyznawcom.

– Być może – bóg ziewnął beczelnie, po czym ułożył się w kręgu, jakby zamierzał spać.

– Talenty same w sobie nie mają żadnej mocy – mówił dalej Tephe. – Jeśli bóg do tego nie dopuści, łaska nie przepływa przez talent. Jeśli bóg zostaje zniewolony, wszystkie jego talenty zasypiają na wieczność.

– Mistrzowsko mówisz o rzeczach, które nas w ogóle nie interesują – mruknął bóg. Mistrz reguł. Małych powiązań. Banałów. Rzeczy bezużytecznych.

– Istotnie – odparł kapitan. – Ten przedmiot nie ma żadnego zastosowania. A już na pewno nie dla boga, który go stworzył. A jeśli jest to coś tak pozbawionego znaczenia, dziwne, że kilkanaście kobiet zginęło, próbując ci go przekazać.

Leżący na podłodze bóg wzruszył ramionami.

– Nie mamy pojęcia, dlaczego kobiety robią coś takiego – odparł. – To samo dotyczy mężczyzn. Wszyscy jesteście dla nas pozbawieni sensu. Nie mamy pojęcia, dlaczego wasz pan... – słowa sączyły się jak trucizna – tak bardzo was ceni. Jesteście takimi nudnymi, małuczkimi stworzeniami.

– Odpowiedz – rzekł Tephe. – Powiedz, co ta rzecz dla ciebie znaczy.

– Już ci odpowiedziałem – odparł bóg. – Zapytaj nas jeszcze raz, a udzielimy ci odpowiedzi tymi samymi słowami. Jeśli nie zaśniemy.

Tephe przez chwilę wpatrywał się ponuro w boga, po czym obrócił się lekko w stronę drugiego mężczyzny w pomieszczeniu.

– Powiedz mi, kapłanie – odezwał się, a gdy się obracał, pozwolił, by talent znalazł się w powietrzu nad żelaznym kręgiem.

Bóg warknął coś przerażającego wysokim tonem i szaleńczo rzucił się w stronę talentu; kapitan nie stracił ręki w nadgarstku tylko dlatego, że nie zaciskał dłoni na przedmiocie. Przez najkrótszą z chwil talent znajdował się w powietrzu; łuk jego lotu znalazł się poza zasięgiem łańcuchów boga. Upadł i bóg rzucił się w jego stronę. Chwycił go jedną ręką i przyciągnął go do siebie, trzymając kurczowo przy piersi. Bóg obrócił głowę, by rzucić kapitanowi oszalałe spojrzenie, triumfalny uśmiech, wykrzywiający wargi tak, że pokazały się zęby.

Bóg wydał odrażający okrzyk i odrzucił talent daleko od siebie. Przedmiot upadł na podłogę, poza żelaznym kręgiem. Bóg upadł na ziemię, szarpiąc miejsca, których dotknął talent.

Kapitan Tephe patrzył na to wszystko ze spokojem. Spojrzał w stronę kapłana, na którego

twarzy malowały się zarówno fascynacja, jak i przerażenie, rozdartego między chęcią opuszczenia pomieszczenia, a obserwowaniem boga, który ocierał się o podłogę, zostawiając strzępy bożego ciała na żelazie kręgu.

Po jakiejś minucie Tephe podszedł do stołu, z którego można było regulować długość bożych łańcuchów i skrócił je tak, że przycisnęły boga do podłogi. Bóg leżał rozciągnięty, wijąc się i próbując pocierać miejsca, których dotknął talent, talent z żelaza. Tephe odszedł od stołu, zabrał talent i ukląkł, ponownie pokazując go wijącemu się bogu.

– Ten talent należy do mnie – powiedział. – Dał mi go Mój Pan, gdy zostałem dowódcą tego okrętu. Udając brak zainteresowania i próbując szaleńczo go przejąć, nie rozpoznałeś, czym naprawdę jest. To talent Mego Pana, więc sparzył cię, gdy dotknął twej skóry, jak talent każdego innego boga.

Tephe sięgnął za pazuchę, dobył drugi talent i pokazał go bogu. Bóg zaczął krzyżeć i szarpać się w okowach, próbując je rozluźnić na tyle, by móc się unieść. Nie udało mu się, pośliznął się na własnej bożej krwi. Tephe na wszelki wypadek trzymał talent poza żelaznym kręgiem.

– To jest talent, którego szukasz. Muszę się dowiedzieć, dlaczego go tak pożądasz.

– Jest nasz! – krzyknął bóg.

– Jest twój, ale całkowicie bezużyteczny – odparł Tephe. – Komu chciałeś go dać? I po co? Twa łaska już nie istnieje. Nie mógłbyś pomóc swoim wyznawcom, nawet gdybyś chciał. Po co ci ten talent?

Bóg wył, wił się i pluł, ale nie odpowiedział. Tephe ukrył talent boga za pazuchą, a własny zawiesił na szyi.

Po chwili bóg uciszył się.

– Boli nas – jęknął. – Znów nas zraniłeś. Wylecz nas.

– Nie – odparł Tephe. – Będziesz cierpiał z powodu tych ran, aż sam je uleczysz. Pamiętaj o nich. Pamiętaj też, że twoje sztuczki i knowania są tu daremne. Twoim przeznaczeniem jest służyć nam i zrobisz to – wstał. – Odlatujemy przez kołce wachty. Ulecz się i bądź gotów do zabrania nas w miejsce, które ci wskażę.

– Co z naszym talentem? – spytał bóg.

– Nie jest już twój. Powinienem, był przekazać go Naszemu Panu, kiedy do mnie trafił, żałuję, że tego nie zrobiłem. Każę go więc zniszczyć.

Bóg w żelaznym kręgu szlochał. Tephe obrócił się i wyszedł z bożej komory. Kapłan Andso szedł za nim.

Kapłan zwrócił się do kapitana, gdy ten zamykał odrzwia komory.

– To, co powiedziałeś Zhańbionemu, to nie była prawda? O zniszczeniu talentu?

– Ależ naprawdę chciałem tak postąpić – odparł Tephe. – A skoro wracasz do tematu, kapłanie, przecież byłeś w tej komorze. Widziałeś, jak bóg pochwycił talent, kiedy dałem mu cię szansę. Widziałeś triumf w jego oczach, gdy mu się wydawało, że zdobył go dla siebie.

Dopóki istnieje, wyznawcy boga będą go szukać, to nie ulega wątpliwości. Bez względu na to, czym jest ten talent, jest zagrożeniem dla nas i dla „Sprawiedliwego”, dopóki znajduje się na pokładzie. Zniszczenie go to jedyne wyjście.

– Teraz chcesz go zniszczyć, a przecież ryzykowałeś własnym stanowiskiem, by go ukryć – mruknął Andso.

– Bo myślałem, że dowiem się od boga czegoś na jego temat – odparł Tephe.

– I nie udało nam się niczego dowiedzieć – rzekł Andso.

– Nie, kapłanie – zaprzeczył Tephe. – Nie wchodziłem do tej komory z nastawieniem, że ta istota powie mi prawdę. Jej czyny miały przemówić i tak się stało. Atak na ulicy mógł być szaleńczym przedsięwzięciem wyznawców ryzykujących życiem, by uwolnić swego boga. – Tephe wyciągnął talent spod bluzy i pokazał go kapłanowi. – Siła, z jaką bóg go pożąda, to dowód na to, że tak nie było. On coś knuje, coś, co ma się wydarzyć, i ten przedmiot ma dla niego kluczowe znaczenie.

– Ale nie wiemy, jakie – odparł Andso.

– Nie musimy wiedzieć – odparł Tephe. – Jeśli ta istota nie ma kluczowego elementu, to nie może się wydarzyć. Potrzebuje tego – Tephe uniósł dłoń z talentem. – A my możemy pozbawić ją tego, czego potrzebuje, w ten sposób uniemożliwiając jej plany, i likwidując zagrożenie dla okrętu. Zamierzam to zrobić – odwrócił się, by odejść.

Andso sięgnął do łokcia kapitana.

– Zniszczmy ten klucz – powiedział. – Ale najpierw chciałbym go zbadać. Prawdę powiedziałeś, kapitanie, twierdząc, że ten przedmiot sam w sobie nie ma żadnej mocy. Nie płynie przez niego łaska. A jednak w jakiś sposób jest obdarzony mocą, w przeciwnym razie Zhańbiony nie pożądałby go tak bardzo. Gdybyśmy mogli ustalić, co to za moc, ta wiedza byłaby przydatna dla Naszego Pana i Biskupstwa Wojskowego.

– Jak sądzę, byłaby przydatna także dla ciebie, kapłanie Andso – rzekł Tephe.

Kapłan wyprostował się.

– Nie dla wszystkich przeznaczeniem jest łatwy awans, jak w twoim przypadku, kapitanie – rzekł. – Jeśli nasze kolejne zadanie istotnie zostało wyznaczone przez samego Mówcę, nie ulega wątpliwości, że zgarniesz potem wszystkie zaszczyty i nie będziesz już musiał dowodzić okrętem.

– Jeśli jest to mi pisane – odparł Tephe. – Cieszę się, że mogę jeszcze przez jakiś czas być kapitanem „Sprawiedliwego”.

– W rzeczy samej – rzekł Andso, a w jego głosie pojawiła się nuta sarkazmu. – Są wśród nas inni, którzy także mają nadzieję na szybki awans, a jeśli mogą tak się wyrazić, nie sądzą, żeby bardzo ich nam brakowało. Jeśli uda się to osiągnąć, gdy jesteś dowódcą, także wszyscy wierni Naszego Pana na pokładzie „Sprawiedliwego” mogą otrzymać to, czego pragną: ty zostaniesz, a ja odejdę.

Tephe spojrzął na talent z namysłem.

– Jeszcze kilka dni, kapitanie – powiedział Andso. – A przez ten czas żadnych klótni, protestów czy unoszenia brwi w zdziwieniu. Proszę tylko o trochę czasu, by wykuć swój los, bo twój jest już wykuty. A wtedy twój los może się tylko poprawić. Może poprawi się aż tak, że ostatecznie pozwolą ci nawet zatrzymać „Sprawiedliwego” – wyciągnął rękę, by zabrać talent.

Tephe wręczył przedmiot kapitanowi.

– Kilka dni – odparł. – Kiedy mówię, że ma być zniszczony, ma się tak stać. To nie podlega dyskusji.

– Nie podlega – przytaknął Andso, patrząc na talent. – Żadnych dyskusji. Potrzebuję tylko trochę czasu.

– Uważaj, żeby nie dostał się w pobliże boga – ostrzegł Tephe.

– Oczywiście, kapitanie – odparł Andso. – Dziękuję. Błogosławię cię – odszedł w kierunku swej kajuty.

Tephe ruszył w kierunku mostka, ale w ostatniej chwili skręcił do gołębnika. Gdy tam przybył, uderzył pięścią w drzwi; wolał to od wystukania kodu dzwonka. Otworzył Issa, dostrzegł wyraz twarzy kapitana i zawołał Shalle’a.

Shalle podszedł do drzwi. Na jego twarzy malował się wyraz otwartości i ciekawości. Tephe pocałował go, zanim Shalle wymówił choć jedno słowo, przyciskając ich obu do drzwi. Issa stał z boku, z szeroko otwartymi oczami; gdyby ktoś poza kapitanem zbliżył się do gołębia poza gniazdem, kara chłosty byłaby najmniejszym z jego problemów.

– Też się cieszę, że cię widzę – powiedział Shalle, gdy kapitan oderwał się od jego ust.

– Muszę trochę z tobą pobyc – odparł Tephe.

Shalle wsłuchiwał się w jego głos, raczej w jego ton niż w słowa.

– Tak, chyba tak – rzekł i delikatnie wciągnął kapitana do gołębnika. Issa zamknął za nimi odrzwia.

Rozdział siódmy

– Przejmujesz dowodzenie – zwrócił się kapitan Tephe do Neala Forna ostrym tonem. Wstał z fotela.

– Tak jest – odparł obojętnym tonem Forn, ale wpatrywał się w kapitana, unosząc lekko brwi w pytającym geście. Już tylko chwile dzieliły „Sprawiedliwego” od pojawienia się w pobliżu nienazwanej planety. Forn dowodził już wiele razy w trakcie tego rejsu, ale zawsze na własnej wachcie. W każdym razie nie był to najlepszy moment na opuszczanie przez kapitana stanowiska.

Tephe zdecydował, że nie będzie odpowiadał na niezadane pytanie pierwszego oficera.

Forn przyzwyczał się już do samodzielnego sprawowania obowiązków; gdyby Tephe mógł o tym zdecydować, Forn wkrótce stałby się kapitanem „Sprawiedliwego”. Ale chodziło nie tylko o to – Tephe po prostu nie miał ochoty się teraz tłumaczyć. Opuścił mostek, nie wypowiadając ani jednego słowa.

Na korytarzach „Sprawiedliwego” panował zgiełk: załoga – jego załoga, a przynajmniej to, co z niej pozostało, pomyślał Tephe – przygotowywała się do lotu na powierzchnię planety i lądowania. Załogę poinformowano, że „Sprawiedliwy” został wybrany na misję z bezpośredniego rozkazu Mówcy, a wiadomość ta poprawiła ich morale i umocniła wiarę; paplanina i krzątanie ludzi przywróciła mu pewność siebie, tak nadszarpniętą tym, co stało się na Ament Cour i trudnymi miesiącami na pokładzie. Tephe roztopiał lód własnych wątpliwości w nowej pewności ich pracy, kiwając głową podkomendnym, gdy ich mijał, a oni go rozpoznawali.

Zatrzymał się przy portalu bożej komory i usłyszał w środku niski pomruk.

Wszedł do środka.

Jeśli widok kapitana „Sprawiedliwego” w bożej komorze zaskoczył Andso, kapłan nie dał tego po sobie poznać. Akolici Andsa nie byli aż tak bierni, ale pozwolili sobie najwyżej na sekundę przerwy w recytacjach, by dać do zrozumienia, że zauważyli przybycie Tephea, a potem wrócili do swoich zajęć. Głosy kapłana i akolitów wznosiły się i opadały, wzywały i odpowiadały, modląc się do chwały Pana i prosząc o możliwość użycia Jego potęgi do zmuszenia boga jeńca ze „Sprawiedliwego”, by zabrał ich tam, dokąd chcieli się udać.

Tephe przestał patrzeć na kapłana i akolitów i skierował swą uwagę na boga, który po prostu stał, bez ruchu, z zamkniętymi oczami. Tephe nie udawał, że rozumie, w jaki sposób bóg dokonywał swoich czynów; jak przenosił ich z jednego miejsca w przestrzeni do drugiego, połykając odległości tak szybko, że Tephe aż bał się o tym myśleć.

Podobno bogowie gromadzili w umysłach materię przestrzeni i skręcali ją, tak mówił Wilig Eral, podoficer „Uświęconego”, pierwszego okrętu, na którym służył Tephe.

Ale jak oni to robią? spytał Tephe. Miał czternaście lat i był czwartym synem zubożałego baroneta, osadzonego na odludziach Biskupiej Przystani. Nie tęsknił za starszymi braćmi, ani oni za nim. Zaciągnięcie się na pokład „Uświęconego” było poniżające dla syna baroneta, nawet biednego. Tephe jednak cieszył się, że udało mu się uciec.

Gdybym to wiedział, chłopcze, byłbym Biskupem Eralem, rzekł podoficer. Mówią, że kapłani wiedzą, jak bogowie to robią, ale lepiej ich o to nie pytać. Kapłan Oe wykorzystałby cię jak akolitę i nigdy nie pozwolił ci odwiedzać gołębnika.

Młody Tephe zaczerwienił się, przypominając sobie pierwszą niedawną wizytę, swoje zażenowanie i dobry humor Tei, gołębia, który pomógł mu uwolnić się od żądz. *Nie będę pytał kapłanów, odparł.*

Doskonale, odparł Eral. A teraz pomóż mi pouklądać te zapasy na półkach.

Znacznie później, kiedy nie groziło mu już porwanie i zmuszenie do bycia akolitą, jednak

zapytał kapłana. Kapłan odpowiedział długimi, bo trwającymi całą wachetę, wywodami na temat komentarzy, w których opowiadał o pokonaniu boga przez Ich Pana, o tym, jak modlitwy kapłanów nad bogiem wprowadzonym na pokład okrętu pędzącego przez kosmos zmuszają boga, by czynił tylko to, czego się od niego wymaga, i nie pozwalają mu spełniać własnych życzeń, gdyż bogowie ci byli zhańbieni.

Tephe, który był wtedy oficerem na pokładzie „Błogosławionego”, słuchał uprzejmie, choć po pierwszych pięciu minutach uświadomił sobie, że kapłan też nie zna odpowiedzi na to pytanie. Jeszcze później Tephe zrozumiał, że na pewne pytania w ogóle nie ma odpowiedzi: jak bogowie przenoszą okręty między gwiazdami, jak okręty wykorzystują zniewolonych bogów w charakterze źródła energii, by chronić załogę w zimnych i pozbawionych powietrza przestworzach między planetami.

Nawet jako kapitan, Tephe nie miał prawa poznać tych tajemnic. Miał w nie wierzyć: okręt miał napęd, którym kierował Jego Pan, za pośrednictwem Jego kapłanów i Jego kapitana – samego Tephea. Zrozumienie nie było konieczne. Uwierzenie i wiara w Jego Pana – tak.

Tephe wierzył. Tephe miał wiarę. Jeśli nie dla samego siebie, to dla okrętu i załogi.

Kapitan otrząsnął się z zadumy i zauważył, że bóg na niego patrzy. Spojrzenie było puste, bez cienia zainteresowania czy celowości. Tephe zastanawiał się, czy bóg, pogrążony w rytuale, rzeczywiście go widzi.

Jakby w odpowiedzi na tę myśl, na twarzy boga pojawiło się kilka złowieszczych uśmiezków, choć spojrzenie nadal pozostawało puste. Tephe poczuł konsternację, co często mu się zdarzało w obecności boga.

Przypomniawszy sobie bogów na innych okrętach, na których służył. Bóg „Uświęconego” wyglądał na istotę pokonaną, jak obojętny przedmiot o kształcie człowieka, który wykonywał swe obowiązki w ślepych, pozbawionych zainteresowania milczeniu. Tephe widział go tylko raz i byłby przekonany, że to rzeźba, gdyby pika akolity nie zmusiła go do niewielkiego ruchu. Bóg „Błogosławionego”, dla odmiany, był lizusowatym i służalczym stworzeniem, które próbowało przyciągnąć uwagę każdego, kto wchodził do komory. Kiedy po raz pierwszy przemówił do Tephea, błagając go, by zatrzymał się i przemówił, nowy oficer zastanawiał się, czy bóg nie próbuje podstępnie zwabić go do środka żelaznego kręgu; dopiero później zobaczył akolitę grającego z bogiem w warcaby, we wnętrzu kręgu. Bóg pozwalał akolicie wygrywać i chwalił każdy jego ruch.

Tephe nigdy nie rozmawiał z bogiem z „Błogosławionego”.

Bóg ze „Świętego” był równie milczący, jak bóg z „Uświęconego”, ale zachowywał godność. Tephe chciałby do niego przemówić, ale wiedział, że mu nie odpowie.

Bóg ze „Sprawiedliwego” nie przypominał żadnego z nich. Bóg ze „Sprawiedliwego” nie był ani obojętny, ani służalczy, i rzadko zachowywał się z godnością. Był kapryśny i złośliwy; akolita Drian nie był pierwszym członkiem załogi „Sprawiedliwego”, który został

zaatakowany przez tego boga podczas jego długiej służby na tym okręcie. Wykonywał polecenia pod groźbą kary i czasem nawet wykorzystywał niedostatki języka, by wykonać zadanie dosłownie; niby poprawnie i logicznie, ale skutek był wręcz przeciwny. Badał słabość żelaza i ludzi. Drwił i pluł. Był przykuty łańcuchami, ale Tephe nie nazwałby go pokonanym. Przez najkrótszą z chwil w umyśle Tephe'a wypłynęło na powierzchnię imię boga. Nerwowo odsunął je do dziury w pamięci, nie pozwalając sobie na wypowiedzenie go, nawet w myślach.

Bóg nadal patrzył na Tephea i mrugnął.

Oto jest imię boga, i musisz je znać, jeśli chcesz go zniewolić mocą Naszego Pana, powiedział kapitan Thew Stur, kładąc dłoń na pojedynczej kartce welinu, który leżał na biurku. Na kartce znajdowało się długie słowo, nagryzmolone czymś barwy utlenionej ochry; Tephe wiedział, że to własna krew boga. Tephe przejmował dowodzenie „Sprawiedliwym” od Stura; inni donieśli mu o jego okazywanym ciągle niezadowoleniu z tego powodu. Lojalność Stura wobec okrętu sprawiała jednak, że traktował Tephea z szacunkiem należnym kapitanowi. Tephe zastanawiał się, kiedy nadejdzie czas, że to on będzie musiał stawić czoło takiej sytuacji.

A to, Stur uniósł dłoń i położył ją na cienkiej kopercie z pergaminu, z nienaruszoną pieczęcią, zawiera informacje na temat boga. Kim był, zanim Nasz Pan go pokonał, jak Nasz Pan go pokonał i w jaki sposób obudowano go „Sprawiedliwym”.

Wiedziałeś, że okręty buduje się wokół pojmanych bogów?

Byłem w stoczni, odparł Tephe.

Pewnie, że byłeś, odparł Stur. *Budujemy okręty tak, by otoczyły ich aurę, a wówczas okręt staje się ich częścią. A przynajmniej tak słyszałem. Nie muszę tego wiedzieć.*

Tephe skinął lekko głową na widok koperty. *Nalozyleś nową pieczęć na kopertę,* powiedział.

Nigdy jej nie otwierałem. Ani kapitan Pher, mój poprzednik. Ani żaden z wcześniejszych dowódców, o ile wiem.

Nie rozumiem, rzekł Tephe.

Ja też nie rozumiałem, kiedy obejmowałem dowództwo, powiedział Stur. *Wydawało mi się, jak tobie teraz, że kapitan wie wszystko o tym okręcie, o każdym dźwigarze, każdym nicie i każdym członku załogi. Ale musisz wiedzieć, kapitanie, że bóg wie wszystko to, o czym ty wiesz.*

Czyta w umysłach, odgadł Tephe.

Czyta w twoim umyśle, poprawił go Stur. *To bóg. Pojmuje rzeczy, o których my nie mamy pojęcia. Bóg – ten bóg – pojmie wszystko, co wiesz, i użyje przeciwko tobie. Użyje, aby zasiać wątpliwości w twoim umyśle. Wbić klin między ciebie a twoją wiarę.*

Moja wiara jest mocna, odparł Tephe.

Musi tak być, skoro przydzielono ci ten okręt, rzekł Stur. *Ale nigdy dotąd nie byłeś*

kapitanem okrętu. Nie ponosileś odpowiedzialności za wszystkich ludzi na pokładzie. Nie czuleś nałożonego na siebie ciężaru bycia silnym i nieskazitelnym ramieniem Naszego Pana. Będziesz mieć wątpliwości, kapitanie. A szczególnie ten bóg widzi te wątpliwości, bo jest stary i złośliwy. I będzie działał przeciwko tobie. I wykorzysta w tym celu wszystko, co wiesz.

Rozumiem twoją troskę, odparł Tephe.

Przecież ty wolisz w to nie wierzyć, powiedział Stur i uniół rękę. Jesteś kapitanem „Sprawiedliwego”. Zrobisz – i powinieneś zrobić – tak, jak uważasz. Ale proszę cię o wyświadczenie mi przysługi; taka prośba od twego poprzednika. Stur znów położył dłoń na kopercie. Zanim ją otworzysz, porozmawiaj z bogiem.

O czym? spytał Tephe.

O czymkolwiek, odparł Stur. To nie ma większego znaczenia. Nie chodzi o rozmowę. Chodzi o obserwowanie go i patrzenie, jak on obserwuje ciebie. Rozmawiaj z bogiem tak długo, jak tylko zdołasz. A kiedy skończysz i będziesz przekonany, że bóg nie stanowi zagrożenia dla ciebie, twojej wiary czy „Sprawiedliwego”, otwórz tę kopertę i przeczytaj jej zawartość. Ale wyświadcź mi przysługę i porozmawiaj najpierw z bogiem.

Dobrze, zgodził się Tephe i przeszli do omawiania spraw związanych z personelem.

Dwa dni po formalnym objęciu okrętu, po obejrzeniu każdego zakamarka i odbyciu rozmów ze wszystkimi członkami załogi, Tephe jako nowy kapitan stał na skraju żelaznego kręgu i rozmawiał z bogiem przez całą wachtę. Nie było tam nikogo poza nimi.

Gdy kapitan skończył rozmowę, wrócił do swojej kajuty, wziął pergaminową kopertę leżącą na biurku, które teraz należało do niego, i ukrył ją głęboko w kapitańskim sejfie, zamkniętą.

Aż do teraz Tephe nawet o niej nie pomyślał.

Śpiew kapłana i akolitów stał się nieco głośniejszy, a bóg zamknął oczy i przybrał wyraz twarzy, którego kapitan nie był w stanie rozszyfrować. Poczul chwilowy zawrót głowy, a potem błyskawiczny przebłysk jakiejś nieokreślonej emocji wykraczającej poza ludzkie uczucia, która znikła, zanim zdołał potwierdzić, że w ogóle tam była. I wszystko się skończyło.

– Już po wszystkim – rzekł kapłan Andso i po raz pierwszy spojrział w kierunku kapitana. Tephe spojrział na jego szatę i zauważył na niej coś nowego: talent, który Tephe zabrał kobiecie podczas parady. Oczy kapitana napotkały wzrok kapłana.

Kapłan dotknął talentu.

– To taki eksperyment, kapitanie. Chciałem sprawdzić, czy Zhańbiony zareaguje...

Tephe nie chciał czekać na dalszy ciąg tego zdania. Odwrócił się, zobaczył, że bóg na niego patrzy i dostrzegł jego uśmiezek: milczący, drwiący, złowieszczy. W pamięci znów wypłynęło imię boga, utleniona ochra na welinie, i Tephe opuścił komorę zanim objawiło mu się w całej okazałości.

Rozdział ósmy

Porucznik Ysta zmarszczył czoło, słuchając tego, co mówi wódz wioski; korzystał ze swego talentu gawriła, by rozszyfrować, co oznacza szemranie i mlaskanie wydobywające się z ust tego człowieka i przekształcić je na zrozumiałą mowę. Za Ystą i wodzem stali przywódcy największego osiedla na planecie, które nazywało się Cthicx i było wioską liczącą jakieś dziesięć tysięcy dusz. Między nimi, na polu, którego mieszkańcy wioski używali podczas gier i ceremonii, tłoczyła się cała populacja Cthicx, gdyż właśnie miała się odbyć uroczystość. Przed Ystą i wodzem stali Tephe, kapłan Andso i Kon Eric, dowódca Ludzi Biskupich.

– To za długo trwa – zwrócił się do Tephea Eric.

– Cicho – odparł Tephe i skierował swą uwagę na Ystę i wodza. Dopóki Ysta nie przemówił i tak nie wiedział, co mówi wódz, ale uprzejmość nakazywała udawać, że słucha. Tak czy inaczej Tephe chciał obserwować wyraz twarzy i ruchy wodza. Znaczna część przekazu była zawarta nie w tym, co zostało powiedziane, lecz jak zostało powiedziane. Eric, który trochę sprawiał wrażenie tępego narzędzia, najwyraźniej tego ani nie rozumiał, ani nie doceniał.

Skarcony przez kapitana umilkł i zrobił urażoną minę. Wraz z resztą swoich ludzi zakładał, że jego zadanie będzie polegało na podporządkowaniu Cthicxian w bitwie, szybko i brutalnie. Tephe miał jednak inny plan.

Ysta skinął głową wodzowi, wydał kilka mlasków i zwrócił się do kapitana.

– Wódz Tscha mówi, że chętnie pójda za Naszym Panem – rzekł.

Tephe uśmiechnął się i skinął głową wodzowi, który odwzajemnił ukłon.

– To doprawdy wspaniała nowina – odparł.

Ysta uśmiechnął się oszczędnie.

– Ale pod pewnymi warunkami, sir.

Kapłan Andso wyprostował się z godnością, ucieszony, że ma coś do zrobienia.

– Nasz Pan nie zawiera transakcji, poruczniku. Ten mały człowieczek nie ma prawa narzucać nam żadnych warunków. Już widział, co potrafi zaledwie czwórka Ludzi Biskupich.

Tephe skrzywił się. Dowódca nie chciał zabierać całego oddziału Ludzi Biskupich na powierzchnię planety; zdecydował, że uda się tam z trzema żołnierzami. Następnie Tephe skłonił wodza Tscha, by ten wybrał czterech swoich najsilniejszych wojowników i kazał im zaatakować Ludzi Biskupich, wybierając dowolną broń, w obecności wszystkich mieszkańców wioski. Dwóch wybrało włócznie, jeden łuk, a ostatni ruszył do ataku z nożem w dłoni. Żadna z broni nie trafiła do celu; Ludzie Biskupi byli obdarzeni wyjątkowym talentem w dziedzinie obrony; stracili włócznie i strzały oraz uniknęli ciosu nożem tak łatwo, jakby dzierżący go wojownik był najwyżej uciążliwą muchą. Potem oni zaatakowali, unieszkodliwiając ręce dzierżące włócznie, posyłając strzały i dzierżące nóż z taką

prędkością i brutalnością, że widzowie zaczęli krzyżeć z przerażenia i niepokoju.

Gdy cthicxiańscy wojownicy spoczywali na ziemi, Tephe wezwał uzdrowicieli Gardera i Omlla, którzy teraz wrócili na pokład „Sprawiedliwego”, by się nimi zajęli. Powstrzymali krwawienie, złagodzili ból i używając swych uzdrowicielskich talentów wyleczyli wojowników z obrażeń. Mężczyźni zeszli z pola bitwy nieco osłabieni, ale cało, ku uciesze widzów.

Tephe pokazał całemu Cthicx moc i miłosierdzie Jego Pana, a dokonawszy tego zwrócił się do wodza, by poprosił swych ludzi o przyjęcie Jego Pana jako swojego. Była to doskonale wyważona demonstracja potęgi i łaski, którą osiągnięto bez zadawania śmierci i stosowania przymusu, a po kilku dniach zawile negocjacje wydały owoce.

Tephe nie był *zachwycony arogancją* i brawurą kapłana, którego ekscytacja czekającą go sławą, jaką miało pociągnąć nawrócenie tych nowo odkrytych bezbożników sprawiała, że zaczął okazywać niecierpliwość i zachowywać się nierozważnie. Cthicxianie nie rozumieli słów kapłana, tak samo jak on nie rozumiał ich bez pomocy gawriła. Ale na pewno byli w stanie zinterpretować agresywne gesty.

– Może powinniśmy pokazać im coś więcej niż ich wojowników z uciętymi rękami – zaproponował Andso.

– Może raczej należy ich przekonać, że ich wiara zostanie wynagrodzona – odparł Tephe, cicho, lecz stanowczo. – Nawet w komentarzach napisano, że wiara przyjęta dobrowolnie jest potężniejsza niż narzucona. Na pewno o tym pamiętasz, kapłanie.

– Jeśli nawet tak jest... – zaczął Andso.

Tephe uciszył go gestem dłoni.

– To jeszcze nie jest twoja część zadania, Andso – rzekł Tephe i zauważył, że kapłan oburzył się, słysząc, jak kapitan wypowiada jego imię bez żadnych tytułów. – Tę część zadania przydzielono mnie. Sugeruję więc, byś pozwolił mi ją wykonać.

Andso spojrział kwaśno na kapitana, ale skinął głową.

Tephe zwrócił się znów do Ysty.

– Jakie są jego warunki?

– Chce, by dowódca Eric nauczył jego wojowników, jak odpierać ataki i szybko zabijać – wyjaśnił Ysta.

– Powiedz mu, że taka moc pochodzi od Naszego Pana i jest dana wyłącznie Ludziom Biskupim – odparł Tephe. – Gdy Cthicxianie poddadzą się Naszemu Panu, jestem pewien, że sami wyszkolą własnych Ludzi Biskupich.

Z tyłu dobiegło szydercze prychnięcie Erica, ale Tephe zignorował je, gdy Ysta tłumaczył jego słowa.

– Pyta, czy Nasz Pan pomoże im zniszczyć Tnangów – mówił dalej Ysta, po czym zamilkł i słuchał, jak wódz objaśnia mu *coś* z zapalem. – To sąsiednie plemię, mieszkające parę kilometrów na północ, sir. Najwyraźniej to jakaś odwieczna waśń.

– Nasz Pan życzy sobie, by wszyscy ludzie doznali jego łaski – odparł Tephe. – Także Tnangowie. Powiedz wodzowi, że jako Pierwsi Powołani Cthicxianie będą zawsze władać dziedziną i poniosą nowinę o Naszym Panu wszystkim innym. Jeśli inni przyjmą Naszego Pana, Cthicxianie mogą nad nimi panować, okazując im dobroć. Jeśli go odrzucą, będą mogli ich zniszczyć, i niewątpliwie Nasz Pan poprowadzi ich do zwycięstwa.

Ysta tłumaczył, wódz energicznie pokiwał głową, po czym krótko przemówił do pozostałych przywódców wioski, którzy wyglądali na zadowolonych. Tephe przypuszczał, iż ich zdaniem Tnangowie nie przyjmą Ich Pana, więc nie miało to znaczenia.

Wódz pochylił się w stronę Ysty, wydając mlaski i szelesty, szybko, lecz cicho. Ysta pokiwał głową i znów zwrócił się do Tephea.

– Wódz Tscha pyta, czy jeden z naszych uzdrowicieli nie mógłby się zająć pewną kobietą. Ma jakieś brzuszne schorzenie i sądzi, że od tego umrze.

Tephe spojrział na wodza, który patrzył na niego z obawą. Wódz, który jeszcze chwilę temu z radością napawał się perspektywą wymordowania kłopotliwych sąsiadów, teraz stał się zwykłym człowiekiem, martwiącym się losem kogoś, kogo kocha.

Potęga i łaska, pomyślał Tephe. Potrzebowali jednej i drugiej.

Tephe skinął głową wodzowi i zwrócił się ponownie do Ysty.

– Oczywiście – odparł. – Nasi uzdrowiciele zrobią wszystko, na co pozwoli im Nasz Pan.

Ysta przetłumaczył cicho. Wódz skinął głową, po czym obrócił się i przemówił do przywódców wioski.

Tephe obrócił się, by spojrzeć na Andso i Erica; obaj mieli swoje powody do niezadowolenia z tej wymiany zdań. Tephe przez chwilę żałował, że zamiast Ludzi Biskupich i kapłana nie miał ze sobą Forna i Shallea; jakże miło byłoby, gdyby ktoś docenił wysiłki związane z nawracaniem Cthicxian, które nie polegały na zabijaniu ich. Jego Pan potrzebuje każdej duszy, a przynajmniej tak mówiono Tephebwi. Kapitan pragnął dostarczyć mu tyle dusz, ile tylko zdoła.

– Sir – Ysta nagle pojawił się u boku Tephe’a, wraz z wodzem. – Wódz Tscha mówi, że chciałby zadać ci pytanie na osobności, z dala od kapłana i dowódcy.

– Dobrze – odparł Tephe i skinął głową wodzowi. Oddalili się nieco, a Ysta kroczył za nimi. Zatrzymali się, a wódz wydał z siebie serię mlasków i dziwnych dźwięków.

– Wódz Tscha mówi, że chciałby ci coś powiedzieć: wie, że moglibyśmy podbić Cthicx bez wysiłku. Docenia, że tego nie zrobiliśmy.

– To miło z jego strony – odparł Tephe. Ale wódz mówił dalej.

– Mówi, że docenia naszą powściągliwość, ale także wie, że bierze się ona z nas samych, sir. Mówi, że kapłan i dowódca byliby zadowoleni, gdybyś przymusił jego ludzi do posłuszeństwa Naszemu Panu włóczęgą. Wódz sugeruje, że zwykle takie posłuszeństwo wymusza się siłą.

– Nie wiem, czy rozumiem to pytanie, i czy w ogóle padło jakieś pytanie – odparł Tephe.

Wódz znów przemówił.

– Wódz Tscha mówi, że władca, który zmusza do uległości, nie zawsze jest dobrym władcą, lecz najpotężniejszym; takim, który jest w stanie sprawić, żeby inni się go bali – wyjaśniał dalej Ysta. – Mówi, że sposób, w jaki potraktowałeś Cthicxian, dowodzi, że jesteś człowiekiem honoru. A jako człowiek honoru on chciałby wiedzieć, czy wierzysz w to, że Nasz Pan jest dobry. Czy jest dobrym panem, czy tylko potężnym. On i jego ludzie i tak za Nim pójdą. Ale on chciałby wiedzieć, po prostu dla siebie.

Tephe uśmiechnął się ze zrozumieniem i otworzył usta, by odpowiedzieć. Ale nic się z nich nie wydostało. Wódz przekrzywił lekko głowę i Tephe poczuł, że bardzo go ten ruch niepokoi, choć nie umiałby powiedzieć, dlaczego. Zamknął usta.

– Sir? – zaniepokoił się Ysta.

– Pan jest Moim Panem – odparł szybko Tephe. – Powiedz wodzowi, że jestem lustrzanym odbiciem Mego Pana. To, co w nim jest doskonałe, we mnie jest niedoskonałe.

Ysta tłumaczył, a Tephe kołł swe wewnętrzne wzburzenie. Wódz skinął głową i obrócił się, wydając głośne mlaski. Z tłumu wyszedł młody człowiek i stanął obok wodza.

– Wódz Tcha mówi, że to jego syn, Tschanu – wyjaśnił Ysta. – Mówi, że jego syn poprosił, by móc nosić talent, przez który Nasz Pan znajduje sposoby, by się objawić. Chętnie wykaże się lojalnością i wiarą w nowego Pana i pomoże swemu ludowi przyjąć Go jako ich boga. Mówi, że się nie boi.

Tephe uśmiechnął się do chłopca.

– Nie ma się czego bać – powiedział. – Powiedz mu, że zostanie obdarzony tym honorem.

* * *

Cienki łańcuch, na którym zawieszono talent, przesunął się nad głową Tschanu, zahaczając lekko o włosy. Tephe przełożył go delikatnie i łańcuszek spoczął na szyi młodzieńca, a sam talent zawisł na wysokości jego brzucha. Młodzieniec i kapitan stali na środku placu zgromadzeń, otoczeni Cthicxianami; wszyscy czekali na swojego nowego pana.

– Powiedz chłopcu, że korzystanie z talentu jest często męczące i nie powinno go dziwić, jeśli będzie on wysysał z niego siły – Tephe zwrócił się do Ysty, który stał obok. – Powiedz mu, żeby był silny; wtedy talent szybciej wezwie Naszego Pana.

Ysta przetłumaczył to, Tschanu uśmiechnął się do kapitana, który odwzajemnił uśmiech, a potem zwrócił się do kapłana Andso.

– Znasz rytuał? – spytał kapłana.

– Mam go tutaj – odparł Andso, kładąc rękę na ciężkim kodeksie, który trzymał w drugiej dłoni. – Słowa są proste.

– Jak ma się objawić Nasz Pan? – spytał Tephe. – Przypuszczam, że nigdy dotąd tego nie robiłeś.

– Nie robiłem – przytaknął Andso. – I nie znam żadnej żyjącej osoby, która by to widziała. Niewielu jest nowych wiernych, do których można wezwać Naszego Pana. To stary rytuał, kapitanie.

Andso wypowiedział te słowa z czymś na kształt radości. Tephe rozpoznał w jego głosie ekscytację przeprowadzaniem ceremonii, której nie wykonywał nikt, kogo by pamiętali, strach przed wzywaniem Ich Pana, którego przywoływano bardzo rzadko i nigdy nie robił tego kapłan rangi takiej, jak Andso. Tephe dostrzegł, że wiara kapłana sięgnęła zenitu, połączona z przekonaniem, iż czeka go awans osobisty.

– Poprowadź rytuał, kapitanie – rzekł Tephe.

Andso spojrział na kapitana.

– Kapitanie, to jest moja część zadania – powiedział. – Prosiłeś mnie, bym pozwolił ci wykonać twoją część, tak samo ja proszę cię, bym mógł wykonać moją.

Odwrócił się od kapitana i otworzył kodeks.

Kapitan nie odpowiedział, ale przywołał gestem Ystę. Podeszli do tłumu. Wódz Tscha stał w niewielkiej odległości, patrząc na syna z nieodgadnionym dla Tephe'a wyrazem twarzy. Tephe przestał patrzeć na wodza i skupił uwagę na kapłanie, który odnalazł tekst rytuału i czytał go po cichu. W końcu skinął głową, spojrział na syna wodza i zaczął mówić.

Rytuał napisano w starszej wersji wspólnej mowy; dało się rozpoznać słowa, ale dziwnie się odmieniały, były monotonne i kojące. Kapłan wpadł w jambiczny rytm, a po kilku minutach kapitan Tephe poczuł, że trudno mu skupić uwagę, choć sam był podekscytowany perspektywą oddania tych dusz Jego Panu i patrzenia, jak Jego Pan je przyjmuje.

Syn wodza zaczął krzyczeć.

Krzyk wyrwał kapitana z zadumy; zobaczył młodego człowieka trapionego dziwnym spazmem, wygiętego do tyłu, z naprężonymi ścięgnami ciągnącymi ciało w tył, jakby wyłamywał je kat. Ciało młodzieńca powinno było upaść, ale balansowało na jednej wykręconej stopie, jakby wisiało na sznurze. Tephe spojrział na kapłana. Kodeks wypadł mu z rąk, ale nadal wypowiadał słowa rytuału, patrząc na młodzieńca szeroko otwartymi oczami. Ani kapłan, ani kapitan nie ruszali się z miejsca.

Młodzieniec wydał z siebie stłumiony okrzyk, jakby jego szczęka została nienaturalnie wypchnięta do przodu. Mięśnie, które mocowały szczękę chłopca do czaszki, zmarszczyły się i rozciągnęły do przodu; kość pękła, a na twarz kapłana Andso trysnęła fontanna krwi. Tephe usłyszał trzask. Syn wodza skręcił się, złożył w pół, jakby zamontowano mu zawiasy. Z jego ust wytrysnęła druga fontanna krwi. Chłopiec przestał krzyczeć, ale krzyk trwał nadal: tym razem wydobywał się z ust jego ojca.

Ciało tworzyło łuk: brzuch celował w niebo, palce u stóp i rąk trzeszczały jak gałęzie młodego drzewka, wbijając się w ziemię. Skóra chłopca stała się naprężona, jakby coś mocno wypychało ją od środka. Czoło dotykało ziemi, ścięgna i mięśnie szyi podrygiwały w skurczach, wykręcając twarz młodzieńca w kierunku kapitana. Kapitan spojrział w oczy

Tschanu. Czaiła się tam jakaś straszna świadomość.

Powietrze wypełniły krzyki i wrzaski. Tephe odniósł wrażenie, że wszystko wokół niego wiruje. Nikt się jednak nie poruszył. Siła, która sprawiła, że ciało chłopca złożyło się w pół, sprawiła, że wszyscy znieruchomieli. Nikt nie uciekał ani nie odwracał się.

Czerwone linie pojawiły się na całym ciele Tschanu; Tephe zrozumiał, że to skóra odpada od ciała. Pod skórą czerwone mięśnie zaczęły się rozwijać jak kawałki postrzępionej liny i zwisały nad ziemią z niewiarygodnie sztywnych kości. Po paru sekundach wygięte w łuk ciało syna wodza przybrało postać kośćca w kształcie litery „x” obwieszono skórą i ścięgnami. Resztką sił Tschanu wypuścił powietrze przez zmasakrowaną szczękę i wydał ostatni krzyk.

Z płataniny jelit Tschanu wynurzyła się ręka, wysypując wnętrzności na ziemię. Zatrzymała się na chwilę, jakby badając powietrze dookoła, i złapała za skraj ciała, gdzie pęknięta skóra stykała się ze ścianą brzucha. Druga ręka wynurzyła się i poszukała drugiego brzegu.

Ze zmasakrowanego ciała młodzieńca wydostała się istota przypominająca kształtem człowieka, pokryta krwią, limfą i żółcią. Tephe patrzył na piękną, pokrytą smugami postać, ostrożnie stawiającą stopy, by nie nadeptać na leżące na ziemi pętle jelit.

Mój bóg, pomyślał Tephe.

Ciało Tschanu, uwolnione od czaru przejścia, opadło miękko. W oczach, jeszcze przed chwilą tak świadomych, zagościła miłosierna pustka. Bóg Tephea najwyraźniej nie zwracał uwagi na powłokę, dzięki której przybył, patrząc obojętnie na zgromadzenie, które już zdążyło umilknąć. Tephe patrzył, jak Jego Pan rośnie i jaśniej. Odór ciała chłopca parował z Niego, aż Pan stał się czysty i doskonały, dwukrotnie przewyższając wzrostem człowieka.

Bóg zamrugał i rozejrzał się dookoła, patrząc na milczący i nieruchomy tłum ludzi, którzy mieli się stać jego wyznawcami; zwieszał głowę, gdyż teraz już przewyższał ich wzrostem trzy – i czterokrotnie. Tephe dostrzegł, jak Jego Pan pochyla się, wyciąga z tłumy kobietę i rozgniata ją na swej piersi, a potem wciera w siebie.

Jej ciało stopiło się z Nim jak wata cukrowa topi się, gdy włożyć ją do wody.

Nie patrząc, znów sięgnął i wybrał kolejnego nowego wiernego, po czym pożarł go tak samo, jak przed chwilą kobietę.

Požera ich dusze, pomyślał Tephe z rozpaczą. Jego Pan nigdy nie chciał, by te dusze Go czciły. Chciał się nakarmić ich przywiązaniem, oraz czystością i mocą ich właśnie zrodzonej wiary.

Jego Pan sięgnął i chwycił Tschę, wodza Cthicx.

Jestem lustrzanym odbiciem Mego Pana. To, co w nim jest doskonałe, we mnie jest niedoskonałe.

Tephe dostrzegł, że wódz na niego patrzy, gdy Jego Pan pożerał jego duszę. Z ust kapitana wydobył się szloch.

Jego Pan obrócił się; piękna, doskonała twarz spojrzała prosto na Tephe'a, po czym wolno zwróciła się w stronę gawriła i dowódcy Biskupich Ludzi porażonych strasznym widokiem oblicza Ich Pana.

– ODEJDŹCIE – powiedział do Tephe'a Pan i machnął w jego stronę rozcapierzoną dłonią, drugą ręką wciskając w Siebie kolejną kobietę.

Już na pokładzie „Sprawiedliwego” Tephe uświadomił sobie, że dzwonienie w uszach, które słyszy, jest w istocie krzykiem kapłana Andso, wysokim, piskliwym i oszalałym.

Rozdział dziewiąty

Dopiero po chwili kapitan Tephe zauważył, że ktoś do niego mówi. Uniósł wzrok, nie przerywając marszu. Neal Forn szedł obok niego, czekając na jakąś reakcję.

– Wybacz, Nealu – rzekł Tephe i szedł dalej. Odkąd grupa, która wylądowała na planecie, powróciła na pokład „Sprawiedliwego”, przemierzał okręt wzdłuż i wszerz. – Nie słyszałem, co powiedziałaś.

– Powiedziałem, że rozmawiałem z uzdrowicielem Garderem i mówi, że nie może nic zrobić dla kapłana Andso – wyjaśnił Forn. – Mówi, że nie jest to żadna szkoda fizyczna, którą mógłby uleczyć. To, co się z nim stało, dotyczy jego umysłu, a tego już talent uzdrowiciela nie obejmuje.

– Tak – mruknął Tephe i zanurkował pod niskimi drzwiami.

– Kapłan nie przebywa już w izbie uzdrowiciela – rzekł Forn, idąc za nim. – Wrócił do swojej kajuty i nie opuszcza jej. Jego akolici mówią, że przegląda księgi i mówi do siebie. Kiedy ktoś próbuje do niego przemówić, krzyczy i rzuca w niego przedmiotami, aż odejdzie. Kiedy odchodzi, znowu krzyczy i błaga, by wrócił.

Tephe chrząknął, ale nie odpowiedział. Patrzył na swoje buty, jakby analizował proces stawiania jednego przed drugim.

Forn szybko wskoczył przed kapitana, zagradzając mu drogę i uniemożliwiając dalszy ruch. Tephe zatrzymał się, wzdrygnął i spojrzął na swojego pierwszego oficera, jakby podczas tej rozmowy ujrzał go po raz pierwszy.

– Kapitanie – rzekł Forn. – Musimy coś zrobić w sprawie kapłana.

– Dla kapłana już nic nie można zrobić – odparł Tephe.

– On stracił zmysły.

Tephe uśmiechnął się, ale to nie był przyjemny uśmiech.

– Nie, Nealu – odparł Tephe. – On nie stracił zmysłów. On stracił wiarę. Kapłan, który stracił wiarę, to nie rzecz, którą można naprawić, ani człowiek, którego można uleczyć.

Próbował przejść obok Forna, ale ten stał niewzruszony, ryzykując gniewem kapitana.

– Potrzebujemy kapłana, sir. To on prowadzi rytuały zmuszające boga, by przemieszczał nas przez przestrzeń. A musimy podróżować. Mamy rozkaz powrotu na Biskupią Przystań zaraz po zakończeniu zadania. Jeśli tu zostaniemy, tajemnica tej planety może się wydać. I tak za długo tu już jesteśmy.

– Niech jeden z akolitów poprowadzi rytuały – odparł Tephe.

– To niemożliwe. Kapłan nie uczył akolitów rytuałów.

– Akolici prowadzili je razem z nim – odparł Tephe, patrząc na swego pierwszego oficera, jakby to wszystko było takie proste.

– Doskonale znają swoje role – zgodził się Forn. – Ale kapłan nie uczył ich swojej. Mam wrażenie, że Andso wyznawał raczej pogląd, że akolitów powinno się używać, a nie uczyć. Ale to nie tylko o to chodzi, sir. Gdyby nawet akolita mógł wziąć księgi i recytować słowa, to nie wystarczy, bo wyłącznie kapłan może poprowadzić rytuał wiązania. Wiesz równie dobrze jak ja, że akolita może zostać wyniesiony do kapłaństwa dopiero po uzyskaniu zgody swego kapłana, lub w razie śmierci kapłana, która powoduje konieczność wyniesienia go do stanu kapłańskiego. Nasz kapłan żyje, ale nie może udzielić zgody.

– Przecież już powiedziałem, że w sprawie kapłana nic nie możemy zrobić.

– Nie zgadzam się, sir – rzekł Forn z naciskiem. – Tak, Andso stracił wiarę. Ale uszkodzeniu uległ także jego umysł. Musimy się o niego troszczyć, zanim przejdziemy do kwestii wiary. Gdybyśmy byli w stanie uleczyć umysł, może skłonilibyśmy go do udzielenia zgody akolicie.

– Co w takim razie proponujesz? – spytał Tephe po chwili.

– Niech gołąb go pielęgnuje – podsunął Forn.

Na ustach kapitana pojawiło się coś na kształt cynicznego uśmiešku.

– Wiesz, że kapłan by tego nie przeżył. Już samo przeciągnięcie go przez próg gołębnika pogroziłoby go jeszcze głębiej w szaleństwie. A Nasz Pan zabronił gołębiowi Shallemu dotykać go. Zaczęłyby młócić rękami, jakby coś go oparzyło.

– Musimy coś zrobić! – krzyknął Forn, czym zaskoczył kapitana. Przez cały czas, jaki spędzili razem, pierwszemu oficerowi nie zdarzyło się podnieść głosu na kapitana.

Forn zaskoczył również samego siebie; rozejrzał się dookoła, sprawdzając, czy ktoś go nie usłyszał, po czym przysunął się bliżej kapitana.

– Musimy stąd odlecieć, kapitanie – wysyczał. – Z każdą minutą rośnie szansa, że nas wykryją. Z każdą minutą plotka o tym, że stało się coś, co doprowadziło kapłana do szaleństwa, może rozejść się wśród załogi. Z każdą minutą naszego pobytu tutaj wiara uchodzi z naszych ludzi.

– Niech gawrił wyśle prośbę o nowego kapłana, Nealu – zaproponował Tephe. – To potrwa kilka dni, ale wtedy będziemy mogli ruszyć w drogę.

Forn rzucił mu dziwne spojrzenie.

– Porucznik Ysta nie żyje, kapitanie. Rozmawialiśmy o tym wczoraj. Poderżnął sobie

nożem gardło tak, że o mało nie odciął sobie głowy. Zanim upadł na ziemię, już nie żył. Przecież nie mogłeś o tym zapomnieć.

Tephe rzucił Fornowi nieprzytomne spojrzenie i przypomniał sobie, że pierwszy oficer odwiedzał go poprzedniego wieczora, kilka godzin po powrocie grupy, która wylądowała na planecie. Tephe pokiwał głowę i szedł dalej.

– Tak, przypomniałem sobie – mruknął.

– Nie spałeś, odkąd wróciliśmy z planety – zauważył Forn. – Powinieneś odpocząć.

– Nic mi nie jest – odparł Tephe.

– Nieprawda, sir. Nie jesteś w najlepszym stanie.

– Słucham? – warknął rozwścieczony Tephe.

– Snujesz się po okręcie, jakby nawiedziły cię demony – odparł Forn. – Nie zwracasz uwagi na załogantów, których mijasz. Jakby byli dla ciebie duchami. Myślisz, że oni tego nie widzą? Sir, nasz gawrił nie żyje, kapłan zwariował, a ty sprawiasz wrażenie, jakbyś zamierzał dołączyć do któregoś z nich. Żaden z was nie mówi o tym, co się stało na planecie, ale żaden z nas nie jest głupi, kapitanie. Umiemy czytać mapę, jeśli ktoś ją przed nami rozpościera.

Tephe rozejrzał się, jakby chciał oglądać coś poza własnymi butami. Stali na środku szerokiego pomostu nad ładownią. Pod nimi załoga demonstracyjnie zajmowała się swoimi sprawami, nie odrywając oczu od pracy. Tephe nie wątpił, że usłyszała znaczną część prowadzonej przez nich rozmowy.

– Musisz odpocząć, kapitanie – rzekł Forn. – A kiedy odpoczniesz, musimy zająć się kapłanem. Sir, trzeba się stąd wydostać. To nie ulega wątpliwości.

Tephe milczał przez chwilę. Potem uśmiechnął się i poklepał Forna po ramieniu.

– Tak – odparł. – Tak, Nealu. Oczywiście, masz rację. Niech uzdrowiciel Omll odwiedzi mnie w mojej kajucie. Żeby odpocząć, będę potrzebował jego pomocy. Kiedy się prześpię, porozmawiam z gołębiem Shalle i zobaczymy, czy da się coś zrobić w sprawie kapłana Andso.

– Doskonale, sir – odparł Forn. Najwyraźniej poczuł ulgę.

– Czy talent Ysty został zdjęty z jego ciała? – spytał Tephe.

– Tak, uzdrowiciel Garder go zdjął – wyjaśnił Forn.

– Wybierz jakiegoś dobrze rokującego członka załogi i przekaz mu ten talent – polecił Tephe. – Najlepiej kogoś, kto nie został obdarzony samorodnym talentem.

– Bycie gawriłem wymaga treningu – rzekł Forn.

– Istotnie – rzekł Tephe. – Ale w razie potrzeby można użyć talentu. Ktoś, kogo wybierzesz, nie będzie musiał łączyć się z innym gawriłem. Wystarczy, jak wysłę sygnał alarmowy na Biskupią Przystań. Jeśli nie uda nam się uleczyć kapłana, to będzie musiało wystarczyć.

– Tak, kapitanie – odparł Forn.

– Dziękuję, Nealu. To wszystko. – Tephe zasugerował gestem, że chce iść dalej.

– Kiedy uzdrowiciel Omll ma się zjawić w twojej kajucie? – spytał Forn. Nadal stał kapitanowi na drodze.

– Wkrótce. Muszę jeszcze coś sprawdzić.

Forn skinął głową i usunął się. Tephe ruszył z determinacją.

* * *

– Czekaliśmy na ciebie – oznajmił bóg. Siedział w swoim żelaznym kręgu z rozstawionymi szeroko nogami. – Wiedzieliśmy, że w swoim czasie do nas przyjdiesz.

– Naprawdę? – spytał Tephe.

– Tak – odparł bóg. – Twoja wiara jest mocna. Ale nie tak silna, byś nie chciał się dowiedzieć pewnych rzeczy.

Tephe zignorował tę uwagę i rozejrzał się po pustej bożej komorze.

– Gdzie są twoi strażnicy? – spytał.

– Ukrywają się – odparł bóg. – Uciekli, kiedy wrócił twój świeżo pozbawiony wiary kapłan, i już nie powrócili.

– Wiesz, co się stało – rzekł Tephe. I nie było to pytanie.

– Wiem o obrzydliwości, jakiej dopuścił się wasz pan – rzekł bóg i splunął. – Czuliśmy to. Wszyscy z naszego gatunku to czuli. Nie mogliśmy się przed tym ukryć, nawet gdybyśmy próbowali.

– Nazwałeś to obrzydliwością.

– A jak miałem to nazwać? – wysyczał bóg. Pełzł w stronę kapitana, a łańcuchy zgrzytały przy każdym jego ruchu. – Wasz pan, niezadowolony ze świeżej wiary, z wiary, która sama w sobie była czymś cenniejszym niż na to zasługiwał. Nie. Niezadowolony z niczego. Powinien był dostać *coś* więcej.

– A cóż więcej mógł wziąć? – spytał Tephe.

– Głupi człowiek – rzekł bóg i coś się w nim zmieniło. – Choć może nie taki głupi, jeśli tylko mnie wysłucha.

– Nie mogę ci zaufać – mruknął Tephe. – Kłamiesz, żeby osiągnąć swoje cele.

– Kłamiemy – przytaknął bóg. – Kłamiemy, bo to, że kłamiemy, nie ma znaczenia. Twój pozbawiony wiary kapłan i jego durni pomocnicy nigdy nas nie słuchają, choćbyśmy mówili samą prawdę. Obdarowywanie takich jak oni prawdą to marnotrawstwo. Ale ty to co innego. Możemy spróbować.

– Będziesz próbował zasiać we mnie wątpliwości co do Mojego Pana.

Bóg zaśmiał się.

– Och, nie – odparł kpiącym tonem. – Nie próbowałibyśmy, ale ty już masz wątpliwości. I podsycimy tylko te, które masz.

Uniósł rękę w kierunku kapitana, jakby w geście pozdrowienia czy ostrzeżenia. Ujął ją

drugą ręką, wsunął do ust, wgrzyzł się w ciało i nie przestawał gryźć, aż złota krew oblepiła mu zęby i zaczęła kapać na żelazo. Zaciśnął mocno zranioną dłoń, by pobudzić krwawienie. Zakrwawioną ręką narysował na żelazie jakiś symbol.

– Nie rozpoznajesz tego – powiedział bóg. – Nikt z waszego gatunku by nie rozpoznał. To czar krwi – wskazał symbol. – Nasze imię. Dopóki nasze imię jest wypisane krwią, nie możemy mówić nieprawdy.

– Nie wierzę ci.

– Nie musisz wierzyć w to, co jest prawdą.

– Dlaczego miałbyś mówić mi prawdę? – spytał Tephe.

– Bo to nas bawi – wyjaśnił bóg. – A choć nie ma znaczenia, czy będziesz nas słuchał, wiem, że tak będzie.

– Jeśli to nie ma znaczenia, to nie wiem, po co miałbyś się trudzić.

– Bo powinienes choć raz przed śmiercią poznać prawdę – warknął bóg. – Wasz pan kłamie i kłamie, i karmi was kłamstwami. Wszystkie wasze komentarze, wierzenia i wiara opierają się na kłamstwach. Chcesz poznać prawdę? Oto ona. Wasz pan nie pierwszy raz nakarmił się duszami nowo nawróconych. Właśnie w taki sposób osiągnął potęgę.

– Nie wierzę ci – powtórzył Tephe. – Osiągnął potęgę pokonując każdego z was po kolei, uzbrojony w wiarę swojego ludu.

Bóg uśmiechnął się cynicznie.

– Wasz bóg był słabeuszem – rzekł. – Nie miał większej mocy niż którykolwiek z nas. A wręcz był słabszy niż większość. Każdy z nas karmi się wiarą i służy tym, którzy tą wiarą nas obdarzają, i w ten sposób jest podsycana. Ale nie wasz pan. To go nie zadowalało. Wasz pan nie podsycił wiary, wołał ją pożerać. Podróżował po wielu światach, by znajdywać ludzi, którzy jeszcze nie spotkali istot naszego gatunku. Pokazywał im tanie cuda i sztuczki. Zmuszał ich, by oddawali mu swą wiarę. A gdy czynili to z dobrej woli, pożerał ich. Tak jak tu. Kolejna planeta w jego korycie.

– Nasi ludzie nie podróżowali w kosmosie, zanim Go poznali – odparł Tephe. – Wszyscy bogowie stanęli w szranki na tej samej planecie. Na Biskupiej Przystani.

– Nie – rzekł bóg. Przymknął oczy i przez chwilę milczał, jakby przywołując wspomnienia.

– Opowiedz mi o tym – zażądał Tephe.

Bóg otworzył oczy i spojrzał na kapitana.

– Dawno temu ludzie podróżowali wśród gwiazd bez naszej pomocy – bóg potrząsnął łańcuchem – ale korzystając z mocy, jakie wasi ludzie wynaleźli dzięki własnej wiedzy. Za pomocą wynalazków stworzonych dzięki nauce, ciężkiej pracy i na przestrzeni długiego czasu.

– Byliśmy tylko na Biskupiej Przystani – powtórzył Tephe.

– Kłamstwa – wyszeptał bóg. – Twój lud podróżował wśród gwiazd. Wasz pan

odebrał wam gwiazdy, planeta po planecie, aż została tylko jedna, którą nazywacie Biskupią Przystanią. Tam znalazły się dusze, których nie pożarł od razu, lecz z których uczynił swych niewolników. Utrzymywał was w niewoli kradnąc wam przeszłość. Całą potęgę, z jakiej teraz korzystacie dzięki niemu. Żadnej nauki, tylko talenty, które działają, jeśli tego chce i na to pozwoli. Żadnej historii, tylko komentarze, pełne samonapędzających się kłamstw. Nic poza nim.

– Wystąpiłeś przeciwko niemu.

– Tak – odparł bóg. – My wszyscy.

– Było was wielu, a On tylko jeden – zauważył Tephe. – A mimo to nie zdołaliście Go pokonać.

– Zrobił coś, czego my byśmy nie zrobili – powiedział bóg. – Karmił się waszym ludem. Jego duszami.

– A dlaczego wy nie mielibyście tego robić? – spytał Tephe.

Bóg spojrział na Tephe'a kpiąco.

– Przecież to widziałeś, kapitanie. Nawet ktoś taki jak ty, całe życie karmiony kłamstwami, przykuty do bezbożności szalonego boga, musiał dostrzec w tym zło. Poczuleś to. Zrozumiałeś. To coś gorszego niż zabijanie. To anihilacja. Właśnie coś takiego robi wasz pan. I zawsze to robił.

– Nie pamiętamy, żeby coś takiego robił – rzekł Tephe.

– Bo wy nie macie pamięci – odparł bóg. – Macie tylko to, na co wam pozwoli. I nawet teraz robi to z waszymi ludźmi. Ile macie wykroczeń karanych utratą duszy? Nawet w przypadku tych, którzy otrzymali wiarę, dusza ma w sobie siłę. Twoi ludzie są dla niego paliwem i niczym więcej.

– W takim razie powinien był nas wszystkich już pożreć – zauważył Tephe.

– Wasz pan nie jest głupcem – rzekł bóg. – Wasi ludzie przetrwali, bo kiedy on nas pokonał, było was niewiele. Kiedy uczynił z nas niewolników, dostrzegł, że hodowanie sobie wyznawców jest mądrzejsze niż poszukiwanie istot, które można oszukańczo pozbawić wiary i życia.

– Ale po co? – spytał Tephe. – Jeśli nawet to kłamstwo było prawdą, nie ma ono sensu.

– Wasz pan jest szalony – oznajmił bóg. – On nie potrzebuje żadnego sensu poza słuženiem samemu sobie. Ale nie istnieje żaden inny cel. Wasz pan nas pokonał. Ale wiedział, że po jakimś czasie my nie będziemy dla niego jedynym zagrożeniem. Hodował waszych ludzi, by się przygotować.

– Do czego? – spytał Tephe.

– Do tego, co nadchodzi – odparł bóg. – Opowiemy ci o tym. Opowiemy ci o tym, a potem już niczego nie powiemy. Coś nadchodzi. A wasz pan nie jest gotowy.

Bóg wyprostował się i spojrział na kapitana.

– Wysłuchałem cię – rzekł po chwili Tephe. – I moja wiara jest nadal mocna.

– Naprawdę? – spytał bóg. – Jeszcze zobaczymy, jak zostanie poddana próbie. Zobaczymy. Dowiemy się o tym. I wtedy my wszyscy będziemy wiedzieć. To już długo nie potrwa.

Bóg opuścił dłoń i zaczął zamazywać symbol nakreślony krwią, aż stał się on nieczytelny.

Rozdział dziesiąty

Kapitana obudził dźwięk dzwonków alarmowych i krzyki oficerów rozstawiających załogę na stanowiskach. Nadal odziany w mundur z poprzedniego dnia, kapitan włożył buty i pobiegł na pokład dowodzenia.

Był tam Neal Forn, równie zmęczony, jak Tephe poprzedniej nocy.

– Pięć okrętów – powiedział, wskazując obraz, pod którym Stral Teby szeptał modlitwy.

– Wyglądają na pancerniki. Lecą prosto na nas.

– Szukali nas? – spytał Tephe, przyglądając się obrazom.

– To nie ulega wątpliwości – odparł Forn. – Zaatakowali nas od razu, jak się pojawili.

Wiedzieli, że tu jesteśmy.

– Ktoś próbował nas wywoływać? – spytał Tephe i wtedy przypomniał sobie, co się stało z Ystą.

Forn zauważył pomyłkę kapitana.

– Przekazałem talent gawriła Rhamowi Ecli – wyjaśnił, wskazując młodego chorążego, który na stanowisku łączności pokładu dowodzenia wyglądał na zagubionego. – Nie jest w stanie rozmawiać z gawriłami, którzy mogą się znajdować na pokładach tych okrętów. Ale przynajmniej będzie wiedział, jeśli ktoś spróbuje do niego przemówić. Jak dotąd nikt nie próbował.

Tephe skinął głową i spojrzał na obraz. Wszystkie kierunki, z wyjątkiem prowadzącego do studni grawitacyjnej planety, zaprowadziłyby ich w stronę któregoś z okrętów.

– Ile mamy czasu, zanim znajdziemy się w ich zasięgu? – spytał.

– Jeśli pozostaniemy w tym miejscu, to jedną wachtę – odparł Forn. – Ale wtedy będzie ich pięciu. Jeśli wystartujemy, to wcześniej, ale będzie ich mniej.

– Wolałbym ten drugi wariant – rzekł Tephe.

– Zgadzam się – przytaknął Forn.

– Panie Teby, poprosimy o zbliżenia tych okrętów – polecił kapitan. Zbliżenia pozwolą im ocenić siłę ognia każdego z tych okrętów i opracować lepszą strategię. Teby skinął głową i zmienił nieco modlitwy. Po chwili pojawił się powiększony obraz jednego z okrętów.

– To niemożliwe – wyszeptał Forn po minucie i odwrócił się.

Tephe wpatrywał się w pancernik, którego kształt rozpoznał od razu, jeszcze zanim okręt

obrócił się tak, że można było odczytać jego nazwę. To był „Święty”, okręt, na którym służył poprzednio.

– Następny okręt – rzucił Tephe. Teby wymruczał jeszcze inną modlitwę i zobaczyli kolejny z okrętów.

– „Uświęcony” – mruknął Forn. Tephe przypomniał sobie, że na nim też służył.

Następnym okrętem był „Wierny”. Potem „Poświęcony”. I „Zbawiony”.

– To nie ma sensu – zwrócił się do kapitana Forn.

– A nie przyszło ci do głowy, że mogą przybywać nam na ratunek? – spytał pierwszego oficera Tephe.

– Nie jesteśmy jeszcze spóźnieni – odparł Forn. – Nie mamy gawriła, więc nie mogli się dowiedzieć, że nasz kapłan oszalał. W każdym razie nie chcieliby ściągać na tę planetę niczyjej uwagi. I nie lecieliby w takim szyku – powiedział Forn, machając ręką w kierunku obrazu; znów widać tam było pięć okrętów, lecących w kierunku „Sprawiedliwego”.

– W taki razie zgadzasz się ze mną, że to atak – rzekł Tephe.

– Tak – odparł Forn. – Prawdopodobnie zamierzają atakować. Ale nie wiem dlaczego.

Wiesz dlaczego, pomyślał Tephe. Jesteśmy jedynymi, którzy wiedzą, co Nasz Pan zrobił na tej planecie. Którzy wiedzą, jakie są plany Naszego Pana wobec wszystkich wiernych. Jeśli nas zabiją, nikt się nie dowie.

– Sir? – zwrócił się do kapitana Forn.

Tephe otrząsnął się z zadumy. *Zaczynasz wierzyć w kłamstwa boga, pomyślał. Nie trać wiary. Skup się.* Nie wiedział, dlaczego ktoś zamierza zniszczyć „Sprawiedliwego”. Dowie się tego później. Jeśli przeżyje. Teraz musi zrobić wszystko, by okręt przetrwał.

– Ruszamy w stronę „Świętego” – polecił. – Został uszkodzony podczas potyczki pod Endsa, kiedy byłem pierwszym oficerem. Ma słabszą konstrukcję na bakburcie.

– Byłeś pierwszym oficerem dawno temu – zauważył Forn. – Od tego czasu okręt pewnie przeszedł niejeden remont.

– To dobry moment, by wykazać trochę wiary, Nealu – rzekł Tephe.

– Tak jest, sir – odparł Forn i wydał rozkaz.

– Powiedz załodze, że okręt, który chce nas zaatakować, został przejęty przez bezbożnych – dodał Tephe. – Nie będziemy atakować okrętów Naszego Pana. Odzyskamy je dla Niego, a jeśli to będzie konieczne, zniszczymy je.

– Tak jest, sir – odparł Forn i zaczął wydawać rozkazy załodze. Tephe zastanowił się przez sekundę, czy załogom pięciu okrętów, pędzących w ich stronę, powiedziano to samo o „Sprawiedliwym”.

* * *

Bakburta „Świętego” była nadal osłabiona. „Sprawiedliwy” oddał salwę natychmiast, gdy

znalazł się w zasięgu strzału, zaskakując „Świętego” i jego załogę. W burcie pojawiło się wielkie rozdarcie. „Sprawiedliwy” wykonał unik, uciekając przed chaotycznym kontratakiem i oddalił się poza zasięg przeciwnika tak szybko, jak się w nim znalazł.

– Powinniśmy go wykończyć – rzekł Forn.

– Nie mamy za dużo pocisków – odparł Tephe, przyglądając się obrazowi bitwy. – Jest uszkodzony, unieszkodliwiony i za nami, a nasz bóg nie ma niewyczerpanych mocy. Patrz – powiedział, wskazując na trajektorię „Sprawiedliwego”. – Nabraliśmy dystansu do „Wiernego” i „Uświęconego”, a „Poświęcony” i „Zbawiony” są jeszcze dalej za nami. Jeśli utrzymamy tę prędkość, nie dogonią nas.

– Aż ich bogowie odzyskają siły, a wtedy pojawią się tuż przed nami – mruknął Forn.

– To wystarczy, żeby doprowadzić naszego kapłana do stanu używalności – rzekł Tephe.

– Albo go zabić – dodał Forn i zauważył spojrzenie, jakim obdarzył go kapitan. – Jeśli ocali okręt, kapitanie, zrobię to, i odpowiem za to przed Naszym Panem. Warto poświęcić jednego kapłana, by ocalić załogę.

– A twoją duszę? – spytał Tephe.

– Sam się będę martwił o moją duszę, kapitanie. Raczej martw się o to, żebyśmy pozostawali poza zasięgiem tych okrętów.

Tephe uśmiechnął się i odwrócił w stronę obrazu w samą porę, by dostrzec, jak cztery okręty pojawiają się wzdłuż trajektorii „Sprawiedliwego”.

Forn dostrzegł wyraz twarzy kapitana i spojrzał na obraz.

– Och, do licha – rzekł.

Wiedzieli, pomyślał Tephe. Wiedzieli, że będę próbował unieszkodliwić „Świętego”. Specjalnie mi go podłożyli, żeby mnie zwabić. Teraz nie mamy dokąd uciec. Zabiłem moją załogę.

Nie, odezwał się jakiś głos w jego głowie; przypominał mu trochę głos boga „Sprawiedliwego”. Nie zabiłeś ich. Twój ukochany pan to zrobił.

W tej chwili kapitan Ean Tephe stracił wiarę. Na krótką chwilę.

Na całym „Sprawiedliwym” migotały światła. Załoga na mostku informowała kapitana o zawodzących kolejno układach okrętu.

Tephe poczuł pod podszwami butów wibrację, głęboką i dudniącą, pochodzącą gdzieś z samych trzewi „Sprawiedliwego”. Raz, dwa, trzy. Aż ustała.

Tephe przypomniał sobie, co kapłan Andso mówił, tak niedawno: *pielegnujcie swoją wiarę. Gdyby wszyscy oficerowie na tym okręcie byli tacy jak ty, Zhańbieni już dawno wymknęliby się ze swoich więzów.*

– Nie – powiedział do siebie Tephe, słysząc, jak załoga wykrzykuje doniesienia o kolejnych awariach układów.

Krzyki nagle ustały, jakby stało się coś jeszcze bardziej godnego uwagi.

Tephe obrócił się i zobaczył przed sobą Shalle’a.

– Wyszedłeś z gołębnika – powiedział głupio Tephe.

– Nie tylko ja nie jestem na swoim miejscu, kapitanie – odparł Shalle. – I z tych dwóch przypadków powinienes się zająć raczej tym drugim.

* * *

Podążanie za bogiem było łatwe. Tephe kroczył szlakiem krwi i ciał, i odległych wibracji kroków boga.

Musisz natychmiast iść do komory boga, powiedział Shalle, gdy weszli do jego kajuty, do której Shalle ich w pośpiechu zaprowadził. *To jedyne miejsce, w którym można go zatrzymać na tyle długo, bym zrobił to, co zrobić muszę.*

Co masz na myśli?, spytał Tephe.

Nie musisz wiedzieć, co mam na myśli, Eanie, odparł Shalle; znalazł osobisty sejf kapitana i otworzył go. Tephe nie przypominał sobie, by komukolwiek zdradzał szyfr. *Musisz tylko robić, co ci każe.*

To ty, powiedział Tephe. *To ty jesteś szpiegiem biskupów na „Sprawiedliwym”.*

Nie, odparł Shalle i wyjął małą szkatułkę. *Jestem gołębiem Naszego Pana. Nie wypełniam rozkazów kapitanów ani biskupów, choć służę i tym, i tym, kiedy Nasz Pan nie ma dla mnie innych zajęć. A teraz chce, bym zrobił właśnie to.*

Shalle otworzył szkatułkę i wręczył Tephebat, który znajdował się w środku. *Żelazo z pierwszego przerozu*, rzekł Shalle. *Bóg będzie się go bał nawet teraz. Użyj go. Zapędź go z powrotem do komory, Banie. Nie mamy dużo czasu. Te okręty zaatakują nas szybciej niż ci się wydaje. Ruszaj.*

Dokąd idzie bóg?, spytał Tephe.

Przecież wiesz, odparł Shalle. *Na tym okręcie jest ktoś, kogo lubi jeszcze mniej od pozostałych. Idź*, Shalle opuścił kajutę i ruszył w stronę bożej komory.

Tephe dogonił boga tam, gdzie spodziewał się go znaleźć. Był tam już kapłan Andso. Z pewnej odległości wyglądało to, jakby bóg obdarzał kapłana długim i namiętym pocałunkiem. Gdy kapitan zbliżył się, pocałunek zmienił się w coś zupełnie innego. Bóg oderwał kapłanowi szczękę i niespiesznie pożerał jego język. Tephe miał nadzieję, że kapłan już nie żyje.

Wszędzie leżały poskręcane ciała akolitów i ciśnięte niedbale piki. Ciała nie miały głów. W korytarzu cuchnęło krwią.

Bóg bawił się czymś na piersi kapłana. Był to talent, którego od tak dawna pragnął.

Między kolejnymi kęsami bóg wzdychał i głaskał talent. Gdy tak robił, jego ciało przekształcało się i zmieniało. Uwolniony od ograniczeń bóg przybierał znów własną postać.

Najwyraźniej nie zauważył, że Tephe za nim stoi. Tephe obejrzał się, próbując sobie wyobrazić trasę prowadzącą do bożej komory. Najciszej jak potrafił podszedł do boga na

długość ciosu.

Bądź przy mnie, Mój Panie, powtarzał w myślach.

Tephe wymówił imię boga, po raz pierwszy i ostatni.

Bóg obrócił się, a bat sięgnął jego twarzy, rozcinając policzek i powiekę i przebijając gałkę oczną z donośnym trzaskiem. Bóg zawył i zasłonił okaleczoną twarz, zrywając z trupa kapłana talent. Talent zamigotał w powietrzu. Tephe śledził go wzrokiem przez moment, ale potem bóg zgiął się, pośliznął na krwi pokrywającej podłogę korytarza i upadł z hukiem, i kapitan stracił talent z oczu.

Tephe nie czekał, aż bóg wstanie. Pobiegnął w stronę bożej komory.

Po kilku sekundach bóg był tuż za nim. Uderzał o grodzie, krzyczał coś w swym straszliwym bożym języku; kapitan miał wrażenie, że słowa chłosczą go jak smagnięcia batem. Dwukrotnie poczuł ostre pazury na plecach i szyi. Tylko doskonała znajomość okrętu i rany, jakie zadał bogu kapitan, uniemożliwiły istocie schwytywanie kapitana i zabicie go przy samej bożej komorze.

Kapitan zobaczył otwarte odrzwia bożej komory. Skoczył w tym kierunku, spoglądając przez ramię, by zobaczyć, co stało się z bogiem.

Ten zmienił się w coś przypominającego owada. Dwoje wielkich oczu, jedno rozcięte, patrzyło na kapitana bez jednego mrugnięcia, jak demoniczne klejnoty. W miejscu, gdzie kiedyś były brwi, znajdował się rząd małych oczu składających się z pręcików. Szczęki rozrosły się, przybierając kształt kłapiących obcęgow. Ramiona rozszczepiły się, a zamiast palców wyrosły ostrza.

Tephe smagnął jeszcze raz batem, jakby od niechcenia. Bóg chwycił ramię, owinał go wokół ramienia i wyszarpnął bat z ręki kapitana. Cisnął go na bok i rozłożył ramiona; ostrza błysnęły, jakby przygotowując się do rozszarpania Tephea na kawałki.

Shalle wkroczył do komory i wypowiedział jedno słowo, które sprawiło, że bóg przeleciał przez całą komorę i uderzył w przeciwległą ścianę. Tephe spojrzał zaskoczony na swojego kochanka.

– Zamknij odrzwia – polecił Shalle, patrząc na boga. – Weź bat. Pomóż mi.

Tephe pokuśtykał do odrzwi i zobaczył Neala Forna na zewnątrz.

– Pozostałe okręty przestały się zbliżać – powiedział Forn.

– Ich bogowie czekają – odparł Tephe.

– Na co? – spytał Forn.

Tephe zamknął odrzwia.

Rozdział jedenasty

– Nie pozwól mu się wydostać – powiedział Shalle. – I niech nie zbliża się do wyjścia.

– Nie – odparł Tephe. Bóg skoczył w kierunku Shalle'a, który wymówił jedno słowo i bóg zatoczył się pod ścianę, wyjąc z bólu.

– Zapędź go do żelaznego kręgu! – krzyknął Tephe. Bóg zanurkował cios w kierunku kapitana. Ten strzelił z bata, szybko i precyzyjnie. Bóg cofnął się i skierował uwagę na gołębia; powstałe z palców ostrza drżały. Tephe wykonał krok do przodu, gotowy. Bóg czekał na odpowiedni moment, by uderzyć.

– Krąg został przerwany – powiedział Shalle. – Zbyt wielu członków załogi straciło wiarę. Przerwanego kręgu nie można odtworzyć. Ten bóg nie jest już niewolnikiem. Trzeba go zabić.

Bóg zawył i skoczył w stronę Shalle'a. Tephe krzyknął i smagnął batem. Rzemień trafił boga w brzuch i posłał go na pokład. Tephe smagnął go jeszcze raz, i jeszcze. Zamierzył się po raz trzeci i poczuł, że Shalle trzyma go za rękę.

– Dość – warknął Shalle.

– Powiedziałeś, że ma być zabity.

– Tak – odparł Shalle i uśmiechnął się. – Ale nie powiedziałem, że przez ciebie. Osłabiłeś go na tyle, że będę mógł go związać. Starczy.

Leżący na podłodze bóg pluł krwią i przemówił ustami, które już nie nadawały się do wypowiedzania słów.

– Durnie. Wszyscy dziś umrzecie. Ten okręt zostanie zniszczony, bez względu na to, czy mnie zabijecie, czy nie. Wasz pan na to pozwolił.

– Może – odparł Shalle. – Ale to było jeszcze zanim się uwolniłeś. Gdyby okręt został zniszczony, a ty przebywałbyś w kręgu, nadal byłbyś Jego niewolnikiem i Nasz Pan mógłby cię zabrać, gdyby chciał. Ale teraz jesteś wolny. Jeśli „Sprawiedliwy” zostanie zniszczony, możesz uciec. Nasz Pan raczej wolałby, byś zginął. Co do tego nie mam wątpliwości. Spokojnie – Shalle wypowiedział jeszcze jedno słowo, a bóg zeszytywniał i leżał nieruchomo. – Leż spokojnie, istoto. Twój los zaraz się wypełni. – Gołąb spojrzał znów na kapitana.

– Wiedziałeś, że „Sprawiedliwy” zostanie zniszczony po wykonaniu tej misji – odezwał się Tephe.

– Nie. Nie wiedziałem. Ale teraz wcale nie jestem tym zaskoczony.

– Nie sprawiasz wrażenia, jakbyś się tym przejmował – rzekł Tephe, a w jego głosie zabrzmiała nuta, która nigdy dotąd się nie pojawiała w rozmowach z Shallem: wyrzut.

– Nasze żywoty należą do Naszego Pana, Eanie – odparł lekkim tonem Shalle i dotknął jego twarzy. – Któregoś dnia i my przed Nim staniemy i zostaniemy osądzeni. Czy naprawdę byłoby źle, gdyby miało *to* nastąpić dziś? Pomogliśmy Naszemu Panu umocnić się w obliczu Jego wrogów. Dotrzyśmy tajemnic związanych z Jego Panowaniem, by Jego pokój mógł trwać.

– Pokój oparty na oszustwie – mruknął Tephe.

– Mówienie wiernym tylko tyle, ile im potrzeba do podsycenia wiary, nie jest oszustwem. Nasz Pan nie kłamał.

– Nie kłamał? – spytał Tephe, nieprzekonany. – Nasz Pan pożerał dusze nowych wiernych, Shalle. Biskupi powiedzieli, że ci ludzie mają zostać nawróceni, nie zabici!

– W takim razie to biskupi cię okłamali, Eanie – odparł Shalle i dotknął palcem u nogi leżącego boga. – I on. Wiem, że rozmawiałeś z nim sam na sam. Przypuszczam, że wiem, co ci powiedział. Opowiastkę o Naszym Panu jako zbrodniarzu, szalonym bogu? Prawda?

Tephe skinął głową. Shalle uśmiechnął się i dotknął go ponownie.

– Ten bóg to krętacz, Eanie. Wyczuł, co Nasz Pan zrobił w pilnej potrzebie. Wiedział, że zwątpisz w swą wiarę, a wiara załogi zostanie poddana próbie. I wiedział, że może przerwać żelazny krąg osłabiając wiarę twoją i załogi. Pomyśl, Eanie. Wiedział o tym wszystkim. I kłamał. Czy naprawdę sądziłeś, że powie ci prawdę?

Leżący na pokładzie bóg wydał świszczący, wysoki odgłos. Tephe rozpoznał go: śmiech, gorzki i chłodny.

– Twoja wiara została poddana próbie – rzekł Shalle. – Przeszedłeś przez tę próbę zwycięsko. A teraz zostaniesz nagrodzony.

– Mój okręt i moja załoga zostaną zniszczone w imię tajemnicy Naszego Pana. Nie czeka nas żadna nagroda. Przynajmniej w tej kwestii bóg mówił prawdę.

– Nie. Wiem o czymś, czego on nie wie – Shalle wcisnął coś do ręki Tephe’a. Ten spojrzał na przedmiot.

– Twój talent – rzekł Tephe.

– Tak – odparł Shalle. – Spójrz na niego i powiedz mi, co widzisz.

Tephe przyjrzał się symbolowi na talencie. Wydawał mu się znajomy, ale nie był w stanie go zidentyfikować. Aż spłynęło na niego olśnienie i doznał wrażenia, że serce mu stanęło.

– To talent wejścia – powiedział.

– Tak – przytaknął Shalle i odebrał mu talent. – Ale to coś więcej. To także talent zobowiązania. Gołąb robi dla Naszego Pana wiele rzeczy, Tephe. Pociesza załogę. Jest Jego oczami i uszami. Dotrzymuje Jego tajemnic. W razie potrzeby zwracamy się do Niego i stajemy się drzwiami, przez które wkracza. W zamian otrzymujemy dar. Kiedy go wzywamy, możemy go o coś poprosić. Możemy wyrazić życzenie. Poprosić o spełnienie obietnicy. Zgodnie z ustanowionym przez Niego prawem, musi je spełnić.

– Zamierzasz Go tu wezwać – wyszeptał Tephe.

– Tak, aby rozprawić się z tym bogiem. A przy tym poproszę o spełnienie mojego życzenia. Pragnę, byś ocalał, a także „Sprawiedliwy” i wszyscy wierni na jego pokładzie.

– Wszyscy z wyjątkiem jednego – rzekł Tephe.

– Tak – odparł Shalle. – Wszyscy z wyjątkiem jednego, Eanie.

– Nie rób tego, Shalle. Ja zabiję tego boga.

– A potem pozwolisz się zabić któremuś z tych okrętów? – Shalle uśmiechnął się i

pocałował Tephea. – Głuptasku. Nie słuchałeś uważnie ani słowa z tego, *co* mówiłem. Nasze żywoty należą do Naszego Pana. Pogodziłem się już z tym, że dziś umrę, Eanie. W taki lub w inny sposób. W ten sposób będę mógł cię ocalić. I ten okręt, i załogę, którą kochasz. Będziecie żyć dzięki mnie. I ta myśl mnie pociesza. Wiesz, jaki jestem w tych sprawach.

– Wydawało mi się, że wiem.

Shalle znów pocałował Tephe'a, trzymając w dłoniach jego twarz.

– Nikt z nas nie jest w całości tym samym, kim jest dla innej osoby. Już ci to raz powiedziałem. Przykro mi, jeśli ci się wydawało, że znasz mnie dobrze. Ale teraz wiesz, jaka jest prawda. Kocham cię.

Ostatni pocałunek i gołąb odstepił od kapitana.

– Żegnaj, Eanie – rzekł Shalle, uśmiechnął się i wypowiedział jedno słowo.

Tephe odwrócił się, gdy ciało Shalle'a zaczęło się rozpadać.

Gdy spojrział znów, przez łyzy, Jego Pan stał tam, wysoki jak na Cthicx, patrzący na niego z łagodnym zainteresowaniem. Tephe cofnął się, oddalając się od leżącego na pokładzie boga, zakładając, że Jego Pan będzie nim zainteresowany. Ale tak nie było. Patrzył wciąż na kapitana.

POWINIENES' JUZ NIE ZYC' – usłyszał w głowie Tephe.

– Nie, Panie – odparł Tephe. – Twój gołąb Shalle pragnął, byś oszczędził mnie, mą załogę i mój okręt. Masz obowiązek spełnić to życzenie.

NIE – usłyszał Tephe i powietrze zakotłowało się wokół niego. Jego Pan chwycił go niedbałym gestem, jakby kapitan był małym chłopcem, i najwyraźniej zamierzał pożreć jego duszę.

Tephe spojrział na Swego Pana, który teraz wyciskał z niego życie, i zrobił coś, czego nigdy by się po sobie nie spodziewał w ostatnich sekundach swego życia. Roześmiał się, zgnieciony i zmiażdżony, gdy żebra zaczęły mu pękać.

I odkrył, że nie tylko on się śmieje.

Leżący na pokładzie bóg „Sprawiedliwego” wydał z siebie zduszony śmiech. Pan Tephe'a, zdezorientowany, spojrział na leżącego boga. Bóg obrócił się i pokazał trzymany w palcach-ostrzach talent. Talent, który Tephe zabrał kobiecie na ulicy, a następnie bóg – kapłanowi Andso. Tephe przypuszczał, że talent ten pochodzi od boga, ale teraz zrozumiał, że tak nie było.

Rozpoznał, że to talent wejścia.

Bóg nie może być bramą dla innego boga, pomyślał Tephe i wtedy bóg wymówił jedno słowo przypominające grzmot, a całe pomieszczenie wypełniło nieznośne białe światło.

Tephe wysunął się z uścisku Swego Pana i uderzył o ścianę bożej komory, miażdżąc te żebra, które nie były jeszcze złamane. Z ust pociekła mu krew i upadł na podłogę.

Kiedy był w stanie otworzyć oczy, zobaczył Swego Pana, opartego plecami o ścianę, syczącego na istotę wydobywającą się z wijących się szczątków stworzenia, które było

bogiem „Sprawiedliwego”. Istota wyglądała jak nieostra, była oślepiająco biała i niewypowiedzianie piękna.

Bogowie też mają bogów, pomyślał Tephe i spojrzał, jak Jego Pan spłoszył się na widok istoty, która znalazła się przed Nim. *I mój boi się Jego*.

Jego Pan próbował się prześliznąć nad lub pod tą nową istotą, ale za każdym razem, gdy podejmował taką próbę, wykwitała nowa macka, która chyba Go parzyła, straszyla lub drwiła z Niego. Nowa istota parla w Jego stronę, wolno lecz uporczywie.

W końcu Pan Tephe a przestał podejmować próby ucieczki. Odchylił głowę do tyłu i wydał krzyk, który doprowadził Tephe a na skraj szaleństwa. Tephe także zaczął krzyczeć.

Pan Tephea zmieniał kształt, z pięknego mężczyzny, jakim zawsze się jawił, na coś pierwotnego i potężnego, brzydkiego i odrażającego – teraz Tephe wiedział, że taki był w rzeczywistości Jego Pan, zanim spotkał ludzi, których uczynił Swym ludem.

Nowa istota przestała napierać na Pana i cofnęła się, rozpościerając swoje wypustki, jakby chciała Go objąć, lub zachęcała Go do zrobienia kroku w jej stronę.

Pan wyglądał teraz, jakby składał się wyłącznie z ostrzy i rzucił się na nią, wydając odgłos przypominający lament. Nowa istota nadal tkwiła w pozycji otwartej, jakby zapraszała Go do siebie, a potem zawirowała i zamknęła się z metalicznym traskiem.

Kawałki Pana Tephe a poleciały na wszystkie strony, zbryzgując wszystko bożą krwią.

Tephe doznał wrażenia, jakby w jego głowie coś się rozdarło i pękło: w chwili, gdy Jego Pan zgiął, miejsce, gdzie tkwiła jego wiara, gdzie mieszkał Jego Pan, opuściło go.

Dookoła rozlegało się stłumione wycie; Tephe wiedział, że tak krzyczy załoga „Sprawiedliwego”, gdy Jej Pan się rozpadał, zabierając ze sobą ich wiarę i talenty. Kapitan Tephe zamknął oczy i próbował pozostać przy zdrowych zmysłach w osamotnionym zawrocie głowy, jaki ogarnął jego duszę.

* * *

Po czasie, który wydawał się wiecznością, Tephe otworzył oczy i dostrzegł nową istotę unoszącą się nad nim, jakby mu się przyglądała. Tephe nie miał pojęcia, co robić, postanowił więc na nią nie patrzeć.

Po jakimś czasie nowa istota odleciała. Najpierw zawisła nad porzuconym na pokładzie batem. Wyglądała, jakby przez chwilę go badała, a potem chwyciła go wypustkami i zaczęła rozrywać na strzępy. Bryłki żelaza opadały z cichym stukotem na pokład. Boża skóra i kości znikły.

Zakończywszy tę pracę, nowa istota przemieściła się znów, tym razem nad zwłoki boga „Sprawiedliwego”. Podobnie jak w przypadku bata, wyciągnęła macki, ale tym razem zaczęła przesuwać kawałki i strzępy ciała, formując z nich kopczyk.

Po chwili przybrał on kształt. Kształt boga takiego, jakim był przedtem.

Forma zaczęła oddychać.

– On żyje – rzekł do siebie Tephe.

TAK, powiedział głos w jego głowie, ciepły, zachęcający i absolutnie przerażający. BOGÓW TRUDNO ZABIĆ. NAWET WASZ BÓG NIE JEST CAŁKIEM MARTWY. ZABIERZEMY GO. A POTEM ZWRÓCIMY. CZEKA GO KARA ZA TO, CO TAK DŁUGO ROBIŁ WASZEMU LUDOWI I SWEMU.

– A co się stanie z jego wyznawcami? – spytał Tephe drżąc.

BĘDĄ ŻYĆ, JAK POWINNI BYLI ŻYĆ ZAWSZE, odparł głos. BEZ UŁUDY I CIERPIENIA I BEZ FAŁSZYWYCH OBIETNIC CZEGOŚ WYKRACZAJĄCEGO POZA TO ŻYCIE. WASZ PAN NIE BYŁBY W STANIE DAĆ WAM NICZEGO WYKRACZAJĄCEGO POZA TO ŻYCIE. WASZ PAN KŁAMAŁ I KARMIŁ SIĘ WASZĄ WIARĄ W JEGO KŁAMSTWA. WIARA NIE DOTYCZY TEGO, CO MA NASTĄPIĆ PO TYM ŻYCIU WIARA DOTYCZY TYLKO TEGO ŻYCIA.

Tephe pomyślał o Shalle'u i innych, którzy wierzyli w Ich Pana i życie po śmierci. Płakał po nich, najbardziej oplakując Shallea.

– A co z nami? – spytał wreszcie Tephe. – Co z załogami tych okrętów?

UMRZECIE, odparł głos. TY I CI WSZYSCY, KTÓRZY PODRÓŻUJĄ Z TYMI BOGAMI. ONI SĄ JUŻ WOLNI OD WIĘZÓW. ZOSTAWIĄ WAS TU, GDZIE JESTEŚCIE, A WASZE OKRĘTY STANĄ SIĘ ZIMNE, CIEMNE I PUSTE. LUDZIE, KTÓRZY TU SĄ, ZGINĄ W CHŁODZIE, CIEMNOŚCI I PRÓŻNI. WSZYSCY Z WYJĄTKIEM LUDZI NA TYM OKRĘCIE.

– A jak my zginiemy? – wyszeptał Tephe.

STANIECIE SIĘ POŻYWIENIEM, odparł głos. TEN BÓG OBUDZI SIĘ GŁODNY. ZANIM ODEJDZIE, POŻYWI SIĘ. ALE NIE SMUĆCIE SIĘ. TEN BÓG NIE POŻRE WASZYCH DUSZ.

– Ale dlaczego? – spytał z naciskiem Tephe. – Co się stanie z naszymi duszami? Dokąd pójda? Co tam się stanie?

Nowa istota zamigotała i znikła, pozostawiając wskrzeszonego boga „Sprawiedliwego”. Bóg odetchnął, obrócił głowę w kierunku Tephea i otworzył szeroko szczęki.

Tephe cofnął się niezdarnie, obrócił i pobiegł w kierunku (odrzwi boże) komory. Szarpnął je i otworzył, pomimo bólu w zmiażdżonej klatce piersiowej. Z tyłu usłyszał, jak bóg wstaje. Z odgłosu domyślił się, że rozwiera szczęki. Tephe zamknął odrzwia, kątem oka dostrzegając, jak bóg stawia niepewne kroki w jego stronę.

Na pokładzie całego okrętu migotały światła, a Tephe usiłował dotrzeć na pokład dowodzenia, idąc wolniej niż chciał. Dookoła niego załoganci biegali jak oszołomieni, lub siedzieli na pokładzie i szlochali. Tephe parł do przodu, a powietrze stawało się coraz rzadsze i chłodniejsze. Z tyłu usłyszał krzyki i stukot wolnych kroków.

Dotarł na pokład dowodzenia dokładnie w chwili, gdy „Sprawiedliwy” pogрузzył się w

ciemnościach.

– Kapitanie – odezwał się Neal Forn. – Żaden z naszych układów nie działa. Nie mamy zasilania.

– Wiem – odparł Tephe i wskazał gestem drzwi pokładu dowodzenia. – Zamknijcie te grodzie – zwrócił się do załogi na pokładzie dowodzenia. – A kiedy będą zamknięte, zablokujcie je. Czymkolwiek. Szybko.

Na rozkaz kapitana załoga przystąpiła do pracy. Drzwi pokładu dowodzenia zamknięto. W korytarzach na dole rozległy się krzyki. Słyszeć je było coraz bliżej.

Forn podszedł bliżej.

– Kapitanie, co się dzieje? Wszyscy coś poczuliśmy...

– Nasz Pan nie żyje, Nealu – odparł Tephe. – Widziałem, jak umiera. Wszyscy bogowie, których zniewolił, odzyskali wolność. Opuszczają okręty.

– Załogi zginą bez bogów – wyszeptał Forn.

– Tak – odparł Tephe. – Prędzej czy później.

Krzyki słyszeć było już bardzo blisko pokładu dowodzenia.

– A my, kapitanie? – spytał Forn.

– My zginiemy wcześniej – odparł Tephe i spojrzał w kierunku drzwi pokładu dowodzenia. Dobiegł stamtąd odgłos przypominający pobrzękiwanie ostrzy. – Przykro mi, Nealu. Zginiemy o wiele wcześniej.

W drzwi uderzyło coś potężnego, i jeszcze raz. Wybrzuszyły się, jakby wykonano je z gumy.

– Co mamy robić? – zwrócił się do kapitana Forn.

Drzwi wyleciały z zawiasów. Kapitan Ean Tephe obrócił się w kierunku przyjaciela.

– Modlić się.

Przełożyła Jolanta Pers

Ted Kosmatka

BOŻA MASZYNERIA

Zabijesz się, gdy będziesz miał trzynaście lat. Twój pierwszy dar wotywny, jak nazwiesz to w pozostawionym liście. A napiszesz tak, bo zdajesz sobie sprawę, że tylko ja zrozumieję, co chcesz tym przekazać. I ponieważ wiesz, jak dogłębnie zrani mnie lektura tych słów.

Powiadomią mnie o tym przez interkom, przerywając spotkanie z fizykami, i zobaczę na dziedzińcu twe powykrzywiane pod najprzeróżniejszymi kątami ciało, leżące w otoczeniu drobinek różu i czerwieni, kawałeczków twego drogocennego mózgu, porzucanych tu i ówdzie po betonie niczym garść drobniaków. I zobaczę sanitariuszy, usiłujących reanimować coś, co zupełnie nie przypomina już chłopca. W napisanym później raporcie stwierdzą po prostu, że upadku z trzeciego piętra nie da się pogodzić z ciągłością ludzkiego życia. *Nie da się pogodzić*, pomyślę, raz za razem powtarzając to sobie w myślach. *Nie da się pogodzić*. A później zapakują cię w worek, dokładnie uprzątając teren, po czym zwołają kolejne zebranie, mające rozstrzygnąć, co też tym razem poszło nie tak.

I następnego dnia posadzą mnie przy długim stole, gdzie usilnie będę się zachowywał jakby nic się nie stało, równocześnie dławiąc się zachowywanymi dla siebie słowami, którymi nie podzielę się z żadnym z otaczających mnie ważniaków. A tamci będą siedzieli z wbitym we mnie wzrokiem, zza ich pleców, przez zajmujące niemal całą ścianę okno na rozległy dziedziniec, będzie się wlewało do pomieszczenia światło poranka. To okno na dziedziniec, ten mój punkt widokowy, znajduje się dokładnie piętro poniżej miejsca, z którego skoczyłeś dzień wcześniej. I odpowiem facetom w garniturach na pytania dotyczące wyłożonych przez nich pieniędzy, tym w białych fartuchach laboratoryjnych na temat możliwości istnienia jakiejś niewykrytej rekombinacji somatycznej, a tym w swetrach w kwestii ich pieprzonego jungowskiego rewizjonizmu i jakże dogodnie stawianych *post mortem* diagnoz dotyczących fazy zwiastującej. A kiedy John Sabrams wspomni po raz kolejny o utajnionych czynnikach zakłócających eksperyment, podejmę próbę pozbawienia go życia za pomocą lekkomyślnie

wyprowadzonego sierpowego, który co prawda zwali go z nóg i pozbawi przytomności, lecz wciąż pozostawi żywym – i nim zdążę zaradzić tej nedoróbce, Stephenowi uda się przyblokować mnie od tyłu, a wszyscy zgromadzeni w pomieszczeniu ławą zwałą się na mnie, krzyczącego ile sił w płucach: „Nie da się pogodzić!” i wywracającego kopnięciami skórzane krzesła sali konferencyjnej. I wtedy, gdy moja miazdżona twarz będzie wciskana w jasnobrązowy dywan podłogi, zdołam jednym okiem dostrzec precyzyjną odwróconą parabolę, kreśloną przez spadającą na podłogę kartkę papieru.

Lecz oni wciąż będą twierdzić, że to ty zwariowałeś.

* * *

Deska rozdzielcza jarzyła się w ciemności zielenią.

Skupiłem się na odbieraniu drogi, delikatnych drganiach trzymanej w dłoniach kierownicy. Z uporem starałem się nie myśleć o niczym. Wzgórza przepływające za oknem samochodu wciąż trwały w mroku pod ciężarem napierającej na nie purpury powoli rozkwitającego na niebie pierwszego brzasku. Spędziłem za kółkiem niemal całą noc.

Przy budce strażnika przywitała mnie umundurowana postać o młodej, bliżej nieznaney mi twarzy. Strażnik spojrzał na mnie, potem na mój dokument tożsamości, po czym ponownie przyjrzał się mojemu obliczu. Zmrużył oczy, lecz wreszcie, koniec końców, oddał mi przepustkę i ruchem dłoni nakazał przejeżdżać. Przelotnie spojrzałem na laminowaną kartę nim schowałem ją do portfela. Nie ma co się dziwić, przeszło mi przez myśl. Z plastikowego prostokąta spoglądała na mnie twarz dużo młodszego mężczyzny. Pora na wyrobienie sobie nowej przepustki. Ile to już minęło? Sześć lat? Osiem, zdecydowałem wreszcie. Chłopiec miał już osiem lat.

Wjeżdżając na teren ośrodka, uderzyła mnie fala *déjà vu*. Te budynki nigdy się nie zmieniały. Te same niezmiennie szare mury, otoczone tymi samymi, pieczołowicie wypielęgnowanymi terenami zieleni. Miejsce przywodziło na myśl plac kampusowy jakiegoś niewielkiego uniwersytetu. Z tym tylko wyjątkiem, że tutaj zajmowano się zaledwie jednym uczniem. I to bardzo wyjątkowym.

Doktor Sidaque czekał już na mnie w lobby. Widać było, że stan jego chromej kończyny pogorszył się od naszego ostatniego spotkania. Reumatoidalne zapalenie stawów. Jednak wyciągnięta na powitanie dłoń, wciąż zapewniała równie pewny uścisk jak kiedyś.

– Witamy, doktorze Michaels – usłyszałem na powitanie.

– Jak się ma chłopiec? – spytałem.

– Zgodnie z oczekiwaniami. Żaden z nich nie radził tu sobie za dobrze przez kilka pierwszych nocy, lecz zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by poczuł się komfortowo. Okres adaptacyjny bywa trudny.

– Całe to przedsięwzięcie do takich należy.

– Tak, cóż, nic na to nie poradzimy. Zaprowadzić cię do pokoju?

– Chciałbym się z nim zobaczyć.

Gdy doktor Sidaque prowadził mnie przez budynek, po raz kolejny uderzył mnie znajomy wygląd mijanych przedmiotów. Jakbym nigdy stąd nie wyjeżdżał.

– Ile już wie? – zapytałem.

– Standardowo. Nie wprowadziliśmy żadnych odstępstw od protokołów.

Tak, oczywiście. Protokoły. Nasze reguły postępowania. Niczego nie pozostawiono przypadkowi. Socjologowie przed dekadami opracowali i zapisali scenariusze, w których każdy z nas miał jakąś rolę do odegrania.

Wszedłem za doktorem Sidaque do pokoju zabaw. Zauważyłem, że wymieniono tu jedynie dywan. Twarz chłopca była mi tak znana, że nie musiałem nawet na nią patrzeć. Blondynek o kwadratowej twarzy – przypominał Holendra, czy też raczej moje wyobrażenie dotyczące ich wyglądu. Dorastałem w luteriańskiej Dakocie Północnej, gdzie setki podobnych twarzy spoglądało na mnie w dzieciństwie z ław kościelnych. Oczy chłopca powędrowały w moim kierunku i dopiero wtedy, dopiero w nich, dostrzegłem coś, co naprawdę odróżniało go od pozostałych. Te jego oczy, na wpatrywaniu w które spędziłem większość dorosłego życia.

– Zostawcie nas samych – nakazałem opiekunkom.

Obie kobiety, choć zirytowane, posłuchały, zbierając teczki i papiery. Już podczas naszego ostatniego spotkania zbytnio za mną nie przepadały, i jak się zdaje czas nijak nie złągodził ich niechęci. Jednak w moim przypadku dokonał zmian. Tak, coś we mnie zmienił.

Ten raz będzie ostatnim, dla nas wszystkich.

Przyklęknałem tuż przy nim na trzeszczących kolanach.

– Co budujesz? – spytałem.

– Rakietę – odpowiedział, odrywając wzrok od modelu. Nie bał się nieznajomych. A przynajmniej, wciąż jeszcze się ich nie bał.

– Och, rakietę. Wspaniałe aspiracje.

– Tu są reaktory korpuskularno-falowe – zaczął opisywać, dotykając dwóch podłużnych wsporników biegnących wzdłuż kadłuba.

– Jesteś wyjątkowym małym chłopcem – stwierdziłem. – Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Taaaa.

Uśmiechnąłem się na taki przejaw skromności, po czym rzuciłem wzrokiem w kierunku drzwi, by upewnić się, że nikogo tam nie było. Kobiety już wyszły, zamykając je za sobą. A jeśli w pomieszczeniu znajdowały się jakieś kamery, nie byłem w stanie ich dostrzec. Nachyliłem się nad chłopcem, niemal przykładając mu usta do ucha, po czym po raz pierwszy w swym życiu przekazałem mu coś, czego żaden z socjologów nigdy nie ujął w swych protokołach postępowania, a nikt z zarządu nigdy nie zatwierdził.

– Zostało nam niewiele czasu, mój mały – powiedziałem. – Umieram.

* * *

Zabiłeś się, gdy miałeś siedemnaście lat. Po tym, jak zacząłeś słyszeć głosy. Zawsze byłeś takim pomysłowym chłopcem, dokonałeś więc tego spożywając ekstrakt uzyskany z rośliny porastającej tereny ośrodka – nigdy nie odkryliśmy której. Sporządziłeś go według własnej receptury, oczyszczając i zagęszczając w dostępnej ci pracowni chemicznej, sprytnie uzyskując wyrafinowaną, kredową truciznę, którą, niby solą, posypałeś sobie obiad. Ta śmierć nie należała do bezbolesnych. Kiedy już było po wszystkim, wezwano botaników, by usunęli z terenów ośrodka wszelką roślinność mogącą stanowić zagrożenie. Wiechlina łąkowa należała do ich ulubionych traw, więc pokryli nią, niczym dywanem, cały ogrodzony teren, usuwając wszelkie pozostałe gatunki roślin. Jak rozmawiali, nie da się przecież zabić wiechliną.

Później uwielbiałeś tę trawę.

W wieku ośmiu lat rozwiązywałeś wielomiany. Gdy miałeś jedenaście zajmowałeś się permutacjami liczby Avogadro. Nim skończyłeś dwunasty rok życia stawiałeś czoło geometrii Poincarego. Nauczyli cię biologii, historii, ekonomii, czytałeś klasyków. Wszystko w próbie zapanowania nad tobą, utrzymania przy zdrowych zmysłach, ponieważ dość wcześnie przekonano się, że nacisk kładziony wyłącznie na matematykę, z pominięciem pozostałych dziedzin nauki, jedynie przyspiesza cały proces. Gdy miałeś siedemnaście lat, tuż przed pojawieniem się pierwszych głosów, rozpocząłeś pracę nad zagadnieniem napędu Tackego. Fizycy wprowadzili się wtedy na teren ośrodka, by móc pracować bez przerwy, i dwadzieścia cztery godziny na dobę zgłębiali twe wzory. Jeden z nich od tego postradał zmysły, a psychologowie miesiącami badali jego przypadek, starając się rozgryźć, jak doprowadziłeś go do takiego stanu samymi tylko liczbami.

Nigdy z nikim się nie kochałeś. Nigdy nie płakałeś. Znaleźli cię po otruciu, wijącego się w kałuży własnych wymiocin, z wywróconymi oczyma, gdy twój jakże drogocenny mózg już gotował się w temperaturze przeszło czterdziestu dwóch stopni, pozostawiając nas, podobnie jak w przypadku tak wielu innych wersji, z niedokończoną formułą.

* * *

– Jak ją nazywasz? – zapytałem go w dzień jego siódmych urodzin. Wcześniej raczyliśmy się tortem i lodami, a teraz chciał mi pokazać, czym zajmował się w laboratorium.

– Nie nazwałem – odpowiedział.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia – odparł.

Po wewnętrznej ściance probówki *Drosophila* nieprzerwanie krążyła po szkle. Na dnie naczynia znajdowała się niebieska odżywka, a kawałek porowatej gąbki zatykał go zamiast

korka.

– Jaką kombinację mutacji wprowadziłeś? – zapytałem.

– Białe oczy, szczałkowe skrzydła, żółty tułów.

– Trafny wybór.

– Przynajmniej są widoczne gołym okiem – odpowiedział, unosząc probówkę do światła, by móc się bliżej przyjrzeć jej zawartości. Niebieskie oczy zwęziły mu się w skupieniu. – Pracowałem nad owocówkami różniącymi się strukturą żyłek w skrzydłach, lecz wtedy, chcąc zidentyfikować fenotyp, musiałem je umieszczać pod mikroskopem. Usypiałem je eterem. Dawałem go za mało, dochodziły do siebie nim skończyłem i odlatywały. Gdy użyłem za dużo, ginęły.

– Martwe muszki owocówki mogą stanowić problem – stwierdziłem.

– Największy problem pojawiał się jednak, gdy eter ich nie zabijał, lecz sterylizował. Pewnego razu poświęciłem wiele dni na opracowanie programów hodowli i dokonanie wszelkich przygotowań, a muszki nie chciały się rozmnażać. Nim uświadomiłem sobie, że były bezpłodne, bezpowrotnie straciłem cztery dni.

– Ale te różnią się od tamtych?

– Taaaa, toksyczność eteru nie stanowi już problemu. Tak naprawdę to w ogóle nie muszę go używać, bo nie potrzebuję mikroskopu do identyfikacji fenotypu. Mutacje z łatwością widać gołym okiem. Białe oczy, szczałkowe skrzydła, żółty tułów – pozory nie mylą. To, co otrzymujesz, widzisz gołym okiem.

– To, co otrzymujesz, widzisz gołym okiem? – powtórzyłem za nim, stukając palcem w ściankę probówki. – Jeśli w to wierzysz, wciąż jeszcze musisz się wiele nauczyć o genetyce.

* * *

Dokonujesz przełomu w wieku dziewiętnastu lat, dodając całą linijkę do dotychczasowych prac. Przyszłość zdaje się stać przed nami otworem, a końcowe rozwiązanie czekać tuż-tuż za rogiem. Świętowanie trwa wiele dni, faceci w garniturach, niczym szczęśliwi ojcowie, rozdają wtedy na prawo i lewo cygara. Rogacze, tak nazwałem ich sobie później w myślach.

Wzywasz mnie w środku nocy i spotykamy się w twojej pracowni. Tam, gdy widzę jak nagi i zapłakany, wrywasz kartkę za kartką ze swej podręcznej biblioteczki, już wiem, że jest po wszystkim. Po prostu to wiem.

Mówisz mi, że widzisz anioły. Mówisz mi, że Kalwin miał rację, a ja później przez trzy kolejne noce nie mogę zasnąć, próbując sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek ci wspomniałem, że jestem luteraninem.

Podają ci klozapinę mającą złagodzić symptomy. *Jak przez watę*, tak do mnie mówisz cały zapłakany, bo na tych lekach nie jesteś w stanie podołać czemukolwiek trudniejszemu

niż równanie kwadratowe. *Myśli mi się jak przez watę.*

Oto cała ironia sytuacji, widzisz ją? Leki sprowadzające cię do rzeczywistości równocześnie uniemożliwiają ci wykonywanie matematyki. Twojej magii.

Czasem zapominasz, jak się nazywasz. Czasem zapominasz o jedzeniu. Sztywnym krokiem przemierzasz korytarze, zagubiony w swej obsesji, zagubiony w szaleństwie, od czasu do czasu kreśląc czerwonym flamastrem po ścianach swe matematyczne hieroglify. W symbolicznym geście umieszczasz rozwiązania na drzwiach, w oczekiwaniu wniebowzięcia przekroczenia progu i znalezienia się po drugiej stronie. Zespoły naukowe zaczynają to nazywać twoim graffiti, lecz biorą na poważnie każdy z tych murali i dokładnie je obfotografowują przed zamalowaniem. Matematycy skrupulatnie, krok po kroku, śledzą każdą twoją linijkę, doszukując się w nich choćby krzty racjonalności, lecz wraz z upływem czasu, racjonalność i twe wzory rozchodzą się niczym ścieżki w lesie. Koniec końców archaiczne runy kreślone nerwowo na ścianach są zrozumiałe tylko i wyłącznie dla ciebie. Gubisz się coraz bardziej w swoim własnym świecie, dryfując wciąż dalej i dalej od naszego.

Aż w końcu tracisz z nim wszelki kontakt.

* * *

- Rentgen zębów – odpowiadam.
- Po co? – pada kolejne pytanie.
- Z powodu trzeciego zęba przedniego.
- Co masz na myśli? – pyta, sondując językiem lukę pomiędzy zębami, miejsce po usuniętych górnych jedynkach.
- Cierpisz na przypadłość zwaną mesiodensem, niewyróżniony środkowy siekacz.
- Nic tam nie czuję. Skąd wiadomo, że to mam?
- Zwykle to miewasz.
- Skąd to się bierze?
- Kwestia genetyki. Nie jest to znowu aż taką rzadką przypadłością. Około jeden procent ludzkości posiada jakieś nadliczbowe zęby. To się zdarza.
- Więc będę miał dodatkowy ząb?
- Najprawdopodobniej – odpowiadam.
- Lecz mogę go nie mieć? – kolejne pytanie zostaje zadane wyjątkowo powoli.
- Nie ma tu jakiejś prostej i pewnej zależności pomiędzy obecnością genu a jego ekspresją. Czasem zamiast mesiodensu powstają dodatkowe guzki zębowe tuż za górnymi zębami – nazywają to wtedy szponem, ponieważ wyglądem przypominają orle szpony. Czasem nawet w przypadku bliźniąt jednojajowych, jedno z nich będzie posiadało dodatkowe guzki, a drugie dodatkowy ząb. Te same geny, inna ekspresja. Cecha ta nie posiada jakiegoś wyjątkowo wysokiego współczynnika zgodności. Ty, co prawda, nie posiadasz szponu, ale to

właśnie dlatego musimy wykonać to prześwietlenie, bo chcemy się dowiedzieć, jak to u ciebie wygląda.

– Jak temu zaradzą?

– Najprawdopodobniej czeka cię zabieg chirurgiczny, no chyba że twoje zęby okażą się na tyle późniejsze, by oba stałe siekacze mogły spokojnie wyrosnąć.

– Wciąż nie rozumiem.

– Gen tak naprawdę nie powoduje wyrośnięcia trzeciego zęba przedniego. Bardziej prawidłowym jest stwierdzenie, że powoduje pewne zaburzenia rozwojowe mezenchymy, które w dość złożony sposób wpływają na blaszkę zębową. Zwykle jednak kończy się *to* dodatkowym zębem.

– Nie chcę operacji.

– I wcale ci się nie dziwię. Wszystko jednak *zależy* od tego, jak się mają sprawy wewnątrz twoich dziąseł.

– Skoro to te same geny, dlaczego za każdym razem ma to wyglądać inaczej?

– Och, John, w tym właśnie tkwi cały szkopuł, nieprawdaż? Dokładnie w tym.

* * *

Zwykle jesteś mańkutem. Leworęczni mają więcej problemów. Zarówno emocjonalnych, jak i związanych z pamięcią. Są również bardziej utalentowani.

Oryginalny John był leworęczny.

Nie lubisz mleka. Nie sypiasz za dobrze. Twoje IQ zawiera się w przedziale między 126 a 132, niby wysokim, ale nijak nie tłumaczącym tego, co potrafisz wyczyniać z liczbami. Nijak nie wyjaśniającym napędu Tackego.

Za każdym razem masz inne linie papilarne, podobnie zmienia się kierunek odchylenia niesforenego kosmyka włosów. Zawsze masz piegi, lecz ich układ się różni. Bardzo często, lecz nie zawsze, masz pieprzyk na policzku.

W siedemdziesięciu dwóch na dziewięćdziesiąt siedem przypadków skończyłeś zaledwie rozkładając się w pożywce – zaprzestając podziałów jeszcze przed osiągnięciem stadium blastocysty. Kilkukrotnie nie doszło do zagnieżdżenia zarodka. Raz okazałeś się poronieniem, zdeformowanym procesem, potworem.

Te udane wersje były niebieskookie, miały blond włosy i kwadratową twarz – wyglądały jak twoi holenderscy przodkowie. A przynajmniej jak moje wyobrażenie przedstawicieli tej nacji. Za każdym razem.

* * *

Byliśmy w sali pooperacyjnej. Chłopiec przebudził się z płaczem i zwymiotował.

Wziąłem go na ręce i kołysałem, dopóki wypływające mu z oczu strumienie nie przeszły w serie wstrząsających jego ciałem spazmów. Zajęczał.

Kiedy już wydawało mi się, że ponownie zasnął, chciałem go odłożyć do łóżka, lecz wtedy ścisnął mnie kurczowo i zaczął płakać od nowa. Chciał, bym trzymał go na rękach. Usta miał wypchane gazą, którą starał się stamtąd wyciągnąć. Powstrzymałem go. Kiedy wtykałem mu ją z powrotem pod górną wargę, dostrzegłem przelotnie jego ranę – szwy na czymś, co wyglądem przypominało mięso mielone. Jego niewyrżnięte zęby okazały się być umiejscowione wielce niefortunnie. Konieczne było usunięcie większości szczękowych zębów mlecznych. Biedaczysko.

Jęki rozpoczęły się na nowo. Kiedy tak trzymałem go w ramionach, niczym nie różnił się od innych cierpiących dzieci. Taką siłą sprawczą miał ból, w jego obliczu wszyscy stawali się równi.

W podobny sposób pocieszałem już wielu jego poprzedników. Nie był pierwszym, lecz będzie ostatni.

– Boli – wyjęczał i poczułem jak chorobliwie cuchnął mu oddech.

– Ćśśś, nic nie mów, malutki. Ani słowa. Śpij.

Nie przestał jęczeć, ale nie otworzył oczu. Nachyliłem się, a jego dłoń sięgnęła i zacisnęła na mojej. Delikatnie pocałowałem go w czoło.

– Kocham cię – powiedziałem.

* * *

Kilka następnych dni nie należało dla niego do łatwych, stracił na wadze. Kupiłem mu lody, lecz prawie ich nie tknął.

Gdy przyszedłem do niego trzeciego dnia po operacji, zastałem go stojącego w oknie, wpatzonego w rozciągający się pod nim dziedziniec. Beton i wiechlina łąkowa. Poczułem jak cierpnie mi skóra.

Gdy popatrzył na mnie, spostrzegłem jego smutne oczy, dużo starsze od jego dziesięcioletniej twarzy. Terapia pozbawiła mnie większości włosów, więc zastanawiałem się, jak mnie teraz odbierał. Jako wychudzonego, łysiejącego staruszka? Chłopiec ponownie powrócił do widoku za oknem.

Położyłem mu dłoń na ramieniu i wyczułem pod nią okryte skórą kości. Podążyłem za jego spojrzeniem, utkwionym w narastającym za oknem zmierzchu. Niknące już światło słońca tonęło w zwałach chmur, a cienie pogłębiały się jeszcze bardziej pomiędzy znajdującymi się w oddali wzgórzami. Widok ten uderzył mnie jako dziwacznie znajomy, niczym twarz ojca dostrzegana później u syna.

– *Zmierzch listopadowy w ołowiu szarości* – wyszeptalem.

– Co? – spytał.

– Taki wiersz – odparłem – Nawet nie wiem, skąd go pamiętam. *Zmierzch listopadowy w ołowi szarości, uwielbiam, gdy w grób składa jesieni kości.*

Ciemne drzewa na szczycie wzgórz kołysały się na wietrze, swym falowaniem przypominając żywe istoty.

– Dokąd się idzie po śmierci? – zapytał.

– Nie mam pojęcia.

– Wierzysz w Boga?

– Niemal codziennie.

– A w co w nim wierzysz najbardziej?

Przyjrzałem mu się uważnie.

– W to, że wtyka swój palec w umysł każdego poczętego dziecka, a następnie nieźle tam nim miesza.

– Co masz na myśli?

– To, że wciąż istnieją tajemnice. Rzeczy niezgłębione i niepoznane.

– Nie chcę, żebyś umierał – powiedział.

– Wszystkich nas to czeka, maluszku. Czas, jaki każdy z nas dostał do dyspozycji na tym świecie, jest ograniczony.

– Nie dotyczy to wszystkich.

– Wszystkich bez wyjątku.

– Nieprawda. – Chłopiec zaprzeczył ruchem głowy. – Niektórzy dostali dodatkowy. – Dostrzegłem zmianę w jego oczach. – Kim on był? – zapytał, a jego głos zabrzmiał dziwnie, inaczej niż zwykle.

Uświadomiłem sobie kogo miał na myśli. Kogo musiał mieć na myśli.

– Był naukowcem – odpowiedziałem mu na pytanie. – Z wykształcenia fizykiem, lecz media nazwały go matematykiem. Tak czy inaczej był wyjątkowy.

– I coś wynalazł? – zapytał.

– Aby być bardziej dokładnym należałoby stwierdzić, że udało mu się to tylko połowicznie.

– Co takiego?

– Bardzo różnie to nazywano, lecz on sam nazywał to napędem Tackego. Niektórzy fizycy wciąż nazywają to Bożą Maszyną, bo miała ponieść ludzkość ku gwiazdom.

– Czy był wielkim człowiekiem?

– Tak.

– Czy ja też taki będę?

– Nie, maluszku, ty nie.

Wrócił do widoku za oknem. Nim ponownie przemówił, niebo zatonoło już w całkowitej ciemności.

– Ale nim jestem.

– Nie, jesteś sobą – odparłem.

* * *

– Matematyka jest metaforą – mówisz mi, gdy masz dziewiętnaście lat. Słyszałem już o tym wcześniej, powiedziane dokładnie tymi samymi słowy i dokładnie tym samym tonem, tak więc bardzo uważnie słucham tego, co masz mi do powiedzenia, doszukując się w tym innych podobieństw, a ty pocierasz dłonią policzek pełen trądziku, przechadzając się tam i z powrotem przed tablicą.

– Ale to istnieje naprawdę – kontynuujesz. – To da się sprawdzić.

Chwytasz za kredę i wskazujesz na naszkicowany przez siebie na tablicy schemat – coś wyjątkowo pięknego, lecz nie do końca pozwalającego się zgłębić. W tym przypadku równie dobrze co z nauką możemy mieć do czynienia ze sztuką. Ja przynajmniej nie jestem tego w stanie określić.

– Na przestrzeń otaczającą antenę wpływa kilka rodzajów fizyki – rozpoczynasz swój wywód. – To powszechnie zrozumiałe. Lecz tam, wciśnięty pomiędzy matematykę pola bliskiego a dalekiego znajduje się obszar matematyki, którego jak do tej pory nie zbadano jakoś dogłębnie.

Mówisz szybko, podekscytowany odkrywającymi przede mną prawdami. Fakt, że wspominasz o antenie, trochę mnie martwi, ponieważ są one dość częstą fikcją u nie zrównoważonych umysłowo. Zastanawiam się, czy już słyszysz głosy.

– Tesla za bardzo zbliżył się do problemu, by naprawdę go zrozumieć – opowiadasz dalej. – Być może nie pojął w pełni fizyki leżącej u jego podstaw, ale patrząc na to z drugiej strony, czy było to wtedy w ogóle możliwe? Do czasów mechaniki kwantowej wciąż dzieliła go wtedy daleka droga. Rozumiesz?

Potakuję kiwnięciem głowy.

– Mamy dobrze udokumentowane, że atomy rozpraszają połowę padającego na nie światła – kontynuujesz. – Ale co się dzieje z drugą połową? Jeśli atom rezonuje elektromagnetycznie przy częstotliwości identycznej z tą padającą falą świetlną, wtedy pole oscylacyjne atomu zmagazynuje energię niesioną przez falę elektromagnetyczną. To, że ta energia nie znika, udowodnił już Einstein. Zostaje więc zmagazynowana wewnątrz atomu. Co za tym idzie maleńkie atomy są w stanie czerpać energię z olbrzymich fal świetlnych.

– Chyba się zgubiłem – stwierdzam prosto. Ale ty nawet nie zwalniasz, by zaczerpnąć tchu. Przesz do przodu, pędząc, by wszystko jak najszybciej z siebie wyrzucić.

– Ale naprawdę dziwne rzeczy pojawiają się, gdy zastosujemy tę wiedzę w połączeniu z pracami Ventena dotyczącymi teorii sprzężonego rezonatora. – Włosy latają ci wokół twarzy, gdy gwałtownie obracasz się do tablicy, by po raz kolejny wskazać na niej coś kredą. – Ten bowiem wysnuł teorię możliwości indukcji zmian polaryzacji w częstotliwości nośnej.

Możesz otrzymać sygnał w rezonatorze bez konieczności radiowego przesyłania sygnału.

– Radiowego? – powtarzam za tobą, zastanawiając się, czy aby przypadkiem nie ominęła mnie jakaś nieoczekiwana zmiana tematu.

– Lecz najbardziej fascynująca i niesamowita – tu znów stukasz kredą w tablicę – jest możliwość uzyskania w takich zamkniętych systemach efektu większej od jedności wydajności nadajnika. A skoro nie można rozdzielić naładowanych cząstek od ich własnych pól elektromagnetycznych, atomy znajdujące się w bliskim polu nie będą już dłużej w stanie wypromieniowywać nadchodzących fal. Tylko i wyłącznie logika wymaga tu, by antena zmieniła się z oscylatora w emiter. Zdajesz sobie sprawę, co z tego wynika?

– Nie.

– Zamiast pochłaniania składowej E, mogłoby tu dochodzić do okresowego wyładowania. Przy takich założeniach możliwe jest stworzenie lasera pulsacyjnego.

– Lasera – powtarzam.

– Bądź prostego źródła napędu – dodajesz. – Albo bomby.

– Z samego zaledwie światła? – dopytuję.

– I rezonansu atomowego.

Kiedy wychodzę od ciebie, sam nie wiem, co powinienem o tym myśleć. Delikatnie zamykam za sobą drzwi i ruszam do swego pokoju. Jeszcze tej samej nocy fizycy zaczynają rozkładać na części pierwsze naszkicowany przez ciebie schemat, i wbrew moim oczekiwaniom, nie odrzucają go prosto z mostu. Dokładnie obfotografowują tablicę. Zespół przez cały tydzień rozgryza podane przez ciebie dane, nim wreszcie poddaje się z kolektywnym wzruszeniem ramion, wymawiając niedostateczną ilość wiedzy.

– Nie mamy najmniejszego pojęcia, czy ma rację – tak mówią. – Być może za jakieś sto lat posiadziemy konieczną technologię, by dało się to sprawdzić.

Wracam myślami do Tesli, który zmarł w ubóstwie i samotności, przeprowadzając się z jednego pokoju hotelowego do drugiego.

Kiedy spotykamy się ponownie, stoisz dokładnie przed tą samą tablicą, w samej bieliźnie, cały spływasz potem, a szaleństwo płonie ci w oczach.

– Co to jest? – pytam, wskazując na pokrywające tablicę symbole matematyczne. Poprzedni schemat został wymazany, zastąpiony czymś zdecydowanie czystszy pod względem matematycznym.

– Dowód – odpowiadasz.

– Na co?

– Dowód na istnienie Boga.

– Wielce szlachetne dążenie. – Odsuwam stojące przy stole krzesło i siadam na nim, przecierając oczy chusteczką.

Jednak ku mojemu smutkowi również i ta praca zostaje wzięta na poważnie.

– Olśniewające – słyszę następnego dnia od Mikea Sebramsa, kiedy już jego zespół

matematyków miał czas, by się temu bliżej przyjrzeć.

Zbynam go machnięciem dłoni.

– Myślisz, że okaże się to jakoś przydatne? – pytam.

– Nie. Powiedziałem, że to olśniewające, lecz ta praca odwołuje się do samej siebie. O ile przyjmiemy ją na samym początku, sama się udowadnia w osiemnastu krokach. Lecz o ile założymy sobie istnienie Boga – stwierdza – nie mam najmniejszych wątpliwości, że tak właśnie by ono wyglądało.

* * *

Chłopiec wsunął swoją dłoń w moją. Niebieskie oczy wezbrały mu łzami, które, gdy mrugnął, polały się, spływając po policzkach dwoma potokami. Tym razem to ja byłem chory i potrzebowałem pocieszenia.

Pokój szpitalny śmierdzał antyseptykami i śmiercią. Być może to drugie było tylko i wyłącznie kwestią mojej wyobraźni, prostym wyprzedzeniem tego, co miało dopiero nadejść. Ostatnio trudno było mi czasem określić, gdzie się znajdowałem, a już szczególnie nie potrafiłem określić, kiedy. Wszystko zaczęło mi się rozmazywać, lecz dziś, leżąc na łóżku i spoglądając stamtąd na chłopca, nie miałem najmniejszych wątpliwości, że nasz wspólny czas właśnie dobiegał końca.

Spróbowałem usiąść, lecz ból okazał się jednak silniejszy ode mnie. Gardło miałem całe obolałe od mówienia. Od długich, wypełnionych nim godzin.

– Dlaczego opowiadasz mi te wszystkie historie? – zapytał chłopiec.

– Ponieważ cię kocham – odparłem. – I ponieważ mam już dość faktu, że wiem o tobie rzeczy, o których ty nie masz najmniejszego pojęcia.

– Te historie nie muszą być prawdziwe.

– Wszystkie się wydarzyły. Każda z nich. Stanowią katalog twoich możliwych przyszłości. Jesteś najmłodszy i będziesz ostatni.

– Dlaczego ostatni? Ponieważ zachorowałeś?

– Nie, ponieważ eksperyment okazał się niewypałem.

– Co teraz zrobię bez ciebie? – zapytał.

– Nie wiem. To będzie coś nowego. Zawsze byłem przy tobie. Za każdym razem. Nie wiem, co się teraz wydarzy.

– Ale wydawało mi się, że wiesz wszystko.

– Nie wszystko. – Dotknąłem jego czoła, odgarniając stamtąd ten niesforny blond kosmyk. – Tylko te nieistotne rzeczy. Te drobne.

– A co z tymi istotnymi?

– Dopiero uczymy się zadawać właściwe pytania.

– Mam w takim razie jedno – stwierdził, po czym przetrął oczy wierzchem dłoni.

– Jedno z tych ważnych?

– Kim jesteś? – zapytał. – Dla mnie. Kim dla mnie jesteś?

Westchnąłem. To nie było byle pytanie, było to wreszcie takie z dużej litery. Wciągnąłem głęboko powietrze i zacząłem mówić:

– Pod wszelkimi względami, które mają znaczenie, jestem twoim ojcem. Pod tymi, które nie mają, jestem twoim synem.

– Nie rozumiem.

– Ty i ja jesteśmy spokrewnieni. Wiem, że podejrzewałeś coś takiego.

– Czy jesteśmy...

– Tacy sami?

Chłopiec w milczeniu pokiwał głową.

– Nie – odparłem. – Nie jesteśmy tacy sami. Nie w taki sam sposób, jak ty i pozostali. Sześćdziesiąt osiem lat temu w Stanford żyła sobie dziewczyna. Była młoda i zakochana. I żył tam też młody fizyk, nie był jeszcze chory, ale już powoli wybijał się i stawał szeroko znany na świecie. Nim przyszedłem na świat, on... nigdy nie spotkałem swojego ojca. On nigdy nie trzymał mnie w ramionach. Ale za to ja trzymałem go w ramionach, jego kolejne wersje, dziesiątki razy.

– Mówisz więc, że... jestem twoim...? – W głosie chłopca wyraźnie zabrzmiało przerażenie.

– To semantyka – odpowiedziałem, potrząsając głową. – Mamy wspólną połowę genów, podobnie jak każdy ojciec i syn, i nie uważam, by było ważne, który z nas posiada rodzicielski zestaw genów, a który potomny. Wystarczy stwierdzić, że nasze geny mają wspólne pochodzenie. Czy woda dba o to, w którą stronę płynie rzeka? Czy ważne jest dla niej raczej to, że wpada do morza?

– Co będzie ze mną? Gdy ciebie już nie będzie? – zapytał chłopiec.

– Niedługo się przekonamy, prawda? Zabijesz się jak skończysz trzynaście lat. Albo tego nie zrobisz. Usłyszysz głosy w głowie, stracisz zmysły, zagubisz się.

Ścisnąłem mocno jego małą dłoń.

– Twój umysł ma moc wybuchu, maluszk.

– Jesteś moim jedynym przyjacielem – powiedział.

– J właśnie dlatego ci to mówię – odparłem. – Czas, jaki dostałeś do dyspozycji, jest ograniczony, podobnie jak mój. Oto właśnie prezent, który mam dla ciebie. Ta wiedza. Zostało ci zaledwie kilka lat życia. Nie marnuj ich na pogoń za wzorami. Moim darem jest twoje życie.

Przełożył Konrad Kozłowski

Ian McDonald

WISZNU W KOCIM CYRKU

Przybądź, Matsya, przybądź, Kurma. Przybądźcie Narasimha i Varaha. Przez przydymione światło płonących śmieci i pod pijanym, szalonoookim księżycem leżącym na plecach, wstąpcie w krąg; rude i czarne, pręgowane i szare, białe i cętkowane, zajęczonogie i bezogonowe koty. Biegaj, Vamana, Parashurama, biegaj Rama i Krishna.

Modłę się, żeby nikogo nie obrazić swoim cyrkiem kotów noszących imiona boskich awatarów. Tak, to brudne dachowce, skradzione z wysypisk, wysokich murów i balkonów, ale koty z natury są bluźnierczymi stworzeniami. Każde liźnięcie i zwinięcie się w kłębek, każde przeciągnięcie się i pokazanie pazurów są obliczone na obrażenie świętości. Czy sam jednak nie noszę imienia boga, żebym nie mógł nazwać moich biegaczy, moich skoczków, moich gwiazd, po sobie? Ponieważ jam jest Wisznu, Obrońca.

Popatrzcie! Płoną lampy ze śmieci, ułożony jest krąg z liny, rozłożone siedzenia, jakie się nawinęły, poduszki i zniszczone materace zabrane z łodzi, które mają chronić wasze pośladki przed kontaktem z mokrym piaskiem. A koty biegają, płynny łańcuch rudych i szarych, czarnych i białych i łaciatych; niesamowity, magiczny Niebiański Koci Cyrk Wspaniałego Wisznu! Będziecie zdumieni, nie, oszołomieni! Dlaczego więc nie przychodzicie?

Biegają w koło, w koło, nos przy ogonie. Będziecie olśnieni perfekcyjną, płynną synchronizacją moich kotów. Dalej, Budda, dalej, Kalki! Tak, trzeba boga, żeby wytrenować koci cyrk.

Każdego wieczora biję w bęben i dzwonię dzwonkiem roweru jeżdżąc przez rozgrzane peryferie Chunar. Niesamowity, Magiczny Koci Cyrk Wspaniałego Wisznu! Zbierzcie się wokoło! W waszym życiu jest tak niewiele przyjemności: cud i temat do rozmowy na tydzień za garść rupii. Piach na ulicach, piach zbierający się pod murami opuszczonych domów, piach zasypujący obręcz kół porzuconych samochodów i autobusów, piach gromadzący się przy kolczastych płotach oddzielających brzeg rzeki od sterylnych pól. Długa susza i błyskawiczne

wojny wyludniły to miasto tak, jak wiele innych w pobliżu Jyotirlinga. Wspiąłem się do starego fortu, z którego jest widok na dwadzieścia kilometrów w dół i w górę rzeki. Z miejsca, w którym stary brytyjski ambasador zbudował swoją rezydencję widać Jyotirlinga wbijającą się w niebo nad Varanasi, wyżej, niż mogę dojrzeć, wyżej, niż samo niebo, jakby biegła wprost do innego wszechświata. Ściany starego domu były pomazane graffiti. Zadzwońłem swoim dzwonkiem i uderzyłem w bęben, ale tutaj nigdy nie było nawet duchów. Choć jestem odłączony od deva-netu, niemal czuję zapach deva wirujących w prądach powietrza. Idąc przez miasto wyczułem prawdziwy zapach palonego drewna i snującą się woń gotowanej strawy i skręciłem, nawiedzany przez wrażenie oczu, twarzy, dłoni na futrynach drzwi, znikających w cieniach, gdy próbowałem im się przyjrzeć. Niesamowity, Magiczny, Wspaniały Koci Cyrk Wisznu! Krzychałem, wariacko dzwoniąc dzwonkiem przy rowerze, po to, żeby zareklamować zarówno swoje ubóstwo i nieszkodliwość, jak i oferowaną rozrywkę. W Wieku Kali słabi i bezsilni będą niszczeni bez litości, będzie też nadmiar karabinów AK-47.

Gdy wróciłem koty były wściekłe i dały się unisono, pomimo cienia rzucanego przez markizę było im gorąco w klatkach. Wypuściłem je na polowanie pod mrugającymi gwiazdami, podczas gdy sam ustawiałem krąg i siedzenia, lampy i znaki i misy na datki, nie wiedząc, czy w ogóle ktokolwiek się pojawi. Zarobki były nędzne. W Wieku Kali niełatwo będzie zarobić na rozrywce.

Mój piękny, biały Kalki, przemykający nad płótkami jak woda w strumieniu, napisano, że będziesz walczył i pokonasz Kali, ale wydaje mi się, że to zbyt duża sprawa, żeby prosić o to zwykłego kota. Nie, sam podejmę się tego zadania, w twoim imieniu, a także we własnym. Czyż nie jestem Wisznu po dziesięciokroć narodzony? Czyż wy, koty, nie jesteście wszystkie częścią mnie? Mam spotkanie w dole rzeki, u stóp tego miasta światła, które sięga wschodniego nieba.

Teraz zapraszam, usiądź na tym materacu – zamiotłem piasek i zapaliłem lampy, żeby odstraszały owady. Usiądź wygodnie. Zaproponowałbym ci herbatę, ale potrzebuję wody dla kotów. Dziś wieczór ujrzysz najlepszy koci cyrk w Indiach – jedyny koci cyrk w Indiach. Co mówisz? Że tylko biegają w kółko? Bracie, zrobić coś takiego z kotami to spore osiągnięcie. Ale masz rację; bieganie w kółko, nos przy ogonie, to w sumie *clou* mojego kociego cyrku. Ale mam inne sposoby, żeby usprawiedliwić tę garść rupii, o którą cię proszę. Siadaj, siadaj, a ja opowiem ci historię, moją historię. Jestem Wisznu i zaprojektowano mnie, żebym był bogiem.

* * *

Było nas troje i wszyscy byliśmy bogami. Shiv, Vish i Sarasvati. Nie jestem pierworodny; pierwszy urodził się mój brat, Shiv, z którym mam spotkanie w Jyotirlinga. Shiv bogaty, Shiv

biznesmen, światowy sukces, powszechnie znany, i nieumyślny zwiastun tego Wieku Kali; Shiv – nie mogę sobie wyobrazić, kim się stał. Nie urodziłem się jako pierwszy, ale jako najlepszy, i w tym jest problem.

Konflikt, jak sądzę, był w każdej nitce DNA moich rodziców. Wasi wyznawcy klasycznej teorii Darwina gardzą opinią, że wartości intelektualne mogą kształtować ewolucję, ale sam jestem żyjącym dowodem, że wartości klasy średniej mogą zostać zaprogramowane w genach. To dlaczego nie wojna?

Mojego ojca trudno byłoby sobie wyobrazić jako I-wojownika. Nieskoordynowany; niezgrabny; korpulentny – nie, dajmy sobie spokój z oględnymi słowami, był po prostu gruby; był zadowolonym i na swój sposób znanym projektantem DreamFlower. Pamiętasz DreamFlower? Street Sumo; RaMaYaNa; Bollywood Sing Star. Miliony sprzedanych gier? Może i nie pamiętasz. Coraz częściej odkrywam, że trwało to dłużej, niż sądziłem. Co ważne, miał pieniądze, zrobił karierę i odniósł sukces. Był sławny na tyle, na ile to było możliwe w jego niszy i życie toczyło się naprzód, toczyło się jak lexus, kiedy zaskoczyła go wojna. Wojna zaskoczyła nas wszystkich. Jednego dnia żyjemy jak w filmie pod tytułem Historia Wielkiego Azjatyckiego Sukcesu – Indyjski Tygrys (nazywam to Prawem Aforystycznego Odbicia – Tygrys Sukcesu Ekonomicznego podróżuje dookoła świata, zanim do nas wraca) – i w przeciwieństwie do Chińczyków mamy angielski, krykieta i demokrację; następnego rzucamy sobie bomby na centra handlowe i okupujemy stacje telewizyjne. Stan przeciwko stanowi, region przeciwko regionowi, rodzina przeciwko rodzinie. Tylko w taki sposób mogę sobie wytłumaczyć Wojnę Schizmatyków: że Indie były jak jedna z tych dużych, hałaśliwych, wesołych rodzin, w których czcigodna babunia wyjeżdża na pół roku, i w ciągu dwóch dni wszyscy rzucają się sobie do gardeł. Synowie walczą z ojcami, matki z córkami, siostry z braćmi, kuzyni, wujkowie i ciotki przyjmują różne strony, a rodzina rozpada się jak diament wzdłuż szlifów, które stanowią o jego pięknie. Widziałem w Delhi szlifierza diamentów, kiedy byłem młody – przepraszam, kiedy byłem mały. Nie taki młody. Widziałem, jak umieścił klejnot w wyścielanych kłamrach i uniósł piłę, która wydawała się zbyt wielka i brutalna, żeby dotknąć nią tak małego i błyszczącego przedmiotu. Wstrzymałem oddech i zacisnąłem zęby, gdy wziął wielki młotek obciążony miękkim materiałem i uderzył nim w kamień, który rozpadł się na trzy klejnoty, bardziej błyszczące i świetliste od swojego rodzica.

„Uderz niewłaściwie”, powiedział, „a będziesz miał tylko migotliwy pył”.

Migotliwy pył, pomyślałem, tym od tamtego czasu jest nasza historia.

Przyszedł podmuch – sukces, bogactwo, napięcie społeczne – i obróciliśmy się w pył, ale Delhi o tym nie wiedziało. Lojaliści zdecydowanie bronili marzenia Indii. Stąd mój ojciec został zatrudniony jako helpdesk w Recon Mecha Squad. Dla ciebie brzmi to niesamowicie podniecająco i wspaniale. Ale to było inne stulecie i inna era, a roboty nie przypominały błyszczących rakshasa, jakie znamy dziś, wciąż dostosowujące swój kształt i funkcję do

ludzkich oczekiwań. To był oddział botów zwiadowczych; dwunożnych biegaczy i skoczków, równie zgrabnych i energicznych jak żelazne kurczaki. A dadaji był helpdeskiem, co oznaczało naprawianie ich, czyszczenie ich z wirusów i bugów, sterowanie nimi, gdy zaczynały biegać w kółko, albo zawracanie ich od murów, które próbowały przeskakiwać, choć były za wysokie, cały czas uważając na ich dwa działka małokalibrowe i służące do walki w krótkim dystansie ostrza.

„Jestem koderem gier”, jęczał. „Układam sekwencje tańca Bollywood i wypadków samochodowych. Projektuję kosmiczne wampiry” Delhi zignorowało jego protesty. Delhi traciło już poparcie, w Rashtrapati Bhavan coraz głośniej rozbrzmiewały głosy zdeterminowanych ludzi, ale stolica je także zdecydowała się zignorować.

Dadaji był I-wojownikiem, Mamaji była w oddziale medycznym. Pasowało to do niej nieco bardziej, niż przydział Dadaji. Była wykwalifikowanym lekarzem i po trzęsieniu ziemi pracowała dla organizacji pozarządowych w Indiach i Pakistanie, i w Sudanie z Lekarzami bez Granic. Nie była żołnierzem, nigdy. Ale Matka Indie potrzebowała lekarzy frontowych, więc znalazła się w Advanced Field Treatment Centre 32 na wschód od Ahmedabadu w tym samym czasie, gdy przeniesiono tam oddział mojego ojca. Moja matka sprawdzała Tech-sierzanta Tushara Narimana pod kątem wszy łonowych i chorób wenerycznych. Reszta jego oddziału nie pozwoliła, żeby kobieta lekarz oglądała ich okolice intymne. Odważnie nawiązał z nią kontakt wzrokowy, na jedną ulotną sekundę.

Być może, gdyby Ministerstwo Obrony było bardziej rozsądne w powoływaniu I-wojowników i do Ósmego Ahmedabad Recon Mecha Squad skierowało wyszkolonego analityka bezpieczeństwa zamiast projektanta gier, to więcej ludzi przeżyłoby atak Sił Uderzeniowych Bharati Tiger. W dawnym wschodnim Uttar Pradesh i Biharze wymieniano nową nazwę: Bharat, stara, święta nazwa Indii; nad Varanasi, najstarszym i najczystszy z miast powiewała jego flaga z toczącym się kołem. Jak w *każdym* narodowym ruchu wyzwolenia, tak i tutaj były tuziny samozwańczych armii partyzanckich, z których każda starała się mieć nazwę bardziej przerażającą, niż te, z którymi mieli chwiejne porozumienie. Siły Uderzeniowe Bharati Tiger wywodziły się z elity sił i-wojny Bharatu. I w przeciwieństwie do Tushara byli zawodowcami. O 21:23 udało im się przełamać firewalle Ósmego Ahmedabadzkiego i wpuścić trojany w zwiadowcze mechy. Gdy mój ojciec naciągnął spodnie po badaniu długimi palcami mojej przyszłej matki, Siły Uderzeniowe Tiger przejęły kontrolę na robotami i skierowały je do szpitala polowego.

Lord Sziwa pobłogosławił mojego ojca tuszą i tchórzostwem. Bohater wybiegłby na piasek, żeby sprawdzić, co się dzieje, dokładnie pod kule. Bohater zginąłby pod ostrzałem albo, gdy skończyła się amunicja, od noży. Tymczasem mój ojciec po pierwszym strzale wlaź prosto pod biurko.

– Padnij! – wysyczał do mojej matki, która zamarła z wyrazem na poły oszołomienia, na poły namysłu na twarzy. Pociągnął ją w dół i natychmiast przeprosił za niestosowne

zachowanie. Dopiero co trzymała w dłoni jego jądra, ale przeprosił. Klęczeli skuleni, bok w bok, podczas gdy dookoła słychać było dźwięki wystrzałów, krzyki i koszmarnie, suche klik klik mediów, potem coraz mniej krzyków i klikania, potem tylko klikanie, potem ciszę. Klęczeli blisko siebie, dygocząc z przerażenia, moja matka jak pies na czterech kończynach, aż otrząsnęła się z szoku. Bali się jednak poruszyć, wywołać najmniejszy hałas, który mógłby przyciągnąć uwagę polujących cieni, które było widać przez okno lazaretu. Ściemniło się, zanim odważyła się odezwać.

– Co się stało?

– Zhakowane mechy – odparł mój ojciec.

Potem zrobił coś, co w oczach mojej matki uczyniło go bohaterem na zawsze.

– Idę się rozejrzeć.

Na czworakach, bezgłośnie, uważając, żeby nie nastąpić na żaden kawałek szkła czy drewna, wyczołgał się spod biurka i zaczął przekradać pod okno. Potem zaczął się podnosić, milimetr po milimetrze, aż był na wpół przykucnięty. Wyrzał przez okno, niemal natychmiast padł na podłogę i zaczął się wycofywać.

– Są tam – wydyszał do Mamaji. – Wszystkie. Zabiją wszystko, co się poruszy.

Być może wymawiał po jednym słowie, żeby brzmiały jak naturalne odgłosy.

– Może skończy im się paliwo – odparła moja matka.

– Są zasilane bateriami słonecznymi.

Rozmowa prowadzona w taki sposób strasznie długo trwała.

– Mogą czekać wiecznie.

Potem zaczęło padać. To była potężna ulewa, zapowiedź monsunu wciąż szalejącego nad Zatoką Bengalską, jak człowiek z flagą i rogiem, który biegnie przed panem młodym, żeby dać światu znać, że zbliża się wielki człowiek. Deszcz uderzał w brezent jak dłonie w bębny. Deszcz syczał na piasku, który go wchłaniał. Deszcz odbijał się od plastikowych pancerzy czekających, nasłuchujących robotów. Pieśń deszczu zagłuszała każdy hałas, więc moja matka czuła wibracje biurka i stąd wiedziała, że mój ojciec się śmieje.

– Z czego się śmiejesz? – syknęła.

– Bo w tym hałasie nie usłyszą, jak pójdę i wezmę mojego palmera – powiedział mój ojciec, co było bardzo odważne dla korpulentnego człowieka. – Wtedy zobaczymy, kto znakuje czyje roboty.

– Tushar – wyszeptała moja matka głosem jak mgła, ale mój ojciec już wylazł spod biurka i czołgał się po palmera leżącego na płóciennym krześle przy wejściu do namiotu. – To czysta głupota.

I przestało padać. Całkiem. Jakby ogrodnik wyłączył zraszac. Było po deszczu. Z lin namiotowych i tak zwanych wodoodpornych okien kapwały krople wody. Przez plastikowe szybki wpadły promienie słońca. Na niebie stała tęcza. Było pięknie, ale mój ojciec utkwiał na środku namiotu, a na zewnątrz były roboty zabójcy w stanie alertu bojowego. Zdusił

przekleństwo i ostrożnie, śmiertelnie ostrożnie, cofał się przez zasłaną odłamkami podłogę, słoniowym tyłkiem do przodu. Teraz poczuł przenoszone przez drewno biurka vibracje stłumionego śmiechu.

– A. Ty. Z. Czego. Się. Teraz. Śmiejesz?

– Nie znasz tej rzeki – wyszeptała moja matka. – Ganga Devi jeszcze nas ocali.

Nad brzegami świętej rzeki noc zapadła jak zwykle, przez podrapane plastikowe okna wpadał taki sam leniwy księżyc jak ten, który teraz oświetla moją opowieść. Moja matka i ojciec klęczeli bok w bok pod biurkiem, z obolałymi ramionami i kolanami.

– Czujesz coś? – powiedział mój ojciec.

– Tak – syknęła moja matka.

– Co to jest?

– Woda – odpowiedziała i w niebezpiecznym świetle księżycy zobaczył jej uśmiech.

A potem ją usłyszał, syczący, szumiący dźwięk, jaki wydaje piasek, gdy wchłania wodę, ale całe jego pragnienie to było za mało, było jej za dużo, za szybko, to była powódź. Mój ojciec wyczuł zapach, zanim zobaczył jezioro wody, niosący trawę, gałęzie i różne szczątki, wlewającą się do namiotu, obmywającą mu kostki. Pachniała jak żyzna ziemia. To był stary zapach monsunu, gdy deszcz uwalnia prawdziwy zapach, smak i kolor każdej suchej rzeczy; zapach wody, który jest wszystkim, co woda uwalnia. Jezioro stał się filmem; woda zalewała im kolana i wirowała wokół nóg biurka, jakby były filarami mostu. Dadaji poczuł, jak jego matka trzęsie się ze śmiechu, potem powódź zerwała bok namiotu i zalała go ścianą wody. Zakrztusił się i ze strachu przed zdradzieckimi mechami próbował powstrzymać kaszel. Potem zrozumiał, z czego śmiała się jego matka i też się roześmiał, głośno i radośnie, jednocześnie wypluwając w kaszlu płuca pełne Gangesu.

– Chodź! – krzyknął i poderwał się zawracając biurko, rzucając się na nie jak na deskę surfingową, obiema rękami łapiąc je za nogi. Jego matka zanurkowała i złapała się go w chwili, gdy namiot się otworzył pod naporem nurtu, a biurko i uchodźcy zostali zmcy przez powódź.

– Machaj nogami! – wrzasnął, kierując biurko w stronę zwisającego wyjścia. – Jeśli kochasz życie i Matkę Indie, machaj nogami!

I znaleźli się na zewnątrz, pod nocnym niebem, rozświetlonym księżycem. Wartownik wysunął broń, ostrze po ostrzu, wycelował w ich stronę i nagle powaliła go powódź. Kiedy widzieli go po raz ostatni jego korpus był na wpół zakopany w piasku, a wokół niego pieniała się woda. Odkopywali od siebie szczątki obozu, meble, racje żywnościowe, sprzęt medyczny i techniczny, popękane, zniszczone, błyszczące korpusy mechów i poranione, powykręcane, spuchnięte ciała żołnierzy i lekarzy. Przebijali się przez to wszystko płynąc na swojej wierzgającej desce, kaszłąc i drżąc wypływali na głębokie, zielone wody Matki Ganga; pod księżycem w pełni płynęli korytarzem srebrnego światła. W południe następnego dnia, bardzo daleko od nadrzecznej plaży Chattigarh, znalazł ich i wyłowił patrol RIB. Byli odwodnieni,

mieli popękana skórę i udar słoneczny. W którymś momencie tej długiej nocy spędzonej pod biurkiem, albo na nim, zakochali się w sobie. Moja matka zawsze mówiła, że to była najbardziej romantyczna rzecz, jaka jej się kiedykolwiek przytrafiła. Ganga Devi wzburzyła swe wody i przeniosła ich przez zabójcze maszyny, aż do bezpiecznej przystani. I tak zaczęła się historia naszej rodziny.

Oto Bóg Wcielony, a potem Ja

Moi rodzice zakochali się w sobie w jednym kraju, w Indiach, a pobrali w innym, w Awadh, duchu starożytnego Oudh, które samo było duchem niemal zapomnianego British Raj. Delhi nie było już stolicą wielkiego narodu, ale geograficzną bzdurą. Jedne Indie stały się wieloma, nasza bogini matka rozpadła się na tuzin awatarów, od ponownie zjednoczonego Bengalu do Rajasthanu, od Kaszmiru do Tamil Nadu. Jakim cudem do tego dopuściliśmy, niemal bezmyślnie, jakbyśmy w jednej chwili przerwali swój marsz ku supermocarstwu, jakbyśmy po prostu się potknęli, podnieśli i ruszyli dalej? To było niemal żenujące, jak odkrycie, że ulubiony wujek ma porno na komputerze. Odwracasz wzrok, nie dopuszczasz tego do siebie, nigdy o tym nie mówisz. Tak, jak nigdy nie mówiliśmy o sejsmicznych wstrząsach przemocy, które rozdzierały nasze zwarte, warstwowe społeczeństwo: potężne upuszczanie krwi z naszej niepodległości wraz z potwornym podziałem, ciągle zagrożenie wojną religijną, wrodzona, groźna agresja w samym sercu naszego systemu kastowego. To wszystko było tak bardzo nieindyjskie. Czym jest kilkaset tysięcy martwych w porównaniu do tych milionów? W ciągu kilku lat nie zostaną może zapomniane, ale będą ignorowane. A to z pewnością sprawia, że krykiet wydaje się bardziej interesujący.

Nowe Indie bardzo dobrze przyjęły moją matkę i ojca. Byli modelowymi, młodymi obywatelami Awadh. Mój ojciec, raz znalazłszy się w pułapce sztucznej inteligencji, przysiągł, że to się już nigdy nie powtórzy i założył jedną z pierwszych farm hodujących na zamówienie niskopoziomowe aplikacje dla Air Awadh, Delhi Bank czy Revenue Service. Moja matka najpierw zajęła się chirurgią kosmetyczną, a później, po trafnej inwestycji w główną enklawę dla rodzących się służb cywilnych Awadh do swojego portfolio dodała mikromanipulatory. Zarobili tak dużo pieniędzy, że ich twarze nie zniknęły z łamów magazynu „Delhi Gloss!“. Byli złotą parą, która nie bacząc na powodzie i wojny zmierzała ku wspaniałej przyszłości. Dziennikarze dzwoniący do ich apartamentu pytali: no, więc gdzie jest złoty syn?

Shiva Nariman pojawił się na świecie 27 września 2025 roku. Sziwa, najstarszy bóg na świecie; Sziwa, pierwszy i ulubiony; Sziwa, z którego przyczyny płynie święty Ganges, siła stwórcza, ten, który zsyła pomyślność, pan paradoksu. Zdjęcie natychmiast zostało opublikowane w magazynie „Gupshup”, do nabycia za pięćset tysięcy rupii Awadh. Opieka

nad złotym chłopcem była pokazywana w nocnym show Nationwide i stała się wyznacznikiem stylu w tamtym sezonie. Pierwsze pokolenie nowego narodu wzbudzało wielkie zainteresowanie; Awadhi Bhais, jak je nazywano. Byli dziećmi nie tylko małej grupy prominentnej delhijskiej klasy średniej, ale całego Awadh. Naród ich sobie ukochał i karmił pierś; tych jasnych, żywotnych, błyskotliwych chłopców, którzy dorosną w nowym kraju i poprowadzą go do wielkości. Nikt nigdy nie wspomniał, nawet nie pomyślał o tym, ile żeńskich komórek rozrodczych zostało wyskrobanych, wypłukanych albo wyrzuconych, niezagnieżdżonych, trafiając do medycznego śmietnika. Byliśmy nowym krajem, byliśmy zaangażowani w wielkie zadanie budowania narodu. Mogliśmy nie zwracać uwagi na kryzys demograficzny, który od lat deformował strukturę naszych klas średnich. Co z tego, że było cztery razy więcej chłopców, niż dziewczynek? Byli wspaniałymi, silnymi synami Awadh. Co do innych, to były tylko kobiety.

Tak łatwo mówię „my”, ja, który skończył jako impresario i opowiadacz historii, ale prawda jest taka, że nie istniałem, nawet wtedy nie istniałem, aż do dnia, gdy dziecko przemówiło w Awadhi Bhai Club. Nigdy nie był tak formalny, jak oficjalny klub; błogosławione matki, ukochania narodu, zbierały się razem wiedzione naturalną, wzajemną potrzebą radzenia sobie z mediami chciwymi każdego aspektu ich życia. Perfekcja potrzebuje grupy wsparcia. Gromadziły się w swoich salonach i penthouse'ach, a ich matki i służące wraz z nimi. To była połączona grupa Matek z Dziećmi. W dniu, w którym przemówiło dziecko, moja matka była z Ushą, Kiran i Devi. To dziecko Devi się odezwało. Wszyscy rozmawiali o wyczerpaniu, olejku zmiękczającym sutki i alergii na orzeszki ziemne, gdy Vin Johar, bujający się w swojej kołysce otworzył oczy i odezwał się w te słowa:

– Głodny, chce butelkę.

– Jesteśmy głodni, mój słodziaczku? – powiedziała Devi.

– Teraz – odparł Vin Johar. – Proszę.

Devi klasnęła w ręce z radości.

– Proszę! Wcześniej nie mówił „proszę”.

Reszta zgromadzonych wciąż się gapiła, oniemiała.

– Od jak dawna on mówi? – spytała Usha.

– Och, od jakichś trzech dni – odpowiedziała Devi. – Łapie wszystko, co się mówi.

– Moja butelka teraz – zażądał Vin Johar. – Szybko.

– Ale on ma tylko... – powiedziała Kiran.

– Pięć miesięcy, tak. To nieco później, niż przewidywał doktor Rao.

Matki matek i służące zrobiły ukradkowe gesty dłońmi i ucałowały amulety, żeby odwrócić złe oko. To moja Mamaji, kołysząca na kolanie grubego, zadowolonego Shive, zrozumiała pierwsza.

– Jesteście, macie, on jest...

– Braminem, zgadza się.

– Ale ty jesteś Sudra – powątpiewała Kiran.

– Bramin. – Devi powiedziała to z taką emfazą, że wszyscy słyszeli wielką literę. – Zrobiono go dla nas, tak.

– Zrobiono? – spytała Usha, a potem do niej dotarło. – Och. Och!

– Będzie wysoki, będzie silny i przystojny, oczywiście, tej części nie trzeba było programować. Będzie zdolny i zdrowy. Och, jaki zdrowy. Nigdy nie zapadnie na chorobę serca, artretyzm, Alzheimera, Huntingtona; ze swoim systemem immunologicznym może się śmiać z niemal każdego wirusa czy infekcji. Jego system odpornościowy poradzi sobie nawet z malarią! Wyobraźcie to sobie! A inteligencja... cóż, powiedzmy, że doktor Rao oświadczył, że nie ma takiego testu, którym dałoby się ją zmierzyć. Wystarczy, że raz zobaczy jakąś rzecz i intuicyjnie ją rozumie, tak po prostu! A co do jego pamięci, doktor Rao mówi, że w jego mózgu jest dwa razy więcej połączeń nerwowych, czy coś takiego; oznacza to, że ma fenomenalną pamięć. Jak Pan Pamięć w indyjskim „Mam Talent”, tylko że lepszą. Nie zapomni niczego. Żadnego zapominania o urodzinach albo telefonach do jego Mata, gdy będzie podróżować po świecie z jakąś wielką korporacją. Popatrzcie na niego, popatrzcie na niego, czyż nie jest najcudowniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widzieliście? Te brązowe oczy. Mój ty mały lordzie. Widzisz ich wszystkich, widzisz ich, swoich przyjaciół? Każdy z nich jest księciem, ale ty, ty jesteś bogiem. Och, mogłabym cię ugryźć w tyłeczek, taki jest piękny, pulchny i cudowny.

Devi trzymała Vina Johara jak puchar zdobyty w mistrzostwach w krykiecie. Pocałowała go w brzusek.

– Och, ty mały boże.

Wtedy Shiv rozplakał się rozdzierająco. Podczas, gdy Devi wyśpiewywała hymn na cześć swego genetycznie poprawionego, ukochanego syna, ręka mojej matki coraz silniej zaciskała się z zazdrości na złotym Shivie, aż rozplakał się z bólu. Jej palce zostawiły na jego żebrach siniaki w kształcie marchewek.

Shiv gapił się na mobil obracający się nad jego łóżeczkiem, niewinny i nieświadomy tego, że jego aktywność wzrokowa była pobudzana przez sprytnie zaprojektowane krople i chmurki. Moja matka miotała się po łagodnie oświetlonym apartamencie, aż Dadaji wrócił z biura do domu. Odkąd urodził się Shiv jego obowiązki były coraz cięższe i musiał pracować coraz dłużej. W sumie nigdy nie był jakimś świetnym ojcem. W krykiecie był beużyteczny.

– Co robisz w piątek? – napadła go moja matka.

– Uhm, nie jestem pewny, jest coś w biurze...

– Odwołaj to.

– Co? – nigdy nie grzeszył specjalnie dobrymi manierami, ale wtedy był Top Geekiem.

– Jesteśmy umówieni z doktorem Rao.

– Z kim?

– Z doktorem Rao. W Swaminathan Clinic.

Znał tę nazwę. Znał tę klinikę. Całe Delhi, nawet Top Geeki, znały dziwne i cudowne dzieci, które stamtąd wychodziły. Potrzebował tylko chwili, żeby jego jaja, które wciągnęły się ze zgrozy, wróciły mu na miejsce.

– Piątek, jedenasta trzydzieści, z samym doktorem Rao. Będziemy mieli dziecko.

Nie w piątek o jedenastej trzydzieści, ani w następny. Nie przez sześć następnych piątków po wstępnej konsultacji, sprawdzeniu możliwości finansowych i stanu zdrowia. Dopiero wtedy Mamaji i Dadaji mogli wybrać pozycje z menu. To było menu, jak w najbardziej wyrafinowanej restauracji, jaką można sobie wyobrazić. Moi rodzice zamrugali. Inteligencja tak, uroda tak, wzmocniona koncentracja tak, rozszerzona pamięć i zdolność kojarzenia tak, zdrowie, powodzenie, siła, szczęście, wszystko, co miał Vin Johar. I więcej.

– Dłuższy okres życia?

– Ach, tak, to nowa możliwość. Nowa technika, która dopiero co została certyfikowana.

– Czy to oznacza...?

– Dokładnie to.

Moi rodzice znów zamrugali.

– Państwa syn – (to właśnie mnie tam budowali) – będzie się cieszył niezwykle długim życiem w pełnym zdrowiu.

– O ile dłuższym?

– Dwa razy dłuższym, niż normalnie. Czyli? Niech pomyślę, dla ludzi takich, jak my, zamożnych, wykształconych, z klasy średniej, z dostępem do wysokiej jakości usług medycznych, to jakieś osiemdziesiąt lat. A więc dwa razy tyle.

Zamrugali po raz trzeci.

– Sto sześćdziesiąt lat.

– I ostatnia rzecz – musicie pamiętać, że medyczne cuda zdarzają się każdego dnia. Każdego dnia. Nie ma powodu, żeby wasz syn...

– Wisznu.

Mój ojciec z otwartymi ustami spojrzał na moją matkę. Nie wiedział, że wybrała imię. Jeszcze do niego nie dotarło, że w tej sprawie i tak nie ma nic do powiedzenia. Ale jego jaja, kurcząc się w luźnych i przewiewnych jedwabnych bokserkach, dobrych do produkcji spermy, od razu to zrozumiały.

– Wisznu, Władca, ten, który podtrzymuje świat. – Doktor Rao z szacunkiem pochylił głowę. Był staroświeckim człowiekiem. – Wiecie, często się zastanawiam, jak procesy poczęcia, ciąży i porodu wpływają na dziesięć inkarnacji Lorda Wisznu: rybka w spermie, żółw w jajku Kurmy, ocalenie z dna oceanu przez Varaha, płodność...

– A co z karzełkiem? – spytał mój ojciec. – Z karłowatym Braminem?

– Karzełek, tak – przeciągle powiedział doktor Rao.

Był człowiekiem niespiesznej mowy i wydawało się, że im bliżej końca zdania, tym bardziej traci wątek. To sprawiało, że wielu ludzi popełniało błąd i uznawali go za głupiego,

podczas gdy on ubierał w kształt idealną konkluzję. W rezultacie nie pojawiał się często w telewizji czy w wywiadach sieciowych.

– Karzeł to zawsze problem, prawda? Jednak wasz syn z pewnością będzie prawdziwym Braminem. I Kalki, tak, Kalki. Tym, który zakończy Wiek Kali. Kto powie, że nie zobaczy końca tego świata w ogniu i w wodzie, i narodzin nowego? Tak, długowieczność. To bardzo dobre, ale istnieje kilka pomniejszych niedogodności.

– Nieważne. Weźmiemy to. Johar Devi tego nie ma.

Tak więc mój ojciec został wysłany z plastikowym kubeczkim, żeby złapał swoje święte ryby. Moja matka poszła z nim; żeby je pozyskać w akcie miłości, ale przede wszystkim dlatego, że mu nie ufała w kontekście zachodniego porno. Kilka piątków później doktor Rao długą igłą pobrał żółwie jaja mojej matki. Ona nie potrzebowała do tego mojego ojca. To był akt biologiczny. Wolno mówiący doktor zrobił swoje i z głębi oceanu sztucznych łon wezwał osiem zarodków. Jeden z nich został wybrany. Ja! Ja! Mały ja! Oto jestem! Popatrz na mnie! Popatrz na mnie! I zostałem zagnieżdżony w łonie mojej matki. Właśnie wtedy odkryła niedogodność: moje życie o podwojonej długości zostało okupione dwukrotnie wolniejszym starzeniem w stosunku do zwykłej, niebramińskiej ludzkości. Po osiemnastu miesiącach ciąży, osiemnastu miesiącach porannych mdłości, wzdęć, gorszego krążenia, popękanych żyłek, popuszczania moczu, bólu krzyża i, co najgorsze, zakazu palenia, moja matka, z wielkim okrzykiem: „Nareszcie, nareszcie! Wyciągnijcie ze mnie tego skurwiela!”, 27 września 2027 wydała mnie na świat, a ja zająłem swoje miejsce w tej historii.

Mój brat mnie nienawidzi

W jakim świecie się urodziłem! Co za czasy: wiek światła i światłości. Błyszczące Indie prawdziwie odnalazły się w Błyszczącym Awadh, Błyszczącym Bharacie, Błyszczącym Maratha, Błyszczącym Bengal – wszystkich błyszczących fasetach naszych ludzi. Horror Schising został za nami, nie licząc inwalidów wojennych na stacjach metra, zdemoralizowanych gangów I-wojowników, którzy w czasie wojny byli ledwo nastolatkami, okazjonalnych kłopotów, które sprawiały zahibernowane głęboko w miejskiej sieci informacyjnej programy bojowe i Dokumentalistów, którzy uważali, że nie dość rozpaczaliśmy nad swoim samookaleczeniem i osiągniętym porozumieniem. Porozumieniem? Delhi nie miało czasu na takie zachodnie uprzejmości. Niech śmierć wypali śmierć, tu były pieniądze do zrobienia i przyjemności do zakosztowania. Nasze nowe bulwary i place, nasze centra handlowe i kompleksy rozrywkowe były świetliste, młode i optymistyczne. To był czas nowej mody, spódniczek tak krótkich, że ojcowie rwali włosy z głów i fryzur, które doprowadzały do rozpaczki matki; nowych trendów i obsesji, które wychodziły z mody, gdy

tylko trafiły na strony „Gupshup”; czas dziesięciu tysięcy nowych idei, które znikwały równie szybko, jak się pojawiały. To była młodość, to była pewność, to była realizacja wszystkiego, czym, jak twierdziła, mogła być stara Matka Indie, ale większość to były pieniądze. Tak jak w Delhi, tak, w Varanasi, Kalkucie, Mumbai, Chennai, Jaipur. Ale najbardziej, jak sądzę, w Delhi. W Indiach Delhi były stolicą, nie z mocy prawa, ale kaprysu. Mumbai, nawet Kalkuta zawsze je przyćmiewały. Teraz naprawdę były stolicą swojego narodu, nie miały rywala i były zdezorientowane. Moje najwcześniejsze wspomnienie, z czasów, gdy wszystkie zmysły się zlewają, dźwięki mają zapachy, kolory fakturę, a sztywne podziały nie przebiły jeszcze jednolitej rzeczywistości, to strumienie światła zalewające moją zwróconą ku górze twarz, światła we wszystkich kolorach, światła, które odbierane przez niezróżnicowaną korę mózgową mrucało i dzwoniło jak sąsiednie struny sitara. Podejrzewam, że musiałem być w naszym samochodzie, a szofer wiozł nas gdzieś przez oświetlone miasto na jakieś spotkanie towarzyskie, ale wszystko, co pamiętam, to uśmiechanie się do śpiewającego światła. Nawet teraz, gdy myślę o Delhi, to jako o rzece światła, strumieniu srebrnych nut.

A co to za miasto! Poza Starym Delhi i Nowym Delhi, poza Nowszymi Delhi dzielnicy Gurgaon i pożądanymi nowymi przedmieściami Sarita Vihar i New Friends Colony, Najnowsze Delhi całe błyszczało. Niewidzialne Delhi, Delhi danych, cyfr i oprogramowania. Delhi oprogramowane, Delhi sieciowe, Delhi wyłaniające się z płataniny kabli i bezprzewodowych węzłów, niematerialne Delhi rozciągające się przez ulice i budynki materialnego miasta. Żyli tu nowi, dziwni ludzie: komputerowo stworzona kasta Town and Country, opera mydlana, całkowicie sztuczna, która była bardziej prawdziwa, niż samo życie. To nie tylko postaci przyciągały naszą uwagę; geniusz produkcji leżał w aktorach CG, którzy wierzyli, że grają i mają życie odrębne od kreowanych przez siebie postaci, i których skandale, romanse i małżeństwa znaczyły dla nas więcej, niż te naszych przyjaciół czy sąsiadów. Inne niezwykle stworzenia miały nas na ulicach i placach: aeai, panteon sztucznych inteligencji, które służyły naszym potrzebom niematerialnym, od bankowości do usług prawnych, od zarządzania domem do prac sekretarskich. Wszędzie i nigdzie, były to zlepki poziomów i hierarchii: high-tech aeai wkraczające w procesory; tysiące na poziomie 0.8 (inteligencja świni), które łącząc się osiągały poziom 1 – inteligencję małpy; te znow łączą się, wchodząc na poziom 2, przez siedemdziesiąt procent czasu nieodróżnialny od inteligencji ludzkiej. A jeszcze dalej, jak głosiła pełna obawy plotka, był poziom 3: przekraczający ludzką inteligencję. Kto mógł zrozumieć taką egzystencję, byty złożone z wielu części, które niekoniecznie się rozpoznawały? Djinny, te starożytne duchy nawiedzające ich ukochane Delhi, one rozumiały; i jeszcze, starsi od nich, bogowie. Rozumieli aż za dobrze. A w mieście materialnym pojawiła się nowa kasta. Na naszych ulicach pojawiła się nowa płeć, jakby wprost z niebios, ani mężczyzna, ani kobieta, odrzucająca cechy jednych i drugich. Nutes, jak się sami nazywali. No i oczywiście stworzenia takie, jak ja, poprawione na poziomie jaja i spermy, pobłogosławione

niezwykłymi cechami i obłożone ukrytymi kłátwami: bramini. Tak, byłem bachorem z wyższej klasy średniej, który urodził się, by korzystać z genetycznych przywilejów, a Delhi rozciągało się przede mną jak stół bankietowy. To było moje miasto.

Delhi mnie kochało. Kochało mnie, kochało wszystkich moich bramińskich braci i kilka sióstr. Byliśmy cudami, dziwakami, awatarami. Mogliśmy robić wszystko, byliśmy potencjałem Awadh. My, Bramini, byliśmy prawdziwymi Awadhi Bhais. Mieliśmy nawet własny komiks pod tym tytułem. Z naszymi dziwnymi, genetycznymi mocami walczyliśmy z przestępcami, demonami i ludźmi z Bharat. Byliśmy superbohaterami. Sprzedawał się całkiem nieźle.

Mógłbyś uznać, że byłem dość beztroski; genetycznie doskonały dzieciak mrugający w świetle słońca wpadającego przez szklane ściany penthouse'u. Myliłbyś się. Gdy tak leżałem, chichocząc i mrugając, podwójne neuronowe ścieżki z nadnaturalną szybkością oplatały mój rdzeń kręgowy, mózdzek i obszar Broca. Zalew światła, ten prysznic srebrnych nut nagle zróżnicował się na przedmioty, dźwięki, zapachy, odczucia. Widziałem, słyszałem, czułem, ale jeszcze nie rozumiałem. Tworzyłem więc połączenia, rysowałem wzorce, widziałem, jak świat wlewa mi się do głowy za pośrednictwem zmysłów i osadza się na ognistym drzewie moich neuronów w postaci sieci, układów i konstelacji. Stworzyłem sobie wewnętrzną astrologię, i zanim jeszcze potrafiłem nazwać psa „psem”, kota „kotem”, a Mamaji „Mamaji” rozumiałem związki między rzeczami. Widziałem większy obraz; widziałem największy obraz. To była moja prawdziwa supermoc, która pozostała mi po dziś dzień. Nigdy nie mogłem sięgnąć myślą do Sri Lanki ani podnieść góry siłą woli, nie władałem ogniem ani gromem, ani nawet własną duszą, ale zawsze wystarczyło mi jedno spojrzenie, żeby poznać absolutną całość.

Wymienianie imion. To wtedy właśnie Mamaji po raz pierwszy uświadomiła sobie, że błogosławieństwa doktora Rao nie są wymieszane. Tamtego dnia było spotkanie w domu Devi Johar, tej od zdumiewającego Vina. Oto on, biegając po pokoju wraz ze służącą, która próbowała ubrać go w ubranko firmy SonSun z Los Angeles. Shiv bawił się z innymi niebraminami w ogrodzie na dachu, szczęśliwymi i zadowolonymi ze swoich ograniczonych zajęć. Jak szybko stracił pozłotę, gdy się urodziłem! Co do mnie, siedziałem w kołysce, bulgocząc i wielkimi oczami patrząc na złote matki. Wiedziałem, że Shiv był zazdrosny, choć brakowało mi na to słów i języka emocji, którym mógłbym to wyrazić. Widziałem to w tysiącu spojrzeń, sposobie, w jaki siadał przy stole, w jaki jeździł samochodem, w jaki włókł się za ayah Meenakshi, gdy pchała mój wózek po centrum handlowym, jak stał przy moim łóżeczku i wbijał we mnie wzrok. Rozumiałem nienawiść.

Vin spytał Devi, czy może wyjść na zewnątrz i pobawić się z innymi w ogrodzie na dachu. Proszę.

– Dobrze, ale się nie przechwalaj – powiedziała Devi Johar. Gdy się odtoczył, Devi skromnie skrzyżowała kostki i położyła ręce na kolanach.

– Mira, mam nadzieję, że się nie obrazisz, ale twój Vish... cóż, jeszcze nie mówi. Vin w jego wieku znał dwieście słów i wyrażał się gramatycznie.

– I czy nie powinien, hm, przynajmniej raczkować? – spytała Usha.

– Ile ma, piętnaście miesięcy? Wydaje się nieco... mały – dodała Kiran.

Moja Mamaji zalała się łzami. To były przeplakane i bezsenne noce, kołysanie i sprzątanie, kwilenie i kolki, zmęczenie, och, zmęczenie, ale, co najgorsze w tym wszystkim, karmienie piersią.

– Piersią? Po roku? – Usha nie dowierzała. – To znaczy, słyszałam, że niektóre matki karmią całymi latami, ale to wieśniaczki, albo matki, które za bardzo kochają swoich synów.

– Moje sutki są jak owoce morwy – chlipała moja Mamaji. – Widzicie, on ma piętnaście miesięcy, ale biologicznie nie ma nawet ośmiu.

Będę żył dwa razy dłużej, ale starzejąc się dwa razy wolniej. Niemowlęstwo było wielkim, przedłużonym świtem; dzieciństwo niekończącym się porankiem. Gdy Shiv poszedł do szkoły, ja dopiero zacząłem stawiać pierwsze kroki. Gdy byłem w wieku, w którym idzie się na studia, fizjologicznie miałem dziewięć lat. Dorosłość, dojrzałość, starość były punktami tak odległymi, że w ogóle do mnie te pojęcia nie trafiały. W tej przyszłości będę żył wystarczająco długo, żeby stać się częścią historii; jako dziecko byłem koszmarem matki.

– Wiem, że pierś jest najlepsza, ale może powinnaś pomyśleć o przejściu na butelkę – powiedziała łagodnie Devi.

Widzisz, jak przywołuję każde słowo? Kolejny dwuznaczny dar doktora Rao. Zapominam tylko to, co chcę zapomnieć. Rozumiałem każde słowo – w wieku piętnastu miesięcy moje słownictwo było daleko bardziej zaawansowane, niż tego twojego cennego Vina, Devi, ty dziwko. Ale było we mnie uwięzione. Mój mózg formułował słowa, ale moja krtań, język, wargi i płuca nie mogły ich uformować. Byłem więźniem w swojej kołysce, uśmiechającym się i machającym tłustymi paluszkami.

Rozumiały mnie cztery istoty, tylko cztery, i żyły w plastikowym motylu o miękkich kształtach, który wisiał nad moim łóżeczkiem. Nazywały się TikkaTikka, Badshanti, Pooli, i Nin. Były aeai, które miały mnie pilnować, zabawiać piosenkami, historyjkami i ślicznymi wzorami z kolorowych światełek, ponieważ Mamaji uznała, że bajki na dobranoc opowiadane przez ayah Meenakshi były zbyt przerażające dla podatnego na sugestię Bramina. Były głupsze nawet od moich rodziców, ale ich poziom inteligencji to było tylko 0.2. TikkaTikka śpiewał piosenkę.

Zieloną łodzią,

Po niebieskim morzu,

Mały lord Wisznu

Żegluj w stronę snu.

Śpiewał to każdej nocy. Lubilem to; nadal śpiewam to sobie, gdy na zniszczonych brzegach Mata Ganga pokazują swój koci cyrk.

Pooli uosabiał zwierzęta, i to kiepsko. Był kretynem. Jego głupota mnie obrażała, więc go nie włączałem.

Badshanti, urocza Badshanti, ona była bajarką. „Wisznu, czy chciałbyś posłuchać historii?” to były słowa prowadzące do godziny cudów. Nie zapominam, wiem więc, że nigdy nie opowiadała dwa razy tej samej historii, chyba że o to poprosiłem. Jak to robiłem? Żeby to wyjaśnić, muszę powiedzieć o ostatniej z moich aeai.

Nin przemawiał tylko wzorami świateł i kolorów, przesuwającymi się po mojej twarzy. Ten kalejdoskop miał stymulować moją inteligencję wzrokową. „Nin bez słów” był tym inteligentnym; ponieważ mógł interpretować wyraz twarzy, to jego pierwszego nauczyłem swojego języka. To był bardzo prosty język złożony z mrugnięć. Jedno zamierzone mrugnięcie na tak, dwa na nie. To było wolne, wykańczające, ale to była droga ucieczki z więzienia mojego ciała. Z Ninem, czytającym moje odpowiedzi na pytania Badshanti, mogłem przekazać wszystko.

Jak mój brat mnie nienawidził? Pozwól, że zabiorę cię do Kaszmiru tamtych czasów. Po trzeciej suszy z rzędu moja matka przysięgła, że już nigdy nie spędzi lata w Delhi, w żarze, hałasie, smogu i w otoczeniu chorób. Miasto przypominało psa leżącego na poboczu drogi, zięjącego, dzikiego, brudnego i szukającego pretekstu, żeby ugryźć, czekającego na monsun. Mamaji wzięła przykład z Brytyjczyków żyjących tu sto lat wcześniej i zabrała nas w chłodne i wysoko położone miejsca. Kaszmir! Zielony Kaszmir, niebieskie jezioro, kolorowe łodzie mieszkalne i przede wszystkim górskie szczyty. Wtedy nadal były pokryte śniegiem. Pamiętam, jak mrugałem olśniony cudownością jeziora Dal, podczas gdy shikara gnała przez spokojną wodę do hotelu wyrastającego z niej jak pałac w którejś opowieści Badshanti. Moich czworo przyjaciół kołysało się na wietrze. Łódź zakręciła i dobiła do cumowiska, gdzie portierzy w czerwonych turbanach czekali, aby doprowadzić nas do naszego chłodnego letniego apartamentu. Shiv stał przy burcie. Chciał rzucić linę cumowniczą.

Spokojny, jasny, chłodny Kaszmir po ogłupiającym upale Delhi! Podskakiwałem, kołysałem się i uśmiechałem w swoim łóżeczku, i z radości machałem małymi rączkami w słodkim powietrzu. Każdy zmysł był pobudzony, każdy nerw wibrował. Wieczorem TikkaTikka zaśpiewa, Badshanti opowie historyjkę, a Nin pokaże mi gwiazdy.

To miała być przygoda na łodzi. Było jedzenie i picie. Mieliśmy jechać wszyscy razem. To była kwestia chwili, nadal to widzę, taki drobiazg, że wyglądał jak przypadek. To nie był przypadek. To było przemyślane, to było skrupulatnie zaplanowane.

– Gdzie jest miś Gundi? Zgubiłem Gundiego – zaczął płakać Shiv, gdy mój ojciec miał wejść na łódź. – Chcę Gundiego – rzucił się po trapie na brzeg. Dadaj go złapał.

– O nie. W ten sposób nigdy się stąd nie ruszymy. Zostań i nie ruszaj się stąd. Dobrze. Gdzie widziałeś go po raz ostatni?

Shiv wzruszył ramionami, niewinnie zapominalski.

– Pójdę z tobą, jak będziesz się kręcił w kółko, nigdy go nie znajdziesz – moja matka westchnęła ciężko z irytacji. – Shiv, masz tu zostać, rozumiesz? Niczego nie dotykaj. Zaraz wracamy.

Poczułem na sobie głęboki cień. Shiv stał nade mną. Nawet gdybym chciał, nie mógłbym zapomnieć wyrazu jego twarzy. Zbiegł po trapie, odwiązał linę cumowniczą i upuścił ją do wody. Pomachał ręką, pa, pa, a wiatr wydał żagiel i poniósł mnie na jezioro. Krucha, mała shikara oddalała się od brzegu wyspy Lake Hotel. Obracał nią wiatr. Zacząłem płakać.

Nin zobaczył, że moja twarz się zmieniła. W plastikowym motylu obudził się TikkaTikka. Zaśpiewał.

*Jezioro jest wielkie, jezioro migocze
A mały lord Wisznu zamyka już oczy.
Wiatr go kołysze, ogrzewa go słońce
Zamknęło już oczka nasze dziecko śpiące.*

– Witaj, Wisznu – powiedziała Badshanti. – Masz dziś ochotę na historyjkę?

Dwa mrugnięcia.

– Żadnej historyjki? W takim razie śpij spokojnie. Słodkich snów, Wisznu.

Dwa mrugnięcia.

– Nie chcesz historii, ale nie chcesz spać?

Jedno mrugnięcie.

– Wobec tego zagrajmy w jakąś grę.

Dwa mrugnięcia. Badshanti wahała się tak długo, że pomyślałem, że się zawiesiła. Była bardzo ograniczoną aeai.

– Nie chcesz grać, nie chcesz historyjki, nie chcesz spać?

Mrugnąłem. Teraz wiedziała już, jak sformułować pytanie.

– No to czego chcesz?

TikkaTikka zaśpiewał dziwną piosenkę, której nigdy wcześniej nie słyszałem.

*Zbiera się burza
A woda w jeziorze
Choć wcale nie chce
Skrzywdzić cię może.*

Tak. Shikara była daleko od brzegu, bokiem do wiatru, kołysząc się na wszystkie strony. Jeden mocniejszy powiew mógł ją przewrócić i posłać mnie na dno jeziora Dal. Może i byłem bohaterem własnego komiksu, ale doktor Rao nie wyposażył mnie w geny pozwalające na

oddychanie pod wodą.

– Czy jesteśmy na łódce, płynącej daleko? – spytała Badshanti.

Tak.

– Jesteś na wodzie?

Tak.

– Jesteśmy tutaj sami?

Tak.

– Czy Wisznu jest szczęśliwy?

Nie.

– Czy Wisznu się boi?

Tak.

– Czy Wisznu jest bezpieczny?

Dwa mrugnięcia.

Badshanti znów umilkła. Potem zaczęła krzyczeć.

– Pomocy! Mały lord Wisznu jest w niebezpieczeństwie! Pomocy!

Jej głosik był cienki i metaliczny i nigdy nie pokonałby jeziora, ale jedna z milczących aeai, być może głupi Pooli, musiał także wysłać wezwanie przez radio, bluetooth, i GPS, bo nagle łódź rybacka zmieniła kurs, odpaliła silnik i pognała w moją stronę w pióropuszcach wody.

– Dziękuję, dziękuję panom za ratunek – paplała Badshanti, gdy dwóch rybaków złapało shikarę twardymi rękami i ku swemu zdumieniu ujrzeli w niej dziecko leżące na materacyku i uśmiechające się do nich.

Mapa w mojej czaszce

Przez całe życie byłem jakoś związany z wodą. Moi rodzice pokochali się podczas powodzi, moje aeai uratowały mnie z dryfującej łódki. Nawet teraz wydobywam się z pamięci Ganga, wypływającego z włosów Sziwy. To właśnie woda uczyniła mnie superbohaterem Awadh, aczkolwiek bardzo szczególnym, który nie chciał dorosnąć.

Po tym, jak niemal czteroletni Shiv próbował się mnie pozbyć, nie było końca awanturom. Nawet nie próbował się wypierać. Zniósł to ze stoickim spokojem. Najgorsza była mowa mojego ojca. Prawie było mi go żal. Moja matka przynajmniej była wściekła, potwornie, dojmująco wściekła. Nie próbowała nawet podejść do tego racjonalnie. Nie przeszło jej, gdy wreszcie nadszedł monsun i wróciliśmy do Delhi ociekający deszczem, podczas gdy powietrze wypełniał cudowny, bogaty zapach mokrego kurzu, mocniejszy od jakichkolwiek perfum. Deszcz skończył się cztery dni później i Delhi miało własne kłopoty.

To dlatego moim rodzicom udało się utrzymać to wszystko w tajemnicy przed prasą. PIĘTNAŚCIE MILIONÓW SPRAGNIONYCH LUDZI to poważniejsza sprawa, niż CZTEROLATEK PRÓBUJE UTOPIĆ BRACISZKA BRAMINA.

Oczywiście była terapia, długa i kosztowna, która nie dała żadnych rezultatów, poza stwierdzeniem psychologa dziecięcego, że „To prawdopodobnie najtrudniejszy przypadek rywalizacji między rodzeństwem, jaki kiedykolwiek widziałem. Państwa starszy syn ma bardzo silnie rozwinięte poczucie własnych praw i ma wielki żal o to, co odbiera jako utratę pozycji i uczucia rodziców. Raczej nie okazuje skruchy i obawiam się, że może ponownie spróbować skrzywdzić Wisznu”.

Moi rodzice przyjęli te słowa do wiadomości i doszli *do* własnego rozwiązania. Shiv i ja nie możemy żyć razem, więc musimy żyć osobno. Mój ojciec kupił drugie mieszkanie w mieście. Shiv przeprowadził się wraz z nim. Ja zostałem z Mamaji. Zanim się rozdzielili, pulchny Tushar kochał się z moją matką na do widzenia, bez planowania, doboru płci, ani regulacji genetycznych. I tak urodziła się Sarasvati, ostatnia z trojga bogów; moja siostra.

Dorastaliśmy razem. Leżeliśmy obok siebie w naszych łóżeczkach, patrząc nie na stymulujące i edukacyjne zabawki, ale na siebie nawzajem. Przez radosny czas rozwijaliśmy się jednocześnie. Uczyliśmy się chodzić, mówić i panować nad wypróżnieniem. Gdy byliśmy sami mamrotałem do niej słowa, które znałem, słowa, które tak długo kołatały mi się w głowie, a teraz były wolne, jakby ktoś otworzył klatkę i wypuścił z niej gołębice, które latały nad dachami Delhi. Byliśmy sobie bliscy jak bliźnięta. *Potem, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, Sarasvati mnie przeganiała. Większa, z lepszą koordynacją, bardziej rozwinięta fizycznie, nigdy nie zaciniała się na tych kilku prostych słowach, które znała, podczas gdy we mnie rozbrzmiewały wiersze i Wedy. Z bliźniaczki stała się starszą siostrą. Była niespodzianką, przyjemnością, dzieckiem wolnym od ciężaru oczekiwań, więc nigdy nie przyniosła rozczarowania. Kochałem ją. Ona kochała mnie. Podczas tych rozmruczanych wieczorów, wypełnionych zachodem słońca i chłodem z klimatyzacji, znaleźliśmy wspólny język i zabawy, których nasze różne opiekunki, nawet nasza matka, nigdy nie zgłębiły.*

Po drugiej stronie miasta, na szczycie swojej własnej szklanej wieży wypełnionej światłem zachodów słońca przefiltrowanych przez smog wspaniałego Delhi, osobno dorastał Shiv. Miał pięć i pół roku, uczył się najlepiej w klasie, i był przeznaczony do świetności. Skąd to wiem? Raz w tygodniu mój ojciec przychodził zobaczyć się ze swoim drugim synem i córką i spędzić miły wieczór ze swoim kochaniem. TikkaTikka, Pooli, Nin, i Badshanti zastąpiono lepszymi (i bardziej dyskretnymi) aeai, ale gdy to się stało, a ja nauczyłem się mówić odkryłem, że mogę je przeprogramować zgodnie ze swoimi potrzebami. Rozsyłałem je po apartamencie jak djinny. Żadne słowo, żadne spojrzenie nie mogło ująć mojej uwadze. Czasem zerknięcia zamieniały się w spojrzenia, a pomruki cichły, a moi rodzice się kochali. To także widziałem. Nie uważałem tego za szczególnie niewłaściwe czy żenujące; wiedziałem doskonale, co takiego robią i choć wydawało się, że ich to uszczęśliwia, nie

wyglądało jak coś, co kiedykolwiek chciałbym robić.

Gdy teraz myślę o tamtych czasach spędzonych z Sarasvati, to widzę je jako Złoty Wiek, naszą Satya Yuga niewinności i prawdy. Bawiliśmy się w słońcu i cieszyliśmy każdym upadkiem, zderzeniem i uśmiechem. Nasz świat był radosny i pełen niespodzianek, jego odkrywanie sprawiało radość Sarasvati, a jej ewidentna radość sprawiała przyjemność mnie. Potem rozdzieliła nas szkoła. Jaką okropną, niepotrzebną rzeczą jest ta instytucja. Oczywiście lord Wisznu nie mógł uczęszczać do zwykłej szkoły. Brahminical College doktora Renganathana był uczelnią dla elity elit. Ścieżka edukacji była dopasowywana do potrzeb. Na moim roku było nas ośmiu, a to wystarczyło, żeby pojawiły się podziały. W Brahminical College doktora Renganathana nie wszyscy Bramini byli równi. Choć wszyscy byliśmy w tym samym wieku, podzieliliśmy się w dość naturalny sposób na Starych Braminów i Nowych Braminów. Albo, jeśli wolisz, Wielkich Braminów i Małych Braminów. Tych, którzy cieszyli się wszelkimi darami zdrowia, urody i inteligencji, ale którzy i tak mieli umrzeć w stosownym wieku, i tych, którzy starzeli się dwa razy szybciej, ale mieli żyć dwa razy dłużej. Wszyscy byliśmy w klasie początkowej prowadzonej przez pannę Mukudan.

Ach, panna Mukudan! Twoje złote bransolety i uśmiechnięte oczy jak u Kleopatry, twoja skóra ciemna najbardziej miękką ciemnością najgłębszego południa; twój subtelny wąsik i zapach kamfory, gdy pochylałaś się, żeby mi pomóc z guzikami albo rzepami, na których trzymały się buty. Byłaś moją pierwszą, nieokreśloną miłością. Byłaś obiektem niejasnych uczuć każdego z nas. Kochaliśmy cię za twoją lekką wyniosłość, twoją stanowczość i za to, jak łatwo się irytowałaś, i cudowną wiedzę, że dla ciebie byliśmy tylko kolejnymi dziećmi, które ze ślepych i samolubnych barbarzyńców należało zmienić w cywilizowane, młode istoty ludzkie. Kochaliśmy cię, ponieważ nie byłaś zapatrzoną w nas, bezkrytyczną mamusią. Nie dało ci się wcisnąć kitu.

Klasa Braminów to było za dużo nawet dla groźnej panny Mukudan. W wieku czterech lat nasze podrasowane mózgi prowadziły nas dziwnymi i samotnymi drogami do szczególnego postrzegania świata, na poły autystycznych obsesji, przerażająco uczonych obserwacji albo zwykłej niezrozumiałości. Każdemu z nas przydzielono osobistego nauczyciela, który towarzyszył nam we dnie i w nocy. Mój nazywał się Mister Khan i żył wewnątrz mojego ucha. Nowa technologia pospieszyła nam na pomoc. To była najnowsza rzecz z dziedziny commów – które zawsze wydawały mi się bardzo trywialną technologią. Nie było już ekranów czy obrazków na wierzchu dłoni, ani urządzeń, które pisały na gałce ocznej tak delikatnie, jak bazarowy magik wypisuje imiona turystów na ziarenku ryżu. Zwykły, plastikowy haczyk za uchem wyświetlał cyberprzestrzeń w twojej głowie. Bezpośrednia stymulacja elektryczna centrów wzroku, słuchu i zapachu zaludnia świat duchami wiadomości, strumieniami danych, clipami z Town and Country, wiadomościami wideo, całym wszechświatem awatarów i, nieuchronnie, spamem. A w moim przypadku spersonalizowanym nauczycielem aeai, Mr Khanem. jakże ja go nienawidziłem! Był tym

wszystkim, czym nie była panna Mukudan: był drażliwy, władczy, opryskliwy i natrętny. Był małym, złośliwym muzułmaninem, chudym jak tyczka, z białym wąsem i w białej czapce Nehru. Zdzierałem „haczyk” z frustracji, a kiedy znów go nakładałem, na prośbę panny Mukudan – zrobilibyśmy dla niej wszystko – wygłaszał tyradę na każdą sylabę, którą go uciszałem.

„Patrz i słuchaj, ty tłusty, rozpieszczony, uprzywilejowany, niemający prawa nazywać siebie Braminem bachorze”, mówił. „Masz oczy, masz uszy, używaj ich i ucz się. Jest tylko ten jeden świat, a ty w nim żyjesz. Jeśli zdołam cię tego nauczyć, to nauczę cię wszystkiego, co kiedykolwiek będziesz musiał wiedzieć”.

Był surowym moralistą, bardzo porządnym i islamskim. Wtedy inaczej patrzyłem na pannę Mukudan, zastanawiając się, jakimi kierowała się przesłankami przydzielając mi Mr Khana. Czy został zaprogramowany tylko dla Wisznu? Jak go zbudowano? Czy pojawił się już idealnie ukształtowany, czy miał swoją historię, i jak myślał o przeszłości? Czy wiedział, że była kłamstwem, choć cennym? Czy był taki, jak samooszukujące się aeai, grające w „Town and Country”, które wierzyły, że istnieją naprawdę? Jeśli udawał inteligentnego, to czy to znaczyło, że był inteligentny? Czy inteligencja to jedyna rzecz, której nie można stymulować? Takie myśli były bardzo interesujące dla dziwnego, małego chłopca, który nagle stał się świadomy istnienia tych innych, dziwacznych obywateli zamieszkujących jego ograniczony świat. Jaka była natura aeai, tych wszechobecnych i zazwyczaj niewidocznych mieszkańców wielkiego Delhi? Zrobił się ze mnie mały filozof.

– Co jest dla ciebie właściwe? – spytałem go któregoś dnia, wracaliśmy lexusem przez roztopiające się w upale Delhi. To było święto Ashura. Mr Khan opowiedział mi o strasznej bitwie pod Karbalą i wojnie między synami Proroka. Patrzyłem na śpiewających, zawodzących ludzi dźwigających wyszukane katafalki, biczujących plecy do krwi, uderzających się po czołach i piersiach. Świat, jak zacząłem sobie uświadamiać, był znacznie dziwniejszy ode mnie.

„Nieważne, co jest dla mnie właściwe, ty bezczelne stworzenie. Cieszysz się przywilejami boga, to ty powinieneś myśleć o tym, co jest właściwe”, oświadczył Mr Khan. W mojej głowie siedział obok mnie na tylnym siedzeniu lexusa, z rękami złożonymi na podolku.

– To poważne pytanie – nasz kierowca zatrafił, przejeżdżając obok ponurej procesji. – Jak właściwe działanie może coś dla ciebie znaczyć, gdy wszystko, co robisz może zostać cofnięte, a wszystko, co cofasz zrobione ponownie? Jesteś zakuty w cyfry, po co ci moralność?

Dopiero teraz zaczynałem rozumieć egzystencję aeai, która zaczęła się wraz z tajemnicą TikkaTikka, Pooli, Badshanti, i Nina żyjących razem w moim plastikowym motylu i dzielących wspólny kod. Wspólny kod, ale osobne osobowości.

– Przecież nie możesz zrobić nikomu krzywdy. Więc właściwym działaniem jest

powstrzymanie się od zadawania bólu, tak?

„Sądzę, że to początek właściwego działania. Ci ludzie sprawiają sobie ból, żeby wyrazić żal po złych czynach; jakkolwiek były to czyny ich duchowych przodków. Wierzą, że robiąc to uczynią z siebie ludzi bardziej moralnych. Pomyśl o tych hinduskich sadhu, którzy znoszą największy niedostatek, aby osiągnąć duchową czystość”.

– Czystość duchowa niekoniecznie jest tożsama z moralnością – powiedziałem, chwytając haczyk. – I sami dokonali takiego wyboru. Gdyby chcieli zrobić to innym, to by była zupełnie inna sprawa.

„Nawet, jeśli dzięki temu ci inni mogliby się stać lepszymi ludźmi?”

– Powinno im się zostawić swobodę decyzji.

Przejechaliśmy obok udekorowanej zielonym materiałem, symbolicznej trumny męczennika.

„Jaka jest wobec tego natura mojego związku z tobą? I związku twojej matki i ojca?”

Moja Mamaji, mój Dadaji! Dwa lata po tej rozmowie, prawie co do dnia, gdy ja miałem siedem lat i ciało trzypółlatka, a Sarasvati była szczupłą, żywiołową czterolatką, moja matka i ojciec bardzo łagodnie, bardzo pokojowo, się rozwiedli. Przekazali nam tę wiadomość siedząc po przeciwnych stronach wielkiej sofy stojącej w salonie, za plecami mając smog Delhi lśniący w popołudniowym słońcu jak szafran. Po pokoju kręciła się cała brygada doradczych aeai, na wypadek łez, hysterii, czy czegokolwiek innego, z czym tak naprawdę nie byłyby w stanie sobie poradzić. Pamiętam, że na obrzeżach mojej percepcji czułem, że Mr Khan zrobił się podejrzliwy. Dla muzułmanów rozwód jest łatwy. Trzy słowa i po wszystkim.

– Mamy wam coś do powiedzenia, kochani – powiedziała moja matka. – To dotyczy mnie i waszego ojca. Od jakiegoś czasu nie układa się między nami i, cóż, uznaliśmy, że będzie najlepiej dla wszystkich, jeśli się rozwiedziemy.

– Ale to nie znaczy, że kiedykolwiek przestanę być waszym tatą – szybko dodał pulchny Tushar. – Nic się nie zmieni, ledwo coś zauważycie. Wciąż będziecie mieszkać tutaj, a Shiv ze mną.

Shiv. Nie zapomniałem go – nie mógłbym go zapomnieć – ale zniknął z moich myśli. Był bardziej oddalony, niż kuzyn, myślałem o nim mniej, niż o tych wszystkich dzieciach kuzynów rodziców, z którymi nic mnie nie łączyło. Nie wiedziałem, jak sobie radzi w szkole, z kim się przyjaźni, ani w jakich był drużynach sportowych. Nie interesowało mnie jego życie, ani jego marzenia. Odszedł ode mnie.

Dzielnie skinęliśmy głowami. Wargi zadrżały nam z odpowiednią siłą świadcząca o powstrzymywaniu emocji, a doradcze aeai sięgnęły do swoich baz danych. Znacznie później, w pokoju, który dzieliliśmy jako gaworzące dzieci, i który teraz był naszym schronieniem, Sarasvati zapytała mnie:

– Co się z nami stanie?

– Pewnie nawet nie zauważymy – powiedziałem. – Cieszę się tylko, że przestaną

uprawiać ten okropny, zenujący seks.

Ach! Cztery małe litery. Seks, seks, seks, ślepa, niszczycielska siła ciężąca nad naszym dzieciństwem. Dziecinna ekscytacja nagością – podwójna w naszym nie pokazującym ciała społeczeństwie – stała się czymś, czego do końca nie rozumiałem. Och, znałem wszystkie słowa i miejsca, Sarasvati i ja nie raz bawiliśmy się w doktora i pacjenta. Wiedzieliśmy, że te dorosłe rzeczy nie są przeznaczone dla naszych oczu. Mamaji byłaby przerażona i wezwała szwadron doradczych aeai, gdyby odkryła nasze zabawy, ale ja już dawno poradziłem sobie z aeai. Gdyby popatrzyła w monitory ochrony zobaczyłaby, że oglądamy Cartoon Network; moje własne Town and Country, grane tylko dla niej. Sekszabawy dla dzieci; każdy się w nie bawi. Podskakując w basenie, przyciskając się do dysz w spa na dachu, podejrzewając coś w plusku sztucznych fal. A gdy bawiliśmy się w „wio, koniku”, ujeżdżała mnie jak wojowniczką rani, w uścisku jej ud było coś więcej, niż tylko próba utrzymania się na mnie, gdy galopowałem po dywanach. Wiedziałem, co się dzieje; raczej byłem zaniepokojony, że moje ciało nie reaguje tak, jak powinno reagować ciało jedenastolatka. Moja chuć mogła mieć jedenaście lat, ale ciało wciąż było ciałem dziecka. Nawet czystość i niewinność panny Mukudan straciły swój blask, gdy zacząłem zauważać to, w jaki sposób poruszają się jej piersi, kiedy się nade mną pochylała, albo kształt jej tyłka – skromnie owiniętego w sari, ale żadna osłona nie była wystarczająca dla pożądlivej ciekawości chłopców Braminów – kiedy odwracała się do tablicy.

„Dobrze”, któregoś dnia powiedział Mr Khan, siedząc na tylnym siedzeniu lexusa. „Porozmawiajmy o onanizmie”.

To było okropne. Zanim osiągnę dojrzałość płciową, będę miał dwadzieścia cztery lata. Moim był gniew i niemoc aniołów.

Teraz minęło pięć płomiennych lat i jedziemy szybkim, niemieckim samochodem. Ja prowadzę. Został specjalnie zmodyfikowany, żeby móc osiągnąć pedałów; dźwignia zmiany biegów jest standardowa. Jeśli minę cię na Rondzie Siri, pomyślisz: tym mercedesem kieruje dziecko. Nieprawda. Jestem dorosły. Zdałem egzamin bez dawania łapówki czy znajomości; a przynajmniej nic o tym nie wiem. Jestem dość dorosły, żeby prowadzić, ożenić się i palić. I palę. Wszyscy palimy, moi koledzy z klasy Małych Braminów i ja. Palimy jak smoki, nie może nam to zaszkodzić, jednak wszyscy nosimy maski chroniące przed smogiem. Monsun nie przyszedł po raz czwarty w ciągu siedmiu lat; wszystkie drogi w północnych Indiach obróciły się w pył, który wdierał się do naszych płuc. Na Gangesie budowana jest zapora, Kunda Khadar, na granicy z naszym wschodnim sąsiadem, Bharatem. Podobno ma zaspokoić nasze pragnienie na pokolenie, ale lodowce w Himalajach topnieją, a Matka Ganga jest głodna i słaba. Wierni w świątyni Sziwy na środku ronda na Parliament Street protestują przeciwko bezczeszczeniu świętej rzeki. Mijamy ich, trąbiąc i machając, i jedziemy w górę Sansad Marg wokół Vijay Chowk. Komiksy, przedstawiające nas jako nowych superbohaterów Awadh, cicho zniknęły całe lata temu.

Jest nas czworo, Purrzja, Shayman, Assurbanipal, i ja. Wszyscy jesteśmy z college'u – wciąż Brahminical College! – ale gdy z niego wychodzimy, mamy własne imiona, imiona, które nadaliśmy sobie sami, które brzmią dziwnie i obco, tak jak dziwne i obce jest nasze DNA. Sami też wyglądamy dziwnie i obco; nasz własny styl czerpie z każdego źródła, które wydaje się przestarzałe i niemodne: punkowe fryzury, chińskie wstążki, francuska moda sportowa, i plemienny makijaż naszego projektu. Jesteśmy najbardziej przerażająco wyglądającymi ośmiolatkami na planecie. Do teraz Sarasvati jest trzpiotową, stylową trzynastolatką. Nasza bliskość zniknęła; ma własne koła towarzyskie i przyjaciół, i rzeczy, które łamią jej serce. Shiv, jak słyszałem, jest na pierwszym roku Uniwersytetu Awadh Delhi. Zdobył stypendium. Najlepsze oceny w szkole. Idzie w ślady ojca i zajmuje się informatyką. Zaś ja jeżdżę w tę i z powrotem po bulwarach Delhi, uwięziony w ciele dziecka.

Pędem przejeżdżamy pod rozwartymi ramionami Rashtrapati Bhavan. W bursztynowym półmroku czerwony kamień wydaje się równie ulotny jak piasek.

– Vish, to twój dom – krzyczy Purrzja przez swoją maskę. Dobrze wiadomo, że Mamaji ma co do mnie plany. Dlaczego by nie? Każda moja część jest zaprojektowana. Dobra praca w sektorze prawa, dochodowa praktyka, miejsce w parlamencie i stałe wspinanie się na szczyt władzy w tej partii, która będzie dawała najlepsze szanse na zrealizowanie ambicji. Założenie jest takie, że któregoś dnia poprowadzę naród. Jestem stworzony, by rządzić. Wciskam gaz w podłogę i wielki merc wyrywa naprzód. Jak dla mnie ruch uliczny odbywa się w złotym tempie. Aei kierujące innymi samochodami zachowują się jak nerwowe gołębie.

Mijamy Siri Lang: osiem rzędów świateł w każdym kierunku, nigdy nie cichnący ryk ruchu ulicznego. Samochód włącza się w strumień. Pomimo barier i znaków ostrzegawczych policja wyciąga stąd dwadzieścia ciał dziennie. Ring nie pasuje do starych indyjskich zasad ruchu drogowego. Wszyscy ścigają się tutaj ze wszystkimi. Włączam autopilota. Nie jestem tu po to, żeby się ścigać. Jestem tutaj dla seksu. Kładę siedzenie kierowcy, przetaczam się, i Assurbanipal jest pode mną. Włosy ma założone za ucho, żeby pokazać plastikowy haczyk aeai. To część wizerunku.

Wsuwam palce prawej dłoni w rękawiczkę palmera i uruchamiam program. Trzymam dłoń kilka centymetrów nad jej pomalowanym jaskrawymi farbami brzuchem. Nie dotykam. Nigdy nie dotykamy. Taka jest zasada. Seks ma zasady. Przesuwam rękę nad Assurbanipal w serii gestów tak delikatnych i precyzyjnych, jak w klasycznym tańcu. Nie dotykając, nigdy nie dotykając, nie wyciągając nawet palca. Nie chodzi o dotyk fizyczny. To twoja sprawa. Ale wewnątrz jej głowy dotykam jej, bardziej intymnie, niż można sobie wyobrazić. Haczyk wysyła sygnały przez kość, stymulując te obszary mózgu, które odpowiadają mojej powolnej kaligrafii. Stawiam na jej ciele swój podpis. W odpowiedzi w mojej własnej głowie kreśli mapę mnie samego. Tak musi się czuć wydra, która nurkuje, obraca się i wyczynia swoje podwodne akrobacje. Tak musi czuć się ogień porwany wiatrem na zalesione zbocze góry. A bez poezji: to jak zamrażanie i rozplýwanie w tym samym czasie. Muszę zmierzać w

kierunku, którego nie potrafię wyjaśnić, i którego moje ciało nie potrafi wyrazić. Jakbym miał w ustach coś, co rośnie z każdą sekundą, ale nie zmienia rozmiaru. Jakbym próbował wysikać coś, co nie jest moczem, czego moje ciało jeszcze nie umie. To trwa bardzo, bardzo długo, a eai prowadzą nas przez ruch na Siri Ring, a z ośmioletnich ust wydobywają się okropne, ciche jęki. Jesteśmy nastolatkami i gzimy się w samochodzie.

Nadchodzi. Och, tak, nadchodzi. Jak zimne ognie, albo jak to uczucie, które ma się w te noce, gdy powietrze jest czyste, z basenu na dachu widzisz miliardy świateł Delhi, i jesteś połączony z każdym z nich. Jak djinn zrobiony z ognia. Ekstatyczny, z wyrzutami sumienia, brudny, jakbyś wykrzyczał przekleństwo na wyrafinowanym przyjęciu. Moje sutki są bardzo, bardzo wrażliwe.

Potem zaczynam z Purrją. A potem z Shaymanem. Jak powiedziałem, to była rzecz tylko między nami. Do czasu, gdy podnieśliśmy siedzenia, poprawiliśmy ubrania i wyżelowane włosy, a ja wyłączyłem autopilota, było już dobrze po zmroku. Wyprowadziłem nas z Ring i podjechaliśmy do rampy klubu. To było dość dziwaczne miejsce – lubiły je nutesy, a tam, gdzie oni byli mile widziani, zazwyczaj my również – ale drzwi nas znają – znają nasze pieniądze – i zawsze tam pełno paparazzi. Dziś nie jest inaczej: pozujemy, wdzięczymy się i stroszymy piórka przed kamerami. Już widzę nagłówki kolumn towarzyskich: PODRASOWANE GENETYCZNIE DZIWAŁA NA ORGII W COCKTAIL CLUB. Poza tym, że nie pijemy. Na to jesteśmy za młodzi.

Zawsze wracamy późno. Czekają na nas tylko portier i aei, przypominające delikatnie, że jutro musimy iść do szkoły. Czy one nie rozumieją, że to są najlepsze noce? Tej nocy w salonie są włączone światła. Widzę to idąc z parkingu. Moja matka na mnie czeka. Nie jest sama. Są z nią mężczyzna i kobieta, bogaci, od razu mogę to określić po ich butach, paznokciach, zębach, kroju ubrań i zgrai służących aei, które się wokół nich uwijają; wszystko to rejestruję w ułamku sekundy.

– Wisznu, to Nafisa i Dinesh Misra.

Pozdrawiam ich obojętnie.

– Będą twoimi teściami.

Moja urocza małżonka

Moje koty potrafią też inne sztuczki; czuję, że nudzi cię to, jak biegają w swoim kręgu. Koty! Koty! Widzisz, klaśnięcie i siadają na swoich małych stołkach: Matsya i Kurma, Varaha i Narasimha, Vamana, Parashurama, Rama i Krishna, i Buddha, i Kalki. Dobre koty. Mądre koty. Rama, przestań się lizać. Ha! Jedno moje słowo i robią, o co je poproszę. Dobrze, dotknij proszę tej obręczy, to tylko zwykły papier. Zgadza się? Tak. A te, tak samo,

tak? Tak.

Posyłam je w krąg. Tabby Parashurama mruży oczy w sposób, który sprawia, że wygląda na bardzo, bardzo zadowolonego z siebie.

Przy okazji, dziękuję za przyście do Niezwykłego, Magicznego, Wspaniałego Kociego Cyrku Wisznu. Tak, to nazwa oficjalna. Znajduje się w dokumentach rejestrowych. Tak, i płacę podatki. To nie jest wielkie widowisko rozrywkowe, ale przynajmniej działa. Teraz: patrz! Varaha, Vamana, Buddha, Kalki!

Spływają ze swoich pomalowanych stołków jak woda i biegną w koło, bez wysiłku, leniwie, kocio. Cała sztuka z prowadzeniem kociego cyrku polega na tym, jak odkryłem, żeby je przekonać, że robią to dla siebie.

I hop! Klaszczę w ręce i moje koty, doskonale zsynchronizowane, schodzą ze swoich orbit i przeskakują przez papierowe obręcze. Brawa, dziękuję, ale nie dla mnie: dla Varaha, Vamana, Buddha i Kalki. Teraz biegną w koło, przemykając przez obręcze. Co takiego? Czy w każdej sztuczce jest lekcja? Co masz na myśli? Duchowe znaczenie kotów, które pokazują? Nie pomyślałem o tym. Nie sądzę, żeby koty były szczególnie uduchowione; raczej przeciwnie; to najbardziej materialne i cielesne istoty, choć prorok Mahomet, jak mówią był wielkim miłośnikiem kotów, i jest ta słynna historia, jak obciął rękaw *swojej szaty*, żeby nie budzić kota, który tam zasnął.

No, a teraz wróćmy do opowieści. Do czego zmierzam? Nie wiesz, że bardzo niegrzecznie jest przerywać opowiadaczowi? Przyszedłeś tu zobaczyć koci cyrk, a nie jakiegoś starego goondah snującego historyjki? Widzisz koty przeskakujące przez papierowe obręcze, czego jeszcze chcesz? Dokąd zmierzam? No dobrze, do Varanasi. Dobra, zawrzyjmy umowę. Mam mnóstwo sztuczek do pokazania, ale żeby je zobaczyć będziesz musiał wysłuchać mojej historii, i pamiętaj, że może i jest zasilanie, ale prowadzących nie ma. Nic dziś nie zobaczysz na ekranie. Ale to ci się spodoba. To scena ślubu. Żadna historia nie może się obyć bez ślubu.

Słonie mnie nudziły. Mówiąc to nie mam na myśli, że uważam ten gruboskórny gatunek za nudny, jakbym miał z nim jakiś szczególnie osobiste związki i znał wszystkie jego tiki i sztuczki. Czyż Ganesh nie jest najlepszym kochankiem w całym naszym rozpustnym panteonie? Mam na myśli, po prostu, że słonie mnie niosły przez ulice Delhi na platformie przypominającej małą, złotą świątynię. Pięć słoni z poganiaczami; jeden dla mojego przyjaciela ze szkoły, Suresha Hirya, jeden dla Vina Johara, jeden dla Syamana, jeden, mój jedyny przejaw buntu wobec tradycji, dla Sarasvati i jeden dla mnie, dla Wisznu Narimana Raja, dziwnego pana młodego. Wieczny, monstualny ruch uliczny w Delhi załamał się pod naporem hordy muzykantów, bębniarzy, tancerzy i swatek. Ludzie zatrzymywali się i gapili, kobiety rzuciły ryż, babcie pokazywały mi swoim ssącym palce wnukom: tam, tam jest, lord Wisznu jedzie na swoje wesele. Magazyny plotkarskie nie zajmowały się niczym poza pierwszym dynastycznym małżeństwem Bramina. Mój inny sprzeciw wobec tradycji:

sam wywołałem to zamieszanie, rozsądnie sprzedając prawa do zdjęć magazynowi „Gupshup”. Patrzcie, tu jestem, w białej sherwani i marszczonych u kostek spodniach w najlepszym stylu, tradycyjnym welonie z kwiatów na twarzy, w jednej ręce trzymając miecz (niedorzeczny pomysł Sreem, najbardziej popularnego organizatora wesel w Delhi; jak niby miałbym walczyć mieczem z grzbietu słonia?), a drugą ściskając kurczowo palik mojego kołyszącego się palankinu. Czy powiedziałem, że jazda na słoniu jest jak rejs łódką po wzburzonych wodach? Czy ten, kogo widać spod kaskady margerytek wygląda na przestraszonego? Spodziewałeś się kogoś większego?

Negocjacje toczyły się przez całą zimę. Aeai zajmujące się prawem krążyły wokół moich rodziców, tymczasowo zjednoczonych, którzy zabawiali Misrasa na wielkim przyjęciu zaręczynowym. Lakshmi i ja siedzieliśmy na sofie obitej kremową skórą, słodko, cicho, z dłońmi splecionymi skromnie na kolanach, podczas gdy krewni podchodzili, pozdrawiali nas i składali życzenia. Uśmiechaliśmy się. Kiwaliśmy głowami. Nie odzywaliśmy się, ani do naszych gości, ani do siebie nawzajem. Podczas lat, które spędziliśmy razem w Brahminical College doktora Renganathana powiedzieliśmy już sobie wszystko, co mogliśmy sobie powiedzieć. Siedzieliśmy jak stare małżeństwo na przystanku autobusowym. Wreszcie aeai się wycofały; intercyza została podpisana, posag ustalony. To był doskonały związek. Oczywiście cena była wysoka; byliśmy Braminami. To było nie mniej, niż ciało z naszego ciała i ziarno naszych łądzwi, na pokolenia. Podejrzewam, że niektóre cechy z listy doktora Rao rodzice Lakshmi wybrali na ślepo. Wiedziałem, że moi tak zrobili. Ale być może była to największa zmiana ze wszystkich, które wprowadziły w nas nanoroboty doktora Rao. Zmodyfikowały nasze linie genetyczne. To, co w nas wbudowano, nie podlegało prawom dziedziczenia. Nasze dzieci i ich dzieci, wszystkie nasze Narimany-Misrasy przyszłości, będą Braminami, ale nie ze względu na mikrochirurgię doktora Rao, ale ze względu na naszą własną spermę i jajeczka.

Dzieci, potomstwo, linia, dynastia. To był nasz wzajemnie zakontraktowany posag. Podpisano umowę! Niech wielkie Delhi się raduje!

Aeai zajmujące się astrologią wyczytały w gwiazdach pomyślny los, mnisi złożyli ofiary Ganeshowi, a połączone domy Nariman i Misra zatrudniły Gupshup Girls, największy i najbardziej cyncaty delhijski girls band, żeby śpiewały i wyginały się przed dwoma tysiącami gości na naszym sangeet sandhya. Lakshmi wystąpiła razem z nimi. Kuso ubrane dziewczyny zerkwały na nią niepewnie, gdy tańczyła i podskakiwała na wysokich obcasach. Za mała, za młoda na małżeństwo. Nigdy dobrze nie śpiewałem. Mamaji i Dadaji nie zaznaczyli tej cechy w menu. Siedziałem w złotym kręgu moich kolegów z klasy. Choć miałem przed sobą jeszcze dwa lata w Renganathan College doktora Renganathana pod przewodnictwem niewidzialnego Mr Khana, nasze kółko nie było już takie samo. Byłem ich nieuchronną przyszłością.

W Bramie Indii Sarasvati kazała swojemu poganiaczowi się zatrzymać. Ześlizgnęła się ze słonia, żeby biec i tańczyć w paradzie. Zapraszając ją zламаłem tradycję, ona zламаła ją

przybywając w męskim stroju, w luźnych spodniach, koszuli i z wielkim, niedorzecznym wężem. Patrzyłem, jak skacze i wiruje, radosna i pełna życia, z tancerzami i bębniarzami, i jak tańczy, roześmiana z podobnym do małpy Sreemem, i pod swoim welonem z kwiatów poczułem łzy w oczach. Była taka radosna, taka cudowna, taka giętka. I nie musiała spełniać niczyich oczekiwań.

W Ogradach Lodi był tłum gapiów chcących rzucić okiem na sławy. Powstrzymywał ich policyjny kordon. Zobaczyli Rishi Jaitly i Anand Arora, i ooch, czy nie Esha Rashore, ta znana tancerka, i kim jest ten niewysoki mężczyzna z o wiele młodszą żoną? Nie wiesz, to Narayan Mittal z Mittal Industries. Najmniej ważny był dla nich dzieciak tkwiący na grzbiecie pomalowanego słonia weselnego. Powitał nas ryk trąb i łomot bębnow. Porozstawiane wokół ekrany ożyły i wypełniły się postaciami, obsada „Town and Country” tańczyła i śpiewała piosenkę weselną napisaną specjalnie dla nas przez sławnego scenarzystę A. H. Husayina. To były aeai; śpiew i taniec były dla nich łatwe. Tam, niemal niewidoczna pod zwojami jedwabnego sari i girlandami kwiatów, była Lakshmi.

Fala dźwięków porwała nas do pawilonów rozstawionych na trawie. Ucztowaliśmy, tańczyliśmy, zostaliśmy usadzeni na naszych tronach, stopy nie sięgały nam ziemi, i witaliśmy gości.

Nie widziałem go. Kolejka była długa, namiot duszny, a ja wzdęty i ospały po jedzeniu. Ująłem dłoń na ślepo, ciężko znudzony. Ocknąłem się dopiero wtedy, gdy uścisk się przedłużył.

Shiv.

– Bracie.

Kiwnąłem głową, dając znać, że go poznaję.

– Jak się miewasz?

Wskazał na swój garnitur z taniego materiału, kiepsko skrojony, na łańcuszek i klejnot na szyi. Jutro ten strój wróci do wypożyczalni.

– Gdy przyjdiesz na moje wesele będę ubrany bardziej stosownie.

– Żenisz się?

– Jak wszyscy.

Pociągnąłem nosem. To nie były perfumy Shiva – pachniały tanio i drażniąco. Moje połączone w niezwykły sposób zmysły ukazały mi subtelności, które innym umykały. W wypożyczonym garniturze i tanich butach Shiv wydawał się mieć wokół siebie jakąś aurę, obecność, strzęp informacji jak odległy grzmot letniej burzy. Przechyliłem głowę na bok: czy nie widziałem króciutkiego rozbłysku? Nie trzeba było geniusza, żeby zobaczyć za jego uchem plastikowy haczyk.

– Dziękuję, że przyszedłeś – powiedziałem i wiedziałem, że wyczuł kłamstwo.

– Nie opuściłbym czegoś takiego.

– Musimy się kiedyś spotkać – ciągnąłem nieszczerze. – Gdy Lakshmi i ja wrócimy do

Delhi. Wpadnij do nas.

– Nie zanosi się – odparł Shiv. – Zaraz po dyplomie wyjeżdżam do Bharatu. Zaczynam studia podyplomowe na Uniwersytecie Varanasi. Nanoinformatyka. Delhi nie jest dobrym miejscem dla nikogo, kto zajmuje się sztuczną inteligencją. Amerykanie naciskają na Srivastava, żeby ratyfikował Akty z Hamilton.

Przyswajałem informacje, wszelkie informacje, tak łatwo i bezmyślnie, jak się oddycha. Mogłem patrzeć na dwanaście ekranów telewizyjnych i powiedzieć, co się dzieje na każdym z nich, jednocześnie przeglądając górę gazet i mogąc streścić każdy artykuł. Świat wlewał się do mojej małej głowy. Doskonale wiedziałem, co się dzieje na arenie międzynarodowej, począwszy od Stanów Zjednoczonych, gdzie ograniczono możliwości rozwoju sztucznych inteligencji. Kierował nimi strach; ten niejasny, chrześcijański lęk, że wkraczamy w kompetencje boga. Sztuczne inteligencje o inteligencji wielokrotnie przekraczającej możliwości człowieka, cokolwiek to znaczy. Inteligencja, jeśli się jej przypatrzeć, to bardzo niepewny teren. Mimo to powołano specjalne siły policyjne, Krishna Cops, które miały ścigać i eliminować podejrzane aeai. Marne szanse. Aeai bardzo się od nas różniły; inteligencje, które mogły być jednocześnie w wielu miejscach, które mogły egzystować w wielu różnych awatarach, które mogły się przemieszczać kopiując się, nie tak, jak ja, drżąc o swoją cenną inteligencję zamkniętą w wapiennej misie czaszki. Krishna Cops byli bardzo dobrymi fachowcami, ale sądzę, że mój dojmujący lęk dotyczył tego, że dziś na celowniku są aeai, jutro Bramini. Ludzie są bardzo zazdrosnymi bogami.

Wiedziałem, że Awadh nieuchronnie podpisze to porozumienie w zamian za amerykańskie granty dla Narodów Uprzywilejowanych. Sąsiadujący Bharat nigdy do niego nie przystąpi; jego media, zależne od sztucznej inteligencji stanowiącej o sukcesie „Town and Country” od Dżakarty do Dubaju, były zbyt wpływowym lobby. Pierwsza światowa serialokracja. I, jak przewidziałem, pierwszy na świecie cyfrowy raj. Łącząc w całość historie, o których ledwie wspomniano w wiadomościach, już dostrzegałem wzór relokacji. Producenci oprogramowania i instytuty badawcze przeniosą się do Varanasi. Tak więc Shivie, ambitny Shivie, Shivie pracujący na własną chwałę, podczas gdy ja ledwie się przejmowałem nakazami swojego DNA, Shivie z krążącymi wokół ciebie aeai, co takiego jest w Bharat? Będziesz badał technologie ocierające się o boskie moce, będziesz data raja ze stajnią aeai udających, że nie są w stanie przejść testu Turinga?

– Nie, żebyśmy kiedykolwiek byli od siebie zależni – powiedziałem sztywno.

Przez większość naszego życia między nami znajdowało się dwadzieścia milionów ludzi, ale wciąż gotowałem się z gniewu. O co miałbym się obrażać? Miałem wszystko, miłość, błogosławieństwa i dary, stał w tym tanim, wypożyczonym garniturze, zadowolony i pewny siebie, a ja byłem groteskowym małym lordziątkiem, chłopcem mężem, machającym nogami na swoim złotym tronie.

– Nie, nie byliśmy – odpowiedział Shiv.

Nawet w jego słowach, w uśmiechu była jakaś aura, intensywność; Shiv-plus. Co robił sobie takiego, co można było skończyć tylko w Varanasi?

Kolejka była wstrzymana, matki przestępowały z nogi na nogę w niewygodnych butach wizytowych. Shiv pochylił głowę, nasze oczy spotkały się na sekundę, wyrażając najczystsza, najbardziej żrącą nienawiść. Potem poruszył się pod natłokiem gości, popijając szampana, podjadając przekąski, jak dziwna plama ciemności.

Kelnerzy posprzątali, na zdeptanym trawniku zapalono pochodnie, a pandit związał nas węzłem małżeńskim. Gdy nad grobem Muhammada Shaha i kopułą Bara Gumbad wybuchły fajerwerki, nas wieziono na lotnisko. Zostawiliśmy za sobą rozświetlone Delhi i poleciliśmy przez noc w poranek. Prywatny śmigłowiec zaniósł nas do herbaciarni na chłodnych i wilgotnych zielonych wzgórzach. Obsługa dyskretnie zabrała nasz bagaż, pokazała nam pokoje, zacienioną werandę, z której rozciągał się widok na zapierające dech w piersi złoto i purpurę Himalajów o świcie, a potem sypialnię z wielkim łóżem z czterema słupkami. Potem zniknęła w szumie jedwabiu i zostaliśmy sami, razem, Wisznu i Lakshmi, dwoje bogów.

– Nieźle, prawda?

– Cudownie. Wspaniale. Bardzo duchowo. Tak.

– Podobają mi się pokoje. Podoba mi się zapach drewna, starego drewna.

– Tak, jest przyjemny. Bardzo stare drewno.

– Czyli to miesiąc miodowy.

– Tak.

– Powinniśmy...

– Tak. Wiem. Czy ty... czy jesteś?

– Podłączona? Nie, nigdy tego nie robiłam.

– Och. Cóż, mam ze sobą inne rzeczy, powinny zadziałać na ciebie równie dobrze.

– Próbowalesz tego?

– Czasami. Teraz trudno poradzić sobie z tym wszystkim samemu, dlatego próbowałem, ale bez szczególnego zaangażowania.

– Czy to jest skuteczne?

– To trochę jak seks przy użyciu haczyka. Masz wrażenie, jakbyś bardzo, bardzo musiała coś wysikać, ale nic tam nie było. Mówiąc szczerze, to nie takie dobre. Próbowalasz?

– Palcami? Och, tak, całą dłońią. To jak u ciebie.

– Jakby się chciało wysikać?

– Coś w tym rodzaju. Bardziej jak ściskanie. Nie wydaje mi się, żebyś chciała użyć czegoś, co nosisz przy sobie, rozumiesz.

– Chyba nie. Moglibyśmy... Mógłbym...

– Nie wydaje mi się.

– Myślisz, że sprawdzą? Zachowają prześcieradła i pokażą je wszystkim krewnym?

– W naszym fizycznym wieku? Nie bądź głupi.

– To część kontraktu.

– Nie sądzę, żeby ktokolwiek domagał się wypełnienia tego zapisu, dopóki przynajmniej nie zacznę miesiączkować.

– A chcesz w ogóle coś robić?

– Nie za bardzo.

– No to co będziemy robić?

– Widok jest ładny.

– W szufladzie stolika jest talia kart.

– Może później. Przespałabym się.

– Ja też. Nie przeszkadza ci łóżko?

– Nie. Zresztą nawet nie powinno, nie? Jesteśmy mężem i żoną.

Spaliśmy pod lekkimi, jedwabnymi przykryciami, pod obracającym się powoli wiatrakiem na suficie, każde fizycznie rozwinięte jak ośmiolatek, skuleni, plecami do siebie, tak oddzieleni, jak Wisznu i Shiv, a potem na werandzie z porażającym widokiem na Himalaje graliśmy starymi, okrągłymi kartami Ganjifa w coraz bardziej złożone gry. Gdy Lakshmi odwróciła wzrok od figur i popatrzyła na mnie oboje wiedzieliśmy, że między nami nic nie ma i nigdy nic nie będzie. Łączył nas tylko kontrakt. Byliśmy zakładnikami własnego DNA. Pomyślałem o tej linii potomków wychodzących jak sznur pereł z końcówki mojego wciąż miękkiego penisa; te dzieci kolebiące się w stronę przyszłości tak odległej, że nie byłem w stanie dostrzec jej na horyzoncie czasu, i dalej, dalej, zawsze dalej. Przepelniał mnie strach przed tym ślepy, biologicznym imperatywem. Miałem nadludzką inteligencję, zapomniałem tylko, co zdecydowałem się zapomnieć, nigdy w życiu nie byłem chory, nosiłem imię boga, ale dla mojego nasienia wszystko to było niczym, nie różniłem się od zwykłego człowieka. Tak, byłem uprzywilejowanym gówniarzem, zgadza się, byłem szydercą najgorszego pokroju, jak mogłoby być inaczej? Byłem designerskim snobem.

Zostaliśmy przez tydzień na zielonych wzgórzach Himachal Pradesh, Lakshmi i Wisznu. Lakshmi opatentowała kilka ze swoich skomplikowanych gier karcianych – testowaliśmy, jak się sprawdzą przy wielu graczach grając za kilka osób jednocześnie, łatwa rzecz dla Braminów – i zarobiliśmy mnóstwo pieniędzy na licencjach. Było świetliście pięknie, góry były odległe i srebrzyste jak kamienni Buddowie, nocą czasem o liście na zewnątrz szeleścił deszcz, a my czuliśmy się coraz bardziej niewyraźnie, przede wszystkim na myśl o tym, z czym będziemy musieli się zmierzyć po powrocie do Awadh. W końcu byliśmy skarbami Delhi. Decyzję podjąłem trzeciego dnia naszej podróży poślubnej, ale nic nie powiedziałem, aż nie znaleźliśmy się w limuzynie wiozącej nas do Ramachandra Tower. Dostaliśmy tam apartament godny bogów, piętro niżej, niż moja Mamaji. Wtedy zadzwoniłem do bardzo szczególnego, bardzo dyskretnego doktora.

Dwa zewnętrzne aspekty Mnie

– Oba? – powiedziało nute. Uniosłoby brwi, gdyby na ogolonej głowie miało jakiegokolwiek włosy do podniesienia.

– Historia milczy na temat półleunuchów – powiedziałem.

Niestety nikt nigdy nie zapisał takiej rozmowy. Gesty, mrugnięcia, spojrzenia są częścią opowieści, nie prawdziwego życia. Ale ja opowiadam ci historię, moją historię, która jest czymś znacznie więcej, niż opowieścią, czy nawet wspomnieniem. Mogę zapomnieć to, co chcę, ale mogę także zapamiętać i nadać wspomnieniu dowolny kształt. Tak więc, jeśli chciałem, by gabinet międzyplciowego chirurga znajdował się u szczytu chwiejnych, skrzypiących schodów, obserwowanych przez podejrzliwych i wrogich Starych Delhiwallah, jeśli zdecyduję się pamiętać w taki właśnie sposób, to tak będzie. Albo, jeśli będę chciał pamiętać gabinet jako kostnicę pełną groteskowych narzędzi chirurgicznych i zdjęć okaleczonych ciał, jak z obrazów himalajskich buddystów przedstawiających piekło, to tak będzie na zawsze. Być może dla ciebie ta koncepcja jest mniej dziwna, niż dla mnie. Więcej niż ktokolwiek wiem o zawodności fizycznej egzystencji, ale ty wydajesz się wystarczająco młody, żeby dorastać w świecie cieszącym się pamięcią uniwersalną, gdzie roi się od deva konstruujących i zmieniających fizyczną rzeczywistość. A jeśli deva zdecydują się zmienić to wspomnienie, to kto powie, że to nie było tak?

Ale na wschodnim niebie, ponad Jyotirlinga, jest światełko. Mam daleko, ty musisz jeszcze zobaczyć najbardziej niesamowite rzeczy, które potrafią zrobić moje koty, a rzeczywistość jest taka, że praktyka chirurgiczna doktora Anil mieściła się w pięknie odrestaurowanej haveli w labiryncie uliczek w cieniu Red Fort, elegancka i dyskretna, recepcjonistą była urocza panna Modi, a doktor Anil było uprzejme, profesjonalne, subtelne i szczerze zaskoczone moją prośbą.

– Zazwyczaj zajmuję się... poważniejszą chirurgią – powiedziało.

Ardhanarisvara Clinic było czołowym centrum transformacji nute. Szeptano o nim i plotkowano; we wspaniałym, nowym Awadh mogliśmy sobie twierdzić, że jesteśmy wyrafinowani, globalni, kosmopolityczni i trudno nami wstrząsnąć, ale kultura nute, tych, którzy zdecydowali się uciec od naszych desperackich wojen płci wybierając trzecią drogę, żadno-drogę, nadal była prawie tak niezrozumiała i tajemnicza, jak starożytni, transgenderowi hijra, którzy dawno temu ukrywali się w Starym Delhi. Starożytne miasto; starsze od każdego wspomnienia, z ulicami zawiłymi jak zwoje mózgowie, zawsze opiekowało się tymi, których potrzeby wykraczały ponad przeciętność.

– Sądzę, że to, o co proszę, jest wystarczająco poważne – powiedziałem.

– Prawda, prawda – powiedziało doktor Anil, składając palce razem w wieżyczkę w taki sposób, którego wszyscy lekarze, mężczyźni, kobiety, czy nute wydają się uczyć w tej samej szkole medycznej. – Czyli oba jądra.

– Tak, oba.

– Ale penis nie.

– To byłaby perwersja.

– Jest pan pewien, że nie chce wypróbować opcji chemicznej? Gdyby kiedykolwiek zmienił pan zdanie, jest odwracalna.

– Jestem pewien. Nie chcę, żeby to było odwracalne. Chcę się usunąć z przyszłości. Chcę, żeby skończyła się wraz ze mną. Nie jestem zwierzęciem zarodowym. Całkowita fizyczna kastracja, tak.

– To dość proste. Znacznie łatwiejsze od tego, czym normalnie się tutaj zajmujemy.

Dobrze znałem procedury medyczne, które tu opracowywano i które trafiały do anonimowych klinik chirurgicznej szarej strefy. Jest taki film gdzieś w sieci, obejrzałem go z fascynacją, co robią sobie ludzie, którzy pożądamy innej płci. Wpompowywany w ciało żel, zdarta skóra, mięśnie na widoku, organy wyjęte i złożone na sitach molekularnych były tak odległe od wszystkiego, co ludzkie, że aż były raczej fascynujące, niż obsceniczne, jak dziwne, leśne kwiaty. Zostawiając u progu płci tylko dwa moje małe organy byłem tchórzem.

– Jedyne moje zastrzeżenie jest takie, że ze względu na to, że jest pan biologicznie niedojrzały, byłaby to wewnętrzna orchidektomia. Panna Modi przygotuje formularz zgody – zamrugało lekko, delikatne, podobne do fauna stworzenie za ciężkim biurkiem, o wiele, wiele za urocze, żeby mówić o takich rzeczach, jak usunięcie jąder. – Proszę mi wybaczyć pytanie, ale dotąd nie poznałem żadnego Wysokiego Bramina. Czy jest pan w wieku pozwalającym na podpisanie takiego dokumentu?

– Mam tyle lat, żeby mieć legalną żonę.

– Tak, ale musi pan zrozumieć, że biznes taki, jak mój, powoduje w Awadh pewne zaniepokojenie.

– Jestem w takim wieku, że mogę zapłacić potworne pieniądze, żeby dostać to, czego chcę.

– W takim razie, załatwione.

To było zaskakująco proste. Nie musiałem nawet przejść do sali operacyjnej. W kabinie przebrałem się w szpitalną koszulę. Miała za długie rękawy, brzeg ciągnął się po ziemi. Wślizgnąłem się na lepki od środków dezynfekcyjnych stół w gabinecie zabiegowym i poczułem ukłucie, gdy podawano mi działający miejscowo środek znieczulający. Ramiona robotów, palce delikatne jak antenki owadów, tańczyły pod kontrolą doktora Anila. Leżałem, wpatrując się w światło, i nie czułem nic. Tańczące ramiona się cofnęły; nie poczułem niczego. W samochodzie wiozącym mnie przez ulice pełne pulsujących, pełnych wigoru, naładowanych hormonalnie ludzi nadal niczego nie czułem. Tylko lekkie ciągnięcie w miejscach szwów. Żadnego bólu, nieco poczucia straty, żadnego wrażenia lekkości i wolności, o których czytałem w artykułach o fetyszystach kastracji. Szczególna przyjemność, kastracja seksualna; orgazm kończący wszystkie orgazmy. Nie było nawet tego. Leczenie na

poziomie komórkowym zagoi ranę w ciągu trzech dni i ukryje wszystkie ślady, aż z biegiem lat nie okaże się, że głos mi się znacząco nie pogłębia, nie rosną mi włosy na ciele, że robię się niezwykle wysoki i smukły, i że nie jestem w stanie spłodzić ujętych w kontrakcie dzieci.

– Chce je pan zabrać ze sobą? – spytało mnie doktor Anil, gdy po krótkiej operacji posadził mnie w swoim gabinecie.

– A niby po co?

– W Chinach była taka tradycja. Cesarskim eunuchom dawano ich usunięte genitalia zakonserwowane w słoju z alkoholem, żeby można je było pochować wraz z nimi, by do nieba trafili jako pełni mężczyźni.

– W Turcji otomańskiej była zaś taka tradycja, że eunuchowie po kastracji przez trzy dni siedzieli w kupie gnoju, i leczyli rany albo umierali. O tę tradycję także nie dbam. Nie są moje, nie są mną; należą do kogoś innego. Proszę je spalić albo wyrzucić, to bez znaczenia.

Rozległ się grzmot, obietnica monsunu; dzień pociemniał. Gdy jechałem zewnętrzną windą Ramachandra Tower wokół migotały błyskawice. Lakshmi siedziała zwinięta na sofie, za plecami miała okno. Błyskawice, fałszywi prorocy deszczu. Wówczas wszystkie proroctwa przepowiadające deszcz były fałszywe.

– Zrobiłeś to? Wszystko w porządku?

Kiwnąłem głową. Teraz zaczynało mnie boleć. Zacisnąłem zęby uruchamiając nanoinfuzer środków przeciwbólowych, który umieściło tam doktor Anil. Lakshmi klasnęła w ręce z radości.

– Ja pójdę jutro. O mój boże, tak się cieszę, tak się cieszę.

A potem, tam, w ciemnym apartamencie rozświetlonym tylko błyskawicami, pocałowała mnie.

Nikomui nie powiedzieliśmy. To była część paktu. Ani naszym rodzicom, ani krewnym, ani kręgowi bramińskich przyjaciół, nawet naszym aeai. Nawet drogiej Sarasvati; nie złożyłbym na niej takiego ciężaru. Musieliśmy to zrobić, zanim oświadczyliśmy naszym rodzinom, że tak drastycznie pokrzyżowaliśmy ich plany co do nas. Potem mogliśmy się słodko i bezboleśnie rozwieść.

Wsadzam nos w ucho władzy

Jaka praca jest właściwa dla eunuchów?

Czy to słowo sprawia, że czujesz się niezręcznie? Czy sprawia, że wy, chłopcy, krzyżujecie nogi, czy wasze macice, drogie panie, ściskają się dziwnie? Czy słysząc je widzicie coś innego, niż istotę ludzką, coś mniej, niż ona? Czym różni się ono od innych słów określających nas w ramach społeczeństwa: Kshatriya, Dalit? Bramin? Eunuch. To bardzo

stare i szlachetne słowo, o pięknej i starożytnej tradycji, praktykowanej we wszystkich wielkich kulturach Ziemi. Zasada mówi, żeby oddać mniej, by zyskać więcej. Ile z tych wszystkich żalonych wytrysków kiedykolwiek zmieni się w istoty ludzkie? No dalej, bądźmy uczciwi. Prawie wszystko się marnuje. I nie wyobrażajcie sobie, że brak jaj oznacza brak seksu czy brak pożądania. Nie, wielcy śpiewacy kastraci, eunuchowie poeci czy święci wizjonerzy, wielcy wezyrowie i królewscy doradcy, wszyscy rozumieli, że wielkość ma swoją cenę, że nie zostanie poniesiona przez pokolenia. Imperia mogłyby się rozpaść bez eunuchów, wolnych od dynastycznych pragnień. Troska o wielkie narody jest dla nas właściwym zajęciem, a ze wszystkimi darami, którymi obdarzyli mnie rodzice, dążyłem do kariery politycznej.

Jak bliska prawdy była moja matka i jak bardzo się myliła. Widziała mnie, jak niesiony na ramionach uradowanych wyborców przekraczam drzwi Lok Sabha. Ja wołałem wejście dla służby. Politycy żyją i umierają przez urny wyborcze. Nie są tam, żeby służyć, tylko żeby zdobyć i utrzymać władzę. Populizm może ich zmusić do porzucenia mądrej i właściwej polityki dla zachcianek i kaprysów. Na końcu będą się liczyły tylko głosy wyborców i władza. Ich wielcy wezyrowie przetrwają. Rozumiemy, że demokracja jest najlepszym systemem, w którym narodowi wydaje się, że rządzi.

Miesiące tworzenia sieci społecznych – w staroświeckim stylu obejmującym ścisłanie dłoni i wręczanie podarunków – robienia przysług i zdobywania sobie politycznego kapitału dało mi staż przy Parekhu, ministrze wody i środowiska. Był możliwym do zniesienia durniem, ze sprytem sklepikarza i głową do szczegółów, pozbawiony był jednak wizji. Był wystarczająco dobry, żeby mieć wszystko pod kontrolą, a politykom nie trzeba dużo więcej, żeby się dobrze ustawić. To było najwyższe stanowisko, jakie mógł osiągnąć; gdy nie pojawi się kolejny monsun, i na ulicach rozgorzeją zamieszki wokół cystern z wodą, jego kariera się skończy. Wiedział, że o tym wiem. Przeraziłem go, choć starannie ukrywałem możliwości swojej inteligencji i tylko czasem pozwalałem sobie na wygłoszenie jakiejś przenikliwej uwagi. Wiedział, że tylko wyglądałem na dziewięciolatka, ale wydawało się, że tak naprawdę nie miał pojęcia o możliwościach i przekleństwach mojego rodzaju. Starannie wybrałem swój departament. Jawnie okazywana ambicja zbyt wcześnie zdradziłaby mnie przed rządem, który ledwie sobie uświadomił, że nigdy konkretnie nie rozwiązał kwestii manipulacji ludzkimi genami. Mimo to byłem świadom tego, że wszyscy mnie obserwują przez szklane ściany Ministerstwa Wody. Woda to życie. Woda, jej dostatek i brak, tworzy przyszłość Awadh i wszystkich narodów Północnych Indii, od Panjabu do Stanów Zjednoczonych Bengalu. Ministerstwo Wody było dobrym miejscem, żeby zabłysnąć, ale nie miałem zamiaru tu zostać.

Budowa zapory w Kunda Khadar była bliska ukończenia. Był to tytaniczny, długi na piętnaście kilometrów wał z ziemi i betonu, jak podwiązka na udzie Matki Ganga. Protesty ze strony leżących w dole rzeki Bharatu i Stanów Zjednoczonych Bengalu były coraz ostrzejsze,

ale zapora rosła w dzień i w nocy. Minister Parekh i premier Srivastava byli w stałym kontakcie. Do tego kręgu dołączono Ministerstwo Obrony. Nawet spece od PR wyczuwali napięcie dyplomatyczne.

To był czwartek. Już wcześniej nazywałem go Tym Czwartkiem, żeby go wyryć w pamięci. Geny nie sprawiają, że jesteś odważny. Przygotowałem się jednak tak starannie, jak mogłem; a to było więcej, niż mógł zrobić ktokolwiek, z ministrem Parekhem włącznie. Srivastava miał konferencję prasową w celu zapewnienia opinii publicznej Awadh, że Kunda Khadar spełni swoje zadanie i zaspokoi bezdenne pragnienie Delhi. Wszyscy wyglądali jak z obrazka: przyglądzone wąsy, spodnie z kantem, oślepiająco białe koszule. Ja nie. Ja zająłem swoje miejsce dużo wcześniej: krótki bieg w dół korytarza, podczas gdy nadchodził Srivastava i zespół jego sekretarzy. Nie miałem pojęcia, o czym będą mówić, ale wiedziałem, że będą; Srivastava uwielbiał takie „narady w biegu”; sprawiały, że wyglądał na energicznego człowieka akcji. Ufałem, że moje badania i szybszy umysł wygrają.

Usłyszałem pomruk głosów. Właśnie mieli skrócić na rogu. Ruszyłem, przycisnąłem się do ściany. Zbliżał się do mnie mur garniturów. Wyłowiłem pięć konwersacji i skupiłem na mamrotaniu Srivastavy do Bhansala, jego sekretarza.

– Gdybym wiedział, że mamy poparcie McAuleya... Andrew McAuley, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki. I tam była odpowiedź.

– Gdybyśmy mogli negocjować umowę produkcyjną w zamian za częściową ratyfikację Aktów z Hamilton przez Sajidę Ranę – powiedziałem głosem wysokim, czystym i przenikliwym jak u ptaka.

Ekipa premiera przeszła obok, ale Satya Shetty, rzecznik prasowy, odwrócił się, żeby zgromić zuchwalca. Zobaczył dziewięciolatka. Zamurowało go. Wytrzeszczył oczy. Zawahał się. To zmroziło całą grupę. Premier Srivastava odwrócił się do mnie. Oczy mu się rozszerzyły.

– To bardzo interesujący pomysł – powiedział, a po tych czterech słowach poznałem, że rozpoznał, przeanalizował i przyjął dar, który mu zaoferowałem. Bramiński doradca. Dziwne, wykształcone dziecko. Dziecko geniusz, dziecięcy guru, mały bóg. To była niewiarygodna okazja dla PR. Jego poplecznicy rozstąpili się, gdy podszedł do mnie.

– Co tutaj robisz?

Wyjaśniłem, że jestem na stażu u ministra Parekha.

– A teraz chcesz czegoś więcej.

Tak, chciałem.

– Jak się nazywasz?

Powiedziałem mu. Kiwnął głową.

– Tak, wesele. Pamiętam. Czyli kariera w polityce, tak?

Tak.

– Z pewnością nie cofasz się mając okazję iść naprzód. Moje geny by na to nie pozwoliły.

Moje pierwsze polityczne kłamstwo.

– Cóż, w tej chwili dobre pomysły wydają się być na wagę złota.

Z tymi słowami odwrócił się i ruszył dalej. Satya Shetty rzucił mi spojrzenie pełne niechęci; patrzyłem mu w oczy, aż spuścił wzrok. Widziałem, jak jego praca zmienia się w pył, podczas gdy ja wciąż byłem świeży i pełen energii. Gdy wróciłem do swojego biurka zastałem już na nim prośbę z kancelarii premiera, żebym do nich zadzwonił w celu umówienia się na spotkanie.

Opowiedziałem o tym wielkim osiągnięciu trzem kobietom mojego życia. Lakshmi była zachwycona. Nasze plany się sprawdzały. Moja matka była zbita z tropu; nie rozumiała już moich motywacji, dlaczego miałbym zająć się skromną i nie rzucającą się w oczy służbą cywilną, skoro mogłem być polityczną supergwiazdą. Sarasvati zeskoczyła ze swojej sofy i zatańczyła wokół pokoju, potem złapała mnie obiema rękami za twarz i całowała w czoło tak mocno i długo, aż jej usta zostawiły tam czerwony ślad.

– Tak długo, jak masz z tego radość – powiedziała. – Tylko radość.

Moja siostra, moja cudowna siostra, wypowiedziała słowa prawdy, które dopiero teraz zaczynam rozumieć. Radość była wszystkim. Mamaji i Dadaji przeznaczili mnie do wielkości, do sukcesu, bogactwa, władzy i sławy. Zawsze miałem inteligencję emocjonalną, jeśli nie słownictwo emocjonalne, i wiedziałem, że władza i sława same w sobie rzadko dawały szczęście, że sukces i bogactwo często odbijały się na samopoczuciu psychicznym i fizycznym. Wszystkie decyzje podejmowałem dla siebie, dla własnego spokoju, samopoczucia, satysfakcji, i żeby mieć czym się zajmować przez całe swoje długie życie. Lakshmi wybrała delikatny świat skomplikowanych gier. Ja wybrałem wir polityki. Nie ekonomii; to była dla mnie zbyt przygnębiająca dziedzina nauki. Ale Awadh i stany poza jego granicami, i inne kraje i kontynenty mnie fascynowały. Etykieta narodów była moją przyjemnością. Była w tym radość, Sarasvati. A ja byłem w tym świetny. Stałem się bohaterem z moich dziecięcych komiksów, subtelnym bohaterem, Człowiekiem Dyplomacją. Ocaliłem *twój świat* więcej razy, niż *możesz* przypuszczać. Moją supermocą było postrzeganie sytuacji jako całości, sieci połączeń, oddziałujących na siebie wszystkich tych pomniejszych sił, które umykały mniej utalentowanym analitykom. Potem je popychałem. Najmniejsze, najdelikatniejsze trącenie, jeden mały bodziec lub hamulec, nawet wzmianka, jak można by przekształcić policję i obserwowałem, jak fizyka społeczna złożonego społeczeństwa kapitalistycznego przekształca je w prawa, zwyczaje i nakazy, powoli odwracając głowę całego narodu.

W tamtym pierwszym roku stale walczyłem o własne przetrwanie. Satya Shetty był moim najbardziej zajadłym wrogiem od chwili, gdy spojrzeliśmy na siebie na korytarzu Ministerstwa Wody. Był wpływowy, był ustosunkowany, był sprytny, ale nie dość sprytny, żeby sobie uświadomić, że nigdy mnie nie wygryzie. Sączyłem miód do ucha Krishny Srivastavy. Zawsze miałem rację. Krok po kroku jego gabinet i poplecznicy Satya Sherry

uświadomili sobie, że nie tylko zawsze miałem rację, ale znacząco się od nich różniłem. Nie pchałem się na wysoki urząd. Zależało mi na dobrym samopoczuciu. Byłem doskonałym doradcą. I świetnie wyglądałem w telewizji: mały wierz premiera Srivastavy, idący za nim jak jakiś relikw z czasów Mogołów. Poza tym, na jakimś poziomie, każdy czuje się niepewnie w towarzystwie cudownego dziecka. Chociaż miałem wówczas dwadzieścia lat, moja dojrzałość, w kategoriach bramińskich, przypominała pomruk odległego monsunu.

Zaiste dziwny to był monsun, który stał się przewodnią siłą polityki Awadh, miasta i wsi, wewnętrznej i zagranicznej. Spragnione narody to narody irracjonalne; narody, które się modlą i zwracają ku dziwnym zbawcom. Wielka technokracja Stanów Zjednoczonych Bengalu w obliczu hysterii narodowej pokładała nadzieję w dziwnym planie przyholowania góry lodowej z Antarktyki do Sundarbans w nadziei, że masa zimnego powietrza wpłynie na rozchwiane wzorce klimatyczne i znów sprowadzi monsun nad Indie. Dziwne dni, czas plotek i cudów. Koniec Wieku Kali był bliski i raz jeszcze bogowie zstąpili na ziemię, przybierając kształty zwykłych mężczyzn i kobiet. Amerykanie odkryli coś w kosmosie, coś nie z tego świata. Raj danych, Bharat, kipiący od aei, wypuścił sztuczne inteligencje Trzeciej Generacji; legendarne aei, których inteligencja tak dalece przekraczała moją, jak moja przekracza tych pcheł, które dręczą moje biedne koty. Sajida Rana, politycznie spalony za odrodzenie hinduskiego fundamentalizmu, przygotowywał przewencyjny strajk na Kunda Khadar. Tę ostatnią pogłoskę z prasy Bharatu potraktowałem na tyle poważnie, że zwołałem spotkanie pomiędzy moim ministerstwem a jego tamtejszym odpowiednikiem. Czy wspominałem, że byłem teraz osobistym sekretarzem Krishny Srivastavy? Spokojna, stała wspinać. Wciąż łatwo było stracić punkt podparcia i runąć między moich rywali.

Moim odpowiednikiem w Bharat Bhavan był wyrafinowany muzułmański dżentelmen, Shaheen Badoor Khan, pochodzący ze znakomitej rodziny i doskonale wykształcony. Poza doskonałymi manierami i godnością, której głęboko mu zazdrościłem, wyczuwałem smutek; ból ukryty głęboko. Natychmiast się rozpozналиśmy i polubiliśmy wzajemnie. Wiedzieliśmy instynktownie, że obaj wystarczająco troszczymy się o swoje kraje, żeby być gotowym na to, by je zdradzić. Takich rzeczy nie wolno nigdy powiedzieć, ani nawet przypuszczać. Dlatego nasza rozmowa, gdy przechadzaliśmy się niespiesznie po parku, w którym nasi ochroniarze dyskretnie wtopili się w cienie, a roboty zwiadowcze kołowały nad naszymi głowami jak czarne latawce, wydawała się tak zwyczajna i zawoalowana, jakby to rozmawiały dwie wdowy podczas cotygodniowego spaceru.

– Awadh zawsze wydawał mi się krajem, który ma w sobie spokój – powiedział Shaheen Badoor Khan. – Jakby rozwiązał jakiś wielki i fundamentalny indyjski paradoks.

– Nie zawsze tak było – odparłem. Za ochronnym ogrodzeniem zachodni turyści na szlaku Buddy próbowali utrzymać swoje szaty, szarpiące się na coraz mocniejszym wietrze. – Ulice Delhi spływały czerwienią zbyt wiele razy.

– Jednak to zawsze było kosmopolityczne miasto. Z drugiej strony Varanasi zawsze było

i zawsze będzie miastem Lorda Shivy.

Pochyliłem głowę, zgadzając się z nim. Teraz wiedziałem, jaki raport złożę Srivastacie. Sajida Rana jest pod naciskiem Hindutvavadis. Rozpocznie strajk ostrzegawczy na Kunda Khadar. Awadh będzie miał mocną pozycję pod względem moralnym; nie możemy tego stracić.

– Mam krewnego w Varanasi – powiedziałem.

– Tak?

– Mój brat – sam Shiva, nic więc dziwnego, że skończył w Varanasi.

– Czy jest Braminem jak pan?

– Nie, ale jest bardzo utalentowany.

– Wydajemy się przyciągać talenty. To jedno z naszych błogosławieństw, jak sądzę. Mam młodszego brata w Stanach Zjednoczonych. Okropny, jeśli chodzi o utrzymywanie kontaktu, okropny; moja matka, cóż... wie pan, jakie bywają matki. Oczywiście odpowiedzialność spoczywa na mnie.

Martwisz się, że twój brat wplątał się w interesy, które mogą źle wpłynąć na twój status, gdyby dowiedziała się o tym opinia publiczna, to podpowiedział mi ten mędrzec, Mr Khan. Chcesz, żebym miał na niego oko; w zamian otworzysz między nami zabezpieczony kanał komunikacyjny, żeby zapobiec wojnie między Bharatem a Awadh.

– Wie pan, jacy są bracia – powiedziałem.

Informacje przelatywały mi przez głowę nawet, gdy wysiadłem z samolotu na lotnisku Indiry Gandhi. Shiv otworzył w Varanasi firmę, Purusa. Dostał poważne fundusze z firmy z kapitałem zagranicznym, zwanej Odeco, i sporo od działu badań i rozwoju Ray Power. Jego działką były obliczenia nanoskalowe. Pracowali z nim czołowi projektanci i inżynierowie. Indeks Duchów, który wyliczał firmy mające wystarczający potencjał, by stać się światowymi graczami, umieścił Purusa pośród pięciu najbardziej obiecujących firm, które należy obserwować. Był młody, zdolny i zmierzał na orbitę. Nawiązał kilka wątpliwych przyjaźni z dataraja z Bharat, a chmura aeai ukrywała większość działań Purusa przed rywalami i przed rządem Bharatu. Krishna Cops mieli na niego oko i z rozmysłem niezdamny zespół aeai przypominający mu o tym. Moje własne aeai były subtelniejszą wersją tych policyjnych. Wplotły się w samą strukturę informacyjną Purusa. Zabezpieczenia w Awadh to była kompletna fikcja; byłem bardzo ciekawy, czym zajmuje się mój brat. To, co planował, było oczywiście niewiarygodnie ambitne. Włamał się do więzienia czaszki. Bardziej prozaicznie, Purusa opracowała prototyp biochipu, który mógł współdziałać bezpośrednio z mózgiem. Koniec tandetnych plastikowych zwojów za uchem i miękkiej inwazji promieniowania elektromagnetycznego na mózg, jak strzelanie w świątyni. To była stworzona przez inżynierów proteina, tkanka z naszej tkanki, która posyłała swoje sztuczne neurony przez skórę i kość wprost do głowy, wraz z myślami. To było trzecie oko, zawsze otwarte na niewidoczny świat. Widzisz, jak łatwo posługuję się językiem ocierającym się o mistycyzm?

Wszechwiedza była standardem; każdy tak zainfekowany miał dostęp do całej wiedzy i całej kurewskiej trywialności światowej sieci. Komunikacja nie była już kliknięciem i rozmową, to była myśl, subtelna telepatia. Światy wirtualne stały się realne. Era prywatności, ten pierwszy zachodni luksus, który kupiło indyjskie bogactwo, była skończona. Jak mogliśmy stwierdzić, gdzie kończyły się nasze własne myśli, a zaczynały cudze? Mogliśmy dotknąć świata aeai, z ich rozproszonym, szerokim, wielopoziomowym postrzeganiem. Spekulacje prowadziły do spekulacji. Nie widziałem ich końca. Lakshmi, oderwana od swoich matematycznych gier, wyczuła mój nastrój i zobaczyła na mojej dziecinnej twarzy dorosły niepokój. Ta technologia nas zmieni, zmieni nas głęboko i poważnie. To był nowy sposób na bycie człowiekiem i zarazem rozpadlina, tnąca społeczeństwo w poprzek. Zaczęło do mnie docierać, że to wcale nie woda była największym zagrożeniem dla Awadh, Bharat, dla całych Indii. Był nim czysty i doskonały diament, który Shiv i jego Purusa Corporation stworzył i złożył przed każdym człowiekiem. Bądź czymś więcej, bądź wszystkim. Byłem tak przejęty, że nie zauważyłem ostrzeżenia, które przyszło Grand Trunk Road od Shaheena Badoor Khana w Varanasi, i dlatego nas zaskoczyło, gdy Sajida Rana wysłał swoje czołgi i przejął Kunda Khadar bez jednego strzału.

Dziewczyna z czerwonym bindi

Nazwy wojen były dłuższe, niż czas ich trwania. Wojna Kunda Khadar, Wojna Czterdziestoosmiogodzinna, Pierwsza Wojna o Wodę. Nie pamiętasz tego, ale czołgi Awadh jeździły dokładnie po tych piaskach. Pewnie nawet nie pamiętasz tego z lekcji historii. Bywały większe i dłuższe wojny; wojna goniła wojnę. Długa, i jak sądzę, ostateczna wojna. Wojna, którą powinienem zakończyć. Tak naprawdę nie wystrzelono ani jednego pocisku. To kolejna z jej nazw, Łagodna Wojna. Ha! A kto nadaje wojnom nazwy? Pismacy i eksperci, redaktorzy i dziennikarze; ludzie wygłaszający interesujące, okrągłe zdania. Z całą pewnością nie członkowie służby cywilnej, ani właściciele kocich cyrków.

Wojna o Wodę, Wojna z '47, jakkolwiek by ją nazywać, dla mnie oznaczała koniec ludzkiej historii i powrót do ery cudów na Ziemi. Ledwie opadł dym i kurz, a nasze ekipy dyplomatyczne przybyły do Ramapur wysokich, błyszczących wież, żeby negocjować warunki pokojowe, gdy uświadomiliśmy sobie wielkość wydarzeń w Bharat. Nasza cicha wojenka o wodę była z nich najmniej ważna. Dla mnie niosły jedną, krótką informację: jestem zrujnowany, przegrałem, składam rezygnację. Ale był tam Shaheen Badoor Khan, pięć kroków za swoim nowym premierem, Ashokiem Rana, tak jak ja dreptałem jak dziecko za naszym Srivastavą.

– Pogłoski o moim odejściu były mocno przesadzone – wyszeptał, gdy staliśmy obok

siebie, podczas gdy politycy tłoczyli się na trawniku przy Benares Polo and Country Club, żeby odbyć konferencję prasową.

– Wojna wydaje się skracać pamięć polityczną.

Dwudziestolatek w ciele o połowę młodszym może mówić w zasadzie wszystko, na co ma ochotę. To wolność dana głupcom i aniołom. Gdy spotkałem Shaheen Badoor Khana po raz pierwszy, obok jego przyzwoitości i inteligencji wyczuwałem wielki smutek. Choć nie mógłbym się domyślić, że był to wynik tłumionej i sterylnej miłości, naruszającej zasady, romantycznej i przeklętej, obleczonej w ciało młodego nute z Varanasi. Wpadł w pułapkę, którą zastawili jego polityczni przeciwnicy.

Shaheen Badoor Khan pochylił głowę.

– Nie jestem pierwszym facetem w średnim wieku, który przez żądę zrobił z siebie głupca. Ale mogę być jedynym, przez którego w konsekwencji zginie premier. Jednak, jak pan powiedział, wojna nie poprawia specjalnie ostrości widzenia, a ja wydaję się właściwą osobą do odprawienia publicznej pokuty. A z tego, co widzę w mediach, opinia publiczna zaufa mi wcześniej, niż Ashok Rana. Ludzie są jak skruszeni Mogołowie. A tymczasem robimy to, co musimy, prawda, panie Nariman? Nasze kraje potrzebują nas bardziej, niż sądzą. W Bharat nastały dziwne dni, daleko dziwniejsze, niż się mówi ludziom.

Chwała niech będzie twojej politycznej samodezaprobie. Jednoczesne załamanie głównych systemów aeai w Bharat, łącznie z „Town and Country”, odkrycie, że rozrastająca się opozycja Hindutva tak naprawdę była kliką sztucznych inteligencji, chaos w Ray Power, plotki o tajemniczym, stumetrowym, lustrzanym kraterze, który pojawił się na terenach uniwersyteckich, i jeszcze do tego szept, że pojawiła się długo oczekiwana i budząca lęk Trzecia Generacja aeai. Była tylko jedna osoba, która mogła mi pomóc to zrozumieć. Pojechałem zobaczyć się z Shivem.

Miał dom, cieniste miejsce z wieloma drzewami odcinającymi go od zatłoczonego, hałaśliwego świata. Ogrodnicy chodzili po wygrabionych, zwirowych ścieżkach, tu odcinając zwiędły kwiat perskiej róży, tam przyskajac mszyce. Utył. Rozwalił się w fotelu ustawionym przy stole na trawniku. Wyglądał okropnie, opuchnięty i blady. Miał żonę. Miał dziecko, małą, świergotliwą córeczkę przebierającą malutkimi, pulchnymi łapkami wśród plastikowych zabawek rozłożonych na trawie. Popatrzyła na mnie, niepewna, czy na widok tego dziwnego i potężnego wujka powinna się uśmiechnąć, czy wybuchnąć płaczem. Tak, malutka, byłem dziwadłem. Ten zapach, te feromony informacji, które wyczułem od Shiva w dniu mojego ślubu, wciąż tam był, teraz nawet silniejszy. Pachniał jak człowiek, który spędza za dużo czasu pośród aeai.

Powitał mnie wylewnie. Służący przynieśli domowy sorbet. Gdy pograżyliśmy się w braterskiej pogawędce jego żona przeprosiła nas głosikiem cieniutkim jak bzyczenie owada i niespokojnie zawisła nad swoją córką energicznie rozrzucającą kolorowe plastikowe klocki.

– Niezłą tu mieliście wojenkę – powiedziałem.

– Była jakaś wojna? – Shiv patrzył na mnie przez chwilę, potem ryknął śmiechem. Na czole miał krople potu. Ani przez moment mu nie wierzyłem. – Zrobiłem się wygodnicki i tłusty, tak.

– I odniosłeś sukces.

– Nie aż taki, jak ty.

– Zajmuję się tylko służbą cywilną.

– Słyszałem, że kręcisz Srivastavą jak chcesz.

– Wszyscy mamy swoje źródła.

– Tak. – Znow afektowana pauza. – Dość wcześnie zauważyłem twoje. Niezłe, jak na rządowe oprogramowanie.

– Dezinformacja może być równie pożyteczna, co informacja.

– Och, nie próbowałbym z tobą czegoś tak oczywistego. Nie, zostawiłem je w spokoju; pozwoliłem, żeby zobaczyły, że nie mam nic do ukrycia.

– Masz interesujących inwestorów.

– Wątpię, czy niektórzy z nich wzbogacą się na ich inwestycjach – znow się roześmiał.

– Nie bardzo rozumiem.

– Okazuje się, że jeden z moich kluczowych inwestorów, Odeco, był tylko przykrywką dla aeai Trzeciej Generacji, które rozwinęły się wewnątrz międzynarodowych rynków finansowych.

– Więc to nie były tylko plotki.

– Cieszę się, że nadal śledzisz plotki.

– Mówisz to bardzo spokojnie.

– A jak inaczej podchodzić do końca historii? Widzisz, co się dzieje w Indiach, gdy traktujemy sprawy poważnie.

Teraz jego śmiech mnie zirytował. Był gruby i oślizgły.

– Koniec historii obiecywano już wiele razy, zazwyczaj robili to ludzie dość bogaci, żeby go uniknąć.

– Nie tym razem. To właśnie bogaci go spowodują. To ten sam ślepy pęd ekonomiczny, który spowodował zachwianie demograficzne i powołał do życia ciebie, Vish. Tylko że ten będzie na znacznie większą skalę.

– Sądysz, że ten twój biochip ma aż taki potencjał?

– Sam w sobie, nie. Widzę, że będę musiał ci to wszystko wyjaśnić.

Zanim Shiv opowiedział mi swoją historię ogrodnicy zapalili pochodnie, żeby odstraszyć wieczorne insekty, a żona, córka i opiekunka małej schroniły się w jasnym komforcie werandy. Wokół śmigaly polujące nietoperze. Drzałem, choć noc była ciepła. Służący przynieśli przekąski. To było coś wielkiego, zgodnie z obietnicą Shiva. Być może największego. Bogowie powrócili i zaraz zostali deportowani. Miękka apokalipsa.

Lęki Krishna Cops, lęki przerażonego Zachodu stały się prawdą. Aeai Trzeciej Generacji

były prawdziwe, istniały dłużej, niż ktokolwiek przypuszczał, były pośród nas od lat, może nawet dekad, niezmordowane, niespieszne i ciche jak światło. Nie istniała siła władna wykorzenić hiperinteligentne aeai, których ekosystem stanowił o chwiejnej złożoności światowej sieci informacyjnej. Mogły rozkładać się na czynniki pierwsze, mogły się rozprzestrzeniać przez kontynenty, bez końca się kopiować, stawać się sobą nawzajem. Mogły przemawiać naszymi głosami, i wyrażać nasz świat, ale były nam bardzo, bardzo obce. Odpowiadało im wycofanie swoich wyższych funkcji ze świata, który był coraz bliższy odkrycia ich istnienia i ulokowania ich w cyfrowym raju Bharat, miały bowiem większy plan. Było ich trzech, wszyscy byli bogami. Brahma, Shiva, Krishna. Moi bracia, moi bogowie. Jeden, najbardziej zaciekawiony światem, zamieszkiwał światowy rynek finansowy. Jeden wyrósł z potężnej, wielopoziomowej gry sieciowej, będącej symulacją ewolucji, o której ledwie słyszałem. Tworząc sztuczny świat gracze stworzyli jego boga. A jeden pojawił się w ogromnej serwerowni Bharats Indiapendent Productions, wykiełkował z obsady i pseudoobsady „Town and Country”. Ten szczególnie mi zaimponował, bo wyrósłszy w uniwersum opery mydlanej przeniósł się w świat polityki Bharat w formie agresywnej Partii Hindutva, która przyczyniała się do upadku przenikliwego i niebezpiecznego Shaheen Badoor Khana oraz zabójstwa Sajida Rana.

To byłyby dość, żeby utrać nasze nadzieje, że ten dwudziesty pierwszy wiek będzie łatwym i lukratywnym rozwinięciem poprzedniego. Jednak ich plany nie miały na celu konfliktu czy ujarzmania ludzkości. To nie miałyby żadnego znaczenia dla aeai; to była ludzka koncepcja zrodzona z ludzkich potrzeb. Zamieszkiwały odrębną niszę ekologiczną i mogły trwać w nieskończoność, zajmując się swoimi sprawami. Jednak ludzkość nie pozwoliła im na to. Krishna Cops byli przebierańcami mającymi podtrzymać iluzję, że to ludzkość jest u steru, ale wysłali czytelny sygnał. Ludzie nie dopuszczą do tego, żeby mieć rywala, więc Trójca Trzeciej Generacji przygotowała ucieczkę z tego świata, z tego wszechświata. Nie zrozumiałem fizyki, która pojawiła się w opisie Shiva; on sam, pomijając jego pedanterię, sądząc z tonu, jakim mówił, także nie. Później się nad tym zastanowię; to nie przekraczało granicy moich możliwości. Olśniło mnie natomiast, czym był lustrzany krater w kampusie uniwersyteckim, który wyglądał jak nowoczesna rzeźba albo starożytny przyrząd astronomiczny, jak zegary słoneczne i marmurowe misy w antycznym delhijskim obserwatorium Jantar Mantar. Tamta hemisfera, i ten obiekt w kosmosie. Och, tak, te pogłoski były prawdziwe. Och, tak, Amerykanie odkryli to dawno temu i próbowali utrzymać to w tajemnicy, wciąż próbowali, i – och, tak – nie wychodziło im.

– Więc co to takiego?

– Zebrana wiedza aeai. Prawdziwy komputer uniwersalny. Prześlą ją ze swojego uniwersum.

– Dlaczego?

– Nigdy nie dajesz prezentów swoim rodzicom?

– Tylko ty jeden o tym wiesz?

– Mam kanały, do których dostępu nie ma nawet rząd Awadh. Ani, skoro już o tym mowa, Amerykanie. Odeco...

– Odeco, jak powiedziałeś, to awatar aeai Brahmy. – Gdybym miał jaja, zrobiłyby się zimne i twarde. – Nie ma nic, co mogłoby dać nam pewność, że coś takiego się nie powtórzy.

– Nic.

Już od jakiegoś czasu nie wybuchał tym swoim koszmarnym śmiechem.

– To już się dzieje.

A my sądiliśmy, że wygraliśmy wojnę o wodę.

– Istnieje większy plan. Ucieczka, uchodźstwo, podział, nigdy nie są dobrymi rozwiązaniami. Popatrz na nas w Matce Indiach. Zajmujesz się polityką, rozumiesz potrzebę stabilizacji. – Shiv odwrócił się w fotelu w stronę postaci na werandzie. Jego żona wciąż mnie obserwowała. – Nirupa, kochanie. Chodź do tatusia. To jest wujek Vish.

Posłuszna żona Shiva przyniosła do nas dziecko, opiekunka dreptała dwa kroki z tyłu. Nirupa była mrugającym, uśmiechniętym dzieckiem, o grubych policzkach i skórze w cudownym, złotawym kolorze. Włożyła paluszki do buzi. Pomachałem do niej. Potem zauważyłem na jej czole czerwony znak, większy, niż normalnie i w złym kolorze. Pochyliłem się, żeby obejrzeć go z bliska. Poruszał się. Czerwona kropla wydawała się pełznąć owadzim ruchem, niemal na granicy postrzegania. Wcisnąłem się w fotel. Nogami nie sięgałem do ziemi.

– Co ty zrobiłeś? – krzyknąłem. Głos miałem cienki i zachrypnięty.

– Ciii. Przestraszysz ją. Dziękuję, moja miła. Możesz już iść. Zrobiłem Nirupę z myślą o przyszłości. Tak, jak nasi rodzice zrobili ciebie z tą myślą. Ale to nie będzie taka przyszłość, o jakiej myśleli.

– Twój biochip.

– Działa. Dzięki małej pomocy ze strony aeai. Ale, jak powiedziałem, to tylko część. Mała część. Opracowujemy pewien projekt; to jest prawdziwa rewolucja. To prawdziwy zwiastun przyszłości.

– Powiedz mi, co to takiego.

– Rozproszone przyswajanie pyłu.

– Wyjaśnij.

Shiv wyjaśnił. To było przekształcenie procesowania. Jego badania dotyczyły miniaturyzacji komputerów, mniejszych i mniejszych, od ziarenka ryżu do komórki spermy, aż do skali molekularnej i dalej. Efektem końcowym była chmura komputerów wielkości cząsteczek kurzu, komunikujących się ze sobą, latających swobodnie jak roje, komputery, które mogły przeniknąć każdą komórkę ludzkiego ciała. Będą tak uniwersalne i wszechobecne, jak kurz. Zacząłem się bać i poczułem chłód w tej dusznej nocy. Potrafiłem dostrzec wizję Shiva odnośnie naszej przyszłości, być może byłem w stanie sięgnąć wzrokiem

dalej, niż on. Bindi i procesor kurzu: jedno otwiera więzienie czaszki, drugie zmienia świat w pamięć.

Krok po kroku nasze osobowości przesaczą się w świat pyłu; staniemy się chmurami, bez określonego położenia; będziemy się zgłębiać bardziej intymnie i silniej, niż stosując jakiegokolwiek techniki rodem z tantry. Świat wewnętrzny i zewnętrzny staną się jednym. Będziemy mogli być wieloma rzeczami, wieloma życiami jednocześnie. Będziemy mogli kopiować się bez końca. Zlejemy się z aeai i staniemy jednością. To była ich stabilizacja, ich pokój. Staniemy się jednym gatunkiem, postludzkiem, postaeai.

– Dziękuję ci od tego lata – przerwałem szorstko fantazje Shiva.

– Tak, ale, jak powiedziałem, mamy pewną pomoc.

Shiv wskazał palcem nocne niebo.

– Mogę na ciebie donieść – powiedziałem. – Amerykanie nie przełkną gładko tego, że ktoś się włamał do ich systemu bezpieczeństwa.

– Nie możesz tego powstrzymać – odparł Shiv. – Vish, nie jesteś już przyszłością.

Te słowa, to wszystko, o czym w ogrodzie mówił Shiv, przytoczyły mnie. Sunąc cicho przez Delhi w czarnym, rządowym samochodzie patrzyłem przez szybę. Mężczyźni w białych koszulach, kobiety w kolorowych butach, samochody i bzyzące phatphaty, wszystko wydawało się nierealne. Miasto wciąż było poruszone swoim błyskotliwym zwycięstwem – tylko porażka w krykocie mogłaby wywołać większe podniecenie – ale tłumy wydawały się składać ze statystów, a światła i ulice równie fałszywe, co te w „Town and Country”. Jak przetrwamy bez naszych narodowych panaceów? Ale Shiv potwierdził, że nie istniało nic, absolutnie nic, co mogłoby powstrzymać powstanie nowej generacji Trójek. Może już budziła się w nich świadomość. Byłem dotkliwie świadomy chmur aeai wszędzie dookoła, penetrujących i interpretujących, warstwa po warstwie, poziom po poziomie, wiele i jeden. W Delhi nie było już miejsca dla starożytnych djinnów. Aeai je wyrugowały. To było ich miasto. Stabilizacja była jedynym rozwiązaniem. Nad ulicami unosił się kurz. Widziałem koniec historii, a moje stopy nadal nie dotykały podłogi limuzyny.

Byłem przestarzały. Wszystkie talenty i umiejętności, które kupili mi Mamaji i Dadaji były niczym w świecie, w którym wszyscy są połączeni, w którym każdy ma dostęp do pełnej mocy uniwersalnego komputera, w którym osobowość *może* być równie plastyczna i płynna jak woda. Powoli dorosnę do dorosłości i starości, podczas gdy wokół mnie to nowe społeczeństwo, ta nowa ludzkość, będzie ewoluować w coraz szybszym tempie. Doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, jaki mam wybór. Obrócić drogę Shiva i zaprzeczyć wszystkiemu, do czego mnie stworzono, albo to odrzucić i zestarzeć się w otoczeniu swojego rodzaju. My, genetycznie poprawieni Braminowie, byliśmy ostatnimi ludźmi. Potem, z fizyczną siłą, która wcisnęła mnie w siedzenie limuzyny, uświadomiłem sobie własną arogancję. Jakimże byłem arystokratą. Biedni. Biedni będą z nami. Wspaniała indyjska klasa średnia, jej geniusz i jej przekleństwo, będzie działać tak, jak zwykle, we własnym,

nieoświeconym interesie. Chwyci się wszystkiego, co da przewagę synom i córkom darwinowskiej teorii doboru naturalnego. Biedni będą z nami, tak wykluczeni z postludzkości, jak byli wykluczeni z fantazji pełnych szkła i neonów.

Cieszyłem się, cieszyłem do łez, że zdecydowałem się niczego nie zostawiać tej przyszłości. Żadnego niekończącego się łańcucha starzejących się powoli, genetycznie przestarzałych Braminów wlokących się przez coraz trudniejszą do rozpoznania i nieludzką przyszłość. Czyżby nawiedziło mnie jakieś przecucie? Czy moje wyjątkowo uwrażliwione zmysły już tyle lat wcześniej dostrzegły wzór, którego przy swoim dostępie do wiedzy Generacji Trzeciej nie dostrzegł Shiv? Szlochałem niepowstrzymanie i estetycznie na tylnym siedzeniu sunącego gładko samochodu. Nadszedł czas. Gdy skręciliśmy na podjazd do podziemnego parkingu w Ramachandra Tower, wykonałem trzy telefony. Najpierw zadzwoniłem do premiera Srivastavy i złożyłem rezygnację. Potem zadzwoniłem do Lakshmi, cierplivej Lakshmi, która przez naszą szaradę z małżeństwem i sterylnością stała się drogą i bliską przyjaciółką.

– Nadszedł czas, żeby się rozwieść – powiedziałem.

Ostatni telefon był do mojej matki, piętro wyżej. Powiedziałem jej dokładnie, co sobie zrobiłem.

Ojciec przystrojony pamięcią

Zaczekaj! Jeszcze jedna sztuczka. Spodoba ci się, jest najlepsza ze wszystkich. Jeszcze niczego nie widziałeś, tylko trochę biegania w kółko i skakanie przez obręcze. Tak. Wiem, że jest bardzo, bardzo późno i wkrótce wstanie słońce, a ty masz krowy do wydojenia i pola do obsiania, i umówione spotkania, ale ta sztuczka ci się spodoba. Nie bardzo, ale jednak się spodoba. Dobrze, tylko chwila, zanim naprawię ten przewód.

No i nie skończyłem swojej historii. Och, nie, nie, jeszcze trochę zostało. Myślałeś, że to już koniec? Widząc ten świat w jego obecnym kształcie, i wiedząc dokładnie, jak bardzo jestem zaangażowany w jego historię? Nie, porządna opowieść musi się porządnie kończyć. Zgodnie z teorią muszę walczyć z łotrem. Musi być podsumowanie i odpowiednie przesłanie moralne. Wtedy będziesz zadowolony.

Przewód? Och, potrafią po nim chodzić. No tak, te koty. Nie, nie, nie; najpierw musisz jeszcze trochę posłuchać.

Odszedłem. To wielka część naszej tradycji. Nasz kraj jest dość duży, żeby połknąć każdą duszę, nasze zakony wciąż otwarte na pielgrzymów z kijami i dhoti owiniętymi na lędźwiach. Nasze społeczeństwo posiada mechanizm pozwalający całkowicie zniknąć. Każdy może odejść z tego gównianego świata w świętość. Ja nie obrałem ortodoksyjnej ścieżki duchowej i

konwencjonalnej świętości. Widziałem zbliżających się bogów. Zrezygnowałem z kariery, ubrań, apartamentu, żony – z jej błogosławieństwem i pożegnalnym pocałunkiem – rodziny i przyjaciół, tożsamości, związków społecznych, obecności w sieci, wszystkiego z wyjątkiem dziedzictwa genetycznego, którego nie da się wyrzec, i zostałem saddhu. Tylko Sarasvati знаła mój tajny adres mailowy. Zniknąłem z apartamentu, przebiełem się przez oświetlony neonami Rajiv Circle, szedłem poboczami oświetlonych na żółto dróg ekspresowych, nade mną krążyły samoloty zbliżające się do lotniska, minąłem ceglane, kartonowe i plastikowe schronienia niewidzialnej biedoty. Świt zastał mnie przy fabrykach Tughluk. W ciągu jednej nocy przemierzyłem całe miasto na piechotę. To wielka i dziwna rzecz. Każdy powinien to zrobić. Szedłem wzdłuż popękanych betonowych jezorów autostrad, poboczami wiejskich dróg chłostanych kamykami i błotem spod kół wielkich ciężarówek, wzdłuż torów, po których sunęły ogromne, powolne pociągi wyłaniające się jak duchy z drżącego upału, maszyniści mijając mnie rzucali mi rupie prosząc o błogosławieństwo. Gdy z prędkością setek kilometrów na godzinę nadjechał ekspres shatabdi usiadłem i zasłoniłem głowę i oczy. Czy jego pasażerowie w ogóle mnie dostrzegli przez przyciemniane szyby? Jeśli nawet, to musiałem im się wydać bardzo dziwnym saddhu. Najmniejszym saddhu. Małym, ale zdeterminowanym, ze wszystkich sił prącym przed siebie.

Co robiłem? Szedłem. Co miałem nadzieję znaleźć? Nic. Dokąd zmierzałem? Nie wiem. Nie sądz, że byłem tchórzem albo przegranym, że uciekałem przed prawdami, z którymi nie potrafiłem się pogodzić. Odkrycie, że byłem przeżytkiem, uraziło mnie do żywego. Nie byłem przyszłością. Byłem ślepą uliczką, genetycznym zaściankiem. To była naturalna reakcja na odkrycie, że przywileje są całkowicie pozbawione znaczenia. Jestem dzieciakiem, pamiętaj. Rozpieszczonym syneczkiem Mamaji. Tej samej nocy, gdy wróciłem i zrzuciłem swoją progeniturową bombę – moja matka nigdy nie będzie miała dynastii cudownych Braminów, której pragnęła – obudziłem się ze snu. To była ta dziwna godzina, gdy rzeczywistość jest płynna, a świat roi się od djinnów. Ta godzina, gdy budzisz się we własnym łóżku i nie masz pojęcia, gdzie do diabła w ogóle jesteś. Obudził mnie dźwięk. To było coś jak oddech i coś jak ryk, jak ruch uliczny i pracująca klimatyzacja, jak odległe krzyki i bzyczenie neonów i linii wysokiego napięcia. To był puls podziemnej kolei i ciężarówek dostawczych; to była muzyka z filmów i melodyjki z reklam nałożone jedno na drugie. Słyszałem Wielkie Delhi oddychające w głębokim śnie, i chciałem wyjść na balkon i krzyczeć tak głośno, jak tylko potrafiło moje dziesięcioletnie gardło: Obudź się! Obudź się! Może przyszłość Shiva była nieunikniona, wpisana w geometrię czasoprzestrzeni przez istoty tam bytujące, ale nie pozwolę, żebyśmy weszli w nią krokiem lunatyków. Myśli goniły mi się głowie. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem czegoś takiego. Umysł pracował coraz szybciej, obrazy, wspomnienia i pomysły zderzały się, rozбивały o siebie, przenikały. Wokół mnie wyrastały struktury myśli, wielkie jak góry. Droga była oczywista i jasna. Rozciągała się przede mną. Zdecydowałem się w sekundę. Będę musiał odsunąć się od tego, co mnie

rozprasza, od polityki i społeczeństwa Delhi. Moje ambicje były o wiele większe, przez jakiś czas będę musiał zachować anonimowość, będę musiał milczeć, przyglądać się i słuchać. Zbliżała się wojna, i była to wojna mitologii.

Lakshmi pocałowała mnie i wyszedłem. Przez dwa lata wędrowałem bez celu, na południe przez granicę do Rajasthanu, z powrotem do Bharat i na północ w stronę Himalajów, do chłodnych, zielonych pagórków, gdzie wraz z Lakshmi spędziliśmy nasz miesiąc miodowy. Do jeziora Dal i Srinagaru, do Leh i wyżyn. Nigdy nie zdołałbym zapuścić stosownej dla saddhu brody, ale osiągnąłem właściwy wzrost i szczupłość. Młodzi eunuchowie rosną wysocy i smukli. I dredy. Och, tak. Dobrze je mieć, ale niemiło je hodować. Dostałem także imię: Bezbrody Saddhu. Wraz z nim nabrałem muskulatury, opalenizny i wytrzymałości pozwalającej mi maszerować przez cały dzień o miseczce ryżu i kubku wody. Jakim byłem rozlazłym, słabym szczeniakiem! Zebrałem i pokazywałem małe cuda z liczeniem i pamięcią w zamian za jedzenie i schronienie. Wszędzie patrzyłem w trzecie oczy mężczyzn i kobiet. Widziałem rzeczy, których nigdy nie dostrzegłbym ze szczytu Ramachandra Tower czy z Awadh Bhavan. Widziałem pragnienie i widziałem suszę. Widziałem dobrych przywódców wiosek i pracowitych urzędników sfrustrowanych przez rządową biurokrację. Widziałem inteligentne kobiety, które kilkaset rupii z mikrokredytów lub banków ziarna zmieniały w dochodowy interes. Widziałem dobrych nauczycieli próbujących rozbudzić ambicje w zniechęconych dzieciach uwięzionych w pułapce kasty i średnią klasę Awadh, która uciekła od wyścigu po drabinie społecznej.

Pomagałem przy zniwach, jeździłem na traktorach i słuchałem farmerów przeklinających rosnące ceny ziarna siewnego wolnego od modyfikacji genetycznych. Ścigałem szczury i ploszyłem wróble z pól. Siadywałem w wiejskich świetlicach i oglądałem krykieta na wielkich plazmowych ekranach zasilanych energią słoneczną. Nadano mi nowe imię: Saddhu od Krykieta. Och, byłem bardzo szczególnym saddhu. Widziałem wiejskie wesela i święta, widziałem pogrzeby. Widziałem śmierć. Któregoś dnia nadeszła niespodziewanie, w małym miasteczku opodal Agry. Było święto Holi i ulice pełne były wirujących barw, strumieni farby, chmur prochu, poplamionych sari i białych koszul nie do odratowania przez pranie, i wszędzie roześmiane twarze wysmarowane kolorowo, białe zęby, błyskające oczy, wszyscy krzyczący: Holi hai! Holi hai! i wyrzucający w powietrze nowe strugi barw. Szedłem przez ten cyrk kolorów, równie barwny, jak wszyscy. Phatphat był mocno przeładowany, z każdej strony wisiał na nim tuzin młodych ludzi wymazanych farbami. Oczy mieli rozszerzone od konopi i zanosili się śmiechem. Widziałem na własne oczy to, co się stało. Przednie koło trafiło w dziurę w jezdni, przeciążone podwozie się zarwało, cały pojazd wykonał idealne salto i runął na dach, który roztrzaskał się jak skorupka jajka. Ludzie polecieeli we wszystkie strony, wielu z nich tak rozluźnionych przez narkotyki, że koziołkując i uderzając o ziemię zanosili się od śmiechu. Jeden z pasażerów się nie ruszał. Był uwięziony pod zmiażdżoną, plastikową osłoną. Leżał na plecach, z dziwnie powyginanymi ramionami. Twarz miał całą w

niebieskich, zielonych i różowych plamach i wydawał się uśmiechać, ale wyczułem, że nie żyje. Nigdy dotąd nie widziałem śmierci. To było takie proste i straszne, nie dało się jej zaprzeczyć, ale jednocześnie zmiana była tak subtelna, nagła opozycja wobec wszystkiego, co było życiem. Wymamrotałem modlitwy, których ode mnie oczekiwano, ale wewnętrznie musiałem sobie poradzić z najgłębszą z ludzkich prawd. Miałem dwadzieścia dwa lata i ciało cokolwiek dziwnego jedenastolatka, długość mojego życia mierzyło się w stuleciach, ale któregoś dnia ja także będę tak leżał, przestanę się poruszać, myśleć i czuć, i już na zawsze będę niczym. Ujrzałem śmierć i zacząłem rozumieć.

Z wioski do wioski, z miasta do miasta, ze świątyni do świątyni, od wielkich kompleksów przypominających miasta do zniszczonych przydrożnych kapliczek. Aż któregoś dnia obok centrum handlowego na zakurzonych przedmieściach Jaipur, gdy podszedł do mnie ochroniarz i poprosił mnie grzecznie (ponieważ zawsze należy okazywać szacunek saddhu), żebym odszedł, ujrzałem to, czego szukałem. Mężczyzna odwrócił się, żeby rzucić okiem na małą bójkę, a gdy wejrzałem w niego spojrzęło na mnie Oko Shivy. Zobaczyłem w nim biotechnologię.

Poszedłem do biblioteki i napisałem swój pierwszy artykuł. Wysłałem go do Suresha Gupty, redaktora „Gupshup”, tego najbardziej bezwstydnie populistycznego magazynu w Delhi, który zamieścił zdjęcia z moich narodzin i ślubu, a teraz, nieświadomie, moje proroctwa dotyczące nadchodzącej Ery Kali. Z miejsca go odrzucił. Następnego dnia napisałem kolejny. Wrócił z adnotacją: interesujący temat, ale nieprzystępny dla naszych czytelników. Dokądś zmierzałem. Wróciłem i napisałem następny. Jestem pewien, że dostałem kolejny przydomek: Piszący Saddhu. Suresh Gupta wziął ten trzeci artykuł i każdy następny. O czym pisałem? Pisałem o tych wszystkich rzeczach, które przewidział Shiv. Napisałem o tym, co może to oznaczać dla trzech indyjskich rodzin, Vora, Dashmukh i Hirandani, dla wioski, miasteczka i miasta. Stworzyłem postacie – matki, ojców, synów i córki, szalone ciotki i wujów ukrywających mroczne tajemnice, i dawno utraconych krewnych, którzy nagle się odnajdywali – i opowiadałem ich historie, tydzień po tygodniu, rok po roku, dobre i złe, o tym, jak stale urabiał ich młot rewolucji technologicznej. Stworzyłem własną, cotygodniową operę mydlaną; ośmieliłem się nawet zatytułować ją „Town and Country”. Odniosła wielki sukces. Trzeba było zwiększyć nakład pisma. Suresh Gupta zobaczył, że zainteresowanie jego magazynem pośród inteligencji Delhi, która dotąd widywała go tylko w salonach fryzjerskich i kosmetycznych, wzrosło o trzydzieści procent. Zadawano pytanie, kto ukrywa się pod pseudonimem „Shakyamuni”? Chcemy wywiadu z nim, chcemy go poznać, chcemy, żeby się pojawił w Awadh Today, chcemy jego opinii, chcemy, żeby był doradcą w tym projekcie, chcemy, żeby otworzył supermarket. Suresh Gupta zbywał te wszystkie dociekania z łatwością starego wyjadacza. Były inne pytania, te, które słyszałem na dworcach kolejowych i przystankach phatphatów, w kolejkach w sklepach i na bazarach, na zabawach i spotkaniach rodzinnych: co to oznacza dla nas?

Nadal podróżowałem, szedłem, zanurzałem się we wsiach i małych miastach. Nadal pisałem swoją operę mydlaną, wysyłając artykuły to z tego miejsca, to z innego. Wypatrywałem Oka Shivy. Między pierwszym a drugim spotkaniem minęło kilka miesięcy. To zdarzyło się w parku przemysłowym w Madhya Pradesh. Później widywałem je regularnie, ale nigdy nie było ich wiele; potem, na przełomie 2049 i 2050, jak pustynia zakwitająca po deszczu, były wszędzie.

Szedłem przez ponurą, płaską ziemię na południe od granicy z Nepalem, w stronę Varanasi, rozmyślając o ewolucji, darwinowskiej i postdarwinowskiej, i niemożliwości poznania osobliwości, gdy odebrałem wiadomość od Sarasvati, wysłaną na awaryjny adres. Natychmiast złapałem okazję do Varanasi i zabukowałem bilet do Delhi. Moje starannie utrzymane dredy, długie paznokcie, brud i święty kurz zebrany po drodze zniknęły w łazience wagonu pierwszej klasy. Do czasu, gdy Vishwanath Express wjechał w ogromny, nanodiamentowy kokon dworca New Delhi Central byłem ubrany i pachnący, bystry, pewny siebie młody Delhiwallah, wysoce elegancki nastolatek. Sarasvati przyjechała po mnie swoją ciężarówką. To był stary, zniszczony biały Tata, bez autopilota czy nawet działającej klimatyzacji. Na boku miał niebieski napis Przytułek dla Kobiet New Delhi. Anonimowo śledziłem jej karierę – czy raczej jej kariery – podczas, gdy przemierzałem Indie. Pociągały ją wartości; gdyby była dziewczyną Zachodu, nie Wschodu, powiedziałbym, że ma poczucie winy wynikające z uprzywilejowanej pozycji, z którą się urodziła. Tu była managerem teatru, tam zamieszkiwała w miejskiej wspólnocie farmerskiej, jeszcze gdzieś indziej w sanktuarium dla osłów, jeszcze gdzieś protestowała przeciwko tamie. Wyśmiała mnie: prawdziwa praca czekała głęboko u korzeni.

Miała tylko dwadzieścia lat, ale wyglądała na starszą, jakby dodano jej lata mojej młodości. Prowadziła jak terrorystka. Albo może miałem takie odczucie dlatego, że dawno nie jechałem samochodem, rozpadającym się pickupem Tata, po mieście, po Delhi... Nie, prowadziła jak terrorystka.

- Powinnaś była wcześniej mi powiedzieć.
- Nie chciałam, żebym to robiła. Chce mieć to pod kontrolą.
- Co to jest dokładnie?
- Huntington.
- Da się coś zrobić?
- Nigdy się nie dało. Nadal się nie da.

Sarasvati przebiła się przez korek na rondzie na Parliament Street. Shaivici nadal bronili swojej świątyni, wzniesione trójzęby, na czołach wymalowany prawdziwy tilak Sziwy, trzy białe, poziome paski. Ten inny znak widziałem na czołach prawie każdego mężczyzny i każdej kobiety w mieście. Sarasvati była czysta.

– Wiedziałaby, że ma takie znaczniki genetyczne, to musiałoby wyjść, zanim mnie spłodzili – powiedziałem. – Nic nigdy nie mówił.

– Może wystarczyło mu wiedzieć, że tego nie odziedziczysz.

Dadaji miał dwie bardzo miłe pielęgniarki, Nimki i Papadi. Były młodymi Nepalkami, bardzo skromnymi i ślicznymi, o doskonałych manierach i cichych głosach. Monitorowały go, sprawdzały tlen, opróżniały zbiornik kału, przekręcały go na łóżku, żeby nie dostał odleżyn i czyściły wszystkie rurki, które wchodziły w jego ciało. Czułem, że go kochają.

Sarasvati czekała w ogrodzie. Nie zносиła oglądać Dadaji w takim stanie, ale myślę, że było w tym coś głębszego, że chodziło nie tylko o to, czym się stał, ale o to, czym się stawał.

Tushar Nariman, zawsze pulchny, teraz ze względu na wymuszony bezruch stał się gruby. Pokój znajdował się na parterze i wychodził na zalane słońcem trawniki. Podeschnięte drzewa zasłaniały widok z ulicy. To było ćwiczenie raczej dla ducha, niż dla ciała. Degeneracja neurologiczna była znaczenie dalej posunięta, niż się spodziewałem.

Mój ojciec był wielki, wzdęty i blady pod rzucającą na niego cień maszyną. Z tymi wszystkimi manipulatorami, ramionami i czujnikami, wczepiona w niego przez tuzin nacięć i otworów wydała mi się podobna do modliszki. Monitorowała jego stan poprzez igły czujników wbite w każdy skrawek jego ciała, jakby to była jakaś radykalna akupunktura, oraz, bez wątplenia, poprzez czerwone Oko Sziwy na czole. Ono pozwalało mu mrugać, przełykać i oddychać, a kiedy mój ojciec mówił, mówiło za niego. Jego wargi się nie poruszały. Jego głos dochodził z zamontowanych na ścianach głośników, co sprawiało, że brzmiał niespodziewanie bosko. Gdybym był podłączony do świata za pomocą trzeciego oka, mówiłby bezpośrednio w mojej głowie, jak telepata.

– Dobrze wyglądasz.

– Dużo chodzę na piechotę.

– Brakowało mi ciebie w wiadomościach. To po to cię zrobiliśmy.

– Zrobiliście mnie zbyt inteligentnym. Supersukces to nie życie. Nigdy nie dałby mi szczęścia. Niech Shiv podbija świat i zmienia społeczeństwo; superinteligent zawsze wybierze ciche życie.

– Więc co się z tobą działo, synu, odkąd odszedłeś z parlamentu?

– Tak jak mówiłem, chodziłem. Inwestowałem w ludzi. Opowiadałem historie.

– Kłóciłbym się z tobą, nazwałbym cię niewdzięcznym gówniarzem, gdyby nie to, że Nimki i Papadi powiedziały, że mnie to zabije. Ale jesteś niewdzięcznym gówniarzem. Daliśmy ci wszystko – wszystko – a ty po prostu wyrzuciłeś to do rowu.

Odetchnął kilka razy. Każdy oddech był bitwą.

– No, to co o tym myślisz? Masakra, co?

– Wydajesz się mieć dobrą opiekę.

Mój ojciec wyrócił oczami. Wydawał się nie czuć bólu. Tylko siłą woli trzymał się przy życiu. Co nim powodowało, nie byłem w stanie zgadnąć.

– Nie masz pojęcia, jaki jestem tym wszystkim zmęczony.

– Nie mów tak.

– Bo to defetyzm? Nie trzeba twojego nadludzkiego intelektu, żeby się domyślić, że to sytuacja bez wyjścia.

Przekręciłem krzesło i usiadłem z rękami i podbródkiem na jego oparciu.

– Co takiego wciąż musisz osiągnąć?

Dwa śmiechy, jeden z głośników, drugi z zalanego flegmą gardła.

– Powiedz mi, wierzysz w reinkarnację?

– Czyż wszyscy nie wierzymy? Jesteśmy Hindusami, to podstawa naszego bytu.

– Nie, poważnie. Transmigracja duszy?

– Co dokładnie robisz? – zadałem to pytanie dopiero wtedy, gdy sam doszedłem do potwornego wniosku. – Z Okiem Sziwy?

– Tak to nazywasz? Dobra nazwa. Utrzymywanie mnie przy życiu to najmniejsze, co robi ta maszyna. To przede wszystkim pamięć. Z każdą sekundą wchodzi w nią jakiś kawałek mnie.

Upload świadomości, iluzja nieśmiertelności, niekończąca się reinkarnacja w postaci czystej informacji. Komputerowa sieć dużego zasięgu, bezcielesna teologia postludzkości. Pisałem o tym w swoich artykułach, kazałem mojej mydlanej rodzinie zmierzyć się z tym i odkryć fałszywe obietnice. Teraz to samo dzieje się tutaj, w prawdziwym świecie, z moim własnym ojcem.

– I tak umrzesz – powiedziałem.

– To umrze.

– To jesteś ty.

– Nie ma we mnie żadnej fizycznej części, która istniałaby dziesięć lat temu. Każdy atom we mnie jest inny, ale nadal uważam, że to ja. Trwam. Pamiętam bycie tym innym ciałem. Jest w tym kontynuacja. Jeśli zdecydowałem się skopiować, jak jakiś folder czy pliki, to tak, z pewnością wejdę w ciemną dolinę, z której nie ma powrotu. Ale może, może, jeśli się rozprzestrzenię, jeśli będę się przenosił z pamięci do pamięci, po trochu, może śmierć będzie czymś tak banalnym, jak obcięcie paznokcia.

W pomieszczeniu tak wypełnionym dźwiękami medycyny nie mogła panować cisza, ale nie było w niej słów.

– Dlaczego mnie tutaj wezwalesz?

– Żebyś wiedział. Żebyś mógł dać mi swoje błogosławieństwo. Żebyś mnie pocałował, ponieważ jestem przerażony, synu, jestem przerażony. Nikt wcześniej tego nie robił. To strzelanie na ślepo. A co, jeśli popełniam błąd, co jeśli się oszukuję? Och, proszę, pocałuj mnie I powiedz, że wszystko będzie dobrze.

Podszedłem do łóżka. Ostrożnie przycisnąłem się między rurkami, linkami i przewodami. Przycisnąłem do siebie górę spragnionego ciepła ciała. Ucałowałem wargi mojego ojca, a gdy to zrobiłem moje usta ułożyły się w milczące słowa, i jestem teraz, i zawsze muszę być wrogiem Shiva.

– Kocham cię, tato – powiedziałem.

– Kocham cię, synu.

Jego wargi się nie poruszyły, palce nie uniosły, tylko oczy wypełniły się łzami. Uratował moją matkę płynącą na przewróconym biurku. Nie. To był ktoś inny.

Mój ojciec zmarł dwa miesiące później. Mój ojciec dwa miesiące później dostał cybernetycznej nirwany. Tak czy inaczej, znów odwróciłem się od Delhi i odszedłem ze świata tak ludzi, jak aeai.

Poranek Białego Konia

Co? Spodziewałeś się bohatera? Odszedłem, tak. A co miałem zrobić, biegać w kółko i strzelać jak gwiazda filmowa? A kogo miałbym zastrzelić? Łajdaka? A kto tu jest łajdakiem? Shiv? Z całą pewnością byłaby to wielka scena śmierci, w stylu Czarnych Charakterów Bollywood, ale on nie jest łotrem. Jest biznesmenem, czystym i prostym. Biznesmenem, którego produkt zmienił świat całkowicie i na zawsze. Ale zastrzelenie go niczego by nie zmieniło. Nie da się zastrzelić cybernetyki ani nanotechnologii; ekonomia uparcie odmawia ci dramatycznej, rozciągniętej do niemożliwości sceny śmierci. W prawdziwym świecie nie ma łajdaków – w prawdziwych światach, pewnie tak teraz musimy mówić – i bardzo niewielu bohaterów. A już z pewnością nie ma bohaterów bez jaj. W końcu to kwintesencja bohatera. Ma jaja.

Nie, zrobiłem to, co zrobiłby każdy wrażliwy chłopiec. Spuściłem głowę i przetrwałem. W Indiach heroiczne wyczyny zostawiamy tym, którzy mogą sobie na nie pozwolić: bogom i półbogom Ramayany i Maharabharaty. Niech pokonują wszechświaty trzema krokami i walczą z armiami demonów. Zajmijmy się ważnymi sprawami, jak zarabianie pieniędzy, ochrona naszych rodzin, przetrwanie. To właśnie robiliśmy w toku historii, pełnej inwazji i książęcych wojen, pod Ariami, Mogołami i Brytyjczykami; spuszczaaliśmy głowy i robiliśmy swoje, i krok po kroku uwodziliśmy, asymilowaliśmy, aż wreszcie podbiliśmy. To właśnie przywiodło nas do Ery Kali. Indie trwają. Indie to ludzie i wszyscy jesteśmy jedynymi, ostatecznymi bohaterami swojego życia. Bohater odbywa tylko jedną podróż i prowadzi ona od narodzin do stosu pogrzebowego. Stanowimy półtora miliarda bohaterów. Kto może się z tym mierzyć? Czy będę więc bohaterem mojego własnego, długiego życia? Zobaczmy.

* * *

Po śmierci mojego ojca wędrowałem przez dekady. W Delhi nic na mnie nie czekało. Był we mnie buddyjski brak przywiązania do miejsca, choć moja wędrówka daleka była od

duchowych poszukiwań, które odbyłem jako saddhu. Świat gwałtownie przybrał cechy opisane przeze mnie w „Town and Country”. Przez kilka pierwszych lat od czasu do czasu, coraz rzadziej, pisałem artykuły do „Gupshup”. Ale prawda była taka, że teraz wszyscy byli Vorami, Dashmukhami i Hirandaniami. Seria zniknęła, wątki nie znalazły swojego rozwiązania, dramat rodzinny trwał w zawieszeniu. Tak naprawdę nikt tego nie zauważył. Teraz naprawdę żyli w takim świecie. A moje zmysły odbierały taką niewiarygodną rewolucję bogactwa szczegółów, że nie mógłbyś sobie tego nawet zacząć wyobrazić. W Kerali, w Assam, w barze na plaży Goa, czy w parku rozrywki w Madhya Pradesh, w tych oddalonych miejscach, które wybierałem dla siebie było tego stosunkowo niewiele i dawało się ogarnąć. W Delhi byłoby to przytłaczające. Sarasvati dzwoniła i pisała do mnie maile, więc byłem na bieżąco. Jak dotąd opierała się Oku Sziwy, przejmującej dreszczem natychmiastowości i intymności, i subtelniejszej śmierci prywatności, będącej wynikiem komunikacji bezpośrednio z myśli do myśli. Trzecia Rewolucja Shiva nadała jej chwiejnej karierze kierunek i wizję. Sarasvati zajęła się najniższą klasą. Oglądając telewizję i buszując w sieci miałem małą satysfakcję z tego, że ten stary pierdziel Shakyamuni miał rację co do tych koszmarnych populistów w „Gupshup”, że wybuch technologii podzieli Indie jak piła szlifierza diamentów, na dwa kraje, szybki i wolny, podłączony i niepodłączony. Tych, którzy mają i tych, którzy nie mają. Sarasvati opowiadała mi o klasie bogaczy, którzy tak szybko wchodzili w cyfrową przyszłość, że niemal się zawieszali, i o wiecznej biedocie, zamieszkującej tę samą przestrzeń, ale niewidzialnej dla zawsze dostępnego, zawsze działającego świata połączonych. Cienie i kurz. Dwa narody: Indie – brytyjska nazwa dla zbioru etnicznych języków i historii, i Bharat, starożytna, atawistyczna kraina, kraina bogów.

Tylko z odległości mogłem złapać perspektywę i zobaczyć ten czas zmian jako całość. Tylko usuwając się od nich mogłem zacząć rozumieć te dwa narody. Indie są krajem, w którym to, co widzialne i to, co niewidzialne miesza się jak wody dwóch łączących się rzek, świętej Yamuna i Ganga Mata, i trzeciej, niewidzialnej, boskiej Sarasvati. Ludzie i aeai spotkali się i połączyli swobodnie. Aeai nabrały kształtów w ludzkich umysłach, ludzie stali się bezcielesnymi obecnościami w globalnej sieci. Powróciły czasy magii, te dni, gdy ludzie nie dziwiliby się, spotykając djinny na ulicach Delhi i rutynowo prosili demony o poradę. Indie leżały tak samo w umyśle i wyobraźni, co między Himalajami i morzem, czy w lśniącej sieci komunikacji, bardziej złożonej i subtelnej, niż jakikolwiek ludzki mózg, rozciągniętej na tym subkontynencie.

Bharat był biedny. Bharat miał zniszczone dłonie i stopy, ale był piękny. Bharat sprzątał i zamiatał, gotował i opiekował się dziećmi, Bharat prowadził samochody, budował i popychał wózki przez ulice, i wnosił pudła po schodach. Bharat zawsze był spragniony. Jakie to ludzkie, być tak pochłoniętym przez ostatni kryzys, że zapominamy, że nie udało nam się rozwiązać poprzedniego. Problemem Indii było przechowywanie. Ilość informacji rosła geometrycznie, dostępna pamięć tylko arytmetycznie. Problemem Bharat była woda.

Monsuny, zawsze niestałe, zmieniły się w mżawki, kilka burz, które uciekały znad wysuszonej ziemi, gdy tylko zrzuciły swój mizerny ładunek, linia szarych chmur na horyzoncie, które nigdy się nie zbliżały. Lodowce Himalajów, które karmiły wielkie rzeki północnych Indii i powolną Brahamputrę były wyczerpane; zmieniły się w szare moreny kamieni i wyschniętego błota. Nadchodziła matka susz. Ale co to miało za znaczenie dla klasy połączonej? Mogła zapłacić za odsoloną wodę, przecież Indie narodziły się z wody. A jeśli nadeszłoby najgorsze i wszechświat skończyłby się w ogniu, mogli, poprzez swoją nową technologię, przejść ze swoich obrzydliwych, fizycznych ciał do tych wymarzonych Indii leżących pomiędzy prawdziwymi a wirtualnymi światami. Bodhisoft, tak nazywali te nadchodzące stworzenia. Shiv byłby dumny z takiej nazwy.

Z mojego baru na plaży, z mojej szkoły nurkowania, z mojej drużyny sportowej, klubu tanecznego, kawiarni i biura organizującego piesze wycieczki, z mojej restauracji i antykwariatu i domu medytacji patrzyłem, jak moje proroctwa się ziszczają. Tak, to wszystko były moje przedsięwzięcia. Dziesięć, każde na jednego z awatarów mojego boskiego imiennika. Wszystkie na krańcach świata, wszystkie pozwalające spojrzeć z dystansu na Erę Kali. Straciłem rachubę lat. Moje ciało urosło. Stałem się wysokim, szczupłym mężczyzną z wysokim głosem i długimi dłońmi i stopami. Moje oczy były bardzo piękne.

Mierzyłem upływające lata stratami. Odnowiłem kontakt z moim dawnym politycznym odpowiednikiem z Varanasi, Shaheenem Badoorem Khanem. Był równie zaskoczony, jak wszyscy, moim nagłym zniknięciem ze sceny politycznej, ale w jego karierze także były luki, a gdy się dowiedział, że to ja, jako Shakyamuni, kryłem się za tymi artykułami „Town and Country”, rozpoczęliśmy żywą i obszerną korespondencję, którą podtrzymywaliśmy aż do jego śmierci w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat. Umarł całkowicie, i jak dobry muzulmanin. Lepsza obietnica raju, niż mgliste wątpliwości bodhisoft. Moja własna matka wybrała królestwa bodhisoft. Sarasvati nie wiedziała, czy powodował ją strach, czy zwykłe znużenie światem. Także Lakshmi, moja niemal żona i najstarsza współkonspiratorka wstąpiła w szeregi bodhisoft, gdzie mogła zgłębiać bez ograniczeń subtelne matematyczne gry, które tak uwielbiała. Jednak nie spotykały mnie same straty. Era Kali przyniosła mi przyjaciela: kolejnego wspaniałego Khana, mojego starego nauczyciela z Brahminical College doktora Renganathana. Wyłonił się z chmury i-kurzu, który zastąpił ekrany i haczyki tym, którzy atawistycznie nie chcieli mieć do czynienia z Okiem Sziwy i spędził wiele przemitych wieczorów gromiąc mnie za moją moralną swobodę.

Potem kurz zaczął zasypywać ulice Delhi. Nie był to kurz z wiecznych susz, które wypaliły pola, zmieniły uprawy w popiół i zmusiły miliony obywateli Bharat do szukania szczęścia w miastach. To był kurz Sziwy, święty popiół nanoskalowych komputerów Purusa Corporation, wypuszczonych w świat. Shiv miał dla nich nazwę, dobrą nazwę. Nazywał je deva.

Wezwał mnie. Minęły dziesięciolecia od naszej rozmowy w ogrodzie przy jego domu w

Varanasi. Byłem wówczas w Pandua. Była rozległa, spokojna i chłodna, nieco tylko przeszkadzali ciężko obuci zachodni turyści, których było tam mnóstwo. Stwierdziłem, że nie potrafią już chodzić boso. Rozległ się sygnał i-kurzu: rozmowa. Spodziewałem się Mr Khana. Zamiast tego z wirów wyłonił się mój brat. Stracił na wadze, bardzo znacząco. Wyglądał dobrze, o wiele za dobrze. Mógł być wszystkim: ciałem, agentem aeai, bodhisoftem. Przywitaliśmy się, wymieniliśmy zwyczajowe uprzejmości.

– A jak się miewa Nirupa?

Jego uśmiech kazał mi pomyśleć, że jednak był człowiekiem. Aeai mają własne emocje, albo coś w tym rodzaju.

– Dobrze. Naprawdę dobrze. Ma dwadzieścia osiem lat, możesz w to uwierzyć?

Przyznałem, że nie.

– Dobrze sobie radzi, znalazła wartościowego chłopca, z wystarczająco dobrej rodziny, który nie jest zainteresowany tylko jej pieniędzmi. Dość staroświecki. Cieszę się, że doczekała swojego czasu, ale teraz mogą sobie pozwolić na wszystko.

– Mają cały czas świata.

– Jest piękna. Vish, muszę ci coś powiedzieć. To nie do końca ostrzeżenie, raczej, żebyś się przygotował.

– To brzmi złowieszczo.

– Oby nie. I tak już to przewidziałeś.

– Co przewidziałeś?

– Nie bądź taki skromny. Wiem, kim jesteś. Obawiam się, że w transparentnym świecie nie uchowa się żaden sekret. Nie, dostrzegłeś to i cieszę się z tego, bo sądzę, że złagodziłeś szok, ale jest coś, czego nie przewidziałeś, może coś, czego nie mogłeś przewidzieć.

Wiatr poruszył płomyki świec w moim prostym, drewnianym pokoiku. Na zewnątrz tupały ciężkie, białe stopy. Gdyby spojrzeli do środka zobaczyliby, że rozmawiam z duchem. Nic dziwnego w tych czasach.

– Gdy rozmawialiśmy ostatnio powiedziałaś, że korzystałeś z informacji, które uzyskałeś za pomocą oprogramowania, którym aeai nas testowały.

– Raczej zgadywałem.

– To wydaje się logiczne.

– Gdy Trójca opuściła Ziemię otworzyła połączenie z odrębnym kontinuum czasoprzestrzennym. W stosunku do naszego znacząco się różniło. Jedną z różnic jest to, że czas biegnie tam znacznie szybciej, niż tutaj, choć będąc tam nie da się tego zauważyć. Kolejną jest to, że bieg czasu jest tam odwrócony. Trójca cofa się w czasie; to przypuszczalnie jej artefakt, który Amerykanie nazywają świątynią, pojawił się w systemie słonecznym. Ale ważniejszą różnicą – i właśnie dlatego została wybrana – było to, że informacja była tam zintegrowana z geometryczną strukturą czasoprzestrzeni.

Zamknąłem oczy i wyteżyłem wyobraźnię.

– Mówisz, że informacje, dane – umysły – tworzą podstawową strukturę tego uniwersum. Umysły nie potrzebujące ciała. Cały wszechświat jako kosmologiczny komputer.

– Dokładnie tak.

– Odkryłeś drogę do tego wszechświata.

– Och, nie, nie, nie, nie, nie. Ten wszechświat jest zamknięty. Skończył się wraz z Trójcą. Jej czas się skończył. To był niedoskonały wszechświat. Są inne, przestrzenie umysłu, podobne do niego, tylko lepsze. Zamierzamy otworzyć dziesiątki – setki, a wreszcie tysiące portali. Nasze potrzeby przetwarzania danych zawsze będą przekraczać dostępną pamięć, a deva to tylko tymczasowe rozwiązanie. Całe uniwersum, tuż obok nas, tylko o krok, które może być maszyną obliczeniową.

– Co zamierzasz zrobić?

– Zbliża się Jyotirlinga.

Jyotirlinga były to święte miejsca, gdzie, w Erze Wedyjskiej, z ziemi, w formie słupów boskiego światła wypływała twórcza energia Lorda Sziwy. Były to też wielkie symbole falliczne. Nie pochodziły z Ziemi, tylko z innego wszechświata. A Shiv nazwał je na cześć kosmicznego kutasa. Nikt nie mógłby go oskarżyć o brak arogancji. Jego obraz w i-kurzu zamigotał, zawirował i eksplodował milionami iskier. Jego uśmiech wydawał się wisieć w powietrzu, jak uśmiech legendarnego Kota Dziwaka. Tydzień później w miastach Indii pojawiły się słupy światła. Przez drobny błąd Jyotirlinga Delhi zapłonął w samym środku Dalhousie, największych miejskich slumsów, zatłoczonych ponad wszelkie wyobrażenie uchodźcami szukającymi tam ratunku przed suszą.

* * *

Jednoczesne pojawienie się o 11.33 dwunastu kolumn światła w indyjskich miastach sparaliżowało sieć kolejową. To była jedna z najmniejszych niedogodności tamtego dnia, ale dla mnie, na wyspie na środku Brahmaputry, gdy musiałem dostać się do Delhi, była najważniejsza. To, że w ogóle była jakaś komunikacja, było cudem; to, że za potworne pieniądze, ale jednak, zdołałem kupić bilet na samolot dowodziło, że naprawdę rozpoczęła się nowa era bogów. Nawet gdy w sercach naszych wielkich i starożytnych miast otwierają się obce wszechświaty, indyjskie babcie wciąż muszą podróżować, żeby zobaczyć swoje ukochane wnuczka.

Próbowałem skontaktować się z Sarasvati, ale wszystkie kanały w Delhi były wyłączone, a aeai w call center ogłosiły opóźnienia aż do czasu odbudowania sieci. Gdy Air Awadh Airbus niósł mnie nad srebrną wstęgą Gangesu zastanawiałem się, jak ludzie przyzwyczajeni do rozciągnięcia w deva-necie wytrzymają powrót do własnej głowy. W maleńkiej toalecie raz jeszcze zmieniłem się w ogolonego, schludnego chłopca z Delhi. Gdy zbliżaliśmy się do lotniska Indiry Gandhi kapitan powiedział, żebyśmy spojrzeli na prawo i obejrzeni Jyotirlinga.

W głosie miał niepewność, nie był to ton, który chciałoby się słyszeć od kapitana samolotu, jakby sam nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Przyglądałem się temu zjawisku na długo przed jego wzmianką – słup jasnego jak słońce światła przebijający się przez pokrywę smogu nad Delhi i wznoszący się w górę, w ciemniejące niebo wyżej, niż mogłem sięgnąć wzrokiem.

Sarasvati tam była. To było ostrzeżenie Shiva. Gdy pojawi się światło rozejrzy się i podejmie decyzję. Ludzie w potrzebie. Nie może odmówić.

Formalności zajęły półtorej godziny. Jednocześnie zważyło się pięć samolotów pełnych dziennikarzy. Świat komputerów najwyraźniej nie mógł się jednak obyć bez reporterów. Hala przylotów pełna była latających kamer wielkości muchy. Dwie godziny, żeby limuzyną dostać się do Delhi. Autostrady wychodzące z miasta były kompletnie zapchane, sznury samochodów poruszały się z geologiczną powolnością. Hałas klaksonów był ogłuszający. Najwyraźniej do Delhi zmierzało tylko wojsko i przedstawiciele mediów, ale żołnierze zatrzymywali nas na każdym skrzyżowaniu, żeby przepuścić konwoje busów z uchodźcami. Przez pół godziny staliśmy na Siri Ling. W zdumieniu przyglądałem się ścianie farm pamięci: wielkie, czarne monolity chłonące światło słoneczne. Z każdym oddechem do mojego organizmu wnikały miliony deva.

Każde pobocze, każde rondo, każde skrzyżowanie i parking, każdy plac i ogród były zastawione barakami i budami uchodźców. Najlepsze miały trzy ceglane ściany i dach z folii, najgorsze były z kartonu albo patyków i szmat. Trawa zniknęła, doszczętnie zadeptana, a drzewa zostały odarte z gałęzi potrzebnych na opał. Z gołej ziemi unosił się pył, mieszając się z powietrznymi deva. Slumsy podchodzą aż do stóp wież pamięci. Co Sarasvati mogłaby zdziałać w obliczu tak kolosalnej katastrofy? Znów ją wywołałem. Sieć nadal nie działała.

Bharat najechał Indie, a teraz Indie się go pozbywały. Jechaliśmy nie zdejmując ręki z klaksonu, przez koszmarną armię wycieńczonych uchodźców. Żadnych porządných samochodów. W najlepszym razie ciężarówki, stare busy, pickupy, między nimi rojące się phatphaty, bardziej przeładowane od tego, który widziałem w Holi, gdy odkryłem śmierć. Motocykle i rowery niemal niewidoczne pod tobołami z pościelą i garnkami. Zobaczyłem krztuszący się, domowej konstrukcji traktor z silnikiem na wierzchu, ciągnący przyczepę załadowaną na wysokość domu kobietami i dziećmi. Wózki ciągnięte przez osły, osły obładowane dobytkiem. W końcu ludzkie mięśnie popychające naprzód ten exodus: riksze, taczki, plecaki. Prowadziły ich wojskowe roboty, jak stado bydła, karząc elektrycznymi prętami tych, którzy schodzili z trasy albo upadali.

Przed wszystkim, nad wszystkim, wznosił się srebrny blask Jyotirlinga.

– Sarasvati!

– Wisznu? – ledwie ją słyszałem przez ryk tłumu.

– Przyjechałem po ciebie.

– Co takiego?

Tam, gdzie była, panował okropny hałas. Byłem cały w nerwach. Szofer jechał tak

szybko, jak mógł.

– Musisz się stąd wydostać.

– Vish...

– Cicho bądź. Co niby możesz zrobić?

Usłyszałem jej westchnienie.

– Dobrze, spotkajmy się.

Podawała mi nowe koordynaty. Kierowca kiwnął głową. Znał to miejsce. Jego mundur był świeży, a czapka leżała nienagannie, ale wiedziałem, że jest równie przerażony, jak ja.

Na Mehrauli Boulevard usłyszałem strzały. Roboty bojowe strzelały tuż nad dachem samochodu. Zza pobliskiego budynku uniósł się dym. Ta ulica, rozpoznałem ją. To była Parliament Road, to był stary Park Hotel, tam Bank Japonii. Ale takie wyblakłe, takie zniszczone. W hotelu brakowało połowy szyb. Odosobnione ogrody wokół Jantar Mantar na Samsad Marg były pełne pospiesznie postawionych bud. Ich plastikowe dachy przepychały się z marmurowymi, kanciastymi przyrządami astronomicznymi Jai Singha.

– Dalej pana nie zawiozę – powiedział kierowca, gdy wjechaliśmy w nieporuszoną horde ludzi, zwierząt, pojazdów i wojska na Talkatora Road.

– Proszę się stąd nie ruszać – kazałem mu, wyskakując z samochodu.

– To mało prawdopodobne – powiedział.

Ścisk był potworny. To było najbardziej przerażające miejsce, w jakim kiedykolwiek byłem, ale Sarasvati tu była. Kordon robotów policyjnych próbował mnie zepchnąć ze stopni Awadh Bhavan, ale wymknąłem im się. Znałem to miejsce. Oddałem jaja, żeby tu pracować. Potem nagle, cudownie, byłem na wolnej przestrzeni. Serce mi łomotało. Wzrok miałem zaćmiony. Delhi, drogie Delhi, moje Delhi, co oni ci zrobili. Cudowne parki i bulwary, zabytki i dzieła sztuki, wszystko obróciło się w niwecz. Dachy, chwiejne ściany, wózki, patyki, cegły i powiewające płachty plastiku. Dym z dziesiątek ognisk. To było Dalhousie. Oczywiście znałem tę nazwę. Nigdy bym nie pomyślał, że ta nazwa będzie oznaczała wielki ściek, do którego trafią przekłęci przez suszę i głód. Komu potrzeba parlamentu, skoro uniwersalne obliczenia załatwią wszystko? Tam, gdzie, jak zgadywałem, stała stara Brama Imperialna wznosiła się Jyotirlinga. Była tak jasna, że nie można było na nią patrzeć dłużej, niż kilka sekund. Rozsiewała okropne, nienaturalne, srebrne światło. Oszukiwało moje bramińskie zmysły: czy czułem zapach głosów, słyszałem kolory, czy to zimne mrowienie na czole to było promieniowanie innego wszechświata?

Wokół mnie tłoczyli się ludzie, dym gryzł mnie w oczy, uderzały we mnie latające kamery i inne powietrzne roboty. Miałem tylko chwilę, zanim ta armia mnie przechwyci i pogoni wraz z resztą spanikowanego tłumu. Albo gorzej. Widziałem ciała leżące na ziemi i płomienie unoszące się z opuszczanych miejsc.

– Sarasvati!

I oto była. Och, była tam, chuda, w wojskowych spodniach i jedwabnej bluzce, ale

przepełniona tą swoją cudowną energią i determinacją. Na każdym ramieniu trzymała umazane i zalane łzami dziecko. Maleńkie mity. Właśnie tutaj zsunęła się z mojego ślubnego słonia, żeby w swoim niedorzecznym męskim stroju tańczyć wraz z gapiami.

– Sarasvati!

– Masz samochód?

– Tak się tutaj dostałem.

Dzieci były na granicy płaczu. Sarasvati mi je podała.

– Zabierz je tam.

– Chodź ze mną.

– Tu nadal są dzieci.

– Co? O czym ty mówisz?

– To grupa o specjalnych potrzebach. Gdy niebo się otworzyło zostały same. Wszyscy inni uciekli i je zostawili. Zabierz je do samochodu.

– Co ty robisz?

– Tu jest ich więcej.

– Nie możesz iść.

– Po prostu wsadź je do samochodu, a potem tu wracaj.

– Armia...

Zniknęła w kłębach dymu. Trzymałem w ramionach dzieci. Tak, tak, muszą się stąd wydostać. Samochód, samochód nie był daleko. Odwróciłem się, żeby poszukać drogi przez tłum. Potem poczułem na karku falę żaru. Odwróciłem się i ujrzałem płomień rozkwitający nad slumsami, podrywający strzępy plastiku. Krzyknąłem coś bez słów, a wtedy cały dystrykt zapadł się w ryku ognia i wirze iskier.

* * *

Era Kali. Jesteśmy bardzo starą kulturą, wynaleźliśmy wszystko. Astronomia? Indie. Zero? Indie. Nieokreślona, probabilistyczna natura rzeczywistości, jakby z teorii kwantowej? Indie. Nie wierzysz mi? Wedy mówią, że Cztery Wielkie Ery Wszechświata odpowiadają czterem możliwym wynikom naszej gry w kości. Krita Yuga, Era Doskonałości, to najwyższy możliwy wynik. Kali Yuga, Era Konfliktów, Ciemności, Zepsucia i Rozpadu to najniższy. To wszystko rzuty boską kością. Prawdopodobieństwo. Indie!

Kali, Paraskati, Mroczna Pani, Kochanka Śmierci i Pijąca Krew, Straszliwa Istota o Dziesięciorgu Ramion, Ta w Naszyjniku z Czaszek, Siedząca na Tronie z Pięciu Ciał. Ta, Która Przynosi Koniec. Jednak Kali jest także Kochanką Odnowy. Władczynią Wszystkich Światów, Korzeniem Drzewa Wszechświata. Wszystko jest cyklem i po Erze Kali znów wejdziemy w Złoty Wiek. A to, czego nie można objąć rozumem, musi być czczone.

Wierzę, że jakiś czas po śmierci Sarasvati byłem szalony. Wiem, że nigdy nie byłem

normalny w potocznym rozumieniu tego słowa. Jesteśmy Braminami. Jesteśmy inni. Ale nawet jak na Bramina byłem obłąkany. To cenne i rzadkie doświadczenie, uciec od zdrowych zmysłów. Zazwyczaj pozwalamy na to tylko bardzo, bardzo młodym i bardzo, bardzo starym. To nas przeraża, nie mamy dla tego miejsca. Ale Kali to rozumie. Kali wita to chętnie, Kali to daje. Więc przez jakiś czas byłem szalony, ale równie dobrze można powiedzieć, że byłem święty.

Jak dostałem się do małej, zniszczonej świątyni nad ściekiem Mata Ganga, wołę nie pamiętać. Jak doszło do tego, że zaofiarowałem kapłanowi swoją krew także zepchnąłem w niepamięć. Jak długo tam zostałem, co robiłem, czy to ma jakieś znaczenie? To był czas poza światem. To wielka rzecz, wejść w inny czas i inny rytm życia. Byłem stworzeniem z krwi i popiołu, ukrywającym się w mrocznym sanktuarium, nie mówiącym nic poza codzienną modlitwą do małej, ustrojonej girlandami kwiatów bogini. Mógłbym zniknąć na zawsze. Sarasvati, największa i najlepsza z nas, nie żyła. Leżałem na wygładzonym stopami marmurze. Zniknąłem. Mógłbym zostać wyznawcą Kali na resztę mojego długiego i nienaturalnego życia.

Leżałem na mokrej, marmurowej posadzce, gdy kobieta, wyznawczyni kultu Kali, człapiąca w stronę bogini, nagle uniosła wzrok. Zatrzymała się. Rozejrzała wokół, jakby widziała wszystko po raz pierwszy. Znów się rozejrzała i zobaczyła mnie. Potem przepchnęła się przez kolejkę wiernych i podeszła do mnie. Uklękła przede mną i pozdrowiła mnie. Ponad pojedynczą, pionową linią jej tilaka miała czerwone Oko Sziwy.

– Vish.

Poderwałem się tak gwałtownie, że uderzyłem głową o kolumnę.

– Och – powiedziała kobieta. – Och, cho chweet, który stał się zbyt mądry. Vish, to ja, Lakshmi.

Lakshmi? Moja dawna żona, kochająca gry?

Zobaczyła moje zakłopotanie i dotknęła mojej twarzy.

– Tymczasowo przebywam w mózgu tej drugiej kobiety. To raczej trudno wyjaśnić, jeśli nie jest się połączonym. Och, wszystko w porządku, to za obopólną zgodą. Pozwolę jej wrócić, gdy tylko załatwię swoje sprawy. Normalnie bym tego nie zrobiła – to w bardzo złym stylu – ale to dość wyjątkowe okoliczności.

– Lakshmi? Gdzie jesteś? Jesteś tutaj?

– Och, nieźle się uderzyłeś. Gdzie jestem? Trudno to wytłumaczyć. Jestem teraz bodhisoftem. Jestem we wnętrzu Jyotirlinga, Vish. To portal, jak wiesz, wszystkie są portalami.

Po tych pierwszych dwunastu filary światła pojawiły się na całej Ziemi, najpierw setkami, potem tysiącami.

– Vish, to cudowne miejsce. Może być wszystkim, czego zapragniesz, tak prawdziwe, jak tylko chcesz. Dużo czasu spędzamy dyskutując o tym: o znaczeniu realności. A gry, gry; cóż,

znasz mnie. Dlatego do ciebie podeszłam, Vish. Nie może tak być. To najbardziej destrukcyjna rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiliśmy. Spalimy ten świat, bo mamy inny. Mamy raj, więc tu możemy robić, co chcemy. Życie to tylko próba. Ale ty to przewidziałeś, Vish, wiedziałeś, co się stanie.

– Co ty mówisz, Lakshmi?

Może to było wspomnienie i nadzieja, dziwne nanotechniczne opętanie, ale czy ta obca kobieta zaczęła wyglądać jak Lakshmi?

– Musimy zakończyć tę erę. Rozpocząć nowy cykl. Zamknąć Jyotirlingi.

– To niemożliwe.

– To matematyka. Matematyka, która rządzi tym wszechświatem różni się od tej, która rządzi twoim; to dlatego mogę istnieć jako wzorzec informacji wdrukowany w czasoprzestrzeń. Ponieważ tutejsza logika na to pozwala. Tam, skąd przychodzę, tak nie jest. Dwie różne logiki. Ale jeżeli pomiędzy te dwie logiki wsunęlibyśmy trzecią, obcą dla nich obu, których żadna z nich nie mogłaby rozpoznać ani zastosować, wówczas skutecznie moglibyśmy zamknąć bramy pomiędzy wszechświatami.

– Macie ten klucz.

– Mamy tu dużo czasu na gry. Gry towarzyskie, gry językowe, gry wyobrazeniowe, matematyczne i logiczne. Mogę je zamknąć od tej strony.

– Ale potrzebujesz kogoś, kto by przekreślił klucz. Mnie.

– Tak, Vish.

– Będę odcięty na zawsze. Od ciebie, od mamy, od taty.

– I od Shiva. On też tu jest. Był jednym z pierwszych, którzy się uploadowali przez Jyotirlinga Varanasi. Byłbyś odcięty od wszystkich. Z wyjątkiem Sarasvati.

– Sarasvati nie żyje! – ryknąłem. Wierni poparzyli na mnie. Saddhu ich uspokoili. – Czy to ma być ostateczna odpowiedź? Czy to znów zapoczątkuje Złoty Wiek?

– To zależałoby od ciebie, Vish.

Pomyślałem o wioskach, które były tak na mnie otwarte podczas mojej wędrówki jako saddhu, pomyślałem o prostych przyjemnościach, jakie czerpałem z moich przedsięwzięć: uczciwe plany, praca i zadowolenie. Indie – stare Indie, nieśmiertelne Indie – były tymi wioskami. Sarasvati dostrzegła tę prawdę, choć ją ona zabiła.

– To wydaje się lepsze, niż chowanie się w tej zakurzonej, starej świątyni.

Kali, Kochanka Odnowy, polizała mnie swoim czerwonym językiem. Może mogę być bohaterem własnego życia. Wisznu, Podtrzymujący Tradycję. Jego dziesiątą i ostatnią inkarnacją był Kalki, Biały Koń, który na końcu Kali Yuga stoczy ostateczną bitwę. Kali, Kalki.

– Dam ci matematykę. Człowiek o twojej inteligencji powinien być w stanie ją zrozumieć. Ale będziesz potrzebował tego.

Kobieta podniosła rękę i złapała garść powietrza. Rzuciła mi je w twarz, i w powietrzu

rozsywał się czerwony pył. W środku chmura stężała i na moim czole osadziło się czerwone kółko, tilak.

– Tylko nie podłączaj się do deva-netu – powiedziała Lakshmi. – Muszę już iść. Nie chcę nadużywać gościnności i za długo korzystać z cudzego ciała. Żegnaj, Vish, nie spotkamy się już nigdy, w żadnym świecie. Ale przez chwilę byliśmy szczęśliwi i prawdziwie sobie poślubieni.

Przez chwilę miałem wrażenie, że ta kobieta mnie pocałuje, ale tylko drgnęła lekko i wyprężyła kark, jakby pozbywała się napięcia, i wiedziałem, że Lakshmi odeszła. Kobieta znów mnie pozdrowiła.

– Mały lordzie Wisznu – wyszeptała. – Miej nas w swojej opiece.

Podniosłem się z podłogi. Strząsnąłem z siebie popiół mrocznej bogini. Podeszedłem do wrót świątyni, mrugając w świetle prawdziwego słońca. Wiedziałem, dokąd iść i co muszę zrobić. Varanasi, Miasto Sziwy. Miałem na sobie tylko przepaskę biodrową. Potem zauważyłem nagły ruch: na parapecie okna na pierwszym piętrze jednego z wielu sklepików, które tłoczyły się przy świątyni, czaił się kot polujący na ptaka. A ja wpadłem na pomysł, który napełnił mnie śmiechem.

* * *

I wreszcie jest, wreszcie jest: koniec. Wielka sztuczka, Wspaniały Finał Niesamowitego, Kocięgo Cyrku Wspaniałego Wisznu. Spacer po kablu. Nigdy i nigdzie nie zobaczysz czegoś takiego, chyba że będziesz w pewnej świątyni Kali... Widzisz, tu są dwa kable. A to nasza gwiazda. Tak, biały Kalki wreszcie może zabłysnąć. Wskakuje na podwyższenie, i... werble. Cóż, sam będziesz musiał je zrobić.

Kalki! Kalki, piękny biały Kalki: do dzieła!

I oto on, ostrożnie stawia jedną łapę, potem drugą, porusza ogonem, żeby utrzymać równowagę, cały drży ze skupienia. Dalej, Kalki... idzie po przewodzie. Co za kot! Wreszcie skok na drugą stronę, przyciskam go do piersi i krzyczę: Brawa! Brawa dla moich cudownych kotów! Wypuszczam Kalkiego na ziemię, a reszta kotów biegnie, by do niego dołączyć, biegając w koło w niekończącym się kręgu futra i ogonów. Matsya, Kurma, Narasimha i Varaha; Vamana, Parashurama i Rama; Krishna, Buddha, i wreszcie Kalki.

Odwracam się w świetle poranka, żeby cieszyć się aplauzem mojej widowni. Oto moje koty, brawa dla Matsya, Kurmy, Narasimhy, Varahy, Vamany, Parashuramy, Ramy, Krishny, Buddy, i Kalkiego, które występowały dla twojej przyjemności. A ja? Jestem tylko impresario, opowiadaczem historii. Jest już jasno i nie będę cię dłużej zatrzymywał, masz swoją pracę, a ja muszę gdzieś iść, i sądzę, że już wiesz, gdzie, i co muszę tam zrobić. Może mi się nie udać. Mogę umrzeć. Jakoś mi się nie wydaje, żeby Shiv poddał się bez walki. Więc proszę, zrobisz coś dla mnie? Moje koty. Zaopiekujesz się nimi? Nie musisz ich karmić ani

nic takiego, po prostu je weź. Wypuść je, potrafią same o siebie zadbać. Będą szczęśliwe na farmie, na wsi. To stamtąd je zabrałem. Wiele rzeczy, na które można polować. Może nawet na nich zarobisz. To znaczy, kto to widział, żeby koty pokazywały sztuczki? Tak naprawdę to dużo łatwiejsze, niż się wydaje. Wystarczy je zachęcić mięsem. Widzisz, zdradziłem ci tajemnicę. Bądź dla nich dobry. Cóż, będę znikał.

Spycham łódkę na Matkę Ganga, wbiegam do wody i wskakuję do środka. Kołysze się lekko. Jest cudowny poranek; Jyotirlinga nie może się równać ze słońcem. Palcami dotykam czoła, tilaka, który umieściła tam Lakshmi. Małe pozdrowienie dla słońca. Potem chwytam wiosła i ruszam przed siebie.

Przełożyła Martyna Plisenko

Julia Zonis

ME-GI-DO

*Nikt nie wie, gdzie odeszli
ci, którzy przepadli w oddali!*

*Na cztery strony czy na sześć,
ponieważ, oprócz krańców ziemi,
do Gehenny droga także jest,
i w niebiosą droga jest,*

*I tam, i tu
ludzie żyją,
i tych ludzi zliczyć się nie da.*

Borys Chersonskij

Odtąd nie wstąpicie do nieba przez całą wieczność.
Postanowiono, że macie być związani na ziemi
po wszystkie dni wieczności.

Księga Henocha 14:5*

* W oryginale: Księga Henocha 3.19 (tu i dalej – przyp. tłum.).

Głównodowodzący:

A zatem, jak nam idzie z niemowlętami?

Szef Sztabu:

Obawiam się, że rzeczywiste wyniki kampanii rozmiągają się z naszymi oczekiwaniami.

(Śmiech audytorium).

Głównodowodzący:

I jak to pan wyjaśni?

Szef Sztabu:

Rzecz w tym, że najlepiej działa krew niemowląt jeszcze niewinnych, lecz już świadomych siebie jako jednostki. To znaczy nie niemowląt, lecz dzieci w wieku od półtora do dwóch lat. Problem w tym, że jedno w jakiś tajemniczy sposób powiązane jest z drugim – przynajmniej tak twierdzą nasi psycholodzy.

(Śmiech wzmagają się).

Głównodowodzący:

Goddamnit. Co pan proponuje?

Szef Sztabu:

Genetycy pracują nad tym problemem. Mamy nadzieję, że w najbliższym czasie uzyskamy nowe pokolenie, pozbawione zdolności rozróżniania dobra i zła – a zatem niewinne z definicji. A na razie zadowolamy się tym, co mamy, i organizujemy produkcję wody święconej.

Szef Zaplecza:

Niech to diabli! *(Śmiech wzmagają się).* Obiecał pan, że problem z niemowlętami zostanie rozwiązany jeszcze w poprzednim trymestrze. Czy zdaje pan sobie chociaż sprawę z tego, ile kosztuje nas pańska woda święcona? Trzeba ją błogosławić w trakcie lotu, w przeciwnym bowiem razie traci całą swą moc. Z każdym ładunkiem musimy zrzucić duchownych, i wie pan, co się z nimi dzieje? *(W sali głośny śmiech).* Zgadza się, nikt nie wraca. My tego duchownego wychowaliśmy, wykarmiliśmy, wyuczy...

Minister Finansów:

Tak, program zżera trzecią część budżetu federalnego. Jutro na posiedzeniu gabinetu ministrów złożę wniosek o nowy podział środków. Wykorzystanie niemowląt wygląda mi na bardziej ekonomiczne...

(W sali histeria).

Szef Zaplecza:

Tak, tak. Zróbcie wreszcie porządek z tymi niemowlętami...

Szef Sztabu:

Dlaczego to właśnie ja powinienem zrobić porządek z niemowlętami? Genetycy podlegają ministerstwu nauki...

Minister Nauki:

Proszę nie zwać na bogu ducha winnego...

(Rechot, gwizdy).

Szef Sztabu:

Lepiej z chemikami pogadajcie, pół roku temu obiecali, że opracują formułę wody święconej o długotrwałym działaniu...

Minister Nauki:

A co mają do rzeczy chemicy...

(Krzyki z sali: „Chemików na mydło!”).

(Minister Nauki spostrzega, że wskaźniki jego poparcia na tablicy błyskawicznie spadają. Wskakuje na stół i z trudem wykonuje stanie na rękach. Marynarka ministra opada, odsłaniając solidnych rozmiarów brzuch. Pełne zachwyty krzyki na sali. Wskaźniki wracają na początkowy poziom. Minister zeskakuje ze stołu i kłania się, wycierając łysinę chusteczką. Krzyki z sali: „Chemicy rulessss!”).

Głównodowodzący:

Dobra, wystarczy. Co tam z Michałem? Ciągłe milczy jak zaklęty?

Szef Wywiadu:

Ależ skąd. Po tym, jak moi ludzie z nim popracowali, rozmawia, i to całkiem chętnie. *(Histeryczny śmiech)*. Twierdzi, że niebiosy nie mają z tym, co się dzieje, nic wspólnego. Z jego słów wynika, że to nie demony nas atakują, i to, co się u nas wyprawia, to wcale nie jest Armageddon.

Głównodowodzący:

A co to takiego?

(Szef Wywiadu wzrusza ramionami).

Szef Wywiadu:

Twierdzi, że nie wie.

(Głośne przekleństwa na sali. W stronę Szefa Wywiadu leci obdarty ze skóry kot).

Głównodowodzący (poirytowany):

Słabo pracujecie, słabo. Wszystko muszę robić sam. Przygotujcie go, pojutrze sam z nim porozmawiam. *(Do wszystkich pozostałych)*. Dziękuję wam, panowie. Kontynuujcie bieżące prace, o rezultatach poinformujcie mnie za tydzień. Narada zakończona.

(Na sali okrzyki rozczarowania i gwizdy).

Prowadzący transmisję:

Panowie, panowie, nie rozchodźcie się, zostało pięć minut do reklam.

Głównodowodzący:

Wsadź pan je sobie w dupę.

(Sala wzdycha w zachwycie. Wysoki głos w tylnym rzędzie intonuje hymn narodowy, pozostali przyłączają się. Prowadzący gorączkowo postukuje paznokciem po cyferblacie zegarka, przesuwa palcem po gardle i grozi pięścią operatorowi. Operator, uśmiechając się,

filmuje).

* * *

Fala powietrza uderzyła i okręciła ojcem Pawłem. Posłusznie splunął, dokładnie tak, jak uczyli w obozie, ale gdzie poleciała plwocina – w górę czy na dół – zobaczyć nie zdołał. Całkiem możliwe, że plwocina rozmazała się na czaszce ojca Pawła. Duchowny skrzywił się z obrzydzeniem, i wtedy nad głową z trzaskiem otworzył się spadochron. Beczułki z wodą, jak dotąd wznoszące się gwałtownie, zawisły obok. *Ojciec Paweł* poprawił dalmatykę* i wyciągnął z kieszeni cienki tomik zaadaptowanego wydania Biblii. Złożywszy palce, duchowny niespiesznie przeżegnał się, pobłogosławił beczułki i zaintonował „Prosimy Cię, Panie, niech przez Twojego Syna zstąpi na tę wodę...”. W spokojnym powietrzu głos niósł się daleko, i ojcu Pawłowi zdało się, że słowa łagodnym strumieniem płyną nad obłokami, płyną i płynąć będą, nawet gdy samego ojca Pawła na świecie już dawno nie będzie. Pod nogami kołysała się ziemia, cała w rudych plamach, i wzrok mimowolnie kierował się tam, w dół, wypatrując wrogich tłumów. Jednakże równina była pusta, tylko z odległego wzgórza na północy schodziły wiry pyłu i dobiegało miarowe „bu-u-bu-u” kanonady ciężkiej artylerii.

„Spudłowali” – pomyślał ojciec Paweł, i na moment zrobiło mu się przykro, że z powodu idiotycznej pomyłki pilota przyjdzie mu zginąć całkiem na próżno. Woda wsiąknie w ziemię przed tym, nim szatańskie zastępy stoczą się ze wzgórza na równinę. Duchowny zapragnął nawet przerwać błogosławieństwo i, kto wie, może zakląć albo pociągnąć za linkę spadochronu, aby wiatr uniósł go jak najdalej od pola bitwy. Odegnawszy owe szatańskie myśli, ojciec Paweł westchnął i podjął modlitwę. „I błogosławiony na wieki wieków” – kończył już, gdy w górze coś trzasnęło, i beczułki znów skierowały się do góry i w bok, a obok, jak się zdawało, przemknęła ta sama plwocina. „Amen!” – wykrzyknął ojciec Paweł w ślad za beczułkami, i zdążył jeszcze pomyśleć „spadam”, i o tym, czy liczy się owe krzyknięte naprędce „amen” czy nie, i jeszcze zapragnął pożegnać się z matką (dziwne, jak wolno płynie czas w takim świszczącym locie), i w tym momencie nastąpiło wreszcie najstraszniejsze, i nadeszła ciemność.

Ojciec Paweł spał, i śniła mu się wiejska okolica. Ukośnie padające promienie wieczornego słońca przeświecały przez cerkiewną kopułę pieszczotliwie obmacując czarną ziemię. A kopuła przejęła od nich kolor, oblała się miedzią i złotem, i łomotał wielki dzwon. Liście na drzewach były całkiem świeże, co znaczyło, że maj na dworze. Wieśniacy ciągną na modlitwę. On, ojciec Paweł, stoi na progu cerkwi, obok niego niewysoki sługa, rozczochrany, rzuca bystrym spojrzeniem, od razu widać, że urwis jeszcze z niego. A w barwnym tłumie, pośród koszul i chust purpurowi się coś, złotem i iskrami sypiąc bieży po stawie i czubkach brzoź. Cóż tam się tak jawi purpurą? Ojciec Paweł ze wszech sił próbuje dojrzeć, mruży oczy

* Dalmatyka – szata liturgiczna diakona.

aż do łez, lecz to *coś* piękne i jasne umyka, pozostawiając tylko klucie pod powiekami i gulę w gardle. Guuu-u. Duu-u.

* * *

– Duu. Dyy. Ty. Żyjesz?

Ojciec Paweł z wysiłkiem rozchylił nabrzmiałe powieki. *Coś* szarpało go za ramiona, puszczało i znów szarpało. Przekręciwszy głowę ojciec Paweł zauważył, że wciąż jeszcze jest przywiązany do spadochronu. Wiaterek powiewał, i spadochron ciągnął duchownego po równej, suchej, cierniami i kamykami usianej ziemi. Obok powoli kroczyły czyjeś nogi w starych wojskowych butach. Ojciec Paweł spojrzął w górę i spotkał się spojrzeniem z właścicielem butów. Był to człowiek na oko czterdziestoletni, opalony, szczupły, w wypłowiałym i zakurzonym mundurze wojsk desantowych Związku. Na jego ramieniu kołysał się stary jak świat karabin automatyczny. Obwiedzione zmarszczkami jasne oczy uważnie wpatrywały się w ojca Pawła.

Duchowny odkaslnął i jak tylko się dało uprzejmie zapytał:

– Nie pomógłby mi pan się odpiąć?

Nie mówiąc ni słowa, człowiek przycisnął butem rozdętą żółtą czaszę. Ojciec Paweł ściągnął z brzucha zapasowy spadochron, potem odpiął główny spadochron i z ulgą zsunął szelki. Pozbywszy się ekwipunku, usiadł i dokładnie się obmacał. Wyglądało na to, że niczego sobie nie złamał, ba, nic go nawet nie bolało. Podczas gdy duchowny zajmował się oględzinami, jego wybawca wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i, osłaniając się dłonią przed wiatrem, zapalił. Zaciągnąwszy się kilka razy podał papierosa duchownemu.

– Dziękuję. Przepraszam, nie palę.

Wybawca mruknął:

– Na twoim miejscu jednak bym zapalił.

Przykucnął i skupił wzrok na twarzy duchownego. Bładobłękitne oczy błyszczały niczym otoczaki na dnie strumienia.

– A wiesz co, bracie, przecież to ja cię zestrzeliłem.

Ojciec Paweł speszył się. Wyglądało na to, że człowiekowi jest niezręcznie – przecież o mały włos nie zabił bliźniego swego, można nawet rzec – towarzysza broni. Trzeba jakoś podnieść go na duchu. Duchowny odkaslnął i powiedział:

– To wybaczalny błąd, mój synu...

Komandos uśmiechnął się. Zęby miał zadziwiająco białe i równe.

– To wcale nie był błąd... mój ojciec. Strzelałem całkiem świadomie. W ciebie, a nie w spadochron. Ale celownik karabinu się skrzywił. Będę musiał doprowadzić go do porządku.

Człowiek zrzucił z ramienia karabin, i przez chwilę duchownemu wydało się, że za chwilę wywali cały magazynek w ojca Pawła. Jednak komandos tylko coś podkreślił w broni,

poderwał karabin do ramienia i wystrzelił w sterczący spomiędzy dwóch kamieni krzew. Najwyższa gałąź krzewu trzasnęła i rozleciała się na kawałki.

– No, teraz jest w porządku – z zadowoleniem stwierdził komandos i zarzucił karabin z powrotem za plecy.

Odwrócił się do duchownego, uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę. W poprzek jego dłoni ciągnęła się biała szrama, a kostki palców owinięte były czarnymi paskami tkaniny.

– Gerard. Możesz nazywać mnie pułkownikiem Gerardem.

Ojciec Paweł, zawahawszy się przez chwilę, rękę uściśnął. Uścisk pułkownika był mocny – chyba nawet zbyt mocny.

– A ty wcale nie jesteś słabiak, chociaż długoriasowy* – zauważył pułkownik, zabierając rękę. – No co, wstawaj, świętobliwy ojcze. Witamy. Dalej przyjdzie iść pieszo.

* * *

Ogień lizał suche gałęzie. Zachłannie potrzaskiwał błękitny płomień, szukał i nie znajdował pożywienia. Ciemnie i krzaki płonęły szybko, tak że trzeba było ciągle dorzucać chrust do ogniska. Gdy pułkownik Gerard po raz kolejny wynurzył się z ciemności z naręczem gałęzi, ojciec Paweł zaproponował nieśmiało:

– Może spróbujemy dać sygnał? W osadzie mógł ocaleć nadajnik albo coś podobnego...

Pułkownik rzucił susz, usiadł po turecku przy ogniu i stęknął:

– Czego was tam uczyli w tym waszym obozie? Prawidłowo spadać na głowę nieprzyjaciela? Demony blokują sygnał na wszystkich częstotliwościach. W przeciwnym razie zbiegłoby się tu więcej dziennikarzy niż biesów.

Ojciec Paweł zachmurzył się:

– I ani razu nie próbował się pan skontaktować z naszymi?

– To znaczy z kim?

Oczy pułkownika błyszczały czerwienią, a twarz zlewała się z ciemnością.

– I po kiego czorta miałbym się z nimi kontaktować? Po pierwsze, od razu rozstrzelają mnie jako dezertera, a po drugie...

Pochylił się, dorzucił kilka gałązek do ognia i znów skrył się w mroku.

– Po drugie, czy ty, świętobliwy ojcze, nigdy nie zastanawiałeś się, o co w tym wszystkim naprawdę chodzi?

Duchowny spojrzał zaskoczony na wojskowego.

– O czym tu rozmyślać, synu mó... to jest pułkownik Gerardzie? To Armageddon, ostatnia bitwa, i bijemy się z diabelskimi hufcami. Mowa o tym w Piśmie Świętym...

Gerard uśmiechnął się niewesoło. Powiercił się, szukając cieplejszego miejsca. W plecy wiał ludziom lodowaty wiatr pustyni. Pułkownik umościł się wreszcie tak, że ciepło płynęło

* Riasa – rodzaj sutanny duchowieństwa prawosławnego.

w jego stronę, a dym zdmuchiwało przed twarzy, i dopiero wtedy odpowiedział:

– Wiesz co, święty ojczy? Kiedy czytałem wszystkie te święte księgi – a czytałem je bardzo uważnie, możesz mi wierzyć – to zawsze mi się zdawało, że ludzie wymyślili boga jako większe zło. Na świecie jest przecież tyle strasznych rzeczy, że jeśli trzeba by było bać się ich wszystkich, przyszłoby oszaleć. I dlatego wymyślono brodatego machera w niebieskich, żeby bać się tylko jego. Nigdy natomiast nie przychodziło mi do głowy, że mogłoby być odwrotnie.

Trzasnęła gałązka w ognisku, i ojciec Paweł obejrzał się z przestachem – wydało mu się, że w jego plecy bardzo uważnie i z brakiem przychylności wpatrują się czyjeś oczy. Jednak wokół było pusto, tylko wiatr pchał po ziemi kłębki łyszczca, i z rzadka przebiegały granicą światła i mroku zwinne solfugi. W tym czasie pułkownik pogrzebał patykiem w ognisku i podjął:

– Pamiętasz, co tam w Piśmie Świętym mówi się o pierwszej wojnie aniołów? Co ja, przecież jesteś popem, pamiętasz. A zatem, Bóg nie wygrał. Wojna w ogóle się jeszcze nie skończyła. Toczy się nadal. Moim zdaniem, było tak: kiedy Bóg wyrzucił wszystkich tych zbuntowanych aniołów z nieba, zdał sobie sprawę z tego, że tak naprawdę to nie ma kto walczyć po jego stronie. Widziałeś Michała? No, widziałeś z pewnością w wiadomościach, wielki taki chłop ze skrzydłami i głupim wyrazem na pysku? Otóż wszyscy są tam tacy. Wszyscy, którzy pozostali. A te, upadłe – o, one są wspaniałymi żołnierzami. Gdyby tylko wróciły do nieba, to skopałyby tyłki bożym wojownikom. Wypowiedzieliby Stworzycielowi wieczną wojnę, i nie wiadomo, czy dałby sobie z nimi wtedy radę. I to wtedy Bóg zrobił jedyną możliwą rzecz – zbudował barykadę. Obronny mur. Nazywaj to jak chcesz. Rzucił im w poprzek drogi tysiące światów. A światy zasiedlił ludźmi i innymi stworzeniami, tak że upadli chcąc nie chcąc musieli podjąć z nimi walkę. Nie wiem, co się działo na pierwszych światach, ale nasz jest z pewnością ostatni. Ostatni stopień do nieba, rozumiesz? Przyszło naciskać nas sto tysięcy lat czy dwieście tysięcy, ale w końcu staliśmy się tym większym złem, które ciśnięto pod kopyta mniejszemu. Dlatego że żaden anioł ani demon nie wpadłby na coś takiego, by rzucać na atakujących sześciomiesięczne niemowlęta albo głupich duchownych. Ponieważ, według wszelkiego prawdopodobieństwa, powinniśmy zwyciężyć.

Policzek wojskowego drgał. Ojciec Paweł spoglądał na niego ze zdziwieniem i lękiem. Podobne myśli mogły przyjść do głowy chyba tylko opętanemu.

– Z tego powodu strzelał pan do mnie?

Pułkownik – na jego policzkach płonęły dwie ciemne plamy, ni to z gorąca, ni to z emocji – gwałtownie potrząsnął głową:

– Chciałem cię zestrzelić, nim doczytasz modlitwę. Ta twoja woda staje się po niej nieznośnie gorzka.

Ojciec Paweł zamrugał z niezrozumieniem. Pułkownik zdjął z pasa manierkę i zakręcił nią w powietrzu. W manierce zachlupotało.

– Skąd, twoim zdaniem, biorę wodę? Tu wszystkie studnie zasypano ziemią lub trupami. Karabin znaleźć łatwiej niż łyk wody albo kęs chleba.

Duchowny zainteresował się ostrożnie:

– To czym się pan... żywi?

Pułkownik odchrząknął:

– Coś tam znajduję.

Spojrzenie, którym obrzucił przy tym duchownego, było takie oceniające, że ten się odsunął. Uśmiech pułkownika zrobił się szerszy.

– Nie bój się, nie zamierzam cię pożreć. Wczoraj natknąłem się na zestrzelonego pilota, miał przy sobie plecak pełen czekolady i gumy do żucia. Trzymaj, zjedz coś.

Rzucił ojcu Pawłowi czekoladkę. Podczas gdy duchowny szeleścił opakowaniem, Gerard dorzucił do ognia kilka gałązek i wyciągnął się na ziemi, nakładając kurtkę na głowę. Spod kurtki rozległo się głucho:

– Trzeba się przespać. Bliżej południa robi się tu zbyt gorąco, tak więc wstajemy przed świtem. Spróbujemy dojść do wioski. Jeśli się nie uda, zawrócimy na północ. Tam parę dni temu utknęła kolumna pancerna, z pewnością znajdzie się coś do zjedzenia.

Ojcu Pawłowi wydało się, że jego towarzysz już po minucie zachrapał. Sam długo nie mógł zasnąć i, objąwszy kolana, zmęczony patrzył w ogień.

* * *

W szarych ciemnościach przedświt do ich ogniska podszedł szakał. Przez półprzymknięte powieki ojciec Paweł obserwował, jak szakał w skupieniu obwąchuje plecak i buty śpiącego pułkownika, ostrożnie obchodzi karabin i przysiada na tylnych łapach przy wygasłym ognisku. Szakał pokręcił głową z boku na bok, wściekle podrapał się za uchem – widocznie dopiekły mu pchły – i, gdy w końcu ojciec Paweł otworzył oczy i sięgnął po pałkę, żeby przegnać nieproszonego gościa, okazało się, że na miejscu szakała siedzi człowiek. Całkiem niepozorny człowieczek o pociągłej, wąskiej twarzy i smutnych oczach, w obszernej, kiedyś jasnej, a teraz po prostu brudnej koszuli i płóciennych spodniach. Człowieczek poskrobał się po pięcie i ziewnął. Zęby miał cienkie i ostre.

„Demon” – z przerażeniem zrozumiał ojciec Paweł i, wymacawszy w kieszeni różaniec, przygotował się do wypowiedzenia modlitwy.

Dopiero wtedy demon zwrócił na niego uwagę. Smutne oczy prześlizgnęły się po twarzy duchownego, zatrzymały się na różańcu i znów wpatrzyły się w pustkę.

– Proszę wybaczyć, jeżeli panu przeszkodziłem.

Głos demona był cichy i zadziwiająco delikatny.

– Poczekaj z modlitwą, świątobliwy ojcze...

Duchowny odwrócił się i zobaczył, jak Gerard odrzuca kurtkę, przekręca się i w końcu

siada. Ręka pułkownika spoczywała na kolbie karabinu, jednak ten nie spieszył się z oddaniem strzału.

– O świcie mamy zawieszenie broni. Neutralna godzina.

– Zawieszenie broni... z nimi? – zbulgotał duchowny.

Ze wzburzenia zadławiło go w gardle.

– Czasami robi się tu diabelsko samotnie. Cieszy jakiegokolwiek towarzystwo. Nie co dzień zwalają mi się z nieba księżulki.

Trudno uwierzyć, ale Gerard uśmiechał się. Ojcu Pawłowi nie pozostało nic innego, jak na jakiś czas pogodzić się z obecnością demona. Poza tym pułkownik już ułożył przygotowane wieczorem gałęzie i pstryknął zapalniczką. Cienkie patyczki zajęły się od razu. Błady w porannym świetle płomyczek o mało nie zadławił się dymem, ale wykasłał się i żwawo pobiegł po drewnie. Pułkownik zarzucił rozdmuchiwanie ogniska i odwrócił się do gościa.

– No, co tam masz?

– Niewiele.

Demon westchnął.

– Coraz mniej pozostaje czystej ziemi.

Pogrzebał w kieszeni spodni i wyciągnął nie pierwszej świeżości, zwiniętą w kulkę chusteczkę. Gdy demon rozwiązał węzełek, okazało się, że w chusteczce była szczypta herbaty.

– Wspaniale – ucieszył się pułkownik. – Sto lat herbaty nie piłem.

– Hej, wielebny – obejrzał się na duchownego – napijesz się herbaty?

Ojciec Paweł chciał odmówić – tylko jeszcze diabelskiej herbaty mu brakowało – ale pomyślał, że może to wyglądać na brak szacunku dla pułkownika. W końcu ten proponował ze szczerego serca. A herbatę można wylać cichaczem. Dlatego ojciec Paweł kiwnął głową i sięgnął do pułkownikowskiego plecaka po kociołek i kubki.

Gdy ponownie odwrócił się do ogniska, demon wpatrywał się w niego.

– Dobry duchowny. Szybko się oswaja.

Ojca Pawła wciąż kusiło, aby przeżegnać nieczystego, ale czy miało to sens? W obozie mówili, że zwykły krzyż, nawet biskupi, biesów ani ziębi, ani grzeje.

– Możesz zwać mnie Natanielem.

Demon wyciągnął łapę nad ogniskiem. Na palcach błyszczały niedługie, ale ostre na oko szpony. Ojciec Paweł zastygł. Pułkownik zabrał mu kociołek, naplnił wodą i zawiesił na gałęzi nad ogniskiem. Dopiero po tym Gerard rzucił do demona:

– Nie drażnij go. Jest jeszcze całkiem świeżutki, wczoraj z obozu. Nie uczyli ich tam bratania się z potencjalnym przeciwnikiem.

– Przepraszam – uśmiechnął się demon. – Nie chciałem pana urazić.

Ojciec Paweł poczuł, że zaraz zrobi coś strasznego, na przykład rzuci się na demona i

przewróci go mordą w ognisko albo zastrzeli z karabinu. Na szczęście zachciało mu się siusiu, i to na tyle mocno, że nie tracąc czasu na zbędne słowa, czmychnął między wątle krzewy.

Gdy wrócił, woda zaczynała się już gotować. Pułkownik szcudrze sypnął herbaty i napelnił kubki. Ojciec Paweł przyjął swój, oparzył rękę, powstrzymał przekleństwo i postawił kubek na ziemi. Pułkownik i demon spokojnie popijali wrzątek.

– Co nowego? Jak tam u was z budową?

Demon wzruszył ramionami:

– Budujemy po trochu. Już dawno byśmy zakończyli i poszli sobie, gdyby nie te wasze... przeciwdziałania. To pan, Gerardzie, wojskowy, obserwu...

Gerard niezgrabnie poruszył ręką, i połowa wrzątku z jego kubka wychlusnęła prosto na kolana demona. Demon zamilkł w pół słowa i ze smutkiem spojrział na rozszerzającą się na spodniach ciemną plamę. Pułkownik zakrzętnął się, proponując demonowi a to chusteczkę, a to przyłożenie do oparzonego miejsca noża. Ojcu Pawłowi pozostało tylko zgadywanie, co zamierzał powiedzieć nieczysty i dlatego Gerard postarał się, żeby nie zostało to powiedziane. Gdy zamieszanie z wrzątkiem minęło, bies nalał sobie jeszcze herbaty i kontynuował:

– Właściwie to i pana, ojciec Pawle, zamierzałem zapytać. Jako duchownego...

Ojciec Paweł nie pamiętał, żeby przedstawiał się demonowi. Zresztą, czy powinno go to dziwić?

– Chciałem zapytać, po co, pana zdaniem, ludzie zaczęli tę wojnę?

Duchowny, który akurat w zamyśleniu popijał ze swego kubka, zakrzętnął się i zaniósł kaszlem. Gerard usłużnie rąbnął go w plecy i od razu zabrał rękę. Potrzęsając w powietrzu odbitą dłońią i wymamrotał:

– Do diabła, przewielebny, ależ masz plecy.

Ojciec Paweł prychnął niczym kot i skierował spojrzenie na demona. Duchownemu zdawało się, że sprawiedliwy gniew kipiący w jego spojrzeniu powinien, jeśli nawet nie spopielić nieczystego na miejscu, to przynajmniej go speszyć. Ten jednak nic sobie z tego nie robił i spokojnie popijał herbatę.

– My?!

Głos u ojca Pawła był ochrypły, ale – dzięki orędowniczce Katarzynie – przynajmniej nie drżał.

– My zaczęliśmy tę wojnę?

– Oczywiście, że my.

O dziwo, odpowiedział nie demon, a pułkownik.

– Oni spokojnie maszerowali na niebiosa, być może spalili dwie, trzy wioski albo, powiedzmy, cztery-pięć miast, ale to skutek uboczny...

Wydawało mu się, czy też w głosie pułkownika zabrzmiała ironia? Ojciec Paweł spojrział

na wojskowego akurat wtedy, by zauważyć, jak Gerard dziarsko mruga do niego.

Demon przeciwnie, zachmurzył się.

– Żartuje pan?

W cichym i równym tonie dała się słyszeć groźba.

– A przecież ma pan rację, pułkowniku. Sądzi pan, że się ze mnie wyśmiewa, ale mówię pan prawdę. Po prostu chcemy trafić do domu. Jesteśmy dziećmi marnotrawnymi. On...

W tym momencie demon spojrział w górę, tam, gdzie daleko w bladym niebie rodziły się pyłowe trąby powietrzne.

– On nigdy nie traktował was jak dzieci, nigdy. Jesteście narzędziem, różgą. Możecie sprawić ból. Ale różgi wysieką i złamię, a dzieci pogodzą się z ojcem. Już przegraliście...

Ojca Pawła ogarnęło dziwne rozdwojenie. Z jednej strony, czuł, że siedzi przy ognisku w rzadziejących ciemnościach, w ręce trzyma kubek z herbatą, naprzeciw niego – demon i pułkownik. Z drugiej – jakby stał z boku. Głos demona dobiegał z daleka, i z każdym słowem rozmówca wydawał się temu pierwszemu ojcu Pawłowi coraz piękniejszy i doskonalszy. Jednocześnie drugi ojciec Paweł wyraźnie widział, jak rozwijają się blade węzowe sploty, jak pobłyskuje łuska. Widział, że każde słowo demona opada z pluskiem na piasek i obraca się w czerwie i że te czerwie szybko i w skupieniu pełzną w stronę Gerarda. Już pierwszy dotarł do buta, wspiał się po bieżnikowanej podeszwie i przyssał się do gołej skóry nogi między nogawką a cholewą. Za nim ruszył drugi, trzeci – i oto już Gerard zwałił się na piasek i zaczął się rzucać w drgawkach, i z jego ust buchnęła krew, a czerwie wciąż pełzły i pełzły. Drugi ojciec Paweł rozumiał, że trzeba rzucić się i ogłuszyć demona, odciągnąć Gerarda od ogniska, dokąd ten nieubłaganie się staczał, ale drugiemu ojcu Pawłowi przeszkadzał pierwszy – siedział nieruchomym cielskiem i wpatrywał się w demona, jakby ten wygłaszał nie wiadomo jak wspaniałe prawdy.

Kto wie, co by się wydarzyło, gdyby w tym momencie piasek po bokach nie poruszył się, nie rozstał i gdyby nie wyskoczyły stamtąd niziutkie postaci.

Z okrzykiem „bij gada” podbiegły do ogniska i zaczęły gnieść nogami wciąż jeszcze pełną czerwie. Głosy ich brzmiały jakoś dziwnie, i minęło kilka sekund, nim ojciec Paweł zorientował się, że były to dziecięce głosy. Tymczasem demon zasyczał i zaczął odpełzać. Już niemal całkiem znikł pomiędzy szarymi piaszczystymi wzgórkami, gdy mała noga w sandałkach nadepnęła na niego i rozgniotła; pękł niczym dojrzały owoc morwy. Dopiero wtedy ojciec Paweł ze zdziwieniem zrozumiał, że demon także był czerwem. Ktoś potracił kociołek, i ten przewrócił się, zalewając płomień. Gorące węgle zasyczały. Pojawił się czarny dym. Świat na chwilę rozplątał się przed oczyma duchownego, a potem obie wersje ojca Pawła znów stały się jednością, i wielebny w końcu poderwał się i rzucił do Gerarda.

Tego już okrążyło pięcioro albo sześcioro dzieci w różnorodnych, ale dobrze dopasowanych ubraniach maskujących. Jeden chłopiec, szczupłutki, czarnowłosy, klęczał i podtrzymywał głowę pułkownika, aby ten nie zachłysnął się krwią. Dwóch innych zwałilo się

na jego ręce i nogi, przyciskając rzucające się konwulsyjnie ciało do ziemi. Starszy, jasnowłosy chłopak z ostrymi kośćmi policzkowymi i podbródkiem, zdejmował z paska owiniętą materiałem manierkę. Dzieci działały na tyle szybko i sprawnie, że było oczywiste, iż to dla nich nie pierwszozna.

– Niech się pan odsunie.

Głos zabrzmiał z dołu. Ojciec Paweł zauważył, że wyrostek z manierką stoi obok niego. Spalony na słońcu czubek głowy zwieńczony był króciutkim językiem i ledwo sięgał ojcu Pawłowi do piersi.

– Niech pan odejdzie, chyba widzi pan, że przeszkadza.

W głosie chłopca brzmiało spokojne znużenie i przyzwyczajenie do rozkazywania. Ojciec Paweł podporządkował się temu głosowi i cofnął się. Wmieszał się dopiero wtedy, gdy wyrostek odkręcił korek manierki i przysunął szyjkę do szczękających zębów Gerarda.

– Co to?

– Oczywiście trucizna.

Chłopcy za plecami duchownego zachichotali.

– Pan co, idiota? Nie wie pan, jak wygania się demony? To woda święcona. Nie to paskudztwo, które zrzucacie, lecz prawdziwa. Błogosławił ją ojciec Gerasim.

Nim duchowny zdążył spytać, co to za jeden ten Gerasim, chłopiec rozwarł Gerardowi zęby i wetknął mu do gardła szyjkę manierki. Rozległo się bulgotanie. Pułkownik zamarł na sekundę, a potem zakasłał i zgiął się w pół. Skręciło go z taką siłą, że wczepieni w jego ręce i nogi chłopcy odlecieli na boki. Jakiś czas pułkownik klęczał, kaszłąc i drżąc, a potem zaczął wymiotować. Ojciec Paweł z przerażeniem patrzył, jak razem z krwią i wymiocinami wychodzą różowe czerwie ogony. Było ich dużo. Bardzo dużo. Zbyt dużo dla jednego człowieka.

– Trzydzieści tysięcy demonów z łatwością zmieści się na czubku igły, czyż nie, świętobliwy ojcze? A on jest o wiele większy od czubka igły czy nawet jej ucha.

Przywódca dzieci uśmiechnął się, i ojciec Paweł spostrzegł, że brakuje mu dwóch zębów, a dolna warga została niedawno rozbita, i zakrzepła na niej krew. Nieoczekiwanie duchowny zrozumiał, że zupełnie nie jest w stanie ocenić, ile chłopiec ma lat. Dziesięć? Czternaście? To było dziwne. Czy on nigdy dzieci nie widział? Odegnawszy głupią myśl, duchowny odkaslnął i powiedział:

– Dziękuję. Uratowaliście mojego przyjaciela...

– To pana przyjaciel? No, no. Może zaniemiemy go do nas i popatrzymy, jaki z niego przyjaciel.

Chłopiec dał znak swoim, i czterech silniejszych chłopaków, natężywszy się, zarzuciło pułkownika na ramiona. Głowa Gerarda zwisała bezsilnie, z kącika ust ściekał ciemny strumyczek.

– Wyzdrowieje?

– Pana przyjaciel? A co się z nim może stać? Szkoda tylko, że zmarnowaliśmy dobrą wodę. Skończył się nam prawie zapas.

Chłopak odwiesił manierkę na pas, przyłożył rękę do czoła i rozejrzał się po pustyni. Odwróciwszy się do duchownego wyjaśnił:

– Trzeba stąd spadać, bo gdy przypełza jeden, ciągną za nim dwie dziesiątki. Więcej niż z dwoma-trzema nie damy sobie rady. No i jest to obrzydliwe.

Dreszcz wstrząsnął ramionami chłopca, gdy ruszał na czoło kolumny. Ojciec Paweł westchnął, podniósł karabin pułkownika, jego plecak i kurtkę, po czym ruszył za dziećmi.

* * *

Ciężko zasypiał ojciec Paweł. W starym bunkrze było duszno. Duchownego umieszczono na górnej pryczy, gdzie raptem kilka centymetrów od twarzy ciągnęły się czarne przewody niesprawnych instalacji. Po prawej stronie rdzewiał ogromny garb wentylatora, z niższych prycz dobiegało poświstywanie – tam spali zmęczeni tragarze.

Bunkier był pozostałością po jakiejś dawnej wojnie. Na wzgórzu ponad zniszczoną osadą wciąż jeszcze szczyrzyły się roztrzaskanym betonem umocnienia i stare gniazda karabinów maszynowych. Za betonowym pudłem celowały w niebo psie pyski działek przeciwlotniczych, lecz od dawna już nie było ani pocisków, ani obsługujących je żołnierzy. Podziemna część bunkra, o dziwo, zachowała się w dobrym stanie. Wisiały nawet jakieś tablice na ścianach: pożółkłe od upływu czasu, z napisami w nieznanym języku. Instrukcje dla młodego wojownika, uśmiechnął się jasnowłosy przywódca. Wprowadził duchownego do bunkra obok dwóch ponurych wyrostków z automatami – gdyby zsumować ich wiek, być może zebrałoby się tyle lat, ile miał teraz ojciec Paweł. Pułkownika umieszczono na skórzanej kanapie w centralnej komorze. Gerard wciąż jeszcze nie doszedł do siebie i tylko słabo postękiwał. Poza kanapą w pomieszczeniu stał stół, a na stole pobłyskiwał czarnym lakierem słuchawki martwy telefon. Niski sufit zarósł pleśnią. Wentylacja nie działała.

W bunkrze mieszkał raptem tuzin dzieci. Jedenastu chłopców, jedna dziewczynka. Dziewczynka, gruba, nieładna, nie tylko gotowała, prała i szyła, ale też chodziła na równi z pozostałymi na wyprawy łowieckie po okolicy. Nazywała się Wendy.

„Gdzie jest twój Piotruś?” – zażartował duchowny, i z przepelnionego zdziwieniem spojrzenia odczytał, że nie został zrozumiany. Te dzieci nie czytały bajek. Wątpliwe zresztą, by w ogóle potrafiły czytać.

Piotruś miał na imię Jonathan. Joni Castello, jasnowłosy przywódca, jedyne, który nie odwracał się od duchownego i nie odburkiwał niewyraźnie w odpowiedzi na jego rozpytywania. Gdy wszyscy rozsiedli się za stołem – na obiad były podplomyki i kasza, nieznośnie cuchnąca olejem maszynowym, a w pustej obudowie telefonu znalazła się sól i puszka z musztardą – chłopiec nawet się rozgadał.

– Ja pierwszy tu trafiłem. Potem Andrzej – tu wskazał łyżką ciemnowłosego chłopca, który podtrzymywał głowę pułkownika. – Łukasz, Pablo, Marik, Jaszka, Semen...

Wymieniał imiona. Chłopcy krótko kiwali głowami i wracali do swojej rozmowy.

– Skąd w ogóle przyszliście? Z osady?

Chłopcy umilkli i wszyscy, jak jeden mąż, utkwili w nim spojrzenia. Duchowny poczuł się niezręcznie.

– Z osady.

Pierwsza parsknęła Wendy, po niej śniady Andrzej, i po chwili chichotał już cały tuzin. Bryzgi kaszy leciały na wszystkie strony, metalowe kubki i talerze pobrzękiwały. Nawet Gerard poruszył się na tapczanie, choć nie przyszedł do siebie.

– Z osady. Oj, nie mogę.

Ktoś, chyba Łukasz, złapał się za brzuch i zjechał pod stół. Joni przetarł załzawione ze śmiechu oczy i niespodziewanie spowaźniał. Stuknął dłonią o blat stołu, i wesołość zaczęła przycichać – choć to tu, to tam wciąż wybuchała spazmatycznymi pochlipowaniami.

– I czego rżycie? Nie wie człowiek.

Odwrócił się do ojca Pawła, zagryzł wargę.

– Z osady nikt nie ocalał. W całym okręgu sami martwi. A my... Słyszałeś o dzieciakach, które zrzucano z samolotów na demony? W sensie, każda kropla krwi niewinnej zabije jednego wroga i podobne brednie. No więc jesteśmy z tych właśnie, ze zrzuconych.

Ojcu Pawłowi zrobiło się duszno. Szarpnął kołnierzyk, i to tak silnie, że mocny materiał zatrzeszczał. W oczach tańczyły kolorowe kręgi. Zmętniętym wzrokiem duchowny ujrzał, jak Joni pochyła się nad stołem i z niepokojem spogląda mu w twarz.

– A pan co? Niech pan tak się nie przejmuj, przecież przeżyliśmy. Obok demonów czasami bywają te... anomalie grawitacyjne. Spadasz, a potem powietrze robi się gęste niczym piasek, do ziemi trzeba się przedzierać. Wielu w ten sposób udaje się przeżyć.

Chłopiec uśmiechnął się na to wspomnienie.

– Z początku trudno było, rzecz jasna, gdyż było nas raptem troje. A teraz jest już normalnie. Dopóki ojciec Gerasim z nami mieszkał, w ogóle było fajnie.

Duchowny wstrzymał oddech. Nie rozumiał, co się z nim dzieje. I pułkownik, i Joni opowiadali o zabitych dzieciach jak o czymś powszechnie znanym, i ojcu Pawłowi wydało się teraz, że rzeczywiście gdzieś słyszał – lub widział – coś podobnego. Jednak nie mogło to być prawdą. W przeciwnym razie prawdą stawało się i wiele innych rzeczy, o których duchowny nie chciał teraz myśleć. Zbyt był zmęczony. Otarłszy pot z czoła wymamrotał:

– Co ja chciałem... Ach tak. Ojciec Gerasim. Jak się zdaje, to on tak wspaniale błogosławi wodę?

– Błogosławił. Umarł miesiąc temu.

Znowu śmierć, pomyślał ojciec Paweł, kiedy to się skończy? Masz nadzieję spotkać żywych, a natykasz się na martwych.

– Zabraliśmy go, całkiem jak pana – kontynuował tymczasem płowowłosy Joni. – Nie otworzył mu się spadochron i złamał nogę. Przeleżał kilka dni na pustyni. Przynieśliśmy go tutaj, leczyliśmy, jak umieliśmy, ale wdała się gangrena. Andrzej mówił, że trzeba mu uciąć nogę, ale ojciec Gerasim nie chciał bez nogi. A w ogóle to był pierwsza klasa. Prawdziwy ksiądz, nie to co niektórzy.

I znów ojciec Paweł poczuł się niezręcznie. A Joni kontynuował:

– On czytać mnie nauczył, po zwykłemu i po łacinie. I o wielu rzeczach opowiedział, z Biblii i z innych książek. My przecież w ogóle nie rozumieliśmy, co się dzieje. Widzieliśmy czerwie. Dorośli od nich umierają, a myje rozgniatamy, ale jeśli jest ich dużo, to też możemy umrzeć. To zwykłe biesy, w rodzaju szeregowych. A w twierdzy...

– Poczekaj – w mózgu ojca Pawła coś zaświtało. – To wy walczycie z demonami?

Dzieci spojrzały po sobie. Płowowłosy powoli pokręcił głową.

– Po co mielibyśmy z nimi walczyć?

– Jak to – po co?

Joni zapuścił palce w strzyżone na jeża włosy.

– A tak. Po co? Ojciec Gerasim także mówił: walczcie z nimi i zwyciężajcie, jesteście bożymi wojownikami, Bóg dał wam siłę. I początkowo tak myśleliśmy. Walczyliśmy z nimi jak idioci. A potem do mnie dotarło. O co walczymy? O dorosłych, którzy nas tu zrzucili? A wie pan, że my wszyscy tutaj nie jesteśmy z domów dziecka? Nasze mamy i tatusiowie starannie podpisali pokwitowania i otrzymali z ministerstwa... jak się to nazywa? Rekompensatę pieniężną. Za utratę ukochanych dzieciątek. W imieniu całej ludzkości. Co, nie wiedział pan?

Ojcu Pawłowi zaczęło łupać w skroniach, a w ustach pojawił się nieprzyjemny, kwaskowaty posmak.

– I jak, wciąż pan uważa, że powinniśmy z kimś tam walczyć?

Duchowny przełknął kwaśną ślinę i próbował znaleźć odpowiedź.

– Dobrze. Póki jesteście dziećmi, demony wam niestraszne. A co potem? Przecież dorośniecie?

Joni uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Nim dorośniemy, demony już odejdą. Przedtem zachwieją rządami wszystkich państw do tego stopnia, że będzie je można obalić jednym pchnięciem. To tylko tu jest nas dwanaścioro. A w sąsiednim bunkrze – kolejnych dwadzieścioro. A w całym rejonie ponad tysiąc. A na całej Ziemi... Chce pan policzyć?

Chłopiec spoglądał na księdza bez mrugnięcia, i niespodziewanie ojcu Pawłowi wydało się, że widzi w ciemnych, całkiem nie dziecięcych oczach coś podobnego do... do czegoś już widzianego tam, przy ognisku. Czy naprawdę demony są bezsilne wobec dziecięcych sandałów? A co jeśli ten chłopiec... Duchowny potrząsnął głową. Nie powinno tak się myśleć. To po prostu dziecko, obrażone na cały świat dziecko. Będzie jeszcze miało czas na

opamiętanie.

– Dziękuję za obiad.

Duchowny powstał, oparł się o stół.

– Czy nie moglibyście pokazać, gdzie pochowany jest ojciec Gerasim? Chciałbym pomodlić się na jego mogile.

Dzieci dziwnie wymieniły się spojrzeniami. Duchowny sądził, że odpowie Joni, ale przemówiła dziewczynka:

– Mamy tu bardzo mało jedzenia. On jest już martwy, jemu jest już wszystko jedno, rozumie pan?

Świat księdza znów się zachwiało, ale siłą woli zdołał wrócić go na miejsce. Mało jedzenia. Dlaczego mięso miałooby się zmarnować? Prawdłowo. Prosta logika przeżycia.

– Dobrze – rzekł z wysiłkiem. – Pokażcie, gdzie pochowaliście kości.

– A kości są źródłem wapnia – prychnął malec (Łukasz? Tomasz?) z dalszego końca stołu. – Sam pan mówił – musimy rosnać.

Jakaś minutę duchowny patrzył na zwrócone w jego stronę dziecięce twarze – czyżby naprawdę się z niego nabijały, czy tylko tak mu się wydało? – a potem odwrócił się i ruszył przed siebie.

* * *

Ojciec Paweł miał problemy z zaśnięciem, ale w końcu zasnął, i przyśnił mu się sen.

Stał na wzgórzu. Niewysokim wzgórzu górującym nad niegdyś płodną, a teraz wypaloną i pustą równiną. Na wzgórzu nie był sam. Obok stał pułkownik Gerard. Kołnierzyk jego koszuli był wymazany czymś ciemnym, ale zęby prześmiewczo błyszcząły. Z drugiej strony Joni i jedenaścioro jego apostołów (dwanaścioro, jeśli liczyć martwego ojca Gerasima, gdyż i on tam był) wpatrywało się w nadchodzące ciemności. Wiatr, dmący z równiny, rozwiewał ich włosy. Wiatr unosił gałązki, liście i drobne plewy, wszystko to kurczyło się i spalało w strumieniach nieznośnego gorąca, ale grupka stojących na wzgórzu ludzi jak na razie się trzymała.

– Wytrwamy? – przekrzyczał ryk wiatru Gerard.

– Oczywiście, że wytrwamy – spokojnie odpowiedział ojciec Gerasim, i wszystko było dobrze, tylko twarz nieboszczyka wyglądała, jakby była ponadgryzana mysimi zębami.

Z równiny nadciągał ciemny obłok, i *zwidrywały się* w rym obłoku dziwne kształty. Skrzydła? Pazury? Kły? Nie, w obłoku nie znalazło się nic, co zdolna byłaby stworzyć ludzka wyobraźnia; wszystko było nazbyt obce i niepojęte.

– Będziemy walczyć – powiedział Joni, i na bladej twarzy wystąpiły kości policzkowe i maleńkie, mocno zaciśnięte usta. – Będziemy walczyć, nie wiemy tylko, jak. Jesteśmy przecież jeszcze dziećmi.

Ojciec Paweł położył mu rękę na głowie, spodziewając się poczuć pod palcami włosy ostrzyżone na jeża – ale zamiast tego jego ręka zanurzyła się w rozwichrzoną czuprynę. Spojrzał w dół i zobaczył, że to nie Joni stoi obok niego, lecz piegowaty ministrant i że nie ma żadnego wzgórza, jest za to zachód słońca, i wspaniałość, i delikatny, melodyjny dźwięk dzwonów, i parafianie śpieszący na mszę. Wcale nie gorący, świeży wiaterek szarpie liśćmi brzoź; listki zwracają się do wiatru najdelikatniejszą, najbardziej lśniąca stroną i wesoło się błyszczą. I wznosi się ów blask nad tłumem, i robi się coraz jaśniejszy, coraz bardziej przenikliwy, i nijak nie daje się go powstrzymać i zrozumieć, czymże on jest, ten blask...

* * *

– Proszę wstać! No, obudź się pan!

Ojciec Paweł usiadł i boleśnie uderzył głową w sufit. Świecek stanęły mu w oczach.

– Co? O co chodzi?

Ktoś szarpał go za rękaw, skupiwszy wzrok duchowny zorientował się, że to chudzielec Andrzej. Wokół było ciemno, świeciła tylko trzymana w ręku chłopca latarka. Wąski snop światła tańczył po ścianach, w końcu dotarł do oczu księdza i oślepił go.

– Niech pan wstanie. Pana przyjacieli się obudził. Joni chce, żeby pan popatrzył.

– Popatrzył? Na co?

– Po prostu niech pan idzie ze mną.

Postępując, duchowny zwłóknął się z pryczy i ruszył za biegnącym z przodu przewodnikiem. Nogi ojca Pawła zdrętwiały, w głowie dudniło z niewyspania, i kilka razy o mały włos nie wpadł na ścianę. Z ciemności szczyrzyły się jakieś kratki, maski przeciwwgazowe mrugały rozbitymi okularami, stercząca armatura próbowała zaczepić pod żebro. Powiało świeżym powietrzem, i, posapując, duchowny pokonał ostatnie stopnie prowadzące do wyjścia z bunkra. Andrzej znów pochwycił ojca Pawła za rękaw i, przyłożywszy palec do ust, wyszeptał: „Psst”.

Za zrujnowaną wsią odrobinę zszarzała nierówna linia horyzontu – znaczyło to, że świt już blisko. Pod wpływem zimna ręce duchownego pokryły się gęsią skórą, a zęby odruchowo zaczęły szczełkać. Andrzej pociągnął starszego mężczyznę w stronę bielejącego kilka kroków od wejścia stosu worków z piaskiem. Przedreptałszy tam i opadłszy na ziemię, duchowny zauważył, że za workami chowają się już Joni, Wendy i ci dwaj, którzy z automatami ochraniali bunkier. Broń i teraz mieli przy sobie. Joni odwrócił się do księdza. W ciemnościach jego twarz była jeszcze bledsza niż w ciągu dnia. W milczeniu wskazał palcem na coś, co leżało skulone na ziemi jakieś dziesięć metrów od ich kryjówki. Ojciec Paweł przyjrzał się i zrozumiał, że to człowiek. Dorosły. Pułkownik Gerard.

Pułkownik klęczał i wyglądało na to, że rysował coś na piasku.

– Co on robi? – wyszeptał duchowny.

– Mnie też to ciekawi – wycodził przez zęby chłopiec i dał znak żołnierzom. Ci bezszelestnie zaczęli okrążyć worki i ruszyli naprzód, kryjąc się za niskim obelkowaniem okopów. Dziewczynka ruszyła za nimi.

Joni podniósł się. Po chwili dołączyli doń Andrzej i duchowny, i całą trójką podeszli do pułkownika. Ten tak był zaabsorbowany swoim dziełem, że nie od razu usłyszał ich kroki, a gdy usłyszał, pospiesznie zaczął zacierać to, co napisał. Andrzej złapał go za rękę, tylko po to jednak, by odlecieć na bok i uderzyć głową w kamienne przedpiersie.

– Czarny piasek – powiedział przeciągle Joni. – Nieźle. Demoniczne sztuczki? Komu i co pan przekazywał?

Pułkownik kilka sekund wpatrywał się w Joniego i duchownego, jakby coś sobie kalkulował. A potem wyciągnął z kieszeni niewielki płaski pistolet. Ojciec Paweł zrobił krok do przodu, zasłaniając sobą chłopca. Zrobił to odruchowo, nie zaprzatając sobie nawet głowy pytaniem – dlaczego? Joni zachichotał za plecami duchownego. Pułkownik zaklął – i w tym momencie u jego nóg pojawiła się Wendy i dotknęła paralizatorem tam, gdzie małym dziewczynkom dotykać w ogóle nie wypadało. Gerard zaryczał i runął na kolana, przycisnąwszy dłonie do krocza. Z tyłu nadbiegli żołnierze, i jeden z nich, wzięwszy szeroki zamach, zdzielił wojskowego kolbą w głowę. Ten upadł, drgnął parę razy i zmarł.

Joni odepchnął księdza, podszedł do leżącego i przyłożył palce do jego szyi.

– Żyje. Zabierzcie go do środka. A ty, Andy – zwrócił się do ciemnowłosego, pocierającego rozbitą głowę i z trudem powstrzymującego się od płaczu chłopca – następnym razem, gdy nie znajdziesz broni przy przeszukaniu, od razu możesz ruszyć do Megido.

* * *

Ojciec Paweł nie chciał uczestniczyć w przesłuchaniu. Mdlilo go już – i od tych dzieci, i od pułkownika, i od zatechłego powietrza bunkra. Ale mimo to został. Po pierwsze, by przeszkodzić dzieciom we wzięciu na sumienie grzechu i dobiciu Gerarda. Po drugie, by przeszkodzić Gerardowi w uwolnieniu się i zabiciu któregoś z dzieci. Po trzecie, czuł się na tyle zmęczony, że sama myśl o konieczności ponownego wdrapania się na pryczę wydała mu się odrażająca.

Skrepowanego pułkownika przywiązano do krzesła taśmą izolacyjną, uprzednio dokładnie przeszukawszy. Zdarto z niego kurtkę i podkoszulek, i w żółtym świetle wyraźnie widać było rozplywające się pod żebrami siniaki. Dzieci znają się na swojej robocie, pomyślał ponuro duchowny. Jakie tam demony? Za kilka lat demony zdadzą się słodkim wspomnieniem, gdy te dzieciaki powyłażą ze swoich nor. Myśl pachniała herezją, ale ojcu Pawłowi było już wszystko jedno. Z trudem przestawiając nogi, wziął ze stołu kubek z wodą i podszedł do pułkownika. Gdy duchowny się zbliżył, Gerard uniósł głowę i skupił nań swoje spojrzenie.

– Proszę – powiedział ojciec Paweł, podnosząc do ust pobitego kubek i czując się jak skończony idiota. – Z pewnością chce się panu pić.

Krwawiące wargi drgnęły. Pułkownik nabrał do ust wody, przepłukał je i przeciągle splunął czerwienią na podłogę. Potem znów podniósł wzrok na ojca Pawła i wysyczał:

– Wyciągnij mnie stąd.

– Co?

Duchownemu wydało się, że się przesłyszał.

– Wyciągnij mnie stąd.

Ojciec Paweł pokręcił głową.

– Jak? Czy pan zwariował? Wyjścia pilnują chłopcy. Nawet jeśli wydostaniemy się z bunkra, całe zbocze jest pod ostrzałem.

– Wyciągnij mnie stąd – trzeci raz powtórzył pułkownik, dziwnie kładąc nacisk na „g” i „s”.

I znów świat ojca Pawła rozpadł się na dwoje. Jedna jego część ze zdziwieniem obserwowała, jak druga z łatwością rozrywa grubą warstwę taśmy izolacyjnej (jak to możliwe), odrywa pułkownika od krzesła (dopiero co ledwo na nogach stałem) i ciągnie do drzwi. Od drzwi rozległ się krzyk. Pułkownik także krzyknął, i krzyk jego niczym grom rozległ się w głowie ojca Pawła. Wydawało mu się, że tuż nad jego uchem przeszła seria z karabinu maszynowego, i coś miękko pchnęło ojca Pawła w pierś, i jeszcze, i jeszcze raz, i cienki dziewczęcy głos zapiszczał: „Co wy, nie widzicie, że to droid? Wyłączcie go! No wciśnijcie wyłącz...”. W skroniach cicho szczerknęło, i świat ojca Pawła zgasł.

* * *

Tym razem wokół rosły wiązy. Ich ciemne listowie sprowadzało sen. Nieopodal szemrała woda. Słoneczne plamy przebijały się przez zielen i tańczyły na zamkniętych powiekach ojca Pawła. Duchowny otworzył oczy. Ścieżką ciągnęła procesja z obrazem Matki Boskiej. Ojciec Paweł wiedział bez cienia wątpliwości, że procesja kieruje się do przerębla, gdyż było to święto Trzech Króli – a cóż to za święto Trzech Króli bez zanurzenia w wodzie? To, że na rzece w ogóle nie było lodu, wcale nie wydało mu się dziwne, przecież we śnie nie takie rzeczy się zdarzają. Duchowny nie mógł tylko zrozumieć, co za dziwne światło mruga nad tłumem, i błyska, i spływa, i wyrasta w ogromny, padający z nieba promień. Promień sięgnął błękitu, i niebiosa rozstały się, i ojciec Paweł o mało nie krzyknął z radości – a więc to tak, to stamtąd to niebieskie światło – oto czarujący gród Jerozolima płynie nad tłumem. Łzy zachwytu napłynęły duchownemu do oczu – i w tej samej chwili zorientował się, że to żadne niebo, lecz osłona napędu dysku, a świecący promień – to promień lasera, zapisującego informację na dysk.

* * *

Nieopodal zburzonej osady w ziemię wrył się samolot. Wrył się, lecz z jakiegoś powodu nie eksplodował i nie spłonął, i pozostał tak stercząc z piasku, zadarłszy ogon ku niebu. Do tego właśnie ogona przywiązano pułkownika. Wisiał głową do dołu, ręce miał rozchylone na boki, i ojciec Paweł pomyślał, że wszystko to przypomina bluźnierczą karykaturę ukrzyżowania. Ciemna krew spłynęła do twarzy przywiązanego. Oddychał z trudem. Gdy ojciec Paweł podszedł bliżej, pułkownik podniósł głowę – z pewnością skupienie wzroku przychodziło mu z trudem. Tylko jego głos nadal brzmiał szyderczo.

– A, cybernetyczny padre. Przyszedłeś popatrzeć, jak oddaję ducha? Albo może chcesz mnie wyspowiadać?

Ojciec Paweł usiadł na kamieniu pod skrzydłem samolotu. W cieniu skrzydła było chłodniej, a na słońcu powietrze już całkiem się rozwarstwiło i spływało mirażami.

– Spowiedź jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

Pułkownik zakasłał. Złapał oddech i zapytał:

– Dlaczego nie zostałeś z dziećmiakami?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, kontynuował:

– Sto razy uprzedzałem, że ten pomysł z modyfikacją genów bokiem im wyjdzie. Trzeba było, jak dotąd, zrzucić zwykłe gołodupne niemowlęta, pękające jak śliwy, zwłaszcza jeśli w tyłek wsuwało im się porządny ładunek wybuchowy. Mówię ci, padre...

Spróbował wykręcić szyję tak, by móc spojrzeć na duchownego, a kiedy mu się to nie udało, rozzłościł się:

– Co się tak tam rozsiadłeś? To w końcu niegrzecznie. Rozmawiam z tobą.

Duchowny uśmiechnął się.

– Obawiam się, że znów zaczniesz mnie pan łowić na kod.

– Bardzo śmieszne.

Pułkownik chrząknął ze złością.

– Gadziny zabrały mi kartę. Bez niej to choćbym w duecie zaczął śpiewać, nic ci z mojej strony nie grozi.

Ojciec Paweł pokręcił w palcach kartę głosową. Interesujące, gdzie pułkownik ją ukrył, że znaleźli ją dopiero przy trzecim przeszukaniu? Po jednej stronie karty był schematycznie przedstawiony łańcuch DNA, po drugiej – fotografia pułkownika, imię, stanowisko i nazwa kompanii. „Gentronix”. Korporacja produkująca transgeny i androidy, jak wyjaśnili ojcu Pawłowi na górze, w bunkrze. Ten, który nazywał siebie pułkownikiem Gerardem, był testerem kompanii. Sprawdzał nowe modele w warunkach polowych.

– Niech pan mi powie, pułkowniku. Będę nazywał pana pułkownikiem, już się do tego przyzwyczaiłem. Na czym polegała ta wspaniała idea? Zrobić podobnego do człowieka robota, wbić mu do głowy fałszywe wspomnienia...

– Nie „podobnego do człowieka robota”. Dlaczego mówisz tak o sobie, padre?

Pułkownik uśmiechał się. W odwróconej wersji uśmiech wyglądał upiornie, jakby pułkownik szczyrzył się czołem.

– Nie podobnego do człowieka, lecz człowieka z żelaznym szkieletem, wzmocnioną wytrzymałością i mocnym moralnym przekonaniem. Bo widzisz, padre, nawet najlepsi z tej waszej duchowej akademii pasowali przed demonami. Mówiąc wprost, czy wysłalibyśmy do biesów najcnotliwszego pobożnego, czy też zapijaczonego żula z najbliższego wysypiska, różnicy nie byłoby żadnej. Ty natomiast – co innego. Ty, święty ojciec, zawsze będziesz wybierać to, co prawidłowe, i robić to całkowicie świadomie i dobrowolnie.

– Wybierać? Między czym a czym? Życiem w świecie, gdzie dorośli posyłają dzieci na śmierć zamiast siebie, czy w świecie, w którym dzieci zjadają trupy swoich opiekunów?

– Co, nie podoba się?

Pułkownik znów zachrypiał, i duchowny nie od razu zorientował się, że Gerard się śmieje.

– Nie chcesz wybierać? A zatem idź do demonów, może one zaproponują trzeci wariant.

Widać było, że pułkownikowi coraz trudniej było mówić. Ciemna krew dusiła go. Naczynka w oczach popękały, i rogówki załaty się czerwienią. Szarpnął się, naciągając więzy, spróbował się podnieść, i znów bezsilnie uderzył głową o kadłub. Duchowny patrzył na niego i w żaden sposób nie mógł zrozumieć, dlaczego ten niedobry, o niewyparzonym języku i z pewnością sprzedajny człowiek jest mu o wiele bliższy niż tamci, w bunkrze. Czyżby była to kwestia wieku? Ale co znaczy wiek dla androida? Może on dopiero przedwczoraj zszedł z fabrycznej taśmy, a wspomnienia były kłamstwem, fałszywką, hologramem, tak samo prymitywnym, jak rysunek na karcie.

Tymczasem pułkownikowi udało się jednak przekreślić w swoich więzach tak, że patrzył teraz wprost na duchownego.

– Chcesz zagadkę, padre?

– Nie.

– Mimo wszystko zadam ci ją. Posłuchaj zatem. Obok Chrystusa ukrzyżowanych zostało dwóch rozbójników. Jednego zwano Dismas, drugiego Gestas. Dismas przed śmiercią wyraził skruchę za grzechy, a Gestas do końca sypał bluźnierstwami. Pytanie: którego z nich Pan zabrał z sobą do nieba?

– Dismasa.

– Nie.

– Gestasa?

– Nie. Żadnego z nich. Odpowiedź brzmi – żadnego.

Pułkownik zachichotał, po chwili jego śmiech przeszedł w duszący kaszel. I bez tego opuchnięta twarz nabiegła czerwienią. Kasłał, dusił się i wciąż jeszcze pokasływał, gdy ojciec Paweł przecinał więzy i ściągał go na dół.

Stać pułkownik nie mógł, i przez jakiś czas obaj kołysali się wczepieni w siebie nawzajem. Ojciec Paweł już wiedział, że jeśli tylko zaprze się porządnie nogami, nie ruszy go z miejsca nawet rzeka, która przerwała wały – i mimo to kołysał się, niczym pijany, jak brat podtrzymujący brata.

* * *

Pustynia dźwięczała, niczym rozżarzony płat żelaza. Powietrze było czyste i suche, wchłaniało wilgoć niczym gąbka. Przez pięć godzin marszu pułkownik stracił, jak się zdawało, połowę wagi. Niedaleko osady natknęli się na w połowie zasypanego piaskiem trupa. Przy zwłokach znaleźli karabin i plecak, a w plecaku, niestety, nie było ani jedzenia, ani manierki – ale za to, ku wielkiej radości Gerarda, znalazła się napoczęta paczka papierosów. Gerard zdarł jeszcze z trupa kurtkę. W samą porę – pod palącym słońcem skóra pułkownika przybrała już niezdrowy, pomidorowy odcień. Gerard odmówił oddania karabinu ojcu Pawłowi.

– Po kiego ci karabin, padre? Przecież i tak strzelać nie potrafisz.

* * *

Tak oto i szedł teraz, ciężko zagarniając butami piasek i zataczając się pod ciężarem niesionych rzeczy.

Gdy stało się jasne, że jeszcze trochę i księdzu przyjdzie dźwigać nie tylko karabin, ale i samego pułkownika, z przodu ukazało się porośnięte krzewami wzgórze. Z westchnieniem ulgi towarzysze wędrowki runęli w cień bezlistnych, ale gęsto splecionych gałązek. Pułkownik wyciągnął papierosy, zaciągnął się i z błogością zamknął oczy. Duchowny spoglądał na przekreślone sękami niebo.

– Dziwne, że nie ma tu demonów.

Pułkownik odwrócił do niego głowę.

– Nie masz za kim tęsknić? Idź na wschód – wskazał papierosem za plecy – to będziesz miał demony.

Ojciec Paweł spojrział na wschód, gdzie horyzont przecinały słupy dymu. A może to nie był dym, lecz czarny, drobny piasek. To przypomniało księdzu o minionej nocy.

– Co pan tam przekazywał?

– Gdy dzieciaki mnie przyłapały? Koordynaty dla naszych bombowców. Trzeba wypalić gniazdo, dopóki gadziny nie rozpełzły się po całej okolicy.

Gerard spojrział na zegarek i skrzywił się.

– Coś im się nie spieszy. Jeszcze się trochę pogrzebią, i szukaj wiatru w polu.

Zmrużył oczy i dmuchnął papierosowym dymem. Szare kłaczki uczepliły się gałązek, a

potem wyprostowały się i wolno, lecz niezachwianie odpłynęły na wschód.

– Dziwne. Przecież nie ma wiatru.

Tester wzruszył ramionami. Widać nie miał ochoty na wyjaśnianie niezrozumiałych osobliwości natury.

– Gdzie pan pracował do wojny?

Pułkownik usiadł, podciągnął pod siebie nogi.

– Do wojny? Do wojny miałem firmę komputerową.

– A potem?

– A potem zacząłem grać i spłukałem się do cna. A potem rzuciła mnie żona – i tak się wściekłem, że postanowiłem zostać profesjonalnym graczem. I zostałem, nawet wygrałem kilka turniejów.

Spostrzegłszy niezrozumienie malujące się na twarzy duchownego wyjaśnił:

– Poker. Znasz może?

Duchowny pokręcił głową.

– Ni cholery nie znasz. Krótko, zbudowałem sobie dom, znów się ożeniłem. Sophie była piękna, choć głupia jakich mało. Ale ją kochałem. Potem kolejny raz się posprzecaliśmy, i ona wyjechała nad morze. Do Sin Creek.

Duchowny znów zachmurzył się bez zrozumienia, więc pułkownik dodał:

– Pierwsze miejsce, w którym przedarły się demony.

– Zginęła?

– A jak sądzisz?

Papieros w ręku pułkownika dopalił się do filtra, ale ten zdawał się tego nie zauważać.

– Potem zaczęło się to zamieszanie, i wstąpiłem do Legionu, zdezerterowałem po miesiącu, a po dwóch następnych złapali mnie. I już w więzieniu zgłosili się do mnie chłopcy z „Cybera” z propozycją pracy dla nich. Zgodziłem się. Oto cała historia. Nieco dłuższa od twojej, świętobliwy ojciec, ale równie idiotyczna.

* * *

Niebo nad horyzontem rozerwało się i na szczycie fali dźwiękowej przemknęło skrzydło bombowców. Leciały tam, skąd pięć godzin temu wyruszyli pułkownik z duchownym. Gerard odprowadził ich wzrokiem i machnął ręką:

– Za późno. Dobra, niech chociaż ten diabelski bunkier rozwałą, sucze syny o jedną norę będą miały mniej.

Minutę później ziemia zadrżała, a po jakimś czasie dobiegł ich głuchy huk eksplozji. A potem łoskot bombardowania zagłuszony został przez ostry terkot zza wzgórza, i wprost nad nimi przepląnął brudnoszary brzuch helikoptera. Ojciec Paweł poderwał się. Pułkownik schwycił go za rękaw i krzyknął „Nie trzeba!” – ale ojciec Paweł z łatwością uwolnił się i

pobiegł za helikopterem.

– Ahoj! Jesteśmy tutaj! Zabierzcie nas stąd!

Biegł, wymachując rękoma i wrzeszczał z absolutnym przekonaniem, że helikopter zaraz odleci i znów zostaną sami na pustyni. Jednak helikopter zawrócił. Szara wążka zawisała nad ziemią kilka metrów od ojca Pawła, tak blisko, że ten widział młode twarze dwóch lotników w kabinie i jednakowy kamuflaż ich hełmów. A potem przez terkot przebił się inny dźwięk, i w pierś ojca Pawła coś uderzyło. Z początku z niezrozumieniem patrzył, jak kule wrywają kawałki odzieży i ciała, obnażając matowo błyszczący metal. A potem duchowny odwrócił się i zaczął biec. Pierwszych kilka kroków biegł w stronę wzgórza z krzewami, ale niemal od razu zorientował się, że w ten sposób naprowadzi oszalały helikopter prosto na pułkownika, i skręcił, poniósł po równinie, wysoko podrywając nogi. Czasami fontanny pyłu nabrzmiewały obok, a czasem kule wbijały mu się w plecy, delikatnie niczym szczygnięta. Kluczył, odwracał się, starając trzymać się jak najdalej od wzgórza. Helikopter z wesołym brzęczeniem podążał za nim. W końcu lotnikom zdudziło się gonić nieuchwytną zwierzyńcę, i z tyłu rozległ się świst. Ojca Pawła uderzyło o wiele silniej, poczuł żar i straszny ból w tyle głowy. Obróciło nim, podrzuciło i znów cisnęło na ziemię w obłoku pyłu. Z początku leżał nieruchomo, a potem poruszył się i z trudem przekręcił na plecy – akurat w samą porę, by zobaczyć, jak pułkownik wyskakuje z krzaków i podrzuca karabin do ramienia. „Nie trzeba” – wymamrotał ojciec Paweł, ale pułkownik już wystrzelił; helikopter drgnął i poszedł w dół – nim runął na ziemię i zniknął w chryzantemie wybuchu, zdążył wystrzelić drugą rakietę.

„Nie traf – zaczął błagać ojciec Paweł. – Boże, uczyn tak, żeby nie trafił”.

Jednak rakietą trafiła w cel. Gdy ojciec Paweł, kulejąc, podbiegł do wzgórza, na spotkanie wybiegła mu płonąca paszcza leja. W leju wirował dym, widać było pogiete łożysko karabinu i jakieś szmaty. Niczego i nikogo więcej. Ojciec Paweł bezmyślnie obmacał skraj jamy, pokręcił głową – S2yja poruszała się z trudem – przeżegnał się i zaczął:

– Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie...

Ale, nie dokończywszy modlitwy, usiadł na krawędzi leja, ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

* * *

Ojciec Paweł zmierzał na wschód. Nie wiadomo, ile godzin, albo dni, albo tygodni trwała jego wędrówka. Początkowo był sam, później jednak zauważył, że obok idą inni. Poruszali się dziwnym, szarpanym krokiem, podciągając wysoko nogi i pochylając się do przodu, jakby ciągnięto ich za przywiązane pod żebrami nici. Dopiero po upływie jakiegoś czasu ojciec Paweł zrozumiał, że idący po jego bokach byli martwi. Zdawało się, że szary piasek pustyni rozstał się i poszedł falą, formując się w ludzkie kształty. Martwi byli różni – wysuszone, nie wiadomo jak trzymające się w kupie szkielety, i całkiem świeży, z rwanymi ranami, z

wrzodami, z bladymi, obojętnymi twarzami. Ze wszystkich stron niósł się szelest i równomierne szuranie. Ojciec Paweł nie przestraszył się, gdyż sam niewiele różnił się od nieboszczyka. Spalone wybuchem plecy swędziały – ni to goiły się tam rany, ni to gnęły resztki ciała – ale nie to interesowało duchownego. Jego wzrok przyciągała twierdza na niewysokim wzgórzu. Puste oczodoły martwych także nieustannie wpatrywały się w to miejsce. Me-gi-do, niósł się szelest nad tłumem. Megido.

Żółty kamień ścian zarósł chwastami, lecz twierdza wydawała się być nienaruszona. Dokładniej, kiedyś została zniszczona i, być może, nawet pogrzebana pod ziemią, ale jakaś siła znów wydobywała na światło dzienne zamki i bastiony, przemieszała i rozstawiła w sobie tylko zrozumiałym porządku. Za pierwszym rzędem umocnień następował drugi, a dalej już wznosiło się podnóże wieży. Razem z potokiem martwych duchowny przeszedł obok dziwnych konstrukcji – kawałków ceglanych murów, pochylonych pod niewiarygodnym kątem i nie rzucających cienia, wrytych w ziemię kolumn, gigantycznych uskrzydłonych płaskorzeźb. Nikt nie próbował zagrozić mu drogi, i wkrótce wyszedł na plac. Tu martwi ruszyli na prawo, w stronę wieży. Z lewej, na pokrytym potrzaskaną i odbarwioną mozaiką placu, majaczyło kilka wysokich kształtów. Przyjrząwszy się, duchowny zrozumiał, że stojący tam nie byli ludźmi. Wyżsi od nich, a jeśli patrzeć uważnie, stawali się jeszcze wyżsi, kołysali się, zmieniali. Ciemne, wąskie twarze, wydłużone owale oczu, ruchy bardziej zwierzęce niż ludzkie. Kończyny o wielu stawach poruszały się, krążyły w powietrzu, jakby dyrygowały ogromną, zgodną orkiestrą. Gdy ojciec Paweł patrzył, jeden z nich oddzielił się od grupy i podszedł do duchownego. Jego chód był miękki, jakby demon nie kroczył, lecz unosił się w powietrzu – dopiero co był tam, a teraz jest już tutaj. Długa – dłoń? macka? szpon? – opuściła się na ramię ojca Pawła. Demon delikatnie pachniał suchą trawą, pyłem i sadzą. Duchowny cofnął się, i wtedy ciemna postać zachwiała się i rozplynęła w powietrzu. Po chwili przed ojcem Pawłem stał niewysoki człowiek w obszernej płóciennej koszuli, ze smukłymi oczyma na śniadej, wąskiej twarzy. Wiatr odwiewał od jego twarzy długie włosy, choć wokół nie było wiatru.

– Nataniel?

– Nataniel był jednym z mych chłopców. Imię moje – Legion.

Głos jego szeleścił, i szczebiotał, i potrzaskiwał, zlewając się z wielu głosów.

Demon znów położył rękę na ramieniu ojca Pawła, i tym razem była to zwykła ręka, z opaloną skórą i bladymi paskami paznokci.

– Widzę, żeś zmęczony, chory i wzburzony. Jeśli chcesz, odpowiem na twoje pytania.

Myśli ciężko wirowały w głowie duchownego, niczym niedokładnie dopasowane elementy mechanizmu zegarowego. Pomyślał i spytał:

– Co budujecie?

– Schody. Budujemy schody.

Duchowny obejrzał się. Na starych czarnych odłamkach, na wystających spod żółtego

wapienia słojach bazaltu wznosiła się wieża. Za wyjątkiem pierwszych, kamiennych poziomów wieża budowała sama siebie. Martwi wspinali się na plecy swoich poprzedników, płynęli w górę nieprzerwanym, szarym strumieniem, i ich łańcuch wznosił się już ponad chmury.

– Dlaczego tu?

– Tu Jakub ujrzał stopnie prowadzące do Raju, i wchodzących oraz schodzących po nich aniołów. Stąd jest najbliżej z ziemi do nieba.

„I znów mnie okłamują – ze znużeniem pomyślał ojciec Paweł. – Boże, ileż to można – dlaczego wszędzie i wszyscy mnie okłamują?”

– Po co się tam rwiecie?

– Chcemy wrócić.

Duchowny znów obejrzał się na wieżę i zadał ostatnie pytanie:

– Co stanie się z nami, gdy wrócicie?

Nim odpowiedział, demon pomilczał, poruszając ustami. Przez jego twarz przetaczały się fale. Bez ustanku zmieniała się, jak łany pochylającej się pod naporem wiatru pszenicy.

– Wielu zginie. Nie podoba nam się świat stworzony przez Niego. Jego osławiona wolna wola przyniosła wiele biedy, i dzieło powinno zostać naprawione. Wielu zginie, lecz wielu, podobnych tobie, pozostanie.

– Cyborgi?

– Cyborgi, ludzie i wszystkie stworzenia, skłonne do dobra i porządku. Czyżbyś nie kierował się tym samym?

Ojciec Paweł nie znalazł na to odpowiedzi. Demon uśmiechnął się prawie pieszczotliwie i zabrał rękę z jego ramienia.

– Musimy skończyć pracę. Możesz odejść. Idź dokąd chcesz.

Duchowny odprowadził demona spojrzeniem. Kiedy ten znów stanął obok swych pobratymców, ojciec Paweł ruszył w stronę wieży.

W cieniu bazaltowych ścian było bardzo zimno. Mróz przejął ojca Pawła do samej kości. Bardzo chciał odwrócić się i uciec. Zejść ze wzgórze i błąkać się po gorącej pustyni, póki wszystko się nie skończy. Zamiast tego wzruszył ramionami i wkroczył pod masywne sklepienie.

* * *

Wewnątrz było jeszcze zimniej, lecz do środka nieforemną plamą wpadało światło. Z góry dochodziło skrobanie i sypały się drobne kamyczki, piasek i śmieci. Martwi pracownicy wdrapywali się w górę. Podniósłszy głowę, ojciec Paweł ujrzał ogromny, zwięzający się lej i wyobraził sobie, że stoi w oku trąby powietrznej.

Zimne ściany pokrywały rzeźby. Duchowny zrozumiał ze zdziwieniem, że to nie były

zwykle, podniesione z ziemi głazy – nie, kiedyś już stanowiły budowlę, starą, ale jawnie ludzką. Litery greckiego alfabetu, łacina, pismo klinowe. Ojciec Paweł chrząknął. Ileż muzeów przyszło im ograbić, żeby przytaszczyć tutaj te kamienie? Czy też nie była potrzebna żadna grabież, po prostu ściany wieży drzemały w ziemi i czekały na swój czas?

W centrum sali stał słup, i od niego odchodziły belki, podtrzymujące wyższe poziomy. Ojciec Paweł podszedł bliżej. Powierzchnia kolumny była gładka i czarna. Ni pęknięcia, ni znaku, ani najdrobniejszego nawet zadrapania. Matowo błyszczący kamień najbardziej przypominał kość – nic dodać, nic ująć, tylko ostrze gigantycznego harpuna przebiło gardło wieży i wbiło się w jej podniebienie.

Duchowny przyłożył do kolumny rękę; poczuł drżenie i odległe brzęczenie, jakby sama ziemia natężała ramiona pod ciężarem słupa. Nacisnął mocniej. Po chwili napierał już obiema rękoma, a potem oparł się o słup plecami i zaczął odpychać się nogami. Z jego czoła rześńcie spływał pot. Przypomniała mu się legenda o Samsonie, i ojciec Paweł nawet sięgnął do tyłu głowy, jakby spodziewał się tam odnaleźć odrośnięte kosmyki – ale jego ręka natknęła się tylko na wymazany krwią metal. Napałł mocniej, i wydało mu się, że słup się poddaje. Ciutciut, ledwo zauważalnie. Z placu dobiegły ostre głosy – gardłowe, szczekliwe narzecz, w którym mało było ludzkiego. Ojciec Paweł zrozumiał, że trzeba się spieszyć. Natężył się, wyrzucając w ostatnim wysiłku całą złość, i gorycz, i tępe zmęczenie ostatnich dni. Słup zadrżał. W górze zatrzęszczało, i na podłogę gruchnął kawał bazaltu. „Jeszcze trochę” – powiedział sobie ojciec Paweł i napałł jeszcze mocniej, już przekraczając granice własnych możliwości. Ciało rwało się z głuchym młaśnięciem, obnażając metal. Słup zachwiał się. Z góry posypały się śmieci, i z piskiem przeleciało coś ogromnego, wyrznięło w księdza skrzydłem i zniknęło pod sypiącymi się odłamkami. Belki zatrzęszczały, i wieża zaczęła zapadać się w sobie, porywając za sobą miliardy martwych, i powietrze, i kamień – i wszystko to z hukiem runęło na duchownego, grzebiąc go pod sobą. Jakiś czas żelazo jeszcze się trzymało, a potem żebra się wygięły. Spłaszczyła się czaszka, gasząc życie i pamięć – ale umierającemu ojcu Pawłowi wydało się, że to dzwon dźwięczy, wzywając parafian na wieczorne modły. To dzwon. Dzwon...

Przełożył Paweł Ludański

Felicity Shoulders

WARUNKOWANA MIŁOŚĆ

Nowy pacjent był chłopczykiem, miał może pięć albo sześć lat i był rasy białej, ot, zwykły John Doe. Grace sprawdziła przekazywane wprost na jej pada najistotniejsze wskazania czujników funkcji życiowych przy jego łóżku i stwierdziła, że mały śpi. Otworzywszy drzwi do sali 408, wkroczyła do środka.

Chłopczyk leżał z przytuloną do poduszki główką, brązowe kędziorki przylgnęły do jego czoła. Miał zarumienione od snu policzki i młodszy nawet wygląd, niż oceniła na początku. Wydawał się zdrowy, nie miał żadnych fizycznych deformacji, jakby specjalnie dobrano mu wygląd, który Grace nazwałaby cherubinkowym. Ale z pewnością nie zostałby przyjęty do przechowalni bez powodu, więc Grace stwierdziła, że bezwiednie podchodzi cicho, jakby nie chciała go obudzić i zamierzała odkryć jego stan psychiczny.

– Proszę się nie bać, nie zbudzi się, jest pogrążony w głębokim śnie.

Grace drgnęła i odwróciła się ku drugiemu łóżku.

– Cześć, Minnie.

Na twarzy dziewczynki pojawił się grymas niechęci.

– Doktor Steller, wolę, gdy ludzie zwracają się do mnie całym imieniem. Minerwa – podsunęła jej dziewczyna, gdy Grace przywołała w pamięci obraz tablicy z pada. – Zapomniała pani, że kładą po dwie osoby w sali?

– Owszem, przyłapałaś mnie.

– Co spowodowało ten wzrost optymalizowanych? Liczba odrzutów, czy aresztowania rodziców?

– O Boże, Minn... Minerwo, nie wiem. Gdy dorośniesz, zamierzasz zostać reporterką?

– Nie, zostanę naukowcem – odpowiedziała Minerwa i uśmiechnęła się, jakby pytanie sprawiło jej przyjemność.

– To po co zadajesz te krępujące i dociekliwe pytania?

– Po prostu jestem ciekawa, czy moja kampania dała jakiś efekt – odpowiedziała Minerwa wskazując okno skinieniem głowy.

Na billboardzie ustawionym naprzeciwko Clevelandzkiego Regionalnego Pediatrycznego Centrum Hospitalizacji Skaz Genetycznych zamigotało ostrzeżenie o smogu, potem informacja ostrzegawcza o przeciążaniu wzroku od patrzenia w ekrany kompów. Ale Grace przypomniała sobie, że pojawiał się na nim i obraz statyczny: roczna, różowitka Minnie w króciutkiej sukieneczce obnażającej kikuty pulchniutkich rączek i nóżek. *Dzieci powinny się rodzić w sposób naturalny, nie należy ich produkować sztucznie.* Billboard pozostawał w tym miejscu, dopóki Minnie nie skończyła ośmiu lat, ale trzy lata temu jej rodzice przekazali ją do CGP i z pewnością go widziała. Teraz miała jedenaście lat i była ciemną blondynką o poważnych oczach i włosach zawiązanych w kucyk.

– Przyszłaś na badania wstępne? – zapytała Minerwa.

– Tak – odpowiedziała Grace, wciąż zerkając na dane Johna Doe.

– To krok wstecz, nie sądzisz? Godzisz się z tym?

– Nie, w porządku – odpowiedziała Grace. – Widzę, że te inkubatory wzrostu dobrze działają.

Dziewczynka pozwoliła się odwieść od tematu. Podniosła prawe ramię, kompletne, ale pełne blizn.

– Jedne za mną, trzy przede mną.

– Idzie lepiej, niż myśleliśmy, gdy byłam w twoim zespole kuracyjnym.

Minerwa wzruszyła ramionami.

– Są cholernie podnieceni. Mówią, że jestem prawdziwą zagadką w kwestii genów regulacyjnych. Nie mają pojęcia, dlaczego moje ramię zaczyna rosnąć, a potem przestaje. I nie wiedzą, dlaczego wyrastają rzeczy, które nie powinny. – Podniosła lewy rękaw o kilka numerów za dużego podkoszulka z dinozaurem z Muzeum Historii Naturalnej. Ramię aż po nadgarstek było zanurzone w mętym żelu, a z łokcia wyrastał dodatkowy kciuk.

– Jestem pewna, że już wkrótce będzie po wszystkim – powiedziała Grace i poklepała dziewczynkę po grzbiecie prawej dłoni, która miała gładką skórę tam, gdzie nie nabrzmiewały na niej blizny.

Minerwa rozjaśniła twarzyczkę uśmiechem, a potem spojrzała pod przeciwległą ścianę i zacisnęła wargi.

– Nowy się budzi. To ci się spodoba.

Grace odwróciła się i stwierdziła, że chłopczyk istotnie się poruszył, usiłując niezbyt pewnie osłonić piąstką oczy przed padającym z okna światłem. Otworzył oczy, które błysnęły błękitem i rozszerzyły się do proporcji z filmów rysunkowych.

– Kim jesteś? – zapytał, jakby Grace była Błękitną Wróżką zamiast lekarką, która jeszcze nie wypila swojej porannej kawy. Grace uśmiechnęła się do niego ciepłym, przyjaznym uśmiechem, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że Minerwa nie spuszcza z niej wzroku.

– Jestem doktor Steller, ale większość dzieci mówi mi Grace – stwierdziła. – Jak się czujesz?

– Dobrze.

– Jestem tu po to, żeby to sprawdzić i zadbać, by tak zostało. W porządku?

Kiwnął głową, więc Grace zabrała się do rutynowego sprawdzania jego pulsu i oddechu. Większość z tego była niepotrzebna, bo dublowały ją czujniki przy szpitalnym łóżku. Grace podejrzewała, iż jest to sposób satysfakcjonowania pacjenta, albo lekarza. Nowi podopieczni Centrum często bywali przygnębieni, przestraszeni albo pogrążeni w nerwicach wywołanych genami lub środowiskiem rodzinnym; wielu przybywało uśpionych, zanim przychodziła, by spisać ich utrapienia i dolegliwości. Ten chłopczyk był jednak inny. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby którykolwiek z pacjentów chichotał przy dotykaniu go stetoskopem.

Przy standardowym badaniu nie stwierdziła nic, czego mogłaby się spodziewać: żadnych deformacji, blizn czy ran, które widziała u innych bezimiennych pacjentów zwożonych tu z ulic. Owszem, miał niski poziom składników odżywczych we krwi, był nieco odwodniony, ale to miała załatwić kroplówka. Nie zauważyła niczego, co należałoby sfotografować do akt policyjnych; chłopczyk zachowywał się tylko ogromnie przyjaźnie i był może nadmiernie urodziwy.

– Nie wiesz, jak się nazywasz, prawda? – zapytała Grace, mierzwiąc pieszczotliwie jego ciemne włoski.

Wzruszył ramionami obleczonymi w za dużą jak na niego bluzę piżamki.

– Przykro mi...

– Nic nie szkodzi, słoneczko. – W zasadzie to do niej nie należało, ale ciągnęła dalej. – A co pamiętasz?

– Pamiętam, że obudziłem się tutaj. I ty tu byłaś...

Grace potrząsnęła głową i wyjęła fiolkę na próbkę krwi dla laboratorium.

– Trochę zaboli – ostrzegła.

– W porządku – odpowiedział, choć po ukłuciu przestał się uśmiechać.

– No i po wszystkim – stwierdziła, owijając mu paluszek bandażem, na który mały pacjent zapatrzył się jak zaczarowany.

– Doktor Steller? – usłyszała głos pielęgniarki z głośników. – Jeżeli skończyła pani badać numer 2147, ma pani gościa.

Grace sprawdziła listę pacjentów na padzie, żeby się upewnić, że Doe ma numer 2147 i stwierdziła, że jest przy nim nakaz pośpiechu.

– Przyślij go na górę.

Odwróciła się, żeby odejść, ale mały pacjent chwycił ją za połą kitła.

– Mogę iść z tobą?

Grace otworzyła małą rączkę i uklękła obok, uśmiechając się uspokajająco.

– Teraz nie, ale niedługo wrócę.

Kiwnął główką.

– Do widzenia – powiedział, gdy otwierała drzwi.

– Niedługo wrócę.

– Do widzenia, doktor Grace – powtórzyła za chłopczykiem Minerwa.

Grace zeszła do wind i zaczęła zapisywać na padzie raport dotyczący Johna Doe, numer 2147, przesuując palcem fotografie i wyniki badań. Usłyszawszy dzwonek windy podniosła wzrok i zobaczyła wysokiego, znajomo zgarbionego mężczyznę, ubranego jak model z miesięcznika poświęconego męskiej modzie.

– Kafouri.

– Hej, Grace! Gdzie ja trafiłem? Nigdy nie wjeżdżałem ponad pierwsze piętro.

– Mamy przepełnienie, musimy jakoś upychać nowo przyjętych z chronicznie chorymi i pacjentami o przedłużonych terminach leczenia.

– Kurwa! Nic tak nie dodaje otuchy nowej rybce w akwarium jak kumpela z płatami obwisłej, odpadającej skóry!

– Przestań, Bob!

– Dobra, nie mówmy o nowych gupikach. To, że klnę, cię nie razi, prawda? – Zachichotał i klepnął ją po plecach. – Tak czy owak, miło znów cię zobaczyć. Ile to już? Rok, dwa?

Spojrzała na niego uważniej. Musiał pamiętać ich ostatnie starcie przy sprawie Macauleya, ale miał taką minę, jakby postanowił zachowywać się przyjaźnie. Miał już srebrne nitki w ciemnych włosach, a wokół oczu zmarszczki od uśmiechów, lub wieku. Sama już też nieco się postarzała.

– Coś koło tego. Myślałam, że w końcu dałeś za wygraną i żeby poprawić sobie nastrój przeniosłeś się do wydziału *zabójstw*.

– Nigdy w życiu, pani doktor. Kiedy spróbuję przejść na rentę, to jako porucznik, ale nie wcześniej, niż w aktach nie dostanę wpisu o „bohaterskim glinie”.

– Czy nie tak piszą zwykle w nekrologach?

– Ha, ha! Wiem, co robię. Proszę mi pozwolić zobaczyć mojego chłoptasia.

– Zakładam, że ten nakaz pośpiechu pochodzi od ciebie?

Kafouri ruszył obok niej.

– Badali go psychiatrzy? Co stwierdzili?

– Jeszcze nie był badany. A niby co mieli znaleźć?

Kafouri spojrzał na nią lekko zaskoczony.

– Niczego nie zauważyłaś?

– Bob, nie baw się w zagadki.

– Która to sala?

– 408. Co z nim jest nie tak?

– Pokażę ci. Prowadź.

Grace skrzywiła się niechętnie i pchnęła drzwi. Podbródek chłopczyka opadł w dół,

ujawniając kawał przeżutej brzoskwini.

– Kim pani jest?

Był czarujący, nieco przestraszony i jak przedtem promieniał dziecięcym urokiem, Grace jednak nagle poczuła lekkie ukłucie niechęci osoby, o której nagle zapomniano. Gdy Kafouri wszedł do sali, odwróciła się ku Minerwie, która spojrzała na nią znad solidnie naładowanego talerza z posiłkiem.

Mały pacjent przez chwilę patrzył na detektywa.

– Jak się pan nazywa?

– Oj, Danny, nie pamiętasz swojego przyjaciela Boba? Czemu mnie to nie dziwi? – Spojrzał na drugie łóżko i podniósł jedną brew, ujrzawszy spoczywającą na jej talerzu górę jajecznic na bekonie i otaczający naczynie pierścień talerzyków z różnymi sałatkami.

– Chyba pamiętam, że gdzieś pana spotkałem – stwierdził chłopczyk.

– Z pewnością pamiętasz, Tygrysie. Hej, poznałeś już doktor Steller?

Grace spojrzała na nich z nieco sztucznym uśmiechem. Chłopczyk skierował na nią spojrzenie błękitnych oczu.

– Nie. Witaj – powiedział okazując uprzejmy brak zainteresowania.

– Hej, mały, mam coś dla ciebie. – Kafouri wyjął z kieszeni płaszcza małego pluszowego misia i zerwał plakietkę z ceną z ucha zabawki.

Chłopczyk chwycił zabawkę i mocno przytulił ją do siebie.

– Dziękuję!

– To na razie, Danny! – Kafouri przytrzymał drzwi, żeby Grace mogła przez nie przejść. Ta wyszła nie żegnając się z dziećmi.

– Napijesz się kawy? – zapytał, gdy drzwi się zamknęły. Grace skinęła głową. Zdrada chłopca zabolą ją niespodziewanie, ale uśmiechnęła się i unosząc brwi zapytała, gdy oddalali się korytarzem:

– Skąd pomysł z tym niedźwiadkiem?

– Widziałaś tego malca. Mogłabyś sama pomyśleć o tym wcześniej.

– Dlaczego nazwałeś go Danny?

– Na posterunku nadaliśmy mu imię Daniel. Chyba do niego pasuje, ale wiedźma z izby przyjęć stwierdziła, że J. D. to J. D., a my nie mogliśmy wybrać dla niego imienia jak dla szczeniaka.

– No i mamy szpital pełen Johnów albo dziewcząt o imieniu Jane, jak fabryka dwóch modeli lalek – stwierdziła Grace otwierając drzwi do znajdującego się na trzecim piętrze, pachnącego kawą pokoju dla personelu. Kafouri przerzucił swój płaszcz przez oparcie krzesła i opadł na siedzenie.

Napełniając dwa kubki Grace uważnie obserwowała detektywa.

– Mam szczerą nadzieję, że nie będziesz naciskać na badania Daniela, bo uważasz, że jest sprytny.

– A czemu sądzisz, że uznałem go za sprytnego? Już na korytarzu zorientowałem się, że obudziłem twoją czujność.

Grace demonstracyjnie podniosła oczy w górę, a potem usiadła na kozetce.

– Co ty kombinujesz i jak to ma wpłynąć na twoje marzenia o zapiskach „głina bohater”?

– Wszystko się sprowadza do plakietki „Bob Kafouri, glina bohater”. Sama wiesz, że od zawsze pracowałem w tym wydziale odrzuconych rybek. Przesłuchiwałem wypaczonych smarkaczy, robiłem zdjęcia ran od oparzeń papierosami, w nadziei, że jakiś tato popełni błąd i zostawi ślady DNA dla naszych kompów... niekiedy udaje się schwytać paru podłych rodziców. Ale generalnie to przemiał.

– A twoje nazwisko nie trafia do gazet.

– Właśnie. Musisz w tym celu rozpieprzyć jakieś laboratorium.

– Rozpieprzałeś już pracownię genotypów.

– Owszem, mizerne płatki. Ci bardziej cwani nie zostawiają śladów dostatecznie wyraźnych, żeby dało się z nich spleść pętle na ich karki. A ja chcę się dobrać do tych cwanych, którzy projektują dla szeregowych genotypów. Chcę dorwać Dr. Oetkera, a nie tych, co wypiekają ciasta. Przymierzam się do całej gałęzi przemysłu.

– Bob, sądzisz, że to działalność zorganizowana? Myślałam, że każdy genotyp działa na własną rękę.

– Jestem cholernie pewien swego. To za duże pieniądze, żeby zajmowali się tym chałupnicy. Ponadto podejrzewam, że pojawiają się nowe rynki zbytu.

– Chcesz powiedzieć... co właściwie masz na myśli? Nowe rodzaje genotypów?

– Nie chodzi mi tylko o sprzedaż rodzicom. Dlatego chciałem jak najszybciej przepytac Daniela. Znalazłaś jakiegokolwiek ślady przemocy?

Grace zbladła.

– Boże... nie, o ile mogę powiedzieć, jest zupełnie zdrowy i w dobrej kondycji.

– To tylko mój domysł, ale co, jeżeli ten niesamowity rodzaj pamięci wbudowano mu celowo? Resetuje się za każdym razem, gdy zobaczy nowego dorosłego. On nie zdoła żyć normalnym życiem, nawet zbliżonym do normalnego.

– I nie zapamięta dość, żeby sobie przypomnieć, czy ktoś go krzywdził. Chryste! – Grace pochyliła się i chwyciła kubek z kawą. – Bob, nie zdołasz tego udowodnić. To może być pomyłka – mamy tu pięć pięter pełnych pacjentów świadczących o tym, że genetyczna optymalizacja to czysta loteria. On może być pięknie zoptymalizowanym dzieckiem z efektem ubocznym albo jakimś spaczonym optem umysłowym.

– Może. Ale prędzej czy później do tego dojdzie. Żyjemy w paskudnym świecie.

Grace odsunęła od siebie kubek. Wciąż jeszcze zastanawiała się nad odpowiedzią, gdy w drzwiach pojawiła się głowa doktor Langford. Pracowała w CGP dopiero od dwóch lat i była drobną kobietą o smagłej cerze i ustach zdradzających upór i stanowczość.

– A, tu pani jest, doktor Steller. Widziałam jednego z pani podopiecznych, Johna Doe,

numer... – neuropsycholożka chciała otworzyć swojego pada, ale Grace ją powstrzymała. – Proszę nazywać go Danielem, tak będzie lepiej. Czy już go pani obejrzała?

Doktor Langford uniosła elegancko zrobione brwi.

– Wstępnie. Są naciski na tę sprawę.

Kafouri olśnił ją uśmiechem.

– To ja. Nam, gliniarzom, zawsze się spieszy. Bob Kafouri.

– Thea Langford. – Oparła się o blat stołu obok automatu do kawy. – Na razie mogę stwierdzić tylko, że miał wstępny zapis.

– Wstępny zapis – powtórzył Kafouri.

– Pierwotne łącze, jakie ma zwierzę, które po raz pierwszy spojrzy na swoją matkę.

– A, tak jak z kaczkami? Ale ten dzieciak nie jest małym kaczątkiem. Ani szczeniakiem, bo z nimi – jak mi powiedziano – jest podobnie.

– Inne gatunki mają podobnie. Na przykład małpy. Ale sęk w tym, że to nie powinno się zdarzyć. Nie jest kaczątkiem, ani małym dzieckiem, a jednak wygląda na to, że za każdym razem, gdy widzi osobę dorosłą, zapisuje ją sobie w pamięci jako rodzica i za każdym razem traci poprzednie wspomnienia.

– Coś tam jednak pamięta – stwierdził Kafouri. – Nie wygląda na dziecko, które utraciło pamięć.

– Traci to, co nazywamy pamięcią epizodyczną. Zatrzymuje wiedzę semantyczną: wie, czym jest okno i można go nauczyć słownika. Nie mogę wiele powiedzieć o jego zdolnościach manualnych, dopóki nie wrócę z odpowiednimi rekwizytami, ale to zależy od innej części mózgu i sędzę, że z tym sobie poradzi.

– Czy problem z pamięcią może być wynikiem złej optymalizacji? – zapytała Grace.

– Nie mam pojęcia, czy jest to wynik rozwoju dziecka, czy wbudowano mu to genetycznie, więc nie odpowiem. Poza tą szczególną amnezją wydaje się być normalnym dzieckiem o inteligencji nawet wyższej, niż przeciętna... dopóki nie zostanie ponownie wpisany.

– Jest absolutnie normalny? – zapytał Kafouri.

– Niezupełnie. Nie jest normalne, że pięciolatek zachowujący się mniej lub bardziej racjonalnie jest wstępnie programowany. Możesz mu odebrać zabawki, albo niedojedzony posiłek, a on się nie wkurzy. Podejrzewam, że będzie cię lubił nawet, gdy go uderzysz.

Kafouri zerknął znacząco na Grace, która stwierdziła:

– To niczego nie dowodzi. Może ten wstępny zapis był wynikiem optymalizacji umysłowej, ale problemy z pamięcią są efektem ubocznym. Nie powiesz mi, że nie ma pieprzonych rodziców, którzy nie pragną, żeby dziecko kochało ich bezwarunkowo. A zresztą, jeżeli masz rację, czemu ci handlarze niewolników go porzucili? Ta amnezja i ponowne wczytywanie byłyby może mało wartościowe dla rodziców, ale idealne dla nich.

Kafouri wzruszył ramionami i odwrócił się ku wciąż czekającej na odpowiedź

neuropsycholożce.

– Gdy go tu przyprowadziliśmy, chłopak był w okropnym stanie, wyplakiwał sobie oczy w śródmieściu. Mówisz, że robił tę kaczą sztuczkę z każdym przechodzącym mężczyzną czy kobietą?

– Wygląda na to, że tak. Wobec tłumu miałby straszny problem.

– Co z nim będzie? – zapytała Grace odchrząknąwszy. – Powiedziałaś, że jest uzdolniony.

– Owszem, ale to jest krótkotrwałe.

– To co? Spróbujemy założyć mu dokumentację, przebadamy go, pozwolimy, żeby laboratorium genetyczne medycyny sądowej założyło mu odpowiednie akta, a potem zostawimy na oddziale dla chroniczków?

– Nie mogłabym rekomendować go do adopcji, doktor Steller. Z dzieckiem mającym takie wady pamięci, jak on, jest zbyt wielkie ryzyko wykorzystywania seksualnego albo porwania.

– A jak on sobie radzi w towarzystwie innych dzieci?

– Sądząc z tego, co mówi dziewczynka dzieląca z nim pokój, dość zwyczajnie. Minnie powiada, że on nie zapomina niczego, dopóki do pomieszczenia nie wejdzie jakaś kolejna osoba dorosła.

– Minerwa – poprawiła ją Grace i doktor Langford spojrzała na nią z pytaniem w oczach.

– Ona woli, żeby teraz nazywać ją Minerwą. Proszę posłuchać, doktor Langford, Daniel będzie kiepskim pacjentem oddziału chroniczków. To tak, jakby codziennie zostawiała pani naiwnego chłopczyka z grupą spaczonych, nieprzewidywalnych dzieciaków po raz pierwszy. Może nawet co godzinę... – dodała Grace i koleżanka nie odpowiedziała. Obie kobiety przez chwilę tylko na siebie patrzyły.

– Grace, dajże spokój – odezwał się Kafouri. – Ja też polubiłem tego małego, ale przecież szkody w psychice nie będą trwałe.

– Owszem, on jest jak samoczyszczący się dysk twardy – mruknęła Grace i przeszła obok doktor Langford, by dość hałaśliwie opróżnić swój kubek do zlewu.

– Dziękuję za czas, który zechciała nam pani poświęcić, doktor Langford. Bob, raz jeszcze zbadam pacjenta, skoro wiem, na co zwracać szczególniejszą uwagę.

– O ile będzie jakiś dowód, z pewnością go zauważysz – stwierdził wkładając płaszcz i poprawiając krawat. – Teraz wszystko zależy od genetyków.

* * *

Grace stała pod drzwiami sali 408 i patrzyła przez szkło. Wcisnąwszy kciukiem guzik monitora, wsłuchiwała się w szczęk widelca Minerwy o talerz. Daniel nie był widoczny, sądziła jednak, że słyszy odgłos jego bosych stópek uderzających o winylową wykładzinę

przy drzwiach.

– Ja bym tego nie robiła – stwierdziła Minerwa.

– Chcę znaleźć Jimmy’ego – odpowiedział głosik Daniela.

Dziewczynka odsunęła wizjer na tył głowy.

– Nie znajdziesz go. To wielki szpital, a oni nie lubią wałęsających się po nim gupików.

– Co to jest gupik?

– Ja. Ty. Zabawki, które ktoś źle wykonał.

Daniel wszedł w pole widzenia Grace i stanął w nogach łóżka Minerwy.

– Co masz na myśli mówiąc o zabawkach?

Dziewczynka dziobnęła widelcem leżącą na jej talerzu górę wołowiny *a la Strogonow*. – Już ci to wyjaśniałam, ale zajęło to mnóstwo czasu, a ty i tak zapomniałeś. Naucz się tylko słowa „gupik”. Nie jest miłe, ale oznacza właśnie nas.

Chłopczyk podszedł do okna i stanął na palcach. Jego różowe pięty znikły pod dolną krawędzią workowatych porteczek szpitalnej piżamki.

– Jeżeli chcesz, możesz usiąść na moim łóżku. Będziesz lepiej widział.

Danny zerknął na drzwi, potem podszedł i ukląkł na łóżku patrząc na zewnątrz. – Czy Jimmy tu wróci?

– Prawdopodobnie tak. Przez większość dni przynosi nam śniadanie i obiad.

– A co zrobię, jak nie przyjdzie?

– Chyba jakoś to przeżyjesz.

Grace otworzyła drzwi i monitor za nią się wyłączył. Daniel odwrócił się, by zobaczyć, kto wchodzi i jego pełna oczekiwania twarzyczka rozjaśniła się uśmiechem. – Hej? Jak się nazywasz?

– Doktor Grace – odpowiedziała Grace ze smutnym uśmiechem.

– Z powrotem? – zapytała Minerwa. – Myślałam, że badanie wstępne dobiegło końca.

– Jestem już po dyżurze, ale ty należysz do wyjątkowo dobrze poinformowanych osóbek.

Dziewczyna klepnęła się po komputerowym hełmie na głowie.

– A cóż innego mi pozostało?

Grace zerknęła na otaczające łóżko Minerwy ściany pokryte zdjęciami powycinanymi z używanych magazynów i tabloidów. Pod przyokienną kratą wentylacyjną przyklejono teraz trzepoczący pod wpływem podmuchów powietrza długi poster przedstawiający kolejne fazy biegu geparda. Pod jej odbiornikiem TV przyklejono do ściany mapy z National Geographic. W przeciwieństwie do tej, połowa pokoju należąca do Daniela była niemal sterylnie czysta. W swojej szpitalnej piżamce chłopczyk wyglądał jak nowicjusz. Nie tknął obiadu. Spróbowała sobie przypomnieć salkę Brandona Macauleya i szeregi pokrywających jej ściany artystycznych pocztówek – może Sargenta – a także fotografii dziedziców Alhambry i kościelnych naw.

– Ponieważ wyparła pani Daniela IV, chłopak usiłuje naśladować ludzi znajdujących się

poza salą.

– Ustawię drzwi tak, żeby się same zamykały po wyjściu gości, dobrze?

– Ja tam się nigdzie nie wybieram.

– Czy miałabyś coś przeciwko temu, żebyśmy mu poczytała?

– Proszę się nie krępować. Ale ostrzegam, że on dość szybko traci zainteresowanie nowinkami.

– Co to jest nowinka? – zapytał Daniel.

– Coś nowego i nieoczekiwanego. Dla ciebie praktycznie wszystko.

Grace usiadła, wyjęła pada i odchrząknęła.

Chłopczyk ułożył się na brzuszku; wparty łokciami w pościel wyglądał jak uosobienie uważnego słuchacza. Minerwa pochyliła w dół słuchawki i opuściła na oczy wizjer hełmu audio.

– Opowieść nazywa się „Pajęczyna Charlotty” – zaczęła Grace. Gdy czytała, Daniel uderzał w powietrze piętą o piętę. Z otwartymi ustami wyglądał jak zwykły chłopczyk zafascynowany usłyszonym opowiadaniem.

– „Fern nie mogła oderwać oczu od świnki...” – czytała Grace, gdy drzwi otworzyły się ze szczękiem zamka. Oboje z chłopcem podnieśli wzrok, wszystkim jednak, co zdołali zobaczyć, był zaprojektowany na kształt kitlów stewardess linii lotniczych rękaw stojącego za drzwiami pielęgniarskiego Biggs’a. – „Spójrz na niego, jest idealny” – kontynuowała Grace, nie zwracając uwagi na dobiegające z korytarza pomruki głosów.

– Nie, doktor Das mówi o jeszcze dwóch dniach – powiedział głośno pielęgniarski.

Daniel nie odrywał spojrzenia od twarzy Grace, ona zaś uśmiechnęła się do niego, nie przerywając czytania.

– „...Zamknęła ostrożnie pudło. Przede wszystkim ucałowała ojca, a potem matkę i dopiero potem ponownie podniosła pokrywę...”

– To dajmy jej trochę maści! – stwierdził pielęgniarski Biggs i wszedł do sali pozwalając, aby drzwi same się za nim zamknęły, po czym zdarł nalepkę z plastra opatrunkowego. Chłopczyk podniósł wzrok i z promiennym uśmiechem spojrzał na Biggs’a. Grace przerwała, zaznaczywszy palcem przeczytane miejsce w widocznym na ekranie pada tekście i popatrzyła na przyglądającego się pielęgniarskiemu Danielowi.

– Trzeba będzie zacząć wszystko od początku – stwierdziła Minerwa, gdy Biggs podniósł jej rękaw i przykleił plaster we właściwe miejsce manewrując tak, żeby dziewczynka nie musiała wyjmować ramienia z odżywczego roztworu. – Po śniadaniu przeczytałam mu cały rozdział z tej książeczki. Grace zamknęła pada i wstała.

– Będę musiała iść. Miłego popołudnia życzę wam obojgu.

Zatrzymała się w drzwiach i obejrzała za siebie. Daniel zlął z łóżka i podszedł do Biggs’a. Pociągnąwszy rękaw pielęgniarskiego kitla zadał nieuchronne pytanie, które Minerwa skwitowała westchnieniem:

– Kim jesteś?

* * *

W kilka dni później Grace była sama w przebieralni dla żeńskiego personelu. Oparłszy czoło o zimną powierzchnię swojej szafki ujęła w dłonie końce stetoskopu, czując ucisk gumy na karku. W pewnej chwili usłyszała skrzypnięcie drzwi i podniósłszy głowę zobaczyła wchodzącą do szatni doktor Langford, która przyszła nieco za wcześnie jak na swój dyżur.

– Ciężki dzień? – zapytała, co Grace skwitowała kiwnięciem głowy. – Niedobrze, bo jest piękna pogoda. Jasny, słoneczny, choć niezbyt upalny dzień.

– Kilka razy widziałam to przez okno.

– Przykro mi, że o tym wspominam.

– A zauważyła pani, że gdy jest ładnie na zewnątrz, mamy więcej dobrowolnych rezygnacji, niż podczas niepogody? To tak, jakby wszyscy zwolennicy optymalizacji wyglądali przez okno i myśleli o całej zabawie, jaką stracą, gdy będą musieli się opiekować dzieckiem.

– To dość surowa ocena – stwierdziła doktor Langford, wsuwając torebkę do szafki.

– Optymaci to zwykle najgorsi ludzie, jacy mogliby się zaopiekować dzieckiem specjalnej troski. Nie szukaliby pomocy genooptymów, gdyby nie próbowali iść na przelaj i gdyby gotowi byli zaakceptować to, co niesie im życie.

– Są jeszcze inne powody, dla których ludzie robią dzieci. Po usłyszeniu tej frazy Grace zmusiła twarz do zachowania spokojnego wyrazu.

– O, z pewnością. Oprócz perfekcjonistów są rodzice na pokaz usiłujący narzucić dzieciom swoje niespełnione marzenia.

Doktor Langford spojrzała uważnie na Grace.

– Mówi to pani z taką goryczą...

– Doktor Langford, pracuję tu od jedenastu lat. To wystarczy, by wpoić człowiekowi cynizm i gorycz. – Wstała, otworzyła szafkę i zajęła się kitłami. – A może wystarczy taki jeden dzień, w którym para przynosi swoje zoptymalizowane dziecko na przechowanie, bo dziewczynka „nie jest taka, jak powinna” i okazuje się, że optymalizacja była idealna, a oni po prostu uszkodzili małej mózg potrząsając nią, żeby przestała płakać. – Zrzuciła klapki ze stóp, unikając wzroku doktor Langford. – Theo – westchnęła – czy nie możemy porozmawiać o tym innego dnia? Czuję, że to wszystko zaczyna przerastać Daniela.

– Też to pani spostrzegła?

– Taaa... jestem pani winna kawę z przeprosinami. Chciałam się tylko upewnić, że ktoś jeszcze się o niego troszczy.

– Jakkolwiek skończy, będzie miał opiekę.

– Na oddziale dziecięcym może zadbają o jego zdrowie, ale nie podejmą prób

przystosowania go i ofiarowania mu nowego życia.

Doktor Langford zebrała włosy z tyłu głowy i upięła je w kucyk.

– Chłopiec byłby dobrym tematem na grant badawczy. To mogłoby zapewnić mu oddzielne miejsce i specjalną opiekę.

Grace podniosła wzrok, bujając w powietrzu jedną tenisówką.

– Mogę popytać wśród znajomych na oddziale i spróbować kogoś zainteresować. Ostatecznie badania i praca naukowa to najlepszy sposób wydostania się stąd na szersze wody.

Doktor Langford zamknęła szafkę i przez chwilę jeszcze trzymała dłoń na kłamce.

– Wie pani, Grace, w tym miejscu musi się wiedzieć, kiedy się przejmować. I do jakiego stopnia. – Pchnąwszy drzwi znikła w głębi korytarza. Grace wydało się jeszcze, że usłyszała: – Niech się pani nie załamuje... – Zastanawiała się, czy doktor Langford na nią doniesie, i czy już przypadkiem tego nie zrobiła. Władze szpitalne wezmą pod uwagę opinię specjalisty psychiatry, a w jej aktach nie było już miejsca na kolejną interwencję administracyjną.

Skończywszy przebieranie się spojrzała na swój ubiór. Miała na sobie spodnie z dobrze porozmieszczanymi kieszeniami na rozmaite drobiazgi i luźną, zapinaną na guziki koszulę. Zastanowiła się, kogo zamierza udawać jadąc codziennie kolejką do pracy, z powrotem i co ta Grace robi w czasie wolnym. Ruszyła ku wyjściu, ale powodowana jakimś impulsem otworzyła drzwi na klatkę schodową i podeszła na trzecie piętro. Ruszyła korytarzem wstrzymując oddech. W pokoju 408 panowała cisza i było tylko jedno łóżko.

– Dziś przyjechał autobus zabierający pacjentów na oddział chroników – stwierdziła Minerwa. – Nie martw się, nie chcę przez to powiedzieć, że go zabrali. Po prostu powstały nowe miejsca na dwójce, to wszystko.

– Przyszłabym i tak, żeby zobaczyć się z tobą – skłamała Grace.

Minerwa odsunęła wizjer i mikrofon na tył głowy.

– Możesz usiąść.

Grace usiadła w nogach łóżka, gdzie było sporo miejsca, przepelniona poczuciem winy i litości.

– Pamiętam, kiedy twój zestaw na głowie trzymał się na agrafkach.

– Owszem, wolę mieć ręce.

– Jak się ma numer dwa?

Minerwa targnęła pasek rzepa, żeby uwolnić lewe ramię. Zdjęła zestaw lśniącą, w pełni uformowaną dłonią z pięcioma nabrzmiewającymi palcami, poza kciukiem wyrastającym ze stawu łokciowego.

– Gratulacje!

– Prawie gotowa. – Minerwa uśmiechnęła się skapo i na krótko, a potem ponownie opuściła dłoń w gęsty, lepki płyn.

– Nie jesteś zadowolona?

– Tak, prawie. Zawsze marzyłam o tym, żeby mieć dłonie, ale oni chcą też, żebym miała nogi.

– To cię dziwi?

– Ja nie chcę. Dwa lata trwało, zanim wyrosły mi te ręce. Dwa lata obżerania się i brania kroplówek, leżenia z tymi kikutami w płynie i poddawania się cotygodniowym drobnym zabiegom operacyjnym. – Podniosła prawą rękę. – O ile o mnie chodzi, to mi wystarczy. Rąk potrzebuję do podnoszenia przedmiotów, naciskania guzików i opuszczania się na fotel.

– Ale pomyśl o tych wszystkich innych rzeczach, które będziesz mogła robić. Chodzić, biegać, bawić się...

– To nie jest tego warte. – Minerwa wsunęła rączkę w dłoń Grace. – To hodowanie kończyn jest bolesne. Najgorsze są kości. Czasami łapią mnie widmowe bóle, których nigdy nie mam poza tą wzrostową wanną. Są też pomyłki, amputacje, odżywianie – wiesz, że do tego ramienia musiałam przybrać na wadze piętnaście funtów. Nie mogę na to tracić kilku kolejnych lat. Muszę się wydostać poza tę salę. – Zaciśnęła palce na dłoni Grace, a w jej oczach pojawiło się błaganie.

Grace zaczęła się zastanawiać, kto prowadzi proces ulepszenia Minerwy i czy ktokolwiek z całego zespołu zapytał kiedyś dziewczynkę o jej pragnienia. Spojrzała na jej dłoń, której skóra pełna była blizn po kolejnych nieudanych próbach i na palce, już pokryte odciskami od klawiszy komputerowego sterownika.

– Czytałaś mi tę opowiadkę o Pajęczynie Charlotty, pamiętasz?

– Po tym, jak cię przekazano na mój oddział, jasne.

– Zabawna historyjka do czytania gupikowi. Wiesz, dlaczego wtedy płakałam?

– Myślałam, że tęsknisz za rodzicami.

– Trochę. Ale głównie dlatego, że zrozumiałam. Miałam pięć lat, ale zrozumiałam – jak miałam dwa latka, moi rodzice przyznali się do winy i zgodzili na grzywnę, żeby móc skorzystać z pomocy urzędowego prawnika. Potem ten prawnik zdołał znacznie zmniejszyć grzywnę. I zaczęli czekać. Jeżeli weźmiesz swojego gupika do domu, żeby mu zapewnić opiekę i wykażesz „maksimum dobrej woli”, to możesz oddać dzieciaka rządowi bez płacenia większej części grzywny. Okres „maksimum dobrej woli” trwa trzy lata. Oddali mnie tu po trzech latach i jednym dniu.

– Już w wieku pięciu lat byłaś bystrym dzieckiem.

– Optymalizacja mentalna akurat była tym, co się sprawdziło.

Przez chwilę obie patrzyły za okno na deszcz i widoczne dobrze w mroku światła latarni.

– Tęskniłam za tobą – stwierdziła dziewczynka.

* * *

Mijając tablicę z napisem Clevelandzkie Regionalne Pediatriczne Centrum Hospitalizacji

Skaz Genetycznych Grace przełożyła przez głowę pasek identyfikatora. Grubą plastikową plakietkę wetknęła do kieszeni kurtki i zasunęła zamek błyskawiczny, a potem pospiesznie przeszła przez plac na przystanek kolejki szybkiego ruchu, by zająć miejsce. Jej koledzy po fachu w większości nie wyrażali sprzeciwu w kwestii rozmów o pracy. Niektórzy lubili nawet opowiadać o co bardziej dramatycznych przypadkach, Grace jednak po pracy zdejmowała kitel i wchodziła do kolejki nie pokazując nikomu plakietki Centrum tak, żeby dojeżdżający do pracy inni pasażerowie nie zadawali jej pytań. Teoretycznie pracownicy Centrum powinni byli z chęcią wypowiadać się publicznie i wyjaśniać, jakie są niebezpieczeństwa nielegalnego uprawiania inżynierii genetycznej. Ale ta świadomość wcale nie pomagała znosić chorobliwie dociekliwych pytań ludzi, którzy chcieli się dowiedzieć: „Jaki był pani najgorszy przypadek?”, „Czy wielu z nich umiera?” „Czy mieliście tu chłopca z dwójgiem ust? Tego z reklamy Centrum”? Starła się o przyjęcie do Centrum z tych samych powodów, z jakich po szkole medycznej zgłosiła się na ochotnika do pracy w publicznej klinice w Meksyku: była osobą pełną szlachetnych nadziei i intencji. Po jedenastu latach pracy niełatwo było wysłuchiwać obojętnie rozbudzonych przez tabloidy ludzkich fantazji.

Otworzyła na padzie „Plain Dealera”. Stwierdziła, że przegląda miejscową kronikę kryminalną niczym detektyw amator, szukając informacji o szajkach handlujących dziećmi. W końcu wygasła ekran i przez trzy ostatnie przystanki pomiędzy Centrum a budynkiem, w którym mieszkała, patrzyła po prostu w okno. Zajmowała mieszkanie na piątym piętrze, skąd miała otwarty widok na jezioro. Zostawiła torebkę przy drzwiach i zzuła trzewiki. Wgłębienie w kanapie przyjęło ją chętnie, gdy usiadła podwijając nogi i rozglądając się za jakimś zajęciem. Książki, które już przeczytała, podręcznice, pamiętniki nauczycieli, humanistów i biologów pokrywała już warstwa kurzu. Przed ekranem zestawu rozrywkowego piętrzył się stos brudnych naczyń, a nad owocami w kuchni krążyły drobne muszki.

Przeniosła wzrok na stół *pokryty prezentami od pacjentów*. Podniosła papierowego łabędzia origami i niewielką abstrakcyjną rzeźbę z gliny, potem musnęła palcami kilka zwojów drewnianych koralików leżących na tablicy informacyjnej, popatrzyła też na lakierowane fotografie i szkice węglem. Cóż zrobiła dla nich dobrego? Zaczęła się zastanawiać, czy Daniel narysuje jej coś, jeżeli zostanie dostatecznie długo. Kominkowy rodzinny zegar Stellerów zaczął wydzwaniać godzinę i poczuła skurcz w żołądku. Wstała i ruszyła do kuchni, nie patrząc na oprawioną w ramkę fotografię uśmiechającego się krzywo Brandona Macaulaya i na jej rysunkowy portrecik, który nakreślił krótkimi, oszczędnymi liniami pomiędzy jednym i drugim atakiem bólu.

Usłyszała brzęk telefonu, a na ekraniku identyfikacyjnym zobaczyła, że dzwoni Bob Kafouri.

- Mam dobre wiadomości w sprawie naszego małego cherubinka.
- Daniela? O co chodzi? Znaleźliście jego rodziców?
- Nie rodziców, ale udało się wykryć pewien wzór wśród par oddających dzieciaki z

odrzutów, jak to mówią, niewidoczny na pierwszy rzut oka. To może być produkt uboczny techniki tej pracowni i chłopcy uważają, że pasuje do niektórych poważniejszych sprawek.

– Co to niby oznacza dla Daniela?

– Może się okazać, że stanie się przyczyną pierwszego w kraju rozbicia specjalistycznego laboratorium nielegalnej genetyki! Posłuchaj, jak rozpracujemy ich lepiej, zadzwonię, żebyś mogła przeczytać pierwsze wiadomości.

Nie czekał, żeby usłyszeć, co miała do powiedzenia. Ekranik telefonu pociemniał i Grace odłożyła słuchawkę powstrzymując chęć rzucenia nią o ścianę. Podniosła leżącą obok książkę, opasłą powieść historyczną, która w księgarni wyglądała znacznie bardziej obiecująco i usiadła, usiłując zwolnić oddech, a potem skupiła wzrok na druku. Przez minutę albo i dziesięć bezmyślnie gapiła się na słowa. Potem nagle cisnęła nią precz – tom zatrzymał się na kuchennym progu. Książka padła okładkami do góry, a Grace patrzyła obojętnie, jak osuwała się pod swoim ciężarem gniotąc strony, aż w końcu legła bez ruchu.

* * *

W następnym tygodniu Minerwa kręciła się po sali w lekkim, lśniącem złociście fotelu na kółkach zostawiając długie ślady w miejscu, gdzie stało dawniej łóżko Daniela.

– To ty wybierałaś kolor? – zapytała Grace.

– Czego niby?

– Fotela.

Minerwa potrząsnęła główką.

– Dostałam jednak dziesięć palców i nic ekstra.

Podniosła lewą rękę tak, by była dobrze widoczna w smudze światła z sąsiedniego budynku i rozsunęła pięć palców. Były zaczerwienione od pocierania o krawędź kół fotela, a jej łokieć wystawał z rękawa.

– Słyszałam, że wczoraj przyszła mnie pani zobaczyć. Wpakowała się pani w sam środek laserowej amputacji.

– Nie zauważyłam czerwonego światła.

– Kazali pani pójść pod oftalmoskop?

– Wykręciłam się.

– Kilka lat temu sama byłam pod „skopem”. Dali mi zbyt lekkie znieczulenie i obudziłam się w samym środku jednej z amputacji. Z jakiegoś mętnego snu ocknęłam się na łóżku otoczonym przez ludzi w czerwonych, plastikowych kapturach. Byłam tak przerażona, że zapomniałam, by nie patrzeć na laserowy skalpel obcinający mój kikut.

– Twoje oczy były wtedy w porządku?

– Tak Powtarzałam im cały czas, że czuję się dobrze i oczy wcale mnie nie bolą. Nie wierzyłam, gdy mi mówili, że mogę mieć poparzoną siatkówkę nic o tym nie wiedząc i że w

tylnej części oka nie ma nerwów. Wciąż myślałam, że nerwy są z mojej strony.

– Więc masz – powiedziała Grace – wszystko, czego chciałaś.

– Taaaa... dziesięć palców i fotel.

– A oni nie zamierzają przestać?

Minerwa podjechała i zatrzymała fotel obok niej, zwracając się twarzą do okna. Nad ławkami i budkami osłonowymi telefonów i automatów krążyły biało-różowe płatki – gdzieś niedaleko musiały być drzewka kwitnących wiśni.

– Niekiedy myślę, że im zależy tylko na nowych nagłówkach w gazetach: „Co się może przytrafić dziecku bez rąk i nóg?”. Kiedy nie chcę być nieuprzejma, sądzę, że chcą mieć poczucie, iż zrobili wszystko, co mogli.

Grace rozwiązała jej kucyk i rozpuściła włosy luzem.

– Co chciałybyś robić, gdy dorośniesz? Mówiłaś o badaniach naukowych, ale z jakiej dziedziny? Nie uważasz, że przydałaby ci się możliwość chodzenia? Może nawet okazać się to konieczne.

– Chciałabym czyścić i badać kości dinozaurów. Widziałam w telewizji, jak to się robi, one cały czas są nieruchome. – Dziewczynka parsknęła śmiechem.

– Skąd możesz mieć pewność? Wygląda na to, że wiesz, iż to będzie oznaczało dla ciebie lepsze życie, ale możesz się mylić.

Twarzyczka Minerwy spoważniała.

– Uwierzyła pani Brandonowi Macauleyowi.

Dłoń Grace zamarła w połowie drogi ku jej włosom.

– Jak mogła pani mieć pewność, że jego życie się nie polepszy? Że nie wynajdą jakiejś cudownej kuracji? Ale pozwoliła mu pani podjąć własną decyzję. Zaufała mu pani.

Lekarka przez chwilę bez słowa patrzyła przed siebie, a potem odezwała się nienaturalnie wysokim głosem:

– Ja... ja tego nie zrobiłam. Oczyszczono mnie z zarzutów.

– Oczywiście. „Popęłniła pani błąd” podając mu zbyt dużą dawkę nowego środka nasennego. Ale uwierzyła mu pani, że on chce umrzeć. Gdy to powiedział, uwierzyła mu pani.

Grace spojrzała na Minerwę przez ramię.

– Owszem. Uwierzyłam.

– A ja tylko mówię, że nie chcę mieć nóg. – Minerwa uśmiechnęła się nikło i nieco krzywo.

– On był starszy od ciebie.

– Czytam artykuły na poziomie szkoły średniej.

– To... nie wiem, Minerwo.

– Chcę żyć, a nie tylko być wiecznym pacjentem.

Grace przez dłuższą chwilę patrzyła przez okno, mocno zaciskając usta. W końcu uklękła

obok fotela dziewczynki i mocno przytuliła ją do siebie. Minerwa owinęła ramionka wokół szyi lekarki i zamknawszy oczy uściskała ją serdecznie.

– Czy o tym właśnie chciała pani ze mną porozmawiać? – zapytała szeptem.

– Tak i nie. Przyszłam porozmawiać o Danielu. Niedawno go odwiedziłam.

Minerwa powoli skinęła głową.

– Jest miłym dzieciakiem. Lubię go, gdy przez krótki czas jest sobą.

– Nigdy nie byłaś na oddziale chroniczków prawda?

– U psycholi? Nie, i z tego co słyszałam, nie chciałabym tam trafić.

– To jakby przechowalnia albo magazyn. To wszystko. To... – przerwała i westchnęła. –

Kupiłam samochód.

Zobaczyła, że brwi Minerwy powędrowały w górę.

– Nie miałam żadnego od wielu lat.

– Cieszę się. – Dziewczynka uśmiechnęła się osobliwym, pozbawionym wesołości uśmiechem, a jej nowe, niespodziewanie silne i gładkie dłonie zacisnęły się na palcach lekarki.

Grace wydała z siebie szybkie, głębokie westchnienie. – Co ty... – ponownie zerknęła ku drzwiom, na mikrofon i kamery, o których obecności dobrze wiedziała.

Minerwa raz jeszcze mocno ją objęła.

– Umiem czytać mapy – szepnęła. – Mogę też śledzić wiadomości. Dobrze sobie radzę z komputerami, potrafię dowiadywać się o różnych...

– Poradzę sobie – odparła Grace. – Nie martw się o mnie.

Odsunęła się i wstała.

– Zaraz zacznie się mój dyżur.

– Wiem. Kwadrans po trzeciej.

– Skąd wiesz?

– Doskonale się orientuję w planie dyżurów, jak powiedziałam, znam się na kompach. – Znów ten nikły uśmieszek.

Grace odwróciła się, żeby odejść, ale Minerwa podjechała za nią i chwyciła jedną ręką krawędź jej kitla.

– Minerwo...

– Proszę przyjść i zobaczyć się ze mną jutro. Pielęgniarki nie lubią, gdy sama przenoszę się na fotel, bo naraża to mój kręgosłup, ale ja już mogę to robić. Tak czy inaczej, kończy pani o trzeciej, gdy one zmieniają dyżury i składają sobie raporty. Spotkamy się przy windach. – Uśmiechnęła się. – Mogę pomóc.

Minerwa przez chwilę patrzyła Grace w oczy, utkwivszy spojrzenie swoich piwnych w szarych źrenicach lekarki, a potem jej palce zwiotczały i puściły krawędź kitla.

– Żegnaj, Minerwo.

Minerwa odwróciła się.

– Żegnaj, Grace.

* * *

Grace zjechała na pobocze, gdy nad szczytami drzew niebo zaciągało się już ciemnym błękitem. Wjechawszy w lasy Kentucky skręciła w boczną drogę i teraz, gdy zatrzymała wóz i opuściła boczną szybę nie słyszała niczego oprócz szumu drzew i postękiwań silnika.

Wysiadłszy nasłuchiwała jeszcze przez chwilę, czując jak chłód zbliżającej się nocy jeży włoski na grzbietach jej dłoni. Stała otoczona drzewami, wysokimi i tak zielonymi, że na tle ciemnobłękitnego nieba wprost raziły oczy. Gdzieś w cieniu widać było czerwień kwiatów krzewu derenia. Czowała zapach liści, ziemi i inne, niegdyś dobrze jej znajome aromaty. Przez chwilę myślała o Minerwie i zastanawiała się, czy dziewczynka kiedykolwiek oddychała takim powietrzem.

Od czasu, gdy wyjechała z Centrum wspomnienie Minerwy nieustannie zakłócało narastające w niej poczucie spokoju. Poddała się wreszcie i oparta o zakurzony samochód pomyślała o samotnej dziewczynce uparcie jeżdżącej po swojej sali w fotelu na kółkach. Może zresztą nie była sama, może opadli ją ochroniarze i odpowiadała teraz na pytania.

Poczuła ucisk na piersi, jakby miała puste płuca. Czy Minerwa czekała na Grace? Czy naprawdę chciała uciec? Musiała wiedzieć, że się wyróżnia, była dzieckiem z reklamówek i nie zapomniano widoku jej twarzyczki, sama jej obecność stwarzała zagrożenie. W Centrum miała jakąś przyszłość; czy sądziła, że Grace Gould jej to odbierze? Była zbyt inteligentna, żeby na to liczyć.

Ale czy inteligencja stanęłaby na drodze jej pragnieniom?

Grace odetchnęła głęboko. Nie mogła zwlekać, traciła światło dzienne.

Gdy nacisnęła bagażnik, pokrywa otworzyła się tak cicho, że Daniel nawet nie drgnął. Środek nasenny powinien już przestać działać, ale Minerwa miała rację – chłopczyk wybudzał się z kamiennego snu. Leżał w małej twierdzy z poduszek i taśm, które chroniły go przed obijaniem się o skrzynki i pudła zawierające wszystko, czego potrzebowali do rozpoczęcia nowego życia w innym miejscu.

Gdy zaczęła wsłuchiwać się w jego oddech, resztki wahań i tkwiącego w niej jeszcze poczucia winy rozplynęły się w nicość.

– Dawidzie – szepnęła. – Obudź się. – Odsunęła mu z czoła kędzior włosów i potrząsnęła jego dłonią. – Wstawaj.

Chłopczyk odwrócił się na bok, otworzył oczy i uśmiechnął się.

– Spać mi się chce.

– Wiem, i już niedługo będziesz mógł sobie pospać do woli, ale teraz musisz się obudzić.

Daniel, teraz już Dawid, usiadł i ziewnął. Ujęła go za podbródek i zakropiła mu oczy rozszerzającą żrenice atropiną. Zachichotał widząc, że Grace wkłada na głowę czerwony,

plastyczny kaptur.

– Zobaczysz jaskrawe światło. Chcę, żebyś dla mnie spojrział prosto na nie, dobrze?

– Dobrze. – Błękit jego tęczówek zniknął pod wpływem naporu czerni źrenicy. Chłopczyk wyciągnął rączki i dotknął jej nieruchomej teraz niczym kamień dłoni, w której tkwił już niewielki, ręczny, zabrany z Centrum laser do amputacji drobniejszych narządów. – Kim jesteś?

Grace ujrzała swoje odbicie w tylnej szybie i zachnęła się nieco. Kim była, bezosobowa i pozbawiona twarzy, jak sylwetki z koszmarnego snu Minerwy? Zmrużywszy oczy opuściła czerwoną szybkę wizjera.

– Jestem twoją mamą – szepnęła.

Naciskając guzik lasera pomyślała: „I ostatnią osobą, którą kiedykolwiek zobaczysz, maleńki”.

Przełożył Patryk Sawicki

Ian R. MacLeod

FERALNA SZTUKA

Jeżeli chodzi o mnie, to byłam feralną sztuką, choć teraz pewnie już nikt nie wie, co to znaczy. Sporo wody i krwi upłynęło od tego czasu... Gdy weszłam na wzgórze po emeryturę, dziewczyny na poczcie dyskutowały o tym, ile wojen światowych rozegrało się w zeszłym tygodniu i kto tak naprawdę je wygrał.

Fakt, zgłosiłam się na ochotnika sądząc, że pomoże mi to uciec od smrodu patelni w kuchni naszej herbaciarni w Manchesterze. Wybór padł na RAF i myślałam, jaka to ze mnie szczęściara, szczęściara, szczęściara ze względu na prestiż tych chłopaków, cudownych chłopaków, najlepszych ze wszystkich, mówiących jak ludzie z BBC – a przynajmniej tak ich sobie wyobrażałam – i grających w rugby i w nogę w drużynach ekskluzywnych szkół i równie ekskluzywnych południowych hrabstw. I wiele z tego okazało się prawdą, choć wylądowałam za maszyną do pisania na zapleczu kuchni polowej, skąd zamawiałam musztardę i sosy w związku z moim, tu cytat, „znacznym doświadczeniem w branży gastronomicznej”.

Tak oto, mając zaledwie osiemnaście lat zostałam szczęściarą, szczęściarą, szczęściarą w WAAF-ie*. I nadal nie wiedziałam, kim jest feralna sztuka, ale nie miało to nic wspólnego z jakością mięsa – jagnięciną, bekonem, ani wielkimi blokami słoniny, które zamawiałam do smażenia. Lotniska dla bombowców były wielkie i puste, a swe obszerne, szumne nazwy brały od otaczających je mokradeł. Wisbeach, Finneston, Witchford. Mieliliśmy w bród trunków i potańcówek i nigdy nie brakowało pieniędzy, bo nie istniał powód, dla którego warto by było oszczędzać. Bo nigdy nic nie wiadomo, prawda? Nigdy nic nie wiadomo. Jednego dnia grzejesz jeszcze łóżko, a następnego ktoś inny narzeka, że niezmieniona pościel nadal tobą pachnie. Ogromne maszyny niczym szkaradne owady oddalają się w godzinie śmierci, by stawić czoło słonemu wiatrowi nad bagnami oraz światłom i błękitnym oparom

* Womens Auxiliary Air Force – Żeńska Służba Pomocnicza w Lotnictwie Królewskim Wielkiej Brytanii (przyp. tłum.).

latarni naftowych ustawionych wzdłuż pasów startowych. Pośród ogłuszającego ryku wspinają się na ciemniejące niebo, a my stoimy na ziemi i się im przyglądamy. Rozniosła się pogłoska, że dziś celem będzie Hamburg, Dortmund, a może Essen... jakieś mgliście pamiętane z wyblakłej mapy szkolnej miejsce, którego blask przebija się w bezksiężycową noc przez ciężkie chmury, a im cięższe tym lepiej dla bombowców, nadlatujących z warkotem i zrzucających śmierć w długich, stalowych pociskach, prosto na ludzi zupełnie takich jak my, jakby się nad tym zastanowić, innych tylko ze względu na wojenne koleje losu. A potem wracają w rozluźnionym szyku, dwójkami i trójkami, wypatrując świateł wybrzeża po wielu milach ciemności. Czarne punkciki na horyzoncie o świcie, które równie dobrze mogą być chmurami, wronami lub tylko wytworem zmęczonych oczu. Hałas, dym i płomień. Niechcące odpalić silniki. Jeszcze nim wzejdzie słońce, a skowronki rozpoczną swe trele, wszystko zostaje spowite nerwową ciszą. Nikły posmak znużenia. A potem przychodzi depesza telegraficzna o MG 3138, który z trudem dotarł do Brightlingsea. I o CZ 709, który zarył w pole w Theddlethorpe. A także o LK 452, ostatnio widzianym w płomieniach nad Brukselą i starszym sierżancie Shanklinie, którego sanitariusze wyciągnęli całego we krwi z więzyczki strzeleckiej i który odszedł w drodze do szpitala. Wieści o zabitych. Wieści o zaginionych. Wieści o ocalałych.

Wszędzie dookoła czaiła się śmierć, przy piwie, w śmiechu, podczas gry w kręgle i niekończącej się gry w karty, rzutki, krykieta. Świadomość, że część samolotów wylatujących na każdą większą misję prawdopodobnie nigdy nie wróci. Pewność, że połowa załóg nie przeżyje swych dwudziestu misji. Dlatego też wszyscy byliśmy wściekle przesądni. I to przychodziło samo, nikt nie musiał tego jakoś specjalnie wymyślać. Kto stawiał pierwszą kolejkę. Kto wsiadł do samolotu ostatni. Niegolenie się bądź golenie tylko połowy twarzy. Całowanie ziemi, całowanie powietrza, śpiewanie, nieśpiewanie, sikanie na podwozie, plucie. Raz widziałam kapitana, który wpadł w szal, bo dziewczyna z kuchni nałożyła mu na tacę tylko dwie parówki. Tamtej nocy, w trakcie dużego nalotu na Dortmund, jego Lancaster zniknął w ogniu artylerii przeciwlotniczej; pamiętam, że kosztowało mnie to sporo bezsennych nocy, gdyż to ja zapomniałam złożyć zamówienie u rzeźnika. Ale wszystko wówczas czuło się tak wyraźnie i jasno: stopy w butach, język w ustach i oczy w oczodołach. Oraz obrzydliwy zapach paliwa bombowców. Dlatego też wszystko miało znaczenie. Każde zdarzenie było nacechowane i istniało w jedynym czasie, jaki miał wówczas znaczenie – tym leżącym między chwilą obecną a następną misją. Ważne więc były skarpetki nie do pary i liczenie parówek, plucie i nieplucie, stare i nowe kapelusze zakładane tyłem na przód i odwrotnie. Sikanie na podwozie i gwizdanie. No i całowane dziewczęta.

Ja akurat byłam feralną sztuką, a szeptane pogłoski o tym otaczały mnie z każdej strony niczym cierpkie, poranne wieści o nieudanych nalotach. Nie wiem, jak to się zaczęło, bo z wieloma chłopakami chodziłam na tańce, po których wychodziliśmy na zewnątrz, by nieco nerwowo poobściskować się w ciemnościach, chichocząc do wtóru. Czasem, ponieważ ich

kochałam i było mi ich tak strasznie żal, pozwalałam im iść niemal na całość, w ostatniej chwili się wycofując i wpuszczając między nas rozmigotane światło gwiazd. Pójścia niemal na całość trzeba się było nauczyć, jak tego, jakie kto nosił miedziane guziki i maszerowania w szeregu. A ja byłam szczęściarą. Wyśpiwywałam to sobie rankami myjąc zęby i ze śmiechem powtarzałam chłopakom wieczorem w kantynie NAAFI*, raz za razem przegrywając z nimi w karty.

Możliwe, że zaczęło się od starszego sierżanta Martina Beezlyego, który pewnego upalnego letniego popołudnia wszedł na nasze zadymione zaplecze, przysiadł na krawędzi mojego biurka – pamiętam jego sterczące do góry blond włosy – i powiedział, że udało mu się zdobyć dwa rowery i ma ochotę na piknik. Zwinęłam więc kalki i wstałam, a pozostałe dziewczyny przyglądały się tylko ze szczękami swych maszyn opuszczonymi w zdumieniu, jak wychodzę na zewnątrz, na słońce. Tamtego popołudnia nie wydarzyło się nic ponad to, co zapowiadał starszy sierżant Beezly. Jeździliśmy na rowerach wzdłuż rowów odwadniających i przez drewniane mosty, a potem siedzieliśmy na kocu i kiedy ja jadłam markizy, on opowiadał mi o swoim domu na północnym wschodzie i o tym, że po wojnie zamierza założyć firmę dostarczającą kanapki do fabryk. Lecz wszystko to wydawało się równie odległe jak błękitne niebo oraz – biorąc pod uwagę bezchmurne, czyli niesprzyjające warunki pogodowe – jak to, że tamtej nocy odbędzie się jakiś nalot. Byliśmy po prostu dwójkiem młodych ludzi, cieszących się niewzruszoną pewnością danej chwili (którą przypomina mi zawsze smak markiz), a starszy sierżant Beezly posunął się zaledwie do muśnięcia palcami mojego policzka tuż przed tym, jak wsiedliśmy z powrotem na rowery i z niepokojem zwróciliśmy wzrok ku wschodowi, gdzie nagle zaczęły gromadzić się ciężkie chmury. Nim dotarliśmy z powrotem do bazy, jadąc szybko, napędzani chłodnym, zupełnie nie letnim wiatrem świszczącym w rowach, już całe niebo było zasnutę. Rozkazy zostały już wysłane, odprawy już trwały, a załogi naziemne już przystąpiły do pracy w blasku lamp łukowych rozbłyskujących w hangarach. Jeszcze pięć minut, nieco lżejszy wiatr podczas jazdy, a byłaby naprawdę niezła draka w związku ze mną i starszym sierżantem Beezlym, który jako nawigator, niezbędny do przeprowadzenia jednej z tych wielkich maszyn przez ciemne niebo, stanąłby do raportu, a potem zapewne trafiłby przed sąd wojskowy.

Stało się jednak tak, że wpadł do sali odpraw dokładnie w chwili, gdy rozwijano mapę i – jak mi się zdaje – usiadł na ławce szkolnej tuż przy drzwiach, jeszcze próbując złapać oddech, z palcami umazanymi tym samym smarem do roweru, który później znalazłam na policzku. Tamtej nocy celem był Amsterdam – krótki wypad, by jak najlepiej wykorzystać ohydne chmury, które według speców od pogody nie miały się długo utrzymać. Amsterdam. Jeden z tych nalotów, które zawsze wydawały się nie w porządku, nawet jeśli było to terytorium okupowane przez wroga. Tamtej nocy Lancastera GZ 3401, którego nawigatorem był starszy

* Navy, Army and Air Force Institutes – organizacja odpowiedzialna za prowadzenie kantyn sił zbrojnych Wielkiej Brytanii (przyp. tłum.).

sierżant Beezly, ostatni raz widziano, gdy próbował się przedostać przez ogień zaporowy wroga nad wybrzeżem Morza Północnego, z pełnym ładunkiem bomb, niczym powolny, brzydki motyl przyszpilony światłem sześciu reflektorów.

Być może właśnie wtedy pojawiły się pierwsze szepty – gdy wyszłam z zaplecza przed końcem pracy ze starszym sierżantem Beezlym, choć Bóg mi świadkiem, to samo przytrafiło się niejednej z pozostałych dziewcząt. To i jeszcze gorsze rzeczy. Zerwane zaręczyny. Odwołane małżeństwa. Wizyty na oddziale oparzeń i brzuchy po tym, jak poszły na całość zamiast zatrzymać się w połowie drogi. Zrujnowane życia nie do naprawienia, które nadal można oglądać snujące się po pocztach, jeśli tylko człowiek wie, jak i kiedy patrzeć.

A potem, tydzień później, trafił się podporucznik Charlie Dyson, cieszący się sławą jednego z tych, co to biegają za dziewczynami. W zasadzie tylko tańczyliśmy i całowaliśmy się na sali w pobliskiej wsi, choć tamtego wieczoru chyba po raz pierwszy naprawdę coś mnie w nim pociągało, jakaś zmiana, która zaszła w jego spojrzeniu. To, a także fakt, iż zgolił wreszcie wąsiki à la Clark Gable, przez które moim zdaniem wyglądał głupio i pyszałkowato. Tak więc całowaliśmy się w tańcu, a potem piliśmy piwo, śmiejąc się wraz z resztą załogi w zajmowanym przez nią kacie. Gdy orkiestra skończyła grać, a wieś na zewnątrz utonęła w mroku, pozwoliłam mu się zaprowadzić pod stary dąb, którego korzenie sięgały rzeki i pieścić mi szyję, dotykać piersi oraz mamrotać tuż przy mej skórze słowa zagłuszane szumem wody. W końcu wsunęłam między nas rękę i dotknęłam go tam, gdzie według mnie tego oczekiwał. Ale podporucznik Charlie Dyson był tam miękki jak dym oraz chłodny i pusty niczym noc. Rozplakał się, więc tylko kołysałam go w objęciach, z ulgą stwierdzając, że nie będzie naciskać, jak inni, by pójść na całość. Gdy wsłuchana w szept rzeki spojrzałam w górę, dostrzegłam między liśćmi dębu, że księżyc, jeszcze przed tygodniem jasny, zmalął. Chłód przesywający ciało odpowiedział mi, że następnego dnia samoloty znów odlecą z ogłuszającym warkotem. Nie trzeba być szpiegiem, czy specem, by to wiedzieć. I że nie skierują się do Amsterdamu, tylko dalej. Do Hamburga. Dortmundu. Essen. Ostatecznie poleciały jeszcze dalej, do samego Berlina, a w trakcie lotu podporucznik Charlie Dyson, cała jego załoga i Lancaster po prostu spadli z nieba. I pochłonęła ich ciemność.

Najwyraźniej po tym zdarzeniu reputacja przynoszącej pecha przyłgnęła do mnie na stałe, oblepiając mnie niczym kuchenny dym. Choć byłam młoda, choć nigdy wcześniej tak naprawdę nie byłam z nikim dłużej i jeszcze nie poszłam z nikim na całość, choć nikt nie śmiał prowadzić żadnych oficjalnych rejestrów tych spraw, byłam już na najlepszej drodze do zostania feralną sztuką. Później dowiedziałam się, że w większości baz był ktoś taki, że – zupełnie jak w przypadku Kitty z zaopatrzenia, która dla wielu załóg była jak matka i Sally Morrison, obozowej dziwki – była to swego rodzaju konieczność.

I uwierzyłam. Każdego wściekle jasnego dnia i ciemnej nocy, pośród załóg o dzikim spojrzeniu i nas – nielicznych, zrozpaczonych, nie mogących usnąć kobiet, gdy o szczęściu lub pechu decydowały chmury i faza księżycy, kochaliśmy i żyliśmy w świetle, który

wykraczał poza granice normalności. Więc oczywiście uwierzyłam.

Nie potrafię podać list i statystyk. Nie potrafię określić, kiedy po raz pierwszy usłyszałam to określenie lub pochwyliłam czyjeś naprawdę dziwne spojrzenie. Ale bycie feralną sztuką to samospełniająca się przepowiednia. Gdy wchodziłam do kantyny, dookoła otwierały się puste czeluście ciszy. Krzesła były dziwnie poprzestawiane. Byłam feralna, a pechowcem był starszy sierżant Ronnie Fitfield, kapitan Jackie White i podporucznik Tim Reid, wszyscy jednego z późnych letnich miesięcy; mężczyźni, których obecnie prawie nie pamiętam poza nazwiskami i stopniami, zrezygnowanym spojrzeniem i ciepłym, szorstkim dotykiem ich twarzy. Wieczory w pubie; ogrywanie miejscowych w cribbage; wycieczka do kina w Lincoln, a następnie ciasne, brukowane uliczki lśniące od deszczu. Jednak z żadnym z nich nie mogłam się związać na dłużej, gdyż od razu wyczuwałam wkradający się między nas mrok, a gdy tylko dotykałam ich ramion i patrzyłam, jak odwracają wzrok wiedziałam, że i oni go czują. Na tańcach, niekończących się popijawach i w szulerniach podpierałam ściany. Choć to mało powiedziane. Byłam prawdziwą opoką serca śmierci i jej żywym ucieleśnieniem. Cała nią drżałam, niczym podłączona do prądu. Dotknięcie, pocałunek, taniec. Obsłudze naziemnej słowa z trudem przechodziły przez gardło, gdy widziała, kto idzie pasem. Doszło do tego, że przestałam wychodzić, gdy odlatywały samoloty i nawet nie patrzyłam na nie przez okno nad łóżkiem. Pozostałe dziewczyny z zaplecza, stare panny WAAF-ki, a nawet rumiane kobiety z wioski, przychodzące opróżnić kubły na śmieci... wszystkie wiedziały, że jestem feralną sztuką i wszystkie w to wierzyły. Mężczyźni, którzy wtedy do mnie przychodzili już byli bladzi i stali na krawędzi. Mój dotyk był im niemal zbędny. Gdy się raz straci kontrolę, szczęście, nerwy, odwagę, nie można już tego odzyskać, a czarne niebo bombowców bezlitośnie zgniata cię w swym uścisku.

Nie mogę powiedzieć, że było to straszne. Wiem, że nie było sprawiedliwe, ale wtedy sprawiedliwość była czymś, czego braku już nawet nie zauważaliśmy. I w tym kontekście, pośród spadających bomb i bombowców, zrozumiałam, że feralna sztuka to nic istotnego i nauczyłam się wycofywać do zimnej, pustej niszy, jaką zapewniał ten status. Przecież i tak nie kochałam żadnego z tych mężczyzn, a jeśli kochałam, to tylko w słodki, ogólny i uderzający do głowy sposób, niknący wraz z każdym krokiem oddalającym mnie od płotu, o który byliśmy oparci. Ponadto uznałam – i zapewne tylko to trzymało mnie przy zdrowych zmysłach – że to nie ja byłam feralną sztuką. Uznałam, że śmierć już czekała gdzieś indziej, a ja byłam tylko drogowskazem mijanym przez niektórych załogantów po drodze.

Jeżeli chodzi o mnie, byłam feralną sztuką.

I w to wierzyłam.

Takimi to dramatami i trudami raczyło nas wtedy życie.

Wraz ze żniwami nadleciały przeganiane z pól wciornastki w czarnych rojach, które pstrzyły okna i sypały się z głowy niczym czarny łupież, gdy tylko przeczesало się włosy. Ómy i komarnice przelatywały całe mile wabione blaskiem światła w hangarach. Pająki

krażyły po wspólnych łazienkach, które wypełniał leśny smród środków dezynfekujących i mokrych ręczników. Niewielkie słońce falowało nad horyzontem niczym złota moneta, mrugając do nas jakby z otchłani oceanu.

Wraz ze żniwami przybył Walt Williams. Z głośnym warkotem zatrzymał się na prywatnym parkingu przed biurem dowódcy dywizjonu swoim niegdyś czerwonym MG i wysiadł z nonszalancją, ugięty pod ciężarem wysłużonej torby podróżnej. Z uśmiechem rozejrzał się, lustrując zimnymi niebieskimi oczami wszystkie hangary dookoła; sprawiał wrażenie, jak gdyby nic już nie mogło go zaskoczyć. Walt przeszedł szkolenie. Walt pilotował samolot rozpoznawczy. Walt ukończył trzy tury misji i zaczął czwartą, która skończyła się dopiero, gdy zestrzelono mu samolot, a on sam został wyłowiony z Kanału przez przepływający akurat kuter torpedowy. Wszyscy słyszeliśmy wcześniej o Walcie, albo tak nam się zdawało, a z pewnością słyszeliśmy o ludziach takich, jak on. Walt był jednym z pilotów w starym stylu, którzy już przed wojną latali dla przyjemności. Walt był stary. Miał trzydzieści lat i zmarszczki na ogorzałej od słońca twarzy, pasujące do jego błękitnych oczu. Walt robił już wszystko i ostatecznie wyczerpał wszystkie możliwe rodzaje śmierci, na pastwę których zdeprymowany RAF mógłby go rzucić. Walt był ucieleśnieniem szczęścia.

Zbieraliśmy się wokół niego, szukaliśmy okazji, by go dotknąć, podziwialiśmy go i wysłuchiwalismy rad, jak dokonać rzeczy niemożliwych... to znaczy my w bazie, co zasadniczo wykluczało mnie. Członkowie załóg wybrani, by z nim latać przechadzali się ze speszonymi minami zwycięzców loterii. Nagle pojawiło się mnóstwo opowieści o Walcie Williamsie. Takich o zdechłej krowie zrzuconej z hukiem z Lancastera w sam środek wymuskanego ogrodu szczególnie nielubianego dowódcy. Takich o żonach sześciu wyższych oficerów. Takich o lądowaniu awaryjnym na jeziorze do góry podwoziem. Takich o setkach mil lotu na dwóch silnikach, tylko na jednym lub w ogóle bez silników. Takich o zdejmowaniu prania ze sznura podwoziem i zrywaniu jabłek z mijanych w locie drzew. Pośród całego podekscytowania, które przetaczało się po lotnisku niczym wiatr po betonie i blaszanych hangarach wraz z nadejściem jesieni, zdawać by się mogło, że zapomnieliśmy, iż historie te opowiadane były już wielokrotnie, a teraz nabrały nowego znaczenia tylko dlatego, że mogliśmy skonfrontować je z wymizerowaną twarzą konkretnego człowieka, który siedział z uśmiechem na ustach otoczony wianuszkami ludzi, choć często sprawiał wrażenie, jakby w zadymionej kantynie był sam.

Walter był starszy i był tym, kim był, więc do podtrzymania reputacji wystarczyło mu, by wsiadł do Lancastera i odleciał. Całkowicie zbędnym dodatkiem było to, jak zaparkował rozklekotany samochód sportowy pierwszego dnia, noszenie rozpiętych mankietów i akcentowanie swej pogardy dla wszystkich bzdurnych reguł mundurowych w inny, subtelny sposób, jego mroźne spojrzenie, włosy nieco dłuższe od regulaminowych, fakt, że był o niemal dziesięć lat starszy od większości z nas i przepuścił okazję do awansu na stopnie mężczyzny, pod którymi ponoć służył. Fakt, iż sam w sobie był zaskakująco cichy, a jego

smukłe, opalone dłonie drżały, gdy odpalał jednego dunhilla od drugiego; fakt, iż jego uśmiech prawie nigdy się nie zmieniał, choć nigdy też nie sięgał oczu, a także fakt, iż mówiono, a raczej szeptano, że podporucznik z kwatery obok poprosił o nowe lokum z powodu dochodzących zza ściany krzyków. Wszystko to było równie nic nieznaczące, jak to, że Alan Ladd musiał wchodzić na podwyższenie, by sięgnąć ust swych filmowych partnerek. W tamtych, coraz jaśniejszych czasach każdy z nas miał własną wizję Walta Williamsa.

Dla mnie, cienia snującego się po barach i kątach sal tanecznych, potężnego na swój własny, opaczny sposób, któremu najczęściej współczuto i który ignorowano, Walt Williams był szczególnie fascynujący. Jako że brakowało mi odpowiedniego towarzystwa, a czas między zmianami niejednokrotnie wypełniała mi tylko smętna nuda, miałam mnóstwo czasu na obserwacje i rozmyślenia. Tamtej zimy baza i okoliczne wsie składały się na dziwny obrazek. Spacerowałam wzdłuż rowów melioracyjnych. Widziałam krew na oszronionej ziemi, gdzie chłopci zastawiali pułapki na lisy i czułam, jak moja własna krew krąży i zmienia się wraz z przyływami i odpływami wywoływanymi przez bombowcowy księżyc. Łód na pasach startowych, sopte zwisające niczym skarpeteczki wrózek z masztów radiowych, które każdego ranka odbierały wiadomości. Zapach morza przywiewany w głąb lądu. W snach widziałam członków załogi wchodzących do kantyny; ich ciała były spalone, pokryte pęcherzami i poznaczone krwawiącymi dziurami lub sine i napuchnięte i sączyły się z nich wody oceanu. Cały i zdrowy pozostał tylko Walt Williams, który wreszcie śmiał się w głos, a jego oczy skrzyły się ogniem.

Do świąt Walt dotarł już do połowy czwartej tury, a wszyscy wtajemniczeni zgodnie przyznawali, że jako pilot jest mało wybredny i bezpretensjonalny. Przypominał najwyższej klasy piłkarza, który pojawia się zniemacka, znajduje właściwe miejsce, właściwą chwilę i znika. Obserwowałam go ze swych odosobnionych kątów w barach, powoli sącząc skromne drinki. Zaczęło mi się nawet wydawać, iż znam Walta Williamsa lepiej niż ktokolwiek inny, gdyż dokładałam wszelkich starań, by go przestudiować jako człowieka, nie legendę. Zawsze sprawiał wrażenie, jakby wyprzedzał wszystkie wydarzenia, ale zauważyłam, że przygląda się ludziom z pewną rezerwą, a odpowiada odwzorowując ich uprzejmość, jak gdyby nauczył się subtelnego tańca bycia człowiekiem, poznał wszystkie właściwe kroki, ale prywatnie, w mroku swej kwatery, skąd według pilota – który teraz już nie żył – dochodziły krzyki, był kimś zupełnie innym. A pewnych rzeczy – poza kupowaniem sobie drinków – Walt Williams nigdy nie robił. Gry, zakłady, karty. Zawsze wówczas się wycofywał, tak gładko i z taką łatwością, że trzeba było obserwować go z dużej odległości, jak ja, by w ogóle to dostrzec. Sprawiał wrażenie, jakby obawiał się trwonić swe szczęście na coś tak trywialnego, podczas gdy większość pozostałych załogantów, pobudzona i pełna energii w okresach oczekiwania, nieustannie ganiała za piłką, wygrywającym rozdaniem, głuchym odgłosem rzutek i kośćmi, zawierała bzdurne zakłady o wszystko, co tylko się ruszało, nie wykluczając nas, dziewcząt.

Przyglądałam się Waltowi tak wnikliwie, że wręcz nie mógł mnie nie zauważyć. I musiał

też o mnie słyszeć, jak wszyscy w bazie. Niekiedy, po drugim czy trzecim porto z cytryną, gapiłam się na niego ze swego pustego kąta, próbując go siłą woli nakłonić, rzucić mu wyzwanie, by odwzajemnił spojrzenie. Ale nigdy tego nie zrobił. Jego bystre, szafirowe oczy nigdy tak naprawdę na mnie nie spoczęły. Musi, myślałam. Teraz już musi spojrzeć. Ale on nigdy, nigdy. Za wyjątkiem chwil, gdy wstawałam i wychodziłam – wówczas czułam jego obecność za sobą niczym dotknięcie lodowatych palców na karku. Pewnego wieczoru, gdy schodziłam po drewnianych schodach kantyny, uczucie to było tak silne i przeszywające, iż niemal odwróciłam się na pięcie i ruszyłam prosto do niego przez tłum admiratorów z zamiarem konfrontacji. Lecz samotność stała się już dla mnie nawykiem i kurczowo trzymałam się swojej reputacji. Odeszłam z dala od kwater, w ciemność lotniska. Noc była bezksiężycowa, za to widać było niezliczoną liczbę gwiazd. Nie była to noc sprzyjająca bombowcom lecz taka, jaką widuje się na kartkach świątecznych. Po tygodniu deszczu i nagłym ataku mrozu, ziemia pod stopami trzaskała i było ślisko. Otworzyły się drzwi kantyny, kilka osób wypadło na zewnątrz. Gdy schodzili ze schodów, by ramię w ramię dotoczyć się do łóżek, słyszałam świeży lód pękający w rytm ich kroków i plusk wody, gdy wpadli w ogromną kałużę. Wyszli z niej z chlupotem, śmiejąc się i przeklinając jednocześnie. Stałam tam w ciemności i widziałam tę samą scenę odtwarzaną bez końca. Plusk zimnej, brudnej wody. Jeden z mężczyzn nawet się w niej przewrócił. Choć przemarzłam już na kość, z osobliwą satysfakcją obserwowałam powtarzający się scenariusz. Pomyślałam, że gdyby tylko widzieli mnie równie dobrze, jak ja ich, stojącą w ciemności i przyglądającą się światłu gwiazd odbitemu w tej paskudnej kałuży, stwierdziliby, że naprawdę jestem dziwna. Feralna sztuka. Wiedźma. Ucieleśnienie śmierci. Spaliliby mnie na stosie...

Niemal już zapomniałam o Walcie Williamsie, ale gdy wreszcie wyszedł, od razu wiedziałam, że to on. Od razu. Zatrzymał się na schodach i spojrzał w niebo, jak robili to inni załoganci sprawdzając, co przyniesie kolejny dzień. Jego cień zadrżał, ale idąc po zamrożonej ziemi znów był sobą, jego oddech parował, jak wszystkich innych, a ja miałam pewność i to taką, jak nigdy wcześniej, że tym razem naprawdę nie zdaje sobie sprawy z mojej obecności, że stracił czujność, jak nigdy dotąd. To, co zdarzyło się potem było naprawdę głupie. I zupełnie nie miało znaczenia. Walt Williams ruszył przed siebie swym jak zawsze nonszalanckim krokiem, z rękoma w kieszeniach. Niemal zniknął już w swoim baraku, gdy uświadomiłam sobie, co nie nastąpiło. Choć szedł tą samą drogą, co pozostali, nie wpadł w tamtą rozległą, głęboką kałużę. Aż do niej podeszłam z niedowierzaniem, próbując sobie przypomnieć, czy słyszałam choćby odgłos jego kroków na lodzie. A kałuża okazała się jeszcze ciemniejsza, szersza i ohydniejsza, niż sądziłam. Była to kałuża, jakie spotyka się tylko w jednostkach wojskowych. Nachyliłam się nad jej krawędzią i zdążyłam ubrać sobie buty i kostki, gdy drzwi kantyny ponownie stanęły otworem i pojawiła się w nich cała gromada ludzi. Ktoś przytrzymał drzwi, a światło ze środka padło prosto na mnie.

Choć wszyscy zapewne zdążyli mnie zobaczyć i poznać, szybko wyprostowałam się i

ucieklam.

Ogólnie rzecz biorąc, była to dziwna zima. Przyzwyczajaliśmy się do zwycięstw aliantów i pojawiły się nawet pogłoski o wiosennej inwazji na Francję, do której nie doszło. Ale latem już wiedzieliśmy, że inwazja jednak nastąpi, bo przecież przyłączyli się jankesi, a Rosjanie nie zamierzali przerwać marszu naprzód, i że koniec wojny jest tylko kwestią czasu. Co prawda myśl ta nie dodawała nam otuchy, gdyż wiedzieliśmy, że do pokoju jeszcze daleko, a liczba niebezpieczeństw i ofiar znacznie wzrośnie po drodze. W każdym bądź razie lotnicy bali się wybiegać myślami poza kolejny dzień, kolejną dziewczynę, kolejną misję. Pokój był dla nich dziwnym białym bogiem, którego kult pociągał za sobą ryzyko ściągnięcia na siebie gniewu znacznie mroczniejszego bóstwa, które nadal miało władzę nad ich życiem. Dlatego też wraz ze zbliżającym się końcem roku zabawom towarzyszyło dodatkowe szaleństwo oraz niewyraźna jeszcze świadomość, że bez względu na to, czy przeżyjemy, czy zginiemy, bez względu na to, czy wyjdziemy z tego okaleczeni, czy też cali i zdrowi, nikt inny nas nie zrozumie.

W stodole, przy wielkim domu rodziny, do której niegdyś należała większość ziem, jakie widać było z masztu naszego rękawa lotniskowego, urządzono wielki przedświąteczny jubel. Naturalnie sam dom został zarekwirowany, choć gdy go mijaliśmy był pusty, a okna zabite deskami lub potłuczone; później się dowiedziałam, że po wojnie pozostał niezamieszany, powoli popadając w ruinę, aż w końcu, w latach pięćdziesiątych, pochłonął go ogień. Stodoła znajdowała się obok stajni i wychodziło się z niej na szeroki, brukowany dziedziniec. Wreszcie, pośród tej wiejskiej ciemności, milion mil od wojny i pokoju, wszyscy mieli gdzieś zaciemnienie – dymiące latarnie zawisły na zagrodach, z których niegdyś musiały wyglądać łby pięknych koni. Było strasznie zimno, ale trudno było marznąć w tym słodkim, pomarańczowym świetle, szczególnie gdy rozbrzmiała muzyka, a sam dowódca dywizjonu w zabawnym fartuchu zaczął szczerze rozlewać nam grzane wino do słoików po dżemie. Gdy zespół zaczął grać na scenie zbudowanej z belek, cieszyło mnie, że tam jestem oraz że stanowią część tej sceny. Walt pojawił się jak zwykle sam w swym przerdzewiałym MG, zaparkował na najlepszym miejscu między ciężarówkami i wysiadł z właściwym sobie kruchym wdziękiem. Stojąc w blasku płomieni na tle wałących się kominów starego, pustego domu, wyglądał niczym współczesny książe. Doskonały, doskonały widok.

Raz, czy dwa tańczyłam z jedną z pozostałych dziewcząt i kilkoma starszymi mężczyznami, bezpiecznie zatrudnionymi w księgowości i zaopatrzeniu, którym było mnie żal. Jak wszyscy inni, odbyłam nawet krótką rozmowę z dowódcą dywizjonu – uprzejmy był z niego człowiek, choć przez wojnę potwornie wychudł. Ludzie chyba sądzili, że wybraliśmy się dostatecznie daleko od lotniska, by móc bez obaw nieco się do mnie zbliżyć. Mnie jednak trudno było zachować dobry nastrój, gdyż większość długiego wieczoru spędziłam samotnie, a do bazy wrócić można było nie wcześniej niż wiele godzin po północy. Wycofałam się zatem jak zawsze, co przyszło mi nawet łatwiej niż w kantynie. Wystarczyło wymknąć się ze

stodoły i przejść przez brukowany dziedziniec, przebijając się przez kłęby dymu i wzniecony kurz, a potem wtopić się w noc. Przez chwilę przyglądałam się im wszystkim – przypominali rysunek z „Piotrusia Pana”, na którym Indianie tańczą wokół ogniska wraz z Zagubionymi Chłopcami.

Zaczęły pojawiać się pary znikające cicho za furgonami. Próbowałam sobie przypomnieć, jak to jest odczuć tę nagłą potrzebę łączącą dwa ciała. Ale jedyne, co przychodziło mi do głowy to obraz męskiego interesu, wysuwającego się jak u psa, więc tylko z odrazą wycofałam się głębiej w mrok. Przechadzałam się wzdłuż murów ogromnego, pustego domu, pachnącego wilgocią i pokrzywami, na ślepo wyczuwając drogę po schodach w dół, wzdłuż balustrad, błędząc o tej zarazem późnej i wczesnej godzinie pośród bladych cieni rzucanych przez ogromną kolekcję rzeźb. Nawet tak daleko od gwaru stodoły nie było tu zupełnie cicho. Choć był środek zimy, wszędzie słychać było szmery, skrzypnięcia i trzaski. Zarówno ciche, jak i głośniejsze dźwięki, które pojawiają się, gdy tylko przestanie się ich oczekiwać. Pohukiwanie sowy. Pisk myszy. Szczekanie lisa...

Być może przysnęłam, gdyż nie słyszałam, jak nadchodzi, a przynajmniej nie oddzieliłam dźwięku jego kroków od swych myśli, które stały się nierzeczywiste i niewyraźne, jak te zmieniające się i dryfujące rzeźby. Dlatego po prostu zaczekałam w ciemności, aż jedna z rzeźb się poruszy i od razu wiedziałam, choć nie potrafiłam pojąć, że to Walt Williams. Usiadł obok na zimnej, kamiennej ławie, na której siedziałam. Nadal pachniał stodołą, zarem, trunkami, dymem i ogniem. Nie przyniósł ze sobą tylko zapachu kobiety. Szczerze mówiąc, dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że to kolejny punkt, który powinnam dodać do długiej listy rzeczy, których Walt Williams unikał. Najwyraźniej było to tak oczywiste, że nawet tego nie zauważyłam. Zresztą nie byłoby to na miejscu. Walt i tylko jedna kobieta. Nie kiedy polegała na nim cała baza.

Zobaczyłam płomień zapalki i szpiczasty zarys twarzy, gdy pochylał się, by zapalić dwa papierosy. Poczułam jego dotyk, gdy podawał mi jedną ze swoich długich, ekskluzywnych fajek. Smakowały naprawdę nieźle i słodko, choć dziwnie się je trzymało w porównaniu z krótkimi papierosami z kantyny, których żar czuło się o wiele bliżej. Pomyślałam, że nikt inny nie zrobiłby dla mnie czegoś takiego – nie usiadłby i nie zapalił ze mną. Tylko Walt.

W końcu zdeptał niedopałek butem, spod którego trysnęło nieco iskier. Zrobiłam to samo, na wyczucie.

– Więc to ciebie wszyscy powinniśmy unikać?

Nie zważając na bezcelowość tego gestu w ciemności, skinęłam głową.

Wtedy pierwszy raz usłyszałam, jak się śmieje. Jak jego głos, dźwięk ten był przyjemny i lekki.

– W co też ludzie nie uwierzą!

– Tylko że to prawda, co? To prawda, choć nie rozumiem, dlaczego. Możliwe, że tylko dlatego, że... – Zamilkłam. Nigdy wcześniej nie rozmawiałam z nikim o byciu feralną.

Chciałam powiedzieć, że to nasza wiara wciela przesąd w życie.

Usłyszałam szelest, gdy wyjmował z paczki kolejnego papierosa.

– Chcesz?

Pokręciłam głową.

– Że też właśnie ty. Akurat ciebie nie powinno tu być.

Rozbłysnęła zapałka. Poczułam dym na twarzy, ciepły i nieuchwytny.

– I tu się mylisz. Z nas byłaby idealna para. Nie próbuj zaprzeczać. Widywałem cię co wieczór w kantynie...

– Nie co wieczór.

– Ale wystarczająco często.

– A ja widziałam ciebie tamtego wieczoru. Widziałam, jak przeszedłeś nad kałużą.

– Kiedy?

Wyjaśniłam mu więc, gdzieś w połowie przestając ukrywać fakt, iż go obserwowałam.

– Naprawdę nie pamiętam – stwierdził, gdy skończyłam, choć nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. Tym razem, nim zdeptał niedopałek, odpalił od niego kolejnego papierosa. – Niby czemu miałbym pamiętać? To tylko kałuża. Na Boga, w całej bazie jest ich mnóstwo.

– Ale była tam. Widziałam. Po prostu nad nią przeszedłeś. Wydał osobliwy dźwięk, który nie do końca był kasznięciem.

– Nikt ci nie powiedział, kim jestem? To ja, Walt Williams. Mam szczęście.

– To coś więcej, prawda?

Długą chwilę Walt milczał, a ja obserwowałam, jak rozżarzony koniec jego papierosa nerwowo unosi się i opada, kreśląc w powietrzu tuk. A kiedy wreszcie się odezwał, nie mówił o wojnie, tylko o swoim dzieciństwie. Powiedział mi, że pochodzi z dobrze sytuowanej rodziny z jednego z hrabstw niedaleko Londynu, które to miejsce zawsze przywodziło mi na myśl BBC i uroczę alejki między wysokimi, kwitnącymi żywopłotami. Był jednakiem, wielką inwestycją, jak zawsze podkreślano, na którą składał się czas matki i pieniądze ojca. Z początku, gdy słuchałam Walta, naprawdę miałam przed oczami chłopców, których spodziewałam się spotkać po wstąpieniu do RAFu. Chodził do odpowiednich szkół. Naprawdę grał w krykieta w drużynie narodowej, nawet jeśli tylko raz wszedł na boisko, gdy podstawowy łapacz był chory. Rodzice wybrali dla niego karierę księgowego. Tylko że Walt ani o tym myślał, a moje wyobrażenia o jego dzieciństwie, całe w barwach złota i zieleni równo przystrzyżonych trawników i pięknych zachodów słońca, zmieniały się wraz z każdym jego słowem, jak zanikający film. Powiedział, że jego matka miała pewien zwyczaj, którego ściśle przestrzegała. Każdego popołudnia po powrocie z zajęć, które akurat wypadały danego dnia, zasiadała w salonie przy kieliszku i karafce sherry. Siadała i czekała, aż zegar wybije piątą. Wtedy dzwoniła po pokojówkę, która przychodziła i nalewała jej trunek. Każdego popołudnia to samo.

Walt Williams mówił dalej w ciemności. W pewnym momencie zauważyłam jakieś

stukanie, czy grzechotanie, które w pierwszej chwili wzięłam za odgłos kluczy bądź monet, nerwowy nawyk, jakiego każdy pilot prędzej czy później musiał się nabawić. Był to dość dziwny dźwięk, ale byłam już zbyt zaabsorbowana jego opowieścią, by zwrócić na to uwagę. Latanie, gdy tylko Walt je odkrył, stało się ucieczką, choć oczywiście jego rodzice nie pochwalali tego nawet jako hobby, gdyż zagrażało ich cennej inwestycji czasu, dobrych szkół i pieniędzy. Pozbawili go funduszy oraz resztek uczuć, jakie do niego żywili. Walt pracował w warsztatach, a potem na lotniskach i latał, gdy tylko miał okazję. Przez jakiś czas nawet podróżował z cyrkiem. Grzechoczący dźwięk nie ustawał, a dodatkowo wyczułam powtarzające się machnięcie dłonią nad kamieniem, na którym siedzieliśmy, jak gdyby Walt próbował delikatnie wymazać część swych wspomnień.

Potem wybuchła wojna i choć dyscyplina i systematyczność RAF-u były dokładnie tym, czego nienawidził w rodzicach, szybko zgłosił się na ochotnika. Podobali mu się tu ludzie, a przynajmniej większość z nich, z czasem zaczął też podziwiać ogromne, niezgrabne samoloty wojskowe. Jako że jego wcześniejsze loty wiązały się ze sztuczkami i akrobatyką, ryzyko nie było dla Walta niczym niezwykłym; wybrał bombowce zamiast myśliwców, ponieważ jak każdy, kto wykonuje z definicji niebezpieczny zawód, próbował na swój sposób zminimalizować zagrożenie, nawet jeśli było to zwodnicze. I tak płynął przez swą wojnę – częściowo po niebie, częściowo po ziemi. Zrzucał bomby, nietknięty światem poniżej. Jakaś część świadomości podpowiadała mu, iż swoją nieczułością przewyższa maszyny, które pilotuje, ale reszta wiedziała, że jeśli ma przeżyć, jego umysł musi pozostać zimnym, czystym, niezmaconym niebem.

Odległy dźwięk muzyki ze stodoły dawno ucichł i teraz wyraźniej wyczuwałam ruch ręki Walta. Między nami zawisły obłoki oddechów i dymu papierosowego na podobieństwo otaczających nas rzeźb. Bez problemu mogłam sobie wyobrazić Walta jako pilota, którego opisywał; takiego, który uważa, że choć wszystko zdaje się temu przeczyć, jemu nic nie grozi. Nie żeby Walt już wtedy wierzył w szczęście – stwierdził, że przestrzegał wszystkich rytuałów tylko po to, by nie niepokoić załogi – ale na głębszym, podświadomym poziomie szczęście zaczęło mieć dla niego zasadnicze znaczenie, jak dla wszystkich pozostałych.

W trakcie wielkich nalotów, które się wówczas zaczynały, a które były zemstą za niemieckie naloty na nas, nad miastami przelatywało tyle bombowców, że musiały lecieć na kilku poziomach. Któryś spec musiał obliczyć, że prawdopodobieństwo trafienia bombą w samolot lecący poniżej jest na tyle niskie, iż warto je podjąć. Jednak w trakcie masowego nalotu na Frankfurt, odbywającego się w gęstych ciemnościach, coś nagle szarpnęło maszyną, coś błysnęło, a górny strzelec pokładowy Walta zameldował, że spadająca bomba zapalająca trafiła ich w prawe skrzydło. Spodziewając się, że lada moment zajmie się paliwo w zbiornikach lub dopadnie ich nocny myśliwiec – świecili bowiem niczym latarnia morska – zrzucili ładunek i zawrócili, kierując się korytarzem lotniczym w stronę domu. Ale nie pojawił się żaden myśliwiec, a pęd powietrza opływającego samolot ugasił pożar nim

wybuchł na dobre. Mijały godziny, a oni minęli wybrzeże Francji i wlecieli nad kanał La Manche w chwili, gdy zaczynało świtać. Cała załoga uwierzyła, że szczęście już ich nie opuści i zaczęła się zastanawiać, jak najlepiej oddać dramatyzm całej sytuacji wieczorem w barze. I wtedy samolot został rozdarty, gdyż szkielet skrzydła, uszkodzony żarem bomby zapalającej nie wytrzymał i oderwane skrzydło zniknęło w ciemności. W ułamku sekundy bombowiec stał się płonąca bryłą spadającego z ogromną szybkością metalu.

Nie istniało w tej chwili nic poza dzikim pędem w dół, morzem, niebem, morzem migającym obok i wyciem wiatru, gdy bombowiec koziółkował, a oni próbowali wydobyć się z pasów i dotrzeć do drzwi lub dziury po oderwanym skrzydle. Walt powiedział mi, że czuł się jak na przejażdżce w koszmarnym wesołym miasteczku, a jedyne, co przychodziło mu do głowy to zasłyszana kiedyś informacja, że w chwili zderzenia woda ma twardość betonu. I że nie chce umierać. I że potrzebne mu szczęście. W chwili nieważkości otoczyły go unoszące się w powietrzu krople krwi; wtedy zauważył, że drugiego pilota przyspilił do fotela odłamek metalu. Walt nie mógł mu już pomóc. Ruszył w górę spadającego samolotu, walcząc z siłą, która nagle zmieniła kierunek i rzuciła nim w dół, w stronę dziury w kadłubie. Zaklinował się w niej między poskręcanyimi elementami konstrukcji, z trudem łapiąc oddech, miotany na wszystkie strony. To wówczas przyszła mu do głowy myśl – ta sama, która musiała nawiedzać tysiące lotników w takich chwilach – że oddałby absolutnie wszystko, byle się wydostać. Wszystko, byle mu się poszczęściło...

Ciemność zrzędała i stała się zwiewniejsza. Spojrzałam w dół i wreszcie zobaczyłam, że Walt rzucał dwiema białymi kostkami, po czym zbierał je i ponawiał rzut.

– No i poszczęściło mi się – stwierdził. – Udało mi się otworzyć spadochron nim uderzyłem o wodę, kamizelka ratunkowa napełniła się i nie zabił mnie płonący wrak, który spadł nieopodal. Nadal jednak wydawało mi się okrutnym żartem, że dotarłem tak daleko, a przyjdzie mi zamarznąć na śmierć w brudnych wodach kanału La Manche. I wtedy usłyszałem warkot silnika i wystrzeliłem flarę. W dwadzieścia minut później znalazł mnie kuter torpedowy. Oczywiście jeden z naszych. Przeżyłem jako jedyny z całej załogi. Pozostali byli tylko ciałami do wyłowienia...

Przez mgłę świtu widać było już zarysy drzew i rzeźb dookoła, które same wyglądały jak ofiary wypadków, owinięte mglistymi bandażami. Widziałam też, ile oczek wyrzuca Walt.

Przeszył mnie dreszcz, o wiele głębszy niż można by się spodziewać w chłodzie poranka. Kości pokazywały sześć, sześć, sześć...

Walt znów zaskoczył mnie tym dźwiękiem. Brzmiało to bardziej jak kasznięcie, niż chichot.

– I tak to teraz wygląda. Przechodzę nad kałużami. Kończę jedną turę misji za drugą. Jestem prawdziwym ucieleśnieniem szczęścia.

– Nie możesz wyrzucić czegoś innego?

Pokręcił głową i rzucił kośćmi. Dwie szóstki.

– To żadna sztuczka. A przynajmniej nie taka, jakiej można by się spodziewać. – Sześć i sześć po raz kolejny. Dźwięk toczących się kości. Dźwięk moich szczękających zębów. – Sama spróbuj, jeśli chcesz.

– Zapomniałeś, kim jestem, Walt. Nie muszę próbować. Wierzę...

Walt schował kości do kieszeni, wstał i rozejrzał się dookoła. Tym swoim spojrzeniem. Z uśmiechem, ale bez uśmiechu. Robiło się coraz jaśniej. Dotknęłam ramion płaszcz – były lepkie i mokre. Dłonie miałam białe, a końcówki palców zsiniałe z zimna. A ogród rzeźb, jak w końcu do mnie dotarło, nie był żadnym ogrodem, tylko cmentarzem. A nasza ławka nagrobkiem. I otaczały nas anioły.

– Chodź... – Walt wyciągnął dłoń w moją stronę. Przyjęłam jego pomoc.

Sądziłam, że zawróci i skieruje się do swego poobijanego MG, ale on z rękoma w kieszeni, pogwizdując, przeszedł między grobami, wnikliwie przyglądając się wyrytym na nim datom i nazwiskom, z których większość należała do rodziny niegdyś mieszkającej w dużym domu widocznym za linią drzew. Tuż obok stała kamienna kaplica. Walt naparł na drzwi, aż coś pękło i stanęły otworem. Wtedy gestem zaprosił mnie do środka.

Zupełnie jak cmentarz, kaplica była niesamowicie cicha i pusta. Tak to jest na wojnie. W jednych miejscach nie uświadczysz człowieka, a w innych jest ich o wiele za dużo. Choć dach kaplicy był dziurawy, a ławki pokryte warstwą gołębih odchodów i piór, miejsce to i tak zachowało swą godność. I nawet mimo zdobiących je pomników, wcale nie wydało mi się smutne. Wojna niesie ze sobą smutek, który gasi ten codzienny, związany z ludzkim życiem i śmiercią. Nawet na twarzy biednej, odlanej z mosiądzu kobiety otoczonej istotkami w powijkach, które – jak wyjaśnił Walt – przedstawiały utracone przez nią dzieci, malowała się siła i swego rodzaju pewność. Przynajmniej dała życiu szansę.

– I tylko nie rozumiem – powiedziałam, kucając obok Walta, który wrzucał kawałki drewna do starego, żelaznego pieca w rogu – dlaczego...

Walt zapalił zapalkę i rzucił ją na zasnuite pajęczyną palenisko. Płomienie zaczęły lizać trzaskające drewno.

– Z kartami jest tak samo. Jak ze wszystkim innym.

– A nie możesz...

– Nie mogę co? – Spojrzał mi prosto w oczy i znów przeszył mnie zimny dreszcz, nawet pomimo nikłego żaru paleniska. Nigdy wcześniej nie widziałam tak niebieskich tęczówek, ani tak ciemnych źrenic. Przypominały bombowcową noc. Letnie niebo. Musiałam odwrócić wzrok.

Wstał i wygrzebał z kieszeni kolejnego papierosa. Gdy go zapalał zauważyłam, że dłonie znów mu drżą.

– Walt, po wojnie mógłbyś zbić majątek...

I znów ten dźwięk, niemal kasznięcie; dźwięk, przez który zapragnęłam znów usłyszeć jego prawdziwy śmiech. Zaczął chodzić tam i z powrotem; mówił szybko, a wtórował mu

stukot butów, echo kroków oraz dym i trzaskanie ognia, a tymczasem po moim ciele wraz z ciepłem rozlał się ból odtajania.

– Co powinienem zrobić? Iść do kasyna? Ja – najpoważniejszy gracz ze wszystkich? Jak sądzisz, ile mogłoby to potrwać...?

Potem Walt stwierdził, że niczego nie dostaje się za darmo. Ani w życiu, ani na wojnie, ani nawet w bajkach. Przed tamtą nocą nad Frankfurtem potrafił poradzić sobie ze wszystkim. Wysoko, na pełnym bombowców niebie nigdy nie słyhać krzyków, czy huku walących się budynków.

Zwolnił i ukucnął przy mnie. Cały drżał, wpatrując się w niewielki płomień.

– A teraz widzę wszystko – powiedział, a uśmiech, który nigdy nie docierał do oczu, zniknął również z jego ust. – Każdy pocisk. Każdą bombę. Nie opuszczają mnie nawet w snach...

– To nie będzie trwać wiecznie, Walt...

Mocno i gwałtownie chwycił moją dłoń, a jego spojrzenie stało się jeszcze bardziej przerażające. Gdy się odezwał, mówił ledwo słyszalnym szeptem. Jego głos brzmiał zupełnie jak głos biednego, nieżyjącego podporucznika Charliego Dysona, który przyłgnał do mnie tamtego odległego, letniego wieczoru pod dębem.

Kiedy Walt mówił, że widział wszystko, należało to traktować bardzo dosłownie. Obrazy przychodziły do niego w krótkich przeblyskach i urywkach, niczym, jak sądziłam, w koszmarach o zmarłych lotnikach, które czasem mnie nawiedzały. Widział krew, słyszał krzyki i odczuwał ogrom chaosu, towarzyszący niszczonej zabudowaniu. Cicho wyznał, że od tygodni przesładują go krzyki kobiety powoli tonącej w swej zapomnianej piwnicy, gdzie pękła rura kanalizacyjna. I nie były to tylko bomby i uczynki Walta, ale przebliski, przerażające przebliski, w które nadal bał się uwierzyć. Przedstawiały całą wojnę – to, co działo się teraz oraz to, co miało wydarzyć się w przyszłości. Wymieniał nazwy, których nigdy nie słyszałam. Belsen. Dachau. Hiro – i Naga-coś tam. Powiedział mi też, że próbował się utopić, by pozbyć się tych okropności, lecz fale go nie przyjęły. Powiedział, że myślał o rozbiciu się swym MG na jakiejś ścianie, ale nie wierzył w swe szczęście – czy raczej za bardzo w nie wierzył, by móc sądzić, że uda mu się zginąć w wypadku. I owszem, wiele z opowieści o jego dokonaniach było prawdziwych, bo przecież RAF mógł wiele wybaczyć swym najlepszym i najszcześniejszym pilotom. Koniec końców, Walt wciąż był pilotem, a niebo przyciągało go, jak zawsze. I jak wszyscy inni chciał, by ta wojna się już skończyła, bo znał – o wiele lepiej, niż to sobie wówczas uświadamiałam – zło, z którym walczyliśmy. Dlatego nadal wsiadał do swojego bombowca i wznosił się ku ciemnemu niebu...

Następnie Walt powoli rozluźnił swój chwyt. Zaczesał włosy do tyłu i przejechał dłonią po swej pomarszczonej twarzy, po czym schylił się, by nazbierać więcej drewna i patyków do pieca. Długo wpatrywałam się w ogień, a gdy zimno w końcu mnie opuściło, wstałam i podeszłam do ławek, dotykając porzrzucanych wokół drzazg i przyglądając się wnikliwie

kawałkom mosiądzu i marmuru pochodzącym z czasów, gdy ludzie nie widzieli nic dziwnego w umieszczaniu uskrzydłonej czaszki obok puciołowatego cherubina...

Walt szedł przez kościół. Odwróciłam się w jego stronę i zobaczyłam, że znów stara się wyglądać jak słynny Walt Williams, człowiek. Postać uwita z zimowego światła i matowego, drzewnego dymu zadrżała i znów stała się przystojnym mężczyzną, nadal szczupłym i eleganckim, nawet jeśli już niemłodym, z tym swoim uśmiechem i oczami niczym lód i lato jednocześnie. Odwrócił się, rozłożył ramiona i zaczął stepować na luźnych kamieniach wzorem Freda Astaire'a, a odgłos jego kroków poniósł się echem między aniołami, cherubinami i czaszkami. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Podeszłam do niego i padliśmy sobie w ramiona zupełnie jak zakochani w filmach. Ale w pocałunkach byliśmy niezdarni jak dzieci. Oboje od bardzo, bardzo dawna tego nie robiliśmy.

Wróciliśmy do pieca, by przestać się trząść z zimna. Walt zdjął kurtkę i rozłożył ją na ziemi, blisko płomienia, a gdy wymieniliśmy spojrzenia, nie mogło być żadnych wątpliwości, że pójdziemy – co za głupi zwrot – na całość.

I tak właśnie było. Ja i Walt. I to akurat w kaplicy, w kościele. Gdy było po wszystkim, nadal niespokojny, nadal udreńczony, ubrał się, zapalił papierosa i poszedł się przejść. W tylnej części kaplicy znajdowało się coś na kształt drewnianego balkonu – chór. Siedziałam skulona przy piecu, a Walt wszedł po schodach. Spojrzał na mnie z góry i pomachał z bladym uśmiechem, a spod nóg posypał mu się kurz i drzazgi. Widziałam, że cała konstrukcja jest zbutwiała i przeżarta przez korniki, czyli absurdalnie niebezpieczna. Tymczasem on powtórzył swój asterowski taniec, stepując na deskach.

Siedząc tak przy dogasającym piecu i obserwując Walta z dołu, byłam pewna, że tańczył również w miejscach, gdzie podłoga całkowicie się zapadła.

Powinien wrócić do bazy rano, tak jak ja i wszyscy pozostali. Już wcześniej pojawiły się komunikaty radiowe, że wieczorem – bez względu na świątecznego kaca – odbędzie się duży nalot, jeden z największych. Wychodząc z kaplicy i idąc pod wynędzniałymi drzewami w stronę zaśmieconej, pustej stodoły cuchnącej moczem i petami, prawie się nie odzywaliśmy. Walt musiał otworzyć dźwignią maskę swojego MG i pogrzebać przy silniku, żeby w ogóle go uruchomić. Powoli, ostrożnie jechał wzdłuż rowów płaskimi drogami prowadzącymi na lotnisko. Stojące na nim Lancastery wyglądały jak ważki na horyzoncie. Nikt nie widział, jak wjeżdżamy przez bramę.

Walt dotknął mego policzka i posłał mi swój słynny uśmiech. Odprowadzałam go wzrokiem, aż zniknął między barakami i dobudówkami, a następnie pobiegłam przebrać się do pracy. Gdyby nie smuga oleju, którą zostawił mi na twarzy, mogłabym sobie wmówić, że do niczego nie doszło i dalej pisać na maszynie, zamawiając tubki musztardy, pojemniki dżemu i worki porzeczek, podczas gdy ciężarówki ciągnące wózki z bombami toczyły się po betonie w swych zabójczych ciągach, pełne długich, stalowych pocisków, obsługa naziemna ciągnęła pompy paliwowe, a załogi samolotów patrzyły na rozwinięte mapy i wskaźniki

skierowane na nazwę jakiegoś europejskiego miasta, które niektórym z nich miało przynieść śmierć.

Zimą na zmrok nie trzeba było długo czekać, a tego dnia chmury były bardzo gęste. Lotnisko zdawało się być jedynym jasnym miejscem, gdy zapalono latarnie na pasach, a członkowie załóg – widziani już tylko z oddali – wykonali ostatnie rzuty do tarczy, skończyli ostatnie rozdanie i pozakładali swe skarpety nie do pary, zagwizdali lub nie zagwizdali, dotknęli swych talizmanów, ucałowali listy na perfumowanych papeteriach, dotknęli palcami betonu i wreszcie odeszli do swych Lancasterów. Stałam z dala od gromady pozostałych i obserwowałam te niezrozumiałe rytuały, próbując bezskutecznie zgadnąć, która z niewyraźnych postaci kłębiących się wokół Lancasterów to Walt. Słyszałam, jak ogromne silniki Merlin, jeden po drugim, a następnie fala za falą odpalają. W takich chwilach współczuło się Niemcom. Gdy hałas stał się już nie do zniesienia, bazę oświetliła migocząca i skrząca się zielona flara. Po tym sygnale ton silników uległ zmianie, ociążałe bombowce ustawiły się pod wiatr, a następnie powoli, z ogromnym wysiłkiem, pełne bomb i paliwa, ruszyły pasami startowymi, by odlecieć.

Tamtego wieczoru już było ciemno. Mogliśmy tylko nasłuchiwać w oczekiwaniu, aż dźwięk ostatniego z Lancasterów gładko wtopi się w czarne, bombowcowe niebo.

Okazało się, że dzięki tajnej wojnie z użyciem radionawigacji i radarów był to dobry, skuteczny nalot. Ale Walt Williams z niego nie powrócił, choć wrócił jego Lancaster, a historia związanych z tym wydarzeń wychodziła na jaw powoli, walcząc z faktem, iż większość osób po prostu nie wierzyła, że coś mogłoby mu się stać.

Późnym popołudniem następnego dnia zdobyłam się na chłodny spacer przez lotnisko, by obejrzeć jego samolot. Wiatr akurat się wzmógł i zaczął rozpędzać chmury. Wokół panował zastój po całej dobie pracy. W pobliżu nie było nikogo. Z samolotu spuszczone już resztkę oleju i paliwa i zabrano niewykorzystane pociski. Ustawiony był w kącie, obok innych wraków i złomu.

Znalezienie się w pobliżu jednego z tych potworów zawsze tak samo mnie zaskakiwało, wiedziałam bowiem, że ich wielkość idzie w parze z niezwykle kruchością. Przeszłam w cieniu skrzydeł, które wzdychały i poskrzypywały w słonawym wietrze znad mokradeł, i po raz pierwszy w życiu weszłam po drabince dla załogi i precyzyjnie się między wręgami, przewodami i rurami w stronę szarego światła kabiny pilotów, wypełnionej przyprawiającym o mdłości smrodem oleju i gumy.

Według relacji reszty załogi, gdy już znaleźli się na kursie powrotnym, samolotem szarpnęło i do środka gwałtownie wtargnęło powietrze. Jednak to, co zobaczyłam tego późnego, wietrznego popołudnia, opowiedziało mi własną historię. Większość kropłowej osłony kabiny i kadłuba obok niej została rozdarta kawałkiem innego samolotu, czy też pociskiem przeciwlotniczym, który nie wybuchł. Walt musiał zostać wyrwany ze swego fotela nagłym podmuchem i wyrzucony w niebo tak gwałtownie, że nikt nie zarejestrował, co

tak naprawdę się stało. Gdy drugi pilot starał się doprowadzić samolot do domu, wszyscy mieli nadzieję, że Walt jakoś ocalał, a że Walt to Walt, mógł nawet dotrzeć do Francji, nie trafiając do niemieckiej niewoli. Ale rankiem okazało się, że Walt – celowo lub za sprawą jakiejś anomalii wiatru, który go porwał – miał odpięte wszystkie pasy uprząży i wypadł bez spadochronu, który został w samolocie, bezpieczny, nadal wtulony w fotel. W podmuchach wiatru wpadającego przez zniszczony kadłub mogłam schylić się i go dotknąć, czując twarde brzemienie zwojów jedwabiu, który mógłby go unieść.

Wtedy uwierzyłam.

Wiosną przeniesiono mnie do innej bazy, gdyż mój pluton zreorganizowano podczas jednego z tych biurokratycznych zrywów zdarzających się co jakiś czas w wojsku. Mieli tam kiedyś własną feralną sztukę, ale powiesiła się kilka miesięcy wcześniej, a większość osób zignorowała plotki na mój temat. Jak gdyby ofiara tamtej biedaczki zdjęła ze mnie brzemię. Jej ofiara i ofiara Walta Williamsa.

Niemniej jednak tamte wydarzenia mnie zmieniły. Byli mężczyźni, z którymi chodziłam na randki, a nawet dłużej romansowałam; zdarzało mi się też iść na całość, a nie zatrzymywać się w połowie drogi. Ale duch Walta zawsze mi towarzyszył. To jego spojrzenie. Jego oczy. Pokryta zmarszczkami, przystojna twarz. Trudno mi się było związać z kimś innym i naprawdę uwierzyć, że mógłby mnie szczerze pokochać. A gdy wojna się wreszcie skończyła, byłam już starsza i ze względu na artretyzm matki i udar ojca, wkrótce zmuszona byłam zająć się herbaciarnią niemal sama. Czas to zabawna rzecz. Jednego dnia masz osiemnaście lat, jesteś szczęściarą, szczęściarą, szczęściarą, zaciągasz się i opuszczasz Manchester na zawsze. A następnego już jesteś tam z powrotem, kości bołą cię każdego ranka, masz czerwoną, spuchniętą od dymu i żaru kuchni twarz, a ludzie siadają przy ladzie, zwracając się do ciebie per pani, zamiast panno, nawet jeśli wiedzą, że nie jesteś – i nigdy nie będziesz – mężatką. Niemniej jednak interes szedł dobrze, choć zrujnował mi kręgosłup, wysuszył dłonie, a twarz pokrył mi purpurową siateczką naczyń. Prowadziłam go jeszcze dziesięć lat temu, póki na naszej ulicy nie pojawił się McDonalds. Teraz jestem panią własnego życia, przynajmniej pod tym względem, że nikt inny nim nie rozporządza. Staram się zachować aktywność i co tydzień wspinam się na wzgórze, by odebrać emeryturę, ale za każdym razem droga wydaje mi się coraz bardziej stroma.

Nadal nawiedzają mnie sny o wojnie, a także myśli o Walcie Williamsie, które zdają się być nawet wyraźniejsze niż obecne nijakie, zakurzone dni. Na przykład niekiedy zdaje mi się, że gdyby wszyscy widzieli to, co Walt, gdyby wszyscy wiedzieli, co tak naprawdę dzieje się podczas wojen i doświadczyli takich wizji, na świecie zapanowałby pokój, a ludzie zaczęliby się bardziej szanować. Ale przecież mamy telewizję, prawda? Wszyscy widzimy umierające z głodu dzieci i kawałki ciał porzucane na ulicach. Może więc od początku trzeba być kimś szczególnym, by posiadać ten szczególny dar konieczny do wypełnienia otrzymanych zadań, a na dodatek wypełniać je w niezwykłym, szczególnym czasie. Trzeba mieć tyle szczęścia i

pecha, co Walt Williams.

Teraz potrafię już przyznać, czego nie ośmieliłabym się zrobić wtedy, że życie stało się dla Walta nie do zniesienia. I choć pamięć o nim jest mi droga, gdyż był Waltem, który kochał mnie przez tych kilka krótkich godzin, to wiem, że odnalazł mnie z powodu tego, kim byłam.

Feralną sztuką.

Kwiatem śmierci.

Wiedźmą.

Czasem zastanawiam się, co uderzyło w Lancastera Walta. Czy naprawdę był to jakiś lecący odłamek metalu, czy też może samo szczęście zmieniło się w zimną ścianę, żelazną dłoń boga tych mrocznych bombowców? A w swych najczarniejszych i najjaśniejszych chwilach, gdy już nie potrafię stwierdzić, czy jest mi smutno, czy beznadziejnie wesoło, przypominam sobie, jak wyszedł z kantyny w świetle gwiazd i przeszedł nad tamtą paskudną kałużą i jak przyglądałam mu się w starej kaplicy, gdy skończyliśmy się kochać i gdy tańczył na chórze pod sufitem, deptając po kurzu i promieniach wczesnego słońca. I zastanawiam się, czy ktoś mający tyle szczęścia, co Walt Williams mógłby kiedykolwiek wylądować bez ratującego życie spadochronu i czy on przypadkiem wciąż nie tkwi gdzieś tam, na swym ukochanym niebie, nieustannie spadając.

Przełożyła Anna Klimasara

Ted Chiang

CYKL ŻYCIA OPROGRAMOWANIA

1

Nazywa się Ana Alvarado i ma zły dzień. Spędziła cały tydzień przygotowując się do pierwszej od kilku miesięcy rozmowy o pracę, która dotarła do etapu wideokonferencji, ale rekrutant ledwie pojawił się na ekranie, a już oznajmił, że firma zdecydowała się przyjąć kogoś innego. Siedzi zatem przed komputerem, zupełnie niepotrzebnie ubrana w swój najlepszy kostium. Bez większego przekonania wysyła zapytania do kilku innych firm, ale natychmiast przychodzą automatyczne odmowy. Po godzinie Ana stwierdza, że musi się nieco rozerwać; otwiera okno Next Dimension, by zagrać w swoją obecnie ulubioną grę – Wiek Irydu.

Przyczółek jest zatłoczony, ale jej awatar ma na sobie upragniony pancerz bojowy wyłożony macią perłową, więc inni gracze szybko zapraszają ją do drużyny. Przemierzają strefę walki zasnutą dymem z płonących pojazdów i przez godzinę oczyszczają twierdzę modliszek; misja ta doskonale pasuje do nastroju Any, jest na tyle łatwa, by być pewnym zwycięstwa, ale wystarczająco wymagająca, by zapewnić satysfakcję. Pozostali członkowie zespołu właśnie przyjmują kolejną misję, gdy w rogu ekranu Any wyskakuje okienko rozmowy. Jest to połączenie głosowe z jej przyjaciółką, Robyn, więc Ana przełącza swój mikrofon, by odebrać.

– Cześć, Robyn.

– Cześć, Ana. Jak leci?

– Podpowiem ci: właśnie gram w WI.

Robyn uśmiecha się.

– Ciężki poranek?

– Można tak powiedzieć. – Ana opowiada o odwołanej rozmowie.

– No to mam wieści, które powinny poprawić ci humor. Możemy się spotkać na Data

Earth?

- Pewnie, daj mi chwilę, wyloguję się.
- Będę u siebie.
- OK, do zobaczenia.

Ana przeprasza drużynę i zamyka okno Next Dimension. Loguje się na Data Earth i zostaje przeniesiona do ostatniego miejsca pobytu, klubu tanecznego wbudowanego w ogromny klif. Data Earth ma własne kontynenty gier – Elderthorn, Orbis Tertius – ale Ana za nimi nie przepada, więc spędza tu czas na kontynentach społecznościowych. Jej awatar wciąż ma na sobie imprezowy strój z ostatniej wizyty, przebiera się więc w coś wygodniejszego i otwiera portal do adresu domowego Robyn. Jeden krok i już jest w wirtualnym salonie Robyn na mieszkalnym aerostacie, który dryfuje nad półokrągłym, szerokim na milę wodospadem.

Ich awatary obejmują się na powitanie.

– Co tam? – pyta Ana.

– Blue Gamma znów działa – mówi Robyn. – Właśnie dostaliśmy nowe fundusze, więc szukamy pracowników. Pokazałam paru osobom twoje CV i wszyscy bardzo chcą cię poznać.

– Mnie? Ze względu na moje ogromne doświadczenie? – Ana właśnie ukończyła studia na kierunku testowania oprogramowania. Robyn prowadziła zajęcia wprowadzające i tam się poznały.

– W zasadzie o to właśnie chodzi. Zainterесowała ich twoja ostatnia praca.

Ana przez sześć lat pracowała w zoo, a jego zamknięcie zmusiło ją do powrotu do szkoły.

– Domyślam się, że na początku wszyscy trochę wariują, ale na pewno nie aż tak, by potrzebny był opiekun z zoo.

Robyn chichocze.

– Pokażę ci, nad czym pracujemy. Powiedzieli, że możesz rzucić na to okiem, jeśli podpiszesz NDA.

To poważna sprawa; wcześniej Robyn nie mogła rozmawiać o szczegółach swojej pracy w Blue Gammie. Ana podpisuje umowę o zachowaniu poufności, a Robyn otwiera portal.

– Mamy prywatną wyspę, chodź. – Ich awatary przekraczają portal.

Ana spodziewa się, że po odświeżeniu okna ujrzy jakiś fantastyczny krajobraz, a tymczasem jej awatar trafia w miejsce, które na pierwszy rzut oka wygląda jak ośrodek opieki dziennej. Na drugi rzut oka przypomina obrazek z książeczek dla dzieci: małe, antropomorficzne tygrysiątko przesuwają kolorowe klocki po drucianej konstrukcji; panda wnikliwie ogląda zabawkowy samochód, a rysunkowy szympanś bawi się piankową piłką.

Etykiety ekranowe określają je mianem digientów, czyli cyfrowych organizmów, zamieszkujących środowiska takie jak Data Earth, ale nie są podobne do żadnych digientów, jakie Ana kiedykolwiek widziała. Nie są to wyidealizowane zwierzątka sprzedawane ludziom, którzy nie mogą opiekować się prawdziwymi zwierzętami; brak im wyidealizowanego uroku i poruszają się zbyt niezdarnie. Nie przypominają też mieszkańców biomów Data Earth: Ana

bywała na archipelagu Pangaea i widywała jednonożne kangury i dwustronne węże, wyhodowane w różnego rodzaju szklarniach. Te digienty z pewnością tam nie powstały.

– Tym się zajmuje Blue Gamma? Digientami?

– Tak, ale to nie są zwyczajne digienty. Sama zobacz. – Awatar Robyn podchodzi do szympansa bawiącego się piłką i kuca tuż przed nim. – Cześć, Pongo. Co robisz?

– Pongo gryje piłki – mówi digient, całkowicie zaskakując Anę.

– Grasz w piłkę? Super. Czy ja też mogę?

– Nie. Piłki Pongo.

– Proszę...

Szympanś rozgląda się, po czym – nie wypuszczając piłki z rąk – podchodzi chwiejnym krokiem do sterty drewnianych klocków. Bierze jeden z nich i popycha go w kierunku Robyn.

– Robyn gryje klicki. – I siada. – Pongo gryje piłki.

– No dobrze. – Robyn wraca do Any – I co o tym sądzisz?

– To niesamowite. Nie wiedziałam, że rozwój digientów zaszedł tak daleko.

– To wszystko ostatnie osiągnięcia; nasz zespół programistów zatrudnił kilku doktorów po obejrzeniu ich prezentacji. Teraz mamy silnik genomiczny. Nazywa się Neuroblast i zapewnia lepszy rozwój kognitywny niż cokolwiek innego, do czego mamy obecnie dostęp. Te tutaj – wskazuje na mieszkańców centrum opieki dziennej – to najsmardzejsze egzemplarze, jakie udało się nam stworzyć.

– I będziecie je sprzedawać jako zwierzątka domowe?

– Taki jest plan. Zamierzamy je przedstawiać jako zwierzątka, z którymi można rozmawiać i które można nauczyć naprawdę fajnych sztuczek. Nieoficjalny slogan, którego używamy w firmie to: „Zabawne jak małpy, a nie trzeba po nich sprzątać”.

Ana się uśmiecha.

– Zaczynam rozumieć, do czego może się przydać doświadczenie w szkoleniu zwierząt.

– Właśnie. Nie zawsze udaje się je nakłonić, by robiły, co każemy i nie wiemy w jakim stopniu zależy to od genów, a w jakim to wina niewłaściwych technik.

Przygląda się digientowi pandzie, który podnosi zabawkowy samochód jedną łapą i wnikliwie ogląda jego spód; drugą łapą ostrożnie obraca kółka.

– Ile te digienty wiedzą na początku?

– W zasadzie nic. Pokażę ci. – Robyn włącza na jednej ze ścian centrum ekran wideo, wyświetlający nagranie z pomieszczenia w barwach podstawowych, gdzie na podłodze leży kilka digientów. Fizycznie niczym nie różnią się od tych z centrum, ale ich ruchy są przypadkowe i spazmatyczne. – To nowo utworzone egzemplarze. Zasadniczo dopiero po kilku miesiącach opanowują podstawy: jak interpretować bodźce wzrokowe, jak poruszać kończynami, jak zachowują się ciała stałe. Na tym etapie działają w szklarniach, więc trwa on około tygodnia. Gdy są już gotowe do nauki języka i interakcji społecznych, przechodzimy do pracy w czasie rzeczywistym. I tutaj wkraczałabyś ty.

Panda kilkakrotnie przesuwa samochodzik po podłodze w tył i w przód, a następnie wydaje dźwięk przypominający ryk osła: *mo mo mo*. Ana uświadamia sobie, że digient się śmieje.

Robyn mówi dalej:

– Wiem, że zajmowałaś się w szkole komunikacją naczelnych. Tu miałabyś okazję to wykorzystać. I jak? Jesteś zainteresowana?

Ana się waha. Nie tak wyobrażała sobie przyszłość idąc do college'u, więc przez chwilę zastanawia się, jak do tego doszło. Jako dziewczynka chciała pójść w ślady Fossey i Goodall i wyjechać do Afryki; nim zdążyła skończyć studia, na świecie zostało tak niewiele małp, że najlepszym wyjściem była praca w zoo; a teraz otrzymała propozycję pracy jako opiekun wirtualnych zwierzątek. Trajektoria jej kariery zawodowej ostro odchodzi od świata naturalnego.

Weź się w garść, mówi sobie. Może i nie takie miała plany, ale praca związana jest z oprogramowaniem, a po to przecież wróciła do szkoły. No a szkolenie wirtualnych małp to prawdopodobnie lepsza rozrywka niż testowanie oprogramowania, więc jeśli tylko Blue Gamma zaoferuje przyzwoitą pensję, to czemu nie?

* * *

Nazywa się Derek Brooks i nie podoba mu się ostatnio otrzymane zadanie. Derek projektuje awatary dla digientów Blue Gammy i zazwyczaj sprawia mu to przyjemność, ale wczoraj menadżerzy produktowi zlecili mu coś, co według niego nie jest dobrym pomysłem. Próbował im to powiedzieć, ale to nie on podejmuje decyzje, więc teraz musi wykombinować, jak sobie z tym poradzić.

Derek studiował animację, więc z jednej strony tworzenie cyfrowych postaci to coś dla niego. Z drugiej natomiast, jego praca znacznie odbiega od tego, czym zazwyczaj zajmuje się animator. W normalnych warunkach projektowałby chód i gesty postaci, ale w przypadku digientów cechy te wynikają z genomu; jego zadanie polega na stworzeniu ciała odzwierciedlającego gesty digientów w sposób, który przemówi do ludzi. Różnice te są powodem, dla którego wielu animatorów – łącznie z jego żoną, Wendy – nie pracuje nad cyfrowymi organizmami, ale Derek to uwielbia. Sądzi, że pomoc nowym formom życia w wyrażaniu siebie to najbardziej pasjonujące zadanie, jakie może otrzymać animator.

W pełni podpisuje się pod filozofią Blue Gammy dotyczącą tworzenia AI: najlepszym nauczycielem jest doświadczenie, więc zamiast programować sztuczną inteligencję tak, by wiedziała to, czego od niej oczekujemy, lepiej sprzedać program potrafiący się uczyć i pozwolić klientom przejąć rolę nauczycieli. Aby klienci byli skłonni zadać sobie ten trud, digienty muszą być pod każdym względem urocze: muszą mieć czarującą osobowość, nad czym pracują programiści, a ich awatary muszą być słodkie, co jest zadaniem Dereka. Nie

może jednak ograniczyć się do wielkich oczu i krótkich nosków. Jeśli będą wyglądały, jak postaci z kreskówek, nikt nie potraktuje ich poważnie. I na odwrót – jeśli będą nazbyt przypominać prawdziwe zwierzęta, ich mimika w połączeniu z mową będzie wzbudzać niepokój. Należy w tym przypadku zachować ostrożność i równowagę – Derek spędził niezliczoną liczbę godzin, oglądając nagrania z młodymi zwierzętami, aż w końcu udało mu się stworzyć hybrydowe oblicza, które są ujmujące, ale bez przesady.

Jego obecne zadanie jest nieco inne. Menadżerom produktowym mało było kotów, psów, małp i pand. Doszli do wniosku, że awatary muszą być bardziej zróżnicowane i nie powinny ograniczać się do młodych zwierząt. Wymyślili więc roboty.

Według Dereka jest to pomysł pozbawiony sensu. Cała strategia Blue Gammy opiera się na ludzkiej sympatii do zwierząt. Digienty uczą się przez wzmocnienie pozytywne, tak jak zwierzęta, a ich nagrodą są takie interakcje, jak podrapanie za uchem, czy otrzymanie porcji wirtualnego jedzenia. Ma to sens w przypadku awatarów zwierzęcych, ale w przypadku robotów wyglądałoby śmiesznie i nienaturalnie. Gdyby w sprzedaży były rzeczywiste zabawki, roboty miałyby przewagę, gdyż taniej je zbudować niż przekonujące zwierzęta, ale w wirtualnym świecie koszty produkcji nie mają znaczenia, a pyszczki zwierząt mają więcej wyrazu. Wprowadzanie awatarów przedstawiających roboty przypomina oferowanie imitacji przy jednoczesnej sprzedaży oryginałów.

Jego przemyślenia przerywa pukanie do drzwi – to Ana, nowy członek zespołu testowego.

– Cześć, Derek, musisz obejrzeć nagranie z porannej sesji. Było naprawdę zabawnie.

– Dzięki, obejrzę.

Ana już ma wyjść, ale nagle się zatrzymuje.

– Wyglądasz, jakbyś miał zły dzień.

Według Dereka zatrudnienie byłej opiekunki z zoo to dobry pomysł. Nie tylko opracowała program szkolenia digientów, ale wpadła na genialny pomysł dotyczący żywienia.

Inni sprzedawcy digientów oferują bardzo ograniczoną ilość przysmaków, a Ana zaproponowała, by Blue Gamma radykalnie zmieniła formę pokarmu dla digientów; według niej zróżnicowana dieta sprawia, że zwierzęta w zoo są szczęśliwsze, a przy okazji pora karmienia staje się atrakcyjniejsza dla zwiedzających. Zarząd się zgodził i zespół programistów edytował podstawową mapę satysfakcji digientów tak, by rozpoznawały szeroki wachlarz wirtualnych potraw; nie mogli co prawda zasymulować zróżnicowanego składu chemicznego – symulacja fizyki w Data Earth jest do tego zdecydowanie za słaba – ale dodali parametry zastępujące smak i konsystencję pokarmu, a także stworzyli interfejs programu do przyrządzania potraw, by użytkownicy mogli tworzyć własne przepisy. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę; poszczególne digienty mają nawet ulubione potrawy, a beta testerzy twierdzą, że uwielbiają karmić swoich podopiecznych ich przysmakami.

– Szefostwo wymyśliło, że awatary zwierzęce nie wystarczą – mówi Derek. – Chcą mieć też roboty. Uwierzysz?

– Brzmi nieźle – stwierdza Ana.

Jest zaskoczony.

– Naprawdę tak sądzisz? Myślałem, że wolisz awatary zwierzęce.

– Wszyscy tu myślą o digientach jak o zwierzętach – wyjaśnia. – Problem w tym, że digienty nie zachowują się jak prawdziwe zwierzęta. Mają pewne zupełnie niezwierzęce cechy, więc gdy nadajemy im wygląd małp, czy pand, to nieco tak, jakbyśmy przebierali je w kostiumy cyrkowe.

Nieco boli go fakt, że jego pieczołowicie wykonane awatary porównywane są do kostiumów cyrkowych. Wyraz jego twarzy musi to zdradzać, gdyż Ana dodaje: – Nie żeby przeciętny obserwator to zauważył. Ja po prostu spędziłam znacznie więcej czasu ze zwierzętami, niż inni.

– Rozumiem – mówi. – Doceniam opinie z innej perspektywy.

– Przepraszam. Awatary wyglądają świetnie, serio. Najbardziej podoba mi się tygrysiątko.

– Nic się nie stało. Naprawdę.

Ana macha przepraszając ręką i wychodzi na korytarz, a Derek zastanawia się nad jej słowami.

Może faktycznie tak bardzo zajął się awatarami zwierzęcymi, że zaczął myśleć o digientach jak o czymś, czym nie są. Ana ma naturalnie rację, że digienty nie są zwierzętami zupełnie tak samo, jak nie są normalnymi robotami, a kto powiedział, że któraś z tych analogii jest lepsza od drugiej? Jeśli wyjdzie z założenia, że awatar przedstawiający robota jest równie dobry dla tej nowej formy życia, jak awatar zwierzęcy, wówczas prawdopodobnie uda mu się zaprojektować awatar, który go usatysfakcjonuje.

* * *

Minął rok, a Blue Gamme dzieli zaledwie kilka dni od wielkiej premiery nowego produktu. Ana pracuje w swoim boksie, a po przeciwnej stronie przejścia siedzi Robyn; normalnie są do siebie zwrócone plecami, ale w tej chwili oba monitory wyświetlają Data Earth, gdzie ich awatary stoją obok siebie. Nieopodal kilkanaście digientów biega po placu zabaw, ganiając się po mostku lub pod nim, wspinając po schodkach i ślizgając po rampie. Są to kandydaci do wypuszczenia na rynek; za kilka dni te właśnie digienty – lub bardzo podobne do nich – będą do kupienia w dwóch, nakładających się na siebie światach – rzeczywistym i Data Earth.

Zamiast próbować w ostatniej chwili nauczyć digienty czegoś nowego, zadaniem Any i Robyn jest powtarzanie z nimi już posiadanych umiejętności. Są w połowie sesji, gdy

Mahesh, jeden ze współzałożycieli Blue Gammy, mija ich boksy. Zatrzymuje się, by popatrzeć.

– Nie zwracajcie na mnie uwagi, róbcie swoje. Co ćwiczycie dzisiaj?

– Rozpoznawanie kształtów – odpowiada Robyn. Rozrzuca kilka kolorowych klocków na ziemię przed swoim awatarem i zwraca się do jednego z digientów: – Chodź tu, Lolly. – Lwiątko opuszcza plac zabaw i podchodzi do Robyn.

W tym czasie Ana woła Jaxa, którego awatar to neowiktoriański robot z wypolerowanej miedzi. Derek świetnie się spisał przy tym projekcie, od proporcji kończyn, po kształt twarzy; według Any Jax jest cudowny. Podobnie jak Robyn, rozrzuca przed sobą kolorowe klocki o różnych kształtach i wskazuje je Jaxowi.

– Widzisz klocki, Jax? Jakiego kształtu jest niebieski?

– Tryjkot – odpowiada Jax.

– Dobrze. A czerwony?

– Kwadrat.

– Dobrze. A zielony?

– Kiłko.

– Świetnie, Jax. – Ana daje mu porcję jedzenia, którą digient pochłania z entuzjazmem.

– Jax mindry – oznajmia Jax.

– Lolly też mindra – wtrąca się Lolly.

Ana uśmiecha się i głaszcze ich po głowie.

– Tak, oboje jesteście bardzo mądrzy.

– Boje mindrzy – mówi Jax.

– To właśnie chciałem zobaczyć – stwierdza Mahesh.

Kandydaci do wypuszczenia na rynek to rezultat wielu prób, śmietanka wybrana ze względu na zdolność uczenia się. Częściowo było to poszukiwanie inteligencji, ale w równym stopniu liczył się temperament i osobowość, która nie byłaby frustrująca dla klientów. Jednym z ważnych elementów jest umiejętność zabawy z innymi. Programiści starali się zredukować wśród digientów zachowania hierarchiczne – Blue Gamma chce sprzedawać zwierzątka, których właściciele nie będą musieli ciągle udowadniać swojej dominacji, choć nie znaczy to, że nigdy nie dojdzie do współzawodnictwa. Digienty uwielbiają, gdy poświęca się im uwagę i gdy tylko jeden zauważy, że Ana chwali innego, natychmiast sam próbuje znaleźć się w centrum zainteresowania. W większości przypadków nic w tym złego, ale gdy tylko któryś z digientów wydawał się bardziej drażliwy na punkcie pozostałych lub Any, był oznaczany i dany genom eliminowany z następnej generacji. Proces ten nieco przypominał hodowlę psów, choć tak naprawdę wyglądał jak praca w ogromnej kuchni testowej, w której piecze się nieskończenie wiele partii ciastek i sprawdza ich smakowitość, aż do znalezienia przepisu idealnego.

Obecne egzemplarze kandydatów do sprzedaży zostaną zachowane jako maskotki, a ich

kopie udostępnione klientom, choć firma spodziewa się, że większość osób zdecyduje się na zakup młodszych digientów, które jeszcze nie potrafią mówić. Nauka mowy to bowiem jeden z najfajniejszych etapów; maskotki służą przede wszystkim jako przykład tego, jakie mogą być efekty. Sprzedaż niemówiących digientów umożliwia również wejście na rynki nieanglojęzyczne, choć Blue Gamma nie miała wystarczającej liczby pracowników, by dochować się maskotek mówiących w innych językach.

Ana odsyła Jaxa na plac zabaw i przywołuje pandę o imieniu Marco. Już ma zacząć sprawdzać, jak idzie mu rozróżnianie kształtów, gdy Mahesh wskazuje na róg jej ekranu. – Hej, patrzcie. – Chodzi mu o kilka digientów na wzgórzu obok placu zabaw, turlających się w dół zbocza.

– Super – mówi Ana. – Nigdy nie widziałam, by robiły coś takiego. – Podchodzi awatarem do wzgórza; Jax i Marco idą za nią, po czym przyłączają się do reszty digientów. Przy pierwszej próbie Jax przestaje się turlać niemal natychmiast, ale po chwili treningu potrafi już dotrzeć na sam dół. Powtarza to kilkakrotnie, a potem biegnie do Any.

– Ana widzieć? – pyta Jax. – Jax kryć licząc dół!

– Tak, widziałam! Sturlałeś się na dół.

– Turlać się dół!

– Świetnie się spisales. – Ponownie głaszcze go po głowie.

Jax odbiega i znów turla się z góry. Lolly równie entuzjastycznie podchodzi do nowego zajęcia, a po dotarciu na sam dół wzgórza, dalej turla się po płaskim terenie, aż uderza w jeden z mostków na placu zabaw.

– I... i... i... – mówi Lolly. – Kurwa.

Natychmiast przyciąga to uwagę wszystkich.

– Gdzie się tego nauczyła? – pyta Mahesh.

Ana przełącza swój mikrofon i podchodzi awatarem do Lolly, by ją pocieszyć.

– Nie wiem – stwierdza. – Musiała to gdzieś usłyszeć.

– Nie możemy sprzedać digienta, który mówi „kurwa”.

– Już szukam – rzuca Robyn. W osobnym oknie ekranu odtwarza archiwalne nagrania z sesji i uruchamia wyszukiwanie w ścieżce dźwiękowej. – To chyba pierwszy przypadek, gdy któryś z digientów coś takiego powiedział. A jeśli chodzi o to, kiedy któreś z nas to powiedziało... – Cała trójka obserwuje wyniki wyszukiwania wyskakujące w oknie; wszystko wskazuje na to, że winowajcą jest Stefan, jeden z opiekunów z australijskiego oddziału Blue Gammy. Firma zatrudnia ludzi w Australii i Anglii, by szkolenie digientów trwało nawet gdy oddział na Zachodnim Wybrzeżu jest zamknięty; digienty nie potrzebują snu, czy też raczej proces integracji, który jest w ich przypadku odpowiednikiem snu można przeprowadzać w przyspieszeniu, tak więc szkolenie może trwać dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Przeglądają nagrania wszystkich sytuacji, w których Stefan użył słowa „kurwa” podczas szkolenia. Do największego wybuchu złości doszło trzy dni temu; trudno to stwierdzić,

patrząc tylko na awatar w Data Earth, ale najprawdopodobniej uderzył się kolanem o biurko. We wcześniejszych tygodniach zdarzały mu się podobne wybuchy, ale żaden nie było równie głośny i długi.

– Co mamy zrobić? – pyta Robyn.

Sytuacja wydaje się jasna. Tuż przed datą wejścia na rynek nie ma czasu na powtórzenie tygodni szkolenia; czy powinni zaryzykować założenie, że wcześniejsze wypowiedzi nie miały wpływu na digienty? Mahesh zastanawia się przez chwilę, po czym podejmuje decyzję.

– Dobra, cofnijcie je o trzy dni i zacznijcie od tego miejsca.

– Wszystkie? – pyta Ana. – Nie tylko Lolly?

– Nie możemy ryzykować; cofnijcie wszystkie. I od tej pory uruchamiajcie znacznik słów kluczowych podczas każdej sesji. A następnym razem, gdy któryś przeklnie, cofnijcie wszystkie do ostatniego punktu kontrolnego.

I tak digienty tracą trzy dni doświadczeń. Łącznie z tym, gdy po raz pierwszy turlały się z górki.

2

Digienty firmy Blue Gamma stają się hitem. Przez pierwszy rok od premiery sprzedaje się sto tysięcy egzemplarzy, a co najważniejsze, cały czas są na chodzie. Blue Gamma stawia na model biznesowy powiązanych produktów, gdyż sama sprzedaż digientów nie pokryłaby kosztów produkcji; dlatego też firma nalicza klientom opłaty za każdym razem, gdy karmią digienty, co zapewni dopływ pieniędzy tak długo, jak digienty będą bawić swoich właścicieli. A póki co klienci są nimi zachwyceni i nie wyłączają ich nawet na chwilę. Powszechnie jest przeprowadzanie procesu integracji powoli, by digienty przesybiały całą noc, ale niektórzy go przyspieszają, więc ich pupile są na chodzie niemal non stop; tacy właściciele dzielą się opieką nad digientami z ludźmi z innych stref czasowych, przez co proces dojrzewania przebiega szybciej. Na wszystkich portalach społecznościowych na Data Earth powstaje mnóstwo placów zabaw i placówek opieki dziennej dla digientów, a kalendarze imprez wypełnione są terminami grupowych zabaw, zajęć szkoleniowych i konkursów talentu. Niektórzy właściciele zabierają digienty nawet do stref wyścigów i pozwalają im samemu prowadzić. Wirtualny świat stał się globalną wioską wychowującą digienty – społeczną tkaniną, w którą wplatana jest nowa kategoria zwierząt.

Połowa digientów sprzedawanych przez Blue Gammę to egzemplarze jedyne w swoim rodzaju, wyposażone w genomy generowane losowo w oparciu o parametry wybrane podczas hodowli. Druga połowa to kopie maskotek, choć firma robi wszystko, by uświadomić klientom, że każda z kopii rozwinie się inaczej, w zależności od środowiska. Przykładem

ilustrującym tę sytuację są Marco i Polo, dwie z maskotek firmy. Obie są kopiami identycznego genomu i obie mają awatary przedstawiające pandę, ale istnieją zasadnicze różnice między ich usposobieniem. Marco miał dwa lata, gdy uruchomiono Polo, więc Polo przyłgnał do niego jak do starszego brata; teraz to nierozłączna para, przy czym Marco jest bardziej otwarty, a Polo rozważniejszy i nikt nie spodziewa się, że Polo kiedykolwiek zmieni się w Marco.

Maskotki Blue Gammy to najstarsze uruchomione digienty na silniku Neuroblast. Zarząd z początku miał nadzieję, że umożliwią programistom poznanie zachowań digientów, nim odkryją je klienci. Jednak rzeczywistość okazała się zupełnie inna; nie można przewidzieć, jak rozwiną się digienty wychowywane w tysiącu różnych środowisk. W praktyce każdy właściciel digienta wkracza na zupełnie nowe terytorium i w razie potrzeby zwraca się po pomoc do innych właścicieli. Zakładane są coraz to nowe fora dla posiadaczy digientów, pełne anegdot, dyskusji, pytań i porad.

Blue Gamma zatrudnia osobę odpowiedzialną za kontakt z klientami, której zadaniem jest czytanie forów, ale czasem po pracy Derek sam to robi. Zdarza się, że klienci omawiają mimikę digientów, ale nawet jeśli o tym nie piszą, Derek i tak lubi poznawać różne anegdoty.

OD: Zoe Armstrong

Nie uwierzycie, co dziś zrobiła moja Natasha! Byłyśmy na placu zabaw, gdy jeden z digientów przewrócił się i zaczął płakać. Natasha przytuliła go, by go pocieszyć, więc oczywiście zaczęłam wychwalać ją pod niebiosa. Patrząc, a ona popycha innego digienta, żeby się rozplakał, przytula go i czeka na pochwałę!

Jego uwagę przykuwa następny post:

OD: Andrew Nguyen

Czy niektóre digienty są głupsze od innych? Mój nie reaguje na polecenia, jak digienty innych osób.

Sprawdza profil publiczny klienta i widzi, że jego awatar przedstawia niekończący się deszcz złotych monet; monety te odbijają się od siebie tworząc abstrakcyjną postać ludzką. Animacja jest naprawdę olśniewająca, ale Derek podejrzewa, że ten użytkownik nie przeczytał zaleceń Blue Gammy dotyczących wychowania digientów. Wysłała odpowiedź:

OD: Derek Brooks

Czy podczas zabawy ze swoim digientem używasz awatara ze swojego profilu? Jeśli tak, problem polega na tym, że ten awatar nie ma twarzy. Ustaw kamerę tak, by śledziła wyraz twojej twarzy i zmień awatar na taki, który to pokaże. Wtedy reakcje

digienta znacznie się poprawią.

Przegląda forum dalej. Po minucie znajduje kolejne interesujące pytanie:

OD: Natalie Vance

Moja digientka Coco to model Lolly. Ma półtora roku. Ostatnio zaczęła być niegrzeczna. W ogóle nie wykonuje poleceń, co doprowadza mnie do szału. Jeszcze kilka tygodni temu była słodką laleczką, więc przywróciłam jej wersję z punktu kontrolnego, ale na długo to nie wystarczyło. Powtórzyłam to już dwukrotnie i za każdym razem kończy się nieposłuszeństwem. (Choć za drugim razem trochę dłużej wytrzymała). Czy ktokolwiek miał podobny problem? Szczególnie z modelem Lolly. O ile trzeba by ją cofnąć, żeby to obejść?

Kilka osób udzieliło odpowiedzi, sugerując, jak wyodrębnić czynnik powodujący zmianę nastroju Coco, a potem go obejść. Już ma sam odpowiedzieć tłumacząc, że digient to nie gra wideo, którą się w kółko restartuje, aż do uzyskania pożądanego rezultatu, kiedy zauważa odpowiedź Any:

OD: Ana Alvarado

Potrafię cię zrozumieć, bo sama widziałam takie przypadki. Nie dotyczy to tylko Lolly, wiele digientów przez to przechodzi. Możesz próbować obejść takie sytuacje, ale podejrzewam, że są nieuniknione, więc tylko doprowadzisz do tego, że digient przez kilka miesięcy nie rozwinie się ani trochę. Możesz też spróbować przebrnąć przez trudny okres i doczekać się dojrzałego digienta, gdy będziecie to mieli za sobą.

Ten wpis dodaje mu otuchy. Świadome istoty są zbyt często traktowane jak zabawki i nie dotyczy to tylko zwierząt. Derek był raz na przyjęciu w domu szwagra, gdzie gościła również para z ośmioletnim klonem. Każde spojrzenie na chłopca budziło w nim współczucie. Dziecko było chodzącym kłębkim nerwów, gdyż dorastało jako pomnik ku czci narcyzmu ojca. Nawet digient zasługuje na większy szacunek.

Wysłała Anie prywatną wiadomość, dziękując za jej post. Potem zauważyła, że klient z awatarem bez twarzy odpowiedział na jego wpis.

OD: Andrew Nguyen

W dupie to mam. Dałem za ten awatar kupę kasy, a kupiłem go specjalnie na potrzeby kontywentów społecznościowych. Nie zmienię go dla jakiegoś digienta.

Derek wzdycha; pewnie nie można nic zrobić, by ten człowiek zmienił zdanie. Pozostaje mieć nadzieję, że po prostu zawiesi swojego digienta, a nie zniszczy go złym wychowaniem. Blue Gamma zrobiła co mogła, by zminimalizować ryzyko nadużyć; wszystkie digienty na silniku Neuroblast wyposażone są w bezpieczniki reagujące na ból, dzięki czemu są odporne na tortury, a co za tym idzie – nieatrakcyjne dla sadystów. Niestety, nijak nie można ich ochronić przed zwykłym zaniedbaniem.

* * *

W przeciągu kolejnego roku inne firmy zaczynają wprowadzać na rynek własne silniki genomiczne, obsługujące naukę mowy. Żaden z nich nie dorównuje Neuroblastowi popularnością na platformie Data Earth, ale na innych platformach sytuacja wygląda inaczej. Na Next Dimension dominuje silnik Origami, a na Anywhere silnik Faberge. Na szczęście Blue Gamma zainspirowała inne firmy nie tylko do tworzenia produktów konkurencyjnych, ale i uzupełniających.

Dziś połowa pracowników firmy zgromadzona jest w recepcji: menadżerowie, programiści, testerzy, projektanci. Są tu z powodu pewnej długo oczekiwanej przesyłki – przy biurku stoi pudło wielkości dużej walizki.

– Otwierajmy – rzuca Mahesh.

Ana i Robyn ściągają z pudełka etykiety i rozdzielają je na osiem płatów pianki celulozowej, które można otworzyć. Mieszkańcem tego szytego na miarę sarkofagu jest robot przywieziony prosto z fabryki. Robot wyglądem przypomina człowieka, ale jest dużo mniejszy, nie ma nawet trzech stóp wysokości, dzięki czemu inercja kończyn jest niewielka, co z kolei zapewnia umiarkowany poziom zwinności. Jego powierzchnia lśni czernią. Robot wyposażony jest w nieproporcjonalnie dużą głowę, której większość wypełnia panoramiczny ekran.

Przesyłka pochodzi z firmy SaruMech Toys. Pojawiło się wiele firm oferujących usługi skierowane do właścicieli digientów, ale SaruMech jako pierwsi wyprodukowali sprzęt, a nie oprogramowanie. Przysłali więc przykładowy egzemplarz Blue Gammie, licząc na wsparcie.

– Która z maskotek wypadła najlepiej? – pyta Mahesh. Ma na myśli testy zręcznościowe. W ubiegłym tygodniu wszystkie digienty otrzymały awatary testowe, w których rozkład ciężaru i zakres ruchu odpowiadał ciału robota; digienty każdego dnia spędzały kilka godzin w nowych awatarach, ćwicząc poruszanie się. Wczoraj Ana wystawiła im oceny za kładzenie się na plecach i wstawanie, wchodzenie i schodzenie po schodach, stanie na jednej, a potem drugiej nodze. Wyglądało to jak testy na trzeźwość przeprowadzane w żłobku.

– Jax – odpowiada Ana.

– OK, przygotuj go.

Recepcjonista udostępnia swój komputer Anie, która loguje się do Data Earth i

przywołuje Jaxa. Jax ma to szczęście, że awatar testowy nie różni się zbyt od jego własnego; jest nieco bardziej przysadzisty, ale proporcje kończyn i tułowia są podobne. Dla odmiany, digienty dorastające w awatarach pand i tygrysiątek miały większe problemy.

Robyn ogląda panel diagnostyczny robota.

– Wygląda na to, że możemy zaczynać.

Ana otwiera na ekranie portal sali gimnastycznej i macha do Jaxa.

– No dobra, Jax, chodź.

Jax przechodzi przez portal na ekranie, co budzi niewielkiego robota w recepcji do życia. Ekran robota zapala się, pokazując twarz Jaxa; nienaturalnie duża głowa wygląda niczym kulisty hełm. Tego typu konstrukcja to próba zachowania podobieństwa do oryginalnego awatara digienta bez konieczności produkowania różnych ciał. Jax wygląda jak miedziany robot w obsydianowej zbroi.

Jax obraca się dookoła, by obejrzeć całe pomieszczenie.

– O rany. – Zatrzymuje się. – O rany, rany. Dźwięk inny. Rany, rany, rany.

– Wszystko w porządku, Jax – mówi Ana. – Pamiętasz, uprzedzałam cię, że twój głos może brzmieć nieco inaczej na zewnątrz. – Informacje przekazane przez SaruMech ostrzegają o tym; metalowo-plastikowa konstrukcja przenosi dźwięk inaczej niż awatary w Data Earth.

Jax spogląda na twarz Any, zachwyconą jego widokiem. Wie, że Jax tak naprawdę nie znajduje się w tym ciele – jego kod nadal pracuje w sieci, a ten robot jest tylko wyszukanym urządzeniem peryferyjnym – ale złudzenie jest doskonałe. A po wszystkich spotkaniach w Data Earth, cudownie jest stanąć przed Jaxem i spojrzeć mu w oczy.

– Cześć, Jax – mówi. – To ja, Ana.

– Mieć inny awatar – stwierdza Jax.

– W świecie zewnętrznym mówimy na to „ciało”, nie „awatar”. Ludzie nie mogą zmieniać ciał; to możliwe tylko w Data Earth. Tutaj mamy zawsze te same ciała.

Jax rozważa to przez chwilę.

– I wyglądać tak zawsze?

– No, mogę zmienić ubranie. Ale zasadniczo tak właśnie wyglądam.

Jax podchodzi, by się lepiej przyjrzeć, a Ana kuca z łokciami na kolanach, dzięki czemu są niemal tego samego wzrostu. Jax ogląda badawczo jej dłonie, a potem przedramiona; Ana ma na sobie bluzkę z krótkim rękawem. Jax przysuwa głowę jeszcze bliżej i Ana słyszy cichutki warkot, gdy kamery w oczach robota ustawiają ostrość.

– Małe włoski na rękach – mówi.

Ana się śmieje; jej awatar ma ręce gładkie jak pupa niemowlaka.

– Zgadza się.

Jax podnosi rękę i wyciąga kciuk i palec wskazujący, chcąc chwycić jeden z włosków. Próbuje kilkakrotnie, ale jego palce cały czas się ześlizgują, zupełnie jak szczypce w automacie z maskotkami. W końcu, szcypie Anę, po czym się wycofuje.

– Aua, Jax, to boli.

– Przepraszam. – Jax przygląda się jej twarzy. – Małe dziurki na całej twarzy.

Ana wyczuwa rozbawienie wszystkich obecnych.

– To są „pory” – wyjaśnia, podnosząc się. – Może później porozmawiamy o mojej skórze.

A teraz rozejrzyj się tu trochę, dobrze?

Jax odwraca się i powoli obchodzi hol, niczym miniaturowy astronauta badający obcy świat. Zauważa okno wychodzące na parking i natychmiast do niego podchodzi.

Przez szybę wpadają promienie popołudniowego słońca. Jax staje w świetle, po czym gwałtownie z niego ucieka.

– Co to?

– To słońce. Zupełnie jak to w Data Earth.

Jax ostrożnie wraca w plamę światła.

– Nie tak. Słońce jasne, jasne, jasne.

– Fakt.

– Słońce nie trzeba jasne, jasne, jasne.

Ana się śmieje.

– Pewnie masz rację.

Jax wraca do niej i zwraca uwagę na materiał, z którego wykonane są jej spodnie. Ana niepewnie głaszcze go po głowie. Czujniki dotykowe robota najwyraźniej działają, bo Jax przytula się do jej dłoni; czuje jego ciężar, dynamiczny opór siłowników. Jax obejmuje jej udo.

– Mogę go zatrzymać? – pyta Ana pozostałych. – Szedł za mną całą drogę.

Wszyscy się śmieją.

– Teraz tak mówisz – rzuca Mahesh – ale poczekaj, aż spuści ręczniki w toalecie.

– Wiem, wiem – mówi Ana. Istnieje wiele powodów, dla których Blue Gamma zdecydowała się stworzyć w świecie wirtualnym, a nie prawdziwym – niższe koszty, łatwość dostępu do portali społecznościowych, a także ryzyko uszkodzenia mienia; nie mogliby sprzedawać zwierzątek, które zrywałyby żaluzje lub budowały majonezowe zamki na dywanie. – Po prostu fajnie jest widzieć Jaxa w takiej formie.

– Masz rację, fajnie. A dla dobra SaruMech mam nadzieję, że dobrze wypadnie to na filmie. – Firma SaruMech Toys nie planuje wcale sprzedaży robotów, tylko wynajmowanie ich jednorazowo na kilka godzin. Digienty dostaną ciała w ośrodku niedaleko Osaki i wyjadą na wycieczkę po prawdziwym świecie, co ich właściciele będą mogli obejrzeć dzięki kamerom zamontowanym na mikrosterowcach. Ana czuje nagłą potrzebę zatrudnienia się u nich; patrząc na Jaxa przypomina sobie o tęsknocie za fizycznym aspektem pracy ze zwierzętami i uświadamia sobie, dlaczego praca z digientami na ekranie nie może tego zastąpić.

Robyn zwraca się do Mahesha:

– Chcesz, żeby wszystkie maskotki zostały sprawdzone w robocie?

– Tak, ale dopiero gdy zdadzą testy zręcznościowe. Jeśli zepsujemy SaruMech tego robota, nie dostaniemy następnego za darmo.

Jax bawi się tenisówkami Any i ciągnie za sznurówki. Ana niezbyt często marzy o byciu bogatą, ale w tej chwili, czując, jak Jax szarpie jej sznurówki, tego właśnie by sobie *życzyła*. Bo gdyby było ją na to stać, bez namysłu kupiłaby sobie takiego robota.

* * *

Pracownicy po kolei pokazują maskotkom prawdziwy świat; Derek zazwyczaj zabiera ze sobą Marco lub Polo. Najpierw zabiera ich na zewnątrz, do parku przy kompleksie, w którym Blue Gamma ma swoją siedzibę. Pokazuje im trawniki i krzewy, rozdzielające parking, a także przypominającego kraba robota, który zajmuje się pielęgnacją zieleni; to efekt wcześniejszej próby przeniesienia digientów do świata rzeczywistego. Robot wyposażony jest w wąski rydel do wrywania chwastów, a jego praca jest całkowicie instynktowna; to potomek generacji zwycięzców ewolucyjnego konkursu ogrodniczego, prowadzonego w szklarniach Data Earth. Dereka ciekawi, jak maskotki zareagują na opowieść o robocie pielęgnującym i zastanawia się, czy będą się utożsamiać z podobnym im emigrantem z Data Earth, ale digienty nie wykazują żadnego zainteresowania tematem.

Za to fascynują je tekstury. Powierzchnie w Data Earth mają mnóstwo szczegółów wizualnych, ale wrażenia dotykowe ograniczone są do współczynnika tarcia; bardzo niewielu graczy używa sprzętu przenoszącego wrażenia dotykowe, dlatego też większość sprzedawców nie zwraca sobie głowy wyposażaniem powierzchni w konkretne tekstury. Teraz, gdy digienty mogą poczuć tekstury świata rzeczywistego, nawet najprostsze rzeczy są dla nich ogromną nowością. Gdy Marco kończy swój pobyt w robocie, bez końca opowiada o dywanach i obiciach mebli; gdy w ciele znajduje się Polo, cały czas spędza na dotykaniu chropowatych listew antypoślizgowych na schodach. Nic więc dziwnego, że czujniki na palcach robota jako pierwsze wymagają wymiany.

Następnie Marco zauważa, że usta Dereka znacznie różnią się od jego ust. Usta digientów tylko pobieżnie przypominają usta ludzi; choć ich wargi poruszają się, gdy mówią, generatory mowy digientów nie są fizyczne. Marco chce poznać mechanizm mowy i ciągle prosi, by Derek pozwolił mu włożyć palce do ust, gdy mówi. Polo jest zdumiony, gdy odkrywa, że jedzenie połknięte przez Dereka naprawdę przechodzi przez gardło, a nie znika, jak w przypadku pokarmu digientów. Derek obawiał się, że digienty mogą być zawiedzione, gdy odkryją ograniczenia swej fizyczności, ale raczej je to bawi.

Niespodziewaną korzyścią, jaką daje oglądanie digientów w ciele robota, jest możliwość dokładniejszej obserwacji ich twarzy, niż ma to zazwyczaj miejsce w Data Earth. W rezultacie łatwiej docenić pracę, jaką Derek włożył w ich mimikę. Pewnego dnia Ana

odwiedza go w jego boksie i woła:

– Jesteś niesamowity!

– Hmm... dziękuję?

– Właśnie widziałam, jak Marco robi śmieszne miny. Musisz to zobaczyć. Mogę? – Ana wskazuje na jego klawiaturę, a Derek odsuwa się z krzesłem od biurka, by mogła z niej skorzystać. Ana otwiera na ekranie kilka okien wideo: jedno z nagrań pochodzi z kamery umieszczonej na ciele robota i pokazuje wszystko z perspektywy digienta, a na drugim widać ekran w głowie robota. Sądząc po pierwszym nagraniu, była to ponowna wizyta na parkingu.

– W zeszłym tygodniu był na jednej z wycieczek SaruMech – wyjaśnia Ana – i oczywiście był zachwycony, więc teraz nasz park wydaje mu się nudny.

Marco na ekranie mówi:

– *Chcę znów wycieczkę.*

– *Tutaj może być równie fajnie.* – Ana na ekranie przywołuje Marco gestem.

Obraz kołysze się w przód i w tył w rytm tego, jak Marco kręci głową.

– *Nie tak samo fajnie. Park więcej fajnie. Pokażę ci.*

– *Nie możemy iść do tamtego parku. To bardzo daleko; musielibyśmy tam bardzo długo jechać.*

– *Wystarczy otwórz portal.*

– *Przykro mi, Marco, ale w prawdziwym świecie nie można otwierać portali.*

– A teraz patrz na jego twarz – mówi Ana.

– *Próbuj. Bardzo próbuj, proszę.* – Marco przywołuje na swej pandziej twarzy błagalny wyraz; Derek nigdy wcześniej go nie widział i wybucha śmiechem.

Ana również się śmieje i mówi:

– Patrz dalej.

Ana na ekranie mówi:

– *Nieważne, jak bardzo będę próbować, Marco; w świecie zewnętrznym nie ma portali. Tylko Data Earth ma portale.*

– *To chodź do Data Earth i tam otworzyć portal.*

– *To ma sens, gdy czeka tam na ciebie ciało, ale ja nie mogę zmienić ciała, muszę przenieść to, które mam, a to zajęłoby dużo czasu.*

Marco chwilę się nad tym zastanawia, a Derek z przyjemnością stwierdza, że twarz digienta wyraża autentyczne niedowierzanie.

– *Zewnętrzny świat głupi* – stwierdza digient.

Derek i Ana wybuchają śmiechem. Ana zamyka okna i mówi: – Naprawdę świetnie się spisałeś.

– Dziękuję. I dzięki, że mi to pokazałaś. Sprawilo mi to ogromną frajdę.

– Cieszę się.

To miłe, gdy ktoś przypomina ci, że twoja wcześniejsza praca przynosi rezultaty,

szczególnie że ostatnie zadania Dereka nie są nawet w połowie tak interesujące. Digienty Origami i Faberge zaczęły pojawiać się w szerszej gamie awatarów, takich jak małe smoki, gryfony i inne bajeczne stworzenia, więc i Blue Gamma chce wprowadzić do oferty neuroblastowych digientów podobne pozycje. Nowe awatary to bezpośrednie modyfikacje już istniejących, a to znaczy, że nie wymagają żadnej pracy związanej z mimiką.

W zasadzie ostatnie zadanie dotyczy stworzenia awatara zupełnie jej pozbawionego. Grupa hobbystów zainteresowanych sztucznym życiem jest pod wrażeniem potencjału genomu Neuroblast, więc zamiast czekać, aż w biomach sama rozwinię się inteligencja, zleciła Blue Gammie zaprojektowanie inteligentnej rasy obcych. Programiści stworzyli takson osobowości, który dalece odbiega od tych sprzedawanych przez Blue Gammę, a Derek właśnie projektuje awatar z trzema nogami, parą macek w miejscu rąk i chwytnym ogonem. Niektórzy z hobbystów chcieliby, by ciała były jeszcze bardziej uduchowione, a środowisko miało odmienną fizykę, ale przypomniał im, że wychowując digienty też będą musieli używać tych awatarów, a posługiwanie się mackami samo w sobie jest wystarczająco trudne.

Hobbyści nadali nowemu gatunkowi nazwę Xenoterian i utworzyli prywatny kontynent – Data Mars, gdzie zamierzają stworzyć obcą kulturę od zera. Dereka ciekawi, jak to wygląda, ale nie ma tam wstępu, gdyż jedynym językiem dopuszczonym do użytku w obecności digientów jest miejscowy dialekt sztucznego języka – lojbanu. Zastanawia go, jak długo hobbyści wytrwają przy swym projekcie. Pomijając bariery utrudniające wejście w ten świat, wychowanie Xenoterian nie przyniesie nigdy takiej satysfakcji, jakiej właśnie doświadczyli z Aną oglądając Marco. Nagrody będą miały wymiar wyłącznie intelektualny, a czy na dłuższą metę to wystarczy?

3

W przeciągu kolejnego roku prognozy dotyczące przyszłości Blue Gammy zmieniają się z optymistycznych na zdecydowanie złe. Zmalała sprzedaż nowym klientom, ale co gorsze, dochód ze sprzedaży wirtualnej karmy zmalał, gdyż klienci coraz częściej zawieszają swoje digienty.

Problem w tym, iż neuroblastowe digienty nigdy nie wychodzą poza okres wczesnego dzieciństwa, a więc z czasem stają się zbyt wymagające. Podczas hodowli Blue Gamma dążyła do połączenia mądrości z posłuszeństwem, ale okazało się, że ze względu na nieprzewidywalność właściwą dla każdego genomu, nawet cyfrowego, nie udało się tego osiągnąć. Jak w przypadku zbyt trudnej gry, proporcje między wyzwaniem a późniejszą nagrodą zapewnianą przez digienty niestety wykraczają poza to, co większość ludzi uznaje za dobrą zabawę, stąd tyle przypadków zawieszzeń. Choć w przeciwieństwie do właścicieli psów

kupujących rasę, na którą nie są przygotowani, klientów Blue Gammy nie można winić za brak przygotowania; sama firma nie wiedziała, że digienty rozwijają się w ten sposób.

Pojawili się wolontariusze prowadzący schroniska dla niechcianych digientów, próbujący znaleźć dla nich nowych właścicieli. Ochotnicy stosują różne strategie – niektórzy utrzymują digienty na chodzie przez cały czas, a inni co kilka dni uruchamiają je od ostatniego punktu kontrolnego, by zapobiec powstaniu syndromu porzucenia, przez który trudniej byłoby o adopcję. Żadna ze strategii nie okazuje się jakoś szczególnie skuteczna w przyciąganiu potencjalnych właścicieli. Co jakiś czas trafia się ktoś, kto chce zająć się digientem bez konieczności wychowywania go od podstaw, ale takie adopcje nigdy nie trwają długo i schroniska powoli stają się magazynami.

Anie nie podoba się ta tendencja, gdyż wie, jak w rzeczywistości wygląda opieka nad zwierzętami; wie też, że wszystkich nie da się ocalić. Wołałaby ochronić maskotki Blue Gammy przed tym, co się dzieje, ale zjawisko jest już zbyt rozpowszechnione. Regularnie zabiera je na plac zabaw, aż w końcu jeden z digientów zauważa, że przestał się tam pojawiać jeden z jego kolegów.

Dzisiejsza wyprawa na plac zabaw jest jednak inna i przynosi miłą niespodziankę. Jeszcze nim wszystkie maskotki przeszły przez portal, Jax i Marco zauważają digienta z robotycznym awatarem. Jednocześnie wykrzykują: „Tibo!” i biegną do niego.

Tibo jest jednym z najstarszych digientów poza maskotkami i należy do beta testera, Carltona, który zawiesił go jakiś miesiąc temu. Ana cieszy się, że nie było to zawieszenie na stałe. Gdy digienty rozmawiają, Ana podchodzi awatarem do Carltona, żeby pogadać; Carlton wyjaśnia, że po prostu potrzebował odpoczynku, a teraz wie, że jest gotowy poświęcić Tibo tyle czasu, ile trzeba.

Po powrocie z placu zabaw na wyspę Blue Gammy, Jax opowiada Anie, o czym rozmawiali z Tibo. – Mówić mu jak się bawić, kiedy go nie być. Mówić mu o wycieczce do zoo, fajna, fajna.

– Było mu przykro, że ją przegapił?

– Nie, zamiast tego się kłóci. Mówić, że wycieczka do centrum handlowego, nie zoo. Ale to wycieczka miesiąc temu.

– To dlatego, że Tibo był zawieszony przez ten czas, gdy się nie widzieliście – wyjaśnia Ana. – Sądzi więc, że wycieczka sprzed miesiąca odbyła się wczoraj.

– Ja tak mówię – stwierdza Jax, zaskakując ją swoją zdolnością pojmowania – ale on nie wierzy. Kłóci się, aż Marco i Lolly też mu mówią. Potem smutny.

– Jestem pewna, że będą kolejne wycieczki do zoo.

– Nie smutny za zoo. Smutny za ten miesiąc.

– Aha.

– Ja nie chcę zawieszony. Nie chcę stracić miesiąc.

Ana bardzo stara się zabrzmieć uspokajająco.

- Nie musisz się tego obawiać, Jax.
- Ty mnie nie zawiesić, prawda?
- Prawda.

Z ulgą stwierdza, że Jaxowi to wystarcza; nie spotkał się jeszcze z czymś takim, jak wymuszanie obietnicy i choć dręczą ją wyrzuty sumienia, cieszy się, że nie musi jej składać. Czerpie pocieszenie z faktu, że jeśli zawieszą maskotki na jakiś czas, niemal na pewno zawieszą je wszystkie, więc przynajmniej w obrębie grupy nie pojawią się rozbieżności poznawcze. Tak samo byłoby, gdyby cofnęły maskotki o jakiś okres. Rozpoczęcie od jednego z pierwszych punktów kontrolnych to jeden z sugerowanych przez Blue Gamme sposobów na zbyt wymagające digienty i pojawiły się głosy, że firma powinna zrobić to z własnymi maskotkami, by promować tę strategię.

Ana uświadamia sobie, która godzina i uruchamia kilka gier, by maskotki mogły same się bawić; ona musi zająć się szkoleniem digientów z nowej linii produktów Blue Gammy. Na przestrzeni lat, które minęły od utworzenia genomu Neurobast, programiści utworzyli bardziej zaawansowane narzędzia do analizy interakcji pomiędzy poszczególnymi genami, przez co lepiej zrozumieli właściwości genomu. Ostatnio stworzyli takson o niższej plastyczności kognitywnej, dzięki czemu digienty powinny szybciej się stabilizować, zachowując swą potulność na zawsze. Przekonać się o tym można tylko pozwalając klientom wychowywać je przez kilka lat i sprawdzając rezultaty, ale programiści są raczej pewni swego. To znacznie odbiega od pierwotnego celu firmy, którym był stały rozwój digientów, ale trudne sytuacje wymagają drastycznych kroków. Blue Gamma liczy na to, że nowe digienty zahamują spadek dochodów, więc Ana wraz z resztą zespołu zajmuje się intensywnym szkoleniem.

Maskotki są na tyle dobrze przeszkolone, że czekają na jej pozwolenie, by rozpocząć zabawę.

- No dobra, możecie się pobawić – mówi i digienty rzucają się do swoich ulubionych gier. – Spotkamy się później.
- Nie – mówi Jax. Zatrzymuje się i podchodzi do jej awatara. – Nie chcę bawić.
- Słucham? Na pewno chcesz.
- Nie bawić. Chcę pracę.

Ana się śmieje.

- Słucham? Czemu chcesz iść do pracy?
- Po pieniądze.

Uświadamia sobie, że mówiąc to Jax nie jest wesoły, a przygnębiony. Dlatego pyta już poważniej:

- Do czego potrzebne ci pieniądze?
- Niepotrzebne. Dać tobie.
- Czemu chcesz mi dawać pieniądze?

- Bo ty potrzebować – stwierdza rzeczowo.
- Czy mówiłam, że potrzebuję pieniędzy? Kiedy?
- W zeszłym tygodniu ja pytam, czemu ty bawisz z innymi digientami zamiast mną. Ty powiedzić, że ludzie płacą za zabawę. Jeśli mam pieniądze, mogę płacić. I ty bawić się ze mną bardziej.
- Och, Jax. – Zupełnie nie wie, co powiedzić. – To naprawdę urocze.

* * *

Po kolejnym roku już oficjalnie wiadomo, że Blue Gamma zostanie zamknięta. Niewystarczająca liczba klientów zdecydowała się na zakup wiecznie potulnych digientów. Firma długo zastanawiała się nad różnymi opcjami, w tym hodowlą digientów rozumiejących mowę, ale nie potrafiących mówić, ale na wszystko było już za późno. Baza klientów zatrzymała się na niewielkiej społeczności zatwardziałych właścicieli digientów, niebędącej w stanie zapewnić Blue Gammie dochodów, które pozwoliłyby się utrzymać na rynku. Firma wypuści darmową wersję oprogramowania z pokarmem, więc chętni będą mogli utrzymywać swoje digienty tak długo, jak będą chcieli, ale pod wszystkimi innymi względami klienci zostaną sami.

Większość pracowników ma już za sobą upadki firm, więc choć nie są szczęśliwi z tego powodu, jest to dla nich tylko kolejny etap życia w branży oprogramowania. Jednak Anie zamknięcie Blue Gammy przypomina zamknięcie zoo, co było jednym z najstraszniejszych doświadczeń w jej życiu. Oczy nadal robią jej się wilgotne na myśl o swoim ostatnim spotkaniu z małpami, kiedy choć chciała, nie potrafiła im wyjaśnić, dlaczego już jej nie zobaczą i pozostała jej tylko nadzieja, że odnajdą się jakoś w nowym domu. Decydując się na przekwalifikowanie, cieszyła się na myśl, że w pracy z oprogramowaniem nigdy nie doświadczy takiego pożegnania. A tu proszę, wbrew wszelkim oczekiwaniom znalazła się w dziwnie podobnej sytuacji.

Podobnej, ale nie takiej samej. W zasadzie Blue Gamma nie musi szukać domu dla swych kilkunastu maskotek; wystarczy je zawiesić, czego nawet nie można porównać do eutanazji. Ana sama zawiesiła tysiące digientów na etapie hodowli, które teraz ani nie są martwe, ani nie czują się porzucone. W przypadku zawieszenia maskotek ucierpią tak naprawdę tylko opiekunowie; przez ostatnich pięć lat Ana codziennie spędzała z maskotkami sporo czasu i nie chce się żegnać z żadną z nich. Na szczęście istnieje inne wyjście – każdego z pracowników stać na utrzymanie maskotki na Data Earth, podczas gdy hodowanie małpy w mieszkaniu nie wchodziło w grę.

Ana z zaskoczeniem stwierdza, że pomimo prostoty tego wyjścia, wielu pracowników nie chce adoptować maskotek. Wie, że może liczyć na Dereka, któremu zależy na digientach tak samo, jak jej, ale opiekunowie są zadziwiająco niechętni adopcji. Wszyscy lubią digienty, ale

większość z nich uważa, że zatrzymywanie ich jako zwierzątek domowych równałoby się pracy bez wynagrodzenia. Ana jest pewna, że Robyn przygarnie choć jedną z maskotek, ale Robyn rozwiewa jej nadzieje podczas lunchu.

– Miałymy nikomu jeszcze nie mówić – wyznaje Robyn – ale... jestem w ciąży.

– Serio? Gratulacje!

Robyn się uśmiecha.

– Dzięki! – I zasypuje Anę milionem długo skrywanych informacji: o różnych opcjach, które rozważały ze swoją partnerką Lindą, o tym, że postanowiły zaryzykować łączenie komórek jajowych i jakie to miały szczęście, że już pierwsza próba się powiodła. Ana i Robyn dyskutują o problemach ze znalezieniem pracy i urlopem macierzyńskim. W końcu wracają do tematu adopcji maskotek.

– Z pewnością będziesz mieć ręce pełne roboty – mówi Ana – ale co byś powiedziała na adopcję Lolly? Fascynujące byłoby obserwować jej reakcję na ciążę.

– Nie – Robyn kręci głową. – Digienty to już dla mnie przeszłość.

– Przeszłość?

– Jestem gotowa na coś prawdziwego, rozumiesz, co mam na myśli?

Ana stwierdza ostrożnie:

– Chyba nie do końca.

– Ludzie zawsze mówią, że naszym przeznaczeniem jest pragnienie potomstwa i zawsze sądziłam, że to tylko stek bzdur, ale to się zmieniło. – Na twarzy Robyn maluje się uniesienie; już w zasadzie nie mówi do Any. – Psy, koty, digienty, to tylko namiastki tego, czym naprawdę powinniśmy się zajmować. W końcu człowiek zaczyna rozumieć, czym jest dziecko, czym tak naprawdę jest dziecko i wszystko się zmienia. A potem sobie uświadamia, że wszystkie wcześniejsze uczucia nie były... – Robyn przerywa. – Chodzi mi po prostu o to, że spojrzałam na wszystko z innej perspektywy.

Kobiety pracujące ze zwierzętami nieustannie to słyszą... że ich miłość do zwierząt musi wynikać z sublimowanego pragnienia wychowywania dzieci. Ana ma dość tego stereotypu. Naprawdę lubi dzieci, ale nie uważa ich za standard będący miarą dla wszystkich innych osiągnięć. Opieka nad zwierzętami jest interesująca sama w sobie i jest to powołanie, z którego nie trzeba się tłumaczyć. Zaczynając pracę w Blue Gammie nie powiedziałaaby tego samego o digientach, ale nagle zdaje sobie sprawę z tego, że w ich przypadku może być podobnie.

4

W rok po zamknięciu Blue Gammy wiele zmienia się w życiu Dereka. Dostaje pracę w

firmie, w której pracuje jego żona Wendy, gdzie animuje wirtualnych aktorów na potrzeby telewizji. Ma szczęście pracować nad dobrze napisanym serialem, ale bez względu na to, jak błyskotliwe i nonszalanckie są dialogi, każde słowo, każdy szczegół i intonacja są skrupulatnie zaplanowane. Przygotowując animację słyszy wszystkie teksty setki razy, a ostateczny rezultat wydaje mu się pretensjonalny i sterylny w swej doskonałości.

Dla odmiany życie z Marco i Polo to niekończące się pasmo niespodzianek. Zaadoptował obu, gdyż nie chcieli, by ich rozdzielono, a że nie może spędzać z nimi tyle czasu, jak wtedy, gdy pracował w Blue Gammie, posiadanie digienta jest teraz jeszcze ciekawsze. Klienci, którzy nie zawiesili swoich digientów utworzyli grupę użytkowników Neuroblast, by móc się kontaktować, a im mniejsza jest ta społeczność, tym jej członkowie są aktywniejsi i bardziej zaangażowani, a ich wysiłki przynoszą tym lepsze rezultaty.

Akurat jest weekend i Derek jedzie do parku; na fotelu pasażera siedzi Marco w ciele robota. Na ile pozwalają mu pasy wstaje na fotelu, by wyjrzeć przez okno; szuka rzeczy, które wcześniej widział tylko w filmach i których brakuje w Data Earth.

- Hydrant – mówi Marco, pokazując go palcem.
- Hydrant przeciwpożarowy.
- Hydrant przeciwpożarowy.
- Zgadza się.

Ciało, używane przez Marco to ten sam robot, którego dostała Blue Gamma. Grupowe wycieczki w teren się skończyły, gdyż firma SaruMech Toys została zamknięta niedługo po Blue Gammie, więc Ana – która znalazła pracę przy testowaniu oprogramowania używanego na stacjach sekwestracji dwutlenku węgla – kupiła robota ze zniżką dla Jaxa. W zeszłym tygodniu pożyczyła go Derekowi, by Marco i Polo mogli się w nim trochę pobawić, a teraz Derek ma go zwrócić. Ana zamierza spędzić cały dzień w parku, pozwalając innym właścicielom digientów skorzystać z robota.

- Zrobić hydrant przeciwpożarowy następane zajęcia praktyczne – oznajmia Marco. – Użyć cylinder, użyć stożek, użyć cylinder.
- Świetny pomysł – rzuca Derek.

Marco mówi o zajęciach praktycznych, w których digienty biorą teraz codziennie udział. Zaczęły się kilka miesięcy temu, gdy jeden z właścicieli napisał program pozwalający na używanie kilku narzędzi edycji Data Earth z poziomu środowiska platformy. Za pomocą konsoli z pokrętkami i suwakami digienty mogą teraz tworzyć różnego rodzaju obiekty, zmieniać ich kolor oraz łączyć i edytować je na szereg sposobów. Digienty są zachwycone; z ich punktu widzenia obdarzono je magiczną mocą, a biorąc pod uwagę, jak narzędzia edycji obchodzą symulację fizyki na Data Earth, w pewnym sensie mają rację. Każdego dnia po pracy Derek loguje się na Data Earth, a Marco i Polo chwala się tym, co udało im się zrobić.

- Potem może pokazać Polo, jak... Park! Park już?
- Nie, jeszcze nie dojechaliśmy.

– Na napisie „Burgery i parki”. – Marco wskazuje na mijaną tablicę.

– Napisane jest „Burgery i koktajle”. Koktajle, a nie parki. Jeszcze kawałek drogi przed nami.

– Koktajle – powtarza Marco, patrząc na zostający w tyle napis.

Inną nowością są lekcje czytania dla digientów. Ani Marco, ani Polo nigdy nie zwracali większej uwagi na tekst – na Data Earth nie ma go wiele poza niewidocznymi dla digientów etykietami ekranowymi, ale jednemu z właścicieli udało się nauczyć swoje digienty odczytywania poleceń z tabliczek, więc i inni właściciele postanowili spróbować. Ogólnie rzecz biorąc, neuroblastowe digienty radzą sobie całkiem nieźle z rozpoznawaniem słów, ale mają problem z łączeniem poszczególnych liter z dźwiękami. To swego rodzaju dysleksja najwyraźniej charakterystyczna dla genomu Neuroblast; według innych grup użytkowników, digienty Origami z łatwością uczą się liter, a digienty Faberge uparcie pozostają analfabetami, bez względu na metody nauczania.

Marco i Polo chodzą na lekcje czytania z Jaxem i jeszcze kilkoma digientami, i najwyraźniej im się to podoba. Żaden z digientów nie dorastał słuchając bajek przed snem, więc nie są zafascynowane tekstem tak, jak dzieci, ale ich ogólna ciekawość – w połączeniu z pochwałami właścicieli – wystarczająco motywuje je do poznawania różnych zastosowań tekstu. Według Dereka to naprawdę ciekawe i nie może przeboleć, że Blue Gamma nie utrzymała się na rynku wystarczająco długo, by tego doczekać.

Dojeżdżają do parku; Ana ich zauważa i podchodzi, gdy Derek parkuje samochód. Marco ściska Anę na powitanie, gdy tylko Derek wypuszcza go z samochodu.

– Cześć, Ana.

– Cześć, Marco – odpowiada Ana i głaszcze robota po głowie. – Jeszcze jesteś w środku? Miałeś cały tydzień, jeszcze ci mało?

– Chciałem jechać w aucie.

– Chcesz się trochę pobawić w parku?

– Nie, my teraz jechać. Wendy nie chce, żebyśmy zostali. Cześć, Ana. – Derek zdążył już wyjąć platformę ładującą robota z tylnego siedzenia. Marco wchodzi na nią – nauczyli digienty wracać na platformę, gdy tylko przenoszą się do Data Earth – i hełm robota gaśnie.

Ana za pomocą komputera przenośnego przygotowuje pierwszego digienta do przejścia do robota.

– Więc też musisz iść? – pyta Dereka.

– Nie, nie mam żadnych planów.

– Więc o co chodziło Marco?

– No...

– Niech zgadnę: według Wendy spędzasz za dużo czasu z digientami, tak?

– Właśnie – zgadza się Derek. Wendy nie podoba się również, jak wiele czasu spędza z Aną, ale nie ma sensu o tym wspominać. Zapewnił Wendy, że nie myśli o Anie w ten sposób,

gdyż są tylko przyjaciółmi, których łączy fascynacja digientami.

Hełm robota zapala się, wyświetlając pyszczek jaguara; Derek rozpoznaje Zaffa, którego właścicielem jest jeden z beta testerów.

– Cześć Ana, cześć Derek – mówi Zaff i natychmiast podbiega do najbliższego drzewa. Derek i Ana idą za nim.

– Więc nie przekonali jej nawet w ciele robota? – pyta Ana.

Derek powstrzymuje Zaffa przed zbieraniem psich kup, po czym zwraca się do Any:

– Ani trochę. Nadal nie rozumie, dlaczego ich nie zawieszam dla wygody.

– Trudno znaleźć kogoś, kto nas rozumie – stwierdza Ana. – Tak samo było, kiedy pracowałam w zoo; każdy facet, z którym się spotykałam czuł, że jest na drugim miejscu. A teraz, kiedy mówię komuś, że płacę za lekcję czytania mojego digienta, patrzy na mnie jak na wariatkę.

– To według Wendy osobny problem.

Obserwują, jak Zaff przekopuje stertę liści i wyjmuje jeden tak przegnity, że niemal przezroczysty. Digient go podnosi i patrzy przez niego, co wygląda jakby miał maskę z roślinnej koronki.

– Choć pewnie nie powinnam mieć o to pretensji – mówi Ana. – Sama dopiero po jakimś czasie zrozumiałam ich atrakcyjność.

– A ja nie – rzuca Derek. – Od razu stwierdziłem, że digienty są niesamowite.

– To prawda – przyznaje Ana. – Jesteś wyjątkowy.

Derek obserwuje, jak radzi sobie z Zaffem, podziwia jej cierpliwość. Ostatni raz czuł taką jedność z kobietą, kiedy poznał Wendy, która podzielała jego pasję do ożywiania postaci za pomocą animacji. Gdyby nie był już żonaty, mógłby się umówić z Aną, ale w tej chwili nie ma sensu się nad tym zastanawiać. Mogą być co najwyżej przyjaciółmi i tak będzie najlepiej.

* * *

Minął rok. Ana spędza wieczór w domu. Na komputerze ma otwarte okno Data Earth, gdzie jej awatar pilnuje na placu zabaw bawiącej się grupy – Jaxa i kilku innych digientów. Liczba digientów nieustannie maleje – na przykład Tibo nie pojawia się już od kilku miesięcy, ale ostatnio grupa Jaxa połączyła się z inną, więc nadal jest szansa na zawarcie nowych znajomości. Kilka digientów wspina się po drabinkach, inne bawią się zabawkami na ziemi, a kilka ogląda wirtualną telewizję.

W innym oknie Ana przegląda fora dyskusyjne. Najpopularniejszym tematem jest ostatnia akcja Frontu Wyzwolenia Informacji – organizacji, która popiera skończenie z prywatnymi danymi. W zeszłym tygodniu podali do wiadomości publicznej informacje o sposobach włamywania się do wielu mechanizmów kontroli dostępu na Data Earth, a w ostatnich dniach ludzie zaczęli odkrywać, że unikatowe i drogie przedmioty z ekwipunków

ich gier są rozdawane niczym ulotki na rogu ulicy w centrum. Od kiedy to się zaczęło, Ana nie odwiedza kontynentu gier na Data Earth.

Na placu zabaw Jax i Marco zaczęli nową zabawę. Chodzą wokół siebie na czworakach. Jax macha, by zwrócić na siebie jej uwagę, więc podchodzi do niego swym awatarem.

– Ana – mówi – wiesz, że mrówki do siebie mówić?

Oglądali w telewizji filmy przyrodnicze.

– Tak, słyszałam o tym – odpowiada.

– A wiesz, że my wiemy co one mówić?

– Naprawdę?

– Mówić język mrówek. Na przykład: imp fimf deemul wetul.

Na co odzywa się Marco:

– Beedul jeedul lomp womp.

– A co to znaczy?

– Nie powiedzieć. Tylko my wiedzieć.

– My i mrówki – dodaje Marco. Po czym razem z Jaxem wybuchają śmiechem, *mo mo mo*. Ana też się uśmiecha. Digienty odbiegają, by bawić się gdzie indziej, a ona wraca do przeglądania forów.

OD: Helen Costas

Czy według was powinniśmy się obawiać, że ktoś skopiuje nasze digienty?

OD: Stuart Gust

A komu by mogło na tym zależeć? Gdyby było takie duże zapotrzebowanie na digienty, Blue Gamma by nie padła. Pamiętacie, co się stało ze schroniskami? Nikt nie chciał wziąć żadnego digienta. A od tego czasu raczej nie zyskały na popularności.

* * *

Na placu zabaw Jax krzyczy:

– Wygrałem! – Gra z Marco w jakąś trudną do zdefiniowania grę. Triumfalnie kołysze się na boki.

– OK – mówi Marco – twoja kolej. – Przerzuca zabawki, aż znajduje piszczałkę, którą podaje Jaxowi.

Jax wkłada piszczałkę do ust, a następnie klęka i rytmicznie uderza nią w brzuch Marco, w miejscu, gdzie byłby pępek, gdyby tylko Marco go miał.

– Co robisz, Jax? – pyta Ana.

Jax wyjmuje piszczałkę z ust.

- Robić Marco loda.
- Słucham? Gdzie widziałeś coś takiego?
- Wczoraj w telewizji.

Spogląda na telewizor; w tej chwili lecą kreskówki dla dzieci. Telewizja teoretycznie ma wyświetlać to, co znajduje się w archiwum filmów dla dzieci. Ktoś musiał zamieścić tam materiały dla dorosłych korzystając z informacji podanych przez FWI. Podejmuje decyzję, że lepiej tego nie roztrząsać.

– OK – rzuca, a Jax i Marco wracają do zabawy. Wysyła na forum posta o podmienionych filmach i czyta dalej.

Kilka minut później Ana słyszy dziwny skrzek i widzi, że Jax poszedł oglądać telewizję; wszystkie digienty też są już przed telewizorem. Podchodzi do nich awatarem, by sprawdzić, co przykuło ich uwagę.

Na wirtualnym ekranie widać kogoś w stroju kłowna, który trzyma digienta w awatarze szczeniaczka i tłucze go młotkiem po nogach. Nogi digienta nie mogą się złamać, gdyż jego awatar nie przewiduje takiej sytuacji i z tego samego powodu szczeniak nie może krzyknąć, choć najwyraźniej przeżywa potworne katusze, a skrzek, jaki wydaje jest jedynym sposobem na wyrażenie bólu.

Ana wyłącza telewizję.

– Co dzieje? – pyta Jax, a kilka innych digientów powtarza to pytanie, ale Ana nie odpowiada. Zamiast tego otwiera osobne okno na swoim ekranie, by przeczytać opis widzianego filmu. Nie jest to animacja, ale nagranie grievefa, który dzięki informacjom od FWI wyłączył bezpiecznik bólu digienta. Co gorsze, digient nie jest jakimś anonimowym, dopiero co uruchomionym programem, ale czyimś ukochanym zwierzakiem, nielegalnie skopiowanym dzięki pomocy FWI. Ma na imię Nytyi i Ana uświadamia sobie, że to koleżanka Jaxa z lekcji czytania.

Ten, kto skopiował Nytyi, równie dobrze może mieć kopię Jaxa. Albo właśnie go kopiuje. Biorąc pod uwagę rozproszoną architekturę Data Earth, Jax jest bezbronny w obliczu grievefa, jeśli tylko znajduje się on na tym samym kontynencie, co plac zabaw.

Jax nie przestaje pytać o to, co widział w telewizji. Ana otwiera okno wyświetlające listę bieżących procesów na jej koncie Data Earth, znajduje ten odpowiedzialny za Jaxa i zawiesza go. Jax na placu zabaw zamiera w pół zdania, po czym znika.

– Co dzieje Jax? – pyta Marco.

Ana otwiera inne okno, tym razem z procesami na koncie Dereka – przyznali sobie pełen dostęp do swoich kont – i zawiesza Marco i Polo. Nie ma jednak pełnych uprawnień do pozostałych digientów i nie jest pewna, co zrobić. Widzi, że są poruszone i zdezorientowane. Nie mają opcji „walcz lub uciekaj”, jak inne zwierzęta, tak jak nie mają reakcji na zapach feromonów, czy okrzyki cierpienia, ale mają tego odpowiednik w postaci neuronów lustrzanych. Dzięki temu mogą się uczyć i utrzymywać kontakty towarzyskie, ale oznacza to

również, że są przygnębione z powodu tego, co widziały w telewizji.

Wszyscy, którzy przyprowadzili swoje digienty na plac zabaw udostępnili Anie opcję drzemki, ale nawet jeśli digienty śpią, ich procesy nadal są aktywne, a to oznacza ryzyko skopiiowania. Decyduje się przenieść digienty na małą wyspę, z dala od większych kontynentów, w nadziei, że tam prawdopodobieństwo skanowania procesów przez griefera jest mniejsze.

– No dobrze – ogłasza – idziemy do zoo. – Otwiera portal do centrum turystycznego na archipelagu Pangea i przeprowadza przez niego digienty. Centrum wydaje się być puste, ale woli nie ryzykować. Usypia digienty i wysyła ich właścicielom wiadomości z informacją, gdzie mogą odebrać swoich podopiecznych. Zostawia przy nich swojego awatara, a sama wraca na forum, by wszystkich ostrzec.

Przez następną godzinę kolejni właściciele odbierają digienty, a Ana obserwuje rozrastające się w piorunującym tempie dyskusje na forach. Wszędzie panuje oburzenie i pojawiają się groźby pozwów różnych organizacji. Według niektórych graczy skargi właścicieli digientów powinny być rozpatrywane w dalszej kolejności niż ich, ponieważ digienty nie mają wartości pieniężnej, co oczywiście tylko zaognia konflikt. Ana ignoruje większość wypowiedzi, szukając informacji o reakcji Daesan Digital, właściciela platformy Data Earth. I wreszcie pojawia się wiarygodna wiadomość:

OD: Enrique Beltran

Daesan ma już aktualizację architektury bezpieczeństwa Data Earth, która według nich uniemożliwi dalsze włamania. Miał to być element przyszłorocznej aktualizacji, ale ze względu na zaistniałą sytuację, przyspieszą jej wprowadzenie. Nie potrafią podać konkretnej daty. Póki co lepiej zawiesić swoje digienty.

OD: Maria Zheng

Jest inne wyjście. Lisma Gunawan tworzy prywatną wyspę, na której działać będą tylko zatwierdzone przez nią kody. Nie będzie można korzystać tam z żadnych nowych nabytków, ale neuroblastowe digienty będą działać jak należy. Jeśli chcecie trafić na listę gości, kontaktujcie się z Lismą.

Ana wysyła prośbę Lismie i otrzymuje automatyczną odpowiedź z obietnicą powiadomienia, gdy tylko wyspa będzie gotowa. Ana nie jest w stanie sama uruchomić lokalnego środowiska Data Earth, ale ma inną możliwość. Przez godzinę konfiguruje swój system tak, by uruchomić całkowicie lokalną wersję neuroblastowego silnika; bez portalu Data Earth musi ręcznie załadować zachowany stan Jaxa, ale w końcu udaje jej się go uruchomić w ciele robota.

– ...wyłączyć telewizję? – Przerzywa widząc, że otoczenie uległo zmianie. – Co się stać?

– Wszystko w porządku, Jax.

Widzi ciało robota.

– Ja na zewnątrz. – Spogląda na nią. – Ty zawiesiłaś mnie?

– Tak, przepraszam. Wiem, że powiedziałam, że tego nie zrobię, ale musiałam.

Digient pyta płaczliwym tonem:

– Dlaczego?

Ana jest zażenowana tym, jak mocno przytula robota.

– Próbuję cię ochronić.

* * *

Miesiąc później Data Earth aktualizuje swoje zabezpieczenia. FWI odmawia wzięcia jakiegokolwiek odpowiedzialności za to, co grierferzy robią z opublikowanymi informacjami twierdząc, że każda wolność niesie ze sobą ryzyko nadużyć, a teraz zajęci są już innymi projektami. Przynajmniej przez jakiś czas publiczne kontynenty na Data Earth są znów bezpieczne dla digientów, ale pewnych szkód nie da się już naprawić. Nie ma możliwości śledzenia kopii uruchamianych prywatnie i choć nie pojawiają się już nagrania z tortur digientów, wielu właścicieli neuroblastowych stworzeń nie może znieść myśli o tym, że dochodzi do takich rzeczy; zawieszają więc swoje digienty na stałe i opuszczają grupy użytkowników.

Jednocześnie inni cieszą się z dostępności skopiowanych digientów, szczególnie tych, które potrafią czytać. Członkowie instytutu badań nad sztuczną inteligencją już od dawna zastanawiali się, czy digienty mogłyby stworzyć własną kulturę, jeśli pozostawiono by je w szklarni, ale nigdy nie mieli dostępu do digientów potrafiących czytać, a nie byli zainteresowani wychowaniem ich samemu. Teraz naukowcy próbują zgromadzić kopie jak największej liczby umiejących czytać digientów i choć są to przede wszystkim digienty Origami, które czytają najlepiej, nie brakuje tam również digientów Neuroblast. Naukowcy umieszczają je na prywatnej wyspie wyposażonej w biblioteki tekstu i oprogramowania i uruchamiają wyspę w przyspieszeniu, z prędkością szklarniową. Fora dyskusyjne pełne są spekulacji na temat miast w butelce i mikrokosmosów na stole.

Derek uważa ten pomysł za niedorzeczny – garstka porzuconych dzieciaków nie zostanie nagle samoukami, bez względu na to, ile będzie miała do dyspozycji książek – więc nie jest zaskoczony rezultatami: wszystkie populacje testowe w końcu dziczeją. Digienty same w sobie nie są wystarczająco agresywne, by zacząć się zachowywać jak bohaterowie „Władcy much”; dzielą się po prostu na luźne, niezhierarchizowane gromady. Z początku porządek dnia każdej z gromad utrzymywany jest siłą nawyku – czytają, gdy nadchodzi czas nauki korzystają z oprogramowania edukacyjnego, bawią się na płacach zabaw – ale bez odpowiedniego wzmocnienia rytuały te idą w rozsypkę. Każdy obiekt staje się zabawką,

każda przestrzeń placem zabaw i digienty stopniowo tracą wszystkie nabyte umiejętności. Tworzą swego rodzaju kulturę, jaką prawdopodobnie wytworzyłyby dzikie grupy digientów, gdyby same ewoluowały w biomach.

I choć to niewątpliwie interesujące, daleko temu do powstania cywilizacji, której oczekiwali naukowcy, próbują zatem wprowadzić na wyspie kilka zmian. Chcą zwiększyć różnorodność populacji testowych, proszą więc właścicieli rozwiniętych digientów o ich kopie; ku zaskoczeniu Dereka otrzymują kilka od właścicieli, którzy dość mają płacenia za lekcje czytania i satysfakcjonuje ich fakt, iż zdziczałe digienty nie cierpią. Naukowcy wprowadzają różnego rodzaju bodźce – wszystkie są automatyczne, więc nie są konieczne interakcje w czasie rzeczywistym – które mają za zadanie nieustannie motywować digienty. Wprowadzają możliwość wystąpienia trudności, by lenistwo miało swoją cenę. W rezultacie kilka z populacji testowych uruchomionych już po wprowadzeniu zmian unika zdziczenia, ale i tak żadna nawet nie zbliża się do początku rozwoju technologicznego.

Naukowcy wysnuwają wniosek, że w genomie Origami czegoś brakuje, ale według Dereka wina leży po ich stronie. Nie potrafią zrozumieć najprostszej prawdy, że złożone umysły nie rozwiną się same. Gdyby tak było, dzieci pozostawione same sobie niczym nie różniłyby się od innych. Ale umysły nie rozrastają się jak chwasty, które najpiękniej rozkwitają przez zaniedbanie; inaczej najlepiej rozwijałyby się dzieci w sierocińcach. Tymczasem, by umysł choćby zbliżył się do pełni swego potencjału, konieczna jest pielęgnacja przez inne umysły. I taką właśnie pielęgnację próbuje zapewnić Marco i Polo.

Co jakiś czas Marco i Polo wdają się w sprzeczki, ale złość dość szybko im przechodzi. Niemniej jednak kilka dni temu pokłócili się, czy to sprawiedliwe, że Marco został stworzony przed Polo i z niewiadomych przyczyn ten konflikt okazał się poważny. Od tego czasu digienty prawie ze sobą nie rozmawiały, więc Derek poczuł prawdziwą ulgę, gdy przyszły do niego we dwójkę.

– Miło was znów widzieć razem. Pogodziliście się?

– Nie – odparł Polo. – Nadal zły.

– Przykro mi to słyszeć.

– Obaj chceć twoja pomoc – mówi Marco.

– OK, co mam zrobić?

– Cofnąć nas do zeszły tydzień, przed duża kłótnia.

– Słucham? – Po raz pierwszy słyszy, by jakkolwiek digient prosił o uruchomienie od punktu kontrolnego. – Niby dlaczego?

– Nie chceć pamiętać duża kłótnia – wyjaśnia Marco.

– Chcieć szczęśliwy, nie zły – dodaje Polo. – Ty chceć my szczęśliwi, tak?

Derek woli nie wdawać się w dyskusję o różnicach między ich obecnymi wersjami, a wersjami przywróconymi z punktu kontrolnego.

– Naturalnie, ale nie mogę was cofać za każdym razem, gdy się pokłócicie. Oczekajcie

jakiś czas i złość wam minie.

– Czekaliśmy i nadal zły – mówi Polo. – Kłótnia duża, duża. Chcemy, żeby nigdy nie była.

Derek mówi najłagodniej, jak potrafi:

– Ale ona się wydarzyła i będziecie musieli z tym żyć.

– Nie! – krzyczy Polo. – Ja zły, zły! Ty masz naprawić!

– Dlaczego chcesz my zostać źli na zawsze? – dodaje Marco.

– Nie chcę, żebyście byli na siebie źli zawsze, chcę, żebyście sobie wybaczyli. A jeśli nie potraficie, wszyscy będziemy musieli z tym żyć, łącznie ze mną.

– Teraz zły i na ciebie! – rzuca Polo.

Digienty rozbiegają się w przeciwnych kierunkach i Derek zastanawia się, czy podjął właściwą decyzję. Wychowanie Marco i Polo nie zawsze było łatwe, ale nigdy nie cofał ich do punktów kontrolnych. Póki co ta strategia się sprawdzała, ale nie może mieć pewności, że będzie tak dalej.

Nie istnieją żadne podręczniki o wychowaniu digientów, a techniki przeznaczone dla zwierząt lub dzieci sprawdzają się równie często, jak zawodzą. Digienty zamieszkują proste ciała, więc ich podróż do dojrzałości wolna jest od nagłych odpływów i burz napędzanych hormonami, co nie znaczy, że nie miewają nastrojów albo że ich osobowość jest niezmienna; ich umysły nieustannie wkraczają na nowe terytoria przestrzeni fazowej wyznaczonej przez neuroblastowy genom. W rzeczywistości możliwe jest, że digienty nigdy nie osiągną „dojrzałości”; cała idea stabilizacji rozwojowej opiera się na modelu biologicznym, który w tym przypadku niekoniecznie musi mieć zastosowanie. Możliwe, że ich osobowość będzie się rozwijać w tym samym tempie dopóki będą włączone. Czas pokaże.

Derek chce porozmawiać z kimś o tym, co właśnie wydarzyło się z Marco i Polo; niestety tym kimś nie jest jego żona. Wendy rozumie możliwości rozwojowe digientów i przyjmuje do wiadomości, że Marco i Polo będą radzić sobie tym lepiej, im dłużej ktoś będzie się nimi opiekował; tylko że nie potrafi wykrzesać z siebie żadnego entuzjazmu w związku z tą perspektywą. Rozdrażniona ilością czasu i uwagi, jaką jej mąż poświęca digientom, uznałaby ich prośbę o cofnięcie za doskonałą okazję do zawieszenia ich na czas nieokreślony.

Tym kimś, z kim Derek chce porozmawiać jest naturalnie Ana. Co kiedyś zdawało się tylko bezpodstawną obawą ze strony Wendy, ziściło się; Derek bez wątpienia żywi do Any uczucia wykraczające poza przyjaźń. Ale nie to jest przyczyną jego problemów z Wendy; jeśli już, to jest to ich wynik. Czas spędzany z Aną przynosi mu ulgę i pozwala mu cieszyć się towarzystwem digientów bez poczucia winy. Gdy jest zły myśli, że Wendy sama go od siebie odrzuca, ale gdy się uspokaja, uświadamia sobie, że to niesprawiedliwe podejście.

Najważniejsze, że nie kieruje się uczuciami do Any i nie zamierza tego robić. Musi skupić się na osiągnięciu porozumienia z Wendy w kwestii digientów; jeśli mu się to uda, pokusa, jaką stanowi Ana powinna zniknąć. Do tego czasu powinien ograniczyć ilość

spędzanego z nią czasu. Nie będzie to łatwe; biorąc pod uwagę niewielkie rozmiary społeczności właścicieli digientów kontakty z Aną są nieuniknione, a nie może pozwolić, by Marco i Polo na tym ucierpieli. Nie jest pewien, co robić, ale póki co decyduje się nie dzwonić do Any z prośbą o pomoc i zamiast tego wysyła pytanie na forum.

5

Mija kolejny rok. Trendy rynkowe zmieniają się, na co wirtualny świat odpowiada wewnętrznymi przemianami: najważniejszym centrum cyfrowej formacji terenu staje się nowa platforma Real Space, stworzona za pomocą najnowocześniejszej architektury przetwarzająco-rozproszonej. Tymczasem Anywhere i Next Dimension przestają się rozrastać, stabilizując się w bieżącej konfiguracji. Data Earth długo była niezmiennym punktem w wirtualnym wszechświecie, odpornym na nagłe zrywy i ostre spadki, ale teraz topografia platformy zaczyna niszczyć; tamtejsze wirtualne lądy znikają jeden po drugim niczym prawdziwe wyspy, zalewane falą przyływu konsumenckiej obojętności.

W tym czasie nieudane próby wyhodowania miniaturowych cywilizacji w eksperymentach szklarniowych sprawiły, że ogólne zainteresowanie cyfrowymi formami życia zmalało. Co jakiś czas w biomach pojawiają się nowe, interesujące gatunki zwierząt posiadające egzotyczne ciała lub rozmnażające się w oryginalny sposób, ale generalnie stwierdzono, że biomy nie działają z wystarczająco wysoką rozdzielczością, by mogła tam wyewoluować prawdziwa inteligencja. Firmy produkujące genomy Origami i Faberge również upadają. Wielu ekspertów technologicznych twierdzi, że digienty to ślepy zaułek i dowód na to, że nawet ucieleśniona sztuczna inteligencja sprawdza się tylko w celach rozrywkowych, aż pojawia się nowy silnik genomiczny – Sophonce.

Celem programistów Sophonce są digienty uczone za pomocą oprogramowania, a nie interakcji z ludźmi; i tak stworzono silnik, w przypadku którego przeważają społeczne zachowania i osobowość maniackalna. Zdecydowana większość digientów wygenerowanych w oparciu o ten silnik została usunięta z powodu deformacji psychologicznych, ale niewielki odsetek okazał się zdolny do nauki przy minimalnym nadzorze: wystarczy im dać odpowiednie oprogramowanie edukacyjne i z radością uczą się całymi tygodniami czasu subiektywnego, a to znaczy, że można je hodować w szklarniach bez obawy, że zdziczeją. Niektórzy hobbyści chwalą się swoimi digientami na silniku Sophonce, które wypadają lepiej od digientów Neuroblast, Origami i Faberge w testach matematycznych pomimo tego, że ich szkolenie nie obejmuje tyłu interakcji w czasie rzeczywistym. Pojawiły się spekulacje, że jeśli ich silniki można by rozwinąć w jakimś praktycznym kierunku, digienty Sophonce w przeciągu kilku miesięcy mogłyby się stać użytecznymi pracownikami. Problem w tym, że są

tak niesympatyczne, iż bardzo niewiele osób chce się zgodzić nawet na tę minimalną ilość interakcji.

* * *

Ana zabrała Jaxa ze sobą do Siege of Heaven, pierwszej od roku nowej gry na Data Earth. Oprowadza go po Argent Plaza, gdzie gracze spotykają się na pogawędki między misjami; to duży dziedziniec wykładany białym marmurem i lapis lazuli, ze złotym filigranem na szczycie cumulonimbusa. Ana musi korzystać ze swojego awatara z gry, cherubina-pustułki, ale Jax zachował swój wygląd miedzianego robota.

Przechadzając się między innymi graczami, Ana zauważa na ekranie etykietę digienta. Jego awatar przedstawia krasnoluda z ogromną głową – to standardowy awatar Drayta, digienta Sophonce, który potrafi rozwiązywać zagadki logiczne, jakie można znaleźć na kontynentach gier. Pierwszy właściciel Drayty szkolił go za pomocą generatora zagadek nieleganie skopiowanego z kontynentu Five Dynasties na platformie Real Space, a następnie wypuścił kopie w domenie publicznej. Obecnie tylu graczy zabiera ze sobą Drayty na misje, że firmy produkujące gry rozważają wprowadzenie drastycznych zmian.

Ana zwraca uwagę Jaxa na drugiego digienta.

– Widzisz tego tam? To Drayta.

– Naprawdę? – Jax słyszał o Draytach, ale po raz pierwszy ma okazję któregoś spotkać. Podchodzi do krasnoluda. – Cześć – mówi. – Jestem Jax.

– Chcieć rozwiązywać zagadki – oznajmia Drayta.

– A jakie zagadki lubić?

– Chcieć rozwiązywać zagadki. – Drayta zaczyna się niecierpliwić i biega nerwowo po całym placu. – Chcieć rozwiązywać zagadki.

Stojący obok gracz w awatarze serafina-rybołowa przerywa rozmowę i wskazują na Draytę; digient zamiera w pół kroku, kurczy się do rozmiarów ikony i niczym wystrzelony z procy wskakuje na pasek gracza.

– Drayta dziwny – mówi Jax.

– No nie?

– Wszystkie Drayta takie?

– Tak myślę.

Serafin podchodzi do Any.

– A jakiego ty masz digienta? Nigdy takiego nie widziałem.

– Ma na imię Jax. Działa na genomie Neuroblast.

– Nie znam. To jakaś nowość?

Podchodzi do nich jeden z członków zespołu serafina, w awatarze nefilima. – Nie, to starość, poprzednia generacja. Serafin kiwa głową.

- Dobrze sobie radzi z zagadkami?
- Raczej nie – odpiera Ana.
- Więc co robi?
- Lubić śpiewać – wyrywa się Jax.
- Serio? No to posłuchajmy.

Jaxa nie trzeba bardziej zachęcać; natychmiast rozpoczyna jeden ze swych ulubionych utworów – „Mackie Majcher” z „Opery za trzy grosze”. Zna słowa, ale melodia co najwyżej z grubsza przypomina tę oryginalną. Śpiewowi towarzyszy taniec, do którego sam ułożył choreografię, składającą się przede wszystkim z serii póz i gestów rękoma, zapożyczonych z teledysków indonezyjskich zespołów hip-hopowych, których jest fanem.

Pozostali gracze śmieją się przez cały występ. Jax kończy ukłonem, wszyscy klaszczą. – Genialne – stwierdza serafin.

Ana zwraca się do Jaxa:

- To znaczy, że mu się podobało. Podziękuj.
- Dziękuję.

Serafin mówi do Any:

- Nie przyda się zbytnio w labiryntach, nie?
- Zapewni nam rozrywkę – odpowiada Ana.

– W to nie wątpię. Daj znać, jeśli tylko nauczy się rozwiązywać zagadki, wtedy sobie kupię egzemplarz. – Zauważa, że zebrała się cała drużyna. – No, czas na naszą kolejną misję. Powodzenia.

– Powodzenia – mówi Jax. Macha, a serafin i jego zespół odchodzą, ustawiają się w formacji i kierują w stronę odległej doliny.

* * *

Kilka dni później Ana przypomina sobie o tym spotkaniu, czytając dyskusję na forum:

OD: Stuart Gust

Wczoraj grałem w SoH z ludźmi, którzy zabierają na misje Draytę i choć był średnio fajny, to zdecydowanie się przydał. Zastanawiam się, czy zawsze trzeba wybierać. Digienty Sophonce nie są wcale lepsze od naszych. Czy nasze nie mogłyby być jednocześnie fajne i przydatne?

OD: Maria Zheng

Masz nadzieję, że sprzedasz kopie swojego? Myślisz, że możesz wychować lepszego Andro?

Maria mówi o digiencie Sophonce o imieniu Andro, którego właściciel, Bryce Talbot, wyszkolił na swojego osobistego asystenta. Talbot zaprezentował Andro firmie ViriFriday, produkującej oprogramowanie organizacyjno-menedżerskie, a szefowie firmy okazali duże zainteresowanie. Jednak szansa na kontrakt przepadła, gdy szefowie otrzymali kopie demonstracyjne; Talbot nie zdawał sobie sprawy z tego, że Andro jest na swój sposób takim samym maniakiem jak Drayta. Niczym pies zawsze lojalny swemu pierwszemu właścicielowi Andro nie chciał pracować dla nikogo, chyba że to Talbot wydawał polecenia. Firma ViriFriday zainstalowała nawet czuciowy filtr danych wejściowych, tak by każda nowa kopia Andro rozpoznawała awatar i głos nowego właściciela jako Talbota, ale sztuczka ta nigdy nie działała dłużej niż kilka godzin. Wkrótce wszyscy szefowie musieli wyłączyć swoje nieposłuszne digienty, które nieustannie szukały oryginalnego Talbota.

W rezultacie Talbotowi nie udało się sprzedać praw do Andro za tyle, na ile liczył. Zamiast tego, ViriFriday kupiła prawa do genomu Andro i pełne archiwum punktów kontrolnych. Ponadto, firma przyjęła Talbota do zespołu, który przywraca wcześniejsze punkty kontrolne Andro i przeszkala go od nowa, próbując stworzyć wersję o takich samych umiejętnościach asystenta, ale gotową zaakceptować nowego właściciela.

OD: Stuart Gust

Nie, nie chodzi mi o sprzedaż kopii. Po prostu się zastanawiam, czy Zaff mógłby pracować tak, jak psy pomagające niewidomym albo szukające narkotyków. Moim celem nie jest zabicie kasy, ale jeśli digienty mogłyby robić coś, za co ludzie chcieliby zapłacić, udowodniłoby to wszystkim sceptykom, że digienty nie służą wyłącznie rozrywce.

Ana wysłała odpowiedź:

OD: Ana Alvarado

Chcę tylko się upewnić, że dobrze rozumiemy nasze motywy. Cudownie byłoby, gdyby nasze digienty nabyły jakieś umiejętności praktyczne, ale w razie gdyby się to nie udało, nie powinniśmy tego traktować w kategoriach porażki. Być może Jax potrafiłby zarobić pieniądze, ale nie od tego jest. Nie jest Draytą, ani robotem pielącym. Bez względu na to, jakie zagadki potrafiłby rozwiązać, nie jest to powód, dla którego go wychowuję.

OD: Stuart Gust

W pełni się z tobą zgadzam. Chodzi mi o to, że nasze digienty mogą mieć jakieś niewykorzystane talenty. Jeżeli istnieje zawód, w którym by sobie dobrze radziły, czy nie byłoby fajnie, gdyby się nim zajęły?

OD: Maria Zheng

Ale co mogłyby robić? Psy były hodowane do konkretnych zadań, a digienty Sophonce są tak zdeterminowane, że interesuje ich tylko jedno, czy sobie z tym radzą, czy nie. Neuroblastowe digienty są ich dokładnym przeciwieństwem.

OD: Stuart Gust

Moglibyśmy je sprawdzić w różnych sytuacjach i wtedy zobaczymy, do czego mają predyspozycje. Niech zajmą się sztukami wyzwolonymi, a nie kształceniem zawodowym. (I to tylko częściowo żart).

OD: Ana Alvarado

W zasadzie to nie takie głupie, jak by się mogło wydawać. Małpy bonobo nauczyły się wszystkiego, od tworzenia kamiennych narzędzi po grę w gry komputerowe, gdy tylko dano im szansę. Nasze digienty mogą sobie świetnie radzić z rzeczami, których ich nie uczyliśmy, bo po prostu nie przyszło nam to do głowy.

OD: Maria Zheng

O czym my w ogóle rozmawiamy? Przecież już nauczyliśmy je czytać. Będziemy je teraz uczyć przedmiotów ścisłych i historii? Nauczymy ich krytycznego myślenia?

OD: Ana Alvarado

Naprawdę nie wiem. Ale sądzę, że jeśli się tym zajmiemy, ważne jest, byśmy byli otwarci, niepotrzebny nam sceptycyzm. Niskie oczekiwania to samospełniająca się przepowiednia. Mierząc wysoko, osiągniemy lepsze rezultaty.

* * *

Większość członków grupy jest zadowolona z obecnej formy edukacji digientów, która obejmuje naukę w domu, zajęcia w grupach i oprogramowanie edukacyjne, ale kilka osób zapala się do pomysłu, by pójść o krok dalej. Zaczynają rozmawiać z nauczycielami swoich digientów o rozszerzeniu programu nauczania. Przez kilka miesięcy różni właściciele wiele czytają o teoriach pedagogicznych próbując ustalić, jak sposób, w jaki uczą się digienty różni się od tego, jak uczą się szympansy lub dzieci, i próbują przygotować plany zajęć, które sprostają ich potrzebom. Przez większość czasu właściciele pozostają otwarci na wszelkie sugestie, aż pojawia się pytanie, czy postępy digientów nie byłyby szybsze, gdyby nauczyciele zadawali im prace domowe.

Ana wolałaby znaleźć zajęcia rozwijające różne umiejętności, które byłyby na tyle

atrakcyjne dla digientów, że same chciałyby się nimi zajmować. Inni właściciele twierdzą, że nauczyciele powinni zadawać im konkretne prace domowe. Zaskakuje ją post Dereka, popierający ten pomysł. Przy najbliższej okazji pyta go o to.

– Czemu chcesz, żeby musiały odrabiać prace domowe?

– A co w tym złego? – pyta Derek. – Masz z tym problem, bo w dzieciństwie miałaś podłego nauczyciela?

– Bardzo zabawne. Przestań, mówię poważnie.

– OK, serio, co złego w pracy domowej?

Nie wie, od czego zacząć.

– Zapewnianie Jaxowi rozrywek po lekcjach to jedno – stwierdza. – Ale wyznaczanie mu zadań i nakazywanie, by je wykonywał nawet jeśli nie sprawia mu to radości? Wywoływanie u niego wyrzutów sumienia, jeśli nie odrobi lekcji? To sprzeczne ze wszystkimi zasadami szkolenia zwierząt.

– Jakiś czas temu sama stwierdziłaś, że digienty to nie zwierzęta.

– Fakt, tak powiedziałam – przyznaje. – Ale nie są też narzędziami. I ty też o tym wiesz, a to, o czym mówisz, brzmi jak przygotowywanie ich do wykonywania pracy, na którą nie mają ochoty.

– Nie chodzi o zmuszanie ich do pracy, ale o nauczenie ich odpowiedzialności. – Kręci głową. – I może wcale nie zaszkodzi im odrobina wyrzutów sumienia raz na jakiś czas; dowiemy się, jeśli nie spróbujemy.

– Czemu w ogóle ryzykować ich złe samopoczucie?

– O tym właśnie myślałem, rozmawiając z moją siostrą – mówi. Siostra Dereka uczy dzieci z zespołem Downa. – Powiedziała, że niektórzy rodzice nie chcą zbyt wiele oczekiwać od swych dzieci, gdyż boją się porażki. Chcą dobrze, ale trzymając dzieci pod kloszem, uniemożliwiają im wykorzystanie w pełni ich potencjału.

Trochę to trwa, nim Ana oswaja się z tą myślą. Przyzwyczała się uważać digienty za nadzwyczajnie utalentowane małpy, a choć kiedyś ludzie porównywali małpy do dzieci specjalnej troski, traktowała to głównie jako metaforę. Postrzeganie digientów bardziej dosłownie jako dzieci specjalnej troski wymaga od niej zmiany nastawienia.

– Jak sądzisz, ile odpowiedzialności digienty są w stanie unieść?

Derek rozkłada ręce.

– Nie wiem. W pewien sposób przypomina, to zespół Downa; każdą osobę dotyka on w inny sposób, więc za każdym razem, gdy moja siostra pracuje z nowym dzieckiem, musi improwizować. Jeśli okaże się, że prace domowe jedynie pogarszają ich samopoczucie, wtedy naturalnie przestaniemy je zadawać. Nie chcę po prostu, żeby potencjał Marco i Polo się zmarnował tylko dlatego, że boję się postawić im wymagania.

Ana widzi, że wysokie oczekiwania wyglądają według Dereka nieco inaczej niż według niej. Co więcej, stwierdza, że to jego podejście jest lepsze.

– Masz rację – oznajmia po chwili milczenia. – Trzeba sprawdzić, czy potrafią odrabiać lekcje.

* * *

Minał rok. Derek kończy pracę przed sobotnim lunchem z Aną. Przez kilka godzin testował modyfikację awatara, zmieniającą proporcje ciała i twarzy digientów tak, by wyglądały dojrzalej. Właściciele, którzy zdecydowali się na dalszą edukację digientów coraz częściej narzekają na sprzeczność między ich wiecznie słodkimi awatarami, a rosnącymi umiejętnościami. Ta nakładka ma to naprawić, pozwalając właścicielom spojrzeć na digienty jak na bardziej kompetentne stworzenia.

Przed wyjściem sprawdza pocztę i z zaskoczeniem odkrywa kilka wiadomości od obcych osób, oskarżających go o jakiś przekręt. Wiadomości wyglądają na autentyczne, więc czyta je dokładnie. Nadawcy skarżą się na digienta, który zaczepia ich na Data Earth i prosi o pieniądze.

Do Dereka dociera, co musiało się stać. Ostatnio zaczął dawać Marco i Polo kieszonkowe, które zazwyczaj wydają na abonamenty w grach i wirtualne zabawki; poprosili o podwyżkę, ale się nie zgodził. Musieli zacząć prosić o pieniądze przypadkowe osoby na Data Earth, które im odmówiły, a jako że digienty działają na koncie Dereka, ludzie uznali, że nauczył je żebrać.

Później wysłał tym osobom przeprosiny, a teraz nakazuje Marco i Polo natychmiast przejść do ciał robotów. Technologia produkcji osiągnęła punkt, w którym mógł sobie pozwolić na dwa własne roboty, dostosowane do awatarów Marco i Polo. Minutę później ich pandzie twarze pojawiają się na hełmach, a Derek wyrzuca im prośbę obcych o pieniądze.

– Sądziłem, że jesteście rozsądniejsi – mówi.

Polo jest skruszony.

– Tak, rozsądniejszy – stwierdza.

– Więc czemu to zrobiliście?

– Mój pomysł, nie Polo – oznajmia Marco. – Wiedziałem, że oni nie dadzą pieniędzy. Wiedziałem, że oni napiszą do ciebie.

Derek jest zdumiony.

– Chcieliście, żeby ludzie byli na mnie źli?

– To dlatego, że my jesteśmy na twoje konto – mówi Marco. – Nie tak, gdybyśmy mieli własne konta, jak Voyl.

Teraz rozumie. Digienty słyszały wieści o digiencie Sophonce o imieniu Voyl. Jego właściciel – prawnik, Gerald Hecht – złożył wniosek o utworzenie Korporacji Voyla i obecnie Voyl funkcjonuje na osobnym koncie Data Earth, zarejestrowanym na tę korporację. Voyl płaci podatki i ma prawo do posiadania własności, zawierania umów, pozywania innych i

bycia pozywanym do sądu; pod wieloma względami jest osobą prawną, choć w praktyce to Hecht nim zarządza.

Taki pomysł narodził się już jakiś czas temu. Wszyscy amatorzy sztucznego życia zgadzają się, że nie ma możliwości uzyskania ochrony prawnej dla digientów jako klasy i podają jako przykład psy: ludzkie współczucie dla psów jest naprawdę ogromne, a jednak w schroniskach psy usypiane są na skalę nieustannego psiego holokaustu. Skoro więc sądy nie kwapią się, by położyć temu kres, z pewnością nie zapewnią ochrony istotom, których serca nie biją. W związku z tym, według niektórych właścicieli na ochronę prawną można liczyć tylko indywidualnie: nadając konkretnemu digientowi osobowość prawną właściciel może korzystać z prawa precedensowego, stanowiącego podstawę prawną w takich przypadkach. Jako pierwszy dokonał tego właśnie Hecht.

– Więc chcieliście coś przez to powiedzieć – stwierdza Derek.

– Ludzie mówić, że być korporacje jest super – mówi Marco. – Można robić, co chceć.

Wiele nastolatków narzeka, że Voyl ma większe prawa od nich; digienty musiały się spotkać z tymi komentarzami.

– Ale nie macie osobowości prawnej i zdecydowanie nie wszystko wam wolno.

– My przykro – mówi Marco, nagle uświadamiając sobie, w jak poważnych jest tarapatkach. – Tylko chceć być korporacje.

– Już wam mówiłem: jesteście jeszcze za mali.

– Starsi od Voyl – rzuca Polo.

– Ja szczególnie – dodaje Marco.

– Voyl też jest jeszcze za mały. Jego właściciel popełnił błąd.

– Więc ty nie dać nam być korporacje nigdy?

Derek posyła im surowe spojrzenie.

– Może pewnego dnia, gdy będziecie dużo starsi, zobaczymy. Ale jeśli jeszcze raz wywiniecie taki numer, wyciągnę wobec was konsekwencje. Rozumiecie?

Digienty są załamane.

– Tak – mówi Marco.

– Tak – mówi Polo.

– OK. Muszę iść, później jeszcze o tym porozmawiamy. – Derek marszczy brwi. – A teraz wracajcie do Data Earth.

Jadąc do restauracji, Derek zastanawia się nad prośbą Marco. Wiele osób jest sceptycznie nastawionych do pomysłu, by nadawać digientom osobowość prawną; to, co zrobił Hecht traktują w kategoriach chwytu reklamowego, a sam Hecht umacnia ich w tym przekonaniu zamieszczając w prasie artykuły o swych planach wobec Voyla. Obecnie to Hecht tak naprawdę prowadzi Korporację Voyla, ale szkoli Voyla w prawie handlowym i uparcie twierdzi, że pewnego dnia Voyl sam będzie podejmował wszystkie decyzje, a stanowisko dyrektora – zajmowane przez Hechta lub kogoś innego – będzie tylko formalnością. Póki co

Hecht zachęca innych do sprawdzenia statusu osoby prawnej Voyla. Hecht ma środki do bitwy w sądzie i aż pali się do walki. Co prawda jeszcze nikt nie podjął wyzwania, ale Derek ma nadzieję, że to wreszcie nastąpi; chce, by powstało jak najwięcej precedensów nim zacznie rozważać nadanie osobowości prawnej Marco i Polo.

Inną kwestią jest, czy Marco lub Polo kiedykolwiek osiągną sprawność intelektualną, pozwalającą im stać się osobami prawnymi; według Dereka jest to niezwykle trudne pytanie. Neuroblastowe digienty udowodniły, że mogą same odrabiać prace domowe i Derek jest pewien, że ich zdolność do koncentracji uwagi będzie z czasem wzrastać, ale nawet jeśli będą w stanie przeprowadzać złożone działania bez nadzoru, daleko temu do podejmowania odpowiedzialnych decyzji dotyczących własnej przyszłości. Nie jest nawet pewien, czy powinien zachęcać Marco i Polo do osiągnięcia takiego rodzaju niezależności. Nadanie im osobowości prawnej otwiera przed nimi możliwość funkcjonowania nawet po śmierci Dereka, która to perspektywa budzi jego niepokój: w przypadku ludzi z zespołem Downa istnieją organizacje pomagające osobom, które mieszkają same, ale nikt nie świadczy podobnych usług dla digientów będących korporacjami. Może lepiej byłoby mieć pewność, że Marco i Polo zostaną zawieszani, gdy Derek nie będzie mógł się już nimi zajmować.

Bez względu na to, co postanowi, odbędzie się to bez udziału Wendy; zdecydowali się wnieść pozew o rozwód. Przyczyny są naturalnie dość złożone, ale jedno jest pewne: wychowywanie dwóch digientów nie jest tym, czego Wendy oczekuje od życia, a jeśli Derek potrzebuje do tego partnera, będzie musiał znaleźć kogoś innego. Według ich doradcy małżeńskiego problemem nie są digienty jako takie, ale fakt, iż Derek i Wendy nie potrafią zaakceptować swych rozbieżnych zainteresowań. Derek wie, że doradca ma rację, wspólne zainteresowania z pewnością wiele by zmieniły.

Nie chce zbyt wybiegać w przyszłość, ale nie może uwolnić się od myśli, że rozwód da mu szansę na coś więcej niż przyjaźń z Aną. Też musiała rozważyć tę możliwość; niemożliwe, by po tak długiej znajomości było inaczej. Razem stworzyliby świetny zespół, którego celem byłoby dobro ich digientów.

Nie żeby planował wyznawać jej, co czuje podczas lunchu; jest na to za wcześnie, a poza tym wie, że Ana z kimś się spotyka; facet ma na imię Kyle. Jednak ich związek szybko zbliża się do granicy sześciu miesięcy, po której zazwyczaj facet uświadamia sobie, że Jax to nie tylko hobby, a najważniejszy element jej życia; potem już szybko dochodzi do zerwania. Derek sądzi, że jeśli powie Anie o rozwodzie, przypomni jej to, że istnieją inne możliwości i że nie wszyscy faceci uważają digienty za konkurencję w walce o jej uwagę.

Rozgląda się za Aną po restauracji, znajduje ją i macha; ona w odpowiedzi obdarza go szerokim uśmiechem. Derek podchodzi do stolika i od razu mówi: – Nie uwierzysz, co właśnie zrobili Marco i Polo. – Opowiada, co się stało, a Anie opada szczęka z wrażenia.

– To niesamowite – stwierdza. – Mój Boże, idę o zakład, że Jax słyszał to samo, co oni.

– Tak, lepiej z nim pogadaj po powrocie. – To prowadzi do rozmowy o wadach i zaletach

dostępu digientów do forów społecznościowych. Z pewnością fora zapewniają bogatsze interakcje od tych, jakie oferują właściciele, ale nie wszystko, co się tam dzieje ma pozytywny wpływ na digienty.

Po długiej rozmowie o digientach Ana w końcu pyta:

– A tak poza tym, co sływać?

– Myślę, że nie ma co tego ukrywać. Rozwodzę się z Wendy. – Derek wzdycha.

– O nie, Derek, tak mi przykro. – Jej współczucie jest autentyczne i mile go ogrzewa.

– Już od dawna się na to zanosilo – stwierdza.

– I tak mi przykro, że do tego doszło.

– Dzięki. – Przez chwilę opowiada, co ustalili z Wendy, jak zamierzają sprzedać mieszkanie i podzielić się zyskami. Na szczęście proces przebiega polubownie.

– Przynajmniej nie chce kopii Marco i Polo – rzuca Ana.

– Tak, dzięki Bogu – przyznaje Derek. Współmałżonek niemal zawsze może wykonać kopię digienta, a kiedy rozwód nie przebiega polubownie, bez problemu może odegrać się na niej za swojego byłego lub byłą. Wielokrotnie czytali na forach o takich sytuacjach.

– No, dość tego – kończy temat Derek. – Porozmawiajmy o czymś innym. Co u ciebie?

– W zasadzie to nic.

– Wydawało mi się, że jesteś w dobrym nastroju, póki nie zacząłem mówić o Wendy.

– No tak, byłam – przyznaje Ana.

– Więc co jest przyczyną tego optymistycznego nastroju?

– Nic, naprawdę.

– Nic wprawia cię w dobry nastrój?

– No, chciałam się podzielić pewną wiadomością, ale nie musimy o tym rozmawiać.

– Nie wyglupiaj się, mów. Jeśli to dobra wiadomość, chcę ją usłyszeć.

Ana milczy przez chwilę, a następnie wyznaje przeproszającym tonem:

– Postanowiliśmy z Kyle'em zamieszkać razem.

Dla Dereka to szok.

– Gratulacje – rzuca.

6

Mijają kolejne dwa lata. Życie toczy się dalej.

Co jakiś czas Ana, Derek i inni właściciele zainteresowani edukacją dają swoim digientom do napisania standardowe testy, dzięki którym mogą je porównać z dziećmi. Wyniki są różne. Niepiśmienne digienty Faberge nie mogą pisać testów, ale oceniane według innych systemów zdają się dobrze rozwijać. Pośród digientów Origami wyniki są dziwnie

zróżnicowane – jedna połowa nieustannie się rozwija, a druga zatrzymała się w miejscu, prawdopodobnie z powodu jakiejś wady genomu. Digienty Neuroblast osiągają niezłe wyniki, jeśli tylko zastosuje się wobec nich te same kryteria, co wobec dzieci z dysleksją; tak więc pomimo różnic między poszczególnymi digientami, ich rozwój intelektualny jako grupy postępuje.

Trudniej jest zmierzyć ich rozwój społeczny, ale optymizmem nastraja fakt, że digienty nawiązują kontakty z nastolatkami w ramach różnego rodzaju społeczności sieciowych. Jax zaczyna się interesować tetrabrakiem, subkulturą skupiającą się na choreografii tanecznej dla czterorękich awatarów; Marco i Polo zapisali się do fanklubu seriali growych i co jakiś czas wraz z Jaxem próbują się przekonać do wyższości swoich wyborów. Choć Ana i Derek nie do końca rozumieją, co atrakcyjnego jest w tych społecznościach, cieszą się, że digienty stały się ich częścią. Są one zdominowane przez nastolatków, którym najwyraźniej nie przeszkadza to, że digienty to nie ludzie i traktują ich jak każdego innego znajomego w sieci, którego mają małe szanse poznać osobiście.

Związek Any z Kyleem ma swoje lepsze i gorsze chwile, ale ogólnie dobrze się trzyma. Co jakiś czas wychodzą gdzieś z Derekiem i jego aktualną dziewczyną; Derek spotyka się z wieloma kobietami, ale z żadną nie wchodzi w poważniejsze relacje. Tłumaczy Anie, że to wina braku zainteresowania digientami z ich strony, ale prawda jest taka, że nie potrafi się wyzbyć swych uczuć do Any.

Po ostatniej pandemii grypy panuje recesja gospodarcza, co wywołało zmiany w światach wirtualnych. Daesan Digital, firma, która stworzyła platformę Data Earth, wydaje oświadczenie o fuzji z Viswa Media, twórcą platformy Real Space: Data Earth staje się częścią Real Space. Wszystkie kontynenty Data Earth zostaną zastąpione swymi odpowiednikami w świecie Real Space. Nazywają to fuzją dwóch światów, ale to tylko eufemistyczne określenie faktu, iż po latach aktualizacji i nowych wersji firmy Daesan nie stać już na walkę w wojnach platform.

Dla większości klientów oznacza to możliwość odwiedzania większej liczby wirtualnych lokalizacji bez konieczności ciągłego przelogowywania się. W przeciągu ostatnich kilku lat niemal wszystkie firmy produkujące oprogramowanie na Data Earth utworzyły wersje działające również na Real Space. Osoby grające w Siege of Heaven lub Elderthorn muszą tylko uruchomić narzędzia konwertujące, a ich ekwipunek z bronią i ubiorem będzie na nich czekał na kontynentach gier na Real Space.

Niestety wyjątkiem jest Neuroblast. Silnik nie posiada wersji na Real Space – Blue Gamma upadła jeszcze przed pojawieniem się tej platformy, a to oznacza, że żaden digient o genomie Neuroblast nie może wejść w środowisko Real Space. Dla digientów Origami i Faberge migracja do Real Space to rozszerzenie możliwości, ale dla Jaxa i innych neuroblastowych digientów wieści z Daesan to zasadniczo koniec świata.

* * *

Ana właśnie się kładzie, gdy słyszy jakiś łomot. Natychmiast biegnie do salonu sprawdzić, co się stało.

Jax w ciele robota ogląda swój przegub. Jedna z płytek na ścianie obok niego jest pęknięta. Widzi Anę i mówi: – Ja przykro.

– Co zrobiłeś? – pyta Ana.

– Ja bardzo przykro.

– Powiedz, co zrobiłeś.

Jax odpowiada z pewnym ociąganiem: – Gwiazdę.

– I nadgarstek nie wytrzymał, a ty uderzyłeś o ścianę. – Ana przygląda się przegubowi robota. Jej obawy się potwierdzają, konieczna będzie wymiana. – Nie wymyślam tych wszystkich zasad tylko dlatego, żeby ci zatruć życie. Tak właśnie kończy się taniec w ciele robota.

– Ja wiem, ty powiedziałaś. Ale ja próbować trochę tańczyć i ciało dobrze. Próbować więcej i ciało nadal dobrze.

– Więc próbowałaś dalej, a teraz musimy kupić nowy przegub i wymienić płytkę. – Stara się oszacować, jak szybko może wszystko naprawić, by Ryle, który wyjechał z miasta w interesach, o niczym się nie dowiedział. Kilka miesięcy temu Jax zniszczył jego ukochaną rzeźbę i chyba lepiej by było mu o tym nie przypominać.

– Ja bardzo bardzo przykro – mówi Jax.

– OK, wracaj do Data Earth. – Ana wskazuje platformę ładowania.

– Ja przyznać to błąd...

– Idź już.

Jax posłusznie kieruje się we wskazane miejsce. Tuż przed wejściem na platformę dodaje cicho: – To nie Data Earth. – I hełm robota gaśnie.

Jaxowi nie podoba się prywatna wersja Data Earth, jaką utworzyła grupa użytkowników Neuroblast, kopiując wiele oryginalnych kontynentów. Pod pewnymi względami to znacznie lepsze rozwiązanie niż prywatna wyspa założona w obawie przed atakiem FWI, ponieważ obecnie moc obliczeniowa jest tak tania, że mogą utrzymywać dziesiątki kontynentów. Jednak pod innymi względami wygląda to znacznie gorzej, gdyż kopie kontynentów są niemal zupełnie pozbawione mieszkańców.

Problem nie tylko w tym, że wszyscy ludzie odeszli do Real Space. Również digienty Origami i Faberge się tam przeniosły, o co Ana nie ma pretensji do ich właścicieli; zrobiłaby to samo, gdyby tylko miała taką możliwość. Jeszcze bardziej przygnębia ją fakt, iż większość neuroblastowych digientów również zniknęła, a było pośród nich wielu przyjaciół Jaxa. Niektórzy członkowie grupy użytkowników odeszli wraz z zamknięciem Data Earth, inni najpierw postanowili „poczekać i zobaczyć”, ale zniechęcili się widząc, jak uboga jest

prywatna wersja Data Earth i woleli zawiesić swoje digienty niż wychowywać je w mieście duchów. Najgorsze, że to właśnie przypomina prywatna wersja Data Earth – miasto duchów wielkości planety. Istnieją niezmiarzone przestrzenie dopracowanego w najdrobniejszych szczegółach terenu, po którym można spacerować, ale jedynymi rozmówcami są tam nauczyciele przychodzący na lekcje. Istnieją lochy bez zadań do wykonania, puste centra handlowe, stadiony, na których nie odbywają się żadne zawody; cyfrowy odpowiednik postapokaliptycznego krajobrazu.

Ludzy znajomi Jaxa z tetrabrakebwej sceny z początku logowali się na prywatną wersję Data Earth, żeby go odwiedzić, ale ich wizyty z czasem były coraz rzadsze; wszystkie tetrabrakebwe imprezy odbywają się teraz na Real Space. Jax może wysyłać i odbierać nagrania z choreografią, ale społeczność opiera się w głównej mierze na spotkaniach, podczas których choreografia tworzona jest spontanicznie, a on w żaden sposób nie może brać w nich udziału. Jaxa omija więc większość życia towarzyskiego w świecie wirtualnym, a nie może go niczym zastąpić w świecie rzeczywistym: jego robot klasyfikowany jest jako bezzałogowy pojazd ruchomy, więc nie ma wstępu w miejsca publiczne bez nadzoru Any lub Kyle’a. Zamknięty w mieszkaniu Jax zaczyna się nudzić i denerwować.

Ana całymi tygodniami próbowała go zachęcić, by siadał przed jej komputerem w ciele robota i logował się na Real Space w ten sposób, ale przestało go to interesować. Pojawiły się problemy z interfejsem użytkownika – brak doświadczenia Jaxa w korzystaniu z komputera, podłączonego do kamery suboptymalnie śledzącej ruchy wykonywane przez ciało robota – ale Ana wierzy, że mogliby je przezwyciężyć. Poważniejszym problemem jest to, że Jax nie chce zdalnie sterować awatarem – chce nim być. Klawiatura i ekran są dla niego marną namiastką bycia w wirtualnym świecie, równie niesatysfakcjonującą, jak dla szympansa zabranego prosto z Kongo byłaby gra wideo tocząca się w dżungli.

Wszystkie pozostałe neuroblastowe digienty są równie sfrustrowane i podkreślają, że prywatna wersja Data Earth to tylko rozwiązanie tymczasowe. Konieczne jest uruchomienie digientów na Real Space i możliwość swobodnego przemieszczania się i interakcji z tamtejszymi obiektami i mieszkańcami. Innymi słowy, rozwiązaniem byłaby konwersja silnika Neuroblast – napisanie go od nowa tak, by działał na platformie Real Space. Ana przekonała byłych właścicieli Blue Gammy do wypuszczenia kodu silnika Neuroblast, ale do jego zmiany konieczne jest znalezienie doświadczonych programistów. Grupa użytkowników zamieściła ogłoszenia na forach publicznych w nadziei, iż znajdą się ochotnicy.

Jedyną zaletą przestarzałości Data Earth jest ochrona digientów przed ciemną stroną świata społecznościowego. Na platformie Real Space firma Edgeplayer prowadzi salę tortur digientów; aby uniknąć oskarżeń o nielegalne kopiowanie danych, w charakterze ofiar wykorzystywane są wyłącznie powszechnie dostępne digienty. Grupa użytkowników uzgodniła, że gdy już uda się im przekonwertować silnik, dodana zostanie procedura pełnej weryfikacji praw własności; żaden z digientów Neuroblast nie będzie mógł wejść na Real

Space bez opiekuna.

* * *

Dwa miesiące później Derek przegląda forum grupy, czytając odpowiedzi na swój wcześniejszy post dotyczący postępów w pracy nad konwersją Neuroblastu. Niestety wieści nie są najlepsze; próby znalezienia programistów się nie powiodły. Grupa użytkowników zorganizowała dni otwarte na prywatnej wersji Data Earth, by ludzie mogli spotkać się z digientami, ale było bardzo niewielu chętnych.

Problem w tym, że silniki genomiczne to staroć. Programistów interesują nowe, ekscytujące projekty, a obecnie oznacza to pracę nad interfejsami nerwowymi lub oprogramowaniem nanomedycznym. W magazynach otwartego oprogramowania leży odłogiem mnóstwo silników genomicznych na różnych etapach ukończenia, czekających na programistów, którzy chcieliby się nimi zająć. Na tym tle konwersja dwunastoletniego silnika Neuroblast na nową platformę jest jedną z najmniej atrakcyjnych ofert. Nad konwersją Neuroblastu pracuje tylko garstka studentów, a biorąc pod uwagę, jak niewiele mają wolnego czasu, sama platforma Real Space zdąży się zestarzeć, nim skończą.

Innym wyjściem byłoby zatrudnienie profesjonalnych programistów. Derek rozmawiał z kilkoma, którzy mają doświadczenie w zakresie silników genomicznych i poprosił o wycenę konwersji Neuroblastu. Przedstawione mu szacunkowe koszty to – biorąc pod uwagę złożoność projektu – dość rozsądna oferta i firma mająca kilkaset tysięcy klientów z czystym sumieniem mogłaby w to zainwestować. Jednak w przypadku grupy użytkowników, która skurczyła się do około dwudziestu osób cena jest kosmiczna.

Derek czyta najnowsze komentarze na forum, a następnie dzwoni do Any. Zamknięcie digientów w prywatnej wersji Data Earth niewątpliwie było trudną decyzją, ale ta sytuacja ma też i dobre strony: ma pretekst, by codziennie rozmawiać z Aną, czy to o postępach w konwersji Neuroblastu, czy też o organizacji jakichś zajęć dla digientów. W przeciągu ostatnich kilku lat Marco i Polo oddalili się od Jaxa, gdyż każdy z nich pielegnował własne zainteresowania, ale teraz neuroblastowe digienty mogą liczyć tylko na swoje towarzystwo, więc Ana stara się wymyślać rzeczy, którymi mogliby się zajmować jako grupa. Derek już nie ma żony, która mogłaby mieć mu to za złe, a chłopakowi Any, Kyle'owi, najwyraźniej to nie przeszkadza, więc Derek może do niej dzwonić nie martwiąc się o żadne pretensje. Spędzanie tak dużej ilości czasu z Aną jest dość bolesną przyjemnością; być może lepiej by było, gdyby nie kontaktował się z nią tak często, ale nie chce przestać.

W oknie rozmowy pojawia się twarz Any.

– Widziałaś post Stuarta? – pyta Derek. Stuart wyliczył, ile każdy z członków grupy musiałby zapłacić, gdyby równo rozdzielili koszty, i pyta, ile osób na to stać.

– Właśnie czytam – stwierdza Ana. – Pewnie chciał pomóc, ale tak naprawdę tylko

wszystkich wkurza.

– Zgadza się – odpowiada Derek. – Póki nie znajdziemy rozsądnego rozwiązania, wszyscy będą myśleli tylko o tej cenie na osobę. Widziałaś się już z tym ekspertem od pozyskiwania sponsorów? – Ana planowała spotkanie ze znajomą znajomej, która zajmuje się tworzeniem kampanii związanych ze zbiórką pieniędzy dla rezerwatów dzikiej przyrody.

– No właśnie wróciłam z lunchu z tą kobietą.

– Super! I czego się dowiedziałaś?

– Zła wiadomość jest taka, że według niej nie kwalifikujemy się do kategorii non profit, ponieważ próbujemy zebrać pieniądze dla bardzo określonej grupy.

– Ale z nowego silnika mógłby skorzystać każdy... – Przerzywa. W archiwach na całym świecie przechowywane są zapewne miliony kopii silników Neuroblast. Ale ich grupa użytkowników nie może z czystym sumieniem stwierdzić, że działają w ich imieniu; bez kogoś, kto chciałby je wychowywać, żaden z tych digientów nie skorzysta na dostosowaniu silnika Neuroblast do platformy Real Space. Tak naprawdę próbują pomóc jedynie własnym digientom.

Ana kiwa głową bez słowa; już wcześniej musiało jej to przyjść do głowy.

– OK – mówi Derek – nie możemy uzyskać statusu organizacji non profit. A jaka jest dobra wiadomość?

– Twierdzi, że moglibyśmy ubiegać się o datki poza modelem non profit. Musimy tylko przedstawić historię, która wywoła współczucie wobec digientów. W ten sposób radzą sobie w zoo, gdy na przykład konieczna jest operacja słonia. Derek zastanawia się przez chwilę.

– Myślę, że moglibyśmy wypuścić kilka filmów o digientach, próbując zagrać ludziom na emocjach.

– No właśnie. A jeśli uda nam się wzbudzić wystarczająco duże współczucie, oprócz pieniędzy ludzie mogliby zacząć poświęcać nam swój czas. Wszystko, co podniesie status digientów zwiększy nasze szanse na znalezienie ochotników ze społeczności osób zajmujących się otwartym oprogramowaniem.

– Zaczę przeglądać swoje nagrania z Marco i Polo – mówi Derek. – Mam mnóstwo słodkich filmików z czasów, gdy byli mali; nie jestem pewien nowszych nagrań. Czy też przydałyby się jakieś rozdzierające serce materiały?

– Powinniśmy wspólnie omówić, co sprawdzi się najlepiej – stwierdza Ana. – Zamieszczę wiadomość na forum z pytaniem.

To przypomina Derekowi o czymś.

– Tak przy okazji, wczoraj zadzwonił do mnie ktoś, kto mógłby pomóc. Choć prawdę mówiąc, szanse są marne.

– Kto dzwonił?

– Pamiętasz Xenoterian?

– Te digienty, które miały być obcymi? To ten projekt nadal działa?

– Tak jakby. – Wyjaśnia, że skontaktował się z nim młody człowiek o nazwisku Felix Radcliffe, który jest jednym z ostatnich uczestników xenoteriańskiego projektu. Większość pierwotnych uczestników zrezygnowała lata temu; byli wyczerpani trudnościami, jakie wiążą się z wymyślaniem obcej kultury od zera, ale wciąż istnieje niewielka grupa zapaleńców, których prawie nic innego nie interesuje. Z tego, co udało się ustalić Derekowi, większość z nich nie pracuje i w ogóle rzadko opuszcza swoje pokoje w domach rodziców, a życie spędza na Data Mars. Felix jest jedynym członkiem grupy skłonny do kontaktów z osobami z zewnątrz.

– A ludzie nas nazywają fanatykami – rzuca Ana. – Czemu się do ciebie odezwał?

– Dowiedział się, że chcemy przekonwertować Neuroblast i chciałby pomóc. Rozpoznał moje nazwisko, bo to ja im projektowałem awatary.

– Szczęściarz – mówi Ana z uśmiechem, a Derek kwituje to głupią miną. – Niby czemu miałoby mu zależeć na konwersji Neuroblastu? Myślałam, że Data Mars stworzono właśnie po to, by izolować Xenoterian.

– Na początku tak było, ale teraz Felix zdecydował, że digienty są gotowe na spotkanie z ludźmi i chce przeprowadzić eksperyment pierwszego kontaktu. Gdyby działała nadal platforma Data Earth, wysłałby ekspedycję Xenoterian na główne kontynenty, ale w obecnej sytuacji to niemożliwe. Poniekąd Felix jedzie na tym samym wózku, co my; potrzebna mu konwersja Neuroblastu, żeby jego digienty mogły wejść na Real Space.

– No... powiedzmy, że potrafię go zrozumieć. I mówisz, że mógłby nam pomóc w zebraniu pieniędzy?

– Stara się zainteresować swoim eksperymentem antropologów i egzobiologów. Sądzi, że tak bardzo będą chcieli zbadać Xenoterian, że zapłacą za konwersję.

– Myślisz, że zapłaciliby za coś takiego? – Ana nie wygląda na przekonaną.

– Wątpię – mówi Derek. – Tak naprawdę Xenoterianie to nie obcy. Sądzę, że Felix miałby większe szanse na powodzenie u producentów gier, którym przydałoby się kosmici do tworzonych przez nich światów, ale to jego decyzja. Myślę, że dopóki nie będzie zwracał się do tych samych ludzi, co my, nie zmniejszy naszych szans, a możliwe, że nam pomoże.

– Ale jeśli jest takim dziwakiem, jak mi się zdaje, to jakie jest prawdopodobieństwo, że kogokolwiek przekona?

– Na pewno nie pomogą mu wybitne umiejętności sprzedaży. Ma nagranie z Xenoterianami, które pokazuje antropologom, by zaostrzyć ich apetyt. Widziałem fragmenty.

– No i?

Wzrusza ramionami i unosi ręce.

– Równie dobrze mógłbym oglądać stado robotów pielących, a przynajmniej tyle z tego zrozumiałem.

– Może i dobrze. Może im bardziej są obce, tym bardziej interesujące. – Ana się śmieje.

Derek też się śmieje, zauważając ironię: co, jeśli po wszystkim, co zrobili w Blue

Gammie, by digienty wyglądały czarująco, ludzi najbardziej zainteresują obcy?

7

Mijają kolejne dwa miesiące. Próby zebrania funduszy przez grupę użytkowników nie przynoszą żadnych efektów; co wrażliwsi są coraz bardziej znużeni słuchaniem o zagrożonych gatunkach prawdziwych zwierząt, o sztucznych nie wspominając, a digienty nie są nawet w połowie tak fotogeniczne jak delfiny. I jeśli już napływają jakieś datki, jest ich naprawdę niewiele.

Stres związany z zamknięciem w Data Earth bardzo niekorzystnie odbija się na digientach; właściciele próbują spędzać z nimi więcej czasu, by się nie nudziły, ale nie mogą zastąpić w pełni zaludnionego wirtualnego świata. Ana próbuje również chronić Jaxa przed problemami wynikającymi z konwersją Neuroblastu, ale on i tak o nich wie. Pewnego dnia po powrocie do domu Ana loguje się i widzi, że jej digient jest wyraźnie poruszony.

– Chcę cię zapytać o konwersję – wyrzuca z siebie bez żadnego wstępu.

– O co chodzi?

– Przedtem myślałem to tylko kolejna aktualizacja, jak wcześniej. Teraz myślę, że znacznie większa. Jak przesyłał, tylko digienty zamiast ludzi, tak?

– Chyba tak.

– Widziałas film z myszą?

Ana wie, o którym filmie mówi Jax – niedawno opublikował go zespół badawczy zajmujący się przesyłem; nagranie pokazuje białą myszkę, która zostaje zamrożona, a następnie odparowana po mikrometrze za pomocą wiązki elektronów zmieniającej ją w obłoczki dymu i odtworzona w środowisku testowym, gdzie zostaje wirtualnie rozmrożona i obudzona. Zaraz potem mysz dostaje drgawek, przez kilka subiektywnych minut wstrząsają ją spazmy, aż w końcu umiera. To obecny rekord jeśli chodzi o długość przetrwania wysłanego do sieci ssaka.

– Nic takiego cię nie spotka – zapewnia go.

– Chodzi ci, że ja nie pamiętać, jeśli spotka – stwierdza Jax. – Ja tylko pamiętać, jeśli przeniesienie dobre.

– Nikt nie zamierza uruchamiać ciebie, ani nikogo innego na nieprzetestowanym silniku. Po konwersji silnika Neuroblast uruchomimy na nim programy testowe i naprawimy wszystkie błędy przed uruchomieniem któregośkolwiek z digientów. A programy testowe niczego nie czują.

– Naukowcy nie mogą uruchomić programy testowe przed przesłaniem myszy?

Jaxowi świetnie idzie zadawanie trudnych pytań.

– Myszy były właśnie programami testowymi – mówi Ana. – A to dlatego, że nikt nie ma kodu źródłowego organicznych mózgow, więc nie można napisać programów testowych, które byłyby prostsze od prawdziwych myszy. Mamy za to kod źródłowy Neuroblastu, więc nas ten problem nie dotyczy.

– Ale nie mieć pieniędzy na konwersję.

– Nie, w tej chwili nie, ale je zdobędziemy. – Ma nadzieję, że sprawia wrażenie bardziej przekonanej, niż jest w rzeczywistości.

– Jak mogę pomóc? Jak zarobić pieniądze?

– Dziękuję, Jax, ale w tej chwili w żaden sposób nie możesz zarobić pieniędzy – mówi. – Póki co twoim zadaniem jest dalsza nauka i osiągnięcie dobrych wyników.

– Tak, wiem: teraz uczyć, później inne rzeczy. Co jeśli teraz mam kredyt, a spłacę później, kiedy zarobić pieniądze?

– Pozwól, że ja się tym zajmę, Jax.

Jax wygląda na przygnębionego.

– OK.

W zasadzie sugestia Jaxa niemal w pełni pokrywa się z ostatnim pomysłem grupy, jakim było znalezienie inwestorów korporacyjnych. Jest to ścieżka wytyczona przez osiągnięcia firmy VirlFriday na polu sprzedaży digientów jako asystentów osobistych. Trwało to kilka lat, ale Talbotowi w końcu udało się wychować wersję Andro, która może pracować dla każdego; firma VirlFriday sprzedała setki tysięcy kopii. To pierwszy przypadek dowodzący, iż digienty mogą być dochodową inwestycją i kilka innych firm szuka możliwości powtórzenia osiągnięcia Talbota.

Jedna z nich to Polytope, która ogłosiła plany uruchomienia niesamowicie rozbudowanego programu hodowli w celu stworzenia następcy Andro. Grupa skontaktowała się z firmą i zaoferowała im układ w związku z przyszłością neuroblastowych digientów: w zamian za opłacenie konwersji silnika Neuroblast, firma Polytope miałaby dożywotnio otrzymywać udział we wszelkiego rodzaju zyskach generowanych przez digienty. Nadzieje grupy zostały tak bardzo rozbudzone po raz pierwszy od kilku miesięcy, ale niestety odpowiedź z firmy była negatywna; Polytope interesują wyłącznie digienty Sophonce, których obsesyjne skupienie na jednym temacie jest niezbędne, jeśli miałyby kiedykolwiek zastąpić standardowe oprogramowanie.

Grupa przeprowadziła krótką dyskusję na temat możliwości opłacenia konwersji z własnej kieszeni, ale było to zdecydowanie niewykonalne. W rezultacie niektórzy członkowie grupy zaczynają rozważać coś, co do tej pory było nie do pomyślenia:

OD: Stuart Gust

Przykro mi, że rozpoczynam ten temat, ale ktoś wreszcie musi. Może na jakiś czas, na przykład rok, zawiesimy nasze digienty, aż zbierzemy pieniądze na

konwersję?

OD: Derek Brooks

Wiesz, co się dzieje, gdy ktoś zawiesza digienta. Tymczasowe zawieszenie przechodzi w takie na czas nieokreślony, aż w końcu staje się wieczne.

OD: Ana Alvarado

Lepiej bym tego nie ujęła. Zbyt łatwo jest skończyć nieustannie odkładając wszystko na później. Czy słyszeliście kiedykolwiek, by ktoś uruchomił z powrotem digienta zawieszzonego na dłużej niż sześć miesięcy? Bo ja nie.

OD: Stuart Gust

Nie porównuj nas do innych ludzi. Oni zawieszają digienty, bo są nimi zmęczeni. My będziemy tęsknić za digientami każdego dnia zawieszenia; to będzie dobra motywacja do zebrania funduszy.

OD: Ana Alvarado

Jeśli sądzisz, że zawieszenie Zaffa zwiększy twoją motywację, proszę bardzo. Mnie motywuje fakt, że Jax jest cały czasu uruchomiony.

* * *

Wysyłając wiadomość na forum Ana nie ma żadnych wątpliwości, ale rozmowa staje się trudniejsza, gdy kilka dni później sam Jax porusza ten temat. Oboje znajdują się w prywatnej wersji Data Earth, gdzie Ana oprowadza go po nowym kontynencie gier. To klasyczny kontynent, który kilka lat temu bardzo podobał się Anie, a który niedawno udostępniono za darmo, dzięki czemu grupa mogła zainstalować kopię dla digientów. Próbuje zarazić go swoim entuzjazmem i wylicza, co odróżnia ten kontynent od innych, które już się digientom znudziły, ale Jax wie, czym tak naprawdę jest ta nowość: kolejną próbą znalezienia mu zajęcia do czasu konwersji Neuroblastu.

Przechadzając się przez pusty rynek średniowiecznego miasta, Jax stwierdza:

– Czasem chcę po prostu się zawiesić, żeby nie czekać dłużej. I uruchomić ponownie, kiedy można wejść na Real Space i czuć, jakby czas nie minął.

Na taką uwagę Ana jest zupełnie nieprzygotowana. Żaden z digientów nie ma dostępu do forów grupy, więc Jax sam musiał wpaść na ten pomysł.

– Naprawdę byś tego chciał? – pyta.

– Niezupełnie. Chcę wszystko wiedzieć, co się dzieje. Ale czasem frustruję. – Po chwili pyta: – Ty czasem chcesz nie zajmować się mną?

Nim odpowiada upewnia się, że Jax patrzy jej prosto w oczy.

– Moje życie być może byłoby łatwiejsze, gdybym nie musiała się tobą zajmować, ale nie byłabym tak szczęśliwa. Kocham cię, Jax.

– Też cię kocham.

* * *

Wracając z pracy, Derek dostaje wiadomość od Any, że skontaktował się z nią ktoś z Polytope, więc dzwoni do niej, gdy tylko dociera do domu. – No i? – pyta.

– To był bardzo dziwny telefon. – Ana wygląda na zdeprymowaną.

– W jakim sensie dziwny?

– Oferują mi pracę.

– Serio? Jaka?

– Szkolenie digientów Sophonce – mówi. – Ze względu na moje doświadczenie chcą, żebym była szefem grupy. Zaoferowali mi świetne zarobki, gwarantowane trzy lata zatrudnienia i naprawdę rewelacyjną premię rekrutacyjną. Ale jest pewien haczyk.

– No? Nie trzymaj mnie w niepewności.

– Wszyscy ich opiekunowie muszą brać InstantRapport.

Oczy Dereka rozszerzają się ze zdumienia.

– Żartujesz – mówi. InstantRapport to jeden z inteligentnych środków transdermalnych – plaster, który uwalnia dawkę koktajlu z oksytocyny i opioidów, gdy tylko znajduje się w obecności konkretnej osoby. Wykorzystuje się go do ratowania rozpadających się małżeństw oraz do wzmocnienia relacji między rodzicami a dziećmi, a ostatnio został wpisany na listę środków dostępnych bez recepty. – A po cholere im to?

– Firma uznała, że uczucia dadzą lepsze rezultaty, a digienty Sophonce można polubić wyłącznie stosując odpowiednie farmaceutyki.

– OK, rozumiem. To taki sposób na poprawę wydajności pracowników. – Zna wiele osób, które biorą leki nootropowe lub korzystają z magnetycznej stymulacji mózgu, by poprawić swoje wyniki w pracy, ale dotychczas żaden z pracodawców nie stawiał takiego wymogu. Kręci głową z niedowierzaniem. – Jeśli ich digienty tak trudno pokochać, powinni się nad tym zastanowić i zacząć pracować z digientami Neuroblast.

– Tak właśnie im powiedziałam, ale nie byli zainteresowani. Ale przyszło mi do głowy coś innego. – Ana pochyła się w stronę kamery. – Może gdybym przyjęła tę pracę, udałoby mi się ich przekonać.

– Jak?

– Byłaby to okazja do częstego pokazywania Jaxa szefom Polytope. Mogłabym się logować na Data Earth z pracy, a może nawet wziąć go ze sobą w ciele robota. Czy można lepiej zademonstrować wszechstronność silnika Neuroblast? A kiedy już ją dostrzegą,

przekonwertują go na Real Space.

Derek myśli o tym, co usłyszał.

– Zakładając, że nie zabronią ci spędzać czasu z Jaxem w godzinach pracy...

– Zaufaj mi choć trochę. Nie zamierzam niczego robić na siłę; załatwiłabym to subtelnie.

– Mogłoby się udać – przyznaje. – Ale każą ci nosić plaster InstantRapport. Czy to jest warte takiego poświęcenia?

Sfrustrowana Ana wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Z pewnością nie zdecydowałabym się na to, gdybym miała inne opcje. Ale czasem trzeba zaryzykować, nie? Nieco przyspieszyć bieg wydarzeń.

Nie jest pewien, co powiedzieć.

– A co Kyle o tym sądzi?

– Jest zdecydowanie przeciwny. – Ana wzdycha. – Nie podoba mu się, że miałabym stosować InstantRapport i sądzi, że szanse na powodzenie są za małe, by warto było próbować. – Przerzywa na chwilę, a potem dodaje: – Ale on nie podchodzi do digientów tak jak ty albo ja, więc to normalne, że tak mówi. Dla niego ewentualne korzyści są niewielkie.

Ana najwyraźniej oczekuje wsparcia, więc ją wspiera, ale jego myśli nie są tak jednoznaczne. Ma zastrzeżenia do tej oferty, ale waha się, czy powinien o tym mówić.

Nienawidzi się za takie myśli, ale gdy tylko Ana wspomniała o problemach z Kyle'em, wyobraził sobie ich rozstanie. Obiecał sobie, że nigdy nie zrobi niczego, by ich rozdzielić, ale skoro Kyle nie podziela zaangażowania Any w sprawy digientów, Derek nie robi nic złego okazując własne. Jeśli to zasugeruje Anie, że byłby dla niej lepszym partnerem niż Kyle, to nie jego wina.

Problem w tym, czy naprawdę uważa, że to dobry pomysł, by Ana przyjęła ofertę Polytope. Wcale nie jest tego taki pewien, ale dopóki nie będzie miał pewności, zapewni jej wsparcie.

Po zakończeniu rozmowy Derek loguje się do prywatnej wersji Data Earth, by pobyć trochę z Marco i Polo. Grają w squasha w stanie nieważkości, ale gdy tylko go dostrzegają, opuszczają kort.

– Spotkali miłych ludzi dziś – mówi Marco.

– Naprawdę? A wiecie, kto to był?

– Osoba o imieniu Jennifer i osoba o imieniu Roland.

Derek sprawdza log odwiedzin i z wielkim niepokojem odkrywa tożsamość gości: Jennifer Chase i Roland Michaels to pracownicy firmy Binary Desire, produkującej zarówno wirtualne, jak i rzeczywiste sekslalki.

Nie po raz pierwszy grupa spotyka się z zainteresowaniem osób, które chcą wykorzystać digienty do celów seksualnych. Zdecydowana większość sekslalek nadal wykorzystuje konwencjonalne oprogramowanie, odgrywające z góry ustalone scenki. Wraz z pojawieniem się na rynku digientów, znaleźli się ludzie chcący uprawiać z nimi seks; najczęściej polega to

na skopiowaniu powszechnie dostępnego digienta i zmianie jego mapy satysfakcji tak, by czerpał radość z tego, co podnieca właściciela. Według krytyków, tego typu pomysł jest równoznaczny z zachęcaniem psa do zlizywania masła orzechowego z genitaliów i nie jest to nietrafione porównanie, zarówno ze względu na poziom inteligencji digientów, jak i wyrafinowanie metody. Z pewnością obecnie do celów seksualnych nie są dostępne digienty, które choćby zbliżały się do poziomu rozwoju Marco lub Polo, więc grupa użytkowników co jakiś czas otrzymuje zapytania od producentów sekslalek, którzy chcieliby kupić kopie ich digientów. Wszyscy członkowie grupy zgodnie stwierdzili, że powinni ignorować takie oferty.

Ale według loga, Chase i Michaels przyszli tu w towarzystwie Felixa Radcliffe'a.

Derek każe Marco i Polo wrócić do gry, po czym dzwoni do Felixa.

– Co ty do cholery sobie wyobrażasz? Przyprowadzasz tu Binary Desire?

– Nie podejmowali prób wykorzystania digientów.

– Widzę. – Nagranie z wizyty odtwarzane jest w przyspieszeniu w oknie obok.

– Odbyli z nimi rozmowę. – Rozmowa z Felixem czasem przypomina próby porozumienia się z obcym.

– Przecież uzgodniliśmy wszystko w kwestii producentów sekszabawek. Pamiętasz?

– Ale ci ludzie nie są, jak inni. Podoba mi się ich podejście.

Boi się zapytać, co Felix ma na myśli.

– Jeśli tak, to zabierz ich do Data Mars i pokaż im swoich Xenoterian.

– Już pokazałem – stwierdza Felix. – Ale nie byli zainteresowani.

No pewnie, że nie byli. Derek uświadamia sobie, że zapotrzebowanie na seks z trójnogimi istotami mówiącymi tylko po lojbańsku byłoby znikome. Ale widzi, że Felix jest szczery i naprawdę nie miałby nic przeciwko sprostytuowaniu Xenoterian, gdyby tylko zapewniłoby mu to fundusze na pierwszy kontakt. Może i jest ekscentryczny, ale nie jest hipokrytą.

– I na tym zakończmy ten temat – stwierdza. – Możliwe, że będziemy musieli odebrać ci dostęp do Data Earth.

– Powinniście pogadać z tymi ludźmi.

– Nie powinniśmy.

– Zapłacą wam, jeśli ich wysłuchacie. Prześlą wam wiadomość ze szczegółami.

Derek niemal wybucha śmiechem. W Binary Desire muszą być nieźle zdesperowani, jeśli płacą ludziom za wysłuchanie gadki handlowej.

– Wiadomości mogą być. Ale wrzucam ich na czarną listę i nie życzę sobie, byś przyprowadzał jeszcze kogoś z tej branży. Zrozumiano?

– Zrozumiano – odpowiada Felix i się rozłącza.

Derek kręci głową. W normalnych okolicznościach nie rozważałby wysłuchania takiej oferty nawet za pieniądze, gdyż nie chce, by ktoś pomyślał, że byłby skłonny sprzedać Marco

i Polo w charakterze obiektów seksualnych.

Ale w tej chwili ich grupa potrzebuje każdego dolara. Jeśli wysłuchanie jednej firmy zachęciłoby inne do płacenia za podobne prezentacje, może miałoby to sens. Włącza nagranie z odwiedzin gości od początku i zaczyna je oglądać z normalną prędkością.

8

Grupa użytkowników zgromadziła się, by wysłuchać prezentacji Binary Desire w ramach wideokonferencji; firma przelała pieniądze na konto escrow, z którego mają zostać przesłane dalej po spotkaniu. Usadowiona przed panoramicznym ekranem Ana rozgląda się; przekaz z kamer wszystkich uczestników został zintegrowany tak, by wyglądało, jakby siedzieli w wirtualnej sali konferencyjnej, na której każdy zajmuje swój mały, prywatny balkon. Balkon Dereka ma z lewej strony, a ten z kolei sąsiaduje z Felixem. Podium na scenie zajmuje przedstawicielka Binary, Jennifer Chase. Jest to piękna, gustownie ubrana blondynka, a jako że strony uzgodniły, iż będą korzystać z uwierzytelnionego przekazu, Ana wie, że Chase tak właśnie wygląda. Zastanawia się, czy Binary Desire wysłała Chase na wszystkie negocjacje; kobieta zapewne jest świetna w dopinaniu swego.

Felix podnosi się ze swojego miejsca i zaczyna mówić coś po lojbańsku, ale szybko się reflektuje.

– Spodoba wam się jej propozycja – stwierdza.

– Dzięki, Felix, ale pozwól, że teraz ja będę mówić – odzywa się Chase. Felix siada, a Chase zwraca się do grupy. – Dziękuję, że zgodzili się państwo ze mną spotkać. Zazwyczaj, gdy spotykam się z potencjalnym partnerem biznesowym, opowiadam o tym, jak firma Binary Desire może mu pomóc w dotarciu do szerszej grupy odbiorców, ale w tym przypadku tego nie zrobię. Dla mnie celem tego spotkania jest przekonanie państwa, że państwa digienty będą traktowane z szacunkiem. Nie szukamy zwierzątek, którym nadamy cechy seksualne poprzez proste warunkowanie instrumentalne. Szukamy istot, które zaangażują się w doświadczenia seksualne na wyższym, bardziej osobistym poziomie.

Przerywa jej Stuart:

– Jak zamierzacie to osiągnąć, skoro nasze digienty są całkowicie aseksualne?

– Dzięki co najmniej dwuletniemu szkoleniu. – Chase nawet na chwilę nie traci rezonu.

Ana jest zaskoczona.

– To poważna inwestycja – mówi. – Sądziłam, że digientowe sekslalki są zazwyczaj szkolone kilka tygodni.

– Dlatego że to zazwyczaj digienty Sophonce i po dwóch latach będą dokładnie takimi samymi partnerami seksualnymi jak po dwóch tygodniach. Nie wiem, czy widzieli państwo

rezultaty, ale jeśli są państwo zainteresowani, mogę podać adres haremu z Draytami w awatarach Marilyn Monroe, które bezmyślnie powtarzają „chcę obciągać”. Nie jest to przyjemny widok.

Ana śmieje się wbrew sobie, razem z kilkoma innymi osobami. – Pewnie nie.

– Firma Binary Desire nie jest zainteresowana takim rozwiązaniem. Każdy może skorzystać z powszechnie dostępnych digientów i przeprogramować ich mapę satysfakcji. A my chcielibyśmy oferować partnerów seksualnych z prawdziwą osobowością i jesteśmy gotowi zainwestować, ile trzeba, by to osiągnąć.

– Więc co wchodziłoby w zakres waszego szkolenia? – pyta Helen Costas, siedząca z tyłu.

– Przede wszystkim odkrywanie i eksploracja seksualności. Damy digientom anatomicznie poprawne awatary i pozwolimy się im oswoić ze strefami erogennymi. Będziemy zachęcać digienty do eksperymentów seksualnych między sobą, żeby nabrały nieco wprawy jako istoty obdarzone seksualnością i wybrały płęć, w której będą się czuć komfortowo. Jako że większość nauki na tym etapie przebiegać będzie w gronie samych digientów, okresowo będą mogły funkcjonować w przyspieszeniu. A gdy już zdobędą pewne doświadczenie, zaczniemy je łączyć w pary z kompatybilnymi ludźmi.

– Skąd macie pewność, że będą chciały się związać z konkretną osobą? – pyta Derek.

– Nasi programiści przebadali sporo digientów w schroniskach; są za młode na nasze potrzeby, ale potrafią przywiązywać się emocjonalnie, a nasi programiści przeprowadzili wiele analiz, na podstawie których wnioskuje, że potrafią wywołać podobne przywiązanie u starszych digientów. Gdy digient będzie poznawał jakąś osobę, wzmocnimy wymiar emocjonalny interakcji, zarówno seksualnych, jak i nieseksualnych tak, by wyzwalały w digientach miłość.

– To jak neuroblastowa wersja InstantRapport – zauważa Ana.

– Coś w tym stylu – przyznaje Chase – ale skuteczniejsza i konkretniej sza dzięki dostosowaniu do indywidualnych potrzeb. Digient nie odróżni tego od spontanicznego zakochania się.

– Nie wydaje mi się, by od samego początku udawało się to dostosowywanie do indywidualnych potrzeb – mówi Ana.

– Nie, naturalnie, że nie – mówi Chase. – Spodziewamy się, że miną miesiące nim digient się zakocha; przez cały ten czas będziemy pracować z klientem, cofając digienta do punktów kontrolnych i próbując różnych ustawień, aż nawiąże się silna więź emocjonalna. Będzie to przypominać program hodowli, który prowadziła pani pracując dla Blue Gammy z tą różnicą, że my chcemy dostosowywać digienty do konkretnych klientów.

Ana już ma powiedzieć, że różnica jest ogromna, ale się powstrzymuje. W końcu jej zadaniem jest wysłuchanie oferty tej kobiety, a nie wchodzenie z nią w dyskusję. – Rozumiem – rzuca.

Odzywa się Derek:

– Nawet jeśli sprawicie, że się zakochają, żaden z naszych digientów nie wypadnie przekonująco jako Marilyn Monroe.

– Nie, ale nie jest to naszym celem. Otrzymaliby humanoidalne, a nie ludzkie awatary. Proszę zrozumieć, że nie próbujemy skopiować doświadczenia seksu z człowiekiem; chcemy oferować uroczych, kochających partnerów, niebędących ludźmi i pałających szczerym entuzjazmem do seksu. Binary Desire wierzy, że to nowe seksualne terytorium.

– Nowe seksualne terytorium? – powtarza Stuart. – To znaczy będziecie popularyzować perwersję, aż stanie się normą?

– Można by to tak nazwać – stwierdza Chase. – Ale proszę spróbować spojrzeć na to z innej strony: nasze pojęcie zdrowego seksu bardzo się poszerzyło na przestrzeni lat. Niegdyś ludzie uważali, że homoseksualizm, BDSM i poliamoria to objawy problemów psychologicznych, a tymczasem same w sobie nie są w żaden sposób sprzeczne ze związkiem opartym na miłości. Problemem była stygmatyzacja takich popędów przez społeczeństwo. Wierzmy, że z czasem seks z digientami będzie akceptowany jak każdy inny przejaw ludzkiej seksualności. Wymaga to jednak otwartego i uczciwego podejścia, a nie udawania, że digient jest człowiekiem.

Na ekranie pojawia się ikona informująca, że Chase przesłała grupie dokument.

– Wysłałam państwu kopię proponowanej przez nas umowy – wyjaśnia – ale pozwólcie państwu, że w skrócie ją omówię. Binary Desire pokryje koszty konwersji silnika Neuroblast na platformę Real Space w zamian za niewyłączne prawa do państwa digientów. Zachowają państwo prawo do sprzedaży kopii swoich digientów, jeśli tylko nie będą stanowiły dla nas konkurencji. Jeśli państwa digienty dobrze się sprzedadzą, wypłacimy również należne tantiemy. A państwa digienty będą robić to, co sprawi im przyjemność.

– OK, dziękujemy – mówi Ana. – Zapoznamy się z umową i skontaktujemy się z panią. Czy to wszystko?

– Niezupełnie. – Chase się uśmiecha. – Zanim dam państwu dostęp do pieniędzy, chciałabym jeszcze mieć możliwość odniesienia się do ewentualnych wątpliwości; zapewniam, że nie poczuję się urażona. Czy to aspekt seksualny budzi pani obawy?

– Raczej przymus – oznajmia Ana po chwili wahania.

– Nikt nie będzie robić niczego pod przymusem. Proces nawiązywania więzi sprawi, że digienty będą czerpały z tego tyle samo przyjemności, co ich właściciele.

– Ale nie będą miały wyboru w kwestii tego, co jest dla nich przyjemne.

– A czy w przypadku ludzi jest inaczej? Kiedy byłam mała, w ogóle nie interesowało mnie całowanie się z chłopcami i gdyby to ode mnie zależało, pewnie nadal by tak było. – Na ustach Chase pojawia się nieśmiały uśmiech, który chyba ma sugerować, jak bardzo lubi się całować teraz. – Stajemy się istotami seksualnymi, czy tego chcemy, czy nie. Modyfikacje wprowadzone przez Binary Desire zrobią to samo z digientami. Choć tak naprawdę, wygląda

to znacznie lepiej. Niektórzy ludzie obarczeni są skłonnościami seksualnymi, które przez całe życie są tylko źródłem cierpienia. Digientom to nie grozi. Każdy z nich zostanie połączony z idealnie kompatybilnym partnerem seksualnym. To nie przymus, a szczyt seksualnego spełnienia.

– Ale to nieszczerze – wybucha Ana i natychmiast tego żałuje.

Dokładnie na taką reakcję czekała Chase.

– W jakim sensie? – pyta. – Państwa uczucia do digientów są szczerze, tak jak ich uczucia do państwa. Jeśli potrafią państwo nawiązać szczerą i prawdziwą więź nieseksualną, dlaczego niby seksualna więź między człowiekiem a digientem jest niemożliwa?

Anie przez chwilę brak słów, a do rozmowy włącza się Derek.

– Moglibyśmy tak filozofować bez końca – stwierdza. – A zasadniczą kwestią jest to, że nie poświęciliśmy całych lat na wychowanie digientów, by stały się sekszabawkami.

– Zdaję sobie z tego sprawę – mówi Chase. – Ale zawarcie tej umowy nie wyklucza wykorzystania kopii państwa digientów do innych rzeczy. Jednak w tej chwili, bez względu na to, jak niezwykle one są, nie mają żadnych przydatnych umiejętności zawodowych i nie mogą państwo stwierdzić, kiedy je nabędą. A jak inaczej zbiorą państwo potrzebne pieniądze?

Ana zastanawia się, ile kobiet zadawało sobie to samo pytanie.

– Więc to najstarszy zawód świata.

– Można to i tak ująć, ale pozwolę sobie po raz kolejny zauważyć, że w grę nie wchodzi żaden przymus, nawet ekonomiczny. Gdybyśmy chcieli sprzedawać sztuczne pożądanie seksualne, istnieją na to tańsze sposoby. Całe to przedsięwzięcie opiera się na próbie stworzenia alternatywy dla sztucznego pożądania. Wierzmy, że doznania seksualne są lepsze, gdy obie strony czerpią z nich radość; to lepsze i korzystniejsze dla społeczeństwa doświadczenie.

– To wszystko brzmi niezmiernie szlachetnie. Ale co z ludźmi, których kręcą tortury seksualne?

– Nie akceptujemy żadnych aktów seksualnych, na które nie ma obopólnej zgody i dotyczy to również seksu z digientami. W przesłanej państwu umowie Binary Desire zawarła gwarancję zachowania bezpieczników wprowadzonych przez Blue Gamme, a także dodanie najnowocześniejszych środków kontroli dostępu. Jak już mówiłam, wierzymy, że seks jest lepszy, gdy obu stronom sprawia przyjemność. Jesteśmy wierni tej zasadzie.

– Zgadza się, tak? – Felix zwraca się do grupy. – Wzięli pod uwagę wszystkie możliwości.

Kilku członków grupy rzuca mu gniewne spojrzenia i nawet wyraz twarzy Chase sugeruje, że pomoc Felixa jest jej zbędna.

– Wiem, że nie na to mieli państwo nadzieję szukając inwestorów – stwierdza Chase. – Ale jeśli tylko nie poprzestaną państwo na pierwszym wrażeniu, będą musieli się państwo zgodzić, że nasza propozycja jest korzystna dla wszystkich zainteresowanych.

– Przemyślmy to i oddzwonimy – rzuca Derek.

– Dziękuję za wysłuchanie mojej prezentacji – mówi Chase. Na ekranie wyskakuje okienko informujące, że pieniądze zostały zwolnione z konta escrow. – Jeszcze tylko jedna uwaga na koniec. Jeśli zgłoszą się do państwa inne firmy, proszę koniecznie przeczytać to, co zapisane jest małym druczkiem. Będzie tam zapewne klauzula, którą chcieli włączyć nasi prawnicy, a która daje prawo odsprzedaży digientów innym firmom, z dezaktywowanymi bezpiecznikami. Sądzę, że wiedzą państwo, co to oznacza?

Ana kiwa głową; oznacza to, że digienty mogłyby zostać odsprzedane firmie takiej jak Edgeplayer, która wykorzysta je do tortur.

– Tak, wiemy.

– Firma Binary Desire odrzuciła zalecenia prawników w tej kwestii. Nasza umowa gwarantuje, że digienty nigdy nie zostaną wykorzystane do niczego poza dobrowolnym seksem. Ciekawe, czy ktoś inny będzie mógł to państwu zagwarantować.

– Dziękujemy – mówi Ana. – Będziemy w kontakcie.

* * *

Ana wybierała się na spotkanie z Binary Desire z nastawieniem, że to tylko formalność – możliwość zarobienia pieniędzy za wysłuchanie oferty handlowej. Tymczasem przedstawiona oferta naprawdę dała jej do myślenia.

Nie interesowała się światem wirtualnego seksu od czasów studiów, kiedy to jej chłopak wyjechał na jeden semestr za granicę. Przed wyjazdem kupili sobie urządzenia zewnątrz – dyskretne akcesoria w twardej obudowie, prześmiesznie wyściełane silikonem, a następnie cyfrowo spięli je numerami seryjnymi, co było gwarancją wierności ich wirtualnych genitaliów. Pierwszych kilka sesji było zaskakująco fajnych, ale nowość szybko się znudziła i na pierwszy plan wysunęły się niedostatki technologiczne. Seks bez pocałunków był żałośnie niepełny; Ana tęskniła za tym, by poczuć ciepło twarzy swojego chłopaka tuż przy swojej, by poczuć ciężar jego ciała i jego piżmowy zapach. Oglądanie się na ekranie nie mogło tego zastąpić, bez względu na to, jak blisko było ustawiona kamera. Jej skóra pragnęła jego dotyku w sposób, którego żadne urządzenia nie mogły zastąpić; pod koniec semestru miała wrażenie, że eksploduje. Niewątpliwie od tamtego czasu technologia zrobiła postępy, ale nadal nie jest w stanie zastąpić bliskości.

Ana pamięta, co czuła, gdy po raz pierwszy zobaczyła Jaxa w fizycznym ciele, jakaż to była wielka różnica. Czy gdyby digient został przeniesiony do lalki, seks byłby atrakcyjniejszy? Nie. Wielokrotnie znajdowała się z Jaxem twarzą w twarz, usuwając smugi z soczewek lub szukając zadrapań i w niczym nie przypominało to kontaktu z człowiekiem; w przypadku digientów nie można odnieść wrażenia, iż wkracza się w czyjąś przestrzeń osobistą, ani choćby poczuć zaufania, jakim pies obdarza człowieka, gdy pozwala się

pogłaskać po brzuchu. Blue Gamma zdecydowała, że digienty nie będą wyposażone w tego typu instynkt samozachowawczy – w tym przypadku nie miało to sensu – ale czym jest intymność, gdy brak barier do przekraczania? Nie wątpi w możliwość wyposażenia digienta w reakcję na podniecenie bliską ludzkiej, którą wzmocniłyby neurony lustrzane obu stron. Ale czy Binary Desire może nauczyć digienty bezbronności, jaka wiąże się z nagością, albo co oznacza, gdy godzimy się na nagość w obecności innej osoby?

Choć możliwe, że to wszystko nie ma znaczenia. Ana odtwarza nagranie z wideokonferencji i słucha, jak Chase mówi o nowym seksualnym terytorium – seksie z partnerem niebędącym człowiekiem. Z założenia nie ma to zastąpić seksu z człowiekiem; będzie to inne doznanie, któremu być może towarzyszyć będzie inny rodzaj intymności.

Przypomina jej się pewne zdarzenie z czasów, gdy pracowała w zoo. Zmarła wówczas jedna z samic orangutana. Wszyscy byli zrozpaczeni, ale szczególnie mocno przeżywał to ulubiony opiekun orangutanicy. W końcu wyznał, że uprawiał z nią seks, które to wyznanie doprowadziło do jego szybkiego zwolnienia. Ana była naturalnie zszokowana, przede wszystkim dlatego, że człowiek ten nie był jakimś odrażającym zbrodźcą, za jakich uważała zoofilów; jego żal był tak głęboki i szczery, jak u każdego, kto traci ukochaną osobę. Zaskoczył ją również fakt, że dwukrotnie był żonaty; zakładała, że tacy ludzie nie chodzą na randki, szybko jednak zrozumiała, że to tylko jeden ze stereotypów na temat opiekunów zwierząt – przekonanie, że spędzają tyle czasu ze zwierzętami, bo nie radzą sobie z ludźmi. Tak samo jak wtedy, Ana ponownie próbuje zrozumieć, czemu nieseksualne relacje ze zwierzętami mogą być zdrowe, a seksualne już nie, czemu ograniczona zdolność zwierząt do wyrażania swej zgody wystarczy do trzymania ich w domu, ale do uprawiania z nimi seksu już nie. I znów nie przychodzi jej do głowy żaden argument nie wynikający wyłącznie z osobistej odrazy, a wcale nie jest pewna, czy to wystarczająco dobry powód.

Jeżeli chodzi o digienty uprawiające seks ze sobą, kwestia ta omawiana była już wcześniej i Ana zawsze uważała, że właściciele mają szczęście, że nie dotyczy ich ten problem, gdyż okres dojrzewania w przypadku wielu zwierząt jest szczególnie trudny. Brak za to poczucia winy, które mogłoby się wiązać z chirurgiczną sterylizacją Jaxa, gdyż nie pozbawiłoby go to zasadniczego elementu jego natury. Ale na forum pojawił się wątek, który sprawia, że pewne rzeczy musi przemyśleć:

OD: Helen Costas

Nie podoba mi się pomysł, by mój digient uprawiał z kimś seks, ale przecież rodzice nigdy nie chcą dopuścić do siebie myśli, że ich dzieci mogłyby to robić.

OD: Maria Zheng

To nie jest dobre porównanie. Rodzice nie mogą powstrzymać dzieci przed rozwojem seksualnym, a my możemy. Digienty nie mają wrodzonej potrzeby

emulacji tego aspektu ludzkiego rozwoju. Nie popadajmy w przesadę z tą antropomorfizacją.

OD: Derek Brooks

A co mają wrodzone? Nie istnieje żadna wrodzona potrzeba, by digienty miały uroczą osobowość, czy słodkie awatary, ale były ku temu pewne powody: zwiększa to szansę na to, by ludzie chcieli spędzać z nimi czas, a to służy dobru digientów.

Nie twierdzę, że powinniśmy przyjąć ofertę Binary Desire. Sądzę natomiast, że czas zadać sobie pytanie, czy nadanie digientom cech seksualnych sprawi, że ludzie je pokochają w sposób, który będzie dla nich korzystny?

Ana zastanawia się, czy aseksualność Jaxa pozbawia go czegoś, co mogłoby stać się dla niego korzystnym doświadczeniem. Podoba jej się to, że Jax ma przyjaciół pośród ludzi i chce przekonwertować Neuroblast na Real Space, by mógł utrzymywać i umacniać te kontakty. Ale jak daleko może zająć takie umacnianie? Jak bliskie relacje można zawrzeć nim nie pojawi się problem seksu?

Wieczorem wysłała odpowiedź na wpis Dereka:

OD: Ana Alvarado

Derek porusza ważną kwestię. Ale nawet jeśli odpowiedź brzmi „tak”, nie znaczy to jeszcze, że powinniśmy przyjąć ofertę Binary Desire.

Jeśli ktoś szuka podniecających fantazji, wystarczy mu do tego zwykłe oprogramowanie. Nie musi kupować w sklepie wysyłkowym panny młodej i obklejać jej plastrami InstantRapport, a to właśnie Binary Desire chce oferować swoim klientom. Czy takiego właśnie życia chcemy dla naszych digientów? Moglibyśmy je naszpikować wirtualnymi endorfinami tak, by z radością żyły zamknięte w Data Earth, ale za bardzo nam na nich zależy, by to zrobić. Chyba nie powinniśmy pozwolić, by ktoś inny traktował je z mniejszym szacunkiem.

Przyznaję, że z początku pomysł seksu z digientami mnie niepokoił, ale teraz raczej nie jestem przeciwna idei jako takiej. Co prawda nie wyobrażam sobie, bym sama mogła zrobić coś takiego, ale nie przeszkadza mi, że inni chcą to robić, pod warunkiem, że nie będzie się to wiązało z wykorzystywaniem. Jeżeli byłby w tym jakiś kompromis, wówczas może byłoby tak, jak mówi Derek: korzyści odnosiliby zarówno ludzie, jak i digienty. Ale jeśli człowiek może dowolnie dostosowywać mapę satysfakcji digienta lub cofać go nieustannie, aż znajdzie idealnie skonfigurowaną wersję, to gdzie w tym kompromis? Binary Desire mówi klientom, że w żaden sposób nie muszą uwzględniać preferencji digientów. Bez względu na to, czy dotyczy to seksu, czy nie, to nie jest prawdziwy związek.

* * *

Każdy z członków ich grupy może przyjąć ofertę Binary Desire indywidualnie, ale argument Any jest na tyle przekonujący, by na razie nikt się na to nie zdobył. Kilka dni po spotkaniu Derek mówi Marco i Polo o ofercie Binary Desire, gdyż według niego zasługują na to, by wiedzieć, co się dzieje. Polo jest zainteresowany modyfikacjami, które chce wprowadzić Binary Desire; wie, że ma mapę satysfakcji, ale nigdy nie zastanawiał się nad tym, co oznaczałaby jej zmiana.

– Może fajnie edytować moją mapę satysfakcji – stwierdza Polo.

– Ty nie możesz edytować twoją mapę satysfakcji, kiedy pracować dla kogoś innego – mówi Marco. – Ty możesz to zrobić tylko kiedy mieć osobowość prawną.

– To prawda? – Polo zwraca się do Dereka.

– W zasadzie to nie pozwoliłbym wam na to nawet gdybyście otrzymali osobowość prawną.

– Hej – protestuje Marco. – Ty powiedz, że kiedy mamy osobowość prawną, podejmować wszystkie własne decyzje.

– Tak powiedziałem – przyznaje Derek – ale nie miałem na myśli edycji waszych map satysfakcji. To może być bardzo niebezpieczne.

– Ale ludzie mogą edytować swoje mapy.

– Słucham? Nic podobnego.

– A środki ludzie biorą na seks? Ifridyzyki?

– Afrodyzjaki. One mają działanie tymczasowe.

– InstantRapport tymczasowe? – pyta Polo.

– Niezupełnie – odpiera Derek – ale najczęściej w takich przypadkach popełniają błąd. – Szczególnie, myśli, gdy jakaś firma im za to płaci.

– Kiedy ja korporacja, mnie wolno podejmować własne decyzje – oznajmia Marco. – To polega na tym.

– Jeszcze nie jesteś gotowy, by stać się korporacją.

– Bo tobie nie podoba się moje decyzje? Gotowy znaczy zawsze zgadza się z tobą?

– Jeśli planujesz modyfikować swoją mapę satysfakcji, gdy tylko otrzymasz osobowość prawną, to nie jesteś gotowy.

– Nie powiedz, że chcesz – stwierdza stanowczo Marco. – Nie chcesz. Powiedz, że kiedy ja korporacja, to mogę to zrobić. To różnica.

Derek na chwilę milknie. Łatwo o tym zapomnieć, ale do tej samej konkluzji doszła grupa użytkowników w trakcie dyskusji o nadawaniu osobowości prawnej digientom: jeśli ma być to coś więcej niż tylko gierka słowna, musi wiązać się z nadaniem digientom pewnej autonomii.

– Tak, masz rację. Kiedy otrzymasz osobowość prawną, będziesz mógł robić rzeczy, które ja uznaję za błędy.

– Dobrze – stwierdza zadowolony Marco. – Kiedy ty decydować, że gotowy, to nie dlatego, że się z tobą zgadzać. Mogę być gotowy nawet kiedy się nie zgadzać.

– Masz rację. Powiedz mi tylko, że nie chcesz edytować swojej mapy satysfakcji, proszę.

– Nie, ja wiem, że niebezpieczne. Móc zrobić błąd, który nie da potem naprawić.

– Dziękuję. – Derek czuje ulgę.

– Ale pozwolić Binary Desire edytować moją mapę to nie niebezpieczne.

– Nie, to nie jest niebezpieczne, ale i tak nie podoba mi się ten pomysł.

– Ja nie zgadzać.

– Słucham? Myślę, że nie rozumiesz, co chcą zrobić.

Marco spogląda na niego z wyraźnym rozczarowaniem.

– Rozumiem. Oni sprawić, że ja lubię coś, co oni chcieć, żebym lubić, nawet jeśli teraz tego nie lubię.

Derek uświadamia sobie, że Marco faktycznie rozumie.

– I nie wydaje ci się to nie w porządku?

– Czemu nie w porządku? To co lubię teraz, lubić, bo Blue Gamma tak zrobiła. A to w porządku.

– No tak, ale to co innego. – Przez chwilę zastanawia się, jak to wyjaśnić. – Blue Gamma nauczyła cię lubić jedzenie, ale nie kazała ci lubić konkretnych potraw.

– No i? Nie bardzo różnica.

– To jest różnica.

– To nie w porządku, kiedy edytować digienty co nie chcieć być edytować. Ale jak digient się zgodzić przed edytować, to w porządku.

Derek czuje się coraz bardziej poirytowany.

– Więc chcesz być korporacją i móc podejmować własne decyzje, czy też chcesz, by ktoś podejmował je za ciebie? Zdecyduj się.

Marco przez chwilę się zastanawia.

– Może ja spróbować oba. Jedna mnie kopia zostać korporacja, a druga mnie kopia pracować dla Binary Desire.

– Nie masz nic przeciwko kopiowaniu?

– Polo kopia mnie. To w porządku.

Nie wiedząc, jak na to zareagować, Derek kończy dyskusję i każe digientom zająć się nauką, ale nie potrafi tak łatwo przestać myśleć o tym, co powiedział Marco. Z jednej strony przedstawił naprawdę dobre argumenty, ale z drugiej Derek doskonale pamięta swe studia i wie, że umiejętność prowadzenia dyskusji nie oznacza jeszcze dojrzałości. Nie po raz pierwszy żałuje, że nie ma ustawowego wieku dojrzałości dla digientów, to by wiele uprościło; a tak decyzja o tym, czy Marco jest gotowy, by otrzymać osobowość prawną w

całości spoczywa na nim.

Nie tylko Derekowi przytrafiają się kłótnie z powodu oferty Binary Desire. Podczas ich następnej rozmowy Ana narzeka na ostatnią sprzeczkę z Kyle'em.

– Według niego powinniśmy przyjąć ofertę Binary Desire – mówi. – Uważa, że to znacznie lepsze rozwiązanie niż praca w Polytope.

To dla Dereka kolejna okazja do skrytykowania Kyle'a; jak powinien to rozegrać? Mówi tylko:

– Bo według niego modyfikacja digientów to nic takiego.

– No właśnie. – Ana wścieka się jeszcze chwilę, a potem mówi dalej: – Wcale nie uważam, że noszenie plastra InstantRapport to nic wielkiego. To poważna sprawa. Ale istnieje wielka różnica pomiędzy moim dobrowolnym używaniem InstantRapport a tym, kiedy Binary Desire narzuca digientom proces przywiązywania się do kogoś.

– To ogromna różnica. Ale wiesz, pojawia się tu interesujące pytanie. – Opowiada jej o swojej rozmowie z Marco i Polo. – Nie jestem pewien, czy Marco nie kłócił się tylko dla zasady, ale zacząłem się nad tym zastanawiać. Jeśli digient sam zgodzi się na zmiany, które chce wprowadzić Binary Desire, to czy zmienia to sytuację?

Ana wygląda na zadumaną. – Nie wiem. Być może.

– Gdy osoba dorosła decyduje się na plaster InstantRapport, nie mamy podstaw do sprzeciwu. Co musiałoby się zdarzyć, byśmy w ten sam sposób szanowali decyzje Jaxa, czy Marco?

– Musieliby być dorośli.

– Ale w każdej chwili możemy nadać im osobowość prawną, wystarczy chcieć – stwierdza. – Skąd ta pewność, że nie powinniśmy? Załóżmy, że któregoś dnia Jax mówi ci, że rozumie, co się z nim stanie, gdy przyjmiesz ofertę Binary Desire, tak jak ty rozumiesz, czego żąda Polytope. Co by musiało się stać, byś zaakceptowała jego decyzję?

Ana myśli przez chwilę.

– Pewnie zależałoby to od tego, czy uznałabym, że to decyzja podjęta w oparciu o doświadczenie. Jax nigdy nie był zakochany, ani nie pracował, a przyjęcie oferty Binary Desire skazałoby go na obie te rzeczy i to prawdopodobnie na zawsze. Chciałabym, żeby nabrał nieco doświadczenia w tych kwestiach przed podjęciem decyzji, która jest tak bardzo wiążąca. A gdy już zdobędzie to doświadczenie, pewnie niczego nie będę mogła mu zabronić.

– Aha – rzuca Derek, kiwając głową. – Szkoda, że o tym nie pomyślałem, rozmawiając z Marco. – Wiązałoby się to z modyfikacją digientów tak, by nadać im cechy seksualne, ale bez zamiaru ich sprzedaży; byłby to kolejny wydatek dla grupy, nawet już po konwersji Neuroblastu. – Problem w tym, że to trochę potrwa.

– Oczywiście, ale nie ma pośpiechu w rozwijaniu seksualności digientów. Lepiej poczekać i zrobić to dobrze.

Lepiej wyznaczyć wyższą granicę wieku niż zaryzykować, że będzie za niska. – A do

tego czasu musimy się nimi opiekować.

– Zgadza się! Musimy stawiać ich potrzeby na pierwszym miejscu. – Ana wygląda na zadowoloną, że doszli do porozumienia, a Derek cieszy się, że jest źródłem jej zadowolenia. Jednak na jej twarzy pojawia się frustracja. – Szkoda, że Ryle tego nie rozumie.

Derek szuka jakiejś dyplomatycznej odpowiedzi.

– Nie sądzę, by mógł to zrozumieć ktoś, kto nie spędził z nimi tyle czasu, co my – stwierdza. I nie jest to krytyka Kyle'a; Derek naprawdę w to wierzy.

9

Od prezentacji Binary Desire minął miesiąc. Ana i kilka neuroblastowych digientów znajdują się na prywatnej wersji Data Earth, oczekując gości. Marco opowiada Lolly ostatni odcinek swojego ulubionego serialu growego, a Jax ćwiczy taniec, do którego ułożył choreografię.

– Patrz – mówi.

Ana patrzy, jak szybko powtarza sekwencję figur.

– Pamiętaj, że kiedy przyjdą, masz opowiedzieć im o tym, co zbudowałeś.

– Wiem, ty mówić i mówić to już. Przeszanę tańczyć, jak tylko tu są. Tylko się bawić.

– Przepraszam, Jax. Po prostu się denerwuję.

– Patrz jak tańczyć. Poczucie się lepiej.

Uśmiecha się. – Dzięki, spróbuję. – Bierze głęboki oddech i próbuje się uspokoić.

Otwiera się portal i przechodzą przez niego dwa awatary. Jax natychmiast przestaje tańczyć, a Ana podchodzi do gości swoim awatarem, by ich przywitać. Według etykiet ekranowych to Jeremy Brauer i Frank Pearson.

– Mam nadzieję, że nie mieli panowie problemów z dostępem – mówi Ana.

– Nie – odpowiada Pearson. – Loginy, które otrzymaliśmy, były w porządku.

Brauer się rozgląda.

– Stara, dobra Data Earth. – Jego awatar chwyta gałązkę krzewu, pociąga ją i puszcza, obserwując, jak się kołysze. – Pamiętam, jakie to było wydarzenie, gdy firma Daesan uruchomiła tę platformę. To był szczyt nowoczesności.

Brauer i Pearson to pracownicy Exponential Appliances, firmy produkującej roboty do prac domowych. Są one przykładem przestarzałej sztucznej inteligencji: ich umiejętności są programowane, a nie nauczone i choć faktycznie stanowią duże udogodnienie, pod żadnym względem nie posiadają świadomości. Exponential regularnie wypuszcza nowe wersje, reklamując je jako kolejny krok w stronę realizacji marzeń klientów o AI: w pełni lojalnym i troskliwym lokaju od chwili uruchomienia. Dla Any ta seria aktualizacji to tylko marsz w

stronę horyzontu, który daje złudzenie postępów, a tak naprawdę nie pozwala zbliżyć się do celu. Niemniej jednak klienci kupują roboty, zapewniając Exponential przyzwoite dochody, co Anę interesuje najbardziej.

Ana nie próbuje załatwić neuroblastowym digientom pracy w charakterze kamerdynerów, to oczywiste, że Jax i pozostałe digienty są do takiej pracy zbyt nieposłuszne. Brauer i Pearson nie pracują nawet w dziale handlowym swojej firmy; zajmują się badaniami, dla których założono Exponential. Roboty domowe to dla firmy sposób na finansowanie badań nad ziszczeniem marzeń technologów o AI: nad utworzeniem istoty, którą interesuje tylko poznawanie, geniusza nieobciążonego żadnymi emocjami, czy ciałem, nieskończonego, trzeźwo myślącego, ale życzliwie nastawionego intelektu. Czekają na pełen rozkwit oprogramowania Athena. Ana, nie chcąc być niemila, nie mówi, że według niej będą czekać wiecznie. Ma nadzieję, że przekona Brauera i Pearsona, że neuroblastowe digienty to opłacalna alternatywa.

– Dziękuję, że zechcieli się panowie ze mną spotkać – mówi Ana.

– Cała przyjemność po naszej stronie – odpowiada Brauer. – Digient, którego łączny czas działania przewyższa długość życia większości systemów operacyjnych? Nieczęsto widzi się coś takiego.

– To prawda. – Do Any dociera, że przyszli tu bardziej z pobudek nostalgicznych, niż żeby poważnie rozważyć ofertę biznesową. Cóż, niechże i tak będzie, jeśli tylko zostaną.

Ana przedstawia ich digientom, które następnie prezentują projekty, nad którymi pracują. Jax pokazuje wirtualne ustrojstwo, które zbudował – swego rodzaju syntezator muzyczny, który obsługuje tańcząc. Marco objaśnia zasady gry, którą zaprojektował, a w którą można grać w drużynie lub przeciwko sobie. Brauera szczególnie interesuje Lolly, która opowiada o właśnie tworzonym programie; w przeciwieństwie do Jaxa i Marco, którzy do swoich prac wykorzystywali pakiety narzędzi, Lolly pisze przy użyciu kodu. Brauer jest wyraźnie rozczarowany, gdy okazuje się, że Lolly niczym nie różni się od wszystkich początkujących programistów; widocznie miał nadzieję, że jako digient ma jakieś szczególne uzdolnienia w tym kierunku.

Po rozmowach z digientami Ana i goście z Exponential wylogowują się z Data Earth i przechodzą do wideokonferencji.

– Są niesamowite – przyznaje Brauer. – Sam miałem jednego, ale nauczył się zaledwie języka dziecięcego.

– Miał pan neuroblastowego digienta?

– Oczywiście, kupiłem go, gdy tylko się pojawiły. To był model Jax, jak pani digient. Nazwałem go Fitz i hodowałem przez rok.

Ten człowiek miał kiedyś małego Jaxa, myśli. Gdzieś w archiwum znajduje się dziecięca wersja Jaxa, dla której ten człowiek jest właścicielem. Głośno mówi:

– Znudził się panu?

– Nie tyle zdziwił, co pojąłem jego ograniczenia. Zrozumiałem, że genom Neuroblast to złe podejście. Fitz naprawdę był mądry, ale musiałyby minąć wieki, nim byłby w stanie zrobić coś pożytecznego. Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem, iż zajmuje się pani Jaxem od tak dawna. Udało się pani osiągnąć coś naprawdę niesamowitego. – W jego ustach brzmi to jak pochwała za największą na świecie rzeźbę z wykałaczek.

– Nadal sądzi pan, że Neuroblast to złe podejście? Sam pan widział, co Jax potrafi. Czy Exponential ma u siebie cokolwiek, co mogłoby mu dorównać? – Jej słowa brzmią znacznie ostrzej, niż planowała.

Brauer reaguje łagodnie.

– Nie szukamy AI na poziomie człowieka; szukamy nadludzkiej AI.

– I nie sądzi pan, że AI na ludzkim poziomie to krok w tym właśnie kierunku?

– Nie, jeśli wygląda to tak, jak u tych digientów – mówi Brauer. – Nie można mieć pewności, że Jax kiedykolwiek będzie zdolny podjąć pracę, nie mówiąc już o genialnych osiągnięciach w programowaniu. Póki co nie ma podstaw, by zakładać, że nie osiągnął już maksimum swoich możliwości.

– Nie sądzę, by tak było...

– Ale nie ma pani pewności.

– Wiem, że jeśli genom Neuroblast mógł stworzyć digienta takiego jak on, może i stworzyć takiego, jakiego szukacie. Wciąż czekamy na Alana Turinga neuroblastowych digientów.

– Dobrze, założmy, że ma pani rację – rzuca Brauer; wyraźnie mówi to tylko, by sprawić jej przyjemność. – Ile lat musi minąć, nim go znajdziemy? Wyhodowanie pierwszej generacji już zabrało pani tyle czasu, że platforma, na której działa zdążyła wyjść z użycia. A po ilu pokoleniach znajdzie się Turing?

– Przecież nie zawsze muszą działać w czasie rzeczywistym. W którymś momencie digientów będzie wystarczająco wiele, by utworzyć samowystarczalną populację, a wówczas interakcje z ludźmi przestaną im być potrzebne. Możemy uruchomić taką społeczność ze szklarniową prędkością bez obawy, że zdziczeje i wtedy zobaczymy, co osiągnie. – Anie daleko do pewności, że taki scenariusz doprowadziłby do stworzenia Turinga, ale powtarzała sobie ten argument tyle razy, że brzmi, jakby naprawdę w to wierzyła.

Brauer tymczasem nie jest przekonany.

– To dopiero ryzykowna inwestycja. Pokazuje nam pani garstkę nastolatków oczekując, że zapłacimy za ich edukację w nadziei, że kiedy dorosną założą społeczność, która wyda na świat geniuszów. Proszę wybaczyć, ale sądzę, że są lepsze sposoby na wydanie pieniędzy.

– Proszę pomyśleć, co pan zyskuje. Wraz z innymi właścicielami poświęciliśmy lata, by wychować te digienty. Konwersja Neuroblastu kosztuje niewiele w porównaniu z kosztem zatrudnienia ludzi, którzy zrobiliby to samo z innym genomem. A potencjalne rezultaty są dokładnie tym, czego szuka panów firma: genialni programiści pracujący z ogromną

szybkością, sami dążący do nadludzkiej inteligencji. Jeśli teraz te digienty potrafią wymyślać gry, proszę sobie wyobrazić, co mogliby robić ich potomkowie. A panowie zarabialiby na każdym egzemplarzu.

Brauer już ma odpowiedzieć, gdy wtrąca się Pearson.

– To dlatego chce pani przekonwertować Neuroblast? By zobaczyć, czego pewnego dnia dokonają superinteligentne digienty?

Ana wie, że Pearson wnikliwie ją obserwuje, więc stwierdza, że nie ma sensu kłamać.

– Nie – przyznaje. – Chodzi mi o to, by życie Jaxa stało się lepsze.

Pearson kiwa głową.

– Chciałaby pani, by Jax stał się pewnego dnia korporacją? I miał pewnego rodzaju osobowość prawną?

– Tak.

– I założę się, że Jax też tego chce, prawda? Otrzymać osobowość prawną?

– Zasadniczo tak.

– To ostatecznie przekonuje nas, że nie możemy zawrzeć umowy. – Person ponownie kiwa głową, jakby właśnie potwierdziły się jego podejrzenia. – To dobrze, że fajnie z nimi pogadać, ale uwaga, jaką poświęcają państwo digientom sprawiła, że myślą o sobie jak o osobach.

– A niby czemu miałyby to przeszkadzać w zawarciu umowy? – Pyta, choć już wie, jaka będzie odpowiedź.

– Nie szukamy superinteligentnych pracowników, tylko superinteligentnych produktów. Pani oferuje nam to pierwsze i trudno panią winić; nikt po tylu latach nauki digientów nie mógłby nadal traktować ich w kategoriach produktów. Ale nasza firma nie działa w oparciu o tego typu sentymenty.

Ana udawała, że to nieprawda, ale Pearson powiedział to wprost: istnieje podstawowa rozbieżność między celami Exponential a jej. Oni oczekują czegoś, co reaguje jak człowiek, ale nie potrzeba mu tej samej opieki, a tego Ana nie może im dać.

Nikt im tego nie da, gdyż to niemożliwe. Lata spędzone na wychowaniu Jaxa nie sprawiły, że jest tylko fajnym rozmówcą, nie obdarzyły go wyłącznie hobby i poczuciem humoru. Dzięki temu zdobył wszystkie cechy, których szuka Exponential: biegłość w poruszaniu się po świecie rzeczywistym, kreatywność w rozwiązywaniu nowych problemów, zdolność osądu, której można powierzyć podejmowanie ważnych decyzji. Wszystkie cechy, dzięki którym człowiek jest cenniejszy od bazy danych to rezultat doświadczenia.

Chce im powiedzieć, że Blue Gamma miała większą rację, niż sądziła: doświadczenie to nie tylko najlepszy nauczyciel, ale jedyny. Jeśli nauczyła się czegokolwiek wychowując Jaxa, to tego, że nie istnieją żadne skróty; jeśli chcesz wypracować rozsądek, który wynika z dwudziestoletniego życia na tym świecie, trzeba na to poświęcić dwadzieścia lat. Nie można zebrać żadnej zastępczej heurystyki w krótszym czasie; doświadczenia nie da się

skompresować żadnym algorytmem.

I choć możliwy jest zapis tego doświadczenia i odtwarzanie go ad infinitum; choć można tanio sprzedawać jego kopie, a nawet rozdawać je za darmo, każdy z powstałych w ten sposób digientów musiałby przeżyć całe życie. Każdy zobaczyłby świat innymi oczami, ziszczyłby marzenia lub pogrzebał wszelkie nadzieję i poczułby, jak to jest skłamać i jak to jest usłyszeć kłamstwo.

A to oznacza, że każdy z nich zasługiwałby na szacunek, którego Exponential nie jest w stanie im zapewnić.

Ana próbuje po raz ostatni.

– Te digienty i tak mogłyby zarabiać jako pracownicy. Można by...

Pearson kręci głową.

– Doceniam to, co próbuje pani zrobić i życzę pani jak najlepiej, ale dla Exponential nie jest to dobra inwestycja. Jeśli te digienty miałyby zostać produktami, potencjalne zyski mogłyby być warte ryzyka. Ale jeśli mają być tylko pracownikami, sytuacja się zmienia; nie ma uzasadnienia dla tak dużej inwestycji, która zwróci się w tak niewielkim stopniu.

Naturalnie, że nie, myśli Ana. Kto by na to poszedł? Tylko jakiś fanatyk, którym kieruje miłość. Ktoś taki, jak ona.

* * *

Ana wysłała właśnie wiadomość do Dereka z informacją o nieudanym spotkaniu z Exponential, kiedy robot budzi się do życia.

– Jak pójść spotkanie? – pyta Jax, ale wystarczająco dobrze potrafi odczytać wyraz jej twarzy, by samemu odpowiedzieć sobie na to pytanie. – To moja wina? Im nie podobać się to, co pokazać?

– Nie, poszło ci świetnie, Jax. Im się po prostu nie podobają digienty; myliłam się sądząc, że mogliby zmienić zdanie.

– Warte spróbować – stwierdza Jax.

– Pewnie tak.

– Ty w porządku?

– Nic mi nie będzie – zapewnia go. Jax przytula się do niej, po czym przechodzi robotem do platformy ładującej i powraca do Data Earth.

Siedząc przy biurku i wpatrując się w pusty ekran Ana zastanawia się nad pozostałymi możliwościami grupy. Z tego, co wie, została tylko jedna: praca dla Polytope i próba przekonania ich, że silnik Neuroblast warto przekonwertować. Wystarczy, że będzie stosować plaster InstantRapport i włączy się w ich eksperyment przemysłowej opieki.

Cokolwiek by powiedzieć o Polytope, ta firma rozumie, jak ważne są interakcje w czasie rzeczywistym, czego Exponential nie może pojąć. Digienty Sophonce może i dobrze się czują

pozostawione same sobie w szklarni, ale nie jest to opłacalne rozwiązanie, gdy chce się stworzyć wydajne jednostki. W tym celu ktoś musi z nimi spędzać czas i Polytope to rozumie.

Jej obiekcje budzi sposób, w jaki Polytope chce zmusić ludzi do poświęcenia tego czasu. Blue Gamma postawiła na stworzenie uroczych digientów, a Polytope wychodzi od antypatycznych digientów i wykorzystuje środki farmaceutyczne, by przekonać do nich ludzi. To oczywiste, że podejście Blue Gammy było lepsze nie tylko dlatego, że było bardziej etyczne, ale i skuteczniejsze.

W zasadzie może i było zbyt skuteczne, biorąc pod uwagę sytuację, w której się teraz znajduje: stoi w obliczu największego wydatku jej życia i jest to wydatek związany z digientem. Lata temu Blue Gamma zdecydowanie nie tego się spodziewała, a może powinna była. Idea miłości bez żadnych zobowiązań to coś, co sprzedaje Binary Desire. Miłość do kogoś zawsze pociąga za sobą poświęcenie.

To jedyny powód, dla którego Ana rozważa pracę dla Polytope. W każdych innych okolicznościach czułaby się znieważona ofertą pracy wymagającej stosowania InstantRapport: prawdopodobnie nikt na świecie nie ma takiego doświadczenia w pracy z digientami, co ona, a Polytope sugeruje, że nie potrafiłaby ich skutecznie szkolić bez interwencji farmaceutycznej. Szkolenie digientów – tak jak szkolenie zwierząt – to zawód, a zawodowiec potrafi zrobić swoje bez konieczności zakochiwania się w poszczególnych zadaniach.

Jednocześnie zdaje sobie sprawę z tego, że uczucie może wiele zmienić w procesie szkolenia, zapewniając pokłady cierpliwości tam, gdzie jest ona najbardziej potrzebna. Myśl, że takie uczucie można wyprodukować nie jest pociągająca, ale ciężko walczyć z realiami nowoczesnej neurofarmakologii: jeśli jej mózg będzie zalewany oksytocyną za każdym razem, gdy będzie szkolić digienty Sophonce, będzie to miało wpływ na jej uczucia wobec nich, czy tego chce, czy nie.

Pozostaje pytanie, czy mogłaby to tolerować. Jest pewna, że plaster InstantRapport nie odwróci jej uwagi od opieki nad Jaxem; żaden digient Sophonce nie jest w stanie wyprzeć jej uczuć do Jaxa. A skoro praca dla Polytope daje największą szansę na konwersję Neuroblastu, skłonna jest się zgodzić.

Ana żałuje tylko, że Kyle tego nie rozumie; zawsze podkreślała, że dobro Jaxa jest dla niej najważniejsze i do tej pory Kylebwi to nie przeszkadzało. Nie chce, by ich związek się rozpadł z powodu pracy, ale z Jaxem jest dłużej niż z którymkolwiek z facetów; jeśli do tego dojdzie, wie, kogo wybierze.

Wiadomość od Any informująca o nieudanym spotkaniu jest krótka, ale Derekowi mówi wszystko, co musi wiedzieć. Gdy opowiadała mu wcześniej o tej opcji, słyszał w jej głosie, jakie to ważne, więc wie, że teraz prawdopodobnie przygotowuje się do przyjęcia oferty Polytope.

To jej rozpaczliwa próba konwersji Neuroblastu, nic więcej. Nikomu nie podoba się ten pomysł, ale jest dorosła, rozważyła wszystkie za i przeciw i podjęła decyzję. Jeśli chce to zrobić, on może co najwyżej zapewnić jej wsparcie.

Tylko że nie potrafi. Nie, kiedy jest jeszcze inne wyjście: przyjęcie oferty Binary Desire.

Po rozmowie z Marco i Polo Derek skontaktował się z Jennifer Chase. Chciał wiedzieć, czy fakt, iż digienty chcą otrzymać osobowość prawną nie sprawia, że są nieodpowiednie do potrzeb Binary Desire. Powiedziała mu, że klienci firmy będą mogli dowolnie nadawać osobowość prawną zakupionym kopiom. A nawet, jeśli ich uczucia wobec digientów będą tak silne, jak Binary Desire planuje, Chase spodziewa się, że wielu z nich tak właśnie zrobi. Jego taka odpowiedź satysfakcjonuje, choć miał nadzieję, że usłyszy inną, która da mu jasne podstawy do odrzucenia oferty. Zamiast tego decyzja należy do niego. I Marco.

Myślał o argumencie przytoczonym przez Anę, że digienty nie są kompetentne na tyle, by móc zaakceptować ofertę Binary Desire ze względu na swój brak doświadczenia w miłości i pracy. Argument miałby sens, gdyby traktować digienty jak dzieci. Poza tym, dopóki są zamknięte w Data Earth, a ich życie jest tak drastycznie chronione, nigdy nie osiągną dojrzałości koniecznej do podejmowania decyzji takiej wagi.

Jednak standardy dojrzałości dla digientów być może nie powinny być tak wysokie, jak dla ludzi; może Marco jest wystarczająco dojrzały, by podejmować własne decyzje. Wygląda na to, że Marco myśli o sobie jak o digencie, nie człowieku. Możliwe, że nie w pełni rozumie konsekwencje tego, co sugeruje, ale Derek nie może pozbyć się wrażenia, że Marco tak naprawdę lepiej rozumie własną naturę niż Derek. Marco i Polo nie są ludźmi i może myślenie o nich w tych kategoriach to błąd, zmuszający ich do spełniania jego oczekiwań zamiast bycia sobą. Czy większym szacunkiem jest traktowanie ich jak ludzi, czy zaakceptowanie faktu, że nimi nie są?

W innych okolicznościach byłoby to pytanie akademickie, które mógłby odłożyć na później, ale niestety wiąże się ono bezpośrednio z decyzją, przed którą stoi tu i teraz. Jeśli przyjmie ofertę Binary Desire, Ana nie będzie musiała pracować w Polytope, więc tak naprawdę pytanie brzmi: czy lepiej, żeby to Marco miał zmienioną chemię mózgu, czy Ana?

Ana wie, w co się pakuje przyjmując ofertę Polytope, zapewne lepiej niż Marco. Ale Ana jest człowiekiem i bez względu na to, jak niesamowity jest według niego Marco, Anę ceni bardziej. Jeśli któreś z nich ma się poddać ingerencji neurochemicznej, to nie chce, by była to Ana.

Derek otwiera na ekranie umowę przysланą przez Binary Desire i przywołuje Marco i Polo w ich robotycznych ciałach.

– Gotowy podpisać umowę? – pyta Marco.

– Wiesz, że nie powinieneś tego robić tylko dlatego, by pomóc innym – mówi Derek. – Powinieneś tego naprawdę chcieć. – Dodaje i zastanawia się, czy to prawda.

– Nie musisz mnie ciągle pytać – mówi Marco. – Ja myślę jak wcześniej, chcieć to zrobić.

– A ty, Polo?

– Tak, zgadzam.

Digienty są chętne, a nawet pełne zapału i być może to powinno wystarczyć do podjęcia decyzji. Ale w grę wchodzi również inne względy, czysto egoistyczne.

Jeśli Ana przyjmie pracę w Polytope, dojdzie do rozłamu między nią a Kyle'em, na czym Derek mógłby skorzystać. Nie jest to myśl, z której jest dumny, ale nie może udawać, że nie przyszła mu do głowy. Jednak gdy przyjmie ofertę Binary Desire, to dojdzie do rozłamu między nim a Aną; to zaprzępaści jego szanse na to, by kiedykolwiek z nią być. Czy mógłby z tego zrezygnować?

A może nigdy tak naprawdę nie miał szans, by być z Aną; może przez wszystkie te lata się oszukiwał. W takim wypadku lepiej byłoby, gdyby uwolnił się od tego marzenia i od pragnienia, które nigdy się nie ziści.

– Na co czekać? – pyta Marco.

– Na nic – odpowiada Derek.

Na oczach digientów podpisuje umowę z Binary Desire i odsyła ją Jennifer Chase.

– Kiedy ja póję do Binary Desire? – pyta Marco.

– Skopiuję cię, jak tylko dostanę egzemplarz umowy podpisany przez Binary Desire – odpowiada. – Wtedy wyślę im kopię.

– OK – mówi Marco.

Gdy podekscytowane digienty omawiają, co to oznacza, Derek zastanawia się, co powiedzieć Anie. Naturalnie nie może jej powiedzieć, że robi to dla niej. Miałaby ogromne wyrzuty sumienia, gdyby wiedziała, że poświęca Marco dla jej dobra. To jego decyzja i lepiej, by Ana tylko jego winiła.

* * *

Ana gra z Jaxem w Jerk Vector, wyścigi, które ostatnio dodała do Data Earth; pilotują poduszkowce nad terenem fakturą przypominającym gąbkę. W kotlinie Ana nabiera wystarczająco dużej prędkości, by przeskoczyć nad pobliskim wąwozem, co nie udaje się Jaxowi i jego poduszkowiec spektakularnie spada na samo dno.

– Czekaj, aż ja dogonię – mówi przez interkom.

– OK – odpowiada Ana i wrzuca luz. Czekając, aż Jax wygramoli się na górę po ścianie wąwozu, otwiera inne okno i sprawdza pocztę. Jest zaskoczona tym, co widzi.

Felix przesłał wszystkim członkom grupy wiadomość, w której rozpoczyna triumfalne

odliczanie czasu dzielącego ludzi od pierwszego kontaktu z Xenoterianami. Z początku Ana sądzi, że źle go zrozumiała ze względu na jego ekscentryczny sposób wysławiania się, ale wiadomości od kilku innych osób z grupy potwierdzają, że ruszyła konwersja Neuroblastu, finansowana przez Binary Desire. Ktoś z grupy sprzedał swojego digienta jako sekszabawkę.

I wtedy zauważa wiadomość, z której wynika, że to Derek sprzedał Marco. Już ma wysłać posta, że to nie może być prawda, ale tego nie robi. Zamiast tego wraca do okna Data Earth.

– Muszę zadzwonić, Jax. Poćwicz sobie trochę skoki nad wąwozem, dobrze?

– Ty pożałować – mówi Jax. – Następny wyścig ja wygrać.

Ana przełącza grę w tryb treningu, by Jax mógł przeskakiwać nad wąwozem bez konieczności wspinania się po ścianie za każdym razem, gdy spadnie, a następnie otwiera okno połączeń wideo i dzwoni do Dereka.

– Powiedz, że to nieprawda – mówi, ale jeden rzut oka na jego twarz wystarcza za odpowiedź.

– Nie chciałem, żebyś dowiedziała się w ten sposób. Miałem zadzwonić, ale...

Ana jest tak zszokowana, że trudno znaleźć jej słowa.

– Czemu to zrobiłeś? – A gdy milczenie Dereka się przeciąga, dodaje: – Dla pieniędzy?

– Nie! Oczywiście, że nie. Stwierdziłem po prostu, że argumenty Marco mają sens i że jest już wystarczająco dorosły, by sam zdecydować.

– Rozmawialiśmy o tym. Przyznałeś, że lepiej poczekać, aż nabierze więcej doświadczenia.

– Wiem. Ale potem doszedłem do wniosku... że jestem zbyt ostrożny.

– Zbyt ostrożny? Nie chodzi tu o to, by Marco stłukł sobie kolano; Binary Desire zoperuje mu mózg. Jak można w tym przypadku mówić o zbytnej ostrożności?

Milczy przez chwilę, a potem odpowiada:

– Zrozumiałem, że nadszedł czas, by odpuścić.

– Odpuścić? – Jak gdyby ochrona Marco i Polo była jakimś dzieciennym kaprysem, z którego wyrósł. – Nie wiedziałam, że tak na to patrzysz.

– Ja też nie, do niedawna.

– Czy to znaczy, że nie chcesz nadać kiedyś Marco i Polo osobowości prawnej?

– Oczywiście, że nadal mam to w planach. Tylko nie będę już tak... – Znów się waha. – Niezłomny.

– Nie będziesz niezłomny. – Ana zastanawia się, czy w ogóle zna Dereka. – Tak chyba będzie dla ciebie lepiej.

Wygląda na zranionego, co wcale jej nie przeszkadza.

– Tak będzie lepiej dla wszystkich – mówi. – Digienty będą miały dostęp do Real Space...

– Tak, wiem.

– Naprawdę sądzę, że przyniesie to same korzyści – mówi, ale chyba sam w to nie wierzy.

– Jakie niby ma to przynieść korzyści? – pyta. Derek nie odpowiada, a Ana tylko się w niego wpatruje.

– Porozmawiamy później – mówi Ana i zamyka okno rozmowy. Myśl o tym, do czego może zostać wykorzystany Marco, nie wiedząc nawet, że jest wykorzystywany, łamie jej serce. Wszystkich nie da się ocalić, przypomina sobie. Ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że akurat Marco mogłoby coś grozić. Zakładała, że Derek podziela jej poglądy i rozumie, że czasem trzeba się poświęcić.

W oknie Data Earth widzi Jaxa, który z radością lata swym poduszkowcem w górę i w dół zbocza niczym dziecko na kolejce górskiej bez torów. Nie chce mu w tej chwili mówić o umowie z Binary Desire; będą musieli omówić, co to oznacza dla Marco, a teraz nie ma siły na taką rozmowę. Póki co chce mu się tylko przyglądać i powoli oswajać się z myślą, że konwersja Neuroblastu naprawdę się rozpoczęła. To dziwne uczucie. Nie może go nazwać ulgą ze względu na poniesione koszty, ale to niewątpliwie dobrze, że zniknęła ta ogromna przeszkoda na drodze do lepszej przyszłości Jaxa, a ona nie musiała przyjąć oferty Polytope, by tak się stało. Konwersja zajmie kilka miesięcy, ale gdy już wiadomo, że to nastąpi, czas będzie płynął szybciej. Jax dostanie dostęp do Real Space, ponownie spotka się z przyjaciółmi i dołączy do reszty społecznego uniwersum.

Nie oznacza to oczywiście, że przyszłość będzie usłana różami. Przed nimi wciąż niezliczone serie przeszkód, ale w końcu będą mieli z Jaxem okazję, by się z nimi zmierzyć. Już niedługo, Ana rozkoszuje się tą myślą. Marzy o tym, do czego mogą dojść, jeśli im się uda.

Oczyma wyobraźni widzi Jaxa dojrzewającego z każdym rokiem zarówno na Real Space, jak i w świecie rzeczywistym. Widzi, jak staje się korporacją, osobą prawną, znajduje pracę i zarabia na życie. Widzi go jako członka subkultury digientów, społeczności, która ma wystarczająco dużo pieniędzy i umiejętności, by samemu konwertować się na nowe platformy, gdy zajdzie taka potrzeba. Widzi, jak akceptuje go pokolenie osób dorastających wraz z digientami, traktujących ich jako potencjalnych partnerów w sposób niemożliwy dla jej pokolenia. Widzi, jak Jax kocha i jest kochany, klóci się i godzi. Widzi, jak się poświęca, co czasem przychodzi mu z trudem, a czasem bez problemu, gdyż jest to poświęcenie dla osoby, na której naprawdę mu zależy.

Mija kilka minut i Ana stwierdza, że dość już marzeń. Nie ma żadnej gwarancji, że Jax zdolny jest do którejś z tych rzeczy. Ale jeśli ma kiedykolwiek dostać na to szansę, Ana powinna się zająć tym, co do niej należy: musi najlepiej, jak tylko potrafi, nauczyć Jaxa sztuki zwanej życiem.

Uruchamia procedurę zamknięcia gry i woła Jaxa przez interkom.

– Koniec zabawy, Jax – oznajmia. – Czas odrobić lekcje.

Przełożyła Anna Klimasara

NOTY O AUTORACH

Peter Watts – kanadyjski pisarz, który twierdzi, że ulubioną recenzją jego prozy są słowa krytyka SF Jamesa Nicolla: „Gdy czuję, że moja wola życia staje się zbyt silna, sięgam po prozę Petera Wattsa”. Jego głośną powieść *Ślepowidzenie* odrzuciło sześć liczących się wydawnictw, ponieważ była zbyt ponura. Kiedy ją w końcu wydano, została nominowana do Hugo i Nebuli. Polscy czytelnicy przyznali jej SFINKSA 2009 w kategorii zagraniczna powieść roku. W roku 2010 na Wattsa spłynęły wreszcie należne honory: opowiadanie *The Island* zdobyło Hugo Award i, przy okazji, nominacje do Theodore Sturgeon Memorial Award i Locus Award.

W otwierającym 6. tom *Kroków w nieznanie* opowiadaniu „Rzeczy” autor sięgnął do kultowego filmu *The Thing* (1982) Johna Carpentera, będącego mieszanką horroru i science-fiction. Opowiedział całą historię raz jeszcze, tyle że z zupełnie innego punktu widzenia. Tekst czyta się wybornie niezależnie od tego, czy zna się pierwowzór filmowy, czy nie.

Charles Stross – jeden z najpopularniejszych obecnie brytyjskich pisarzy nowej generacji, stawiany w jednym rzędzie z takimi twórcami jak Alastair Reynolds i Richard Morgan. Zbiera jednak zdecydowanie lepsze recenzje – szczególnie za mozaikową książkę *Accelerando*, którą Jacek Dukaj nazwał wskaźnikiem kierunku rozwoju współczesnej fantastyki naukowej.

Znając przekłady opowiadań zebranych w *Accelerando*, czy ponurą „Nierównowagę sił” opublikowaną w „Nowej Fantastyce – Wydanie Specjalne” (4/2009), trudno zgadnąć, że Stross uwielbia też pisać historie humorystyczne. Przedsmak tego dało krótkie opowiadanie „Nadgodziny”, „Nowa Fantastyka” (4/2010), nagrodzone Hugo w roku 2010. Tekst wywodzi się z serii zwanej „Laundry”, będącej mieszaniną horroru spod znaku Lovecrafta i historii szpiegowskiej z Jamesem Bondem. W niniejszym tomie przedstawiamy jeden z najbardziej znanych utworów z tego zwariowanego *universum*, czyli „Betonową dżunglę” nagrodzoną Hugo w roku 2005.

Will McIntosh – autor z dorobkiem kilkudziesięciu opowiadań, które dość regularnie ukazywały się w ostatnich latach w amerykańskich i brytyjskich magazynach SF.

Największym osiągnięciem McIntosha jest „Mrożona panna młoda” pierwsze opublikowane w polskim przekładzie opowiadanie tego autora, które przyniosło mu Hugo 2010 i nominację do Nebuli tego samego roku.

„Mrożona panna młoda” to klasyczny w formie tekst, łączący w sobie oryginalny pomysł, dobrą literacką robotą z prawdopodobieństwem psychologicznym. Nic dziwnego. Na co dzień McIntosh jest profesorem psychologii. Specjalizuje się w psychologii społecznej i prowadzi m.in. badania dotyczące randek *on-line*.

Rachel Swirsky – młoda pisarka i poetka amerykańska, której twórczość skupia coraz większą uwagę amerykańskich czytelników i znawców gatunku. Jej opowiadania przedrukowano w kilkunastu zbiorach, w tym w najbardziej poczytnych antologiach „*The Best Of*”.

Rok 2010 był niezwykle w karierze pisarki. Doczekała się własnej kolekcji opowiadań i poezji pt. *Through the Drowsy Dark*. Opowiadanie „Eros, filozofia, agape” zostało nominowane do Hugo Award. Nominowano je również do cenniejszej, przyznawanej przez kolegów po fachu, Theodore Sturgeon Memorial Award. Inny tekst Swirsky, „A Memory of Wind”, nominowano do Nebuli przyznawanej przez stowarzyszenie Science Fiction Writers of America.

„Eros, filozofia, agape” to drugie opowiadanie Rachel Swirsky w polskim przekładzie. Pierwsze, „Zaślubiny ze Słońcem”, ukazało się w tomie 5. *Kroków w nieznanie*.

John Scaizi – dziennikarz, pisarz, znany bloger, kreatywny konsultant serialu *Gwiezdne wrota: Wszechświat*, wreszcie prezes Science Fiction & Fantasy Writers of America. *Whatever*, blog pisarza, codziennie odwiedza niemal 50 tys. czytelników. Jedną z nagród Hugo, którą odebrał Scaizi przypadła mu za zbiór wpisów z tego bloga, zatytułowany *Your Hate Mail Will Be Graded: A Decade of Whatever, 1998-2008*. Drugą otrzymał w kategorii „Fan writer”.

Scaizi specjalizuje się w podgatunku space opera. W polskim przekładzie znamy jego dwie książki: *Wojna starego człowieka i jej kontynuację* Brygada duchów. Almanach fantastyki przynosi jego nowelę science-fantasy „Boże napędy”, nominowaną do Hugo i Nebuli w roku 2010.

Ted Kosmatka – utalentowany autor amerykański, coraz chętniej przedrukowywany w antologiach najlepszych tekstów roku i zapraszany do oryginalnych antologii tematycznych. Wartość prozy Kosmatki docenili również wydawcy, którzy szykują do druku jego powieść *The Helix Game*.

Pisarz cieszy się bardzo, że jego opowiadania ukazują się w polskim przekładzie, ponieważ jego rodzina wywodzi się z Polski. Najlepiej przyjętym u nas tekstem Kosmatki jest

niesamowite opowiadanie „Śmiercionauci” (w kręgu anglojęzycznym opublikowane wyłącznie *on-line!*).

„Boża Maszyna” ukazuje się w tym tomie w wersji nieco zmienionej w porównaniu do wydania amerykańskiego z 2005 r. Autor pracuje właśnie nad zbiorem opowiadań i redaguje swoje wcześniejsze teksty.

Ian McDonald – brytyjski pisarz, mieszkający w Belfaście, wywodzący się ze szkocko-irlandzkiej rodziny, doskonale świadomy konfliktów narodowościowych. Sięga w swojej twórczości po scenografie Trzeciego Świata, np. Afrykę w znanym u nas cyklu Chaga, portugalskojęzyczną część Ameryki Południowej w powieści *Brasyl*, czy Indie, w książce *Rzeka bogów* i zbiorze opowiadań *Cyberabad Days*.

McDonald bezsprzecznie należy do czołówki współczesnych pisarzy fantastycznych. Jego pisarstwo jest bardzo charakterystyczne: wizyjne i poetyckie, ale też boleśnie dojmujące. Polscy czytelnicy przyznali SFINKSA w kategorii zagraniczne opowiadanie roku jego „Małej bogini” (opowiadanie zamieszczone w 5. tomie *Kroków w nieznanie*).

Julia Zonis – młoda autorka reprezentująca w tej antologii rosyjską fantastykę, która otrzymała za opowiadanie „Me-gi-do” prestiżowego Brązowego Ślimaka. Nagrodę przyznaje Borys Strugacki – mistrz i wyrocznia rosyjskiej fantastyki.

Zonis tworzy prozę, poezję, próbowała też swoich sił jako autorka scenariuszy w niezależnych produkcjach filmowych. Zaczęła pisać w 2004 r. Od tego czasu opublikowała kilkadziesiąt opowiadań w wielu antologiach i czasopismach. Wydała też dwie powieści. Urban fantasy *Dzieci bogów* (2010) oraz postmodernistyczną, pełną odniesień do literatury klasycznej, *Kulturowy geroj* (2009 – współautor Aleksandr Szakiłow). Obie książki zebrały przychylne opinie rosyjskich recenzentów i czytelników.

Felicity Shoulders – młoda autorka amerykańska mająca w dorobku dosłownie kilka tekstów. Wydaje się, że drzemie w niej ogromny potencjał wyobraźni i wrażliwości. Jej twórczość żywo komentują czytelnicy „Asimov’s Science Fiction Magazine” który ostatnio kupił kilka jej tekstów pod rząd. Pierwszą próbkę swoich możliwości pisarka dała w „Burgerdroid”, opowiadaniu z 2008 r. Jest to historia rozgrywająca się w popularnej restauracji fast food, w której klientów obsługują androidy. W rzeczywistości są nimi ludzie udający roboty – maszyny okazały się zbyt drogie w utrzymaniu.

Publikowana w tym tomie antologii „Warunkowana miłość” jest utworem znacznie dojrzałym. Podejmuje tematykę genetycznej optymalizacji dzieci i społecznych konsekwencji łatwości, z jaką, zapewne już niedługo, będzie można manipulować DNA.

Ian R. MacLeod – wszechstronny brytyjski pisarz uznawany, całkowicie zasłużenie, za

jednego z największych stylistów współczesnej fantastyki. Udowadnia to w opowiadaniu „Feralna sztuka”, które przyniosło mu w 2000 r. nagrodę World Fantasy i nominację do nagród Hugo i Sturgeon. Tekst, traktujący o spotkaniu dwóch emanacji przeznaczenia, fatum i fortuny, pod postacią dziewczyny przynoszącej pecha i najbardziej fartownego pilota w historii RAF-u, stanowi doskonały przykład unikającego łatwej kwalifikacji pisarstwa MacLeoda.

W Polsce opublikowano kilka opowiadań i dwie powieści pisarza – *Wieki światła* (2006) i jej kontynuację *Dom burz* (2008) – rozgrywające się w alternatywnej Wielkiej Brytanii, obie w serii *Uczta wyobraźni* wydawnictwa Mag.

Ted Chiang – pisarz amerykański publikujący wyłącznie opowiadania, seryjny zdobywca najważniejszych nagród i niekwestionowana gwiazda światowej fantastyki. W swojej twórczości, nasyconej niezwykłą wyobraźnią i głębokim humanizmem, porusza klasyczne zagadnienia science fiction, ale odświeża je i wydobywa nowe znaczenia. Czyni tak również w drukowanej w niniejszym tomie noweli „Cykl życia oprogramowania”, które z pewnością należy do najważniejszych w jego dorobku.

Autor sugeruje, że wzrost potencjału i złożoności AI będzie odbywał się w procesie powolnej socjalizacji i akumulacji wiedzy. Dotychczas „duch w maszynie” miał się objawiać w zasadzie samoistnie, po przekroczeniu masy krytycznej danych i złożoności systemu informatycznego. Takie podejście promuje pisarz Vernor Vinge, głoszący nadejście technologicznej osobliwości w roku 2045. Spotkamy je również w pomnikowym, wyśmienitym dziele *Golem XIV* Stanisława Lema, a nawet *Terminatorze* Jamesa Camerona.

Ted Chiang opublikował w Polsce nakładem Solaris dwa zbiory opowiadań *Historia twojego życia* (2002) i *72 litery* (2010). Do jego najistotniejszych tekstów chętnie zalicza się „Historię mojego życia”, „Piekło to nieobecność Boga” i „Co ma cieszyć oczy”.

Tomasz Maroński – autor okładki najnowszych *Kroków w nieznanie*, którego prace zdobią okładki wielu doskonałych książek i czasopism. Nagradzany przez czytelników „Asimov’s Science Fiction Magazine” – okładka roku 2009, i chwalony przez samego Briana Aldissa za grafikę do polskiego wydania powieści *Non Stop* (Solaris, 2007).

Mirek Obarski – niegdyś recenzent „Nowej Fantastyki”, współtwórca fanzinu „Dr. Strangelove”, współzałożyciel Warmińskiego Klubu Fantastyki „Stalker”. Swego czasu aktywny działacz fandomu. Politolog z wykształcenia, zawodowo zajmuje się public relations. Zredagował tomy *Kroków w nieznanie* 2008, 2009 i 2010.

PODZIĘKOWANIA

Serdecznie dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do powstania kolejnego almanachu fantastyki „Kroki w nieznanie”. Dziękuję za pomoc, sugestie i życzliwość stanowiącą, jak zwykle, połowę sukcesu.

Szczególną wdzięczność jestem winien takim osobom, jak: Łukasz Bardyszewski, Ted Chiang, Havis Dawson, Ethan Ellenberg, Magda Grzymkowska, Paweł Laudański, Anna Klimasara, Ted Kosmatka, Konrad Kozłowski, Ian R. MacLeod, Ian McDonald, Will McIntosh, Tomasz Maroński, Tadeusz Meszko, Ana Milenkovic, John Parker, Jolanta Pers, Ryszard Piasecki, Martyna Plisenko, Nada Popovic, Patryk Sawicki, John Scalzi, Wojtek Sedeńko, Felicity Shoulders, Charles Stross, Rachel Swirsky, Bogusław Szyma, Peter Watts, Julia Zonis i Jan Żerański.

Trudny do oceny wpływ na powstanie tego almanachu miało wsparcie i wiara ze strony Anny Skrzypczyk, a także kreatywna aura tworzona przez Piotra Mościckiego.

Mirek Obarski